CONN IGGULDEN

IMPERATOR

ŚMIERĆ KRÓLÓW

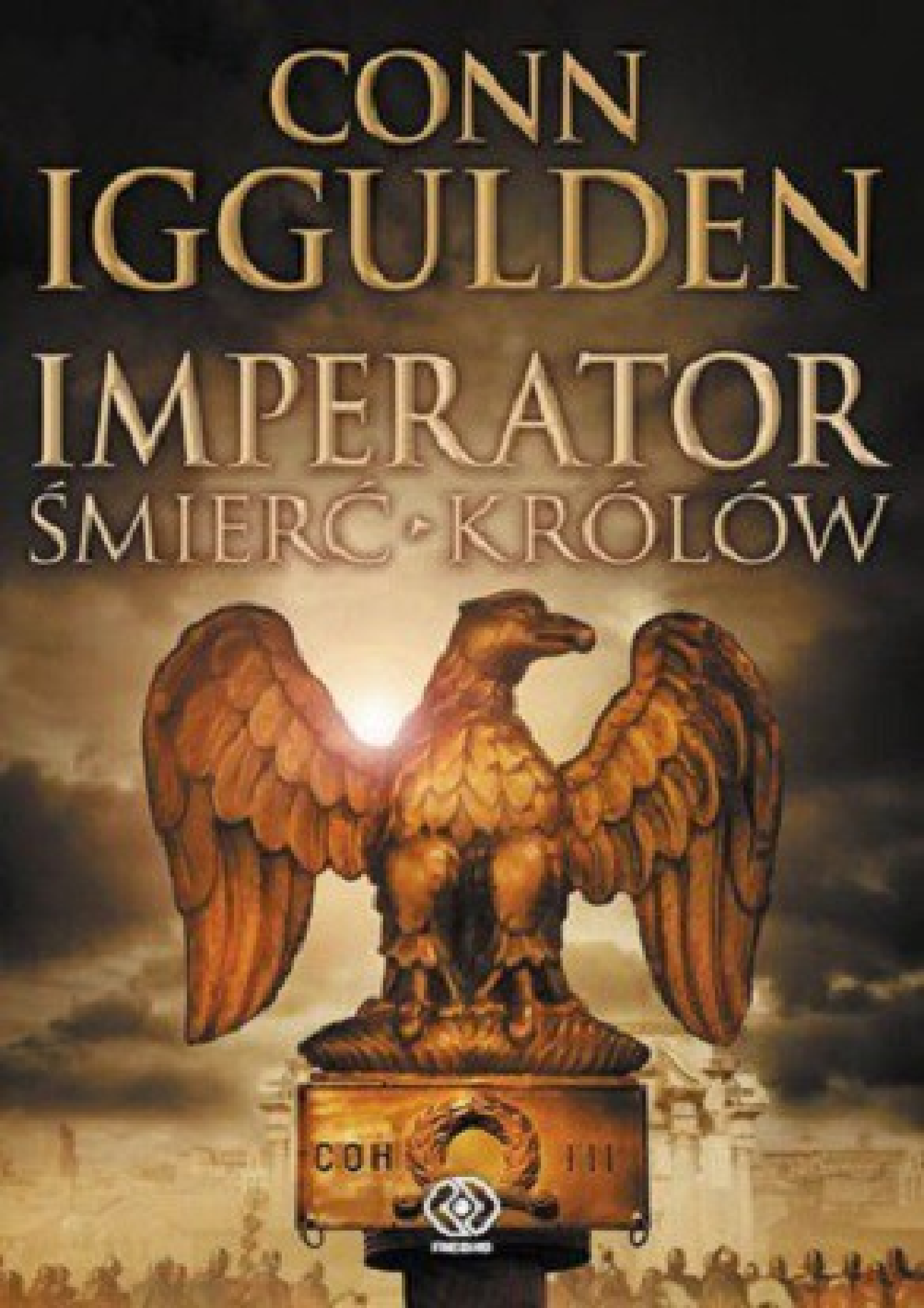

Conn Iggulden

Imperator Tom 2

Śmierć Królów

Tytuł oryginału Emperor. The Death of Kings

Przekład Bogumiła Malarecka

Ojcu, który z błyskiem w oku recytował vitai lampada.*

Także matce, dzięki której zrozumiałem, że historia to kolekcja wspaniałych opowieści i dat.

* „Pochodnie życia”; cytat z poematu Lukrecjusza O naturze wszechrzeczy.

Podziękowania

Pragnę zauważyć, że szkice poszczególnych scen i rozdziałów niniejszej powieści

przeczytało całkiem sporo osób, często kilkakrotnie, i była to z ich strony wielka uprzejmość.

Nick Sayers i Tim Waller z HarperCollins poradzili sobie z różnymi wersjami obu książek ze zręcznością, która zaczyna mi się wydawać czymś całkiem oczywistym. Ponadto pragnę tu wymienić Joel, Tony’ego, mojego brata Davida, rodziców, Victorię, Ellę, Marlitę i Clive’a.

Im wszystkim jestem jednakowo wdzięczny za okazane zainteresowanie i pomoc.

CZĘŚĆ 1

ROZDZIAŁ I

Na wzgórzu nad nimi majaczyła warownia Mitylene. Punkciki świateł poruszały się na murach i był to nieomylny znak czuwania nocnych straży. Dębowa, kuta żelazem brama była zamknięta, a jedyna droga prowadząca w górę stromego stoku - dobrze strzeżona.

Gaditykus zostawił na okręcie nie więcej niż dwudziestu ludzi. Gdy tylko reszta centurii znalazła się na brzegu, rozkazał podnieść trap i Accipiter z cichym pluskiem wioseł oddalił

się od spowitej mrokiem wyspy.

Przy tak mizernej załodze lepiej było nie wystawiać go na niczyją pokusę, toteż wszystkie światła wygaszono już dawno i rzymski okręt zlał się teraz z przybrzeżnymi wodami w jednakową plamę ciemności.

Juliusz stał ze swoją jednostką, czekając na rozkazy. Chmurna mina pozwalała mu ukryć podekscytowanie zbliżającą się wreszcie akcją, po co najmniej półrocznej nudzie

bezowocnego polowania na piratów. Warownia, o ile w środku nocy dało się właściwie ocenić jej wygląd, sprawiała wrażenie solidnej i groźnej, i wiedział, że zdobycie murów raczej nie będzie bezkrwawe. Jeszcze raz sprawdził ekwipunek bojowy i każdy szczebel drabin oblężni-czych i raz jeszcze przeszedł pośród dziesiątki żołnierzy, by się upewnić, czy któryś nie zapomniał o owinięciu butów kawałkiem płótna. Wszystko było na swoim miejscu,

lecz jego ludzie nie szemrali na nadmiar gorliwości dowódcy. Wiedział, że nie przyniosą mu wstydu. Czterech było doświadczonymi żołnierzami, w tym Pelitas,

który miał za sobą dziesięć łat pływania po morzu. Juliusz uczynił go swoim zastępcą, kiedy tylko się zorientował, że mężczyzna ma posłuch u większości załogi. Wcześniej omijały go wyróżnienia i trzeba było bystrego oka, by pod niedbałością o wygląd i zadziwiająco brzydką twarzą dostrzec

zalety serca i umysłu. Pelitas szybko stał się oddanym sprzymierzeńcem nowego młodego dowódcy warty.

Kolejnych sześciu pozbierano w rzymskich portach rozsianych wokół Grecji, kiedy Accipiter powoli uzupełniał swoją załogę. Niewątpliwie kilku miało mroczne życiorysy, lecz przy zatrudnianiu żołnierzy na okrętach wojennych nie zwracano uwagi na takie rzeczy.

Mężczyźni obciążeni długami czy skłóceni z dowódcami wiedzieli, że ich ostatnią szansą na żołd jest służba na morzu. Juliusz nie narzekał. Każdy z jego dziesiątki widział niejedną bitwę i ich opowieści brzmiały jak zapis historii Rzymu z ostatnich dwudziestu lat. Każdy był

jednakowo bezwzględny i twardy i Juliusz cieszył się, wiedząc, że żadnemu nie przyjdzie na myśl wzdragać się czy wykręcać od nieprzyjemnej roboty - takiej jak oczyszczenie warowni Mitylene z rebeliantów w jedną z letnich nocy.

Gaditykus przeszedł pośród szeregów i zamienił po kilka słów z każdym dowódcą.

Swetoniusz przytaknął i oddał honory. Swe-toniusz zawsze przytakiwał i Juliusz, obserwując dawnego sąsiada, na nowo poczuł niechęć, choć w młodym dowódcy warty nie było niczego, co by ją uzasadniało. Od miesięcy pracowali obok siebie z lodowatą grzecznością i lody między nimi wydawały się nie do przełamania. Swetoniusz wciąż widział w nim tamtego chłopca, którego on i jego przyjaciele związali i pobili wieki temu. Potem, aż do spotkania na Accipiterze, nie miał żadnych wieści o dawnym sąsiedzie i uśmiechnął się szyderczo, kiedy Juliusz opowiadał ludziom, jak wmaszerował do Rzymu z Mariuszem, na czele triumfalnego pochodu. Wieści o wydarzeniach w stolicy dochodziły na pogranicza imperium z dużym opóźnieniem i legioniści albo nie dawali im wiary, albo je zbywali obojętnym wzruszeniem ramion. Juliusz czuł, że niektórzy z przyjaciół Swetoniusza mu nie wierzą. To było irytujące, lecz nie tolerowano żadnych walk wśród załogi i zwykle takie próby kończyły się zdegradowaniem.

Juliusz milczał, nawet kiedy Swetoniusz uraczył tych, którzy chcieli go słuchać,

zabawną, jak zapowiadał, opowieścią o schwytaniu, pobiciu i powieszeniu w lesie na gałęzi drugiego tesserariusa*, i kiedy sprowadził tamto wydarzenie do typowej, trochę okrutnej zabawy między chłopcami. Swetoniusz zdawał sobie sprawę z jego obecności, lecz kiedy w końcu skrzyżowali spojrzenia, udał zaskoczenie, mrugnął na swojego zastępcę i obaj wrócili do swoich obowiązków.

Gaditykus podszedł do ostatniej ze swoich dziesiątek.

-Jeżeli nie wiedzą, że tu jesteśmy - powiedział - puścimy to wraże gniazdo z dymem, nim nastanie świt. Jeżeli ich ktoś ostrzegł, będziemy walczyć o każdy kamień w murze.

Upewnijcie się, że zbroje i miecze nie wydadzą żadnego dźwięku. Nie chcę ich postawić na nogi, dopóki zajmujemy nieosłonięte pozycje.

- Tak, panie - odrzekł Juliusz.

- Twoi ludzie zaatakują od południa, po łagodniejszym zboczu. Ustaw szybko drabiny i niech każdą przytrzymuje jeden człowiek, by mi żaden nie spadł. Ludzi Swetoniusza posyłam na bramy. Zabiją strażników. Jest ich czterech, więc może być głośno. Jeśli usłyszysz krzyki, nim podejdziesz do murów, ruszaj ze swoimi biegiem. Nie możemy dać im czasu na

zorganizowanie obrony. Zrozumiano? To dobrze. Jakieś pytania?

- Czy wiadomo, ilu ich tam jest, panie? - spytał Juliusz.

- Weźmiemy warownię, choćby w niej było nie pięćdziesięciu, a pięciuset! - odwarknął

Gaditykus. - Nie płacą podatków od dwóch lat. Prefekt miasta zamordowany. Mamy czekać na posiłki?

Juliusz poczerwieniał.

- Nie, panie.

- Nasze okręty - Gaditykus zaśmiał się gorzko - rozciągają się u wybrzeży zbyt cienką linią.

Przyzwyczaisz się z czasem, że zawsze ich brakuje, tak samo jak ludzi, ale najpierw spróbuj przeżyć tę noc. A teraz ruszać na pozycje i dobrze się maskować. Zrozumiano?

- Tak, panie. -Juliusz oddał honory. Bycie dowódcą, nawet najniższego stopnia, okazywało się co najmniej trudne. Spodziewano się po nim, że będzie znał swoje zajęcie, tak jakby umiejętności

* Żołnierz odbierający i przekazujący hasło wodza (wszystkie przypisy pochodzą od

redakcji).

przychodziły razem z funkcją. Nigdy dotąd nie atakował żadnej warowni, ani za dnia, ani w nocy, a teraz miał podejmować natychmiastowe decyzje, od których mogło zależeć życie albo śmierć jego ludzi. Zwrócił się ku nim i poczuł w sobie nagłą siłę. Nie mógł ich zawieść. -

Słyszeliście centuriona. Rozdzielenie formacji, zdobywanie pozycji za pozycją, absolutna cisza. Ruszamy.

Prawa pięść każdego zadudniła o skórzany napierśnik. Juliusz się skrzywił.

- Żadnego hałasu. Dopóki nie staniemy w warowni, nie potwierdzać żadnego mojego rozkazu.

Nie chcę ciągłego wyśpiewywania „tak, panie”, jeżeli mamy poruszać się w ciszy, prawda?

Jeden czy dwóch uśmiechnęło się szeroko, mimo to napięcie w szeregach było wprost

namacalne. Ruszyli całą dziesiątką, a za nimi poszły dwie inne. Gaditykus miał dowodzić resztą i po zdobyciu bramy przez Swetoniusza poprowadzić frontalny atak.

Juliusz z przyjemnością zauważył, że żmudne, nie kończące się ćwiczenia na pokładzie okrętu zrobiły swoje; ludzie z jego jednostki i z dwóch innych sprawnie podzielili się na pary i bez trudu zarzucili na ramiona ciężkie długie drabiny. Tacy jak oni, pomyślał, wbiegną po szerokich szczeblach, sięgną szczytu czarnych murów i wejdą do warowni dosłownie w kilka sekund. Zanosiło się na wściekły atak. Nikt nie wiedział, z iloma buntownikami przyjdzie się zmierzyć, i legioniści, dla własnego bezpieczeństwa, zabiją tylu, ilu się da, już w kilku pierwszych chwilach.

Przekręcił dłoń na płask, sygnalizując swoim ludziom, by kucnęli, kiedy nad nimi zatrzymała się jedna z pochodni straży. Doświadczone ucho człowieka na murach mogło wyłapać każdy dźwięk, mimo głośnego cykania świerszczy. Po krótkiej przerwie światło znów ruszyło i Juliusz i inni dowódcy porozumieli się wzrokiem i pokiwali głowami na znak, że pora przypuścić atak.

Juliuszowi serce zabiło mocniej. Wyprostował się. Jego ludzie powstali razem z nim. Jeden chrząknął cicho, ponownie zarzucając na ramię nieporęczną drabinę, i wszyscy rzucili się biegiem w górę piarżystego stoku. Prowadził Pelitas, lecz trudno było zachować porządek na nierównym gruncie, którego nie rozjaśniało nawet światło księżyca. Gaditykus wybrał

właściwą noc.

Każdą drabinę przekazano sprawnie w ręce ludzi na przedzie

i ustawiono przy murze prawie pionowo, i kiedy jeden trzymał ją mocno u dołu, drugi znikał

w górze. W warowni wciąż panowała cisza.

Juliusz został na dole sam. Przesunął drabinę z wyślizganych kamieni na bardziej stabilny grunt, zaczepił o jakiś występ w murze górnym szczeblem i nie mniej sprawnie niż inni znalazł się na murach. Wystawiony na cel łucznikom nie rozważał tej sytuacji, tylko przewinął się na drugą stronę murów i opadł w ciemność poniżej, gdzie już czekali jego ludzie.

Przed nimi rozciągał się szeroki na jakieś dwadzieścia stóp pas trawy porastającej suchą skałę. Miejsce było odkryte i należało stąd zniknąć jak najszybciej. Juliusz zobaczył, że inne jednostki nie przystanęły i przeszły pod drugi, wewnętrzny mur. Zmarszczył czoło. Ten był

równie wysoki jak pierwszy i miejsce, w którym się znaleźli, wyglądało na prawdziwą pułapkę, zaplanowaną przed wiekami przez budowniczych warowni. Zaklął pod nosem. Jego ludzie oczekiwali szybkiej decyzji.

Wtedy w warowni zaczął dzwonić dzwon, głośno i ponuro.

- I co teraz, panie? - spytał beznamiętnie Pelitas.

- Teraz? - odpowiedział, wziąwszy głęboki oddech. - Teraz zginiemy. Zostając tu, ma się rozumieć. Niedługo posypią się pochodnie, oświetlą nas i wystawią na cel łucznikom. Peli, skaczesz po linach jak małpa, więc zrzucaj zbroję. Zobaczymy, czy potrafisz wspiąć się ze sznurem na wewnętrzny mur. Kamienie są stare i pewnie znajdziesz parę szczelin dla rąk i stóp.

Gdy Pelitas zaczął odpinać napierśnik, Juliusz zwrócił się do pozostałych:

- Liczę na Pelitasa, ale na wszelki wypadek trzeba odzyskać drabinę. Mur ma co prawda z piętnaście stóp wysokości, lecz jakoś podsadzimy najlżejszą parę i ci sięgną po nią, i wciągną ją na górę.

Zignorował narastające odgłosy paniki i walki wewnątrz warowni. Było oczywiste, że buntownicy są zajęci odpieraniem ataku Gaditykusa, mimo to czas naglił.

Tymczasem trzech jego osiłków splotło ramiona i zaparło się plecami o ciemne kamienie zewnętrznego muru. Dwaj lżejsi wspięli się po nich, zrobili ostrożny w tył zwrot i także

przywarli plecami do szorstkiej ściany. Trzej na spodzie chrząknęli, kiedy wpiły się 16

im w ramiona metalowe płytki zbroi, lecz to właśnie one chroniły obojczyki przed

złamaniem. Mężczyźni znosili niewygodę w milczeniu, jednak Juliusz wiedział, że nie wytrzymają długo.

Spojrzał na dwóch ostatnich, najlżejszych. Obaj już zdążyli zrzucić ciężkie zbroje i poza opaskami na biodrach świecili golizną. Na dany przez Juliusza znak, szczerząc zęby z podekscytowania, rzucili się w górę, jakby to było olinowanie Accipitera, a nie wieża z piątki ludzi. Juliusz dobył miecza, czekając na ich powrót, i wpatrzył się w ciemność.

Dwadzieścia stóp dalej, na wewnętrznym murze, Pelitas przycisnął twarz do zimnego

kamienia i odmówił krótką, rozpaczliwą modlitwę. Zapierając się stopami, drżącymi z wysiłku palcami wy-macując szczelinę po szczelinie, bezszelestnie dźwigał się w górę. Bał

się, że samym świszczącym oddechem sprowadzi sobie na kark któregoś z sumienniejszych strażników. Owinięta wokół piersi i ramion lina krępowała ruchy, a miecz u boku ciążył, lecz nie potrafiłby wyobrazić sobie niczego gorszego niż sięgnięcie wierzchołka bez broni.

Jednakże odpaść z pionowej ściany i połamać sobie kości było podobnie nieprzyjemną perspektywą.

Już dostrzegał w górze, nad głową ciemną krawędź kamienia podświetloną blaskiem

pochodni, kiedy warownia rzuciła się do bram odeprzeć atak dziesiątki Swetoniusza i czterdziestki Gadity-kusa. Usta wykrzywił mu szyderczy uśmiech. Zawodowi żołnierze już by wysłali zwiadowców na wszystkie odcinki, aby sprawdzić, czy nie szykuje się inny atak lub jakaś zasadzka. Dobrze być dumnym z tego, co się robi, pomyślał.

Po raz ostatni sięgnął dłonią w górę, wymacał nadkruszony kamień, dający pewny uchwyt, i wstrzymując oddech i

nasłuchując, czy ktoś nie czai się w pobliżu i tylko czeka, by wypruć z niego wnętrzności, zawisł na moment w bezruchu. W najbliższym otoczeniu nic się nie działo. Kiwnął głową i zacisnął szczęki, jakby chciał się wgryźć w strach, który zawsze go dopadał w podobnych momentach, potem podciągnął się, zamachnął nogami i wskoczył na mur. Szybko kucnął i ostrożnie, by nie szczęknąć metalem o kamień, wyciągnął miecz z pochwy.

Niewidzialny pośród gęstych cieni, przysunął się do skraju

wąskiej platformy, z której do budynków poniżej prowadziły kamienne schody. Resztki posiłku na ziemi były widomym znakiem, że w tym miejscu przebywał strażnik, ale

najwyraźniej poszedł odpierać frontalny atak napastników, zamiast stać tam, gdzie mu kazano. Pelitas w myślach cmoknął z dezaprobatą.

Poruszając się pomału, odwinął z piersi i ramion zwój grubego sznura i przywiązał jeden koniec do osadzonego w kamieniu zardzewiałego, żelaznego pierścienia. Szarpnął mocno i pozwolił, by sznur opadł w ciemność.

Juliusz zobaczył, że druga z dziesiątek, również schwytana w pułapkę murów, poszła za jego pomysłem i również stara się odzyskać swój sprzęt oblężniczy. Następnym razem do drabin należałoby przywiązać liny i ostatni wchodzący powinni je wciągać za sobą, lecz wiadomo, że najłatwiej być mądrym po szkodzie. Gaditykus z kolei powinien poświęcić więcej czasu na zapoznanie się z rozkładem warowni, choć nawet bez tego powinno się zauważyć, że

Mitylene leży na stromym wzgórzu. Juliusz skarcił się w duchu za nielojalność, lecz coś mu mówiło, że gdyby to on zarządził atak na warownię, nie wysłałby swoich ludzi, dopóki by nie wiedział o niej wszystkiego.

Twarze osiłków na spodzie żywej wieży ociekały potem i wykrzywiały się z bólu.

Tymczasem na górze drewno zaszurało o kamień i kiedy drabina oblężnicza zjechała na dół, Juliusz szybko przycisnął ją do ściany i spuściła się po niej czwórka, a trzech osiłków odetchnęło z ulgą i rozprostowało ramiona. Juliusz poklepał całą siódemkę po ramionach i wyszeptał, co dalej. Razem podeszli do wewnętrznego muru.

Jakiś głos w środku warowni rozdarł ciemności. Juliusz nie zrozumiał słów, lecz wyczuł

przerażenie człowieka i serce podeszło mu do gardła. Po chwilowym zaskoczeniu przywarł

płasko do ściany, zadarł głowę i zobaczył, że Pelitas nie zawiódł ani nie spadł.

- Ustawić pewnie drabinę. Trzej pną się po sznurze. Reszta za mną.

Ledwo padł rozkaz, powietrzem nad ich głowami targnęły strzały wymierzone w inną

dziesiątkę, która niosła swoją drabinę. Wszyscy padli na ziemię. Juliusz popatrzył w stronę, skąd pod-18

niosły się radosne okrzyki, i doliczył się co najmniej pięciu łuczników. Ułatwili sobie pracę, rzucając na środek płonące pochodnie, ale światło nie sięgnęło cieni pod murami i łucznicy nie wiedzieli, że tuż pod nimi stoją inni Rzymianie.

Juliusz, z dłonią zaciśniętą na gladiusie, wspinał się po szerokich szczeblach drabiny. Pamięć podsunęła mu przed oczy bunt, przez który zginął jego ojciec całe lata temu, i teraz miał

wrażenie, że jest na murach pierwszy raz. Odsunął te myśli, ledwo doszedł do wierzchołka, i natychmiast zanurkował w dół, by uchylić głowę przed ciosem topora. Tracąc równowagę, przez przerażająco długą chwilę czepiał się muru, aż w końcu poczuł grunt pod nogami.

Nie było czasu na ocenę sytuacji. Uchylił się przed następnym ciosem i silnym kopnięciem wytrącił broń z rąk napastnika. Żelazny topór stuknął o kamienie, a rzymski miecz wszedł

gładko w ciężko dyszącą pierś wroga, lecz napór napastników nie ustawał i coś uderzyło w

jego hełm z taką siłą, że metalowa osłona policzków pękła na dwoje. Oczy mu się zamgliły i do osłony przed kolejnym ciosem miecz podniósł ze zwykłego nawyku. Krew, spływając z głowy, drążyła sobie ścieżki po szyi i piersiach, i czuł ją nawet na brzuchu, lecz zignorował

to. Kilku z jego jednostki przebiło się do wąskiego przejścia i dopiero teraz walka rozgorzała na dobre.

Trzech stanęło klinem wokół wierzchołka drabiny, lecz ich lekkie zbroje szybko się pogięły pod ciężkimi ciosami. Julius dostrzegł kątem oka, jak jakiś gladius wbija się od spodu w czyjąś szczękę i nadziewa, jak na pal, jednego z rebeliantów.

Obrońcy warowni nie byli jednakowo wyposażeni do walki. Jedni mieli stare zbroje i dziwne miecze, drudzy topory i oszczepy. Wyglądali na Greków i krzyczeli jeden do drugiego w tym niepojętym języku. Zrobiło się zamieszanie i Juliusz tylko zaklął, kiedy jeden z jego ludzi upadł z krzykiem, w jasnym świetle pochodni bryzgając ciemną krwią. Zastukały buty i warownia odpowiedziała echem. Wydawało się, że broni jej cała armia i że wszyscy biegną w to jedno miejsce. Przez mur przedostali się jego dwaj inni żołnierze i włączyli do walki, zachodząc wroga od tyłu.

Juliusz wbił czubek miecza w gardło jakiegoś mężczyzny ciosem, którego nauczył go

Reniusz. Uderzenie było silne i gwał-

towne; jego przeciwnik zamachał ramionami i umarł. Ci ludzie, kimkolwiek byli, przeważali jedynie liczebnie. Rzymska sztuka wojenna i bojowa zaprawa żołnierzy, skupionych wokół

drabiny, były nie do pokonania.

Ale po żołnierzach widać było zmęczenie. Juliusz usłyszał krzyk zawodu i strachu jednego ze swoich ludzi, kiedy jego

miecz zaciął się między płytkami jakiejś ozdobnej zbroi,

przekazywanej z pokolenia na pokolenie, pewnie nie krócej niż od czasów Aleksandra.

Rzymianin szarpnął wściekle za rękojeść, a jego gwałtowność omal nie zbiła przeciwnika z nóg. Gniewny okrzyk nieoczekiwanie przeszedł w skowyt bólu i Juliusz zobaczył, jak tamten wbija krótki sztylet w obnażoną pachwinę żołnierza. W końcu Rzymianin upadł, a miecz wciąż tkwił w drugiej zbroi.

- Do mnie! - zawołał Juliusz do swoich ludzi, wiedząc, że razem łatwiej wywalczą sobie przejście do wnętrza warowni.

Już był przy kamiennych stopniach, lecz drogę na dół zagrodzili mu następni wojownicy. To jedynie dodało mu ducha do walki. Miecz był dobrze wyważony. Zbroja czyniła odpornym na ciosy i w bitewnym uniesieniu nawet nie czuł jej ciężaru.

Nagły cios w głowę pozbawił go już i tak uszkodzonego hełmu. Na spoconej skórze Juliusz poczuł chłód nocnego powietrza. Czysta przyjemność, zaśmiał się sam do siebie i ruszył do przodu, roztrącając kolejne, zastępujące mu drogę tarcze przeciwników.

- Accipiteń - zawołał pełną piersią. Jastrząb. To zadziałało. Jego zawołanie poniosło się echem pod zagiętymi mieczami, które wyglądały bardziej na sprzęt gospodarczy niż na broń wojenną. Ciosem na odlew otworzył uda pierwszego z brzegu mężczyzny i

wrzeszczącego rzucił na kamienie.

Skupili się wokół niego inni legioniści. Wśród nich było ośmiu z jego dziesiątki i sześciu innych, tych, którzy wyszli cało spod strzał łuczników. Stali razem i rebelianci, widząc wokół

siebie spiętrzone martwe ciała, zachwiali się w swoim pędzie do walki.

- Żołnierze Rzymu to my - mruknął jeden z ludzi Juliusza. - Najlepsi na świecie. No dalej, nie ociągajmy się.

Juliusz błysnął radośnie zębami i ponownie rzucił w powietrze nazwę okrętu. Miał nadzieję, że Pelitas ich słyszy. Jakoś nie wątpił, że ten koszmarny brzydal wciąż żyje.

20

Pelitas, znalazłszy jakiś płaszcz wiszący na haku, ukrył pod nim tunikę i obnażony miecz. Bez zbroi na wierzchu czuł się podatny na każdy cios, lecz żaden z mężczyzn, którzy mijali go w pędzie, nie obdarzył go choćby jednym spojrzeniem. Ryki legionistów i ich wezwania bojowe dochodziły już z bardzo bliska, zdecydował więc, że pora włączyć się do walki.

Chwycił z wnęki w murze pochodnię i wmieszał się między pędzących wrogów. Bogowie, iluż ich było! Warownia wewnątrz murów przedstawiała labirynt zniszczonych ścian i pustych pomieszczeń, miejsce, które odzierano ze wszystkiego, co możliwe, całymi

godzinami, i gdzie na każdym kroku można się było spodziewać zasadzki czy zdradzieckiej strzały. W ciemnościach okrążył jakiś róg, ignorowany i przez pierwsze cenne chwile całkowicie anonimowy. Poruszał się szybko, starając się nie zgubić pośród licznych zakrętów i zaułków raz obranego kierunku, aż wreszcie znalazł się na północnych murach, w pobliżu gniazda łuczników, którzy ostrożnie i z powagą na twarzy wypuszczali strzały.

Przypuszczalnie reszta sił Gaditykusa wciąż była na zewnątrz, choć z dziedzińca przy głównej bramie niosły się krótkie rzymskie rozkazy. Kilku dostało się do środka, ale daleko było do końca bitwy.

Wyglądało na to, że w warowni zaszyła się połowa miasta, pomyślał Pelitas ze złością, zbliżając się do łuczników. Jeden spojrzał na niego ostro, lecz tylko kiwnął głową i dalej mierzył niespiesznie w tłum mężczyzn na dole.

Pelitas przypuścił atak, dwoma szybkimi kopnięciami wysyłając dwóch mężczyzn na dół, głowami do przodu. Obaj rozpłaszczyli się z hukiem na kamieniach, a trzej inni

odwrócili przerażeni, akurat w momencie, kiedy zrzucił płaszcz i uniósł krótki gladius.

- Dobry wieczór, chłopcy - powiedział pogodnie, zrobił krok do przodu, wbił miecz prosto w pierś najbliższego i pchnął ciało kolanem.

Mężczyzna upadł obok swoich towarzyszy w chwili, gdy bok Pelitasa przeszyła strzała.

Rzymianin jęknął, prawie bezwiednie jedną ręką schwycił za sterczące na brzuchu pióra, a drugą, rozwścieczony, przejechał gładiusem po gardle kolejnego łucznika.

To ostatni i najdalszy posłał celną strzałę. Gorączkowo naciągał

Rozdział I

21

cięciwę po raz drugi, ale strach odebrał mu zręczność i Pelitas był przy nim w dwóch susach, z mieczem gotowym do pchnięcia. Mężczyzna w panice odchylił się do tyłu, stracił

równowagę i bez niczyjej pomocy, z głośnym krzykiem spadł z muru. Pelitas przyklęknął.

Oddychał chrapliwie. W pobliżu nie było nikogo, odłożył więc miecz, sięgnął ręką za plecy i schwycił za grot. Nie było żołnierza, który by nie wiedział, że z upływu krwi, jeśli już do niego dojdzie, trzeba umrzeć, i Pelitas poczuł, jak oczy mu wilgotnieją.

Dłoń, ściskająca za plecami drewniany grot, zrobiła się śliska, a cały bok zdążył nasiąknąć krwią i kiedy Pelitas usiłował wstać, zakręciło mu się w głowie. Pochrząkując z cicha, wsunął

grot głębiej w ciało, by o nic nie zaczepił i nie wywołał nowego spazmu bólu.

- Masz znaleźć innych - mruknął, biorąc głęboki oddech. Dłonie zaczęły mu się trząść z przerażenia, więc jedną zacisnął na rękojeści miecza, drugą, zaciśniętą w pięść, zawinął w fałdy płaszcza i ruszył przed siebie.

Człowieka, który wpadł na niego, Gaditykus wyrżnął pięścią w zęby i doprawił krótkim pchnięciem w żebra. Warownia była pełna rebeliantów. Było ich tu więcej, niż ta mała wyspa zdołałaby utrzymać, co do tego miał pewność. Bunt najwidoczniej przyciągnął podżegaczy ze stałego lądu, lecz było za późno, by się tym martwić. Przypomniał sobie pytanie młodego dowódcy o ich liczbę i to, jak pogardliwie je potraktował. Możliwe, że powinien zadbać 0 posiłki. Niełatwo przepowiedzieć, co przyniesie świt.

Zaczęło się dobrze. Straże wzięte prawie w okamgnieniu, kilka dziesiątek mężczyzn na drabinach i brama stojąca otworem, zanim ktokolwiek w środku zdążył pojąć, co się stało.

Potem ciemne budynki rzygnęły żołnierzami, w biegu naciągającymi na siebie zbroje. Słabo

oświetlone wąskie przejścia i schody łucznikom pomieszały szyki i rany zadane przez nich okazały się jedynie powierzchowne, chociaż stracił jednego człowieka, od strzały, która przebiła usta i wyszła czaszką.

Za plecami, w ciemnościach, przywarli do murów jego ludzie

1 dyszeli tak samo ciężko jak on. Tu i tam zapłonęło kilka pochodni, jednak po paru ślepo wypuszczonych strzałach wróg wycofał

się do bocznych budynków. Każdego, kto by się pojawił na ich drodze, jego ludzie

posiekaliby na kawałki, lecz z drugiej strony wrogowi mogło nie zależeć na wdawaniu się w walkę z legionistami, mógł w ogóle nie opuścić schronienia. To była chwilowa cisza i Gaditykus cieszył się, że zdoła złapać oddech. Nieważne, pomyślał, ile się ćwiczy na okręcie.

Żeby walczyć na lądzie i nie mieć zadyszki, trzeba być legionistą z lądu. Albo też, zakpił sam z siebie, nie być starym.

- Zapadli się pod ziemię - mruknął.

Odtąd miało być gorzej. Teraz mieli zabijać, chodząc od budynku do budynku, i za jednego czy dwóch wrogów tracić jednego ze swoich ludzi. Łatwo było tamtym czekać w środku i dźgnąć nożem pierwszego, który się pojawi.

Gaditykus już odwracał się do żołnierzy, by wydać rozkazy, kiedy spojrzał na dół i słowa zamarły mu na ustach. Po kamieniach, na których stali, płynął wartki strumień błyszczącej smoły i znikał między głównymi zabudowaniami. Nie było czasu na snucie planów.

- Biegiem! - wrzasnął. - Uciekajcie wyżej! Bogowie, biegiem! Kilku młodszych mężczyzn wyraźnie nic nie rozumiało, choć

doświadczeni nie czekali na wyjaśnienia. Gaditykus biegł na końcu, starając się nie myśleć o łucznikach i nie słyszeć trzasków i syczenia pierwszych płomieni ognia na lepkim płynie.

Powietrze przeszyły strzały i jedna ugrzęzła w krzyżu któregoś z legionistów. Żołnierz zachwiał się raz i drugi i upadł. Gaditykus przystanął, by mu pomóc, lecz na widok rwącego za ich plecami potoku ognia uznał, że za chwilę zginą obaj, wyciągnął sztylet i podciął

leżącemu gardło. To była lekka śmierć. Czując na plecach gorący powiew, poderwał się znad ciała i pobiegł na oślep za swoimi ludźmi.

Tymczasem rozpędzona grupa żołnierzy zakręciła za jakiś róg i wpadła prosto na trzech przykucniętych łuczników. Wszyscy trzej się przerazili i tylko jeden wypuścił strzałę nad ich głowami. Ludzie Gaditykusa zabili łuczników i przebiegli po nich, prawie nie zwalniając biegu.

Ogarnięta płomieniami warownia nagle zrobiła się widoczna. Gaditykus i inni zaryczeli z gniewu i z ulgi, że przeżyli.

Rozdział I

23

Ścieżka kończyła się na dziedzińcu i tym razem oczekujący łucznicy podnieśli łuki jak jeden, kładąc trupem pierwszych

czterech legionistów, a drugi szereg rzucając na ziemię, za osłonę martwych towarzyszy. Dziedziniec wypełnił się po brzegi rebe-liantami i ci, odpowiadając wyciem na ryk, ruszyli na Rzymian.

Juliusz zamarł na widok płomieni buchających w górę, wzdłuż rzędu przysadzistych

zabudowań, które miał po swojej lewej ręce. Dająca osłonę ciemność zamigotała złotem i cieniami i skrywający się we wnęce murów, kilka kroków dalej, trzej mężczyźni nagle zrobili się widoczni. Błyskawicznie stracili życie, a wtedy za nimi ukazało się otwarte przejście, prowadzące do wnętrza warowni. Należało podjąć szybką decyzję. Juliusz wpadł w nie i wbił

miecz w jelita mężczyzny czającego się wewnątrz, uprzedzając jego cios. Ci, co szli za nim, nie zawahali się. Nie znając warowni, straciliby bezowocne minuty na szukanie drogi do

reszty legionu. Najważniejsze było trwanie w marszu i zabijanie każdego, kto przetnie im drogę.

Ogień zgasł tak nagle, jak zapłonął, i wszędzie zrobiło się przerażająco ciemno. Schody prowadziły w dół do szeregu pustych pomieszczeń, a na końcu były następne, z samotną oliwną lampą na ścianie. Juliusz schwycił ją w biegu i zaklął, sparzony gorącym bryzgiem oliwy. Gdy znalazł się na ostatnim stopniu, o kamienie wokół niego uderzyło kilka strzał i w środek jego ludzi, których buty stukotały tuż za nim, posypały się ostre odłamki.

W długim, niskim pomieszczeniu znajdowało się trzech mężczyzn. Dwaj wybałuszyli z

przerażeniem oczy na brudnych, zakrwawionych żołnierzy. Trzeci był przywiązany do ławy.

Więzień, a sądząc po szacie - Rzymianin, pomyślał Juliusz. Ciało i twarz mężczyzny były posiniaczone i spuchnięte, lecz oczy ożyły nagłą nadzieją.

Juliusz dał susa przez pokój, odskakując przed następną strzałą, niezdarnie i w pośpiechu wycelowaną. 2 pogardą w

oczach dopadł obu mężczyzn i ciął jednego łucznika przez gardło.

Drugi usiłował go przeszyć sztyletem, lecz rzymski napierśnik łatwo wytrzymał cios i drugie cięcie zwaliło mężczyznę na ziemię.

Juliusz, nagle zmęczony, wsparł się na mieczu. Z trudem łapiąc

powietrze, zauważył, jak ciche było miejsce, w którym się znaleźli, i jak głęboko ukryte pod warownią.

- Świetna robota - odezwał się unieruchomiony mężczyzna.

Juliusz spojrzał na niego. Z bliska było widać, że człowieka poddano ciężkim torturom. Miał

spuchniętą i wykrzywioną twarz i połamane palce, sterczące na wszystkie strony. Ciałem mężczyzny wstrząsały dreszcze. Juliusz odgadywał, że biedak panuje nad sobą resztkami sił.

- Przeciąć sznury - rozkazał i kiedy więzy opadły, pomógł mu stanąć na nogi.

Mężczyzna zachwiał się, oparł o poręcz ławy i rozpaczliwie jęknął, a oczy uciekły mu na moment w głąb czaszki. Juliusz podtrzymał go mocniej.

- Kim jesteś? - spytał, zastanawiając się, co zrobią z tym człowiekiem.

-Jestem Paulus, prefekt miasta. Można by powiedzieć… że… że to moja warownia. -

Mężczyzna zamknął oczy, obezwładniony wyczerpaniem i ulgą.

Juliusz poczuł odrobinę respektu dla odwagi mężczyzny.

-Jeszcze twoja, panie - odrzekł. - Na górze jednak toczy się walka i musimy tam wrócić. Ty, panie, powinieneś przeczekać całą nawałnicę w bezpiecznym miejscu. Nie wyglądasz na kogoś, kto mógłby włączyć się do akcji.

Mężczyzna był śmiertelnie blady. Miał około pięćdziesiątki, grube ramiona i obwisły brzuch.

Kiedyś mógł być wojownikiem, osądził Juliusz, ale czas i wygodne życie pozbawiły go sił, przynajmniej fizycznych.

Prefekt wyprostował plecy, choć nie przyszło mu to łatwo.

- Pójdę z wami, dopóki dam radę. Nie nadaję się do walki, ale chcę opuścić tę zarobaczoną norę.

Juliusz zgodził się i kiwnął na dwóch żołnierzy.

- Weźcie go pod ramiona. Prowadźcie albo nieście, w miarę potrzeby. Musimy wracać.

Gaditykus czeka - powiedział i już był na schodach, myślami przy toczącej się na górze walce.

- Idziemy, panie. Oprzyj się na moim ramieniu - powiedział jeden z ostatniej pary, biorąc na siebie ciężar mężczyzny.

Prefekt zrobił krok i krzyknął z bólu, ale zaraz zacisnął zęby.

Rozdział I

25

- Wyprowadźcie mnie jak najprędzej - rozkazał szorstko. - Kim był dowódca, który mnie uwolnił?

- To był Cezar, panie - odpowiedział żołnierz, kiedy cała trójka rozpoczęła powolną wędrówkę.

U szczytu pierwszej kondygnacji schodów prefekt z bólu stracił przytomność i żołnierze ruszyli prędzej.

ROZDZIAŁ II

oulla uśmiechnął się i znów sięgnął po srebrny puchar. Wino wypełzło mu na policzki czerwonymi plamami, a jego oczy budziły lęk w siedzącej na sofie Kornelii.

Straże zabrały ją z domu upalnego popołudnia, kiedy najbardziej dotkliwie odczuwała ciężar swojej brzemienności. Starała się ukryć zakłopotanie i strach wobec dyktatora Rzymu, ale jej dłonie, obejmujące kielich chłodnego białego wina, lekko drżały. By go zadowolić, pociągała od czasu do czasu drobny łyk, nie pragnąc niczego, jak tylko opuścić

złocone komnaty i wrócić w bezpieczne zacisze własnego domu.

W ciszy, która zawisła między obojgiem, oczy Sulli wędrowały za każdym jej ruchem. Był

świadomy, że młoda kobieta wymyka się jego spojrzeniu.

- Czy czujesz się swobodnie? - zapytał z nutą obelgi. Kornelię przeszył dreszcz. Uspokój się, powiedziała sobie.

Dziecko nie powinno wyczuć strachu. Myśl o Juliuszu. Bądź silna dla niego.

Kiedy się odezwała, jej głos był prawie spokojny.

- Twoi ludzie pomyśleli o wszystkim. Byli dla mnie bardzo uprzejmi, choć żaden nie powiedział, czemu pragniesz mnie widzieć.

- Pragniesz? Doprawdy dziwnie dobrane słowo - odpowiedział łagodnie. - Większość

mężczyzn nigdy by go nie użyła w odniesieniu do kobiety. Jak widzę, do rozwiązania już tylko tygodnie?

Kornelia popatrzyła na niego bez wyrazu. Sulla opróżnił puchar,

Rozdział II

27

oblizał usta raz i drugi, następnie podniósł się, dolał sobie wina z amfory i odezwał się ponownie, głosem rozleniwionym i wyraźnie intymnym.

- Słyszałem, że kobieta jest najpiękniejsza wtedy, kiedy nosi w łonie dziecko, ale nie zawsze tak bywa, prawda?

Podszedł do niej, niedbale wymachując pucharem, przez którego krawędź przelewało się wino.

- Nie wiem… panie, to znaczy…

- Och, widziałem te drugie. Te cielne krowy, niezdarnie człapiące i porykujące, o plamistej, wiecznie spoconej skórze. Kobiety z gminu, niskiego rodu, oczywiście, podczas gdy

prawdziwa Rzy-mianka, och…

Przysunął się jeszcze bliżej i jedyne, co mogła zrobić, to się odchylić. Dziwne światło w jego oczach mówiło jej, że należy wołać o pomoc, lecz kto by pospieszył na jej wołanie? Kto by śmiał?

- Prawdziwa Rzymianka jest jak dojrzały owoc, jej skóra lśni, jej włosy mienią się i błyszczą.

Głos Sulli zrobił się chrapliwy, szorstki jak nieobrobiony marmur, a on sam przycisnął dłoń do wezbranego dzieckiem brzucha.

- Proszę… - szepnęła Kornelia, lecz mężczyzna, wędrując dłonią po wydatnej krągłości, zdawał się nic nie słyszeć.

- Och, tak, w tobie jest ta piękność, Kornelio.

- Proszę, jestem zmęczona. Chciałabym pójść do domu. Mój mąż… -Juliusz? Bardzo

niezdyscyplinowany młody człowiek. Czy

wiesz, że odmówił wyrzeczenia się ciebie? Teraz rozumiem dlaczego.

Palce sięgnęły kobiecych piersi. Obrzmiałe i bolesne, jak zwykle przed rozwiązaniem, były jedynie luźno podtrzymywane przez mamillare; Kornelia, czując na ciele dotyk ciężkich dłoni, bezradnie zamknęła powieki. Do oczu nabiegły łzy.

- Jaki rozkoszny ciężar - wyszeptał Sulła nie swoim, nabrzmiałym namiętnością głosem.

Niespodziewanie nachylił się i wepchnął gruby język między jej wargi. Przykry posmak nie strawionego wina sprawił, że Kornelia mimo woli czknęła. Odskoczył i zdzielił ją po ustach grzbietem dłoni.

- Proszę, nie rób szkody dziecku - powiedziała łamiącym się głosem.

Po policzkach brzemiennej kobiety potoczyły się łzy, a to zdawało się wzbudzać w Sulli obrzydzenie. Skrzywił się

zezłoszczony i odwrócił tyłem.

- Możesz odejść. Cieknie ci z nosa i zepsułaś właściwy moment. Poczekamy na inną okazję.

Znów dolał sobie wina, a Kornelia, niewiele widząc przez łzy, opuściła komnatę.

Juliusz wyryczał rozkaz i jego ludzie ruszyli do ataku na mały dziedziniec, gdzie Gaditykus walczył z ostatnimi rebeliantami. W ciemnościach boczne uderzenie legionistów wywołało panikę i szala zwycięstwa zaczęła się przechylać na stronę Rzymian, a ciała padały jedno za drugim, skoszone ich mieczami. W kilka sekund wróg liczył nie więcej niż dwudziestu żywych. Gaditykus krzyknął władczo:

- Rzućcie broń!

Po chwili wahania na kamienisty grunt poleciały z brzękiem miecze i sztylety, a wróg wreszcie znieruchomiał i choć piersi ciężko falowały, zlane potem, to w sercach zaczynało się rodzić radosne niedowierzanie, które przychodzi wtedy, kiedy człowiek uświadamia sobie, że przeżył, podczas gdy inni padli.

Legioniści, każdy z twarzą twardą jak głaz, ruszyli, by ich otoczyć.

Gaditykus odczekał, aż uprzątnięto miecze rebeliantów, którzy tymczasem zbili się w bezładną posępną grupkę.

- Zabić wszystkich - warknął i legioniści sięgnęli po miecze ostatni raz. Krzyki, jak nagle się podniosły, tak raptownie ustały i na niewielkim dziedzińcu zrobiło się cicho.

Juliusz oddychał głęboko, usiłując się pozbyć z płuc zapachu dymu, krwi i otwartych wnętrzności. Kaszlnął raz i drugi i splunął na kamienie, nim wytarł miecz o jakieś ciało.

Ogarnęły go lekkie mdłości, lecz je zlekceważył i skupił myśli na stępionym i

poszczerbionym, nadającym się jedynie do wymiany ostrzu i na pracy, która ich czekała przed powrotem na Accipitera. Widział już kiedyś spiętrzone wysoko stosy zabitych i tylko przez pamięć tamtego

ranka po śmierci ojca uwierzył, że raz jeszcze potrafi, razem z powietrzem, wciągać w płuca odór palonych ciał.

- Myślę, że załatwiliśmy ostatnich - powiedział Gaditykus. Był blady ze zmęczenia i zgięty wpół, opierał dłonie o uda. - Na wszelki wypadek rano przejrzymy każdy kąt, czy kilku nie kryje się w cieniach. - Wyprostował się i rozciągnął ramiona, aż zatrzeszczały stawy. - Twoi ludzie spóźnili się ze wsparciem, Cezarze. Przez jakiś czas byliśmy zdani sami na siebie.

Juliusz skinął głową. Sam chciał opowiedzieć centurionów

0 wszystkim po kolei, lecz teraz zacisnął usta. Swetoniusz wyszczerzył się do niego. Stał, przestępował z nogi na nogę i przykładał do rozciętego policzka kawałek szmatki.

Juliusz miał nadzieję, że zakładanie szwów boli.

- Ten młody człowiek, centurionie, nie przybył na czas z mojego powodu. On mnie uratował -

przemówił głos z cienia. Prefekt odzyskał przytomność, choć wciąż zwisał między ramionami

dwóch żołnierzy. Jego dłonie były purpurowe, niewyobrażalnie spuchnięte i prawie bezkształtne.

Gaditykus rozpoznał rzymski krój poszarpanej, sztywnej od krwi

1 brudu togi. Oczy mężczyzny były zmęczone, lecz głos brzmiał wyraźnie mimo

okaleczonych ust.

- Prefekt Paulus? - spytał centurion, a kiedy mężczyzna potaknął, oddał honory. -

Słyszeliśmy, że nie żyjesz, panie.

- Tak… przez jakiś czas i mnie się tak wydawało. - Mężczyzna uniósł głowę i wykrzywił usta w niewyraźnym uśmiechu. - Witajcie w warowni Mitylene, panowie.

- Nie wiem, co robić - załkała Klodia w tunikę Tubruka. Znajdowali się w pustych kuchniach i Tubruk, by uspokoić

kobietę, przyjaźnie objął ją ramieniem.

- On na nią nastaje cały czas, mimo jej stanu.

- Cicho, cicho, uspokój się. - Poklepał ją po plecach, usiłując zapanować nad strachem, który go ogarnął na sam widok zakurzonej, poznaczonej łzami twarzy. Służącej Kornelii dobrze nie znał, lecz ilekroć miał z nią do czynienia, sprawiała wrażenie statecznej, rozsądnej kobiety, która nie płacze z byle powodu. - O co chodzi, skarbie? Usiądź, proszę, i opowiedz wszystko od początku.

Rozdział II

29

ranka po śmierci ojca uwierzył, że raz jeszcze potrafi, razem z powietrzem, wciągać w płuca odór palonych ciał.

- Myślę, że załatwiliśmy ostatnich - powiedział Gaditykus. Był blady ze zmęczenia i zgięty wpół, opierał dłonie o uda. - Na wszelki wypadek rano przejrzymy każdy kąt, czy kilku nie kryje się w cieniach. - Wyprostował się i rozciągnął ramiona, aż zatrzeszczały stawy. - Twoi ludzie spóźnili się ze wsparciem, Cezarze. Przez jakiś czas byliśmy zdani sami na siebie.

Juliusz skinął głową. Sam chciał opowiedzieć centurionowi

0 wszystkim po kolei, lecz teraz zacisnął usta. Swetoniusz wyszczerzył się do niego. Stał, przestępował z nogi na nogę i przykładał do rozciętego policzka kawałek szmatki.

Juliusz miał nadzieję, że zakładanie szwów boli.

- Ten młody człowiek, centurionie, nie przybył na czas z mojego powodu. On mnie uratował -

przemówił głos z cienia. Prefekt odzyskał przytomność, choć wciąż zwisał między ramionami dwóch żołnierzy. Jego dłonie były purpurowe, niewyobrażalnie spuchnięte i prawie

bezkształtne.

Gaditykus rozpoznał rzymski krój poszarpanej, sztywnej od krwi

1 brudu togi. Oczy mężczyzny były zmęczone, lecz głos brzmiał wyraźnie mimo

okaleczonych ust.

- Prefekt Paulus? - spytał centurion, a kiedy mężczyzna potaknął, oddał honory. -

Słyszeliśmy, że nie żyjesz, panie.

- Tak… przez jakiś czas i mnie się tak wydawało. - Mężczyzna uniósł głowę i wykrzywił usta w niewyraźnym uśmiechu. - Witajcie w warowni Mitylene, panowie.

- Nie wiem, co robić - załkała Klodia w tunikę Tubruka. Znajdowali się w pustych kuchniach i Tubruk, by uspokoić

kobietę, przyjaźnie objął ją ramieniem.

- On na nią nastaje cały czas, mimo jej stanu.

- Cicho, cicho, uspokój się. - Poklepał ją po plecach, usiłując zapanować nad strachem, który go ogarnął na sam widok zakurzonej, poznaczonej łzami twarzy. Służącej Kornelii dobrze nie znał, lecz ilekroć miał z nią do czynienia, sprawiała wrażenie statecznej, rozsądnej kobiety, która nie płacze z byle powodu. - O co chodzi, skarbie? Usiądź, proszę, i opowiedz wszystko od początku.

Starał się mówić spokojnym głosem, chodź to było trudne. Bogowie, czy dziecko nie żyje?

Rozwiązanie mogło nastąpić w każdej chwili, a to zawsze niesie ryzyko. Przeszył go dreszcz.

Obiecał Juliuszowi, że będzie miał oko na jego żonę, lecz jak do tej pory wszystko układało się dobrze. Kornelia ostatnio trochę zamknęła się w sobie, lecz młode kobiety często czują strach, stając przed próbą urodzenia pierwszego dziecka.

Klodia dała się zaprowadzić do ławy pod najbliższym piecem. Usiadła, nie sprawdzając, czy nie ma na niej tłuszczu czy sadzy, co jeszcze bardziej zmartwiło Tubruka. Nalał pełen kubek soku ze świeżych jabłek, wsunął go w drżące dłonie i nakazał wypić do dna. Kobieta posłuchała i łkanie powoli zaczęło ustawać.

- No więc, jaki to kłopot? Może wspólnie się z nim uporamy, nie sądzisz?

- To Sulla - wyszeptała Klodia. - Zadręcza Kornelię. Dziewczyna nie chce mi powiedzieć wszystkiego, lecz ten człowiek każe swoim ludziom sprowadzać ją do siebie o każdej porze dnia i nocy, brzemienną przecież, a potem ona wraca we łzach.

Tubruk zbladł z gniewu. Prawie się rzucił na kobietę.

- Czy zrobił jej coś złego? Skrzywdził dziecko? Klodia aż się cofnęła. Usta zadrżały jej ponownie.

-Jeszcze nie, ale za każdym razem jest gorzej. Powiedziała, że zawsze jest pijany i… i kładzie na nią ręce.

Tubruk wiedział, że musi zachować spokój, więc tylko zacisnął pięści, jednak kiedy znów się odezwał, w jego oczach pojawiły się niebezpieczne błyski.

- Czy jej ojciec wie o tym?

Klodia ścisnęła kurczowo ramię mężczyzny.

- Cynna nie może wiedzieć! To by go załamało. Nie mógłby stanąć z Sullą w senacie, twarzą w twarz, i go nie oskarżyć, a publiczne oskarżenie to dla Cynny niechybny wyrok śmierci.

Nie, nie możemy mu nic powiedzieć!

Głos Klodii zrobił się piskliwy i Tubruk dla dodania otuchy poklepał ją po dłoni.

- Ode mnie nic się nie dowie, możesz być pewna.

- Nie mam nikogo poza tobą, kto mógłby mi pomóc ją chronić - powiedziała cicho, z niemym błaganiem w oczach.

Starał się mówić spokojnym głosem, chodź to było trudne. Bogowie, czy dziecko nie żyje?

Rozwiązanie mogło nastąpić w każdej chwili, a to zawsze niesie ryzyko. Przeszył go dreszcz.

Obiecał Juliuszowi, że będzie miał oko na jego żonę, lecz jak do tej pory wszystko układało się dobrze. Kornelia ostatnio trochę zamknęła się w sobie, lecz młode kobiety często czują strach, stając przed próbą urodzenia pierwszego dziecka.

Klodia dała się zaprowadzić do ławy pod najbliższym piecem. Usiadła, nie sprawdzając, czy nie ma na niej tłuszczu czy sadzy, co jeszcze bardziej zmartwiło Tubruka. Nalał pełen kubek soku ze świeżych jabłek, wsunął go w drżące dłonie i nakazał wypić do dna. Kobieta posłuchała i łkanie powoli zaczęło ustawać.

- No więc, jaki to kłopot? Może wspólnie się z nim uporamy, nie sądzisz?

- To Sulla - wyszeptała Klodia. - Zadręcza Kornelię. Dziewczyna nie chce mi powiedzieć wszystkiego, lecz ten człowiek każe swoim ludziom sprowadzać ją do siebie o każdej porze dnia i nocy, brzemienną przecież, a potem ona wraca we łzach.

Tubruk zbladł z gniewu. Prawie się rzucił na kobietę.

- Czy zrobił jej coś złego? Skrzywdził dziecko? Klodia aż się cofnęła. Usta zadrżały jej ponownie.

-Jeszcze nie, ale za każdym razem jest gorzej. Powiedziała, że zawsze jest pijany i… i kładzie na nią ręce.

Tubruk wiedział, że musi zachować spokój, więc tylko zacisnął pięści, jednak kiedy znów się odezwał, w jego oczach pojawiły się niebezpieczne błyski.

- Czy jej ojciec wie o tym?

Klodia ścisnęła kurczowo ramię mężczyzny.

- Cynna nie może wiedzieć! To by go załamało. Nie mógłby stanąć z Sullą w senacie, twarzą w twarz, i go nie oskarżyć, a

publiczne oskarżenie to dla Cynny niechybny wyrok śmierci.

Nie, nie możemy mu nic powiedzieć!

Głos Klodii zrobił się piskliwy i Tubruk dla dodania otuchy poklepał ją po dłoni.

- Ode mnie nic się nie dowie, możesz być pewna.

- Nie mam nikogo poza tobą, kto mógłby mi pomóc ją chronić — powiedziała cicho, z

niemym błaganiem w oczach.

Rozdział II

31

- Postąpiłaś słusznie, skarbie, zjawiając się tutaj. Ona nosi w łonie dziecko tego rodu. Muszę wiedzieć o wszystkim, co się wydarzyło, rozumiesz? W tej sprawie nie możemy się mylić.

Czy rozumiesz, jakie to ważne?

Klodia, ocierając dłonią oczy, pokiwała głową.

- Mam nadzieję, że rozumiesz. - Tubruk mówił dalej: - Jako dyktator Rzymu, Sulla jest prawie nietykalny. Oczywiście możemy wnieść sprawę do senatu, lecz żaden z senatorów nie odważy się postawić go w stan oskarżenia. Ten, kto by spróbował, pożegnałby się z życiem.

Oto prawdziwa rzeczywistość ich cennego „zrównania" obywateli. A co z jego zbrodnią? W

świetle prawa nic, ale jeżeli ją dotknął i choćby przestraszył, to bogowie, wbrew milczeniu senatu, i tak upominają się o karę.

Klodia znów pokiwała głową.

- Rozumiem, ale…

- Żadne ale. Rozumiesz i tyle! - przerwał jej ostro. - Musisz rozumieć, ponieważ wszystko, co zrobimy, zrobimy poza prawem, a jeżeli nastąpi jakiś atak na samego Sullę, 'wówczas ewentualne niepowodzenie będzie oznaczało śmierć dla Cynny, dla ciebie, mnie, matki Juliusza, dla sług,

niewolników, Kornelii i jej dziecka. Dla wszystkich. Juliusz zostanie wytropiony, choćby się ukrył pod ziemią.

- Zabijesz Sullę? - szepnęła, przysuwając się bliżej.

-Jeśli jest tak, jak mówisz, zabiję na pewno - obiecał i przez moment kobieta zobaczyła w nim tego, kim był kiedyś - budzącego grozę, posępnego gladiatora.

- To dobrze. To jest to, na co Sulla zasługuje. Jeśli rzeczywiście umrze, Kornelia zdoła zapomnieć o niedoli minionych miesięcy i spokojnie urodzi dziecko. - Klodia jeszcze raz otarła oczy i wyraźnie poweselała.

- Czy ona wie, że tu przyszłaś? Klodia potrząsnęła głową.

- Dobrze. Nie zdradź jej tego, co powiedziałem. Niech ze strachu nie urodzi przedwcześnie.

- A… potem?

Tubruk podrapał się w tył głowy.

- Nie. Nigdy. Pozwólmy jej wierzyć, że zrobił to któryś z jego

wrogów. Miał ich dosyć. Zatrzymaj sprawę w sekrecie, Klodio. Stoją za nim jego stronnicy i jeżeli prawda wyjdzie na jaw, będą domagać się krwi przez długie lata. Powiesz słowo, ktoś inny powtórzy je swojemu przyjacielowi, a nie zdąży nadejść kolejny świt, gdy u bram domu zjawią się straże i zabiorą Kornelię i dziecko na tortury.

- Będę milczeć - wyszeptała i przez długie sekundy wytrzymywała jego wzrok.

Tubruk w końcu westchnął i usiadł obok niej, na ławie.

- A teraz opowiadaj od początku, niczego nie pomijając. Brzemienne młode kobiety miewają bujną wyobraźnię, więc nim zaryzykuję wszystko, co kocham, muszę mieć pewność, że

działam w słusznej sprawie.

Rozmawiali przyciszonymi głosami przez godzinę. Pod koniec rozmowy, wbrew brzydocie omawianej sprawy, ręka, którą położyła na jego ramieniu, była nieśmiałym znakiem budzącej się wzajemnej sympatii.

- Zamierzam odbić od brzegu z pierwszą falą. Żadnego udziału w żadnych wojskowych

uroczystościach - oświadczył szorstko Gaditykus.

- Byłeś przekonany, że znajdziesz moje zwłoki - odrzekł prefekt. - Żyję i mimo zadanych tortur uważam za konieczne pokazać, że stoi za mną Rzym. To… to zniechęci do dalszych ataków na moją godność.

- Panie, jest pewne, że każdy wojownik jak wyspa długa i szeroka ściągnął do tej warowni. -

Tak samo całkiem niemało tych ze stałego lądu. Stratę syna czy ojca będzie opłakiwać połowa tutejszych rodzin. Pokazaliśmy im całkiem nieźle, co znaczy nieposłuszeństwo wobec Rzymu. Nie powstaną po raz drugi.

- Tak myślisz? - Twarz Paulusa wykrzywił drwiący uśmiech. - A więc powiem ci, że mało znasz tych ludzi. Oni walczą przeciw swoim zaborcom od czasów, kiedy Ateny były jeszcze pępkiem świata. Teraz przyszedł tu Rzym i walczą dalej. Ci, którzy umarli, zostawili synów, i synowie chwycą za broń, gdy dorosną, by ją udźwignąć. To kłopotliwa prowincja.

Żołnierska dyscyplina powstrzymała Gadityksa od dalszej

Rozdział II

dyskusji. Pragnął jedynie wrócić na Accipiterze na pełne morze, ale Paulus upierał się przy swoim, a co więcej, zażądał, by zostali z nim czterej legioniści, w charakterze stałej straży.

Gaditykus był bliski zawrócić na pięcie i pomaszerować na nabrzeże, na taką jawną

bezczelność, ale kilku starszych żołnierzy zgłosiło się na ochotnika, przedkładając łatwiejszą służbę nad polowanie na piratów.

- Nie zapominajcie, co się przydarzyło jego ostatnim strażom - ostrzegł ich, lecz to była pusta pogróżka, wiedzieli dobrze, stos pogrzebowy rebeliantów bowiem bił w górę czarnymi słupami dymu na tyle wysoko, że były widoczne na mile. Przy nowym zajęciu ochotnicy mogli się czuć bezpiecznie do końca służby.

Gaditykus zaklął pod nosem. Zanosiło się na to, że przez następny rok będzie cierpiał na niedostatek ludzi. Staruch, który razem z Cezarem pojawił się na Accipiterze, jak do tej pory radził sobie wcale nieźle z każdą chorobą, więc i teraz pewnie ocali kilku od wczesnego zwolnienia ze służby i od ubóstwa. Ale kilku innych tak czy inaczej trzeba będzie zostawić w najbliższym porcie, niech czekają, by jakiś kupiecki statek zabrał ich do Rzymu. Centuria straciła w Mitylene jedną trzecią ludzi. Nada się wyższe stopnie, lecz świeżo promowani nie zastąpią dwudziestu siedmiu zabitych, w tym czternastu wprawnych hastati*, którzy odsłużyli na Accipiterze więcej niż dziesięć lat.

Gaditykus westchnął ciężko. Stracił dobrych żołnierzy tylko po to, by poszło z dymem kilku młodych zapaleńców, usiłujących żyć opowiadanymi przez ojców i dziadów legendami.

Wyobrażał sobie tamte gorące słowa i przemowy, podczas gdy prawda była taka, że

Rzymianie przynieśli im cywilizację i wyobrażenie tego, co człowiek potrafi osiągnąć.

Wszystko, o co walczyli, sprowadzało się do walki o prawo do życia w lepiankach, a wszystko, co umieli, to drapać się w tyłki. Nie oczekiwał od nich wdzięczności, żył

dostatecznie długo i widział aż za wiele, ale domagał się szacunku, a cały bezład i chaos w warowni nie świadczyły o nim ani trochę. O świcie spalono osiemdziesiąt dziewięć ciał

wroga. Zabitych Rzymian przeniesiono na okręt. Pogrzebie się ich w morzu.

* Legioniści pierwszego szeregu bojowego.

Z takimi myślami wmaszerował do portu Mitylene w swojej najlepszej zbroi na czele

błyszczącej, choć uszczuplonej centurii. Czarne, ciężkie chmury groziły deszczem, a duchota gorącego powietrza doskonale pasowała do jego nastroju.

Juliusz, po obrażeniach doznanych ostatniej nocy, maszerował sztywno. Dziwił się, że zarobił

aż tyle drobnych cięć i zadrapań, nawet nie wiedząc kiedy. Lewa strona piersi rozkwitła purpurą, a na żebrach lśnił potężny żółty guz. Nie sądził, by żebro było złamane, choć tak czy inaczej, gdy wrócą na Accipitera, Kabera musi się nim zająć.

Nie zgadzał się z Gaditykusem w kwestii marszu. Centurion był szczęśliwy, że stłumił bunt, i reszta go nie obchodziła. Jego życiem było morze i Accipiter, politykę zostawiał innym, a przecież należało przypomnieć miastu, że rzymski prefekt to osoba nietykalna ponad

‘wszystko.

Obrzucił spojrzeniem Paulusa, jego grubo poowijane ręce i wciąż spuchniętą twarz. Juliusz podziwiał go za odmowę skorzystania z lektyki, za silne postanowienie, by pokazać, że tortury go nie złamały. Wystarczy, że chciał wrócić do miasta na czele armii. Ludzie jego pokroju byli rozsiani po wszystkich terytoriach Rzymu. Senat niewiele ich wspierał i niewiele się nimi interesował, i byli niby królowie, lecz w gruncie rzeczy zależeli od dobrej woli lokalnych społeczeństw, jeżeli sprawy miały się toczyć po ich myśli. Kiedy ta dobra wola zawodziła, mogło utrudniać im życie tysiące rzeczy, Juliusz wiedział o tym. Żadnych dostaw drzewa na opał czy pożywienia, chyba że pod groźbą miecza, poniszczone drogi i spalone posiadłości. Straże nie na wiele się przydawały, wywoływały jedynie ciągłą irytację, jak zaplątane w szatę i ocierające skórę ostre źdźbło trawy.

Z tego, co prefekt powiedział o życiu, można było sądzić, że lubi wyzwania. Juliusz ze zdziwieniem zauważył, że nad

uczuciem gniewu po bolesnym doświadczeniu fizycznym

przeważa smutek, że ludzie, którym zaufał, zwrócili się przeciw niemu. Czy on, Juliusz, będzie równie ufny w przyszłości?

Legioniści maszerowali przez miasto, ignorując spojrzenia i pośpiech matek zabierających bawiące się na ich drodze dzieci. Większość Rzymian była obolała po poprzedniej nocy i strudzeni

Rozdział II

mężczyźni ucieszyli się, dotarłszy w końcu do domu prefekta, położonego w środku miasta.

Uformowali czworobok przed budynkiem i Juliusz dostrzegł jeden z plusów placówki

Paulusa: urodę białych ścian i ozdobnych sadzawek. To był przeniesiony na grecką ziemię kawałek Rzymu.

Paulus zaśmiał się głośno, kiedy z bramy wybiegły jego dzieci, by powitać ojca. Przyklęknął, pozwalając się objąć i odsuwając na bok połamane dłonie. Jego żona pospieszyła za dziećmi.

Juliusz nawet z drugiego szeregu widział łzy w jej oczach. Szczęśliwy mężczyzna.

- Tesserariusie Cezarze, wystąp - rozkazał Gaditykus, wyrywając Juliusza z zamyślenia.

Juliusz ruszył szybko i oddał honory. Widział, że centurion przygląda mu się z

nieprzeniknioną twarzą.

Paulus zniknął we wnętrzu domu wraz z rodziną i legioniści czekali spokojnie, aż znów się pokaże, ogarnięci leniwą szczęśliwością nicnierobienia i ciepła popołudniowego słońca.

Juliusz zaczął się gorączkowo zastanawiać, dlaczego kazano mu stać przed szeregiem i jak będzie się czuł Swetoniusz, jeżeli, na przykład, jego dawny sąsiad zostanie promowany.

Prefekt nie miał prawa nakazać Gaditykusowi, by dał mu nowy stopień, ale jego

rekomendacji niepodobna było zlekceważyć.

W końcu Paulus wyszedł przed bramy i wyszła także jego żona. Nabrał w płuca powietrza, by pozdrowić wszystkich legionistów naraz, i jego głos rozbrzmiał ciepłem i mocą.

- Przywróciliście mi moją pozycję i przywróciliście mnie mojej rodzinie. Rzym dziękuje wam za waszą służbę. Centurion Gaditykus zgodził się, byście dostali tutaj posiłek. Moi słudzy przygotowują dla wszystkich najlepsze, co mam. z jedzenia i picia. -Wzrok Paulusa spoczął

na Juliuszu. - Tej nocy byłem świadkiem wielkiego męstwa, zwłaszcza jednego spośród was.

Tego, który ryzykował własne życie, by mnie ocalić. Aby upamiętnić jego odwagę, przyznaję mu honorowy wieniec. Rzym ma dzielnych synów i ja to tu i dzisiaj potwierdzam.

Żona prefekta wysunęła się przed niego i uniosła w górę wieniec spleciony z zielonych liści dębu. Juliusz zamarł, a kiedy Gaditykus skinął na niego, zdjął z głowy hełm, by przyjąć wy-36

różnienie, i aż poczerwieniał. Mężczyźni radośnie zakrzyczeli, choć czy to na cześć jednego spośród siebie, czy spodziewanego przy posiłku wina, nie był pewien.

- Dzięki ci, ja… - zająknął się.

Żona Paulusa położyła dłoń na jego dłoni i Juliusz zobaczył z bliska jej twarz i ciemne podkówki zmartwienia pod oczami.

- Rzymski żołnierz, który ocala w walce cudze życie, ma prawo do dębowego wieńca.

Ocaliłeś życie mojego męża.

Gaditykus szczeknął rozkazem do zdjęcia hełmów i udania się za gospodarzem domu tam, gdzie słudzy przygotowali posiłek. Juliuszowi kazał zostać w miejscu i kiedy zrobiło się ciszej,

spytał, czy może obejrzeć wieniec. Juliusz, usiłując nie krzyczeć z radości i podniecenia, podał mu go szybko.

Gaditykus obracał w dłoniach opaskę z ciemnych liści.

- Zasłużyłeś na to? - spytał cicho.

Juliusz się zawahał. Wiedział, że zaryzykował życie i że to od jego miecza zginęli tamci dwaj w podziemiach warowni, ale to była nagroda, jakiej się nie spodziewał.

- Nie bardziej niż wielu z twoich ludzi, panie.

Gaditykus przyjrzał mu się z bliska, po czym skinął głową zadowolony.

- Słusznie mówisz, choć ja bym dodał, że się ucieszyłem, kiedy ostatniej nocy wreszcie natarłeś z boku na tamtych niegodziwców.

Zaśmiał się szeroko, widząc, jak na twarzy Juliusza rumieniec radości zamienia się gwałtownie w czerwień zakłopotania.

- Będziesz to nosić pod hełmem czy na jego czubku? Juliusz poczuł, że traci głowę na dobre.

-Ja… jeszcze nie wiem. Myślę, że zostawię to na okręcie, jak będzie jakaś akcja.

-Jesteś pewien? A może na widok mężczyzny w liściach na głowie piraci się przestraszą i uciekną, co?

Juliusz poczerwieniał jeszcze bardziej, a Gaditykus zaśmiał się jeszcze raz i poklepał go po ramieniu.

-Ja się tylko z tobą drażnię, chłopcze. Taki wieniec to wyjątkowy honor. Oczywiście muszę ci dać wyższy stopień. Nie wypada mieć w centurii pośledniego dowódcy warty w honorowym wieńcu na głowie. Będziesz dowodził dwudziestką.

Rozdział II

- Dzięki, panie - odpowiedział Juliusz, niemal uskrzydlony. Gaditykus potarł palcami liście dębu. Nad czymś się zastanawiał.

- Wiesz, co ci powiem? W mieście powinieneś to kiedyś założyć. Niechby tylko raz.

Będzie się tego po tobie oczekiwało.

- Dlaczego, panie?

-Ja bym tak zrobił. Prawa Rzymu, chłopcze, prawa Rzymu. Jeżeli pojawisz się na publicznej uroczystości, każdy musi wstać z miejsca. Każdy, nawet senat. - Centurion zachichotał

radośnie. -To dopiero będzie widok. A teraz oprzytomniej i ruszaj do środka. Sprawdzę, czy trzymają dla ciebie wino. Trochę tego trunku dobrze ci zrobi.

ROZDZIAŁ III

W szarzejącym świetle dnia Brutus spuszczał się pospiesznie po ścianie budynku, łamiąc jedną po drugiej pnące róże. Już był na dole, kiedy stopa zaplątała mu się w kolczaste gałęzie i miecz wypadł z dłoni, a on sam runął płasko na ziemię. Z góry dolatywał ryk za rykiem i ojciec Liwii już zdążył dopaść okna i już piorunował intruza wzrokiem. Brutus poderwał się, wrzasnął, wyplątując z kolców skórzane bracae, i spojrzał w górę.

Ojciec Liwii, mężczyzna potężnej postury, wymachiwał ciężkim toporem jak kuchennym tasakiem i najwyraźniej rozważał, jak najlepiej nim cisnąć, by trafić w Brutusa.

- Dopadnę cię, młokosie! - zaryczał na uciekiniera, z wściekłości dosłownie pieniąc się i opluwając brodę.

Brutus odskoczył na bok. Nie odrywając oczu od purpurowej twarzy Greka i przytrzymując jedną ręką spodnią część ubrania, drugą chwycił za rękojeść miecza, żałując, że zajęty do ostatniej chwili intensywną zaprawą z Liwią zupełnie zapomniał o sandałach. Jeżeli ojciec próbował obronić niewinność córki, spóźnił się jakieś trzy lata, pomyślał. Przyszło mu nawet do głowy, by złośliwie podzielić się tą wiedzą z wrzeszczącym mężczyzną, lecz Liwia grała uczciwie z młodym Rzymianinem, choć z drugiej strony najpierw powinna sprawdzić dom, a dopiero potem wciągać go do swojego pokoju. Zrzucenie z nóg sandałów przed opadnięciem w łoże nagiej kobiety uznał za zwykłą grzeczność, choć bez

obuwia ucieczka po obcych uliczkach sennego miasteczka mogła stanowić niejaki problem.

Rozdział III

39

Reniusz niewątpliwie wciąż chrapał w izbie, za którą zapłacił Brutus. Po pięciu dniach spania pod gołym niebem obaj mężczyźni z ulgą przywitali przerwę w podróży z szansą na gorącą kąpiel i pozbycie się szczeciniastego zarostu, choć zanosiło się na to, że tylko Reniusz będzie korzystał z tych wygód, a Brutus spędzi noc na okolicznych wzgórzach.

Przestępując niewygodnie z nogi na nogę, Brutus rozważał, jaki ma wybór. Posłał ciche przekleństwo Reniuszowi za egoistyczne przesypianie sytuacji kryzysowej, ale głównie za to, że dał się staremu przekonać co do konia. Reniusz się upierał, że zanim dotrą na wybrzeże i znajdą miejsce na statku do Rzymu, zwierzę przeje ich oszczędności, i powiedział, że legionista bez trudu potrafi przejść taką odległość na własnych nogach, lecz Reniusz nie przewidział ucieczki.

Zapieniona z gniewu twarz zniknęła z okna i podczas gdy Brutus się wahał, pokazała się w nim Liwia, z twarzą wciąż zaróżowioną niedawnymi wyczynami obojga. Dobry zdrowy

rumieniec, zauważył mimochodem Brutus, bardziej ceniąc sobie sposób, w jaki dziewczyna rozłożyła na parapecie piersi.

- Uciekaj! - szepnęła ponaglająco. - On cię goni!

- No to rzuć mi sandały. Nie mogę uciekać boso - syknął w odpowiedzi.

Po chwili obuwie spadło za okno i Brutus drżącymi palcami związał rzemienie, już słysząc zza zamkniętych drzwi dudnienie ciężkich kroków.

Na jego widok mężczyzna krzyknął triumfalnie. Brutus, nie patrząc za siebie i ślizgając się żelaznymi podkówkami po wybrukowanym dziedzińcu, wyrwał do przodu. Ojciec Liwii

krzyknął w miasto, by ktoś go zatrzymał, co spowodowało poruszenie pośród mieszkańców, krzątających się niemrawo.

Brutus jęknął w biegu. Już padały głośne odzewy i nie mógł nie słyszeć wielu innych, którzy dołączyli do pogoni.

Gorączkowo przepatrywał w myślach ulice, które ledwie parę godzin temu przemierzyli obaj z Reniuszem w poszukiwaniu cichej przystani z tanimi pokojami i gorącą kolacją. Wówczas ojciec Liwii sprawiał wrażenie osoby miłej i przyjaznej.

Brutus wpadł prosto na ślepy mur, kiedy w dzikim pędzie skrę-

cił za jakiś róg, uskakując w ostatniej chwili od ustawionego w poprzek uliczki wozu i rozłożonych szeroko ramion jego właściciela. Którędy uciekać? Miasteczko nagle zamieniło się w labirynt. Wybierał ulice raz na lewo, raz na prawo, nie ważąc się obejrzeć za siebie i dysząc coraz ciężej. Jak dotąd Liwia była warta każdego kłopotu, lecz gdyby go mieli zabić, nie ją by wybrał na ostatnią kobietę swojego życia. Miał nadzieję, że Grek wyładuje wściekłość na Reniuszu, i życzył szczęścia jednemu i drugiemu.

Uliczka, którą biegł, zaraz za rogiem kończyła się ślepo. Płosząc spod nóg kota, przylgnął do najbliższej kamiennej ściany i był gotów wysunąć ostrożnie głowę i zaryzykować spojrzenie do tyłu. Nie było dokąd uciekać, choć możliwe, że na chwilę ich zgubił. Na wszelki wypadek nadstawił uszu, ale nie usłyszał nic bardziej groźnego niż cichnące w oddali kocie rozżalone miauczenie.

Wyjrzał za mur i natychmiast się cofnął. Uliczka wydawała się pełna mężczyzn, a wszyscy podążali za nim. Brutus kucnął i spojrzał drugi raz, licząc na to, że go nie zobaczą.

Ktoś krzyknął radośnie. Brutus jęknął i znów się cofnął. Za czasów Pięści z Brązu podłapał

trochę greckiego, ale nie dość, by wybronić się z tej sytuacji.

Dalsze kroki nasuwały się same. Wstał i mocniej zacisnął dłoń na rękojeści miecza. To była doskonała broń. Zdobył nią

zwycięstwo w zawodach w legionie i musi pokazać tym

pastuchom, że zasłużenie. Podciągnął spodnie raz jeszcze, wziął głęboki oddech i wyszedł zza rogu, aby stawić im czoło.

Było ich pięciu, każdy z dziecięcym entuzjazmem na twarzy. Brutus dobył miecza i odrzucił

pochwę szerokim gestem, na wypadek, gdyby były jakieś wątpliwości co do jego zamiarów.

Z powagą podniósł ostrze na wysokość męskiej piersi, a oni w jednej chwili się zatrzymali.

Brutus myślał gorączkowo. Ojciec Liwii musi się pojawić, a jest pewna szansa uwolnić się od młodszych mężczyzn, zanim przybędzie i doda im odwagi. Mogą być otwarci na perswazję i tak samo na przekupstwo.

Najsilniej zbudowany wystąpił do przodu, mając jednak na uwadze zasięg obnażonego

miecza.

- Jestem mężem Liwii - powiedział czystą łaciną.

Brutus mrugnął porozumiewawczo.

/

Rozdział III

- A na pewno jedynym?

Mężczyzna poczerwieniał z gniewu i wyciągnął zza pasa sztylet. Inni poszli za jego przykładem, sięgnęli po pałki i noże i zamachali nimi, a jeden kiwnął zachęcająco na Brutusa.

Młodzieniec, uprzedzając ich atak i panując nad głosem, by nie okazać poruszenia groźbą, powiedział szybko:

- Mógłbym zabić każdego z waszej piątki, ale jedyne, czego pragnę, to odejść w spokoju i udać się w dalszą drogę. To piękne ostrze zapewniło mi zwycięstwo w zawodach w legionie i ani jeden z was nie odejdzie stąd żywy, jeżeli podejmiecie niewłaściwą decyzję.

Czterech z nich przysłuchiwało się beznamiętnie, aż mąż Liwii przetłumaczy przemowę.

Brutus czekał cierpliwie, z nadzieją na przychylną odpowiedź. Zamiast niej usłyszał

wzgardliwe chichoty; piątka zwarła szeregi i ruszyła krok do przodu.

Brutus dał krok do tyłu.

- Liwia to młoda, zdrowa dziewczyna z normalnym apetytem na życie - powiedział. - To ona mnie skusiła, a nie odwrotnie. Sprawa niewarta niczyjej śmierci.

Czekał razem z innymi, aż mąż zacznie tłumaczyć, ale mąż milczał. Następnie powiedział po grecku coś, z czego Brutus niewiele zrozumiał. Po części chodziło o to, by pozostawić go przy życiu, z czym się zgadzał, ale ostatnie słowa określały go złowieszczo jako

„wędrownego uwodziciela".

Mąż Liwii uśmiechnął się do Brutusa złośliwie.

- Schwytanie przestępcy oznacza dla nas święto. Będziesz tam… główną osobą. W pewnym sensie.

Nim Brutus zdążył sklecić jakąś odpowiedź, ruszyli na niego z gradem ciosów i choć ukłuł

jednego swoim gladiusem, któraś ze świszczących pałek wylądowała na jego czaszce i stracił

przytomność.

Obudziło go ciche poskrzypywanie i uczucie zawrotu głowy. Kiedy oprzytomniał, by zmamić ewentualnych obserwatorów, nie od razu otworzył oczy i przez zamknięte powieki usiłował

wyczuć, gdzie się znajduje. Ciało owiewał mu wiatr, powziął więc podejrzenie, że

pozbawiono go ubrania. Nie było na to rozsądnego

wytłumaczenia i choć mogło to być nieostrożne, rozejrzał się wokół.

Wisiał głową na dół, na drewnianym rusztowaniu ustawionym na miejskim placyku.

Ukradkowe spojrzenia w jego stronę potwierdzały, że jest nagi. Bolało go wszystko. Odżyło w pamięci wspomnienie z dzieciństwa, kiedy starsi chłopcy, znęcając się nad nim, powiesili go w lesie na drzewie. Zadrżał. Było ciemno. Dobiegały go odgłosy ucztowania. Pomyślał z przerażeniem, że uczestniczy w jakimś pogańskim rytuale, i napiął mięśnie, by zerwać krępujące go sznury. Krew uderzyła mu do głowy z wysiłku, lecz więzy się nie poddały.

Napięcie ciała spowodowało powolne obroty wokół własnej osi. Mógł teraz oglądać cały plac, fragment po fragmencie. Każdy dom tętnił życiem, w ogóle nie przypominając jakiegoś zapyziałego miejsca, jakim wydawało mu się miasteczko w chwili przybycia. Bez wątpienia wszyscy gotują świńskie głowy i chuchają zwietrzałym domowym winem, pomyślał

posępnie.

Na chwilę popadł w rozpacz. Jego zbroja została w zajeździe z Reniuszem, a miecz zniknął.

Na nogach nie miał sandałów, a jego oszczędności na pewno pójdą na świętowanie, które stanie się jego końcem. Nawet gdyby zdołał uciec, był nagi, bez miedziaka przy duszy, na obcym lądzie. Przeklął Reniusza z pewnym entuzjazmem.

- Po krzepiącym śnie dobrze się przeciągnąłem i wyjrzałem przez okno - szepnął mu w ucho Reniusz.

Brutus musiał odczekać, aż okręci się do niego twarzą. Stary gladiator był świeżo umyty i ogolony, i wyraźnie rad z siebie.

- Popatrz no, popatrz, mówię do siebie, czyżby ten golas powieszony za nogi był tym samym, cieszącym się rozgłosem młodym żołnierzem, z którym tu przybyłem?

- Posłuchaj, jestem pewien, że po powrocie do Rzymu będziesz miał co opowiadać swoim bezzębnym przyjaciołom, niemniej byłbym wdzięczny, gdybyś po prostu mnie odciął, nim ktoś ci tego zabroni.

Poskrzypujące sznury odwróciły wiszące ciało ponownie. Reniusz przeciął je bez ostrzeżenia i spuścił Brutusa na ziemię. Wokół rozległy się krzyki. Nagi legionista chciał się poderwać, ale na próżno.

Rozdział III

43

- Moje nogi nie chcą mnie udźwignąć! - jęknął, rozcierając je rozpaczliwie.

Reniusz prychnął niezadowolony. Rozejrzał się dookoła.

- Tych tam jest za dużo. Jak się ma jedną rękę, nie można nią robić dwóch rzeczy naraz. To co, mam cię nieść czy odpierać atakujących? Trzyj dalej. Może jakoś wyprowadzimy ich w pole.

-Jakbyś miał konia, przywiązałbyś mnie do siodła - zauważył zgryźliwie Brutus.

Reniusz wzruszył ramionami.

- Nie pora na wymówki. Oto worek, a w nim zbroja i cała reszta. Zwrócili ci ubranie do zajazdu, więc je szybko zgarnąłem. Chwytaj za miecz i oprzyj się o belkę. Nadchodzą.
-

Podał mu broń i mimo nagości Brutus poczuł się pewniej, ścisnąwszy dobrze znaną rękojeść.

Tłum zebrał się szybko, na czele z ojcem Liwii, który dźwigał swój topór w obu rękach. Grek naprężył ogromne ramiona i szarpnął nim w kierunku Reniusza.

- Przybyłeś tu z tym, który zaatakował moją córkę. Masz ostatnią okazję, by zebrać swoje X7.eciy i ruszyć dalej. On zostaje tutaj.

Reniusz stał niebezpiecznie cicho. Nagle zrobił szybki krok do przodu, przebił potężną męską pierś na wylot, wyciągnął miecz z powrotem i uchylił się przed padającym na bruk ciałem.

Wszystko to nie trwało sekundy.

- Kto jeszcze uważa, że legionista zostaje tutaj? - Reniusz rozejrzał się po tłumie. Kiedy ludzi zmroził strach i nie padła żadna odpowiedź, skinął ku nim z powagą i przemówił powoli i wyraźnie. - Nikt tu nikogo nie zaatakował. Sądząc z hałasów, jakie słyszałem, dziewczyna pałała takim samym entuzjazmem jak mój przyjaciel idiota. - Zignorował sapnięcie gniewu za swoimi plecami i dalej omiatał tłum spojrzeniem.

Ledwo go słyszeli. Gladiator zabił ich ziomka bez chwili zwłoki i to najwyraźniej dawało do myślenia.

- Jesteś gotów? - mruknął Reniusz.

Brutus dotknął ostrożnie nóg, skrzywił się z bólu, ale zaczął naciągać ubranie i poszczekującą zbroję.

- Będę, jak tylko się ubiorę.

Wiedział, że chwila zaskoczenia nie będzie trwać wiecznie,

a przecież podskoczył, kiedy nagle pojawiła się Liwia i przepchnąwszy się przez tłum, zawołała piskliwym głosem:

-1 co tak stoicie? Zamurowało was? Popatrzcie na mojego ojca! Kto zabije jego morderców?

Brutus poderwał się, z mieczem gotowym do ciosu. Słodkie uśmiechy ze słodkiego

popołudnia zamieniły się w gorącą nienawiść, kiedy miotała obelgi pod adresem własnych ludzi. Nikt nie spojrzał jej w oczy. Rozciągnięte na bruku ciało stępiło w nich żądzę zemsty.

Mąż Liwii, stojący na obrzeżach tłumu, odwrócił się do niej plecami i zniknął w

ciemnościach. Liwia, rozpoznając go, rzuciła się z pięściami na Reniusza. Jedyna dłoń starego gladiatora ściskała miecz, i Brutus, widząc, jak zaczynają grać mu mięśnie, chwycił kobietę za ramię i odciągnął ją na bok.

- Wracaj do domu - warknął.

Liwii ani było to w głowie. Rzuciła się z pazurami do jego oczu i Brutus, niewiele myśląc, odepchnął ją szorstko. Kobieta upadła na ziemię, obok ojca, i z głośnym szlochem przywarła do zwłok.

Reniusz i Brutus popatrzyli po sobie i po rzedniejącym tłumie.

- Zostaw ją - rzucił Reniusz.

Obaj mężczyźni przeszli przez plac ramię w ramię i w milczeniu ruszyli wymarłymi ulicami.

Wydawało im się, że minęły godziny, nim stanęli u rogatek miasta.

- Musimy iść dalej. O świcie obudzi się w nich rodowa solidarność, zaprzysięgną nam zemstę i ruszą w pogoń. - Reniusz schował miecz.

- Czy… czy ty naprawdę słyszałeś? - spytał Brutus, uciekając w bok spojrzeniem.

- Tak, ale skrzyp sznura i twoje pochrząkiwania mnie obudziły. Co nie znaczy, że to, co masz na myśli, nie przywiedzie nas do marnego końca, niech tylko wyślą za nami dobrych tropicieli. Robić takie rzeczy w domu jej ojca!

- Nie zapominaj, że to ty go zabiłeś - warknął Brutus.

- A ty byś wciąż wisiał, gdyby nie ja. Ruszamy. Nim wstaną zorze, musimy przejść tyle, ile się da. I pamiętaj, następna ślicznotka ma spojrzeć na ciebie dwa razy, nim cię skusi. Więcej z tego kłopotu niż korzyści.

Brutus zgodnie zmilczał i ruszyli w dół wzgórza.

ROZDZIAŁ IV

JNie nosisz wieńca? Słyszałem, że śpisz w nim - zadrwił Swetoniusz, kiedy Juliusz obejmował służbę.

Juliusz minął go obojętnie, wiedząc, że odpowiedź doprowadzi do dalszej wymiany zdań, a w konsekwencji, z czasem, do otwartej wrogości. Teraz akurat, licząc się z tym, że ktoś w pobliżu może go słuchać, Swetoniusz przynajmniej starał się udawać uprzejmość, lecz kiedy stanęli na warcie sami, z każdą minutą zmierzchu serce młodego mężczyzny

wzbierało coraz większą goryczą. Pierwszego dnia na morzu po opuszczeniu wyspy któryś z legionistów wspiął się po linach i przywiązał wieniec z liści do samego czubka masztu, tak jakby na taki honor zasłużyła sobie cała załoga Accipitera. Więcej niż kilku kręciło się tu i tam, czekając, by Juliusz to zauważył, a następnie rozległy się radosne wiwaty. Swetoniusz uśmiechał się wraz z innymi, lecz od tamtej chwili niechęć w jego oczach tylko się pogłębiła.

Juliusz, balansując niedbale w rytm kołysania okrętu, nie spuszczał wzroku z dalekiego wybrzeża Afryki. Wbrew uszczypliwej uwadze Swetoniusza nie nosił wieńca, od kiedy

opuścili port Mitylene, poza tym że raz czy dwa przymierzył go sobie skrycie. Do tego czasu liście dębu pozwijały się i pociemniały, lecz to nie miało znaczenia. Nadano mu prawo noszenia wieńca i musi mieć nowy, kiedy znów zobaczy Rzym.

Łatwo było ignorować Swetoniusza, śniąc na jawie o pojawieniu się w cyrku w dniu

wyścigów i o tysiącach podnoszących się z miejsc Rzymian, najpierw tych z pierwszych rzędów, następnie

z dalszych, coraz szerszymi kręgami, aż cały tłum stał na nogach. Uśmiechnął się do siebie, a Swetoniusz prychnął pogardliwie.

Świt był cichy i spokojny, lecz wiosła podnosiły się i opadały rytmicznie, kiedy Accipiter, niesiony przez fale, szedł wyznaczonym kursem. Juliusz już wiedział, że ich okręt nie jest zwrotny i szybki. Świadczyła o tym choćby łatwość, z jaką pewnego razu, w parę miesięcy po wypłynięciu z Mitylene, wtopiły się w horyzont dwie jednostki pirackie. Płytki kadłub słabo opierał się wodzie i nawet przy dwóch sterach Accipiter zbyt wolno robił zwroty. Jego jedyną siłą było dobre przyspieszenie, kiedy włączały się wiosła, lecz nawet przy dwustu

niewolnikach osiągali prędkość nie większą niż szybki krok na lądzie. Gaditykus nie wydawał

się zmartwiony niemożnością bliskiego podejścia do wroga. W jego przekonaniu wystarczyło odpędzać piratów od przybrzeżnych miast i od głównych szlaków kupieckich, ale nie tego Juliusz się spodziewał, wchodząc po raz pierwszy na pokład. Miał wizję szybkich i

bezlitosnych łowów i irytowało go, że sprawność rzymskich legionów na lądzie nie rozciąga się na morza.

Juliusz popatrzył przez burtę na dwójki wioślarzy prostujących i pochylających plecy w zgodnym rytmie, torujących statkowi drogę przez spokojne wody. Zastanawiał się, jak to możliwe, że niewolnicy pracują przy tych masywnych piórach tak miarowo, godzina po

godzinie bez zmęczenia, niechby nawet po trzech przy każdym. Był kilka razy na ich pokładzie, ze zwykłego obowiązku, lecz pokład był zatłoczony i cuchnący. Ścieki okrętowe śmierdziały odpadkami, które zmywano z pokładu dwa razy dziennie, i wszechobecny, nigdy nie wietrzejący odór przyprawiał go o mdłości. Mówiono, że niewolników karmi się lepiej niż legionistów, lecz obserwując nieustanną wędrówkę wioseł w górę i w dół, Juliusz wiedział, dlaczego jest to konieczne.

Na górnym pokładzie silny zachodni wiatr, z którym Accipiter właśnie się zmagał, łagodził

żar afrykańskiego wybrzeża. Stojący na warcie Juliusz pomyślał w pewnej chwili, że okręt, jeśli nawet nie jest szybki, to doskonale nadaje się do walki. Szeroki, otwarty pokład, przez dziesięciolecia wybielany prażącym słońcem, był wolny od jakichkolwiek przeszkód. Tylko na dalekim końcu wznosiła się niewielka nadbudówka, z kajutami Gaditykusa i Prak-

sa. Reszta centurii spała w ciasnych kwaterach poniżej, a żołnierski sprzęt był złożony w zbrojowni i w razie potrzeby można było szybko za niego chwycić. Dzięki regularnym

ćwiczeniom legioniści, rozbudzeni w środku nocy, potrafili stanąć w pogotowiu do walki, nim przesypał się piasek w klepsydrze. To dobra, zdyscyplinowana załoga, rozmarzył się Juliusz.

Niech tylko dopadną innego statku, a będą nieubłagani.

- Dowódca na pokładzie! - szczeknął mu nad uchem Swetoniusz i Juliusz wyprężył plecy.

Gaditykus wybrał sobie na zastępcę o wiele starszego człowieka niż optio* Juliusza i Juliusz przypuszczał, że za rok, dwa Praks skończy służbę. Mężczyzna ten każdego ranka musiał

ściskać brzuch pasem, ale był dość przyzwoitym dowódcą i zauważył napięcie między

Swetoniuszem i Juliuszem już w pierwszych kilku tygodniach służby Cezara. To właśnie jemu dawni znajomi zawdzięczali wspólną wartę.

Praks skinął głową przyjaźnie jednemu i drugiemu, przechodząc długim pokładem w ramach porannej inspekcji. Sprawdził każdą linę, która biegła do łopoczącej nad nimi płachty żagla, i przyklęknął przy każdej katapulcie, by się upewnić, czy jest solidnie przywiązana i unieruchomiona. Dopiero po starannym dopełnieniu obowiązków zbliżył się do młodych podwładnych i niezobowiązująco odpowiedział na ich pozdrowienie. Przebiegł wzrokiem horyzont i uśmiechnął się sam do siebie, pocierając z zadowoleniem świeżo ogolone policzki.

- Cztery… nie, pięć żagli - powiedział pogodnie. - Kupcy nie próżnują. Choć wiatr zbyt słaby jak dla tych, którzy liczą tylko na niego.

W czasie długich miesięcy spędzonych na jednym pokładzie Juliusz doszedł do wniosku, że pogodne usposobienie Praksa maskuje umysł, który wie wszystko, co się dzieje na

Accipiterze, pod pokładami i na pokładach, i by dostać cenną radę, wystarczyło przeczekać okazjonalne wstępy. Swetoniusz uważał go za głupca, ale podszedł, by słuchać z gorliwym

zainteresowaniem, które okazywał wszystkim starszym dowódcom.

* Młodszy oficer, pomocnik.

Praks ciągnął, sam sobie potakując głową:

- Potrzebujemy wioseł, by dopłynąć do Tapsus, ale dalej pójdzie łatwo. Po pozbyciu się skrzyń z żołdem do Sycylii dopłyniemy w parę tygodni, chyba że się trafi pościg za piratami.

Piękne miejsce ta Sycylia.

Juliusz przytaknął, swobodny w rozmowie z Praksem w sposób, jaki nie uchodziłby wobec centuriona, mimo chwili poufałości w Mitylene. Praksa nie było przy zdobywaniu warowni, ale chyba nie czuł się pokrzywdzony. Juliusz przypuszczał, że w oczekiwaniu na zwolnienie ze służby i skierowanie do legionu pod Rzymem, gdzie dostanie zaległe pobory, wystarczają mu do szczęścia lekkie obowiązki na Accipiterze. To była jedyna korzyść z polowania na piratów na okręcie Gaditykusa. Siedemdziesiąt pięć denarów, płaconych legionistom każdego

miesiąca, mnożyło się wielokrotnie, a nie było szczególnych okazji, by je wydawać. Nawet odjąwszy koszty wyposażenia i dziesiątą część na fundusz wdowi i pogrzebowy, mężczyźni na ogół odchodzili ze służby z całkiem przyzwoitą sumką. Oczywiście, jeśli nie przepuścili wszystkiego przy grze w kości.

- Panie, dlaczego pływamy na okręcie, który nie może dogonić wroga? Gdyby się podeszło do nich blisko, oczyścilibyśmy Marę Internum z piratów w mniej niż pół roku.

Praks się uśmiechnął, jakby tylko czekał na to pytanie.

- Podeszło blisko, powiadasz? Och, to się zdarza, ale oni są lepszymi żeglarzami niż my.

Można by się założyć, że staranują nas i zatopią, zanim skrzykniemy załogę. Oczywiście, sprawy wzięłyby inny obrót,

gdyby legioniści dostali się na ich pokłady. - Wydmuchał

powietrze z nadętych policzków i mówił dalej: - Chodzi o coś więcej niż lżejsze, szybsze okręty… choć za mojego życia tak czy owak Rzym nie da funduszy na położenie nowych stępek. Chodzi o profesjonalną załogę przy wiosłach, o te ich trzy rzędy ław, które tak doskonale funkcjonują. Czy możesz sobie wyobrazić, jak by wyglądali nasi muskularni niewolnicy? Tylko spróbuj płynąć z pełną prędkością, a będzie z nich krwawa pulpa. W tej sytuacji my nie potrzebujemy zawodowców, a z punktu widzenia senatu także nie ma

potrzeby, byśmy płacili im żołd. Raz na jakiś czas wyda się jakąś sumę na kupno

niewolników i okręt płynie dalej.

Rozdział IV

I rzeczywiście, choć kilku czasem topimy, wydaje się, że wciąż ich przybywa.

- Ależ… to po prostu frustrujące - wyjąkał Juliusz.

Chciał powiedzieć: to szaleństwo, by najpotężniejszy naród na świecie dał się wyprzedzać na oceanach co najmniej połowie obcych okrętów, ale Praks mimo całej dobroduszności

zachowywał pewien dystans, uniemożliwiający podwładnemu niestosowne uwagi.

- Wywodzimy się z lądu, panowie, chociaż niektórzy, powiedzmy tacy jak ja, w końcu zakochują się w morzu. Senat traktuje nasze statki jak sprzęt do przewożenia żołnierzy do walki na innych lądach, tak jak w wypadku Mitylene. Może senatorowie dojdą kiedyś do wniosku, że panowanie na morzach to równie ważna sprawa, ale, jak powiedziałem, nie za mojego życia. Tymczasem Accipiter jest nieco przyciężki i zbyt powolny, podobnie jak ja, tyle że on jest dwa razy starszy.

Swetoniusz zaśmiał się przypochlebnie, co wywołało grymas na twarzy Juliusza, lecz Praks zdawał się niczego nie zauważać. Juliusz, słuchając jego wywodu, przypomniał sobie scenę z dzieciństwa. Stali na polu w majątku ojca, Tubruk, on i

Marek. Zarządca kazał mu wziąć w dłonie ciemną grudkę ziemi i pomyśleć o pokoleniach, które ją po kolei karmiły swoją krwią.

Doświadczenie jak sprzed wieków, z czasu, kiedy żył jego ojciec, a Mariusz był konsulem i miał przed sobą świetlaną przyszłość. Ciekawe, czy ktoś dba o ich groby, pomyślał Juliusz i mroczne nurty zmartwienia, wiecznie skłębione na dnie jego myśli, przebiły się na

powierzchnię. Szybko dodał sobie otuchy, jak zwykle w podobnych momentach, wiarą w Tubruka, w to, że troszczy się o Kornelię i jego matkę. Nikomu nie ufał ani w połowie tak jak temu mężczyźnie.

Praks, omiatając spojrzeniem brzeg lądu, lekko zesztywniał. Twarz mu się ściągnęła i łagodne rysy stwardniały.

- Na dół, Swetoniuszu! Zwołuj ludzi. W pięć minut chcę tu widzieć wszystkich. Pod bronią!

Wytrzeszczając oczy, Swetoniusz zgrabnie oddał honory i w te pędy ruszył ku stromym schodkom. Juliusz popatrzył tam, gdzie pokazywał Praks, i zmrużył oczy. Na wybrzeżu, w porannym powietrzu, wisiał obłok czarnego dymu.

- Piraci, panie? - spytał pospiesznie, zgadując odpowiedź. Praks przytaknął.

- Wygląda, jakby napadli na naszą osadę. Może ich złapiemy, kiedy odbiją od brzegu.

Będziesz miał okazję do „bliskiego podejścia", Juliuszu.

Załoga Accipitera oczyszczała pole przed akcją. Usunięto każdą luźną sztukę wyposażenia, naciągnięto katapulty i przygotowano zapasy kamieni i oliwy. Legioniści szybko byli gotowi.

Wybrany oddział chwycił za osęki i -w okamgnieniu dźwignął nad pokład wielki pomost. Po zwolnieniu lin pomost miał opaść na okręt wroga i zakotwiczyć się w nim żelaznymi kolcami.

Po pomoście mieli przebiec najlepsi wojownicy Accipitera, rozprawić się z piratami jak najszybciej i zdobyć jak najwięcej przestrzeni dla reszty legionistów. Zabawa była niebezpieczna, ale po każdej akcji, przez następne senne miesiące, o miejsca dla tych pierwszych ubiegano się zawzięcie i przegrywano o nie wysokie stawki.

Poniżej przodownik niewolników wezwał do przyspieszenia i wiosła ruszyły w bardziej naglącym rytmie. Przy wietrze wiejącym od brzegu żagiel opuszczono i sprawnie zwinięto.

Sprawdzono, czy na mieczach nie ma pęknięć i zadraśnięć. Zbroje ciasno dopięto i na pokładzie czuło się rosnące podniecenie, powstrzymywane od dawna wpojoną dyscypliną.

Płonąca osada leżała na brzegu naturalnej zatoczki. Piracki statek już odbił od skalistego cypla i aby go dopaść, nim wypłynie otwarte morze, Gaditykus dał rozkaz do pełnej

prędkości. Accipiter ruszył naprzód i orzeźwiający wiatr rozwiał nudę ślimaczego

podróżowania z portu do portu. Rzymianie zakrzyknęli radośnie.

Juliusz, mając w pamięci słowa Praksa, wnikliwie obserwował jednostkę wroga. Mimo różnej długości wioseł trzy rzędy wioślarzy cięły lekko wzburzone morze doskonale zgranymi pociągnięciami. Statek był wyższy i węższy niż Accipiter i miał na dziobie długi drąg z brązu, który, o czym Juliusz wiedział z teorii, przebijał nawet grube cedrowe deski rzymskich okrętów. Praks miał rację, wynik zawsze jest niewiadomą, ale dla tych nie było ucieczki.

Accipiter podpłynie blisko i zaczepi o ich burtę solidne osęki. Na pokład wroga wysadzi najlepszych żołnierzy świata. Juliusz żałował, że

jego tam nie będzie, ale wszystkie miejsca rozdzielono jeszcze przed przybiciem do Mitylene.

Pogrążony w myślach i w przewidywaniach nie od razu wyczuł zmianę tonu w wołaniu

dochodzącym z punktów obserwacyjnych. Kiedy spojrzał w górę, mimo woli cofnął się krok od nadburcia: z zatoczki, prując bezlitośnie fale, przy wspomagającym wioślarzy pełnym żaglu, mierzył w nich taranem drugi statek. Na jego pokładzie zastępy uzbrojonych mężczyzn były znacznie liczniejsze od zwykłej pirackiej załogi. A więc dymu użyto jako podstępu. To była pułapka, a oni w nią tak łatwo wpadli.

Gaditykus nie wahał się ani chwili. Rozumiał zagrożenie i z zimną krwią wydawał rozkazy swoim dowódcom.

- Zwiększyć pociągnięcia do trzeciego znaku! Idą na nas - szczeknął i bęben na dole zadudnił

odpowiednim sygnałem.

Prędkość potrzebną do staranowania wroga można było rozwijać jedynie w krótkich zrywach, by żaden niewolnik nie zdążył zemdleć, choć i trochę wolniejsza była wysiłkiem ponad ludzką miarę. Zdarzało się wcześniej, że podczas bitew pękały serca, ciała osuwały się na innych i wszystkie wiosła wypadały z rytmu.

Pierwszy okręt szybko się zbliżał. Juliusz zdał sobie sprawę, że tamci odwrócili wiosła i ruszają do ataku. To był dobrze zaplanowany podstęp: zwabić rzymski okręt do wybrzeży.

Bez wątpienia skrzynie srebra pod pokładem miały być nagrodą, ale łatwo nie mogły być zdobyte.

- Katapulty na pierwszy okręt… pal!

Na rozkaz Gaditykusa niebo przeciął ciemny szlak kamieni.

- Dwa punkty niżej! - krzyknął obserwator z dziobu.

Ludzie rzucili się do ciężkich machin. Wybito przygważdżające je do pokładu solidne kołki i wbito inne, o dwa otwory dalej, co dawało katapultom nowy kąt ostrzału. Zaskrzypiały kołowroty, a plecy legionistów zmagających się ze sznurami z końskiego włosia, dwa razy grubszymi od uda dorosłego mężczyzny, spłynęły potem.

Katapulty rzygnęły pociskami powtórnie. Tym razem porowate kamienie były nasączone oliwą i ścieżkę ich lotu naznaczył ogień i smugi dymu. O tym, że cel był dobrze namierzony, świadczyło wyraźne poruszenie na pokładzie tryremy i legioniści pracujący przy katapultach zakrzyknęli radośnie.

Wówczas ruszył na nich drugi trójrzędowiec. Juliusz nie miał wątpliwości, że taran przebije bok Accipitera nie dalej jak kilka stóp od rufy, uniemożliwiając mu dalsze płynięcie czy nawet wdarcie się na wrogi pokład. Zostaną zasypani ognistymi strzałami piratów,

przygwożdżeni w miejscu i bezradni. Kiedy ta myśl go poraziła, zawołał do swoich ludzi, żeby zasłonili się tarczami. Na razie bardziej zawadzały, niż służyły pomocą, ale przy pochwyceniu Accipitera w pułapkę dwóch okrętów, zbliżających się na niebezpieczną

odległość równą zasięgowi wypuszczonej strzały, będą rozpaczliwie potrzebne.

Chwilę później strzały zaczęły szybować przez powietrze jednocześnie z obu wrogich pirackich jednostek. Nie padały rozkazy, nikt nie celował, po prostu długie czarne pociski wzbijały się wysoko i zataczały łuk nieustannym ogniem.

Accipiter mógłby się prześliznąć na rufie na otwarte morze, ale nękany od dziobu przez pierwszą tryremę, musiał robić uniki. Wiosła po lewej burcie odwrócono i choć pociągnięcia były niezdarne, okręt poruszał się szybciej niż przy podniesionych całkowicie i robił zwrot na lewą, napędzany wiosłami z prawej burty. To ich spowolniło, lecz Gaditykus wiedział, że muszą kierować się ku zewnętrznej linii, bo inaczej zostaną schwytani między dwa statki.

Accipiter zmiażdżył dziób pierwszego i zadrżał, gwałtownie wytracając prędkość.

Przodownik niewolników, uprzedzony przez Gaditykusa, zarządził natychmiastowe

wciągnięcie wioseł. Zawodowcy z trafionej tryremy nie byli dość szybcy. Accipiter, mijając ją, trzasnął w grupy trójek i wbił głęboko w statek wroga krwawą pulpę ludzkiego mięsa i rozłupanego drewna.

Okręt Rzymian jeszcze nie zdążył minąć wszystkich wioseł trój-rzędowca, kiedy brązowy taran drugiego uderzył w niego z rozdzierającym hukiem łamanych belek. Accipiter jęknął

pod uderzeniem jak ranione zwierzę. Niewolnicy na dole zaczęli krzyczeć głośnym chórem przerażonych głosów. Wioślarze byli przywiązani do swoich ław i gdyby Accipiter zatonął, oni zatonęliby także.

Na pokład Accipitera posypał się grad strzał, ale tamtym, jak nikomu na świecie, brakowało wojskowej dyscypliny. Juliusz podziękował własnemu szczęściu, że nie nauczyli się strzelać salwa-Rozdział IV

mi, kiedy zanurkował w dół pod jednym ze śmiercionośnych pocisków, który przeleciał mu nad głową z obrzydliwym wizgiem. Tarcze ochroniły ludzi przed większością strzał i wtedy dźwignięto ciężki trap. Przez chwilę jakby wisiał w powietrzu, kiedy przecinano liny, potem trzasnął o pokład wroga, wbijając się w deski tak pewnie jak odwet, który miał nadejść.

Pierwsi z legionistów przebiegli przerzuconym przejściem i wpadli na tych, którzy czekali na nich z urągliwymi wrzaskami. Zwykła przewaga liczebna to za mało wobec dwóch

atakujących okrętów. Oba sprawiały wrażenie wypełnionych po brzegi wojownikami, których zbroje i broń były przemieszaniem starego i nowego ekwipunku ze wszystkich portów na wszystkich wybrzeżach.

U boku Juliusza pojawił się Kabera, po raz pierwszy bez swojego zwykłego uśmiechu. Stary człowiek uzbroił się w sztylet i tarczę, ale poza tym miał na sobie ukochaną długą szatę, na którą Gaditykus się zgodził, pod warunkiem że będzie sprawdzana, czy nie ma w niej wszy.

- Coś mi się zdaje, że lepiej być z tobą niż w ciemnościach na dole - mruknął, obejmując wzrokiem narastający chaos.

Obaj zanurkowali nagle pod sztywne drewniane tarcze, kiedy zaszumiały nad nimi strzały.

Jedna wbiła się w burtę blisko ręki Juliusza, aż gwizdnął na widok zakrzywionego grotu.

O burtę zaczepiły ciężkie brązowe haki. Na pokład Accipitera zaczęli skakać ludzie. Zewsząd dochodziła wrzawa walki, szczękanie mieczy, okrzyki triumfu i rozpaczy.

Juliusz zobaczył, że Swetoniusz rozciąga swoich ludzi w jedną linię, naprzeciw atakującym.

Szybko rozkazał swojej dwudziestce ruszyć ze wsparciem, choć podejrzewał, że gdyby był

powolniejszy, ruszyliby i bez rozkazu. Nie mogli się poddać, kiedy Accipiter był

przedziurawiony, wiedział to każdy. Tamci nie ustawali we wściekłym ataku i jedni drugim oczyszczali zdobywany pokład, nie bacząc na rany.

Kabera nie odstąpił Juliusza, kiedy ten włączył się do walki. Młodzieniec czerpał pociechę z jego obecności, przypominając sobie inne walki, które razem przeżyli. Może stary uzdrawiacz rzuca dobre czary, pomyślał, i już był pod łukiem mieczy wroga.

54

Ciął ich niemal nieświadomie, poddając ciało rytmom, które Re-niusz mu wpajał rok za rokiem twardej nauki.

Juliusz pochylił się pod jakimś toporem i pchnął jego właściciela prosto pod stopy Pelitasa, który stąpnął na niego ciężko bez chwili zastanowienia, jak zrobiłby to każdy legionista.

Jeżeli coś stoi, ciąć. Jeżeli leży, zdeptać.

Trap rzucony z Accipitera był pełen żołnierzy, roztrącających się nawzajem, by przejść po nim. Stanowili łatwy cel dla łuczników. Juliusz zobaczył przy drugim nadburciu tryremy grupę mężczyzn mierzących z łuków ponad głowami swoich ludzi. Strzały z krótkiej

odległości były zabójczą bronią. Padło kilkunastu legionistów, nim ci, którzy już byli na pokładzie, ścięli łuczników jak łan zboża. Juliusz potrząsnął głową z zadowoleniem.

Nienawidził ich tak samo jak wszyscy legioniści, którym nieobcy był strach i bezradność wobec dalekosiężnych ataków ich broni.

Druga tryrema odwróciła wiosła i podciągnęła prawie swobodnie do Accipitera. Gaditykus obserwował ich manewry i trzymał swoje oddziały w pełnej gotowości do odparcia

zbliżającego się ataku. Sytuacja zmieniała się zbyt gwałtownie, by można było cokolwiek przewidzieć, chociaż tego, że piraci nie ustąpią, był pewien. Accipiter powoli tonął, ale jego agonia mogła jeszcze trwać jakiś czas, a legioniści mogli jeszcze przedostać się na drugą tryremę i nią zawładnąć. Wiedział, że następny atak przyjdzie, gdy tylko drugi okręt schowa taran i podpłynie na tyle blisko, by jego wojownicy mogli przeskoczyć z burty na burtę.

Zaklął, kiedy zatrzeszczała ostatnia podnoszona belka i ostry dziób odbił się od Accipitera, a w stronę wioseł poleciały krótkie nowe rozkazy w języku, który zabrzmiał jak mieszanina greki i kiepskiej łaciny.

Gaditykus wysłał ostatnie rezerwy żołnierzy na drugą burtę Accipitera, zgadując, że napastnicy wedrą się na pokład po przeciwnej stronie, aby rozdzielić obrońców. To była rozsądna taktyka i służyła swemu celowi, chociaż gdyby pierwsza tryrema została wzięta odpowiednio szybko, wtedy do odparcia ataku mógłby rzucić wszystkich swoich ludzi i dzień nie byłby stracony. Gaditykus zacisnął pięść na rękojeści gladiusa w próżnym oburzeniu. Czy powinien się spodziewać, że piraci staną do uczciwej bitwy i dadzą się pociąć na kawałki jego żołnierzom? Byli złodziejami i żebraka-

mi goniącymi za srebrem w jego ładowniach i to wyglądało tak, jakby sfora piesków rzuciła się do gardła rzymskiemu wilkowi. Dłoń mu zadrżała z gniewu, kiedy zobaczył, jak do jednej burty jego ukochanego okrętu podciąga ława wioseł, do drugiej - druga tryrema. Wciąż słyszał krzyki niewolników poniżej, w nieustającym chórze przerażenia, co działało mu na nerwy.

Juliusz przyjął cios na zbroję i tylko chrząknął, przeciągając mieczem przez twarz jakiegoś mężczyzny. Nim zdążył wrócić do właściwej pozycji, wyrósł przed nim brodaty olbrzym.

Juliusz poczuł zimne liźnięcie strachu na widok niezwykłego wzrostu i rozrośniętych barów wojownika, uzbrojonego w ciężki żelazny młot, czerwony i lepki od zmieszanej z włosami krwi. Mężczyzna obnażył zęby, ryknął i potężny młot zawisł w powietrzu. Juliusz cofnął się, odruchowo wysuwając ramię dla odparcia ciosu. Poczuł trzask kości w nadgarstku i krzyknął

z bólu.

Kabera wdarł się szybko między obu i zatopił sztylet w szyi mężczyzny, ale wojownik tylko ryknął i zamachnął się młotem, by zmieść sprzed siebie kruchą postać uzdrawiacza. Juliusz sięgnął po własny sztylet lewą ręką, starając się przemóc ból połamanych kości. Zakręciło mu się w głowie i nagle zobojętniał na wszystko, ale olbrzymi przeciwnik wciąż był

niebezpieczny, mimo że z szyi tryskały mu fontanny krwi. Oślepiony bólem wyprostował się i zamachnął młotem raz jeszcze. Młot opadł na głowę Juliusza z głuchym trzaskiem i Cezar zemdlał. Z nosa i uszu popłynęła mu krew, gdy tymczasem walka wokół niego toczyła się dalej.

ROZDZIAŁ V

r rzed nimi w dole rozciągały się równiny Grecji, wiatr niósł zapach purpurowych kwiatów i Brutus odetchnął głęboko czystym górskim powietrzem. Popatrzył za siebie. W taki

dzień jak ten wydawało się niewłaściwe rozmyślać o śmierci i odwecie. A jednak, jak Reniusz

przepowiedział, w grupie jeźdźców był co najmniej jeden znający się na rzeczy tropiciel.

Przez ostatnie pięć dni mężczyźni uparcie trzymali się ich śladów i mimo wielu prób dwójce Rzymian nie udało się ich zgubić.

Reniusz siedział na omszałym kamieniu, z obnażonym kikutem, wcierając tłuszcz w

okaleczone ciało, jak to robił każdego ranka. Brutus czuł się winny za każdym razem, gdy przypominał sobie walkę na placu do ćwiczeń w majątku Juliusza. Pomyślał, że mógłby nawet pamiętać cios, który przeciął nerwy ramienia starego gladiatora, ale co się stało, odstać się nie może. Choć na ciele uformowały się twarde różowe zgrubienia, dawne blizny, ocierane ubraniem i zbroją wciąż od nowa, zdawały się ciągle wymagać smarowania. Reniusz odczuwał prawdziwą ulgę tylko wtedy, kiedy zdejmował skórzaną osłonę i wystawiał skórę na przewiew, ale nie cierpiał ciekawych spojrzeń i robił to tylko w samotności.

- Podeszli bliżej - powiedział Brutus.

Nie musiał niczego wyjaśniać, pięciu mężczyzn zaprzątało myśli obu, od kiedy zobaczyli ich pierwszy raz.

Pod urodą wyprażonych słońcem gór kryła się nieurodzajna ziemia, która przyciągała niewielu osadników. Jeżeli teraz ktoś piął się mozolnie pod górę, to tylko polujący na nich mężczyźni. Brutus

Rozdział V

wiedział, że nie da się długo wyprzedzać koni i że gdy tylko zejdą w doliny, tamci ich dogonią i zabiją. Obaj byli bliscy wyczerpania i ostatnie zapasy suchego jedzenia poszły na śniadanie tego ranka.

Przeniósł wzrok na rośliny, które na skalistych stokach w sobie tylko wiadomy sposób trzymały się życia. Ciekawe,

pomyślał, czy któraś jest jadalna. Słyszał o żołnierzach jedzących koniki polne, lecz polowanie na pojedyncze sztuki byłoby stratą czasu. Nie przejdą kolejnego dnia o głodzie, a w skórzanych workach na wodę niedługo miało się pokazać dno.

Sakiewka u pasa wciąż była pełna, ale najbliższe rzymskie miasto leżało dobre sto mil za Niziną Tesalską i nie wydawało się możliwe, by kiedykolwiek tam dotarli. Przyszłość wyglądała marnie, chyba że Reniuszowi przyszedłby do głowy jakiś zbawczy pomysł, ale stary gladiator milczał, wyraźnie zadowolony, że skróci sobie godzinę pocieraniem kikuta.

Właśnie zerwał jeden z ciemnych kwiatów i wyciskał z niego sok na owłosioną pachę.

Wypróbowywał lecznicze działania ziół przy każdej okazji, ale, jak zwykle, prychnął z rozczarowaniem i rzucił zgniecione łodyżki na ziemię.

Spokój Reniusza nagle Brutusa rozwścieczył. Gdyby mieli pod sobą parę koni, tamta piątka nigdy by ich nie dogoniła. W naturze Reniusza jednak nie leżało żałowanie raz podjętych decyzji.

- Jak możesz tak po prostu siedzieć, kiedy oni są na odległość rzutu kamieniem? -

denerwował się Brutus. - Nieśmiertelny Re-niusz, zwycięzca setek walk, pocięty na kawałki przez kilku greckich obdartusów na jałowym greckim pagórku.

Reniusz wzruszył ramionami.

- Stok zmniejszy ich przewagę. Konie nie lubią żadnych pagórków.

- To znaczy, że robimy tutaj postój? - spytał niepewnie Brutus, wyczuwając, że Reniusz jednak ma jakiś plan.

- Nie dojdą tu wcześniej niż za parę godzin. Na twoim miejscu siadłbym sobie w cieniu, odpoczął i naostrzył mój miecz. Praca koi nerwy.

Brutus wykrzywił się na starego, ale wziął miecz i zaczął przeciągać kamieniem po ostrzu.

- Jest ich pięciu, pamiętaj - powiedział po chwili.

Reniusz zignorował uwagę; w wypraktykowany sposób, trzy-

mając w zębach koniec rzemienia, wiązał na kikucie skórzaną osłonę.

- Osiemdziesięciu dziewięciu - powiedział lakonicznie po skończonej robocie. .

- Co takiego?

- W walkach w Rzymie zabiłem osiemdziesięciu dziewięciu. Nie kilkuset.

Reniusz poderwał się rześko na nogi, a w jego ruchach nie było nic ze starego człowieka.

Przywracanie równowagi ciału po utracie lewego ramienia trwało długo, ale Reniusz pokonał

tę przeciwność losu tak samo jak każdą inną, z którą zmierzył się w życiu. Brutus pamiętał

ów moment, kiedy Kabera przycisnął dłonie do poszarzałej piersi Reniusza i ta pierś nagle drgnęła, a ciało nabrało kolorów i ożyło. Uzdrowiciel siedział u jego stóp w niemym zdziwieniu i razem z nim, Brutusem, obserwował, jak siwe włosy na powrót ciemnieją, jakby śmierć nie była w stanie zacisnąć na zdobyczy swojej kościstej ręki. Bogowie ocalili starego gladiatora być może po to, by ten w zamian ocalił młodego Rzymianina na górskim szczycie w Grecji. W Brutusa wstąpił nowy duch i zapominając o głodzie i wyczerpaniu, zauważył od niechcenia:

- Dzisiaj jest tylko pięciu. A ja jestem najlepszy z mojego pokolenia, wiesz o tym. Nie ma takiego, co by mnie pokonał w walce na miecze.

‘

Reniusz chrząknął.

- Ja byłem najlepszy w moim, chłopcze, i z tego, co widzę, od tamtej pory poziom nieco się obniżył. Choć i tak możemy sprawić im niespodziankę.

Kobieta, którą wezwano do rodzącej, wcierała w uda Kornelii złocistą oliwę, rozluźniając w ten sposób skurczone bólem mięśnie. Kornelia chwyciła z rąk Klodii kubek ciepłego mleka, zmieszanego z miodem i winem, wypiła napój łapczywie, zadrżała na całym ciele i krzyknęła.

- To już niedługo potrwa - powiedziała kobieta. - Dobrze pracujesz. Miód i wino działają kojąco, ale i tak będziesz musiała przejść na krzesło. Na nim się łatwiej rodzi niż na łóżku.

Klodio, przynieś więcej płócien i gąbkę na wypadek krwawienia. Choć nie

spodziewam się, by było obfite. Dziewczyna ma silne ciało i biodra, których kształt ułatwia rodzenie.

Kornelia tylko jęknęła w odpowiedzi. Zaciskając zęby i chwytając kurczowo za poręcze twardego łóżka, wypchnęła biodra do przodu. Kobieta potrząsnęła głową.

-Jeszcze nie przyj, skarbie. Dziecko dopiero zaczyna swoją wędrówkę. Właśnie opadło do właściwej pozycji i musi trochę odpocząć. Powiem ci, kiedy masz ją z siebie wypchnąć.

-Ją? - szepnęła Kornelia między jednym a drugim oddechem.

Kobieta przytaknęła.

- Tak długo rodzą się tylko dziewczynki. Chłopcom bardziej się spieszy na świat. -

Podziękowała Klodii, widząc, jak ta kładzie gąbkę i płótna obok drewnianego krzesła, przygotowanego na ostatnią fazę rodzenia.

Drzwi cicho skrzypnęły i do łóżka podeszła Aurelia. Ujęła dłoń dziewczyny w mocny uścisk.

Klodia, stojąc po drugiej stronie rodzącej, obserwowała ją ukradkiem. Tubruk opowiedział jej o chorobie matki Juliusza, tak by umiała poradzić sobie w każdej kłopotliwej sytuacji, lecz Aurelia wydawała się całkowicie pochłonięta akcją rodzenia i można było tylko się cieszyć, że chce asystować przy narodzinach wnuka. Ponieważ nie było Tubruka, który opuścił dom, by doprowadzić do końca rzecz, o której rozmawiali, Klodia wiedziała, że w razie ataku to ona musi zająć się Aurelia, choćby trzeba było odstąpić od łóżka rodzącej. Nikt ze służby nie śmiałby jej dotknąć, ale Klodia nie była zachwycona perspektywą takiego obowiązku i odmówiła krótką modlitwę do domowych bóstw.

- Myślimy, że to będzie córka - poinformowała łagodnym głosem matkę Juliusza.

Aurelia nie odpowiedziała. Klodia była ciekawa, czy sztywność tej kobiety bierze się z jej pozycji i wynoszenia się nad zwykłą niewolnicę, ale szybko odrzuciła takie przypuszczenie.

Zwykle na czas porodu odstępowano od zasad, a z tego, co mówił Tubruk, wynikało, że Aurelia często nie radzi sobie ze sprawami, które dla innych są oczywiste.

Na kolejny krzyk Kornelii usługująca kobieta szybko skinęła głową.

- Już czas. Czy zechcesz nam pomóc, moja droga? - zwróciła się do Aurelii.

Aurelia sprawiała wrażenie nieobecnej duchem i kobieta powtórzyła pytanie głośniej.

- Chciałabym - szepnęła, przytomniejąc.

Kobieta zmierzyła ją wzrokiem. Wzruszyła ramionami.

- W porządku, ale to może potrwać parę godzin. Jak się zmęczysz, niech zastąpi cię jakaś silna niewolnica. Rozumiemy się?

Aurelia kiwnęła głową i ponownie skupiła uwagę na Kornelii.

Klodia podziwiała pewność siebie usługującej kobiety. Oczywiście była wyzwolona, tak więc dni niewolnictwa dawno miała za sobą, lecz w jej zachowaniu nie było odrobiny uległości.

Klodia od razu ją polubiła i postanowiła być silna, tak jak się po niej spodziewano.

Krzesło było zrobione solidnie i przyjechało do majątku na wozie, razem ze swoją

właścicielką. Wspólnym wysiłkiem akuszer-ka, Klodia i Aurelia podprowadziły do niego

Kornelię i dziewczyna, mocno ścisnąwszy poręcze, opuściła się całym ciężarem na wąski łuk siedzenia. Kobieta uklękła przed nią i rozsunęła jej nogi nad głębokim wcięciem.

- Zaprzyj się o oparcie - poradziła, po czym zwróciła się do Klodii. - Podtrzymuj krzesło z tyłu, żeby się nie przechyliło. Będę miała dla ciebie inne zajęcie, jak tylko dziecko pokaże główkę, ale na razie masz tylko takie zadanie, rozumiemy się?

Klodia zajęła wyznaczone miejsce i podparła biodrem tył krzesła.

- Aurelio? Chcę, byś naciskała na brzuch, ale nie wcześniej, niż powiem. Czy to jasne?

Aurelia położyła dłonie na nabrzmiałym brzuchu i czekała cierpliwie.

- Znów się zaczyna - skrzywiła się Kornelia.

- Tak być powinno, moja mała. Dziecko chce wyjść. Pozwól, by ból w tobie narastał, a ja powiem, kiedy masz przeć. - Kobieta wtarła w Kornelię więcej oliwy i się uśmiechnęła. -

Teraz to już naprawdę niedługo. Gotowa? Teraz, dziewczyno, teraz! Przyj! Aurelio, naciskaj!

Kornelia mocniej wcisnęła plecy w oparcie krzesła i parła, z po-

Rozdział V

mocą Aurelii. Spływała potem, a strąki mokrych włosów oblepiały twarz i ramiona.

- Wydostanie się główki to najgorsze ze wszystkiego - powiedziała akuszerka. - Dobrze pracujesz, skarbie. Rodzące na ogół krzyczą cały czas. Klodio, zasłoń dół brzucha płótnem na czas skurczy. Nie będzie zachwycona, jak poza dzieckiem zobaczy całą resztę.

Klodia zrobiła, co jej kazano.

- Już niedługo, Kornelio - dodała pocieszająco od siebie. Dziewczyna zmusiła się do bladego uśmiechu. Nadszedł nowy

skurcz i każdy mięsień napiął się w niej z przemożną siłą. To było nieznane przeżycie i teraz czuła się jak widz własnego ciała, kiedy poruszało się bez udziału jej woli i z siłą, której w sobie nie znała. Poczuła, jak parcie w niej narasta coraz bardziej i bardziej, i nagle wszystko się kończy.

- Dosyć - szepnęła.

- Mam główkę, skarbie. Reszta pójdzie łatwiej - zapewniła ją kobieta radosnym głosem.

Aurelia potarła dłońmi brzuch Kornelii i przechyliła się przez krzesło, aby zajrzeć między dygoczące nogi.

Kobieta trzymała śliską główkę w dłoniach dla bezpieczeństwa owiniętych szorstką tkaniną.

Główka była zniekształcona i rozdęta, a oczy zamknięte, ale kobieta nie wyglądała na zmartwioną i w chwilę później, wypchnięte jeszcze jednym skurczem, dziecko wypadło w jej ręce. Kornelia osunęła się w krześle bezwładnie.

- Mamy dziewczynkę! Dobra robota, moje drogie - rozpromieniła się kobieta. - A teraz, Klodio, podaj mi ostry nóż i rozżarzony węgiel, muszę przeciąć i przypalić pępowinę.

- Nie zawiążesz jej? - spytała Klodia.

Kobieta potrząsnęła głową, oczyszczając skórę noworodka z krwi i błon.

- Przypalanie jest pewniejsze. Pospiesz się, już mnie kolana bolą od klęczenia.

Przyszedł ostatni skurcz i Kornelia razem z ostatnim krzykiem wyrzuciła z siebie śliski kłębek ciemnych wnętrzności. Kobieta wskazała oczami, by Aurelia to usunęła. Matka Juliusza, posłuszna władzy akuszerki, sięgnęła bezmyślnie po łożysko. Ogarnęło ją nie-62

zwykłe szczęście, kiedy zdała sobie sprawę z nowej rzeczywistości. Miała wnuczkę.

Popatrzyła ukradkiem na swoje dłonie i z ulgą odkryła, że się nie trzęsą.

Powietrze przeszył głośny krzyk dziecka i wszystkie się uśmiechnęły. Usługująca kobieta szybko i sprawnie sprawdziła członki.

- Wspaniale, wspaniale, wszystko na swoim miejscu. Piękna dziewczynka. Włosy jak u matki, chyba że ściemnieją. Piękne dziecko. Gdzie powijaki?

Aurelia sięgnęła po stos szmatek, a tymczasem Klodia wróciła, niosąc w żelaznych

szczypcach rozżarzony do czerwoności węgielek. Kobieta przycisnęła go do maleńkiego koniuszka pępowiny, węgielek zasyczał i dziecko krzyknęło z nową energią, już krępowane powijakami, z których wystawała jedynie główka.

- Czy myślałaś o imieniu? - spytała Kornelię akuszerka.

- Gdyby to był chłopiec, nazywałby się Juliusz, tak jak jego ojciec. Zawsze myślałam, że…

ona będzie chłopcem.

Kobieta, stojąc z dzieckiem w ramionach, zauważyła bladość i zmęczenie Kornelii.

- Masz dużo czasu na wymyślanie imion. Teraz, moje drogie, pomóżcie jej wrócić do łóżka, niech odpocznie, a ja zbiorę swoje rzeczy.

W komnacie, gdzie urodziło się dziecko, dał się słyszeć głuchy łomot. Ktoś się dobijał do bram majątku. Aurelia wyciągnęła szyję i zaczęła nasłuchiwać.

- Zwykle to Tubruk każe je otworzyć - powiedziała - ale Tubruk nas opuścił.

- Tylko na kilka tygodni, pani - rzuciła szybko Klodia, czując się winna. - Powiedział, że sprawy w mieście nie zabiorą mu więcej czasu.

Matka Juliusza, jakby nie słysząc odpowiedzi, opuściła komnatę i wyszła przed dom. Dwaj słudzy już czekali przy bramach, lecz za nic na świecie nie otworzyliby ich sami, bez jej rozkazu. Takie porządki zaprowadził Tubruk dawno temu, zaraz po zamieszkach

niewolników. Mężczyzna zdawał się dbać o bezpieczeństwo domu, choć ją zostawił samą, a przecież obiecał nigdy tego nie robić. Tłumiąc niepokój i zbierając myśli, popatrzyła po sobie i spostrzegła na rękawie małą kroplę krwi. Prawa ręka odpowiedziała

Rozdział V

lekkim drżeniem. Aurelia zacisnęła na niej drugą, chcąc opóźnić atak.

- Otwierać bramy! - dobiegł z zewnątrz męski głos i czyjaś silna pięść znów załomotała w drewno.

Aurelia dała znak sługom i ci odsunęli żelazne zasuwy i odciągnęli oba skrzydła przed gośćmi. Aurelia zobaczyła, że obaj są uzbrojeni, co było kolejnym wymogiem Tubruka.

Do środka wjechali trzej żołnierze, oszałamiający w blasku zbroi i pióropuszy na hełmach.

Byli ubrani jak na uroczysty przegląd wojsk i ich widok przeszył Aurelię dreszczem.

Dlaczego nie ma Tubruka? Mógłby poradzić sobie z nimi o - wiele lepiej niż ona.

Jeden z mężczyzn zsiadł z konia. Miał zwinne ruchy i był pewny siebie. Trzymając wodze w jednej dłoni, drugą podał Aurelii cienki zwój pergaminu, grubo zapieczętowany woskiem.

Wzięła zwój, lecz wciąż patrzyła na żołnierza. Widząc, że właścicielka nie zamierza przemówić, zaszurał butami.

- Rozkazy, pani. Od naszego pana, dyktatora Rzymu. Aurelia jednak dalej milczała, ściskając zwój w obu dłoniach.

- Kobieta, która jest twoją córką z racji małżeństwa z twoim synem, przebywa tutaj, i Sulla rozkazuje, by stawiła się przed nim natychmiast.

Mężczyzna się niecierpliwił. Odnosił wrażenie, że mógłby się nie doczekać, by ktoś tutaj z własnej woli zainteresował się pergaminem potwierdzającym rozkazy osobistą pieczęcią Sulli.

Aurelia opanowała drżenie rąk i odzyskała głos.

- Ona przed chwilą wydała na świat dziecko. Nie można jej ruszyć. Wróćcie za trzy dni, a będzie gotowa do podróży.

Twarz żołnierza stężała. Czy ta kobieta myśli, że wolno jej rozkazywać?

- Pani, ona będzie gotowa teraz. Sulla rozkazał przywieźć ją do miasta i znajdzie się w drodze natychmiast, chce czy nie. Poczekam, ale ma tu być za chwilę. Lepiej nie każ nam wchodzić do środka.

Aurelia zbladła.

- A… dziecko?

Żołnierz zamrugał. Rozkazy nie mówiły o żadnym dziecku, ale nie zdobywało się odznaczeń, rozczarowując dyktatora Rzymu.

- Dziecko też. Przygotuj oboje. - Twarz mu trochę złagodniała. Nie zaszkodzi być

uprzejmym, a ta kobieta nagle wydała mu się bardzo krucha. - Jak masz wóz i konie, które da się szybko zaprząc, mogą jechać na wozie.

Aurelia odwróciła się bez słowa i zniknęła w budynkach. Żołnierz spojrzał w górę, na dwóch towarzyszy, unosząc brwi.

- Mówiłem, że pójdzie łatwo. Zastanawiam się tylko, czego Sulla chce od tej kobiety.

- Trzeba by wpierw -wiedzieć, kto jest ojcem dziecka, nie sądzisz? - odpowiedział jeden, puszczając lubieżnie oko.

Tubruk siedział sztywno wyprostowany. Przyjął podsunięte mu wino i skinął głową.

Mężczyzna naprzeciw był w jego wieku i obaj przyjaźnili się prawie od trzydziestu lat.

- Wciąż niechętnie przyznaję przed samym sobą, że nie jestem już młody - powiedział Ferkus, uśmiechając się smutno. - Przywykłem do luster w całym domu, ale kiedy tylko któreś mijam, jestem zaskoczony widokiem tamtej drugiej twarzy. Na szczęście choć ciało zawodzi, duch w człowieku nie gaśnie.

- Mam nadzieję. Nie jesteś stary - odrzekł Tubruk, próbując się rozluźnić i cieszyć z towarzystwa przyjaciela, jak przez wszystkie poprzednie lata.

- Tak sądzisz? Wielu z tych, których znaliśmy obaj, odeszło z takiej czy innej przyczyny do krainy milczenia. Choroba zabrała Rapasa, a przecież nie znałem nikogo silniejszego.

Podobno pod koniec syn zarzucał go sobie na ramiona i wynosił na słońce. Czy wyobrażasz sobie, że ktokolwiek niesie tego wielkiego wołu? Nawet jego syn! Starość to straszna rzecz.

- Masz Ilitę i córki. Ilita jeszcze cię nie opuściła, prawda? - mruknął Tubruk.

Ferkus prychnął w swoje wino.

-Jeszcze nie, choć każdego roku grozi, że to zrobi. Prawdę mówiąc, ty sam potrzebujesz dobrej, pulchnej kobiety. One cudownie działają na nasz starczy wiek. No i grzeją ci stopy każdej nocy.

- Za bardzo ugrzązłem w swoich przyzwyczajeniach jak na nową miłość - odpowiedział

Tubruk. - Gdzie miałbym znaleźć

Rozdział V

65

kogoś, kto by ze mną wytrzymał? Nie, mam już swego rodzaju rodzinę, w majątku. Nie wyobrażam sobie innej.

Ferkus pokiwał głową. Jego oczom nie uszło napięcie i zdenerwowanie starego gladiatora, ale był gotów czekać, aż Tubruk sam wyłoży powód nagłej wizyty. Znał tego mężczyznę

wystarczająco dobrze, by go nie poganiać, tak samo jak znał siebie i wiedział, że pomoże mu jak tylko potrafi. Nie chodziło o długi, dawno zaciągnięte, chociaż tych było wiele; chodziło o to, że Tubruk był człowiekiem, którego poważał i lubił. Tubruk nie miał w sobie nic ze złośliwości i był silny. W myślach już podliczał swoje środki i dostępne złoto. Jeżeli to była kwestia pieniędzy, bywały lepsze czasy, ale i tak miał jakieś zapasy i długi, których oddania mógłby zażądać.

. -Jak interesy? - spytał Tubruk, nieświadomie odgadując jego myśli.

Ferkus wzruszył ramionami. Cisnęła mu się na usta zdawkowa odpowiedź, ale się

powstrzymał.

- Mam fundusze - powiedział. - W Rzymie, jak wiesz, zawsze jest popyt na niewolników.

Tubruk spojrzał uważnie na człowieka, który kiedyś sprzedał go na arenę, by walczył na oczach tysięcy. Już wtedy, on, kanciasty młody niewolnik, nie mając pojęcia o świecie czy o swoim przyszłym zawodzie, wiedział, że Ferkus nigdy nie bywa okrutny dla tych, którzy przechodzą przez jego ręce.

Przypomniał sobie rozpacz, w noc przed wysłaniem do zagród dla przyszłych gladiatorów, kiedy był bliski odebrania sobie życia. Ferkus zatrzymał się przy nim, gdy krążył niespokojnie w koło, i powiedział, że jeżeli starczy mu ducha i sił, przyjdzie taki dzień, kiedy się wykupi i wciąż będzie miał przed sobą większą część życia.

- Tego dnia wrócę i cię zabiję - odpowiedział mu na to. Ferkus długo wytrzymywał jego spojrzenie, w końcu odparł:

- Mam nadzieję, że nie. Mam nadzieję, że przyjdziesz do mnie z winem.

Nie odpowiedział, lecz słowa Ferkusa zapadły mu w serce i pomogły przetrwać najcięższe chwile. Po prostu wystarczyło wzbudzić w nim przekonanie, że pewnego dnia wolno mu będzie siedzieć na słońcu i pić wino, być panem samego siebie. W dniu,

kiedy się wyzwolił, przeszedł przez całe miasto do domu Ferkusa i postawił na stole amforę.

Ferkus sięgnął po dwa kubki i tak zaczęła się ich przyjaźń.

Jeżeli istniał na świecie - poza majątkiem - ktoś, komu mógłby zaufać, był to Ferkus, mimo to Tubruk wciąż milczał i rozważał w myślach plany, które powziął podczas rozmowy z Klodią.

Czy nie było żadnego innego sposobu? Droga, na którą wszedł, przyprawiała go o mdłości, wiedział jednak, że jeżeli jest gotów umrzeć, byleby tylko uchronić Kornelię, to powinien to zrobić.

Ferkus wstał i ścisnął mu ramię.

- Martwisz się czymś, stary przyjacielu. O cokolwiek chcesz poprosić, zrób to.

Tubruk spojrzał w niezawodne oczy i w jednej chwili otworzyła się przed nimi cała

przeszłość.

- Czy mogę ci zawierzyć własne życie?

Ferkus ścisnął ramię przyjaciela mocniej, po czym usiadł na dawnym miejscu.

- Nie musisz pytać. Moja córka, wydając na świat dziecko, umierała, a ty znalazłeś kobietę, która uratowała jej życie. Ja sam umarłbym z ręki tamtych złodziei, gdybyś się z nimi nie rozprawił. Nie sądzę, bym kiedykolwiek zdołał spłacić zaciągnięte u ciebie długi. Proś zatem.

Tubruk wziął głęboki oddech.

- Chcę, żebyś z powrotem sprzedał mnie w niewolę… do domu Sulli.

Juliusz ledwo poczuł, jak dłonie Kabery podnoszą mu powieki. Zewnętrzny świat wydawał

się mu na przemian jasny i ciemny, a głowę wypełnił czerwony koszmar bólu. Gdyby mógł, przekląłby starego uzdrawiacza, jego ręce i dobiegający jak z oddali głos, że nieproszone wyrywają go ze stanu mrocznego odrętwienia.

- Coś nie tak z oczami.

Inny głos. Gaditykus? Imię nic nie znaczyło, choć sam głos był znajomy. Czy jest tu jego ojciec? Odległe wspomnienie godzin, kiedy tak samo jak teraz leżał pogrążony w

ciemnościach, wróciło i zlało się w jedno z myślami. Czy wciąż jest w łóżku po tym, jak Reniusz przeszył go mieczem podczas lekcji na dziedzińcu ma-Rozdział V

jątku? Czy jego przyjaciele są na murach i sami, bez niego, odpierają atak niewolników?

Szarpnął się i kiedy powstrzymały go czyjeś dłonie, chciał zaprotestować, ale jedynie głucho jęknął, jak żegnający się ze światem wół.

- Niedobrze, niedobrze. - To głos Kabery. -Jedna źrenica większa, druga mniejsza. Nie widzi mnie. Lewe oko całe nabiegłe krwią, tylko popatrz na tę czerwień. Ale to przejdzie

po paru tygodniach. Słyszysz mnie, Juliuszu? Gajuszu, słyszysz?

Juliusz, oddzielony od głosów grubą zasłoną czerni, nie odpowiedział nawet na imię z dzieciństwa.

Kabera podniósł się z klęczek i westchnął.

- Hełm ocalił mu życie, ale martwi mnie krew z ucha. Może odzyska przytomność, a może pozostać w takim stanie. Nic nie wiadomo. Tak już bywa przy ranach głowy. Mogą złamać w człowieku wolę życia.

W głosie Kabery brzmiał szczery żal, co Gaditykusowi przypomniało, że uzdrawiacz zjawił

się na pokładzie razem z Juliuszem i że obaj mieli za sobą historię o wiele dłuższą niż czas spędzony na Accipiterze.

- Zrób wszystko, co możesz. Jest spora szansa na to, że jak dostaną pieniądze, których żądają, znów zobaczymy Rzym. Przynajmniej na razie jesteśmy więcej warci żywi niż martwi.

Gaditykus starał się nie okazać po sobie rozpaczy. Dowódca, który stracił swój okręt, nie mógł się spodziewać, że dadzą mu inny. Teraz, uwięziony bezradnie na pokładzie drugiej tryremy, obserwował, jak jego ukochany Accipiter tonie w wirach morskiej piany i

roztrzaskanych belek. Niewolnicy przy wiosłach nie zostali uwolnieni i ich ochrypłe krzyki ucichły dopiero wtedy, kiedy nad okrętem zamknęło się morze. Jego kariera utonęła razem z nim.

Walka była zawzięta i bezlitosna i ostatecznie przybrała fatalny obrót; większość jego ludzi, zaatakowanych z obu burt, wycięto w pień. Gaditykus wciąż od nowa odtwarzał w myślach krótką bitwę, szukając poniewczasie sposobów, które mogły mu przynieść zwycięstwo. Za każdym razem kończył wzruszeniem ramion, mówiąc w duchu, zapomnij o stracie, ale

uczucie upokorzenia tkwiło w nim jak zadra.

Myślał nawet o odebraniu sobie życia, aby w ten sposób

pozbawić tamtych okupu, a rodzinie zaoszczędzić wstydu. Jeżeli w ogóle rodzina zbierze pieniądze.

Rodzinie byłoby łatwiej, gdyby poszedł na dno z Accipiterem, jak tylu jego ludzi. Zamiast tego siedzi we własnym brudzie razem z dwunastką ocalałych dowódców i z Kaberą, który uszedł z życiem, oferując piratom swoje umiejętności uzdrawiacza. Nie brakowało wśród nich tych z nie gojącymi się ranami albo innych, z infekcjami genitaliów, po prostytutkach z odludnych portów. Stary człowiek uwijał się między nimi od rana do nocy, kiedy skończyła się bitwa, i tylko raz na dzień wolno mu było obejrzeć rany i zmienić opatrunki Rzymianom.

Gaditykus cicho westchnął i podrapał się po głowie. Pchły i wszy oblazły go już pierwszej nocy spędzonej w ciasnej brudnej kajucie. Gdzieś wyżej mężczyźni, którzy ich więzili, obnosili swoją butę po pokładzie pirackiego statku, bogaci w spodziewany okup i w skrzynie srebra ukradzione z ładowni Accipitera. Opłaciło im się ryzykować, pomyślał i skrzywił się na wspomnienie ich arogancji i triumfu.

Związano mu ręce i nogi i jeden z piratów splunął mu prosto w oczy. Gaditykus omal nie zadławił się gniewem, kiedy to sobie przypomniał. Człowiek był ślepy na jedno oko i miał

szpetną twarz, całą w starych bliznach i w twardej szczecinie zarostu. Białe oko zdawało się przewiercać rzymskiego dowódcę na wylot i kiedy, na dodatek, rozległ się sprośny rechot, niewiele brakowało, by Gaditykus okazał mu swoją pogardę i przez bezsensowny gniew

doznał jeszcze gorszego upokorzenia. Zamiast tego patrzył przed siebie beznamiętnie i kiedy ta miernota kopnęła go na odchodnym w żołądek, ledwo chrząknął.

- Powinniśmy spróbować uciec - wyszeptał Swetoniusz prosto w ucho Gaditykusa.

- Cezara na razie nie można ruszyć, więc porzuć takie myśli. Żądania okupu dotrą do każdego miasta nie wcześniej jak w

parę miesięcy, i tak samo długo będą szły pieniądze, jeśli w ogóle przyjdą. Będzie dość czasu na planowanie ucieczki.

Praksa piraci także oszczędzili. Bez zbroi wydawał się o wiele bardziej zwyczajny. Odebrano mu nawet pas, na wypadek gdyby chciał użyć grubej sprzączki do porachunków, i stąd nieustannie

Rozdział V

69

podciągał swoje bracae. Ze wszystkich pojmanych Rzymian Praks okazywał najmniej gniewu z powodu nagłej odmiany losu, a jego wrodzony spokój pomagał panować nad sobą całej reszcie.

- Co prawda, centurionie, chłopak ma rację. Niewykluczone, że po prostu wyrzucą nas za burtę, jak tylko przyjdzie srebro z Rzymu. Albo że senat nie pozwoli naszym rodzinom zapłacić okupu, woląc o nas zapomnieć.

Gaditykusem zatrzęsło.

- Praks, zapominasz się. Senat to także Rzymianie, nieważne jaką masz o nim opinię. Nie zapomni o nas, to niemożliwe.

Praks wzruszył ramionami.

- Tak czy owak, planów zrobić nie zaszkodzi. Jeżeli ta tyrema wejdzie w drogę innej rzymskiej jednostce, wyrzucą nas za burtę na pierwszą oznakę, że tamci przymierzają się do wejścia na nasz pokład. Kawałek łańcucha na naszych nogach zrobi swoje.

Gaditykus mierzył się wzrokiem ze swoim zastępcą.

- W porządku. Przemyślimy to i owo, ale jak nadarzy się okazja do ucieczki, nie zostawię tu żadnego człowieka. Cezar ma złamaną rękę i rozbitą głowę. Zanim stanie na nogi, miną tygodnie.

- Jeżeli przeżyje - wtrącił Swetoniusz. Kabera spojrzał ostro na młodego dowódcę.

- Ten, którego masz na myśli, jest silny i opiekuje się nim doświadczony uzdrawiacz.

Swetoniusz nie wytrzymał spojrzenia starego człowieka. Zmieszany odwrócił wzrok.

Gaditykus przerwał nagłą ciszę.

- Mamy czas rozważyć każdą okoliczność. Mamy mnóstwo czasu.

ROZDZIAŁ VI

łvasaweriusz, dokonując przeglądu pomieszczeń kuchennych, pogratulował sam sobie.

Odpowiednio wcześnie wydał polecenia i teraz gorączkowa wieczorna krzątanina dobiegała końca.

- Perfekcja zawiera się w rzeczach drobnych - mruknął pod nosem, jak zwykł to robić każdego wieczoru od dziesięciu lat, od kiedy został zatrudniony u Korneliusza Sulli. Dobre lata, choć jego niegdyś szczupła figura zdążyła nabrać niepokojąco okrągłych kształtów.

Kasaweriusz oparł się o gładką gipsową ścianę, nie przestając ucierać w moździerzu ziaren gorczycy na ostrą pastę, którą Sulla uwielbiał. Umoczył palec w ciemnej masie, oblizał go i dodał trochę oliwy i octu z całego rzędu dzbanuszków o wąskich szyjkach, wiszących na ścianach. Czy dobry kucharz mógłby się oprzeć próbowaniu własnoręcznie przyrządzanych potraw? Próbowanie to nieodłączna część całego procesu. Jego ojciec był jeszcze grubszy i Kasaweriusza napawała dumą jego otyłość. Wiedział, że jedynie głupiec mógłby zatrudniać chudego kucharza.

Ceglane piece były odcięte od dopływu powietrza dostatecznie długo i teraz należało je schłodzić. Kasaweriusz skinął na niewolników, niech wygarniają popiół. Rano załaduje się je węglem drzewnym na nowo. W kuchni wciąż było gorąco, a on, przyznawał to, przy swojej tuszy pocił się bardziej niż inni.

Chętnie by dokończył ucierania pasty w jednym z chłodnych pomieszczeń, gdzie

przygotowywano mrożone dania, lecz nie cierpiał zostawiać niewolników bez nadzoru.

Wiedział, że kradną jedzenie dla swoich rodzin, i umiar wybaczał. Spuszczeni z oczu Rozdział VI

jednakże mogli być bardziej nieostrożni i kto wie, co by zniknęło? Pamiętał, jak jego ojciec użalał się wieczorami na to samo, i szepnął parę słów modlitwy za starego człowieka, gdziekolwiek by teraz był.

Dzień, który mijał, był dobrym dniem i już wszędzie panował spokój. Dom Sulli słynął z doskonałego jedzenia i kiedy pan życzył sobie czegoś szczególnego, Kasaweriusz, ogarnięty podnieceniem, wprawiał w ruch całą służbę, a sam niecierpliwie sięgał po zwoje przepisów, pospiesznie rozwiązywał rzemienie na cennych pergaminach i przebiegał palcami po nazwach potraw, czerpiąc radość z tego, że litery nie mają przed nim tajemnic. Jego ojciec powiadał, że każdy kucharz powinien być wykształconym człowiekiem, i Kasaweriusz westchnął, kierując myśli ku własnemu synowi, rozczarowaniu jego życia. Chłopak spędzał ranki w kuchniach, ale to, czego się nauczył, wyparowywało mu z głowy już przed wieczorem, i chcąc nie chcąc, Kasaweriusz musiał się pogodzić z myślą, że nie zostawi po sobie następcy.

Na razie jednak dzieliły go lata od chwili, kiedy zostawi naczynia i piece i wycofa się do zacisznego domu w jakimś miłym zakątku miasta. Być może wtedy znajdzie czas na

podejmowanie gości, może spełni odwieczne marzenie żony. Jakoś nigdy nie potrafił

skorzystać z własnych umiejętności we własnym domu i zwykle zadowalały go proste

potrawy z mięsa i warzyw. Na tę myśl żołądek zaburczał mu trochę, tym bardziej że

niewolnicy właśnie wyciągali z popiołu, pieczone w węglach swoje chleby i mięso. Dla kuchni tych kilka gorących kęsów, z którymi wracali do swoich kwater, nie było wielką stratą, a coś takiego stwarzało przyjazną atmosferę, był tego pewien.

Obok przeszedł nowy niewolnik, Dalcjusz. Odnosił na miejsce, na metalowej tacy, pojemniki z przyprawami. Kasaweriusz uśmiechnął się do niego, a mężczyzna zaczął opróżniać tacę.

Tak, to był dobry sługa. Człowiek prowadzący licytację niewolników nie skłamał, mówiąc, że mężczyzna zna się na robocie w kuchni. Kasaweriuszowi przyszło na myśl, że mógłby

pozwolić mu przygotować jakieś danie na następną ucztę, oczywiście pod jego czujnym okiem.

- Upewnij się, że przyprawy trafiają na właściwe miejsce, Dalcjuszu.

Solidnie zbudowany mężczyzna skinął głową, odwzajemniając uśmiech. Nie był gadatliwy, to jasne. Jeszcze tylko ta broda, pomyślał Kasaweriusz. Jego ojciec nigdy nie godził się na brody w kuchniach, mówiąc, że coś takiego nadaje miejscu nieporządny wygląd.

Spróbował pasty z gorczycy raz jeszcze i z uznaniem oblizał usta, zauważając przy tym, że Dalcjusz szybko i zręcznie wykonał polecenie. Sądząc po bliznach, wyglądał na dawnego wojownika, ale w ruchach mężczyzny nie było nic z dawnej gwałtowności. W przeciwnym razie Kasaweriusz nie mógłby go trzymać w kuchniach, gdzie wieczny pośpiech i bieganina nieustannie groziły niefortunnymi zderzeniami. Złe usposobienie nie miało racji bytu w bogatych domach, ale Dalcjusz, choć milczek, okazał się człowiekiem uprzejmym.

-Jutro rano potrzebny mi będzie ktoś do pomocy, żeby przygotować ciasta. Chciałbyś to zrobić? - Kasaweriusz nie zdawał sobie sprawy, że mówi powoli, jak do dziecka, lecz tamtemu chyba to nie przeszkadzało. Gruby kucharz nie był złośliwy i st.qtjs.xtjs, się

ucieszył, kiedy Dalcjusz milcząco skinął głową. Kucharz musi mieć dobre oko do służby, jego ojciec zawsze to powtarzał. Zapracowanie się na śmierć i perfekcja to były dwie różne sprawy. - …a perfekcja zawiera się w rzeczach drobnych - mruknął pod nosem raz jeszcze.

Na końcu długiego kuchennego pomieszczenia otworzyły się drzwi prowadzące do górnych pomieszczeń i pojawił się w

nich ubrany ze smakiem niewolnik. Kasaweriusz, bezwiednie odkładając na bok moździerz i tłuczek, wyprostował plecy.

- Pan przeprasza za późną godzinę, lecz jest ciekaw, czy przed snem dostałby coś zimnego, jakieś mrożone danie - powiedział młody elegant.

Kasaweriusz, ceniący uprzejmy sposób bycia, podziękował za miłe słowa.

- Dla wszystkich gości? - spytał, myśląc szybko.

- Nie, panie, goście odeszli. Został tylko wódz.

- Zatem poczekaj. Coś się znajdzie, to oczywiste.

Kuchnie ze stanu wieczornego odrętwienia przeszły w stan pogotowia, gdy tylko Kasaweriusz wydał nowe rozkazy. Dwaj chłop-Rozdział VI

cy na posyłki ruszyli pędem w dół schodów do składów lodu, mieszczących się dużo poniżej poziomu kuchni. Kasaweriusz przeszedł pod niskim łukiem, w głąb korytarza, gdzie

przygotowywano desery.

- Cytrynowy lód, jak myślę - powiedział sam do siebie. - Lód i soczyste dojrzałe cytryny z południa.

W chłodnym deserowym pokoju panował idealny porządek. Na ścianach, podobnie jak w

głównej kuchni, wisiały dziesiątki amfor wypełnionych syropami i słodkimi sokami,

przyrządzanymi i uzupełnianymi za każdym razem, kiedy w kuchniach robiło się spokojniej.

Po tamtejszym żarze nie było tu ani śladu i Kasaweriusz poczuł na ciele przyjemny dreszcz chłodnego potu.

W kilka minut przyniesiono blok lodu, zawinięty w płótno, i pod jego kierunkiem lód rozdrobniono i roztarto na proszek. Jego ojciec mówił, że lód nie może być żółty.

Kasaweriusz uśmiechnął się na widok doskonałego koloru i wspaniałej konsystencji, dodał

sok z cytryny, dokładnie tyle ile trzeba, zmieszał jedno z drugim i sięgnął po czerpak, by napełnić dwa szklane puchary, już ustawione na tacy.

Pracował w pośpiechu. Lód topił się nawet w chłodnym pomieszczeniu, więc podróż przez kuchnie nie mogła trwać długo. Kasaweriusz miał nadzieję, że pewnego dnia Sulla pozwoli na wycięcie w skale - pod swoim luksusowym domem - innego przejścia i lodowe desery da się dostarczać bezpośrednio na górę. Choć i teraz, przy odpowiednim zadbaniu i pośpiechu, dania trafiały na jego stół prawie nie tknięte upałem.

W kilka zaledwie minut szklane puchary wypełniły się białym lodem. Kasaweriusz oblizał

palce i aż stęknął z zachwytu. Co za rozkosz zażywać chłodu latem! Zmarszczył na moment brwi, zastanawiając się, jaką wartość w srebrze miałyby te dwa puchary, ale suma była raczej niewyobrażalna. Najpierw wozy i woźnice transportowali olbrzymie lodowe bloki z gór, tracąc w drodze połowę. Potem wnoszono je do mrocznych, ociekających wodą lodowni pod kuchniami, gdzie pomału się topiły, ale mimo to dostarczały chłodnych napojów i deserów przez wszystkie letnie miesiące. Przypomniał sobie o sprawdzeniu zapasów. Już prawie pora zamówić nowe.

Dalcjusz wszedł za nim do pomieszczenia, wciąż z tacą w dłoniach.

- Czy mógłbym się przyjrzeć, jak się przygotowuje mrożony deser? Mój ostatni pan nie miewał w domu lodu.

Kasaweriusz skinął dłonią zachęcająco.

- Deser już gotowy. Teraz trzeba go szybko przenieść przez kuchnie, nim lód zacznie topnieć.

Dalcjusz, pochylając się nad stołem, potrącił łokciem dzbanek i lepki syrop rozlał się po tacy szeroką żółtą plamą. Kasaweriusz stracił humor w jednej chwili.

- Szybko, ty głupcze, leć po coś do wytarcia. Lód topnieje. Wielki niewolnik wyjąkał ze strachem:

-Ja… ja przepraszam. Mam tu inną tacę, panie.’ Kasaweriusz chwycił jeden puchar, chwycił

drugi i wytarł je skrajem przepoconej szaty. Nie szkodzi, pomyślał. Ważne, żeby lód się nie stopił. Postawił puchary na podsuniętej przez Dałcjusza tacy i ze złością otarł palce o biodra.

- Nie stój, jakbyś wrósł w ziemię, biegnij! I jak mi się potkniesz o własne nogi, każę cię wychłostać!

Dalcjusz ruszył w te pędy, a Kasaweriusz wziął się sam do wycierania rozlanego syropu.

Możliwe, że ten człowiek jest zbyt niezdarny jak na trudne zadania.

Za drzwiami, w korytarzu, wystarczyła chwila, by niewolnik wlał do pucharów buteleczkę trucizny i zamieszał ją palcem. Zrobiwszy to, wpadł do kuchni i wręczył tacę oczekującemu niewolnikowi.

Oczy, które wydawały się przed chwilą wystraszone, teraz patrzyły spokojnie na plecy mężczyzny znikającego za prowadzącymi na górę drzwiami. Musiał uciekać, lecz najpierw należało dokończyć niewdzięcznego dzieła. Westchnął. Kasaweriusz nie był złym

człowiekiem, ale pewnego dnia w przyszłości, nawet jak zetnie brodę i zapuści włosy do zwykłej długości, kucharz może go rozpoznać.

Zawrócił w stronę chłodnych pomieszczeń. Ogarnięty nagłym znużeniem, dotknął kościanej rączki noża przygotowanego na tę chwilę i schowanego pod tuniką. Musiał działać tak, by sprawa wyglądała na morderstwo, nie na samobójstwo. To uchroni rodzinę Kasaweriusza od zemsty.

Rozdział VI

75

- Wręczyłeś mu tacę? - warknął kucharz na wracającego niewolnika.

- Tak. Przepraszam, Kasaweriuszu.

Niewolnik szedł prosto na niego. Kucharz podrzucił głową, zdziwiony takim zachowaniem, i w tym momencie zobaczył błysk noża. Przeszył go strach, zmieszany z niedowierzaniem.

- Człowieku, odłóż to!

Niewolnik podniósł ramię i wbił sztylet w pulchną pierś, rozrywając serce. Uderzył jeszcze dwa razy, żeby być pewnym.

Kasaweriusz walczył o oddech, ale było za późno. Twarz mu zsiniała i zamachał ramionami; czerpaki i dzbanki poleciały ze stołów z głośnym brzękiem.

Niewolnik stał. Zrobiło mu się niedobrze. Jako gladiator i legionista, przez wszystkie tamte lata nie zabił niewinnego. Teraz czuł się splamiony. Kasaweriusz był miłym człowiekiem i niewolnik wiedział, że bogowie gniewają się na tych, którzy krzywdzą dobrego. Wziął się w garść, oderwał oczy od potężnego ciała, które tymczasem osunęło się na podłogę, i podszedł

spokojnie do drzwi. Jego kroki głośno zadudniły w kuchennym korytarzu. Teraz musiał

uciekać i dotrzeć do Ferkusa, zanim zrobi się zamieszanie.

Sulla rozpierał się na sofie w niedbałej pozie, nieuważnie przysłuchując się temu, co mówił

jego wódz, Antonidus. To był długi dzień i senat chyba próbował zawetować jego nominacje na nowych urzędników. Zrobili go dyktatorem z mandatem do przywrócenia porządku w

republice i przez pierwszych kilka miesięcy dość chętnie spełniali każde jego życzenie.

Ostatnio dyskusje i długie przemowy na temat władzy i jej ograniczeń ciągnęły się godzinami i doradcy mu powiedzieli, że chwilowo powinien nie nadużywać ich uprzejmości. To są miernoty, pomyślał. Ludzie lękliwi w czynach i przyziemni w marzeniach. Mariusz uznałby ich za głupców, gdyby jeszcze żył.

- …sprzeciwy będą dotyczyć liktorów, mój przyjacielu - mówił Antonidus.

Sulla prychnął pogardliwie.

- Sprzeciwy czy nie, i tak uprę się przy dwudziestu czterech.

Mam wielu wrogów i chcę, by liktorzy przypominali o mojej władzy, kiedy się

przechadzam między Kapitelem i kurią. Antonidus wzruszył ramionami.

- W przeszłości było tylko dwunastu. Może lepiej ustąpić senatowi w tej sprawie, zebrać siły na poważniejsze negocjacje.

- To banda bezzębnych staruchów! - warknął Sulla. - Czy w minionym roku nie wrócił do Rzymu ład i porządek? Czy to oni go zaprowadzili? Nie. Gdzie był senat, kiedy walczyłem na śmierć i życie? Czy pomogli mi wtedy? Nie. Jestem ich panem i powinni to sobie dawno wbić do głowy. Zmęczyło mnie ciągłe chodzenie na palcach wokół tej ich wrażliwości i udawanie, że republika jest wciąż młoda i silna.

Antonidus milczał, wiedząc, że jakiekolwiek protesty spotkają się jedynie z nowym

wybuchem gniewu i pogróżkami. Doradcą do spraw armii, co należało poczytywać sobie za wielki honor, został na samym początku, tyle że jego pozycja nic nie znaczyła; Sulla posługiwał się jego imieniem do maskowania własnych rozkazów. Mimo to w pewnym sensie rozumiał jego rozczarowanie. Senat dążył do zachowania własnej godności i dawnej władzy, zostawiając dyktatorowi sprawę utrzymania spokoju w mieście i poza miastem, na wszystkich rzymskich terytoriach. To było śmieszne i taka gra szybko zmęczyła dyktatora.

Wszedł niewolnik z lodami. Postawił je na niskim stole, ukłonił się i wyszedł. Sulla poderwał

się, zapominając o całej złości.

- Ach, deser lodowy! Musisz spróbować. To najlepsza rzecz na upał. - Podniósł do ust srebrną łyżkę raz i drugi i mrużąc oczy w zachwycie, szybko opróżnił puchar; był gotów zawołać o jeszcze jeden. Wydawało się, że cytrynowy lód schłodził całe jego ciało i kojąco podziałał na umysł. Ponaglił zwlekającego Antonidusa: -Jedz, proszę, inaczej wszystko stopnieje. Ale i wtedy będzie to wciąż wspaniale orzeźwiający napój.

Antonidus posłusznie sięgnął po łyżkę. Spieszyło mu się skończyć rozmowę i pójść do domu, do rodziny, wiedział jednak, że nie wstanie z miejsca, dopóki Sulla się nie zmęczy.

-Jutro senat zatwierdzi twoich nowych urzędników - powiedział.

Sulla znów się rozparł i znów nadąsał.

Rozdział VI

77

- Doprawdy? Jestem zobowiązany. Ale jeden dzień zwłoki i senat pożałuje. Rozwiążę go, na bogów, a drzwi każę zabić deskami! - Mówiąc to, lekko się skrzywił i położył dłoń na żołądku.

-Jak to zrobisz, wybuchnie kolejna wojna domowa i miasto znów stanie w płomieniach -

przestrzegł Antonidus. - Choć podejrzewam, że tak czy inaczej to ty zwyciężysz. Masz niezachwiane poparcie w legionach, dobrze o tym wiesz.

- To ścieżka królów - odrzekł Sulla. - Ścieżka, która pociąga mnie i odrzuca jednocześnie.

Kochałem republikę i dalej bym kochał, gdyby u jej steru stali tacy jak ci, którzy władali nią, kiedy byłem chłopcem. Ale odeszli, a rządy miernot, które zostały, sprowadzają się do pokrzykiwania na mnie.

Nagle czknął, krzywiąc się bardziej, i w tym momencie także Antonidus poczuł w jelitach pierwsze ukłucie bólu. Jego wzrok padł na puchary, jeden pusty, drugi ledwo tknięty.

- Co to znaczy?! - wrzasnął Sulla, prostując się. Wnętrzności rozsadzał mu ogień, a twarz wykrzywił nagły grymas zrozumienia.

- Czuję to samo - przyznał przerażony Antonidus. - To mogła być trucizna. Włóż palce do gardła, szybko!

Sulla stanął niezdarnie, po czym opadł na kolana. On chyba umiera, pomyślał Antonidus.

Ignorując własny ból, rzucił się ku dyktatorowi i wepchnął palec w miękkie usta. Nie strawiona treść żołądka chlusnęła szeroką strugą. Antonidus się skrzywił. Sulla jęknął, a oczy uciekły mu w głąb czaszki.

- No, jeszcze, jeszcze! - nalegał Antonidus, napierając palcem na miękkie włókna gardła.

Żołądek Sulli skurczył się drugi raz i z ust pociekła ciemna żółć i ślina. Trzeci skurcz minął

na sucho. Dyktator wydał z siebie ostatni świszczący oddech, po czym piersi mu się zapadły, płuca przestały pracować. Antonidus krzyknął o pomoc i sam zwymiotował. Na dnie

śmiertelnego strachu tliła się nadzieja, że połknął nie dość trucizny, by umrzeć.

Straże przybyły szybko, lecz Sulla już był blady i cichy, a półprzytomny Antonidus, obryzgany cuchnącą mazią wszystkiego, co zjedli, ledwo trzymał się na nogach, ale żołnierze nie wiedzieli, co począć. Zabrakło rozkazów.

- Wezwać medyków! - wychrypiał Antonidus przez palące ży-

wym ogniem, opuchnięte gardło i starając się pokonać własną słabość, wziął sprawy w swoje ręce. - Opieczętować dom. Dyktator został otruty! - zawołał pełniejszym głosem. - Wysłać ludzi do kuchni. Chcę wiedzieć, kto przyniósł tutaj tę breję i chcę znać imię każdego, kto jej dotykał. Ruszać! - Wydawszy rozkazy, opadł bezsilnie na sofę, tam gdzie ledwo kilka minut wcześniej spokojnie rozprawiał o senacie. Wiedział, że musi działać szybko, inaczej Rzym popadnie w

chaos, gdy tylko ponure wieści przedostaną się na ulice. Zwymiotował jeszcze raz. Ciało miał mdłe, ale umysł jasny.

Medycy zlekceważyli wodza i podbiegli prosto do Sulli. Dotknęli nadgarstka i szyi dyktatora i popatrzyli jeden na drugiego w niemym przerażeniu.

- Nie żyje - stwierdził jeden, z pobielałą twarzą.

- Jego zabójcy zostaną odnalezieni i rozdarci na pół. Przysięgam na moją rodzinę i moich bogów - wyszeptał Antonidus, głosem równie gorzkim jak smak w ustach.

Tubruk znalazł się przy bocznej bramie, prowadzącej na ulicę, w tej samej chwili, kiedy w domu Sulli podniosły się krzyki. Drogę zastąpił mu tylko jeden strażnik, ale mężczyzna był

czujny, świadomy swych obowiązków i miał posępną twarz.

- Odejdź stąd, niewolniku - powiedział stanowczo, kładąc dłoń na swoim gladiusie.

Tubruk warknął gniewnie, skoczył do przodu i zwalił go z nóg jednym ciosem. Żołnierz stracił przytomność. Tubruk już miał go przeskoczyć, wybiec przez boczne wejście dla służby i zniknąć, ale się zatrzymał. Mężczyzna mógłby go rozpoznać i podać rysopis, chyba że wcześniej zapłaci głową za wypuszczenie zabójcy. Stłumił w sobie rozpacz, która

przepełniała go od chwili zabicia Kasa-weriusza. Miał obowiązki wobec Kornelii i Juliusza - i pamięci ojca Juliusza, który mu zaufał na całe życie.

Sięgnął po krótki sztylet i uważając, by nie pobrudzić sobie tuniki, poderżnął żołnierzowi gardło. Mężczyzna wydał z siebie bulgoczący dźwięk, lecz nim śmierć zdążyła go zabrać, jeszcze spojrzał jasnym wzrokiem. Tubruk rzucił sztylet. Przez nikogo nie zatrzymywany wyszedł na ulicę i wmieszał się pomiędzy nielicznych prze-Rozdział VI

chodniów, nieświadomych, że porusza się między nimi stary podstępny wilk.

Bezpieczny mógł być dopiero u Ferkusa, lecz dom przyjaciela leżał dobrą milę dalej i chociaż Tubruk szedł szybko, nie mógł

biec ze strachu, że ktoś zwróci na niego uwagę i rzuci się w pogoń. Słyszał już za sobą znajomy stukot żołnierskich sandałów, kiedy zajmowali pozycje i zaczynali zatrzymywać tłumy, szukając broni i podejrzanej twarzy.

Legionistów, omiatających spojrzeniem tłum i usiłujących przebić się naprzód i zamknąć ulicę, pojawiało się coraz więcej. Tubruk skręcił w boczną uliczkę, potem w drugą, starając się panować nad nerwami. Jeszcze nie wiedzieli, kogo ścigają, lecz musiał zgolić brodę, jak tylko się znajdzie w bezpiecznym miejscu. Cokolwiek się zdarzy, wiedział, że nie mogą go wziąć żywego. Jeśli szczęście dopisze, mogą go nigdy nie powiązać z majątkiem i z rodziną Juliusza.

Żołnierze zaczęli zamykać ulicę. Widząc to, jakiś niepozorny mężczyzna wybiegł nagle z tłumu, porzucając koszyk z warzywami. Tubruk podziękował bogom za czyjeś nieczyste sumienie i starał się nie patrzeć do tyłu, jak żołnierze go dopadają, chociaż trudno było nie słyszeć rozpaczliwych pisków człowieka i trzasku głowy o bruk. Tubruk szedł dalej, zakręt za zakrętem, szybkim marszem, i w końcu krzyki zaczęły zostawać za nim i przycichać. Cienie już dobrze zgęstniały, kiedy zwolnił i wszedł do wskazanego przez Ferkusa zaułka.

Początkowo zdawało mu się, że dom jest opuszczony, lecz potem w nieoświetlonych

drzwiach stanął przyjaciel i kiwnął na niego dłonią. Szybko wszedł do środka i oparł się O

ścianę jakiegoś brudnego małego pomieszczenia, które oznaczało bezpieczeństwo,

przynajmniej chwilowe. Nerwy miał napięte do granic wytrzymałości.

- Zrobiłeś to? - spytał Ferkus, podczas gdy Tubruk usiłował zapanować nad oddechem i wyciszyć gwałtownie bijące serce.

- Chyba tak. Dowiemy się jutro. Zamknęli ulicę, ale udało mi się przedrzeć. Bogowie, ledwo, ledwo!

Ferkus podał mu brzytwę i pokazał na miskę z zimną wodą.

- I tak musisz zniknąć z miasta, przyjacielu. Jeżeli Sulla nie żyje, nie będzie to łatwe. Jeżeli żyje, będzie prawie niemożliwe.

80

-Jesteś gotów na to, co masz zrobić? - spytał Tubruk cicho, wcierając wodę w gęsty zarost.

- Jestem, choć z bólem.

- Na pewno nie większym od tego, który mnie czeka. Zrób to, jak tylko się ogolę.

Tubruk przyłożył wąskie błyszczące ostrze do policzka. Zadrżała mu ręka. Skaleczył się i zaklął.

- Pozwól, że ja to zrobię - powiedział Ferkus, wyjmując mu brzytwę z dłoni.

Przez kilka minut obaj milczeli i myśleli gorączkowo.

- Wyszedłeś niezauważony? - spytał Ferkus, męcząc się nad oporną szczeciną.

Minęła długa chwila, nim Tubruk odpowiedział.

- Tak. Zabiłem dwóch niewinnych ludzi.

- Republika gotowa jest ścierpieć odrobinę krwi na swojej szacie, jeżeli śmierć Sulli przywróci równość obywatelom. Nie żałuję twojego czynu, Tubruku.

Tubruk w milczeniu czekał, aż Ferkus upora się z jego zarostem. W końcu wytarł twarz. W

oczach czaił mu się smutek.

- Zrób to teraz, kiedy jeszcze nie doszedłem do siebie. Ferkus westchnął ciężko. Popatrzył w twardą męską twarz,

w której nie było nic z pokory niedawnego Dalcjusza.

- Może… - Ferkus się zawahał.

- To jedyny sposób. Już o tym mówiliśmy. Zrób to! - Tubruk zacisnął dłonie na poręczy ławy i wysunął twarz do przodu.

Ferkus podniósł pięść i wymierzył pierwszy cios, a potem bił tak długo, aż twarz starego gladiatora zamieniła się w nierozpoznawalną plamę. Tubruk, słysząc trzask kości nosa, łamiącego się powtórnie wzdłuż dawnych linii, splunął na podłogę. Ferkus oddychał ciężko. Tubruk zakaszlał, krzywiąc się.

- Nie przestawaj… jeszcze nie - wyszeptał, przepowiadając sobie w myślach dalszy ciąg.

Kiedy Ferkus dokończy bicia, pójdą razem do jego domu. W wynajętej na jedno popołudnie ruderze nie będzie najmniejszego śladu po ich obecności. Tubruk zostanie przykuty do łańcucha i razem z innymi rano opuści miasto. Jego twarz będzie spuchnięta. Ostatnią rzeczą, jaką zrobi przed udaniem się na targ

Rozdział VI

niewolników, będzie podpisanie się własnym imieniem na dokumencie sprzedaży. Ferkus dostarczy do majątku jednego więcej anonimowego niewolnika, gotowego do ciężkiej pracy na polach. W końcu Tubruk podniósł rękę i Ferkus się zatrzymał, zdyszany i zdziwiony, ile wysiłku wymaga bicie. Siedzący na krześle mężczyzna ledwo przypominał tamtego, który wszedł tu o zmierzchu z ulicy. Ferkus zrobił dobrą robotę.

- Nigdy nie biję moich niewolników - mruknął. Tubruk uniósł powoli głowę.

- Nie biłeś niewolnika - powiedział, połykając krew.

Brutus kucnął zziajany za skalną grzędą. Z piątki ścigających ich Greków dwóch z łukami zostało w tyle, podczas gdy reszta skradała się ostrożnie ku ściganym. Jeśli któregoś z nich -

jego czy Reniusza - wypłoszą z ukrycia, strzały przeszyją ich na wylot i gra będzie skończona.

Myślał gorączkowo. Był pewien, że w jednym z łuczników rozpoznał męża Liwii, wyglądało więc na to, że Liwia zdołała przekonać mężczyznę do swojej niewinności i że nie 7xa&2L7S.

się nikt, kto by zaprzeczył jej słowom. Bez wątpienia Liwia powita go w domu jak bohatera, niech tylko przywlecze ze sobą ciało Brutusa.

Wspomnienie tamtej kobiety rozpaliło go na nowo. Jej tępy mąż pewnie nigdy nie doceni, co posiada.

Reniusz oddał sztylet młodszemu mężczyźnie, zdając się w zupełności na solidną wagę gladiusa. Brutus swój miecz trzymał u boku i czekał na atak, mając po sztylecie w każdej dłoni. Wiedział, że mógłby rzucić nimi dostatecznie mocno, by zabić, lecz nie miał szansy wycelować i jednocześnie nie stać się celem łuczników. Ryzyko nieuniknione.

Wystawił głowę nad krawędź i ogarnął wzrokiem pozycje mężczyzn wspinających się do niego. Łucznicy krzyknęli ostrzegawczo do swoich towarzyszy, lecz Brutus zniknął za skałą i przesunął się na inne miejsce. Tym razem podniósł się na całą wysokość i cisnął sztyletem, nim sam rzucił się na dół za grzędę.

Syk złowrogiej strzały nałożył się na głośne plaśnięcie ugodzonego ciała. Brutus, ze sztyletem w drugiej dłoni, przesunął się dalej, do Reniusza, i uśmiechnął od ucha do ucha.

- Przestań się szczerzyć, pewnie tylko go zadrasnąłeś - burknął Reniusz.

Nim Brutus zdążył się odciąć, przez skalny grzbiet przelał się strumień wściekłych okrzyków.

Reniusz dodał:

- I zdenerwowałeś. A to już gorzej.

Brutus spiął się do następnej próby. Najchętniej wziąłby na cel któregoś łucznika, ale ktoś inny mógłby chwycić łuk, poza tym stali za daleko od skalnej grzędy, która kryła Rzymian.

Wyskoczył w górę i niemal się zderzył z mężczyzną, który wyrósł tuż nad nim. Mężczyzna zastygł na jego widok i Brutus, korzystając z zaskoczenia, zatopił ostrze w

odsłoniętym gardle, opadł na ziemię i przeczołgał się na brzuchu parę stóp dalej, wznosząc kurz za sobą.

Wtedy, wymachując mieczami, napadli na Brutusa dwaj inni. Rzymianin podniósł się, by stawić im czoło, usiłując nie spuszczać oka z łuczników i utrudniając im celowanie szybkimi zwodami w lewo i w prawo.

Strzała padła u jego stóp w tej samej chwili, gdy nadział na miecz pierwszego Greka i zasłonił

się nim jak tarczą. Umierający mężczyzna jeszcze zdążył przekląć tańczącego z nim w jedną i drugą stronę Rzymianina, po czym bluznął z ust strugą krwi. Brutus zaklął, pchnął

wiotczejące ciało w ramiona drugiego Greka i przebił mu pachwinę jednym śmiertelnym ciosem. Oba ciała upadły cicho na karłowate krzaki, a Brutus stanął oko w oko z mężem Liwii w momencie, kiedy ten uwalniał strzałę.

Rzymianin odwrócił się, ale nim skoczył za skałę, rozedrgana strzała dosięgnęła go i uderzyła w plecy. Ocaliła go zbroja i Brutus, tocząc się po ziemi, pobłogosławił swoich bogów za szczęście. Poderwał się na nogi w samą porę, by zobaczyć, jak Reniusz jednym uderzeniem pięści powala męża Liwii i mierzy wzrokiem ostatniego napastnika, który stał przerażony, z drżącymi od napinania łuku ramionami.

- Spokojnie, chłopcze, spokojnie - zawołał Reniusz. - Zejdź na dół, do konia, i ruszaj do domu. Jeżeli wypuścisz tę strzałę, przegryzę ci gardło.

Brutus zrobił krok w stronę Reniusza, ale stary gladiator powstrzymał go wyciągniętą ręką.

‘

Rozdział VI

83

- On wie, co ma robić, Brutusie. Dajmy mu trochę czasu. Młody mężczyzna potrząsnął głową blady ze strachu. Mąż Liwii

zaczął się wić na ziemi i Reniusz przycisnął mu kark stopą.

- Powalczyliście sobie, chłopcy, dosyć. Pora wracać do domu i zrobić wrażenie na żonach imponującą opowieścią. One nie mogą się doczekać swoich bohaterów - ciągnął Reniusz, łagodnie wzmacniając nacisk, i w końcu mąż Liwii zaczął się dławić.

Łucznik zwolnił cięciwę. Zrobił dwa kroki do tyłu.

- Pozwól mu odejść - powiedział z wyraźnym akcentem. Reniusz wzruszył ramionami.

- Najpierw rzuć łuk.

Młody człowiek wahał się tak długo, że mąż Liwii zdążył spur-purowieć, i dopiero wtedy cisnął broń za siebie. Łuk stuknął o kamienie, a Reniusz zdjął stopę, pozwalając rzężącemu mężczyźnie stanąć na nogi. Stary gladiator nie wykonał żadnego ruchu, kiedy dwaj młodzi Grecy szybko się oddalali.

- Zaczekajcie! - krzyknął nieoczekiwanie Brutus i obaj zastygli w miejscu. - Macie trzy niepotrzebne konie. Chcę dostać dwa.

Kornelia siedziała wyprostowana naprzeciw Antonidusa, tego samego, którego nazywano psem Sulli, i patrzyła zmartwiałym wzrokiem.

Mężczyzna był bezlitosny, wiedziała o tym, i przepytując ją, w niesamowitym skupieniu obserwował każdą zmianę na jej twarzy. Nie słyszała niczego pochlebnego o wodzu Sulli i nieokazy-wanie strachu czy ulgi na wieści, które przynosił, przychodziło jej z trudem. Córka spała w jej ramionach. Postanowiła nazwać ją Julia.

- Czy twój ojciec wie, że jesteś tutaj? - smagnął głosem jak biczem.

Ledwo potrząsnęła głową.

- Nie sądzę. Sulla zawezwał mnie, kiedy byłam w domu męża, pod Rzymem. Czekam w tych komnatach, razem z dzieckiem, od wielu dni i poza niewolnikami nie widuję nikogo.

Wódz zmarszczył czoło, jakby to, co usłyszał, nie zabrzmiało prawdziwie.

- Dlaczego Sulla cię zawezwał? - zapytał, nie spuszczając z niej oka.

Przełknęła nerwowo, wiedząc, że on to dostrzegł. Co miała mu powiedzieć? Że Sulla ją zgwałcił, podczas gdy dziecko płakało u jej boku? Mógł się głośno roześmiać albo, co gorsza, pomyśleć, że próbuje oczernić tamtego po śmierci i kazać ją zabić.

Antonidus obserwował, jak kobieta kurczy się ze strachu i niepewności, i miał ochotę wymierzyć jej policzek. Była wystarczająco piękna, żeby było oczywiste, dlaczego tu jest, choć dziwił się, że Sullę mogło poruszyć wciąż jeszcze nieforemne ciało.

Był ciekaw, czy za tym morderstwem stoi jej ojciec, i zmełł w ustach przekleństwo, uzmysławiając sobie, że na liście wrogów brakuje jeszcze jednego imienia. Jego informatorzy donosili, że Cynna przebywa w interesach na północy Italii, lecz morderców można nasłać z każdego miejsca. Nagle wstał. Szczycił się swoją umiejętnością rozpoznawania kłamcy, lecz ona albo była bez rozumu, albo nic nie wiedziała.

- Nie podróżuj. Gdzie będziesz, jakbym zechciał cię tu znów sprowadzić?

Kornelia zmagała się przez chwilę z nagłą radością. Uwolnią ją! Czy powinna wrócić do domu w mieście, czy do majątku Juliusza? Do majątku! Do Klodii. Klodia pewnie wciąż tam jest.

- Będę pod Rzymem, w domu, skąd mnie zabrano. Antonidus, już myśląc o kłopotach, z którymi przyszło mu się

zmierzyć, ledwo skinął głową.

- Przykro mi z powodu tej tragedii - dodała wbrew samej sobie.

- Odpowiedzialni za nią odcierpią z właściwym naddatkiem - powiedział twardym głosem i znowu wpatrzył się w nią badawczo.

Kornelii się zdawało, że szuka w jej twarzy fałszu i że być może go znajduje.

Antonidus wstał i ruszył marmurową posadzką ku drzwiom. Mała Julia obudziła się i zaczęła kwilić. Samotna w obcym domu, pozbawiona opiekunki, powstrzymując łzy, Kornelia

obnażyła pierś i podała ją dziecku.

ROZDZIAŁ VII

1 ubruk obudził się sztywny z zimna, ale do świtu było jeszcze daleko. Słyszał wokół siebie poruszenia innych ciał w ciasnej norze, gdzie spali i skąd, skuci łańcuchami, mieli wyruszyć w drogę.

To była ta część planu, opracowanego z Ferkusem, do której przywiązywał najmniejszą wagę.

Gdyby zamach na Sullę się nie powiódł lub gdyby go schwytano podczas ucieczki, czekałyby go tortury i śmierć.

Rozejrzał się wokół, nawet w ciemnościach wyławiając wzrokiem ludzkie kształty i czując ciężar żelaznych kajdan przykuwających jego ręce do gładkiego łańcucha, który pobrzękiwał

przy najlżejszym ruchu. Wolałby nie pamiętać, czym taki łańcuch był dla niego za pierwszym razem, ale tamte dni, noce i lata wezbrały w nim czarną falą bólu i poniżenia, aż trudno było nie krzyknąć. Kilku uwiązanych mężczyzn załkało cicho i Tubruk pomyślał, że nigdy nie słyszał bardziej smutnego dźwięku.

Jedni mogli być przywiezieni z dalekich lądów, drudzy popadli w niewolę za występek czy długi. Wiedział, że istnieje sto sposobów, by stać się niewolnikiem, ale urodzić się do stanu niewolniczego było najgorsze. Jako dzieci, biegali i bawili się w szczęśliwej niewiedzy, aż stawali się dostatecznie dorośli, by zrozumieć, że nie mają innej przyszłości poza sprzedaniem.

Tubruk oddychał zapachami stajni: oliwa i słoma, pot i skóra, ludzie-zwierzęta, którzy nie mieli niczego i byli przywiązani do swojego miejsca. Wyprostował się, nie zważając na ciężar

łańcucha. Inni niewolnicy uważali, że jest jednym z nich, winny jakiegoś

przestępstwa, jeżeli pobito go tak okropnie. Strażnik uznał go za wichrzyciela z tej samej przyczyny. Że jest wolny, wiedział tylko Ferkus.

Myślenie nie przynosiło pocieszenia. Nie wystarczało powiedzieć sobie, że jest tylko w krótkiej podróży z majątku i wolności. Jeżeli jesteś uważany za niewolnika i jeżeli jesteś skuty w ciemnościach, niezdolny się podnieść, to gdzie zatem jest cenna wolność? Jeżeli wolny człowiek jest przykuty do kajdan niewolnika -jest niewolnikiem. Tubruk poczuł stary, bezimienny strach, jaki ogarnął go w tym samym pomieszczeniu przed dziesiątkami lat. Jeść,

spać, wstawać i umierać na czyjąś zachciankę - powrócił do tego i wszystkie jego lata dumy z wykuwania własnej drogi do wolności zdawały się zamieniać w popiół.

- Taka krucha rzecz - powiedział tylko po to, by usłyszeć własny głos.

Mężczyzna obok chrząknął przebudzony, niemal przewracając Tubruka na drugi bok, kiedy chciał się podnieść. Tubruk odwrócił wzrok, wdzięczny ciemnościom. Nie chciał, by przez okna w górze przeniknęło światło i odsłoniło ich twarze. Zmierzali ku krótkiemu, ciężkiemu życiu na polach, do pracy, aż upadną i nie będą mieli sił, by się podnieść. Byli tacy jak on.

Być może jeden czy dwóch z tego pomieszczenia, dzięki wyjątkowej sile czy zwinności, zostanie wybranych i ćwiczonych na arenę. Będą wykrwawiać swoją przyszłość w piach. Być może jeden czy dwóch dochowa się dzieci i zobaczy, jak są zabierane na sprzedaż, kiedy tylko dorosną.

Światło, na przekór jego chęciom, powoli przychodziło, ale skuci niewolnicy byli nieruchomi, apatyczni w swoim zamknięciu.

0 tym, że wielu czuwa, świadczyło tylko lekkie podzwanianie łańcucha, kiedy się poruszali.

Ze światłem przychodziło jedzenie

1 czekali na nie cierpliwie.

Tubruk sięgnął do twarzy i się skrzywił, oceniając opuchliznę po uderzeniach pięści Ferkusa.

Kiedy go przyprowadzono, strażnik nawet nie krył zdziwienia. Ferkus nie był znany jako człowiek okrutny i strażnik wiedział, że Tubruk musiał go ciężko znieważyć, skoro nosi ślady takiego pobicia na noc przed odstawieniem do nowych właścicieli. Oczywiście nie padły żadne pytania. Pomimo że niewolnicy spędzali u niego tylko kilka dni, kiedy na nich zara-Rozdział VII

87

biał, posiadał ich tak całkowicie jak stołek, na którym siedział, czy szaty, które nosił.

Dostali drewniane miski ze zlewkami z gotowanych warzyw i chleb i kiedy Tubruk zanurzył

palce w swojej, drzwi znów się otworzyły i weszli trzej żołnierze oraz Ferkus. Tubruk zwiesił

głowę tak jak inni, nie śmiejąc spotkać niczyich oczu, choćby przypadkiem. Przez

pomieszczenie przeszedł szmer zainteresowania, ale Tubruk nie dołączył do niego. Zgadywał, dlaczego tu byli, i z napięcia zrobiło mu się zimno w środku. Do tej pory zdążyli przepytać wszystkich w kuchniach Sulli i wykryli, że brakuje jednego, o imieniu Dalcjusz. Ferkus mówił, że sprawdzą go przy bramach miasta, ale nie spodziewał się, że będą tak sumienni, by przeszukiwać jego pomieszczenia.

Tubruk czuł, że nawet w szarym świetle poranka zostanie natychmiast rozpoznany, lecz żołnierze poruszali się między jedzącymi niewolnikami bez pośpiechu; najwyraźniej

zamierzali skrupulatnie wykonać powierzone zadanie. Całkiem możliwe, że tak będzie, pomyślał gorzko. Gdyby go przeoczyli i gdyby go potem rozpoznano przy bramach,

ukarano by ich surowo. Był ciekaw, czy Sulla połknął truciznę, i zarazem wiedział, że może nie uzyskać pewności przez wiele dni czy nawet tygodni, jeżeli senat postanowi zwlekać z wieściami. Mieszkańcy Rzymu prawie nigdy nie widywali dyktatora, chyba że z daleka ponad głowami tłumu. Będą dalej żyli niczego nieświadomi, a jeżeli Sulla przeżył, mogą się w ogóle nie dowiedzieć o próbie otrucia.

Szorstka ręka chwyciła go za podbródek, kiedy powoli przeżuwał jedzenie. Tubruk dał sobie podnieść głowę i napotkał twardy wzrok młodego legionisty. Przełknął przeżuwany kęs, by nie wyglądać na zainteresowanego.

Żołnierz gwizdnął.

- No, temu to się oberwało - powiedział z podziwem w głosie. Tubruk nerwowo zamrugał.

- Znieważył moją żonę, żołnierzu - wtrącił się Ferkus. - Wymierzyłem mu karę sam.

- Zrobiłeś to? Naprawdę? - ciągnął legionista.

Tubruk odwrócił oczy i serce w nim zamarło; uświadomił sobie zbyt późno, że patrzy w oczy żołnierza, podczas gdy nie powinien.

- Gdyby znieważył moją, wyprułbym z niego wnętrzności - legionista warknął, puszczając podbródek Tubruka.

- I straciłbym zysk, tak? - odpowiedział pospiesznie Ferkus. Młody dowódca uśmiechnął się szyderczo i plunął jednym słowem:

- Kupcy.

Ruszył do następnego i Tubruk wyczyścił miskę, kryjąc za nią drżące z ulgi dłonie. Parę minut później żołnierze wyszli, a na ich miejsce pojawili się strażnicy i szarpnięciem łańcucha postawili ich na nogi, gotowych, by dać się przywiązać do wozu, który miał ich wywieźć z Rzymu, do nowych domów i nowego życia.

Juliusz przyciskał twarz do prętów małej drewnianej komórki pod pokładem tryremy i żeby lepiej widzieć, co się dzieje, przymykał uszkodzone lewe oko. W pewnym momencie

zaciągnął się powietrzem i odwrócił do innych.

- Port, bez wątpienia. Ciepły wiatr, zapach owoców i przypraw. Powiedziałbym, Afryka.

Po miesiącu przebywania w ustawicznym półmroku takie słowa wywołały poruszenie pośród Rzymian, siedzących czy leżących wzdłuż drewnianych ścian swojego więzienia. Juliusz popatrzył po ich twarzach, westchnął i powłócząc nogami, wrócił na miejsce.

Ten miesiąc był trudny dla wszystkich. Pozbawieni wody, nie goleni i nie myci, zazwyczaj skrupulatni w trosce o wygląd żołnierze zamienili się w brudnych obdartusów ze

szczeciniastymi brodami. Beczka, która miała im służyć za ustęp, była pełna po brzegi i otoczona rojem brzęczących much. Stała w kącie, ale ekskrementy osadzały się wokół na podłodze, a oni sami nie mieli czym się podetrzeć. W upale dnia powietrze robiło się kwaśne od niezdrowych odorów i w końcu dwaj mężczyźni zapadli na gorączkę, nad którą Kabera z trudem panował.

Stary uzdrawiacz robił co mógł, ale za każdym razem, kiedy przynosił jedzenie czy się przemykał, by doglądać chorych, piraci przeszukiwali go gruntownie. Wciąż miał pełne ręce roboty przy gnębiących ich dolegliwościach i dawał głowę, że na pokładzie triremy od lat nie było kogoś takiego jak on.

Juliusz poczuł narastający w czaszce ból. Stłumił jęk. Od kiedy

Rozdział VII

odzyskał przytomność, ból ten wciąż mu towarzyszył, nadwątlając w nim wolę i siły i sprawiając, że powarkiwał na innych. Byli irytujący i dzień po dniu dyscyplina się rozluźniała. Już nieraz Gadi-tykus musiał powstrzymać wymianę ciosów, gdy zawodziły nerwy.

Kiedy zamykał oczy, zwłaszcza lewe, ból przycichał, ale Kabera powiedział, że nie wolno mu tego robić i że każdego dnia przez parę godzin musi się wpatrywać w bliskie i dalekie przedmioty, jeśli nie chce oślepnąć po wyjściu na słońce. Juliusz musiał wierzyć, że w końcu wyjdą. Wróci do Rzymu i do Kornelii i jego niedola stanie się wspomnieniem. Czasami pomagała wyobraźnia. Czasami zdawało mu się, że to się już wydarzyło, że siedzi w słońcu na murach majątku, z ramieniem opasującym szczupłą talię Kornelii, i chłodzi ich lekki wiatr od wzgórz. Zapytałaby go, jak było w tamtej brudnej zatęchłej norze, a on wszystko by opowiedział. Żałował tylko, że jej twarz rozmywa mu się w pamięci.

Wyciągnął w górę rękę i popatrzył na nią bokiem, potem przeniósł wzrok na zamknięte drzwi, potem znów na rękę, jeszcze i jeszcze, do chwili aż lewa skroń zaczęła pulsować bólem.

Opuścił rękę, zniechęcony, i zamknął oczy. Wszyscy mieli słaby wzrok po miesiącu marnych racji żywnościowych, które jedynie utrzymywały ich przy życiu. Co by dał za zimne ostrygi, za ich śliski smak w ustach! Wiedział, że to niemądrze, jak człowiek sam sobie zadaje tortury,

lecz przed oczami pojawił mu się obraz muszli tak realny, jakby je rzeczywiście widział, i tak ostry jak jego wzrok przed walką na Accipiterze.

Z tamtego dnia nie pamiętał niczego. Wiedział tylko, że zdrowy i silny młody człowiek w okamgnieniu osłabł i zapadł się w ból i ciemność. Przez pierwsze dni po odzyskaniu świadomości przepełniał go gniew z powodu tego, co mu odebrano. Zaniewidział na lewe oko i trwało to tak długo, że przypuszczał, iż nie będzie widział nigdy i nigdy nie będzie zdolny sprawnie posługiwać się mieczem.

Swetoniusz stwierdził, że jednooki mężczyzna nie może być dobrym wojownikiem. Sam też zauważył, że nie trafia na rzeczy, po które sięga, że dłoń zamiata powietrze, podczas gdy on źle ocenia odległość. Powoli jednak oko zdrowiało, choć białe i czarne błyski, które wciąż się w nim pojawiały, rozwścieczały go i spra-90

wiały, że chciał pocierać powiekę. Podniósł dłoń, by to znów zrobić, lecz się powstrzymał, wiedząc, że to na nic.

Wyglądało na to, że ból głowy znalazł sobie inny kanalik w mózgu i przebijał się nim tak długo, aż się zagnieździł w nowym miejscu. Juliusz miał nadzieję, że zostanie tam i nie ogarnie całej czaszki. Myśl o tym, co zaczęło mu się przydarzać, napawała go strachem, z którego ogromu jeszcze nie zdawał sobie sprawy, ale do tej pory ból już trzy razy rozsadził

mu czaszkę błyskawicami świateł i pozbawił przytomności. Budził się z gorzkim smakiem żółci w ustach, we własnym brudzie, a przy nim klęczał Gaditykus i mocno przyciskał go do ziemi. Przy pierwszym ataku przygryzł sobie język tak mocno, że zadławił się własną krwią, ale teraz trzymali w pogotowiu oderwany z jego tuniki kawałek brudnej szmaty, aby w razie konwulsji miał na czym zacisnąć zęby.

Na niecierpliwy stukot stóp na wąskich szczeblach prowadzących z pokładu podnieśli głowy wszyscy czerwonoocy, cuchnący żołnierze. Działo się coś niezwykłego, co mogło przerwać dojmującą nudę, i nawet tych dwóch trawionych gorączką się poderwało, choć jeden, pewnie słabszy, zaraz opadł na plecy.

To był kapitan piratów, który w porównaniu z legionistami z Accipitera wprost tryskał

zdrowiem i lśnił czystością. Był tak wysoki, że wchodząc do ciasnego pomieszczenia, musiał

pochylić głowę. Towarzyszył mu drugi mężczyzna, gotowy do odparcia nagłego ataku

sztyletem i mieczem.

Gdyby ból nie rozsadzał Juliuszowi głowy, pewnie by się zaśmiał z takiej ostrożności.

Rzymianie, nie mając możliwości do ćwiczeń, stracili siły. Wciąż nie mógł się nadziwić, że tak prędko słabną nieużywane mięśnie. Kabera powiedział, że zamiast leżeć,

powinni się mocować między sobą, i pokazał, jak to robić, ale niewiele to pomogło.

Kapitan, patrząc na pełną nieczystości beczkę, starał się oddychać płytko. Twarz miał opaloną i pomarszczoną od mrużenia łatami oczu przed blaskiem morza. Nawet jego ubranie

pachniało świeżością. Juliusz desperacko zatęsknił za świeżym powietrzem i otwartą przestrzenią.

- Dopłynęliśmy do bezpiecznego portu. Za pół roku, w jakąś przypadkową noc, być może zostaniecie wysadzeni na ląd, wolni.

/

Rozdział VII

91

Kapitan przerwał, aby nacieszyć się efektem swoich słów; sama wzmianka o końcu niewoli sprawiła, że mężczyźni wbili w niego spojrzenia i zastygli w bezruchu.

- Sumy, o które chodzi, to delikatna sprawa - ciągnął głosem tak słodkim, jakby zwracał się do grupy przyjaciół, a nie do żołnierzy gotowych rozszarpać go samymi zębami. -

Oczywiście nie zażądamy aż tyle, by wasi najdrożsi nie mogli zapłacić. To byłoby na nic. A

jednak jakoś nie wierzę, że kiedy padnie pytanie, ile wasze rodziny dadzą za każdego, będziecie prawdomówni. Rozumiemy się?

- Wystarczająco - odpowiedział Gaditykus.

- Myślę, że nie ma nic lepszego niż kompromis. Każdy poda mi swoje imię, stopień i stan posiadania, a ja zdecyduję, czy kłamie, i dodam tyle, ile uznam za stosowne. To taka gra, powiedziałbym.

Milczeli, lecz ku ich bogom popłynęły ciche przyrzeczenia, a twarze nie ukrywały nienawiści.

- No to zaczynamy. - Wskazał na Swetoniusza, ale uciekł wzrokiem, kiedy młody człowiek podrapał się mimo woli w

jakieś swędzące miejsce. To, że wszy upodobały sobie jego ciało, było aż nadto widoczne.

- Swetoniusz Prandus. Jestem dowódcą straży najniższego stopnia. Moja rodzina nic nie posiada i nie ma nic do sprzedania - wyrecytował Swetoniusz grubym, zachrypniętym z powodu rzadkiego używania głosem.

Kapitan spojrzał z ukosa. Szacował go. Podobnie jak rzecz się miała z innymi, w wychudłym ciele nie było niczego, co mogło rozbudzić marzenia o bogactwie. Juliusz zdał sobie sprawę, że kapitan po prostu zabawia się ich kosztem. Że czerpie przyjemność ze zmuszania

aroganckich rzymskich dowódców do układania się z wrogiem. Ale jaki mieli wybór? Jeżeli pirat zażąda za dużo, a ich rodziny nie pożyczą pieniędzy lub, co gorsza, odmówią okupu, czeka ich szybka śmierć. Nie sposób było nie podjąć gry.

- Najniższego, powiadasz? Więc jak na najniższy stopień zażądam dwa talenty… pięćset sztuk złota.

Swetoniusz parsknął, chociaż Juliusz wiedział, że jego rodzina tyle, czy nawet dziesięć razy tyle, może bez kłopotu zapłacić.

- Bogowie, człowieku! Oni nie mają pieniędzy! - powiedział

Swetoniusz, a nieporządny wygląd w pewnym sensie potwierdzał jego słowa.

Kapitan wzruszył ramionami.

- Módl się więc do tych bogów, by je zebrali, albo pójdziesz za burtę, z kawałkiem łańcucha u nogi, żebyś dłużej nie był dla nich ciężarem.

Swetoniusz wpadł w głośną rozpacz, ale - zdaniem Juliusza - był z siebie zadowolony i na pewno uważał, że udało mu się przechytrzyć pirata.

- A ty, centurionie? Pochodzisz z bogatej rodziny? - spytał kapitan.

Gaditykus obrzucił go wściekłym spojrzeniem.

- Nie, ale cokolwiek powiem, nic to dla ciebie nie znaczy. Kapitan zmarszczył czoło, jakby się namyślał.

- Powiedziałbym… tak, jak na centuriona, jak na dowódcę okrętu, takiego jak ja… no cóż, byłoby zniewagą, gdybym zażądał mniej niż dwadzieścia talentów. To będzie jakieś pięć tysięcy w złocie, tak myślę. Tak.

Gaditykus patrzył w bok. Ignorował go, chociaż w głębi ducha rzeczywiście chyba był bliski rozpaczy.

-Jak się nazywasz? - Tym razem pytanie było skierowane do Juliusza.

On także miał zamiar nie zwracać uwagi na tego człowieka, ale głowa zapulsowała mu bólem i ukłuł go gniew.

- Nazywam się Juliusz Cezar. Dowodzę dwudziestką. Poza tym jestem panem zamożnego

domu.

Kapitan uniósł brwi, a inni chrząkali z niedowierzaniem. Juliusz wymienił spojrzenie z Gaditykusem, który potrząsnął znacząco głową.

- Proszę, proszę, panem domu! Jestem prawdziwie zaszczycony — zakpił kapitan. - Zatem tak samo. Dwadzieścia talentów.

- Pięćdziesiąt - rzucił Juliusz, prostując plecy.

Kapitan zamrugał. Twarz zaczęła mu czerwienieć i blednąc na przemian.

- Dwanaście tysięcy sztuk złota? - Najwyraźniej tracił pewność siebie.

- Pięćdziesiąt talentów. Powiedziałem. Przydadzą mi się, kiedy

cię dopadnę i zabiję. W końcu jestem daleko od domu - powiedział i mimo bólu w głowie zdobył się na dziki uśmiech. Kapitan oprzytomniał.

- To ty jesteś tym z rozbitą głową. Jak mi się zdaje, przy okazji postradałeś rozum. Zażądam pięćdziesięciu, ale jak nie przyjdą, pamiętaj… morze jest dość głębokie, bym cię więcej nie oglądał.

- Nie jest dość szerokie, byś się ukrył przed mną, synu prostytutki - odszczeknął się Juliusz. -

Przybiję twoich ludzi do krzyży ustawionych wzdłuż wybrzeża. Twoich dowódców każę

bezlitośnie udusić. Masz na to moje słowo.

Buchnęły w górę radosne okrzyki i żołnierze zaczęli się śmiać z kapitana. Mężczyzna pobladł

z gniewu. Przez chwilę wyglądało to tak, jakby miał zrobić jeden krok dalej i uderzyć Juliusza, ale się opanował i popatrzył pogardliwie na otaczających go brudasów.

- Wyznaczę wysokie ceny na wszystkich co do jednego. Zobaczymy, kto będzie się śmiał

ostatni! - ryknął, zagłuszając gwizdy, i wyszedł ze swoim człowiekiem. Ten zabezpieczył

drzwi mocnymi zasuwami, jeszcze przez pręty z niedowierzaniem potrząsając głową w stronę Juliusza.

Kiedy gniewne kroki oddaliły się i byli pewni, że nikt ich nie słyszy, Swetoniusz napadł na Juliusza.

- Dlaczego to zrobiłeś, głupcze? Przez twoją niepohamowaną dumę on wpędzi nasze rodziny w skrajne ubóstwo!

Juliusz wzruszył ramionami.

- Ten człowiek wyznaczy ceny takie, jakie spodziewa się dostać. Wcale nie musiał tu przychodzić, choć za mnie mógł zażądać pięćdziesiąt, z czystej złośliwości.

- Cezar ma rację - wtrącił Gaditykus - on się tylko bawił naszym kosztem. - Nagle

zachichotał. - Pięćdziesiąt talentów! Widzieliście tę jego twarz? Przemówił przez ciebie Rzym, chłopcze. -Chichot przeszedł w kaszel, ale centurion uśmiechał się dalej.

- Myślę, że źle zrobiłeś, rozdrażniając tego człowieka - upierał się przy swoim Swetoniusz i jeden czy dwóch innych poparło go mrukliwie.

- On zabił wielu Rzymian i zatopił Accipitera, a tobie się zdaje, że mielibyśmy się bawić w te jego gierki? Naplułbym na ciebie, gdybym miał czym - warknął Juliusz. - Mówiłem, co myślałem.

Kiedy będę na wolności, znajdę go i zabiję. Nawet jeśli to mi zabierze lata, zobaczy moją twarz, nim umrze.

Swetoniusz poderwał się wzburzony, ale stanął mu na drodze Pelitas.

- Siadaj, głupcze - wycedził przez zęby, popychając go pod ścianę. - I żadnych awantur. Nie między swymi.

Swetoniusz rad nierad ustąpił. Juliusz, drapiąc się bezwiednie pod łubkami na nadgarstku i nad czymś się zastanawiając, przestał zwracać na niego uwagę. Objął spojrzeniem chorych mężczyzn, leżących w wilgotnej, cuchnącej słomie.

- To miejsce nas zabije - powiedział.

- Masz rację - przytaknął Pelitas, którego od początku pochłaniała idea ucieczki. -Jesteśmy w porcie. Włazu do nas pilnuje tylko dwóch mężczyzn. Może warto zaryzykować, co?

- Może - powiedział Juliusz - ale oni są ostrożni. Nie wiem, czy się uda wyważyć drzwi, a potem sforsować klapę włazu tak szybko, by nie ściągnąć sobie na kark całej załogi.

- Użyjemy głowy Swetoniusza. Kilka mocnych uderzeń i drewno puści, ani się obejrzysz. Tak czy inaczej, zwyciężymy - zachichotał cicho.

Juliusz mu zawtórował.

Najbliższej nocy jeden z chorych żołnierzy umarł. Kapitan pozwolił Kaberze wywlec ciało i wyrzucić je za burtę bez żadnej uroczystości. Ci, którzy zostali, popadli w całkowitą rozpacz.

ROZDZIAŁ VIII

Jestem otoczony kobietami - powiedział pogodnie Tubruk, kiedy do cichego triklinium weszły Aurelia, Kornelia i Klodia, ożywiając je gwarem głosów i świeżą energią budzącego się dnia.

W parę tygodni po tym, jak Ferkus wprowadził go w bramy majątku i przekazał

poświadczenie sprzedaży w jego własne, uwolnione z żelaznych pęt ręce, Tubruk odzyskał

dawny spokój. Zbieranie się rankami całą czwórką, przy stole jadalni, przeszło w rytuał i Tubruk każdego dnia niecierpliwie czekał na ten pierwszy posiłek. O tej porze dnia Aurelia czuła się najlepiej, a także, jeśli się nie mylił w swoim osądzie, między nią, Kornelią i Klodią nawiązała się prawdziwa przyjaźń. Dom, milczący od czasu napadu niewolników na majątek, wreszcie rozbrzmiewał gwarem głosów i kobiecy śmiech pokrzepiał Tubruka na duchu.

Opuchlizna z jego twarzy z czasem zeszła i zniknęły sińce, choć do kolekcji starych blizn doszła nowa, nad lewym okiem, na pamiątkę ciężkich doświadczeń. Przypomniał sobie, z jaką ulgą pierwszy raz zobaczył na ulicach legionistów ubranych na czarno - kolor ten miasto miało oglądać przez rok żałoby po śmierci dyktatora. A jednak nawet wtedy czerń wydawała się niewłaściwa dla nastrojów Rzymu. Wiedział od Ferkusa, że przez senat powiał wiatr odnowy, że Cynna i Pompejusz pracują nad przywróceniem starej republiki i nad

odpędzeniem widma królów, które za sprawą Sulli straszyło obywateli Rzymu.

Zarządca majątku podróżował do miasta rzadko, zawsze zachowując ostrożność. Istniało duże prawdopodobieństwo, że nigdy

nie zostanie powiązany ze sprawą otrucia dyktatora, ale wystarczyłby cień podejrzenia czy jedno oskarżenie i senat w swej gorliwości wykrycia zabójcy zrównałby majątek z ziemią.

Gdyby dotarli do Ferkusa i torturowali go, wydałby im Tubruka, był tego pewien. Miał

rodzinę i miłość do niej wzięłaby górę nad honorem i przyjaźnią. Przecież jednak zrobili rzecz słuszną i zwyciężyli, choćby za cenę wiecznego niepokoju, choćby przyjaciele Sulli i jego stronnicy nigdy nie przestali poszukiwać zabójcy.

W miesiąc po powrocie do majątku Tubruk ubrał się w gruby płaszcz i pojechał do miasta, by złożyć ofiary w świątyniach Marsa i Westy w podzięce za życie Kornelii. Pomodlił się także za tych, których pozbawił życia, za Kasaweriusza i strażnika przy bramie.

Teraz Kornelia trzymała dziecko na kolanach, a Klodia co parę chwil wyciągała rękę, by je połaskotać i rozśmieszyć. Ciche chichoty Julii wywołały uśmiech nawet na twarzy Aurelii i Tubruk, rozsmarowując miód na chlebie, doznawał mieszanych uczuć. To dobrze, że Aurelia znalazła odrobinę dawnego szczęścia. Zbyt długo była otoczona przez surowych mężczyzn.

Kiedy pierwszy raz wzięła w ramiona wnuczkę, z jej oczu popłynęły bezgłośne łzy.

Z drugiej strony nie mógł nie zauważyć, że jest coraz bardziej słaba, i z udręką w sercu popatrzył na próżnujące przy stole dłonie. Podsunął w jej stronę koszyczek ze świeżym chrupiącym chlebem. Ich oczy spotkały się na sekundę. Aurelia odłamała drobny kęs i zaczęła

powoli żuć. Powiedziała mu kiedyś, że jedzenie sprowadza na nią ataki, że kiedy je, dostaje mdłości i torsji, i potem na jakiekolwiek wymówki z jego strony odpowiadała płaczem i uparcie powtarzała, że wcale jeść nie musi, że w niej miejsca

na jedzenie nie ma. Nim przyjrzał jej się bliżej, wyglądała jak szkielet.

Klodia znów połaskotała dziecko. Mała Julia beknęła, zwróciła mleko i wszystkie trzy kobiety poderwały się od stołu. Tubruk też wstał. Czuł się niepotrzebny i wcale się tym nie przejmował.

- Szkoda, że ojciec nie widzi, jak dziecko rośnie - powiedziała tęsknie Kornelia.

- Cierpliwości, skarbie, jeszcze zdąży zobaczyć - pocieszył ją Tubruk. - Piraci muszą trzymać ich przy życiu, w przeciwnym razie nie dostaliby okupu. To dla nich zwykły interes, nic więcej. Juliusz wróci do domu i teraz, kiedy Sulla nie żyje, zacznie wszystko na nowo.

Rozdział VIII

97

Kornelia zdawała się czerpać z jego słów więcej nadziei, niż on miał jej sam. Cokolwiek się stało i cokolwiek się stanie, Tubruk wiedział, że jeżeli Juliusz rzeczywiście zjawi się w majątku, po przeżytych doświadczeniach nie będzie taki jak przedtem. Młody człowiek, który zaciągnął się do służby na okręcie, by uciec przed Sullą, zmienił się. Jaki wróci, to się dopiero okaże. Życie w majątku, po zapłaceniu tak wysokiego okupu, stanie się cięższe dla

wszystkich. Sprzedał trochę ziemi rodzinie Swetoniusza, dotknięci taką samą potrzebą jak on, targowali się zawzięcie o cenę. Tubruk westchnął. Przynajmniej Juliusz ucieszy się, że ma córkę i kochającą żonę. To było więcej, niż miał on sam.

Spojrzał na Klodię. Kobieta odwzajemniła spojrzenie, a w jej twarzy pojawiło się coś, od czego zaczerwienił się jak chłopiec. Mrugnęła do niego, nim wróciła do dziecka i Kornelii, i Tubruk poczuł się dziwnie nieswojo. Powinien wyjść z domu i zająć się niewolnikami, którzy czekali na polecenia, mimo to usiadł, sięgnął po kawałek chleba i gryzł go kęs po kęsie, z nadzieją na drugi zachęcający błysk oczu.

Aurelia zachwiała się lekko. Tubruk podskoczył do niej i opiekuńczo objął kruche ramiona.

Była nieprawdopodobnie blada.

- Powinnaś odpocząć - powiedział uspokajająco. - Przyniosę ci coś smacznego do łóżka.

Aurelia nie odpowiedziała. Z pustką w oczach, potykając się o własne stopy, dała się odprowadzić od stołu. Tubruk poczuł, że jej ciało znów zaczyna drżeć i zapowiada się kolejny atak. Z przerażeniem pomyślał, że potem będzie jeszcze słabsza.

Kornelia i Klodia zostały same z dzieckiem. Klodia popatrzyła na drzwi, które zamknęły się za panią domu i jego zarządcą.

- To dobry człowiek.

- Szkoda, że za stary na męża - odpowiedziała całkiem szczerze Kornelia.

- Za stary? Jest wciąż silny, co do tego - rzuciła oschle Klodia, po czym zobaczyła jasne oczy Kornelii i poczerwieniała. - Widzisz za dużo, moje dziecko. Nakarmimy małą.

- Dzieci chyba zawsze są głodne - powiedziała Kornelia, krzywiąc się, kiedy Julia wcisnęła małą twarzyczkę w pierś i przyssała się do niej łapczywie.

- To pomaga je kochać - powiedziała Klodia.

Kornelia podniosła wzrok; ton głosu Klodii był dziwny, a oczy stały w obwódkach łez.

W chłodnym półmroku sypialni Tubruk przytrzymywał Aurelię najmocniej jak mógł i

potrząsając głową nad jej chudością, czekał, aż atak ustąpi całkowicie. Kiedy w końcu go rozpoznała, posadził ją delikatnie i podsunął pod plecy miękkie poduszki.

Tak samo jak teraz trzymał ją pierwszej nocy po pogrzebie jej męża i od tamtej pory stało się to niemal rytuałem. Wiedział, że Aurelia znajduje oparcie w jego sile, ale na kruchych członkach od uścisku jego ramion robiło się coraz więcej sińców. Teraz oddychał ciężko i

dziwił się wciąż na nowo, jak to możliwe, by na przekór zewnętrznej słabości wciąż była tak silna.

- Dziękuję - wyszeptała z przymkniętymi oczami.

- Nie ma za co. Przyniosę ci coś zimnego do picia i zostawię, byś odpoczęła.

- Nie chcę, żebyś mnie zostawiał, Tubruku.

- Czy nie pamiętasz, jak obiecałem, że będę się tobą opiekował? Zostanę tu tak długo, jak będę ci potrzebny - obiecał, usiłując nadać głosowi pogodny ton.

Otworzyła oczy i spojrzała na niego podejrzliwie.

- Juliusz, mój mąż, też mi to kiedyś obiecał, a mimo to odszedł. Tak samo mój syn.

- Bywa, że bogowie kpią z naszych obietnic, kochanie. Twój mąż był uczciwym człowiekiem, a twój syn wróci bezpiecznie. Nie mówiłbym tego, gdybym go nie znał.

Aurelia zamknęła oczy. Tubruk odczekał, aż zaśnie, i dopiero wtedy wymknął się z pokoju.

Podczas gdy wybrzeże smagały silne wiatry, zakotwiczona tryre-ma kołysała się z boku na bok i przetaczała przez fale zazwyczaj spokojnej, maleńkiej afrykańskiej zatoczki, z dala od rzymskich lądów. Mimo pustych żołądków kilku ich ludziom zbierało się na mdłości. Ci, którym ze skąpo wydzielanych racji zostały w jelitach jakiekolwiek resztki płynu, zaciskali dłonie na ustach, aby nie stracić ani kropli. Picia nigdy nie było pod dostatkiem i w kosz-Rozdział VIII

marnym upale ich ciała łaknęły jakiejkolwiek wilgoci. Prawie każdy stulał ciasno dłonie, oddając mocz, i wlewał go sobie do gardła tak szybko jak się dało, by nic z niego nie stracić.

Na Juliuszu kołysanie okrętu nie robiło żadnego wrażenia, dlatego czerpał radość z niedoli Swetoniusza, który leżał z zamkniętymi oczami, z dłońmi przyciśniętymi do żołądka i cicho pojękiwał.

Na przekór chorobie morskiej legionistów znów ogarnął optymizm. Kapitan zawiadomił ich przez swojego zastępcę, że okup został zapłacony w całości, że przewędrował lądy i morza do tajnego miejsca spotkania, gdzie go odebrał zaufany człowiek piratów, i że ów człowiek osobiście przebył ze złotem ostatni odcinek podróży i dostarczył je do odludnego portu, w którym kotwiczą. To, że kapitan osobiście nie zszedł na dół, Juliusz uznał za małe zwycięstwo. Nie widzieli go przez miesiące, od tamtego dnia, kiedy próbował ich dręczyć, i wcale im go nie brakowało. Gdyby przyszedł, mogłoby go zdziwić to, co by zobaczył. Dotarli do dna upodlenia i zaczynali odbijać w drugą stronę.

Grupa desperatów z pierwszych miesięcy teraz czekała cierpliwie na uwolnienie. Gorączka pochłonęła dwóch następnych i choć to było smutne, pozostałym zrobiło się trochę luźniej.

Nową wolę przeżycia wlał w nich także Kabera, któremu w końcu udało się wytargować większe racje. Ryzyko było duże, niemniej kiedy stary się zorientował, że jak nie będą lepiej karmieni i jak się nie zadba o czystość, to wolności doczeka mniej niż połowa, usiadł na pokładzie, odmawiając leczenia piratów, dopóki nie dostanie czegoś w zamian. Kapitan cierpiał właśnie na uporczywą biegunkę, której się nabawił w porcie, i po paru pogróżkach przystał na wszystko. Wraz z jedzeniem wstąpiła w ludzi nadzieja, a z nadzieją przyszła wiara, że znów mogą zobaczyć Rzym i wolność. Spuchnięte, krwawiące dziąsła zaczęły zdrowieć, a biały okrętowy łój, którego kubek pozwolono Kaberze zanieść pod pokład i który uzdrawiacz kazał wcierać w owrzodzenia, okazał się niezwykle skuteczny.

Juliusz też odegrał swoją rolę. Kiedy zdjęto mu łubki, był przerażony zanikiem mięśni i zaczął ćwiczyć natychmiast, według wskazówek Kabery. W ciasnej przestrzeni czterech ścian to była prawdziwa męka, ale Juliusz rozdzielił dowódców na dwie grupy,

po czterech i pięciu. Jedni zbijali się w kącie na godzinę, możliwie najciaśniej, robiąc w ten sposób miejsce drugim. Przez godzinę zapasów i dźwigania żywych ciężarów na własnych plecach mięśnie się odbudowywały, po czym następowała zmiana i przez następną godzinę pociła się druga grupa. Legionistom przybywało siły i gorączka straciła nad nimi władzę.

Rzadziej nękały Juliusza bóle głowy, chociaż przy jednym z najgorszych prawie zaniemówił.

Inni nauczyli się zostawiać go samego, gdy tylko bladł i zamykał oczy. Ostatni atak dopadł go przed dwoma miesiącami i Kabera powiedział, że jak dobrze pójdzie, jego kłopoty się skończą. Modlił się, by to była prawda. Pamięć o chorobie matki przyprawiała go o potworny lęk przed słabością, która paraliżowała wolę, rzucała ciało na ziemię i pogrążała umysł w ciemności.

Na wiadomość, że okręt jest gotów do podniesienia żagli i wzięcia kursu na jakiś odludny skrawek wybrzeża, aby ich tam wysadzić, legioniści z Accipitera podnieśli radosną wrzawę, a Pelitas z podniecenia nawet klepnął po plecach Swetoniusza. Wciąż nosili długie brody i mieli wygląd dzikusów, ale teraz fantazjowali jeden przez drugiego na temat łaźni i nacierania ciała olejkami.

Dziwne, pomyślał Juliusz, jak wszystko się zmienia. Podczas gdy kiedyś marzył, że zostanie wodzem jak Mariusz, teraz z największą przyjemnością myślał o czystym ciele. Jedyne, co się nie zmieniało, to pragnienie rozprawienia się z piratami. Niektórzy dyskutowali o powrocie do miasta, ale on wiedział, że nie wróci, dopóki pieniądze jego rodziny krążą po morzach w ładowni pirackiego statku. Kipiący w nim gniew był skutecznym lekiem na mdłości i ból, które brały się z nieustannych ćwiczeń ciała, i każdego dnia zmuszał się do coraz to nowych, wiedząc, że musi być silny, jeżeli słowa rzucone w twarz kapitanowi nie mają ulecieć z wiatrem.

Tryrema powoli zaczynała nabierać stabilności i kiedy Rzymianie usłyszeli uderzenie wioseł, zakrzyknęli wesoło. Statek wychodził na pełne morze.

- Wracamy do domu - powiedział niedowierzająco, zdławionym głosem Praks.

To słowo miało dziwną moc i jeden z mężczyzn zaczął szlochać.

Rozdział VIII

101

Inni odwrócili spojrzenia zakłopotani, choć podczas wspólnie spędzonych miesięcy zdarzało im się widzieć gorsze rzeczy. W tym czasie wiele się między nimi zmieniło. Gaditykus nieraz się głośno zastanawiał, czy mogliby znów pracować jako załoga, nawet gdyby zbudowano dla nich i spuszczono na wodę nowego Accipitera. Gaditykus z Praksem utrzymywali pozory dyscypliny, rozsądzając spory i przerywając bójki, lecz świadomość pozycji powoli się zatracała, kiedy osądzali jeden drugiego według nowych zasad i odkrywali w sobie różne siły i słabości.

Pelitas i Praks stali się dobrymi przyjaciółmi; jeden widział w drugim to samo flegmatyczne podejście do życia, mimo różnicy wieku. Praks po tygodniach zapasów i codziennych

ćwiczeń wyszczuplał i zbędny tłuszcz przerobił na twarde muskuły. Juliusz podejrzewał, że mężczyznę ucieszy nowy wygląd, jak tylko zmyje z siebie brud i zetnie brodę. Uśmiechnął się do swych myśli i podrapał pod pachą po gojącym się wrzodzie.

Gaditykus cierpiał na chorobę morską, ale nabrał kolorów, gdy okręt zaczął pruć fale, zamiast się na nich kołysać. Juliusz zaczął go darzyć respektem i sympatią, uczuciami, których brakowało w zwykłym posłuszeństwie wobec wyższego stopniem. Mężczyzna trzymał grupę razem i odnosiło się wrażenie, że docenia to, co Juliusz i Kabera robią dla innych.

Swetoniusz nie rozkwitł w niewoli. Widział więzi, które zadzierzgnęły się między Pelitasem, Praksem, Juliuszem i Gadity-kusem, i czuł do Juliusza gorzką urazę, że dołączył na czwartego do trzech pozostałych. Po jakimś czasie zaprzyjaźnił się z czterema innymi i spośród legionistów

wyłoniły się dwa obozy. Juliusz wykorzystał podział i w codziennych

ćwiczeniach jeden obóz szedł w zawody z drugim, Swetoniusz jednak nie przestawał siać zamętu, aż koniec końców któryś z dowódców dobrze mu przyłożył.

Wkrótce potem Kaberze, ku ogólnej radości, udało się przynieść pierwsze przyzwoite jedzenie, ale swoim zwyczajem stary wręczył owoce Juliuszowi, aby to on je rozdzielił.

Swetoniusz nie mógł się doczekać wolności i przywrócenia rozkazów, by mógł znowu

przeżyć chwilę, kiedy Juliusz uświadomi sobie, że znów jest tylko młodszym dowódcą.

Dwa tygodnie po opuszczeniu portu wyprowadzono ich po

ciemku na pokład i wysadzono na jakimś obcym lądzie, bez broni i zapasów. Nim mała łódź, która miała przewieźć Rzymian na brzeg, odbiła od tryremy, przy burcie pojawił się kapitan.

- Żegnajcie, Rzymianie. Będę o was myślał, trwoniąc wasze złoto - zawołał ze śmiechem.

Milczeli wszyscy. Juliusz przypatrzył mu się bacznie, jakby chciał dokładnie zapamiętać każdą zmarszczkę na jego twarzy. Był wściekły, że Kaberze nie pozwolono odejść razem z nimi, choć że tak się stanie, wiedzieli z góry. To był jeszcze jeden powód, by odnaleźć kapitana i poderżnąć mu gardło.

Na brzegu wioślarze przecięli im postronki i wycofali się ostrożnie, każdy z gotowym do uderzenia sztyletem.

- Radzę trzymać nerwy na wodzy - ostrzegł jeden. - Do Rzymu jeszcze daleko.

Potem szybko wsiedli do łodzi i docisnęli wioseł, wracając do tryremy, która czerniała na tle rozświetlonego księżycem morza.

Pelitas wziął w dłoń garść miękkiego piasku i roztarł go między palcami.

- Nie wiem jak wy, chłopcy, ale ja idę popływać. - Ściągnął z siebie brudne zawszone łachy i skoczył do morza. Minutę później na brzegu stał tylko Swetoniusz, a potem inni, wśród krzyków i śmiechu, wciągnęli i jego, razem z ubraniem, wszami i całą resztą.

Brutus, pomagając sobie sztyletem, ściągał skórę z kupionego w przydrożnej zagrodzie królika. Wnętrzności rzucał na oślizły stosik. Reniusz wygrzebał z ziemi kilka dzikich cebul; razem z chlebem i winem, sięgającym połowy długości worka, zapowiadała się całkiem przyjemna uczta na ich ostatni wieczór pod gołym niebem. Rzym był nie dalej niż o dzień podróży i po sprzedaniu koni wyszli na swoje.

Reniusz dorzucił do ognia parę grubych bierwion i umościł się możliwie najbliżej syczących ciepłych płomieni.

- Podaj mi wino, chłopcze - powiedział rozmarzony.

Brutus obrzucił starego sceptycznym wzrokiem, jednak posłusznie wyciągnął zatyczkę z chlupoczącego worka i tylko się przyglądał, jak Reniusz przechyla go sobie do ust i wlewa wino do gardła.

Rozdział VIII

- Na twoim miejscu bym się oszczędzał. Masz słabą głowę i nie chcę, żebyś się rzucił na mnie z mieczem albo roztkliwił nad sobą, albo jeszcze co innego.

Stary puścił jego słowa mimo uszu i pił dalej. W końcu najwyraźniej miał dość. Z

westchnieniem oddał worek.

- Jak to dobrze znów znaleźć się u siebie.

Brutus wstawił do żaru wypełniony po brzegi garnek i położył się po drugiej stronie ogniska.

- To prawda. Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo tęsknię za Rzymem, dopóki żeglarze nie wypatrzyli naszego brzegu. Wtedy wszystko we mnie odżyło. - Zapatrzył się w ogień.

Reniusz podniósł głowę i wsparł ją na łokciu.

- Bardzo się zmieniłeś od czasu, gdy cię uczyłem. Chyba ci nie mówiłem, jak byłem dumny, kiedy zostałeś centurionem Pięści z Brązu.

- Mówiłeś każdemu, kto chciał słuchać. W końcu usłyszałem i ja - uśmiechnął się Brutus.

- A teraz przystaniesz do Juliusza? - spytał Reniusz, zaglądając do bulgoczącej króliczej potrawki.

- Dlaczego nie? Szliśmy jedną ścieżką, pamiętasz? Tak powiedział Kabera.

- Mnie powiedział to samo - mruknął stary gladiator, próbując królika palcem. Chociaż mięso wyraźnie się gotowało, nie wyglądało na to, by się sparzył.

- To pewnie dlatego wracasz ze mną. Gdybyś chciał, mógłbyś zostać w Pięści.

Reniusz wzruszył ramionami.

- Chciałem być w sercu wydarzeń, jak zwykle. Brutus wyszczerzył w uśmiechu zęby.

- Wiem. Po tym, jak Sulla umarł, nadszedł nasz czas.

ROZDZIAŁ IX

JNie wiem, o czym mówisz. - Ferkus napiął ramiona, ale sznur, którym był przywiązany do poręczy ławy, nie ustąpił.

- Myślę, że wiesz, i to dobrze - odrzekł Antonidus, pochylając się nad nim. Twarze obu mężczyzn prawie się dotknęły. - Mam talent do wykrywania kłamstw w cudzych słowach.

Antonidus pociągnął nosem dwa razy i Ferkus przypomniał sobie, że nazywano go psem Sulli.

- Cuchniesz kłamstwem. Wiem, że byłeś w to zamieszany, więc po prostu się przyznaj, a nie będę musiał się uciekać do tortur. Stąd nie ma ucieczki, handlarzu niewolników. Nikt nie

widział, jak cię zatrzymywano, i nikt nie będzie wiedział o naszej rozmowie. Po prostu mi powiedz, z czyjego rozkazu doszło do zabójstwa i gdzie jest zabójca, a wyjdziesz stąd cały.

- Postaw mnie przed prawem. Znajdę obrońcę, który udowodni moją niewinność! -

powiedział trzęsącym się głosem Ferkus.

- Och, chciałbyś tego, a jakże. Dni stracone na jałowym gadaniu, podczas gdy senat próbuje udowodnić, że ma prawo do wszystkiego. Tu, w tym miejscu, nie ma żadnego prawa. Tu wciąż pamięta się o Sulli.

- Niczego nie wiem! - krzyknął Ferkus i ku jego uldze Antonidus aż się cofnął.

Wódz z żalem potrząsnął głową.

- Wiemy, że zabójca występował pod imieniem Dalcjusz. Wiemy, że był kupiony do prac kuchennych trzy tygodnie wcześniej. Zapis sprzedaży zniknął, to jasne, ale są świadkowie.

Czy sądzisz, że

Rozdział EX

105

pośrednik Sulli, kupujący na targu niewolnika, jest postacią nie rzucającą się w oczy? Twoje imię, Ferkusie, pojawia się raz za razem.

Ferkus zbladł. Wiedział, że nie pozwolą mu żyć. Nigdy już nie zobaczy córek. Przynajmniej nie ma ich w mieście. Wyprawił rodzinę z domu zaraz potem, jak żołnierze przyszli po zapisy z targu niewolników. Zrozumiał, co się stało, i wiedział, że nie może uciekać razem z nimi, jeżeli chce, by nie dopadły ich wilki wysłane przez przyjaciół Sulli jego tropem.

Z góry założył pewne ryzyko, ale po spaleniu poświadczenia sprzedaży uznał, że pośród tak wielu tysięcy innych dokumentów nie odkryją jego związku ze sprawą. Oczy wypełniły mu się łzami.

- Przytłacza cię wina? Czy tylko to, że zostałeś wykryty? - spytał ostro Antonidus.

Ferkus nic nie powiedział; patrzył w podłogę. Uważał, że nie zniesie tortur.

Mężczyźni, którzy weszli na rozkaz Antonidusa, byli wysłużonymi żołnierzami i nie

wyglądali na poruszonych swoim zadaniem.

- Chcę od niego imion - rzucił w ich stronę Antonidus. Odwrócił się znów do Ferkusa i podniósł głowę. Ich oczy spotkały się jeszcze raz. - Powstrzymanie tych' ludzi, kiedy już

zaczną swoje, będzie wprost niemożliwe. Lubią taką robotę. Czy jest coś jeszcze, co chciałbyś przedtem powiedzieć?

- Republika jest warta życia - powiedział Ferkus i oczy mu pojaśniały.

Antonidus się uśmiechnął.

- Republika nie żyje, ale ja uwielbiam mieć do czynienia z człowiekiem surowych zasad.

Zobaczmy, jak długo to potrwa.

Ferkus usiłował wcisnąć się w ławę, kiedy przycisnęli mu do skóry pierwsze drzazgi metalu.

Przez moment Antonidus obserwował scenę z zafascynowaniem, następnie twarz zaczęła mu blednąc i wykrzywił usta na stłumiony charkot, który wyrwał się z gardła Ferkusa, gdy obaj mężczyźni pochylili się nad nim. Kiwnąwszy do nich, by dalej robili swoje, wódz wyszedł, śpiesząc odetchnąć chłodnym nocnym powietrzem.

To było gorsze od wszystkiego, czego Ferkus kiedykolwiek zaznał, ta męka poniżenia i strachu. Usta mu się wykrzywiły, próbu-106

jąc uformować słowo, i obrócił głowę do jednego z mężczyzn, choć nabiegłe krwią oczy nie widziały więcej niż rozmazane kształty bólu i światła.

- W imię miłości do Rzymu, pozwólcie mi umrzeć. Pozwólcie mi umrzeć szybko.

Obaj mężczyźni znieruchomieli, wymienili spojrzenia, potem wrócili do swojego zajęcia.

Juliusz, trzęsąc się, siedział na piasku razem z innymi. Wreszcie jednak nadszedł dzień, aby ich ogrzać. Wymoczyli swoje łachmany w morzu, usuwając w ten sposób najgorsze miesiące cuchnących ciemności, ale musieli dać im schnąć na własnych ciałach.

Słońce podniosło się szybko i byli cichymi świadkami wspaniałego świtu, oglądanego pierwszy raz od czasu zatonięcia Acci-pitera. Wraz z nadejściem dnia ich oczom ukazała się wąska łacha piasku biegnąca wzdłuż obcego wybrzeża. Od strony lądu osłaniały ją aż po horyzont gęste zarośla, przecięte jakieś pół mili dalej szeroką ścieżką odkrytą przez Praksa, kiedy przepatrywał okolicę. Nie mieli pojęcia, gdzie kapitan ich wysadził, poza tym, że prawdopodobnie gdzieś w pobliżu ludzi. Żeby okupy mogły stanowić regularne źródło

dochodów, porwani powinni wracać do cywilizacji, i stąd wiedzieli, że wybrzeże nie będzie nie zamieszkane. Praks był pewien, że znajdują się w północnej Afryce. Powiedział, że rozpoznaje niektóre z drzew, i prawdą było, że ptaki, których klucz przeleciał im nad głowami, nie były z ich lądu.

- Możliwe, że jesteśmy blisko jakiejś rzymskiej osady - zauważył Gaditykus. - Są ich setki wzdłuż wybrzeża i nie możemy być pierwszymi porwanymi, których tutaj wysadzono.

Powinniśmy się zabrać z jakimś kupieckim statkiem i wrócić do Rzymu przed końcem lata.

- Ja nie wracam - powiedział spokojnie Juliusz. - Nie w takim stanie, bez pieniędzy i w łachmanach. Zamierzam zrobić to, co powiedziałem kapitanowi.

- Jesteś pewien, że ci się uda? Gdybyś nawet miał okręt i załogę, to i tak mógłbyś uganiać się miesiącami za tym jednym spośród setek piratów.

- Słyszałem, jak któryś ze strażników nazwał go Celsusem.

Rozdział IX

107

Nawet jeśli imię nie jest prawdziwe, to jest od czego zacząć. My znamy tryremę, a ktoś będzie znał jej kapitana. Gaditykus zmarszczył brwi.

- Posłuchaj, Juliuszu. Chciałbym spotkać tego łotra tak samo jak ty, lecz to po prostu niemożliwe. Nie dbałem o to, że rozdrażniasz głupca na jego własnym okręcie, ale

rzeczywistość jest taka, że wszyscy razem, jak tu jesteśmy, nie mamy ani jednego miecza, ani dwóch miedziaków, żeby potrzeć jednym o drugi.

Juliusz wstał i popatrzył na niego nieustępliwie.

- Więc na początek zdobędziemy miecz i dwa miedziaki, potem ludzi na załogę, potem statek do upolowania Celsusa. Wszystko po kolei.

Gaditykus odwzajemnił spojrzenie, czując kryjące się za nim napięcie.

- My? - spytał spokojnie.

- Zrobiłbym to sam, gdybym musiał, choć trwałoby to dłużej. Na wypadek, gdybyśmy byli razem, przygotowałem sobie parę pomysłów na odzyskanie naszych pieniędzy. Powitamy Rzym z dumnie podniesioną głową. Nie zamierzam przemykać się do domu ukradkiem.

- Coś takiego mnie też nie cieszy — odpowiedział Gaditykus. -Mojej rodzinie po wysłaniu złota grozi ubóstwo. Będą szczęśliwi, gdy mnie zobaczą, ale ja będę się przyglądał, jak ich życie z dnia na dzień zmienia się na gorsze. Jeżeli twoje pomysły nie są zwykłymi

mrzonkami, chętnie im się przysłucham. Porozmawiać nigdy nie zaszkodzi.

Juliusz wyciągnął dłoń i ścisnął ramię wysłużonego legionisty, a następnie zwrócił się do innych.

- Co z resztą? Czy chcecie wracać do Rzymu jak zbite psy, czy zostać tu parę miesięcy dłużej i odzyskać to, cośmy stracili?

- Oni mają na tym swoim trójrzędowcu coś więcej niż tylko nasze złoto - odezwał się Pelitas, cedząc słowa. - Coś, czego pilnują równie dobrze jak złota i byle gdzie tego nie zostawią. Jest spora szansa na to, że w ładowni będzie także legionowe srebro.

- Legionowe srebro należy do legionu! - warknął Gaditykus, z nutą dawnego autorytetu w głosie. - Nie, chłopcy. Nie będę zło-108

dziejem. Legionowe srebro jest znaczone pieczęcią Rzymu. Każda sztuka wróci do tych, którzy na nie zapracowali.

Inni pokiwali głowami, wiedząc, że to będzie uczciwe.

Swetoniusza aż poderwało.

- Mówicie tak, jakby złoto było tu, a nie na dalekim okręcie, na zawsze straconym dla naszych oczu, tymczasem nawet nie wiemy, gdzie jesteśmy. Nie chce wam się jeść?!

- Masz rację - powiedział Juliusz. - Lepiej ruszmy tamtym duktem. Jest przedeptany i powinien zaprowadzić nas do ludzi. Rozmowę odłóżmy na potem, kiedy napełnimy brzuchy przyzwoitym jedzeniem, zetniemy brody i wreszcie poczujemy się Rzymianami.

Grupa podniosła się i poszła we wskazanym kierunku. Swetoniusz został sam ze swoją złością i z otwartymi ustami. Po chwili jednak poczłapał za innymi.

Antonidus, w asyście dwóch milczących mężczyzn, przyglądał się bezwładnemu workowi ludzkiego mięsa. Skrzywił się współczująco na widok przemieszanych członków,

zadowolony, że w czasie kiedy to wszystko się działo, on mógł się na chwilę zdrzemnąć.

- Nic nie powiedział? - spytał, potrząsając głową w zdumieniu. - Na Jowisza… co wyście mu zrobili! Jak człowiek potrafi znieść coś takiego?

- Może on nic nie wiedział - mruknął jeden z posępnie milczących mężczyzn.

Antonidus rozważał to przez chwilę.

- Może. Żałuję, że nie dało się sprowadzić jego córek, wtedy byłbym pewny.

Wydawał się zafascynowany obrażeniami i oglądał ciało z bliska, wypatrując każdego ukłucia i oparzenia. Zagwizdał przez zęby.

- Zadziwiające. Nie uwierzyłbym, że miał w sobie taką odwagę. Nie próbował podać choćby fałszywych nazwisk?

- Nic, wodzu. Nie powiedział ani słowa.

Obaj mężczyźni, ukryci za plecami wodza, nisko pochylonego nad związanym ciałem,

spojrzeli sobie w oczy. To była ulotna chwila porozumienia, po czym ich twarze na nowo zrobiły się puste.

ą

Rozdział IX

109

Warron Emilianus powitał obszarpanych dowódców promiennym uśmiechem. Choć służbę w legionach zakończył piętnaście lat temu, widok młodych ludzi, wysadzonych przez piratów na ląd na jego małym skrawku wybrzeża, nie mógł nie sprawić mu przyjemności. Coś takiego przypominało o świecie, który niewątpliwie istniał poza jego miasteczkiem, choć na tyle daleko, by mu nie zakłócać spokojnego życia.

- Siadajcie - powiedział, wskazując wysiedziane sofy. Kiedyś były wspaniałe, lecz czas pozbawił tkaninę połysku, zauważył w duchu ze smutkiem. Choć tym chyba jest wszystko jedno, pomyślał, kiedy mężczyźni zajęli wskazane miejsca. Dwóch wciąż stało i Warron wiedział, że ci są najważniejsi. Takie małe sztuczki zawsze sprawiały mu przyjemność.

- Sądząc po wyglądzie, powiedziałbym, że porwali was piraci dla okupu. Och, doprawdy, piractwo to istna plaga na tym wybrzeżu. - Głos Warrona był pełen współczucia. Ciekawe, jaka byłaby ich reakcja, pomyślał Warron, gdyby wiedzieli, że pirat Celsus często zagląda do miasteczka, by porozmawiać ze starym przyjacielem i przekazać mu wieści i plotki z okolicznych miast.

- Mimo to ta osada jest nietknięta - zauważył młodszy z dwóch stojących.

Warron obrzucił go szybkim spojrzeniem. Młody legionista miał intensywnie niebieskie oczy.

Źrenica jednego była ciemna i rozszerzona, i Warron pomyślał, że patrzy przez kruchą skorupę miłego obycia gospodarza i widzi prawdziwego człowieka. Mimo skołtunionych bród przybysze wyglądali na silniejszych i nosili się wyżej niż te nędzne stworzenia, które Celsus zostawiał w pobliżu co parę lat. Trzeba uważać, stwierdził, jeszcze niepewny sytuacji.

Przynajmniej miał na zewnątrz synów, dobrze uzbrojonych i gotowych na każde wezwanie.

Ostrożność nigdy nie zawadzi.

- No cóż, to jest wybrzeże, na którym piraci wysadzają porwanych. Jestem pewien, że życzą im szczęśliwego powrotu do cywilizacji i liczą na następne okupy. Oni nie interesują się nami, my nie wtrącamy się do nich. Mamy tu swoje gospodarstwa. Rzym dał nam ziemię, byśmy dożywali swoich lat w spokoju. Zwalczanie piractwa to zajęcie dla naszych okrętów, jak myślę. - Puścił oko, spodziewając się, że młody człowiek albo się uśmiechnie, albo 110

zmiesza, że ich okręt nie podołał zadaniu. Ale młody człowiek dalej przewiercał go spojrzeniem i Warron poczuł, że traci dobry humor. - Moja mieścina jest za mała, by mieć łaźnię, ale jest tu kilka prywatnych domów, które was ugoszczą. A przynajmniej użyczą brzytew.

- Co z ubraniami? - spytał starszy.

Warron uzmysłowił sobie, że nie zna ich imion. Zamrugał. Nie prowadzi się tego rodzaju rozmów w taki sposób. Ostatnia grupa praktycznie łkała ze szczęścia, napotkawszy

Rzymianina na tak obcym lądzie, Rzymianina rozpartego na sofach, w solidnie zbudowanym kamiennym domu.

- Czy to ty jesteś dowódcą? - spytał, patrząc na młodszego.

- Dowódcą Accipitera byłem ja, ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie - warknął Gaditykus.

- Przykro mi, ale ubrań dla was nie mamy…

Nie dokończył. Młodszy skoczył ku niemu, chwycił za gardło, postawił na nogi, powalił na stół i przydusił do twardego drewna. Dławiący się Warron z przerażeniem patrzył w

niebieskie oczy, które zdawały się znać wszystkie jego tajemnice.

- Żyjesz w pięknym domu, jak na weterana - wysyczał mu nad uchem wściekły głos. -

Myślisz, żeśmy tego nie zauważyli? Jaki miałeś stopień? Pod kim służyłeś?

Uścisk zelżał, by mężczyzna mógł odpowiedzieć, i Warronowi przemknęła przez głowę myśl, by przywołać synów, ale dłonie młodego człowieka wciąż spoczywały niebezpiecznie na jego gardle.

- Byłem centurionem u Mariusza - wychrypiał. -Jak śmiesz… -Palce zacisnęły się raz jeszcze i głos mu ugrzązł w krtani. Warron ledwo mógł oddychać.

- Jesteś bogaty, tak? Na zewnątrz ukrywają się dwaj ludzie. Kim oni są?

- Moi synowie…

- Zawołaj ich. Nie chcę zaraz za progiem wpaść w zasadzkę. Ale jeden znak ostrzegawczy, a umrzesz, nim do ciebie podejdą. Masz moje słowo.

Warron uwierzył i wezwał synów, gdy tylko odzyskał oddech. Przyglądał się ze strachem, jak obcy szybko ruszają ku drzwiom,

chwytają wchodzących mężczyzn i odzierają ich z broni. Synowie Warrona próbowali

krzyczeć, ale błyskawiczne ciosy powaliły ich na ziemię.

- Mylisz się co do nas. Pędzimy tutaj spokojne życie - powiedział stary łamiącym się głosem.

- Masz synów. Dlaczego nie wrócili do Rzymu, aby dołączyć do armii, jak to robili ojcowie?

Co ich tutaj trzyma poza wspólnymi interesami z Celsusem i jemu podobnymi?

Młody dowódca zwrócił się do żołnierzy, którzy przytrzymywali synów Warrona.

- Wyprowadzić na dwór i poderżnąć gardła.

- Nie! Czego chcesz ode mnie? Niebieskie oczy znów spoczęły na nim.

- Chcę mieczy. Chcę złota, którym piraci płacą za tę cichą przystań. Chcę ubrań dla ludzi i zbroi, jeżeli ją masz.

- Dostaniesz wszystko, choć złota tu wiele nie ma - wyszeptał chrapliwie Warron.

- Radzę, nie prowadź ze mną fałszywej gry - syknął młody dowódca i ręce mocniej przydusiły gardło Warrona.

- Kim jesteś? - zapiszczał Warron.

-Jestem siostrzeńcem mężczyzny, któremu przysięgałeś służyć do śmierci. Nazywam się Juliusz Cezar.

Juliusz pozwolił mężczyźnie wstać. Twarz miał wciąż posępną i surową, choć rozpierała go radość. Ile to lat temu Mariusz powiedział mu, że żołnierz powinien czasami polegać na własnym instynkcie? Od pierwszej chwili zauważył dobrze utrzymaną główną ulicę i

schludne domy i wiedział, że bez jakiegoś porozumienia Celsus nie zostawiłby takiego miejsca w spokoju. Był ciekaw, czy we wszystkich osadach, położonych na wybrzeżu, dzieje

się to samo, i przez chwilę poczuł się winny. Rzym odsyłał swoich weteranów na odległe pogranicza, dawał im niewielkie działki ziemi i oczekiwał, że obronią się sami, utrzymując spokój jedynie dzięki swojej obecności. Czy mogliby przeżyć, nie wchodząc w układy z piratami? W jaki sposób? Być może na początku niektórzy walczyli, ale tych pewnie zabito i ich następcy nie mieli wyboru.

Popatrzył po synach Warrona i westchnął. Jak wielu było ta-

kich weteranów, których synowie nigdy nie widzieli Rzymu? Jak wielu spośród tych synów zaciąga się na pirackie okręty? Rzuciła mu się w oczy ciemna skóra tej pary, rysy, w których Rzym mieszał się z Afryką. Jak wielu im podobnych nie wie nic o lojalności własnych ojców? Nigdy by nie siedzieli tutaj, gdyby znali inny świat.

Warron potarł szyję, obserwując Juliusza spod oka i usiłując zgadnąć jego myśli. Kiedy zobaczył, że dziwne oczy młodego człowieka spoczęły na jego ukochanych synach,

zmartwiał. Bał się o nich. Wciąż wyczuwał gniew tamtego.

- Nie mieliśmy wyboru - powiedział. - Celsus mógł zabić nas wszystkich.

- Powinieneś słać wieści do Rzymu, powiedzieć im o piratach -odrzekł Juliusz, będąc myślami już daleko.

Warron niemal się roześmiał.

- Sądzisz, że republika dba o to, co się z nami dzieje? Zmuszają nas do wiary w swoje marzenia, kiedy jesteśmy młodzi i dostatecznie silni, by walczyć za nich, ale kiedy jest po wszystkim, spychają nas w niepamięć i wracają do przekonywania następnego pokolenia głupców, gdy tymczasem senat tuczy się na bogactwach krajów, które dla nich podbiliśmy.

Jesteśmy zdani na siebie i zrobiłem to, co musiałem.

Rozgoryczenie Warrona było szczere i Juliusz, patrząc na niego, bardziej się wyprężył.

- Korupcję można zwalczyć - powiedział. - Pod rządami Sulli senat umiera.

Warron potrząsnął głową.

- Synu, republika umierała na długo przed Sullą, ale ty byłeś za młody, by to widzieć. -

Wciąż pocierając szyję, opadł na miejsce.

Kiedy Juliusz odwrócił od niego oczy, zobaczył, że wszyscy dowódcy Accipitera obserwują go, czekając cierpliwie.

- A więc, Juliuszu? - powiedział cicho Pelitas. - Co robimy dalej?

- Weźmiemy najpotrzebniejsze rzeczy i ruszymy do następnego miasteczka. Potem do

następnego. Ci ludzie są naszymi dłużnikami. Pozwolili, by piraci czuli się u nich jak u siebie w domu. Nie

Rozdział IX

wątpię, że jest wielu takich jak on - odpowiedział, wskazując brodą na Warrona.

- Myślisz, że z innymi tak samo ci się uda? - powiedział Swetoniusz wystraszony tym, co się stało.

- Oczywiście. Następnym razem będziemy mieli miecze i porządne ubrania. Z innymi pójdzie łatwiej.

ROZDZIAŁ X

1 ubruk ścinał toporem uschnięty dąb. Spod każdego uderzenia leciały surowe drzazgi, ale martwe konary świadczyły o tym, że staremu drzewu przyszło umierać. Jeszcze parę

machnięć toporem i dotrze do środka pnia. Był pewien, że twardy rdzeń jest przegniły.

Pracował ponad godzinę i pot spływał po nim potężnymi strugami, ale ciężka praca pozwalała nie myśleć o

codziennych kłopotach. A te się mnożyły i po zapłaceniu okupu zarządzanie majątkiem stawało się coraz trudniejsze.

Przerwał zasapany i oparł dłonie na długim stylisku. Był czas, kiedy mógł wywijać toporem przez cały dzień, ale teraz miał siwe włosy nawet na piersi. Może to niemądre wciąż się zapracowywać, choć z drugiej strony starość najszybciej dopada tych, którzy siedzą i czekają na nią, a od pracy i ćwiczeń ma się przynajmniej płaski brzuch.

- Zawsze się wspinałem na to drzewo - w ciszę lasu wdarł się nieoczekiwanie czyjś głos.

Tubruk podskoczył i obrócił się, mocniej zaciskając dłonie na toporze.

Parę kroków dalej siedział Brutus, z założonymi rękami, a jego dawny szeroki uśmiech rozjaśniał mu oczy. Dawny opiekun zaśmiał się z radości i oparł topór o gruby pień dębu.

Milczeli przez dobrą chwilę, po czym Tubruk, chwyciwszy przybysza w ramiona, poderwał

go w górę.

- Na wszystkich bogów, Marku, jak to dobrze znów cię widzieć. Zmieniłeś się. Jesteś wyższy!

Niechże ci się dobrze przyjrzę -

Rozdział X

115

powiedział, wypuszczając młodego człowieka z objęć. - To zbroja centuriona. Powiodło ci się.

- Pięść z Brązu - odrzekł Brutus. - Nie przegrana ani jedna bitwa, choć pod moimi rozkazami raz czy dwa zanosiło się na klęskę.

- Nie wierzę. Bogowie, jestem z ciebie dumny. Wróciłeś na dobre czy tylko jest ci po drodze?

- W Czwartym Macedońskim odsłużyłem, co miałem do odsłużenia. Nim znajdę nowy legion, chcę załatwić w mieście parę spraw.

Tubruk dopiero teraz zauważył kurz na zbroi młodego człowieka.

- Dużo przeszedłeś?

- 2 pół świata, jak myślę. Reniusz nie lubi, jak konie przejadają jego pieniądze, ale w końcu wysupłał parę miedziaków na dwie chude szkapy.

Tubruk zachichotał, zarzucając topór na ramię.

- Wrócił z tobą? Myślałem, że po tym, jak mu spalili dom podczas tamtych zamieszek, nic z niego nie będzie.

Brutus wzruszył ramionami.

- Sprzedał tamtą działkę i szuka jakiegoś miejsca. W Tubruku ożyły wspomnienia.

Uśmiechnął się.

- Teraz Rzym jest dla niego za spokojny. Reniusz cierpi, gdy nic się nie dzieje. - Poklepał

Brutusa po ramieniu. - Wracamy do domu. Czeka na ciebie twój dawny pokój, a dobra gorąca kąpiel wyciągnie zmęczenie po podróży.

- A co z Juliuszem? Wrócił?

Tubruk się przygarbił, jakby topór nagle zaczął mu ciążyć.

- Piraci zatopili ich okręt i zażądali od rodzin okupu. Zapłaciliśmy, ale nie wiemy, czy żyje.

- Bogowie, o niczym nie słyszałem! Czy był ranny?

- Nic nie wiemy. Przysłano po okup, to wszystko. Musiałem opłacić strażników, żeby dostarczyć pieniądze na okręt. Pięćdziesiąt talentów.

- Nie sądziłem, że rodzina miała takie zasoby - zauważył Brutus.

- Teraz już nie ma. Trzeba było sprzedać wszystkie interesy

w mieście, jak również część ziemi. Został tylko dochód ze zbiorów. Idą ciężkie lata, ale myślę, że przeżyjemy.

- Juliusza dotyka dużo złego. Aż za dużo jak na jedno życie.

- Nie wierzę w ten zły los. Juliusz i ty jesteście tacy sami. A pieniądze raz się przegrywa, raz wygrywa, trzeba tylko dostatecznie długo żyć. Wiesz, że Sulla nie żyje?

- Tego nie sposób nie wiedzieć. Nawet w portach w Grecji żołnierze chodzą na czarno. Czy to prawda, że został otruty?

Tubruk zmarszczył czoło i przez chwilę błądził spojrzeniem po polach.

- Prawda. Narobił sobie w senacie wielu wrogów. Jego wódz, Antonidus, wciąż jeszcze szuka zabójców i nie sądzę, by kiedykolwiek przestał.

Mówiąc to, pomyślał o Ferkusie. Podobnego strachu jak wtedy, kiedy się dowiedział, że go pochwycono, i kiedy czekał na żołnierzy, by przyszli po niego, nie zaznał jeszcze nigdy.

Żołnierze nie przyszli, a Antonidus dalej prowadził dochodzenie i poszukiwania. Tubruk nie śmiał się dowiadywać o rodzinę Ferkusa, na wypadek gdyby Antonidus obserwował jego żonę i córki, lecz poprzysiągł sobie, że honorowy dług musi być w jakiś sposób spłacony.

Ferkus był prawdziwym przyjacielem, co więcej, wierzył w republikę z pasją, która zadziwiła starego gladiatora, kiedy przyszedł do niego i przedstawił plan zabicia Sulli. Ferkusa nie trzeba było przekonywać.

- Tubruku…?

- Przepraszam. Myślałem o przeszłości. Mówią, że przywrócono republikę i że Rzym znów jest miastem prawa, ale to nieprawda. Wbijają zęby jeden w drugiego, by żaden nie przejął

sukcesji po Sulli. Całkiem niedawno dwaj senatorowie zostali skazani za zdradę tylko na

podstawie słów ich oskarżycieli. Przekupują, kradną i rozdają ziarno motłochowi, który napełnia brzuchy i syty i zadowolony wraca do domów. To straszne miasto, Marku.

Brutus położył dłoń na ramieniu Tubruka.

- Nie wiedziałem, że aż tak bardzo żyjesz ideą republiki.

- Żyję i żyłem zawsze, ale w młodych latach miałem w sobie więcej wiary. Myślałem, że ludzie tacy jak Sulla i… tak, tacy jak Mariusz nie zrobią republice krzywdy. A jednak zrobili.

Zabili ją.

Rozdział X

117

Czy wiesz, że to darmowe ziarno zniszczyło drobne gospodarstwa? Ci ludzie nie mogą sprzedać swoich zbiorów. Ich ziemie są wystawiane na licytację i dołączane do pęczniejących majątków senatorów, a sami kończą na ulicach miasta i dostają ziarno, które ich zrujnowało.

- Z czasem w senacie zasiądą lepsi ludzie. Przyjdzie nowe pokolenie, przyjdą tacy jak Juliusz.

Twarz Tubruka trochę się wypogodziła, mimo to Brutus był wstrząśnięty goryczą i smutkiem, z którymi się zdradził stary gladiator. Tubruk, od kiedy go pamiętał, był dla niego i dla Juliusza ostoją wszelkiej pewności. Spróbował znaleźć właściwe słowa.

- Odbudujemy Rzym, z którego będziesz dumny - powiedział. Tubruk objął ramieniem

rozrośnięte bary.

- Och, gdyby tak znów być młodym… Idziemy do domu, chłopcze. Aurelia będzie

podekscytowana, widząc, jak wyrosłeś i zmężniałeś.

- Tubruku? - Brutus się zawahał. - Ja nie zamierzam tu zostać. Mam fundusze na kwaterę w mieście.

Tubruk popatrzył na niego ze zrozumieniem.

- To twój dom. Zawsze nim będzie. Zostaniesz, jak długo zechcesz.

- Dziękuję, Tubruku. Nie byłem pewien, czego się po mnie spodziewasz. Ale wiedz, że potrafię iść własną drogą.

- Wiem, Marku.

Stanęli przed bramami i Tubruk zawołał, by je otwarto. Młodemu człowiekowi kamień spadł

z serca.

- Teraz mówią do mnie Brutus.

Tubruk wyciągnął dłoń i młodzieniec uścisnął ją jak legionista.

- Witaj w domu, Brutusie.

Podczas gdy grzano wodę na kąpiel, Tubruk zaprowadził Brutusa do kuchni i nakroił

półmisek mięsa i chleba. Brutus był głodny po podróży, on po ciężkiej pracy w lesie. Obaj zasiedli do stołu i wdali się w pogawędkę jak starzy przyjaciele.

Z nieba lał się żar, kiedy Juliusz dokonywał przeglądu sześciu nowo zaciągniętych do służby mężczyzn. Afrykańskie słońce rozpaliło nawet zbroję i każdy dotyk gorącego metalu był

męczarnią dla skóry. Mimo to zachowywał kamienną twarz, choć kiedy spój-

Rozdział X

Czy wiesz, że to darmowe ziarno zniszczyło drobne gospodarstwa? Ci ludzie nie mogą sprzedać swoich zbiorów. Ich ziemie są wystawiane na licytację i dołączane do pęczniejących majątków senatorów, a sami kończą na ulicach miasta i dostają ziarno, które ich zrujnowało.

- Z czasem w senacie zasiądą lepsi ludzie. Przyjdzie nowe pokolenie, przyjdą tacy jak Juliusz.

Twarz Tubruka trochę się wypogodziła, mimo to Brutus był wstrząśnięty goryczą i smutkiem, z którymi się zdradził stary gladiator. Tubruk, od kiedy go pamiętał, był dla niego i dla

Juliusza ostoją wszelkiej pewności. Spróbował znaleźć właściwe słowa.

- Odbudujemy Rzym, z którego będziesz dumny - powiedział. Tubruk objął ramieniem rozrośnięte bary.

- Och, gdyby tak znów być młodym… Idziemy do domu, chłopcze. Aurelia będzie

podekscytowana, widząc, jak wyrosłeś i zmężniałeś.

- Tubruku? - Brutus się zawahał. - Ja nie zamierzam tu zostać. Mam fundusze na kwaterę w mieście.

Tubruk popatrzył na niego ze zrozumieniem.

- To twój dom. Zawsze nim będzie. Zostaniesz, jak długo zechcesz.

- Dziękuję, Tubruku. Nie byłem pewien, czego się po mnie spodziewasz. Ale wiedz, że potrafię iść własną drogą.

- Wiem, Marku.

Stanęli przed bramami i Tubruk zawołał, by je otwarto. Młodemu człowiekowi kamień spadł

z serca.

- Teraz mówią do mnie Brutus.

Tubruk wyciągnął dłoń i młodzieniec uścisnął ją jak legionista.

- Witaj w domu, Brutusie.

Podczas gdy grzano wodę na kąpiel, Tubruk zaprowadził Brutusa do kuchni i nakroił

półmisek mięsa i chleba. Brutus był głodny po podróży, on po ciężkiej pracy w lesie. Obaj zasiedli do stołu i wdali się w pogawędkę jak starzy przyjaciele.

Z nieba lał się żar, kiedy Juliusz dokonywał przeglądu sześciu nowo zaciągniętych do służby mężczyzn. Afrykańskie słońce rozpaliło nawet zbroję i każdy dotyk gorącego metalu był

męczarnią dla skóry. Mimo to zachowywał kamienną twarz, choć kiedy spój-

rzał na tę szóstkę, targnęły nim pierwsze wątpliwości. Mężczyźni byli silni i w miarę odpowiedni, ale ani jeden nie przeszedł żołnierskiej zaprawy. Aby swój plan wprowadzić w życie, potrzebował co najmniej pięćdziesiątki, i w to, że wydobędzie ją nawet spod ziemi, już zaczął wierzyć. Problem polegał na tym, że musieli nauczyć się słuchać rozkazów i walczyć z dyscypliną, jaka dla dowódców Accipitera była oczywista. Musiał im jakoś uzmysłowić prosty fakt, że bez niej czeka ich śmierć.

Fizycznie robili wrażenie, ale tylko dwóch z szóstki było ochotnikami i ci pochodzili z ostatniej osady. Juliusz się spodziewał, że będzie ich więcej, ponieważ osada wyglądała jak pół sprawnie funkcjonującej rzymskiej centurii, ale pozostałych czterech poszło z nim tylko dlatego, że uporczywie nalegał. Druga osada wyglądała na szczęśliwą, że może się pozbyć największego spośród siebie, i Juliusz zgadywał, że ma do czynienia z wichrzycielem. Z

twarzy mężczyzny niemal nie schodził szyderczy uśmiech, co irytowało Juliusza za każdym razem, kiedy na niego patrzył.

Reniusz przekułby ich wszystkich na odpowiedni materiał, stwierdził w duchu, i myśl, by naśladować Reniusza, spłynęła na niego jak olśnienie. Gaditykus i inni z Accipitera podążali za nim, wprost nie mogąc uwierzyć, że wszystko idzie gładko. Juliusz zastanawiał się, jak wielu Rzymian w tych setkach wojskowych osad ma synów, których można by nauczyć

walczyć. Na tym wybrzeżu była armia ludzi i wystarczyłoby jedynie, by ktoś ich odnalazł i przypomniał, że w ich żyłach płynie rzymska krew.

Przystanął przy wichrzycielu. Oczy mężczyzny wyszły mu naprzeciw z uprzejmą ciekawością i bez cienia strachu czy respektu. Wzrostem dużo przewyższał innych, miał nogi jak kolumny i prężył błyszczące od potu bicepsy. Muchami, które zamęczały dowódców Accipitera, chyba nie zawracał sobie głowy i stał pod prażącym słońcem jak posąg. Pod pewnym względem przypominał Juliuszowi Marka. Wyglądał jak

wykapany Rzymianin, pomimo że łacina, którą mówił, była zanieczyszczona afrykańskim dialektem i pospolitymi zwrotami. Juliusz

wiedział, że jego ojciec nie żyje i że zostawił mu gospodarstwo, które syn zaniedbywał tak

długo, aż popadło w ruinę. On sam pewnie zginąłby w bójce albo dołączył do piratów, kiedy skończyłyby się pieniądze i wino.

Rozdział X

119

Jak miał na imię? Juliusz, idąc za przykładem Mariusza, który wiedział, jak się nazywają wszyscy jego żołnierze, szczycił się szybkim zapamiętywaniem imion, teraz jednak, pod tym chłodno uprzejmym spojrzeniem, to jedno wyleciało mu na moment z pamięci. Ale w końcu je sobie przypomniał. Mężczyzna kazał mówić do siebie Cyron; nic więcej. Pewnie nawet nie wiedział, że takie imię noszą niewolnicy. Co zrobiłby Reniusz?

- Potrzebuję ludzi, którzy umieją walczyć - powiedział Juliusz, patrząc w brązowe oczy, które spokojnie odwzajemniły jego spojrzenie.

- Ja umiem - odrzekł Cyron z wyraźną pewnością siebie.

- Potrzebuję łudzi, którzy nie tracą głowy w krytycznym momencie.

-Ja nie…

Juliusz uderzył go w twarz i Cyron nie dokończył. W ciemnych oczach zapłonął gniew, ale mężczyzna stał nieruchomo, tylko przez obnażoną pierś, niby przez wygięty grzbiet

rozzłoszczonego kota, przebiegła fala drżenia. Juliusz pochylił się ku niemu.

- Nie chwytasz za miecz? Nie chcesz mnie zabić? - zachrypiał.
-Nie.

- Dlaczego?

- Mój ojciec powiedział, że legionista musi nad sobą panować. Człowiek wydawał się ukuty z żelaza, jednak czymś trzeba było

go złamać.

- Nie panowałeś nad sobą między swoimi, tam gdzie cię znaleźliśmy - powiedział z nadzieją, że słusznie osądził relacje między nim a mieszkańcami osady.

Olbrzym nie odzywał się przez dłuższą chwilę. Juliusz czekał cierpliwie.

- Wtedy nie byłem legionistą.

Juliusz jeszcze raz spojrzał w ciemne oczy. Szukał w nich zniewagi, ale nie znajdując nic poza spokojem, posłał ciche przekleństwo senatowi za brak właściwej polityki wobec ludzi takich jak Cyron, ludzi, którzy marzyli, by służyć Rzymowi, a których skazano na marazm życia na obcych lądach.

- I wciąż nim nie jesteś - powiedział powoli i zobaczył, jak usta mężczyzny zaczyna wykrzywiać grymas rozgoryczenia - ale mogę

go z ciebie zrobić. Przy mnie i ode mnie nauczysz się braterstwa i będziesz kroczył po ulicach dalekiego miasta z dumnie podniesioną głową. Jeżeli ktoś cię zatrzyma, powiesz, że jesteś żołnierzem Cezara.

- Powiem.

- Powiem, panie.

- Powiem, panie - powtórzył Cyron i wyciągnął się w górę. Juliusz cofnął się o krok i zwrócił

do nowo zaciągniętej szóstki

stojącej w kręgu dowódców Accipitera.

- Czy jest coś, czego nie da się osiągnąć z takimi ludźmi jak wy? Jesteście dziećmi Rzymu i nauczymy was waszej historii i waszej dumy. Nauczymy was posługiwać się rzymskim

gladiusem i formacji bojowych, praw, obyczajów, życia. A potem przyjdą następni i wtedy wy będziecie ich uczyć. Pokażecie im, co to znaczy być Rzymem. A teraz ruszamy. Następna osada, kiedy zobaczy was, zobaczy legionistów.

Sznureczek dwójek był krótki, poszarpany i szedł nierównym krokiem, lecz Juliusz wiedział, że to się da zmienić. Ciekawe, jak by reagował Reniusz na niedostatki w tych ludziach, pomyślał i machnął ręką. Reniusza tu nie było. Był on.

Kiedy zamykali kolumnę, Gaditykus znalazł się u jego boku.

- Oni wszyscy ciebie słuchają - zauważył.

- Muszą, jeżeli mamy być załogą okrętu i odebrać nasze okupy. Gaditykus parsknął i poklepał

Juliusza po zbroi. Młodzieniec

zachwiał się i zatrzymał w pół kroku.

- Och, nie, tylko nie to - wyszeptał. - Powiedz im, że ich dogonimy. Szybko!

Gaditykus dał rozkaz i odprowadził wzrokiem znikający za zakrętem podwójny sznureczek Rzymian. Kiedy odwrócił się do Juliusza, ten był blady i miał zamknięte oczy.

- Atak?

Juliusz ledwo kiwnął głową.

- Przed… ostatnim czułem w ustach smak metalu. Teraz czuję to samo. - Odchrząknął i splunął. - Nie mów im - powiedział z goryczą. - Nie mów, proszę…

Gaditykus chwycił go wpół i opuścił na ziemię. Wyprężone ciało podskakiwało i wiło się w spazmatycznych skrętach, a ciężkie

Rozdział X

żołnierskie buty ryły podkówkami poszycie. Muchy, zwabione chorobą, otoczyły obu

mężczyzn gęstym rojem. Po brudnym zwitku tkaniny, używanym w podobnych razach na

Accipiterze, dawno nie było śladu i Gaditykus, z braku czegokolwiek lepszego, skręcił w kilkoro jakiś grubo żyłkowany liść, wcisnął go Juliuszowi między zęby i dopiero wtedy zwalił

się na niego całym ciężarem.

W końcu atak minął. Juliusz usiadł, wypluł pogryzione ziele i rozluźnił ramiona. Czuł się jak pokonany. Na widok świadczący o opróżnieniu pęcherza wściekle załomotał pięściami o ziemię.

- Myślałem, że to się skończyło.

- Może to był ostatni raz - pocieszył go Gaditykus. - Rany głowy miewają różne skutki.

Kabera powiedział, że to może jeszcze trochę potrwać.

- Albo do końca życia. Brakuje mi tego starego — powiedział Juliusz posępnie. - Moja matka miewała napady konwulsji, ale ja starałem się jej wówczas unikać. Nie rozumiałem, jak to jest, a to jest tak, jakbyś umierał.

- Czy możesz wstać? Nie chcę stracić ludzi, a po twojej przemowie mogą maszerować przez cały ranek.

Gaditykus pomógł młodemu dowódcy stanąć na nogi i przyglądał się, jak Juliusz bierze kilka oddechów na uspokojenie. Chętnie by zaofiarował jakieś słowo pociechy, ale nie był z tych, którym słowa przychodzą łatwo.

- Pokonasz to. Kabera powiedział, że jesteś silny, i nic, co widziałem, nie pozwala mi myśleć inaczej.

- Może. Ruszajmy zatem. Chciałbym umyć się w morzu.

- Mogę powiedzieć ludziom, że opowiedziałem ci dowcip i ze śmiechu aż się posiusiałeś.

Juliusz zachichotał.

- A widzisz? Jesteś silniejszy, niż ci się zdaje. Mówią, że Aleksander Wielki miał

padaczkę.

- Naprawdę?

- Tak, i Hannibal. To nie koniec świata, to tylko pewien ciężar.

Brutus próbował nie okazać po sobie wstrząsu na widok Aurelii. Była woskowo blada i chuda, a jej twarz pokrywała drobniutka sieć

zmarszczek. Nie taką ją zapamiętał, opuszczając majątek i udając się do Rzymu i dalej, do Grecji.

Tubruk zauważył jego przygnębienie i wypełnił lukę w rozmowie, odpowiadając Aurelii na pytania, których nie zadała. Stary gladiator nie był pewien, czy Aurelia choćby rozpoznaje Bru-tusa.

Na milczenie Aurelii nałożył się śmiech Klodii i Kornelii, zajmujących się przy śniadaniu dzieckiem. Brutus uśmiechnął się zdawkowo do małej Julii i powiedział kobietom, że jest podobna do ojca, choć w rzeczywistości nie widział w niej podobieństwa do żadnej ludzkiej istoty. Czuł się w trikłinium nieswojo, świadomy, że więzi, które łączą tych ludzi, jego nie obejmują. Pierwszy raz, od dzieciństwa, ten dom wydał mu się obcy. Posmutniał.

Tubruk zajął się Aurelią, pilnując, by coś jadła, a on z trudem brnął przez rozmowę, opowiadając pozostałym kobietom o plemieniu niebieskoskórych, z którym walczył w

pierwszych kilku miesiącach służby w Czwartym Macedońskim. Klodia zaśmiała się, kiedy doszedł do momentu, jak jeden z dzikusów, pewny swego bezpieczeństwa, wymachiwał na Rzymian genitaliami. Kornelia zakryła uszy Julii dłońmi, a on się zaczerwienił.

- Przepraszam. Przyzwyczaiłem się do towarzystwa żołnierzy. Minęło trochę czasu, od kiedy ostatni raz gościłem w tym domu.

- Wiemy od Tubruka, że tu dorastałeś - pospieszyła mu z pomocą Klodia. - Tubruk mówi, że od dziecka marzyłeś o

władaniu mieczem jak nikt inny. Czy to marzenie się spełniło?

Brutus, zawstydzony, opowiedział kobietom o wygranych zawodach, w których walczyły najlepsze centurie legionu.

- Dali mi miecz zrobiony z twardszego żelaza, ma mocniejsze krawędzie. I złoconą rękojeść.

Pokażę go wam.

- Czy Juliusz jest bezpieczny? - spytała nagle Kornelia. Brutus odpowiedział szybkim uśmiechem.

- Oczywiście. Okup został zapłacony. Juliuszowi nic nie grozi. - Słowa przyszły mu łatwo i chyba podniosły Kornelię na duchu. Troski pozostawił sobie.

Tamtego popołudnia wrócił z Tubrukiem na wzgórze, na którym rósł dąb. Obaj mieli ze sobą topory. Stanęli przy pniu naprze-Rozdział X

123

ciw siebie i ruszył powolny rytm uderzeń wcinających się, w miarę gaśnięcia dnia, coraz głębiej i głębiej w konające drzewo.

-Jest jeszcze inny powód mojego powrotu do Rzymu - powiedział Brutus, ocierając pot z czoła.

Tubruk odłożył topór, wyprostował się i przez kilka chwil ciężko oddychał.

- To znaczy?

- Chcę odnaleźć matkę. Nie jestem już dzieckiem i chcę znać swoje pochodzenie.

Pomyślałem, że wiesz, gdzie ona przebywa.

Tubruk sapnął i ponownie chwycił za topór.

- Chłopcze, to na nic.

- Nieprawda. Moja matka to moja rodzina. Tubruk wbił w dąb ostrze topora aż po stylisko.

- Twoja rodzina jest tutaj - powiedział, mocując się z narzędziem.

- Tamci to moja krew. Nigdy nie znałem ojca. Chcę po prostu ją poznać. Nie potrafiłbym odżałować, gdyby umarła, nimbym ją zobaczył.

Tubruk znów przystanął, westchnął i powiedział:

- Serwilia jest na Via Festa, na odległym krańcu miasta, blisko Kwirynału. Pomyśl dwa razy, nim tam pójdziesz. Możesz się rozczarować.

- Nie. Matka mnie opuściła, kiedy miałem zaledwie kilka miesięcy. Teraz już mnie nic nie rozczaruje - odpowiedział cicho Brutus, po czym ujął topór w dłonie i zaciął nim drzewo.

O zachodzie słońca dąb upadł. Wracali do domu o zmierzchu. W cieniu bramy czekał na nich Reniusz.

- Pobudowali coś na miejscu mojego domu - rzucił w stronę Brutusa, kipiąc złością - i kilku młodych legionistów wypędziło mnie z miasta jak jakiegoś wichrzyciela. Z mojego własnego miasta!

Tubruk wybuchnął głośnym śmiechem.

- Powiedziałeś im, kim jesteś? - spytał Brutus, bezskutecznie usiłując zachować powagę.

Reniusza wyraźnie ubodło ich rozbawienie i aż warknął:

- Moje imię nic im nie mówi. Szczenięta, z mlekiem pod nosem, co do jednego.

- Mamy tu trochę miejsca, jakbyś chciał - powiedział Tubruk. Reniusz wreszcie spojrzał na swojego dawnego ucznia.

- Za ile?

- Za przyjemność bycia z tobą, stary przyjacielu. Tylko za to. Reniusz prychnął z pogardą.

- Jesteś głupcem. Mógłbym godziwie zapłacić.

Na zawołanie Tubruka otwarto bramy i Reniusz wkroczył w nie przed pozostałą dwójką.

Brutus podchwycił spojrzenie Tubruka. Uśmiechnął się, widząc w nim czułość.

¦to.

ROZDZIAŁ XI

Drutus stał na skrzyżowaniu ulic u podnóża Kwirynału i dawał się ogarniać rojnemu tłumowi.

Wstał wcześnie i sprawdził zbroję, wdzięczny Tubrukowi za odświeżoną tunikę. Coś mu mówiło, że taka troska zakrawa na śmieszność, a jednak naoliwił każdą płytkę i każdą spoinę i wypolerował metal aż do połysku. Czuł, że w tłumie ludzi w ciemnych ubraniach wygląda jaskrawo, ale ciężar zbroi dawał mu większe poczucie bezpieczeństwa niż broń.

Pięść z Brązu miała własnego zbrojownika i nie było lepszego w Czwartym Macedońskim, tak jak nie było lepszej centurii. Nagolennik, który Brutus nosił na prawej nodze, był

umiejętnie dopasowany do mięśni i ozdobiony grawerunkiem o kolistych wzorach. Zapłacił

za całą rzecz miesięcznym żołdem, przypomniał sobie, czując strużki potu za powłoką metalu i bezskutecznie usiłując się podrapać. Ze względów praktycznych zostawił w majątku pióropusz. Szkoda byłoby zaczepić nim o nadproża domu, gdzie mieszkała jego matka.

Na widok jednak tego domu stanął jak wryty. Spodziewał się typowego rzymskiego domu, cztero- czy pięciopiętrowego, małego choć czystego. Mur, niby ściany świątyni, pokrywały bloki ciemnego marmuru. Główne budynki, widoczne jedynie przez wysoką bramę,

znajdowały się odpowiednio daleko od kurzu i nieczystości ulicy. Powątpiewał, czy dom Mariusza był większy.

Tubruk podał mu adres i nic więcej. Sądząc po otoczeniu, Brutus uznał, że to bogaty kwartał

miasta i że sporą część tłumu na ulicach stanowią słudzy i niewolnicy załatwiający sprawy i dźwiga-ROZDZIAŁ Xl

Jjrutus stał na skrzyżowaniu ulic u podnóża Kwirynału i dawał się ogarniać rojnemu tłumowi.

Wstał wcześnie i sprawdził zbroję, wdzięczny Tubrukowi za odświeżoną tunikę. Coś mu mówiło, że taka troska zakrawa na śmieszność, a jednak naoliwił każdą płytkę i każdą spoinę i wypolerował metal aż do połysku. Czuł, że w tłumie ludzi w ciemnych ubraniach wygląda jaskrawo, ale ciężar zbroi dawał mu większe poczucie bezpieczeństwa niż broń.

Pięść z Brązu miała własnego zbrojownika i nie było lepszego w Czwartym Macedońskim, tak jak nie było lepszej centurii. Nagolennik, który Brutus nosił na prawej nodze, był

umiejętnie dopasowany do mięśni i ozdobiony grawerunkiem o kolistych wzorach. Zapłacił

za całą rzecz miesięcznym żołdem, przypomniał sobie, czując strużki potu za powłoką metalu

i bezskutecznie usiłując się podrapać. Ze względów praktycznych zostawił w majątku pióropusz. Szkoda byłoby zaczepić nim o nadproża domu, gdzie mieszkała jego matka.

Na widok jednak tego domu stanął jak wryty. Spodziewał się typowego rzymskiego domu, cztero- czy pięciopiętrowego, małego choć czystego. Mur, niby ściany świątyni, pokrywały bloki ciemnego marmuru. Główne budynki, widoczne jedynie przez wysoką bramę,

znajdowały się odpowiednio daleko od kurzu i nieczystości ulicy. Powątpiewał, czy dom Mariusza był większy.

Tubruk podał mu adres i nic więcej. Sądząc po otoczeniu, Brutus uznał, że to bogaty kwartał

miasta i że sporą część tłumu na ulicach stanowią słudzy i niewolnicy załatwiający sprawy i dźwiga-126

jacy towary dla swoich panów. Idąc tutaj, spodziewał się, że kiedy matka zobaczy, że jej syn został centurionem, będzie pod wrażeniem, lecz kiedy zobaczył bogactwo domu, stracił

pewność siebie i się zawahał.

Okręcić się na pięcie i wrócić do majątku? Wiedział, że Reniusz i Tubruk powitają go bez zbędnych słów i sądów, lecz czy nie planował tego spotkania przez całą powrotną drogę z Grecji? Byłoby śmieszne wycofać się, mając w zasięgu wzroku wspaniały budynek.

Odetchnął głęboko i ostatni raz sprawdził zbroję. Rzemienie były mocno zawiązane i nigdzie ani śladu skazy. Może być.

Kiedy ruszył naprzód, tłum się rozstąpił bez specjalnego roztrącania. Podszedł bliżej. Na widok bramy wróciły wspomnienia związane ze stojącym po drugiej stronie miasta domem Mariusza. Ledwo dotknął kołatki, brama stanęła otworem i niewolnik, kłaniając się, gestem dłoni zaprosił go do środka.

- Tędy, panie.

Niewolnik zamknął bramę i poprowadził go wąskim korytarzem. Brutus szedł za nim z

bijącym sercem. Czego się spodziewał?

Został wprowadzony do pomieszczenia, które było urządzone z przepychem, jakiego nigdy nie widział. Marmurowe kolumny

0 złoconych kapitelach podtrzymywały sufit. Wzdłuż ścian biegły rzędy białych posągów, a sofy stały wokół kręgu przezroczystej wody, w której leniwie pływało kilka wielkich ryb.

Zbroja centuriona wydawała się głośna w panującej wokół ciszy i Brutus pożałował, że nie rozwiązał nagolennika i nie podrapał się, nim tu wszedł.

Niewolnik zniknął za drzwiami i kiedy został sam, po chwili namysłu i wsłuchiwania się w szemrzącą wodę zdjął hełm i przygładził spocone włosy.

Powietrze drgnęło, za jego plecami otworzyły się inne drzwi, a on odwrócił się gwałtownie i wytrzeszczył oczy na widok idącej ku niemu pięknej kobiety. Była wymalowana jak

szmaciana lalka i, jak osądził, mniej więcej w jego wieku. Miała suknię z tkaniny, której nigdy nie widział, ale przez którą mógł dojrzeć zarysy piersi

1 wypukłości brodawek. Miała nieskazitelnie jasną karnację i jedyną ozdobą, jaką nosiła, był

ciężki złoty łańcuch na szyi.

Rozdział XI

127

- Usiądź i się rozgość - powiedziała, siadając sama, i kiedy skrzyżowała delikatnie nogi, fałdy sukni się rozsunęły i odsłoniły dosyć, by się zaczerwienił.

Brutus usiadł obok, próbując odnaleźć w sobie choćby cień zdecydowania, które go tu przywiodło.

- Czy ja cię zadowalam? - spytała słodko.

-Jesteś piękna, lecz ja szukam kobiety… Kobiety, którą już znam.

Piękność odęła wargi i Brutus nagle zapragnął ją pocałować, wziąć w ramiona i pozbawić tchu. Coś takiego oszałamiało i przyprawiało o zawrót głowy. W powietrzu uniósł się zapach perfum. Kobieta wyciągnęła dłoń i dotknęła go tam, gdzie spod nagolennika wystawał

skrawek owłosionej, brązowej nogi. Zdążył lekko zadrżeć, nim oprzytomniał i poderwał się na nogi.

- Spodziewasz się, że ci zapłacę? Wyglądała na zmieszaną i młodszą, niż myślał.

- Nie robię tego za darmo - powiedziała głosem, w którym zostało niewiele z niedawnej słodyczy.

- Czy jest tu Serwilia? Myślę, że zechce mnie zobaczyć.

- Ona nie widuje się z centurionami, powinieneś to wiedzieć. Żeby pójść z nią, musiałbyś być konsulem.

Brutus spojrzał na nią przerażony.

- Serwilio! - zawołał, zmierzając w drugi koniec pomieszczenia. - Gdzie jesteś?

Zza jednych drzwi dobiegł stukot szybkich kroków. Brutus rzucił się do innych i zatrzasnął je za sobą, odcinając się od śmiechu kobiety na kanapie, za to stając twarzą twarz z

niewolnikiem niosącym tacę z napojami.

- Nie możesz tu wchodzić! - krzyknął niewolnik, lecz Brutus go odepchnął.

Taca poleciała na marmurową posadzkę, niewolnik uciekł, a na końcu korytarza pojawili się dwaj strażnicy. Obaj mieli pałki i szerokie bary i zmierzając ku Brutusowi, wypełniali całe wąskie przejście.

- Za dużo się wypiło, tak? - zazgrzytał jeden, kiedy byli bliżej. Brutus dobył miecza gładkim ruchem. Gladius błysnął i ostrze,

ozdobione grawerunkiem skopiowanym z nagolennika, odbiło światło. Strażnicy

zatrzymali się niepewnie.

- Serwilio! - Brutus ryknął na cały głos, kierując miecz w ich stronę.

- Ty napuszony kogucie! — wrzasnął któryś i obaj sięgnęli po sztylety. - Myślisz, że możesz tu sobie przychodzić i robić, co ci się podoba? Nigdy nie miałem okazji zabić dowódcy, za to teraz chętnie to zrobię.

Brutus zesztywniał.

- Na baczność, jeden z drugim! - warknął. - Niech zobaczę, że któryś mierzy we mnie, a będziecie obaj wisieli.

Mężczyźni zawahali się pod spojrzeniem równie ostrym jak ton głosu. Brutus szarpnął się ku nim.

- Chciałbym wiedzieć, jak mężczyzna w waszym wieku może opuścić legion i być

strażnikiem w domu nierządu. Dezerterzy?

- Nie… panie. Odsłużyliśmy swoje u Pierworodnych.

Brutus zacisnął szczękę, żeby nie okazać zdziwienia i radości.

- Pod Mariuszem?

Starszy z dwóch przytaknął. Obaj już zdążyli wyprężyć się przed nim i Brutus mierzył ich wzrokiem jak na przeglądzie szeregów.

- Gdybym miał czas, pokazałbym wam list, w którym polecał mnie do centurii w Grecji.

Maszerowałem z nim do schodów senatu, by upomnieć się o jego triumf. Nie przynoście wstydu jego pamięci.

Mężczyźni zamrugali nerwowo. Brutus, napawając się ich zmieszaniem, przedłużał moment ciszy. W końcu powiedział:

- Mam sprawę do kobiety o imieniu Serwilia. Przywołajcie ją do mnie albo zaprowadźcie mnie do niej, ale dopóki tu jestem, zachowujecie się jak żołnierze. Zrozumiano?

W czasie gdy mężczyźni potakiwali skwapliwie, na końcu korytarza drzwi otworzyły się gwałtownie i kobiecy głos smagnął powietrze.

- Cofnijcie się. Chcę go zobaczyć.

Mężczyźni nie zareagowali. Ich spojrzenia zamknęły się na młodym centurionie, a mięśnie ramion zadrgały wewnętrznym napięciem.

- Czy to ta? - zapytał wyraźnie Brutus.

Na twarz starszego mężczyzny wystąpiły kropelki potu.

- To pani tego domu - potwierdził.

Rozdział XI

129

- Więc zróbcie, co poleciła.

Dwaj strażnicy odsunęli się na bok bez słowa, odsłaniając kobietę z wymierzoną w Brutusa strzałą.

- To ty jesteś Serwilia? - powiedział, zauważając, że lekko drżą jej ręce.

- Pytasz o imię, które wykrzyczałeś jak uliczny sprzedawca ryb? Tak, jestem Serwilia, a to jest mój dom.

- Nie jestem groźny - odpowiedział Brutus. - I odłóż łuk, nim przypadkiem kogoś postrzelisz.

Serwilia spojrzała na strażników; wydawało się, że ich obecność dodaje jej odwagi. Po chwili wahania zwolniła cięciwę łuku, choć Brutus widział, że trzyma go tak, by móc szybko naciągnąć z powrotem i strzelić, gdyby rzucił się na nią. Zgadywał, że nieobce jej były pogróżki żołnierzy.

Kobieta, na którą patrzył, w niczym nie przypominała tamtej z pomieszczenia z posągami.

Była wysoka i szczupła jak on. Miała ciemne włosy, luźno puszczone na ramiona i skórę błyszczącą słońcem i zdrowiem, a twarz nie była piękna, była wręcz brzydka, ale szerokie usta i ciemne oczy miały w sobie zmysłowość, która, pomyślał, usidliła niejednego

mężczyznę. Ręce trzymające łuk były szerokie i silne, na nadgarstkach przy każdym ruchu dzwoniły bransolety.

Chłonął każdy szczegół jej postaci i kiedy w doskonałych liniach szyi rozpoznał cząstkę siebie, ścisnęło mu się serce.

- Nie znasz mnie.

- O czym ty mówisz? - powiedziała, podchodząc bliżej. - Napadasz na mój dom z

obnażonym mieczem. Powinnam kazać wychłostać cię do krwi i nie myśl, że ocaliłby cię twój wspaniały stopień

centuriona.

Chodzi przepięknie, pomyślał. Taką wiarę we własną płeć widział w kobiecie tylko raz przedtem, w świątyni Westy, gdzie dziewice prowokowały mężczyzn każdym krokiem,

wiedząc, że temu, kto je dotknie, grozi śmierć. Serwilia miała w sobie coś z tego i zamiast uczuć synowskich ogarnęła go mdła fala żądzy. Zaczerwienił się gwałtownie aż po szyję i uśmiechnął zmysłowo, pokazując ostre białe zęby.

- Myślałem, że wyglądasz starzej - burknął, a w jej oczach pojawił się błysk irytacji.

- Wciąż nie wiem, kim jesteś.

Brutus schował miecz, zastanawiając się, czy powinien po prostu wyjść. Oczywiście, jeżeli go wypuści. Dwaj strażnicy pewnie nie byli jedynymi, których zatrudniała. Chciał powiedzieć, kim jest, i zachwiać jej pewnością siebie, zobaczyć jej oczy rozszerzone zdziwieniem, kiedy zda sobie sprawę, że on, jej syn, jest aż tak imponującym młodym człowiekiem.

Ale potem wszystko wydało mu się bez znaczenia. Odżyły długo tłumione wspomnienia o podsłuchanej rozmowie ojca Juliusza. Westchnął. Tamte słowa się potwierdzały. Był w domu nierządu i nieważne, jak bogaty był ten dom. To naprawdę nieistotne, co ona o nim pomyśli.

- Nazywam się Marek. Jestem twoim synem - powiedział, wzruszając ramionami.

Serwilia stała nieruchomo jak jeden z jej posągów. Długo wpatrywała się w niego, a potem łzy nabiegły jej do oczu, upuściła łuk, zawróciła i pobiegła w głąb korytarza. Drzwi trzasnęły z hukiem, od którego zatrzęsły się ściany.

Strażnicy patrzyli na Brutusa w niemym zdumieniu.

- Prawda to, panie? - spytał szorstko starszy. Brutus przytaknął i mężczyzna poczerwieniał ze zmieszania. - Nie wiedzieliśmy, panie.

- Mieliście prawo nie wiedzieć. Wychodzę. Czy ktoś czeka, by mnie zatrzymać w drzwiach?

Strażnik powoli przytomniał.

- Nie. Jest nas tylko dwóch, ja i ten chłopiec. Na ogół straże nie są jej potrzebne.

Brutus już był przy drzwiach, kiedy strażnik znów się odezwał.

- Sulla obniżył w senacie żołd dla Pierworodnych. Musieliśmy wziąć robotę, jaka się nawinęła.

Brutus odwrócił się do niego, żałując, że nie może zaoferować więcej.

- W razie potrzeby wiem, gdzie was szukać.

Strażnik wyciągnął dłoń i Brutus wziął ją w mocny uścisk legionisty.

Pomieszczenie z posągami, przez które wracał, na szczęście było puste. Przystanął tylko po to, by wziąć hełm i schłodzić paro-Rozdział XI

131

ma kroplami wody twarz i szyję. To nie schłodziło jego emocji. Wciąż był zmieszany i oszołomiony i rozpaczliwie pragnął się znaleźć w jakimś spokojnym miejscu, gdzie mógłby przemyśleć to, co się stało. Przedzieranie się przez tłum zaaferowanych przechodniów irytowało go, lecz musiał wrócić do majątku. Nie miał innego domu.

Już był przy bramie, gdy zadudniły za nim czyjeś szybkie kroki. Chwycił za rękojeść miecza, lecz nie gonił go strażnik ani niewolnik, tylko młoda, nie uzbrojona niewolnica. Stanęła przy nim zdyszana i to, jak falują jej piersi, zauważył prawie niechcący. Jeszcze jedna piękność.

Wyglądało na to, że dom był ich pełen.

- Pani mi powiedziała, że powinieneś tu wrócić jutro rano. Zobaczy się z tobą.

Brutus poczuł, jak serce mu rośnie.

- Wrócę - zapewnił.

Wygląd wybrzeża wskazywał, że następna osada może znajdować się dalej niż o jeden dzień marszu. By zaoszczędzić czasu, skręcili na szlak, którym chodziła gruba zwierzyna, i trzymali się go, póki nie wykręcił w głąb lądu. Juliusz nie chciał maszerować z dala od odgłosu łamiących się fal, by się kompletnie nie zgubić. Dalsza droga okazała się trudna i w pocie czoła trzeba było torować sobie ścieżkę przez zarośla i krzaki, wysokie aż po głowę i zakończone czerwonymi kolcami, które już i tak wyglądały jak poznaczone krwią. Z daleka od morza powietrze było ciężkie od wilgoci, ale naprawdę zastęp maszerujących mężczyzn dobijały roje niewidocznych kąśliwych muszek żerujących w gęstych liściach.

Z pierwszym zmierzchem rozbili obóz. Juliusz był ciekaw, czy odosobnienie rzymskich osad wynika z celowej polityki senatu, pragnącego uchronić Rzym przed skrzyknięciem się społeczności straconych generacji, czy raczej chodziło o to, by każda z osad miała się gdzie rozrastać. Prawdopodobnie mógłby pchnąć mężczyzn w dalszą drogę przez ciemność, ale siły ludzi były nierówne i pośród gorącej afrykańskiej nocy dowódcy z Accipitera zachowywali się o wiele mniej pewnie niż tubylcy. Podrywali się ze snu, a ich dłonie chwytały za miecze za każdym rykiem pustynnych zwierząt, podczas gdy nowy zaciąg spał jak zabity.

Juliusz zlecił Pelitasowi wybranie straży i połączenie nowo zaciągniętych w pary z tymi, którym ufał. Dobrze wiedział, że przedeptane przez zwierzęta wąskie szlaki nastręczają

tubylcom mnóstwa okazji do ucieczki. Mimo niedostatków broni straże nosiły miecze i jeden czy dwóch popatrywało na żelazne ostrza z czymś w rodzaju chciwości. Juliusz miał nadzieję, że to z chęci posiadania rzeczy należących do ich ojców, a nie, że chcą ukraść co się da i uciec.

Zdobywanie żywności stanowiło podobny problem. Było niezwykle ważne, by ludzie z

Accipitera nie musieli się w tym względzie uzależniać od innych. Juliusz dokonał

delikatnego, choć znaczącego przesunięcia w hierarchii szeregów. Wiedział, że panem jest ten, kto dysponuje żywnością, bez względu na stopień. To była prawda starsza niż sam Rzym.

Dziękował bogom za Pelitasa, który tu, na obcych pustynnych lądach, zastawiał pułapki na drobną zwierzynę z tą samą zręcznością, z jaką kiedyś kłusował w lesistej Italii. Nawet nowo zaciągnięci byli pod wrażeniem, kiedy dołączał do grupy po zaledwie paru godzinach, niosąc pęk czterech nieżywych zajęcy. Przy piętnastu zdrowych mężczyznach do nakarmienia

wieczorne polowania musiały wejść w zwyczaj wszystkim i to Pelitas pomógł Juliuszowi uchronić ludzi przed podziałem na dwa obozy - tych, którzy umieli podchodzić zwierzynę, i tych, którzy musieli czekać, aż się ich nakarmi.

Juliusz popatrzył na przyjaciela zajętego odcinaniem plastrów mięsa od żeber prosięcia, które złapał jeszcze przed zachodem słońca. Prosię wybiegło z ukrycia na wzgórku tuż nad ich głowami i celny rzut kamieniem przetrącił malcowi nogi. Reszty stada nie było widać, ale z odległych zarośli dolatywały ciche pokwikiwania. Juliusz żałował, że nie podeszli bliżej.

Czekaliby teraz na prawdziwą ucztę, a nie na parę gorących kęsów. Ani jeden mężczyzna z Accipitera nie miał odrobiny zbędnego tłuszczu i jeszcze trochę, a stracą resztki dawnej tężyzny. Juliusz skrzywił się, podejrzewając, że niczym się od nich nie różni. Nie zaglądał do lustra nie wiadomo od jak dawna i nawet nie wiedział, czy jego twarz zmieniła się na lepsze czy na gorsze. Czy spodoba się Kornelii, jeżeli kiedyś się zobaczą, czy będzie ¦wstrząśnięta i niezadowolona z jego smętnego,

jak sobie wyobrażał, oblicza, niemego świadectwa koszmarów niewoli?

Zaśmiał się sam z siebie. Zawsze będzie Juliuszem, nieważne z jaką twarzą.

Swetoniusz zareagował na śmiech ostrym spojrzeniem, jak zwykle dopatrując się obrazy tam, gdzie jej nie było. Trudno znosić ciągłe ataki młodego człowieka, lecz co do tego Juliusz narzucił sobie sztywne ograniczenia. Wyczuwał, że złość Swetoniusza bierze się ze strachu, by sąsiad z dzieciństwa nie użył nowej władzy do wyrównywania starych krzywd. Na taki luksus Juliusz nie mógł sobie pozwolić, jeżeli nie chciał złamać jedności szeregów, którą powoli, lecz uporczywie zaprowadzał. Wiedział, że musi się stać przywódcą, który będzie ponad śmieszne pretensje, okazać się w ich oczach takim, jaki Mariusz był w jego opinii -

człowiekiem wykutym z lepszego kamienia. Kiwnął głową Swe-toniuszowi i odwrócił

spojrzenie ku reszcie.

Gaditykus i Praks nadzorowali obóz. Skończyli z zakreślaniem jego granic gałęziami, z braku czegokolwiek lepszego, i Juliusz słyszał, jak przepytują ludzi z zasad obowiązujących podczas warty. Uśmiechnął się z tęsknoty za przeszłością.

- Ile razy rzucasz zawołanie? - Praks zadał Cyronowi to samo pytanie co wszystkim innym.

- Raz, panie. Oni meldują, że się zbliżają do obozu, a ja mówię: zbliżcie się i pokażcie.

- A jeżeli nie meldują?

- Budzę jeszcze kogoś i czekamy na nich we dwóch. Kiedy podejdą bliżej, odrąbujemy głowy.

- Dobry chłopiec. Szyje i pachwiny, pamiętaj. Gdziekolwiek indziej, a mogą wciąż być na tyle silni, by cię pochwycić. Szyja i pachwiny najszybciej załatwiają sprawę.

Cyron wyszczerzył zęby, chłonąc każdy skrawek informacji rzucanej przez Praksa.

Juliuszowi podobał się zapał tego olbrzyma. Chciał być legionistą, poznać to, co kiedyś

kochał jego ojciec. Praks, z drugiej strony, odkrył, że lubi uczyć innych wszystkiego, czego sam się nauczył przez dziesięciolecia marszu i pływania po morzach w służbie Rzymu. Po jakimś czasie ci nowi ludzie będą zdolni zwieść każdego i będą wyglądać i chodzić, i mówić jak legioniści.

Próbując znaleźć najwygodniejszą pozycję do leżenia, Juliusz zmarszczył czoło. Czy wytrwają, kiedy padną wszyscy wokół nich, a wróg, z okrzykiem triumfu, będzie niósł pewną śmierć… nie dowiedzą się, dopóki to się nie stanie. Zdaje się, że ludzie z Accipitera sami nie wiedzieli, skąd się bierze taka szaleńcza odwaga. Można spędzić całe życie, stając z boku każdego konfliktu, a potem je oddać za kogoś, kogo się kocha. Juliusz zamknął oczy. Może sednem wszystkiego jest miłość, ale niewielu ludzi kocha Rzym. Miasto jest zbyt duże, zbyt bezosobowe. Legioniści, których Juliusz znał, nigdy nie myśleli o republice wolnych ludzi, wykutej na siedmiu wzgórzach nad rzeką. Walczyli za swego wodza, swój legion, nawet centurię czy przyjaciół. Żołnierz stojący obok swoich przyjaciół nie może uciec z pola bitwy, z czystego wstydu.

Swetoniusz wrzasnął nagle, skoczył na równe nogi i zaczął się klepać po całym ciele.

- Ratunku! Tu coś łazi po ziemi! - krzyknął.

Juliusz się poderwał, a inni mężczyźni, obnażając miecze, zwarli krąg wokół ogniska. Juliusz zauważył z przyjemnością, że Cyron trwa na swoich pozycjach.

Widoczna w blasku ognia czarna kolumna potwornie wielkich mrówek rozlała się po ziemi jak gęsta oliwa i powoli pełzła z jednych cieni w drugie. Oszalały Swetoniusz zaczynał drzeć na sobie ubranie.

- Oblazły mnie! Oblazły! - zawodził.

Pelitas wystąpił naprzód, by mu pomóc, i wdepnął nogą w sam środek kolumny. Część

mrówek ruszyła ku niemu, a wtedy mężczyzna odskoczył do tyłu, podkurczając niezdarnie bose palce.

- Bogowie, zabierzcie je stąd! - wrzasnął.

Obóz popadł w chaos. Ci, których zebrano na wybrzeżu, byli o wiele bardziej spokojni niż dowódcy z Accipitera. Mrówki gryzły tak głęboko jak szczury i kiedy żołnierze je

odnajdywali, jedną po drugiej, i odrywali od ciała, ostre szczęki nie przestawały zaciskać się na skórze i rozdzierały ją, w ostatnich śmiertelnych drgawkach. Nie sposób było chwycić je palcami i Swetoniusz już wkrótce był czarny od mrówczych głów, a ręce miał czerwone od własnej krwi.

Juliusz przyzwał Cyrona i obserwował, jak mężczyzna, spokój-

Rozdział XI

nie oglądając Rzymian, dużymi silnymi dłońmi usuwa mrówcze resztki.

- Wciąż są na mnie! Nie możesz się pospieszyć? - błagał, wzdry-gając się co chwila ze strachu, prawie nagi Swetoniusz.

Cyron wzruszył ramionami.

- Szczęki trzeba wydobyć nożem, one same się nie rozewrą. Tubylcy używają ich do

zamykania ran, zamiast szwów.

- Co to za gatunek? - zainteresował się Juliusz.

- Leśni żołnierze. Przednia straż kolumny w czasie marszu. Mój ojciec mawiał, że są jak zwiadowcy, którymi posługuje się Rzym. Jak ich nie zaczepiasz, nigdy cię nie zaatakują, ale jak wejdziesz na ich ścieżkę, oblezą cię jak Swetoniusza.

Pelitas złowieszczym okiem spojrzał na kolumnę, która wciąż sunęła przez obóz.

- Można by je spalić - mruknął. Cyron zaprzeczył gwałtownie.

- Ta kolumna nie ma końca. Lepiej zejść jej z drogi.

- Słyszeliście? - powiedział Juliusz. - Pakujemy się i przenosimy bliżej wybrzeża.

Swetoniuszu, chcę cię widzieć ubranego i gotowego do drogi. Ty i Pelitas zajmiecie się szczękami w nowym obozie.

- Umrę do tego czasu - jęknął płaczliwie Swetoniusz.

Cyron spojrzał na niego i Juliusz poczuł wstyd i złość, że młody dowódca okazuje taką słabość wobec nowego zaciągu.

- Ruszaj albo cię związę i skończysz między mrówkami - zagroził.

Groźba chyba poskutkowała i nim księżyc stanął wysoko, rozbito nowy obóz i Cyron i dwaj inni mogli dokończyć swojej warty. Następnego ranka z braku snu i po nocnych emocjach wszyscy mieli być zmęczeni.

Juliuszowi się wydawało, że głowa pulsuje mu w rytm ani na chwilę nie milknącego

brzęczenia wszechobecnych owadów. Za każdym razem, ledwo zaczynał odpływać w sen,

coś mu siadało na odkrytej skórze i za każdym razem łapał następne mikroskopijne

stworzenie i je rozgniatał, rozsmarowując po ciele własną krew. Wystarczyło jednak, by znów znieruchomiał, a pojawiał się nowy napastnik. Zrobił poduszkę z ekwipunku, wtulił twarz w jakiś gał-

ganek i zatęsknił za dalekim niebem Rzymu. Zobaczył w myślach Kornelię i się uśmiechnął.

Kilka chwil później wyczerpanie wzięło górę.

Do następnej osady, oddalonej od morza nie więcej niż pół mili, dotarli przed południem.

Mieli swędzące czerwone obrzęki na skórze i cienie pod oczami. Juliusz wprowadził ludzi na kwadratowy placyk, który z wyglądu i z zapachów miał w sobie coś z cywilizacji.

Po raz kolejny był niemile zaskoczony brakiem jakichkolwiek fortyfikacji. Starzy żołnierze, którzy dostali swoją działkę ziemi na tym wybrzeżu, najwyraźniej nie boją się ataku, pomyślał.

Gospodarstwa były małe, za to niewątpliwie kwitł handel między tymi odosobnionymi

miejscami a tubylczymi wioskami w głębi lądu. Wśród Rzymian, którzy się zebrali, by zobaczyć jego ludzi, mignęło mu wiele czarnych twarzy. Ciekawe, kiedy rzymska krew zmiesza się z obcą i rozrzedzi do tego stopnia, że przyszłe pokolenia nic nie będą wiedziały o swoich przodkach i ich życiu. Ziemia wróci do stanu, w jakim była przed pojawieniem się Rzymian, i nawet historie opowiadane przy obozowych ogniskach zbledną i przycichną, i w końcu zostaną zapomniane. Ciekawe, czy pamięta się tutaj o imperium Kartaginy, o tysiącach okrętów, które z portów na tym wybrzeżu wyruszały na morza, aby odkrywać nowe lądy. Od takich myśli można było dostać dreszczy i Juliusz odłożył je na później.

Jego ludzie, tak jak im to wcześniej rozkazano, stali na baczność w dwuszeregu, a na ich twarzach malowała się powaga. Nie licząc miecza Juliusza, tylko ośmiu było pod bronią i tylko trzech we właściwych zbrojach. Tunikę Swetoniusza znaczyły plamki krwi, a on sam sięgał palcami, gdzie się dało, i zdrapywał zaschnięte skorupy mrówek. Większość

dowódców z Accipitera spaliło słońce i pokąsały insekty i tylko nowy zaciąg wydawał się nieczuły na jakiekolwiek niewygody.

Juliusz zgadywał, że wyglądają bardziej na oddział opryszków czy piratów niż na rzymskich legionistów. Widział, że niektórzy ukradkiem chwytają za broń, a na wszystkich twarzach dostrzegał nerwowość. Jakiś rzeźnik najpierw znieruchomiał nad czymś, co wyglądało na kuzyna prosięcia, które zjedli poprzedniego wie-Rozdział XI

czoru, a potem wyszedł zza swego rzeźnickiego stołu z tasakiem na ramieniu, gotowy do natychmiastowego ataku. Juliusz rozejrzał się po tłumie, szukając przywódcy. Zawsze był

jakiś, nawet na pustyni.

Po kłopotliwym wyczekiwaniu od strony domów z dalekiego końca osady nadeszło pięciu mężczyzn. Czterech było uzbrojonych: trzech w topory o długich styliskach, ostatni w gladius, złamany w jakiejś dawnej bitwie i z grubsza przerobiony na ciężki sztylet.

Piąty mężczyzna podszedł pewnie do przybyszów. Miał stalowoszare włosy i był suchy jak patyk. Juliusz przypuszczał, że dobiega sześćdziesiątki, lecz nosił się prosto jak stary żołnierz i odezwał się płynną łaciną prosto z Rzymu:

- Nazywam się Parrakis. To spokojna osada. Czego tu szukacie? Pytanie było skierowane do Juliusza, a mężczyzna nie wyglądał

na przestraszonego. Juliusz zmienił pierwotny plan, by obejść się szorstko z przywódcą. Być może osada robiła interesy z piratami, ale chyba korzystne. Domy i ludzie byli czyści, choć bez ozdób.

-Jesteśmy żołnierzami Rzymu, ostatnio służyliśmy na Accipiterze. Przechwycił nas dla okupu pirat o imieniu Celsus. Zamierzamy zebrać nową załogę i go odnaleźć. To rzymska osada. Liczę na waszą pomoc.

Parrakis uniósł brwi.

- Przykro mi, ale nic tu po was. Nie widziałem Italii od dwudziestu lat albo i więcej i żadna tutejsza rodzina nie ma wobec Rzymu długów. Jeżeli macie srebro, proszę bardzo… żywność jest na sprzedaż, ale potem musicie odejść.

Juliusz podszedł do niego o krok, świadomie ignorując towarzyszy Parrakisa, choć zauważył, jak spinają im się twarze i prężą ramiona.’

- Te ziemie były nadane legionistom, nie piratom. Ale to piraci opanowali wybrzeże i twoim obowiązkiem jest przyjść nam z pomocą.

Parrakis się zaśmiał.

- Obowiązkiem? Pozbyłem się obowiązków całe wieki temu. Powtarzam, Rzymowi nic do

nas. Żyjemy i zajmujemy się swoim rzemiosłem w pokoju, a piraci? Jeżeli przychodzą, sprzedajemy im

swoje towary, to wszystko. Myślę, że szukasz wojska. Nie znajdziesz go w tej osadzie. Tu nie ma nic z Rzymu, tu, między wieśniakami i rzemieślnikami.

- Nie wszyscy moi ludzie są z okrętu. Niektórzy pochodzą z osad na zachodzie. Potrzebuję mężczyzn, których da się nauczyć walki. Mężczyzn, którzy nie chcą spędzić życia, ukrywając się, tak jak wy, w zapadłej dziurze.

Parrakis zapłonął gniewem.

- Ukrywając, powiadasz? Uprawiamy ziemię i zmagamy się ze szkodnikami i chorobami, żeby wykarmić swoje rodziny. Pierwsi przyszli z legionów, które walczyły z honorem na obcych ziemiach, z dala od ojczyzny, i w końcu otrzymali ostatni dar od senatu -pokój. A ty śmiesz mi rzucić w twarz, że się ukrywamy? Gdybym był młodszy, sam podniósłbym miecz na ciebie, zuchwalcze!

Juliusz pożałował, że nie pochwycił mężczyzny zaraz na początku. Otworzył usta, by szybko odpowiedzieć, wiedząc, że traci inicjatywę. Uprzedził go jeden z trzech z toporami.

- Chciałbym pójść z nimi.

Starszy mężczyzna obrócił się ku niemu gwałtownie, z pianą w kącikach ust.

- Pójść i dać się zabić? O czym ty w ogóle myślisz?
Trzymający topór zacisnął usta.

- Zawsze mówiłeś, że to były najlepsze lata twojego życia - mruknął po chwili. - Kiedy wy, starzy, sobie podpijecie, wspominacie tamte dni tak, jakby były utkane ze złota. Tu czeka mnie jedynie zginanie karku od świtu do zmierzchu. O

czym będę opowiadać ludziom, stary i pijany? Jak dobrze zabijało się wieprzka na święto? A może o tym, jak złamałem sobie ząb na kawałku żwiru w chlebie waszego wypieku?

Zanim kompletnie oszołomiony Parrakis odpowiedział, wtrącił się Juliusz:

- Wszystko, o co proszę, możesz przedstawić swoim ludziom. Wolałbym ochotników, jeżeli znajdzie się kilku innych takich jak on.

Gniew Parrakisa osłabł i wyglądało na to, że go też zmęczył.

- Ach, ci młodzi mężczyźni - westchnął z nutą rezygnacji. - Oni zawsze szukają podniet.

Chyba byłem taki sam, kiedyś… - Zwrócił się do tego z toporem: - Jesteś pewien, chłopcze?

Rozdział XI

139

- Do pracy w gospodarstwie masz Deniusa i Kama, i tak nie jestem ci potrzebny. Chcę zobaczyć Rzym - odrzekł młody człowiek.

- W porządku, synu, ale to co, powiedziałem, jest prawdą. To żaden wstyd spędzić życie tutaj.

- Wiem, ojcze. Wrócę do was wszystkich.

- Oczywiście, że wrócisz, synu. Tu jest twój dom.

Razem zgłosiło się ośmiu ochotników. Juliusz wziął sześciu, odsyłając do domów parę dzieciaków, które ledwo odrosły od ziemi, chociaż jeden wtarł sobie w brodę sadzę, by udawała cień zarostu. Dwóch spośród wybranej szóstki przyszło z własnymi łukami. To zaczynało wyglądać jak armia, której potrzebował na załogę okrętu i by zapolować na morzach na Celsusa. Juliusz starał się nie dać porwać własnemu optymizmowi, kiedy

wymaszerowali spod gęstych drzew i ruszyli ku wybrzeżu na pierwsze tego dnia ćwiczenia.

Dokonywał w głowie przeglądu potrzebnych rzeczy. Złoto na wynajęcie statku, dwudziestu ludzi więcej i trzydzieści

mieczy, żywności tyle, by ich wykarmić, nim dotrą do większego portu. To się da zrobić, pomyślał.

Jeden z łuczników potknął się i upadł jak długi, zmuszając całą kolumnę do nagłego postoju.

Juliusz westchnął. Potrzebuje także trzech lat, żeby ich czegoś nauczyć.

ROZDZIAŁ XII

Oerwilia siedziała wyprostowana na brzegu sofy. Wewnętrzne napięcie uwidaczniało się w każdym jej rysie, lecz Brutus wyczuwał, że nie powinien odzywać się pierwszy. Podczas bezsennej nocy trzy razy postanawiał nie odwiedzać domu przy Kwirynale i trzy razy zmieniał postanowienie. Nie czuł miłości synowskiej, a przecież jakaś mglista myśl nakazywała mu tam wrócić, niechby nawet dla czystej satysfakcji z rozdrapywania starych ran i przyglądania się sobie, jak dla tej kobiety krwawi.

Pragnął przyjść do niej, kiedy był dzieckiem, kiedy był sam, przerażony światem. Kiedy żona Mariusza, z własnej potrzeby posiadania syna, zasypała go czułościami, żachnął się, niechętny wzruszeniom, których do końca nie rozumiał. Jednak kobieta, którą miał przed sobą, przyciągała go jak nikt inny.

W nienaturalnej ciszy napawał się nią, doszukując się czegoś, czego nie umiałby ani nazwać, ani próbować zrozumieć. Miała na sobie białą stole, odbijającą się od słonecznego brązu skóry, i żadnych klejnotów. Włosy, podobnie jak dzień wcześniej, były puszczone luźno.

Wdzięk, z jakim się poruszała, sprawiał, że było przyjemnością samo przyglądanie się, jak idzie czy siada, tak jak bywa przyjemnością podziwianie doskonałego chodu lamparta czy jelenia. Uważał, że ma za szerokie oczy i za mocny podbródek jak na klasyczną piękność, mimo to nie mógł oderwać od niej wzroku. Serwiłia wydawała się niespokojna i gotowa do ponownej ucieczki. Czekał i zastanawiał się, ile wewnętrznego napięcia odbija się na jego twarzy.

Rozdział XII

141

- Dlaczego przyszedłeś? - spytała, przerywając męczącą ciszę.

Nad iloma odpowiedziami zdążył się już zastanowić! Nocą powtarzał w wyobraźni scenę po scenie: pogardza nią, obraża, obejmuje. Żadna nie przygotowała go na ten rzeczywisty moment.

- Kiedy byłem dzieckiem, często wyobrażałem sobie, jaka jesteś i kim jesteś. Pragnąłem cię zobaczyć, choćby raz. Pragnąłem wiedzieć, jak wyglądasz. - Usłyszał swój drżący głos i zacisnął szczęki. Nie będzie zawstydzał sam siebie. Nie będzie mówić jak dziecko do tej kobiety, tej prostytutki.

- Zawsze o tobie myślałam, Marku - powiedziała. - Pisałam do ciebie wiele listów, ale nigdy żadnego nie wysłałam.

Brutus zebrał myśli. Nigdy nie słyszał swojego imienia z jej ust. Nigdy, przez całe życie.

Zawrzał gniewem i to gniew pozwolił mu odezwać się do niej spokojnie.

- Jaki był mój ojciec?

Serwilia spojrzała w bok, na ściany prosto urządzonego pokoju.

- Twój ojciec był dobrym człowiekiem, bardzo silnym i tak wysokim jak ty. Znałam go tylko dwa lata, nim umarł, ale pamiętam, że bardzo się cieszył synem. Sam wybrał ci imię i sam cię zaniósł do świątyni Marsa, po błogosławieństwo kapłanów. Zachorował tego samego lata i nawet nie dożył zimy. Medycy byli bezradni, ale na szczęście miał lekką śmierć.

Brutus poczuł łzy w oczach i otarł je ze złością.

- Ja… nie mogłabym cię wychować. Sama byłam dzieckiem i nie wiedziałam, co to znaczy macierzyństwo. Zostawiłam ciebie jego przyjacielowi i uciekłam.

Serwilia zamilkła. Głos załamał jej się na ostatnim zdaniu. Brutus patrzył na nią jak postronny obserwator, jakby nic, co

robiła czy mówiła, nie dotyczyło jego osoby. Już nie było w nim gniewu ani złości. Poczuł się prawie beztroski. Miał pytanie, które gnębiło go od dawna i które musiał postawić, i teraz przyszło mu to łatwo.

- Dlaczego nie odwiedziłaś mnie, kiedy dorastałem?

Długo nie odpowiadała. Widać było, że przełyka łzy i stara się opanować wewnętrzne drżenie. Podniosła głowę z kruchą godnością.

- Nie chciałam, byś się mnie wstydził. Brutusem od nowa targnęły gwałtowne emocje.

- Możliwe, że i tak się wstydziłem - wyszeptał gardłowym głosem. - Słyszałem, co ktoś mówił o tobie wiele lat temu, i usiłowałem udawać sam przed sobą, że ten ktoś się myli, usiłowałem wyrzucić cię z myśli. Zatem to prawda, że ty…

Nie mógł wypowiedzieć przed nią tego słowa, ale ona wyprostowała się jeszcze bardziej i oczy jej rozbłysły.

- Że jestem prostytutką? Możliwe. Jestem albo raczej byłam, chociaż kiedy mężczyźni, których znasz, są wystarczająco władczy, nazywają cię kurtyzaną czy nawet przyjaciółką.

Skrzywiła się gorzko. - Myślałam, że będziesz się mnie wstydził, i byłam zbyt słaba, by zobaczyć wstyd w oczach własnego syna. Nie spodziewaj się go po mnie. Przestałam się wstydzić tak dawno temu, że nawet nie pamiętam kiedy. Przeżyłabym własne życie inaczej, gdybym je mogła zawrócić, ale też nie znam nikogo, w kim by nie drzemały takie same bezsensowne, próżne marzenia. Nie będę teraz wchodziła w każdy nowy dzień z poczuciem winy, z nisko pochyloną głową! Nawet dla ciebie.

- Dlaczego kazałaś mi wrócić? - Brutus spytał i wydało mu się nie do uwierzenia, że tak łatwo odpowiedział na jej wezwanie.

- Chciałam zobaczyć, czy twój ojciec wciąż byłby z ciebie dumny. Chciałam zobaczyć, czy i ja… nawet ja… byłabym dumna! Zrobiłam w życiu wiele rzeczy, których żałuję, ale

świadomość, że ty istniejesz, była mi pociechą w każdym cierpieniu.

- Nie próbuj mi tego wmówić! Nie szukałaś żadnej pociechy! Zostawiłaś mnie i tyle, i nigdy nie przyszłaś mnie zobaczyć, a ja nawet nie wiedziałem, w której części miasta cię szukać!

Równie dobrze mogło cię nie być nigdzie.

Serwilia wymierzyła w Brutusa dłoń z czterema wyprostowanymi palcami.

- Cztery razy zmieniałam dom, od czasu kiedy byłeś niemowlęciem. Za każdym razem wysyłałam wiadomość do Tubruka. On umiałby mnie znaleźć.

- Nie wiedziałem o tym - odpowiedział cicho, porażony nagłą intensywnością jej głosu.

- Nie wiedziałeś, bo nie pytałeś.

Serwilia upuściła dłoń na kolana. Cisza, jakby nigdy nic jej nie zmąciło, ponownie wypełniła dzielącą ich przestrzeń. Brutus szukał

Rozdział XII

w myślach słów, które by ją wreszcie wprawiły w zakłopotanie, a jemu pozwoliły opuścić jej dom z godnością. Przebierał w złośliwych uwagach tak długo, aż w końcu zrozumiał, że robi z siebie głupca. Czy pogardzał nią, czy czuł wstyd za jej życie czy jej przeszłość? Szukał w sobie odpowiedzi i znalazł jedną. Nie czuł wstydu. Ani trochę. Po części dlatego, że dowodził

ludźmi i to go nobilitowało. Gdyby przyszedł do niej, będąc nikim, mógłby jej nienawidzić, ale sprawdził już swoją wartość w oczach wrogów i przyjaciół i nie bał się jej sprawdzić w oczach matki.

- Nie dbam o to, co robisz - powiedział powoli. - Jesteś moją matką.

Serwilia wybuchnęła głośnym śmiechem. Raz jeszcze zagubił się w obliczu tej dziwnej kobiety, zdolnej burzyć jego spokój raz za razem.

-Jak wzniosie to zabrzmiało! - stwierdziła, nie przestając się śmiać. - Z jaką surową twarzą dajesz mi rozgrzeszenie. Czy ty mnie choć trochę zrozumiałeś? Wiem więcej o tym mieście niż jakikolwiek senator obnoszący się z tą swoją krótką togą i starannie przystrzyżoną brodą.

Mam więcej bogactw, niż potrafię wydać, i moje słowo ma więcej władzy, niż potrafisz sobie wyobrazić. Wybaczasz mi moje niegodziwe życie? Mój synu, kiedy patrzę na twoją młodość, łamie mi się serce. Ona mi przypomina, jaka sama byłam, dawno temu. - Twarz jej

znieruchomiała i uśmiech zamarł na ustach. - Jeżeli chciałabym, byś cokolwiek mi wybaczył, to tamte lata, które mogłabym dzielić z tobą. Tego, kim jestem, nie zmieniłabym za nic, tak samo jak dróg, które przeszłam, by dożyć tego dnia, tej godziny! One nie mogą być

wybaczone. Nie masz prawa ani przywileju, by to zrobić.

- Więc czego chcesz od mnie? Mam wzruszyć ramionami i powiedzieć, wybacz, że

dorastałem do wieku męskiego bez ciebie? Potrzebowałem cię kiedyś, ale ci, którym ufam i których kocham do dzisiaj, to ci sami, którzy wtedy byli ze mną. Ciebie tam nie było.

Wstał i popatrzył na nią, zmieszany i zraniony. Ona wstała też.

- Zatem odchodzisz? - spytała cicho. Brutus wyrzucił w górę dłonie, w rozpaczy.

- Chcesz, bym wrócił?

- Bardzo chcę - powiedziała, dotykając jego ramienia.

Zakręciło mu się w głowie. Pokój się zakołysał i rozmyły się kontury sprzętów.

- Dobrze. Jutro.

- Jutro - potwierdziła, uśmiechając się przez łzy.

Lucjusz Auryga odchrząknął i splunął ze złością. Było coś w powietrzu środkowej Grecji, co zawsze wysuszało mu gardło, zwłaszcza w upalne dni. O wiele bardziej wolałby przedrzemać popołudnie w cieniu własnego ogrodu, niż być wzywanym na to puste pole, gdzie działał mu na nerwy nie ustający ani na chwilę wiatr. Nie godziło się Rzymianinowi być na każde zawołanie Greków, nieważne jakiej pozycji, pomyślał. Na pewno chodzi o nową skargę, którą trzeba będzie się zająć, tak jakby poza wysłuchiwaniem ich skomlenia nie miał czym wypełnić czasu. Obciągnął togę. Właśnie się zbliżali. Nie może wyglądać na zbitego z tropu,

że wybrali takie właśnie miejsce spotkania. Niech im będzie, dobre i to, że mają zakaz jazdy, gdy tymczasem on po prostu dosiądzie konia i przed zmierzchem wróci w mury Farsalos.

Mężczyzna, który przysłał wezwanie, niespiesznie szedł ku niemu z dwoma innymi. Jego olbrzymie ramiona i dłonie zwisały luźno i kołysały się przy każdym kroku. Wyglądał tak, jakby dopiero co zszedł ze wzgórz, które zamykały horyzont z każdej strony. Lucjusz lekko zadrżał. Dobrze, że choć nie są uzbrojeni, pomyślał. Mitrydates nie zawsze pamięta o posłuszeństwie wobec praw Rzymu. Lucjusz wpatrywał się w niego uważnie, kiedy ten szedł

przez kępy traw i kwiatów. Wiedział, że miejscowi wciąż nazywają go królem. No cóż, przynajmniej szedł jak król, nie chyląc głowy mimo tragicznej w skutkach rebelii.

W tym nieprzyjaznym kraju, pomyślał Lucjusz, nigdy nic się nie zmieni. Nawet gdyby nadarzyła się okazja objęcia urzędu namiestnika, nie skorzystałby z niej, to pewne. To tacy niesympatyczni ludzie. Nie mógł się nadziwić, jak ci nieokrzesani, ordynarni prostacy mogli stworzyć tak skomplikowaną matematykę. Gdyby nie zgłębił Euklidesa i Arystotelesa, nigdy by nie przyjął stanowiska poza Italią, ale myśl o spotkaniu takich umysłów może odurzyć młodego dowódcę. Westchnął. W tej ich mieścinie nie znajdzie się ani jeden Euklides.

Rozdział XII

145

Mitrydates nie uśmiechnął się, przystając przed grupką ośmiu żołnierzy, których Lucjusz ze sobą przyprowadził. Objął spojrzeniem równinę i góry, po czym nabrał powietrza w potężną pierś i przymknął oczy.

- No więc? Jestem tu, tak jak prosiłeś - powiedział Lucjusz zbyt głośno, zapominając, że powinien emanować z niego spokój i opanowanie.

Mitrydates otworzył oczy.

- Czy wiesz, co to za miejsce? Lucjusz potrząsnął głową.

- To samo, gdzie zostałem pokonany przez waszych ludzi trzy lata temu. - Podniósł grube ramię i zakreślił nim łuk. - Tamto wzgórze - pokazał. - Widzisz je? Ukryli łuczników w lesie i zalali nas ogniem strzał. Dopadliśmy ich w końcu, choć zastawili pułapki i najeżyli ziemię kolcami. Padło przy tym dużo ludzi, ale nie można mieć wroga na tyłach. To psuje morale.

- Tak, ale…

Mitrydates podniósł otwartą dłoń.

- Cii… - powiedział. - Pozwól mi dokończyć. - Mężczyzna stał

0 stopę wyżej niż Lucjusz i zdawał się tchnąć siłą, która nie dopuszczała sprzeciwu. Jego nagie ramię wyciągnęło się raz jeszcze, a pod skórą zagrały sznury mięśni. - Tam, gdzie ziemia się fałduje, było stanowisko moich procarzy, najlepszych, jakich kiedykolwiek miałem. Położyli wielu waszych ludzi, po czym chwycili za miecze, by dołączyć do swoich braci. Wasze główne siły stały za tobą i moi ludzie byli zdumieni zręcznością Rzymian. Takie formacje! Doliczyłem się siedmiu różnych zawołań w walce, choć mogło być ich więcej.

Czworobok, oczywiście, i wszędzie rogi. Klin, och, warto było ich zobaczyć, formujących klin i wbijających się w środek moich ludzi. Oczywiście używali tarczy. Myślę, że dawni

Spar-tanie by ich powstrzymali, ale tamtego dnia nasze siły się załamały.

- Nie sądzę… - spróbował ponownie Lucjusz.

- Tam był mój namiot, nie dalej jak czterdzieści kroków od miejsca, gdzie dzisiaj stoimy.

Grunt był błotnisty. Nawet teraz kwiaty i trawy, kiedy przypominam sobie tamtą bitwę, wyglądają dziwnie w moich oczach. W tamtym namiocie była moja żona

1 moje córki.

Król Mitrydates uśmiechnął się, zapatrzony gdzieś w przestrzeń.

- Nie powinienem ich ze sobą zabierać, ale nie przyszło mi na myśl, że Rzymianie mogą przebyć taką odległość w jedną noc. Moją żonę zabito w namiocie, a moje córki wywleczono

na zewnątrz i zamordowano na moich oczach. Najmłodsza miała czternaście lat i najpierw złamali jej kark, a potem poderżnęli gardło.

Lucjusz czuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Było tyle napięcia w powolnych ruchach tego mężczyzny, że prawie cofnął się o krok, w ramiona swoich żołnierzy. Słyszał o tej historii, kiedy tu przybył, ale wysłuchiwanie tak potwornej opowieści przyprawiało

0 lodowate dreszcze.

Mitrydates popatrzył na Lucjusza i wskazał palcem na pierś młodego mężczyzny.

- Tu, gdzie stoisz, klęczałem, związany i broczący krwią, otoczony kręgiem legionistów.

Czekałem na śmierć i błagałem, by przyszła. Widzisz, chwilę wcześniej słyszałem krzyki moich bliskich

1 chciałem odejść razem z nimi. Zaczęło padać, pamiętam, i ziemia nasiąkła wodą.

Słyszałeś, że deszcz to łzy bogów? Niektórzy z moich ludzi tak mówią i wtedy pomyślałem, że to prawda.

- Proszę… - szepnął Lucjusz. Odjechać stąd, nie usłyszeć niczego więcej.

Mitrydates zignorował szept, a może, za mgłą wspomnień, wcale go nie usłyszał. Chwilami się wydawało, jakby w ogóle zapomniał o obecności Rzymian.

- Zobaczyłem Sullę. Podjechał do mnie i zsiadł z konia. Miał na sobie togę najbielszą z białych. Musisz pamiętać, że wszystko inne było we krwi, błocie i brudzie. Wyglądał… nie dotknięty tym wszystkim i to… - Potrząsnął głową. - To była najdziwniejsza rzecz pod słońcem. Powiedział mi, że ci, którzy zabili moją żonę i córki, zostali straceni, wiedziałeś o tym? Nie musiał ich wieszać i ja nie rozumiałem, czego ode mnie chce, aż dał mi pewien wybór. Żyć i nie podnieść nowej armii przeciwko Rzymowi za jego życia albo umrzeć

natychmiast, od jego miecza. Myślę, że gdyby nie powiedział tamtego o ludziach, którzy zabili moje córki, wybrałbym śmierć, ale powiedział, i wybrałem życie. To był słuszny wybór. Przynajmniej dane mi było znów zobaczyć synów.

Rozdział XII

147

Mitrydates zwrócił się do dwóch mężczyzn, którzy stali u jego boku, i się uśmiechnął.

- Ten oto, Hoka, jest najstarszy, ale Tassus bardziej przypomina swoją matkę, tak myślę.

Lucjusz nagle pojął sens opowieści Mitrydatesa. Cofnął się

0 następny krok.

- Nie! Nie rób tego! Sulla… - przerwał, kiedy nagle ze wszystkich stron zaczęli nadbiegać mężczyźni, chowający się do tej pory za każdym pagórkiem i w lesie, gdzie przedtem, według słów Mitrydatesa, kryli się rzymscy łucznicy. Zadudniły kopyta koni

1 jeźdźcy ściągnęli wodze tuż przed legionistami, którzy obnażyli miecze i czekali posępnie i nieruchomo na swój

koniec. Wymierzone w nich dziesiątki strzał czekały na jedno słowo.

Lucjusz schwycił Mitrydatesa za ramię.

- To przeszłość! - krzyknął bezradnie. - Proszę!

Mitrydates zamknął go w swoich ramionach. Twarz wykręcał mu grymas gniewu.

- Dałem słowo nie podnieść armii za życia Korneliusza Sulli. Moja żona i moje córki bezpiecznie leżą w ziemi i odbiorę krew, która mi się należy!

Jedną ręką sięgnął za siebie, po ukryty sztylet. Przycisnął ostrze do gardła Lucjusza i szybko nim pociągnął.

Legioniści zginęli w kilka sekund, przebici strzałami, niezdolni odpłacić nawet jednym ciosem.

Młodszy z synów Mitrydatesa, Tassus, potrącił stopą ciało Lucjusza.

- To była niebezpieczna gra, mój królu - powiedział do ojca, marszcząc czoło.

Mitrydates wzruszył ramionami. Otarł krew z twarzy.

- W tym miejscu przebywają duchy, które kochamy. To wszystko, co mogłem dla nich zrobić.

A teraz daj mi konia i miecz. Nasi ludzie śpią już za długo.

ROZDZIAŁ XIII

Juliusz siedział w cieniu winiarni i obejmował dłonią kubek, za którego zawartością tęsknił

prawie od roku. Zgiełk i gwar rozmów dobiegające z ulicy rzymskiego portu sprawiały, że czuł się jak w domu, zwłaszcza kiedy zamykał oczy.

Pelitas wlał wino do gardła bez wielkiego zachodu, odczekał, aż spłynie ostatnia kropla, odstawił kubek i westchnął z uznaniem.

- Myślę, że gdybym był tu na własną rękę, rzuciłbym zbroję w kąt i pił, dopóki bym nie oślepł.

Inni przytaknęli jego słowom, delektując się, jak który potrafił, winem kupionym za ostatnie miedziaki.

Reszta ich ludzi, nowych i starych, została na wybrzeżu, całe mile z tyłu, dobrze ukryta przed przypadkowymi zwiadami rzymskich oddziałów. Do portu przyszli tylko w piątkę i to oni mieli zdecydować o dalszych krokach. Legioniści zastąpili im drogę już przy pierwszych portowych składach i wszystkich ogarnęły dziwne uczucia, choć z przewagą ulgi.

Wystarczyło, by zapytano ich o tożsamość czystą łaciną, a miesiące spędzone na pustynnym wybrzeżu wydały się każdemu odległą przygodą. Na szczęście historia z piratami, poza podniesieniem brwi, nie wywołała żadnych drwin ani uwag; żołnierze zauważyli ich czyste zbroje i zdatną do użycia broń, i serca dowódców napęczniały dumą. Byłoby nieprzyjemnie zjawić się w porcie jak żebracy.

- Kiedy przyjdzie kwestor? - spytał Praks, spoglądając na Gadi-tykusa.

Jako centurion, to on rozmawiał z rzymskim dowódcą zarządza-

Rozdział XIII

jącym portem i z tego powodu w szeregach powstało małe napięcie. Inni dowódcy tak się przyzwyczaili zdawać we wszystkim na Juliusza, że przypomnienie o stopniach zaowocowało chwilą zakłopotania. Swetoniusz ledwo powstrzymał uśmiech.

Gaditykus popijał wino drobnymi łykami, krzywiąc się i przechylając głowę na jedną stronę, by ostry płyn nie drażnił owrzodzonego dziąsła.

- Powiedział, że za cztery godziny, więc mamy jeszcze trochę czasu. Wyśle meldunek do Rzymu, że żyjemy i mamy się dobrze. Niewątpliwie zaproponuje nam miejsce na którymś z kupieckich statków.

Wyglądał na zagubionego w myślach, jak inni, i widać było, że trudno mu się oswoić z powrotem z cywilizacją. Ktoś z tłumu, przechodząc, otarł się o niego i Gaditykus zesztywniał.

Zbyt długo przebywali z dala od ciągłego pośpiechu miast i portów.

- Możecie skorzystać z tej propozycji, oczywiście - powiedział spokojnie Juliusz, patrząc po mężczyznach siedzących wokół stołu. - Chociaż ja robię swoje.

Po chwili krępującego milczenia odezwał się Praks.

- Jest nas trzydziestu ośmiu, łącznie z tą piątką. Ilu potrafi walczyć i zachować dyscyplinę, Juliuszu?

- Z dowódcami Accipitera, powiedziałbym, nie więcej niż dwudziestu. Reszta to wieśniacy, choć z mieczami.

- Zatem nic z tego - stwierdził posępnie Pelitas. - Nawet gdybyśmy znaleźli Celsusa, a bogowie wiedzą, że to nie będzie łatwe, dwudziestka walczących nie zapewnia nam wygranej.

Juliusz parsknął gniewnie.

- Po wszystkim, co udało się nam osiągnąć, sądzisz, że się poddam? Tamtym, w naszej kryjówce, wystarczy słowo, a pójdą do ataku. Sądzisz, że powinniśmy ich zostawić, a sami ukradkiem odpłynąć do Rzymu? To niehonorowo, Peli, ani trochę. Możesz wracać do domu, twoja wola. Możecie wracać wszyscy, ale kiedy znajdziemy i pobijemy Celsusa, wasz okup rozdam między tamtych.

Pelitas uśmiechnął się dobrodusznie, słysząc gniewne słowa młodszego mężczyzny.

- Myślisz, że tak zrobimy? Tak właśnie myślisz? Doprowadziłeś

nas aż dotąd, i nigdy bym nie uwierzył, że ci się to uda, gdybym nie zobaczył na własne oczy, jak sobie poczynasz w tamtych osadach. Mam zamiar pobić Celsusa razem z tobą.

- To się da zrobić - stwierdził zdecydowanie Juliusz. - Musimy się dostać na kupiecki statek, wyprowadzić go na morze i wystawić piratów na pokusę łatwej zdobyczy. Wiemy, że to wybrzeże jest terenem ich łowów; połkną haczyk, to pewne. Nasi ludzie przynajmniej wyglądają na legionistów, jeśli nawet paru jest pośledniej kondycji. Dla lepszego wrażenia na pierwszą linię pchnie się najlepszych.

- Zostaję do końca - zdeklarował się Praks. - Ani mi w głowie rezygnowanie z okupu. Po odejściu z legionów trzeba się trochę zabawić, tak czy nie?

Gaditykus przytaknął milcząco. Juliusz rozejrzał się po twarzach i zatrzymał wzrok na tej, którą znał najdłużej.

- A ty, Swetoniuszu? Płyniesz do domu?

Swetoniusz bębnił palcami po drewnianym stole. Wiedział od początku, że kiedyś nadejdzie ten moment, i poprzysiągł sobie, że skorzysta z pierwszej okazji powrotu. Był jedynym spośród reszty, którego rodzina mogła łatwo znieść stratę okupu, myśl o przemykaniu się do domu ukradkiem jednak nie była słodka. Rzym miał wielu młodych dowódców i przyszłość nie wyglądała tak jasno jak w czasie, kiedy wchodził na pokład Accipitera. Jego ojciec spodziewał się dla syna szybkiej kariery, a kiedy to nie następowało, senator po prostu przestał pytać. Teraz wrócić do rodzinnego majątku, będąc okrytym niesławą, nie byłoby mile widziane.

Przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Przy zachowaniu pewnej ostrożności znajdzie się sposób na to, by wrócić do Rzymu jako triumfator. Byłoby też wyśmienicie, gdyby ten sposób służył zarazem zniszczeniu Juliusza.

- Swetoniuszu? -Juliusz powtórzył pytanie.

- Zostaję - odpowiedział stanowczo, już planując dalsze działanie.

- Wspaniale. Potrzebujemy ciebie - odrzekł Juliusz. Swetoniusz zachował nieprzeniknioną twarz, chociaż wszystko

się w nim gotowało. Dobrze wiedział, że żaden z siedzących przy

stole mężczyzn nie dba o jego zdanie, ale ojciec pochwali to, co syn zamierza zrobić, dla dobra Rzymu.

- Przejdźmy do rzeczy, panowie - powiedział Juliusz, rozglądając się na boki i zniżając głos. -

Jeden z nas musi wrócić po resztę i sprowadzić ludzi do portu. Żołnierze, jak widać, nie przejmują się opowieściami o piratach, więc w razie przepytywania niech ludzie opowiedzą to samo. Musimy być ostrożni. Nie byłoby dobrze, gdyby zatrzymano kilku do rana i

odstawiono do kwestora. Chcę być na pełnym morzu o świcie, ze wszystkimi na pokładzie.

- Nie możemy pójść po nich w nocy? — spytał Pelitas.

- Straże legionistów da się tak czy inaczej ominąć, lecz o dużej grupie uzbrojonych mężczyzn piraci dowiedzą się natychmiast. Nie mam cienia wątpliwości, że opłacają szpiegów

donoszących, które okręty wiozą złoto i cenne ładunki. Ja bym tak zrobił na ich miejscu i, zauważcie proszę, Accipiter zawinął do tego portu, nim zostaliśmy zaatakowani. W końcu są dostatecznie bogaci, by przekupić paru ludzi. Problem tkwi w zaokrętowaniu prawie

czterdziestu żołnierzy tak, by nie spuszczać trapu. Lepiej zrobimy, przerzucając po dwóch czy po trzech przez całą noc.

-Jeżeli jest tak, jak mówisz, to ich obserwatorzy na nabrzeżu powoli doliczą się wszystkich -

wtrącił spokojnie Gaditykus. Juliusz myślał przez moment.

- Zatem rozdzielimy ludzi. Znajdź tych, którzy umieją pływać. Niech nie pokazują się na nabrzeżu i niech podpłyną do statku z pewnej odległości. Księżyc jest w nowiu, noc nie będzie za jasna i uda nam się załatwić sprawę bez rozgłosu. Zbroje i

broń mają być załadowane tak jak reszta towarów przeznaczonych na sprzedaż. Pelitasie, pływasz jak ryba.

Czy dasz radę sprowadzić ich w okolice cypla, jak tylko zacznie zmierzchać?

- Bez zbroi, tak. W końcu ci chłopcy wyrośli nad brzegiem morza.

Juliusz sięgnął do sakiewki przy pasie i wyłuskał z niej dwie srebrne monety.

- Czyżbym się przesłyszał, kiedy mówiłeś, że nie mamy pieniędzy? - zaśmiał się Praks. -

Pozwól w takim razie, że zamówię parę kolejek więcej.

Juliusz potrząsnął głową.

- Może później. Srebro jest dla dwóch, którzy wrócą tu wieczorem. Chcę, żeby ktoś udawał

strażnika ucztującego w ostatnią noc przed wypłynięciem cennego ładunku - na tyle szumnie, by o sprawie zwiedzieli się piraci, i na tyle spokojnie, by się nie upił ani nie dał zabić.

Potrzebuję człowieka z mocną głową, niezawodnego, i z kilkoma latami służby więcej niż większość z nas.

- W porządku, wyraziłeś się dość jasno - uśmiechnął się Praks. - Mnie by się podobała taka robota. Co ty na to, .Gadi?

Centurion, patrząc na Juliusza, pokręcił głową.

- Nie tym razem. Chcę być z ludźmi na wypadek, gdyby coś było nie tak.

- Idę z tobą - poderwał się nieoczekiwanie Swetoniusz. Praks uniósł brwi, po czym wzruszył

ramionami.

- O ile nie ma innego chętnego - ciągnął Swetoniusz, usiłując ukryć podniecenie. To dawało mu okazję oddzielenia się od innych.

Praks rad nierad kiwnął głową i Swetoniusz opadł z ulgą na ławę.

- Widziałem, że przyglądałeś się statkom, jak przyszliśmy do miasta - zagadnął Juliusza Gaditykus.

Młodszy z dwóch mężczyzn pochylił się bliżej starszego i wszyscy zsunęli głowy nad stołem, by usłyszeć odpowiedź.

-Jeden ładował towary - mruknął. - Ventulus. Trójrzędowiec z żaglem. Skromna załoga.

Poradzimy sobie bez większego problemu.

- Zdajesz sobie sprawę - powiedział Swetoniusz - że kradzież statku z rzymskiego portu zrówna nas z piratami? - On sam rozumiał, że popełnia błąd, ostrzegając ich, ale złośliwość zwyciężyła. Poza tym przypomną sobie później, kto ich przestrzegał przed szaleńczymi knowaniami Juliusza.

Innym twarze lekko stężały, kiedy rozważali przestrogę, i Juliusz spiorunował wzrokiem młodego dowódcę warty.

- Tylko jak nas zobaczą. A co do ciebie, możesz zapłacić kupcowi za poniesione straty ze swojego udziału.

Gaditykus zmarszczył czoło.

- Nie. On ma rację. Chcę być dobrze zrozumiany: żaden z członków załogi nie może być zabity i ładunek ma pozostać nietknięty.

Rozdział XIII

153

Jeżeli nam się powiedzie, kupiec musi dostać odszkodowanie za stracony czas i zyski.

Zmierzyli się wzrokiem z Juliuszem i reszta niemal fizycznie wyczuła napięcie między dwoma mężczyznami. Zapadła niezręczna cisza. Kwestię dowodzenia lekceważono tak długo, że wszyscy

0 niej zapomnieli. Co nie znaczy, że jej nie było, po pierwsze, a po drugie Gaditykus swego czasu nauczył ludzi dyscypliny. Sweto-niusz, gdyby mógł, wyszczerzyłby radośnie zęby na to

nieme zmaganie się obu mężczyzn, do którego on doprowadził.

W końcu Juliusz ustąpił.

- Słusznie - powiedział. - Ale tak czy owak, chcę przejąć ten statek wraz z zapadnięciem nocy.

Nad pochylonymi głowami piątki rozległ się czyjś dobitny głos

1 mężczyźni odskoczyli od siebie.

- Kto tu jest dowódcą? - zapytał obcy, a jego pytanie niechcący zawtórowało prywatnym myślom każdego.

- Byłem dowódcą Accipitera. - Gaditykus podniósł się, by powitać przybysza.

Mężczyzna przypominał Rzym nawet bardziej niż pilnujący portu legioniści. Nosił

drapowaną togę na nagiej skórze, spiętą srebrną zapinką z wygrawerowanym orłem. Miał

krótko przycięte włosy, a na czwartym palcu dłoni, którą podał Gaditykusowi, błyszczał

gruby złoty pierścień.

- Wyglądacie zdrowiej niż większość wziętych dla okupu mężczyzn, którzy przewinęli się przez ten port. Jestem Prawitas, tutejszy kwestor. Widzę, że macie puste kubki, a i mnie zaschło w gardle.

Kiwnął na obsługującego niewolnika, który przybiegł szybko i napełnił naczynia lepszym winem. Rzucało się w oczy, że rzymski kwestor jest dobrze znaną osobistością w portowym mieście. Juliusz zauważył, że przybył bez strażnika, co było kolejną oznaką respektu dla praw Rzymu. Mężczyzna jednakże miał za pasem długi sztylet i by usiąść obok nich na ławie, przesunął go na biodro.

- Za Rzym, panowie - wzniósł toast.

Zawtórowali i upili po małym łyku. Nie byli pewni, czy mężczyzna zamówi następną kolejkę, a gatunek był niepośledni i należało się nim nacieszyć.

- Jak długo was trzymali? - spytał, kiedy kubki stuknęły o stół.

- Jakieś sześć miesięcy, choć trudno było śledzić upływ czasu - powiedział Gaditykus. - Co teraz mamy?

- Kalendy października. A więc mówisz, że sześć. To długo, wyjątkowo długo.

Gaditykus szybko policzył daty.

- Trzymali sześć, ale szliśmy do tego portu kolejne trzy.

- Czyżby wysadzili was aż tak daleko? - zainteresował się Prawitas.

Gaditykus uznał, że lepiej nie być zbyt dokładnym i nie zdradzić, że po drodze uczyli nowych żołnierzy walki i słuchania rozkazów. Wzruszył ramionami.

- Paru z nas odniosło na statku obrażenia. Nie dało rady iść prędzej.

- A te miecze i zbroje? Jestem zdziwiony, że piraci ich nie odebrali - naciskał Prawitas.

Gaditykus chciał skłamać, ale kwestor łatwo mógł wtrącić piątkę mężczyzn do lochu, wystarczyło, żeby pomyślał, iż coś ukrywają. Już i tak wydawał się podejrzliwy, wbrew swobodnemu obejściu, więc Gaditykus postanowił trzymać się blisko prawdy.

- Pochodzą ze starych składów broni z którejś z rzymskich osad. Trzeba było je odpracować, ale po dniach niewoli wyszło nam to tylko na zdrowie.

- A jednak to bardzo szczodry dar. Same miecze muszą być warte niezłą sumkę. A która to była osada? Pamiętacie?

- Posłuchaj, panie. Stary żołnierz, który pozwolił nam je zabrać, pomagał Rzymianom, którzy popadli w tarapaty. I niechby to tak zostało.

Prawitas przechylił się do tyłu. Zmarszczył czoło i chyba coś rozważał. Sytuacja stawała się trudna i pięciu dowódców

przyglądało mu się czujnie. Choć teoretycznie podlegali mu wszyscy rzymscy obywatele w prowincji, miał ograniczoną władzę nad żołnierzami. Gdyby ich zamknął bez oczywistych dowodów, miejscowy dowódca legionu byłby wściekły.

- W porządku. Zatrzymajcie sobie waszą tajemnicę. Być może powinienem zażądać, byście udowodnili swoje prawo do ekwipunku o wartości rocznego żołdu, ale zakładam, że nie zabawi-Rozdział XIII

cie tu na tyle długo, by zmusić mnie do drobiazgowego dochodzenia.

- Zamierzamy wsiąść na pierwszy statek - odpowiedział Gaditykus.

- Oby na pewno, panowie. Czy mam wam załatwić przejazd, czy ów „stary żołnierz" oprócz broni dał wam także pieniądze na drogę?

- Dziękujemy, panie. Jakoś sobie poradzimy - odpowiedział spiętym głosem Gaditykus.

Najwyraźniej miał dość kwestora i jego pytań.

- Zatem poproszę o wasze imiona. Rzym żąda dokładnych meldunków, ale poza tym

zostawiam was w spokoju.

Podali mu je szybko i Prawitas powtórzył każde, dla lepszego zapamiętania. Wstał i sztywno kiwnął głową.

- Powodzenia w powrotnej podróży, panowie - rzucił i zaczął się przeciskać przez zatłoczoną gospodę do wyjścia.

- Podejrzliwy sodomita - mruknął za nim Pelitas, a reszta zgodnie przytaknęła.

- Musimy działać szybko - powiedział Juliusz. - Nie wątpię, że kwestor nie spuści z nas oka, dopóki nie opuścimy jego prowincji. Będzie nam trochę trudniej.

- No cóż, przedtem było zbyt łatwo - skwitował Praks. - Przydadzą się nowe wyzwania.

Juliusz uśmiechnął się, inni też. Najważniejsze, że połączyła ich przyjaźń, co by się pewnie nie stało, gdyby nie piraci.

- Ruszasz po ludzi, Peli. Tych, co cię będą śledzić, gubisz odpowiednio wcześnie. Tego się spodziewam. A jeśli wpadasz razem z ludźmi, to wiążecie strażników i nie mają prawa uwolnić się przed świtem. Nie ma znaczenia, że jutro się ich nie doliczą. Nas i tak tu nie będzie.

Pelitas wstał, dopił wino i czknął. Odszedł bez dalszych słów i Juliusz popatrzył na trójkę, która pozostała.

- Teraz, panowie - powiedział, przedrzeźniając ton kwestora - musimy się dostać na statek naszego kupca.

Durus, właściciel Ventulusa, był zadowolony. W jego ładowniach było pełno skór i

osobliwego drzewa, co po powrocie do Italii miało mu przynieść małą fortunę. Jego dumą była kość sło-156

niowa, dziesięć kłów, każdy długi jak dorosły mężczyzna. Jeszcze nigdy nie widział zwierząt, które nosiły je za życia; nabył kość od kupca w porcie, a ten z kolei wymienił je z myśliwymi z głębi lądu. Durus wiedział, że co najmniej potroi ich cenę, i po cichu gratulował sobie wyniku zaciętego targu. Targ trwał prawie dwie godziny i kupiec wcisnął mu na koniec kilka bezwartościowych sztuk płótna, choć Durus przypuszczał, że da się je. sprzedać niewolnikom i zarobić dodatkowe kilka miedziaków. Nie mógł zatem narzekać. To była owocna podróż i -

nawet przy wydatkach na opłaty portowe i zaopatrzenie dla załogi i niewolników - powinien

zarobić na czysto dość, by kupić żonie perły, o których marzyła, i być może nowego konia dla siebie. Rasowy ogier, jeżeliby dostał takiego za godziwą cenę, mógłby z klaczą jego żony sprowadzić na świat niejedno źrebię.

Rozmyślania przerwali mu czterej żołnierze maszerujący wprost do zakotwiczonego

Ventulusa. Przypuszczał, że przysyła ich wścib-ski kwestor, zarządzający portem, i ciężko westchnął. W końcu się uśmiechnął.

- Można wejść na statek? - spytał jeden.

- Oczywiście - odpowiedział Durus, zastanawiając się, czy mężczyzna będzie próbował

wycisnąć z niego jeszcze inny podatek czy jeszcze inną łapówkę. Tego doprawdy było za wiele. - W czym mogę wam pomóc? - zapytał, kiedy stanęli na pokładzie. Zmarszczył czoło; dwóch, traktując go jak powietrze, taksowało wzrokiem każdy szczegół kupieckiego statku.

Większość jego ludzi zabawiała się na lądzie, oczywiście, więc praktycznie był sam, nie licząc dwójki, która snuła się gdzieś po kątach.

- Mamy do ciebie parę pytań - powiedział jeden z żołnierzy. - Na osobności.

Durus usiłował zachować spokój. Czy myślą, że jest jakimś przemytnikiem, piratem?

Usiłował nie wyglądać na winnego, ale wiedział, że znaleźć coś zawsze można. W ostatnich czasach namnożyło się tyle przeróżnych zarządzeń, że nie dało się wszystkich spamiętać.

- Mam u siebie doskonałe wino. Możemy porozmawiać - powiedział, zmuszając się do

uśmiechu.

Poszli za nim bez słowa.

ROZDZIAŁ XIV

Naczekaj! Coś nie tak! - syknął Swetoniusz, chwytając za ramię Praksa, który właśnie wychylał się z cienia budynków portowych. Zastępca centuriona szarpnął się z irytacją.

- Niczego nie słyszę. Musimy się przedostać do Juliusza. No, dalej.

Swetoniusz potrząsnął głową, obejmując spojrzeniem puste nabrzeże. Gdzie jest kwestor?

Chyba niemożliwe, by ten człowiek zlekceważył ostrzeżenie? Tak łatwo było szepnąć słówko legioniście, gdy ten opróżniał pęcherz w ciemnej latrynie przy tawernie. Zanim żołnierz skończył i zanim się odwrócił, Swetoniusz, z sercem głośno dudniącym z podniecenia, już zdążył się wmieszać w gwarny tłum wewnątrz i usiąść pośród innych. Czy mężczyzna był aż tak pijany, żeby nie przekazać informacji dalej? Faktycznie, nieco się chwiał nad kamiennym ściekiem, pozbywając się wypitego wina.

Młody Rzymianin zacisnął pięści w bezsilnej irytacji. Kwestor wynagrodziłby człowieka, który udaremnił piracki napad w samym sercu rzymskiego portu. Juliusz byłby zniszczony, a on sam mógłby wrócić do Rzymu bez uszczerbku na reputacji i poniżenie, jakiego

doświadczył, byłoby wreszcie za nim. Chyba że pijany legionista zapomniał przesłania albo padł nieprzytomny w drodze na swoje kwatery. Co trudno było wykluczyć.

- O co ci chodzi?! Statek jest? Jest. Więc idę.

- To pułapka. - Swetoniusz rozpaczliwie grał na zwłokę. - Coś jest nie tak, coś czuję. - Nie śmiał powiedzieć nic więcej, by nie

wywołać niepotrzebnych podejrzeń. Chłonął otaczające ich dźwięki wszystkimi zmysłami, ale kroków portowych straży nie usłyszał.

Praks spojrzał zezem na młodego mężczyznę.

- Co do mnie, nie czuję niczego. Jeżeli puściły ci nerwy, możesz zostać, ale ja idę.

Krzepki zastępca rzucił się biegiem w stronę ciemnego kadłuba kupieckiego statku, omijając po drodze migotliwe kałuże światła. Swetoniusz patrzył za nim ze zmarszczonym czołem.

Lepiej być niezależnym, ale gdyby kwestor się nie pokazał, musiałby pójść za innymi. Nie może dać się zostawić i żebrać

kogoś o bezpłatną koję.

Juliusz przechylił się przez burtę Ventulusa i omiótł wzrokiem otwartą przestrzeń między statkiem a składami, wypatrując Praksa i Swetoniusza, i reszty swoich ludzi, i przynaglając ich w myślach do pośpiechu. Rożek księżyca wypłynął już na niebo i Juliusz był pewien, że do świtu nie zostało więcej niż kilka godzin.

Za jego plecami coś głośno stuknęło i Juliusz zaryzykował spojrzenie. W cieniach pokładu leżał na plecach, ciężko dysząc, któryś z kolejnych żołnierzy, których droga na statek prowadziła przez morze. Mężczyźni musieli opłynąć skalisty cypel zamykający od zachodu niewielki port. Skała, nierówna i chropowata, najeżona w dodatku kolczastymi szkarłupniami, nie dawała żadnych możliwości odpoczynku po drodze; co więcej, wielu mężczyzn, niezbyt ostrożnych, przybyło z poocieraną skórą, a kilku nawet broczyło krwią, i tym wyzierał z oczu strach przed rekinami. To była ciężka próba, lecz Juliusza bardziej martwiło, że niektórzy nie umieli pływać, między innymi olbrzymi Cyron. Mieli wbiec do miasta niepostrzeżenie, nie podrywając w stan czujności straży kwestora, i właśnie się spóźniali.

Zasłonięty chmurami księżyc dawał jedynie bladą poświatę, ale wzdłuż całego nabrzeża paliły się pochodnie, ciemnożółte błyski, poruszające się i podskakujące na wiejącym od lądu wietrze. Wiatr zmienił się godzinę wcześniej i Juliusz pragnął jedynie podnieść kotwice, przeciąć liny i odpłynąć. Kupiec był związany w swojej kajucie, jego załoga pogodziła się z obecnością kilku dodatkowych żołnierzy bez uwag czy szczególnego poruszenia. Poszło prawie

Rozdział XIV

lepiej, niż Juliusz się spodziewał, ale teraz, słysząc złowróżbne skwierczenie pochodni, poczuł nagły strach, że kwestor przechwycił jego ludzi i wszystko było na próżno.

Żałował, że wysłał Praksa i Swetoniusza do tawerny. Może wdali się w bójkę lub wzbudzili podejrzenia niezdarnie snutą opowieścią o bogactwach na pokładzie. To było stanowczo za

duże ryzyko, zauważył w duchu, i aż pobielały mu knykcie, kiedy mocniej zacisnął pięści na burcie Ventulusa.

Wreszcie są! Rozpoznał sylwetkę starego zastępcy pędzącego w stronę statku. A gdzie, u licha, ten drugi? Juliusz wytężył wzrok, lecz po Swetoniuszu nie było śladu. Czy stało się coś złego?

Zziajany Praks wdrapał się na pokład.

- Gdzie on jest? - warknął Juliusz.

- Nie wiem. Gdzieś za mną. Chyba puściły mu nerwy. Będzie lepiej, jak go tu zostawimy -

rzucił ze złością Praks, ogarniając wzrokiem uśpione portowe miasto.

Z oddali dobiegł czyjś krzyk i Juliusz nadstawił uszu. Jeszcze jeden krzyk, a może rozkaz, ale w wiejącym wietrze nie sposób było niczego rozeznać. Pokręcił głową na prawo, na lewo i wtedy usłyszał rytmiczny stukot legionistów w marszu, żelazne podków-ki ich butów, hałasujące w jedyny na świecie sposób. Dziesięciu, może dwudziestu ludzi. Zdecydowanie nie jego. Licząc Swetoniusza, tych, którzy mieli wsiąść na statek od strony nabrzeża, pozostało tylko sześciu. Zaschło mu w ustach. To musi być kwestor, nikt inny. Idzie, by go pojmać. Wiedział, od samego początku wiedział, że mężczyzna jest podejrzliwy.

Odwrócił się i popatrzył na wąską deskę łączącą Ventulusa z nabrzeżem. Ten prowizoryczny trap utrzymywało w bezruchu zaledwie kilka wilgotnych worków z piaskiem. Mógł podnieść go w sekundę i rozkazać okrętowi wypłynąć w morze. Gaditykus pilnował kupca. Pelitas był

przy niewolnikach, gotów dać sygnał do zanurzenia wioseł. Juliusz poczuł się okropnie samotny na opustoszałym pokładzie.

Potrząsnął głową z irytacją. Decyzja należy do niego, a zatem zaczeka i zobaczy, kto nadchodzi. Wpatrzył się w mrok portowych zabudowań, błagając bogów, by pokazali się jego ludzie, lecz błaganie zostało bez odpowiedzi, za to łoskot butów wciąż jeszcze

niewidocznych legionistów, idących szybkim marszem, narastał z chwili na chwilę.

Kiedy wyszli z ciemnego zaułka na oświetlone pochodniami nabrzeże, Juliusz zamarł.

Kwestor był tam osobiście i prowadził coś, co wyglądało na dwudziestkę ludzi, uzbrojonych po zęby i kierujących się nieomylnie w stronę ciemnych okrętów i Ventulusa.

Swetoniusz, usłyszawszy charakterystyczny stukot żołnierzy, odetchnął z ulgą. Zaczeka, aż pochwycą innych, i niepostrzeżenie wyśliźnie się o świcie. Mężczyznę, który go ostrzegł, kwestor podejmie z honorami i porozmawiają obaj jak równy z równym. Swetoniusz się uśmiechnął. Kusząca perspektywa, czekać w tłumie na egzekucję Juliusza, choćby tylko po to, by pochwycić jego ostatnie spojrzenie. Przez moment ścisnął go żal na myśl o innych, ale wzruszył obojętnie ramionami. W końcu to są piraci i ani jeden nie przeciwstawił się Juliuszowi, gdy ten niszczył w ludziach dyscyplinę wstrętnymi pochlebstwami i obietnicami.

Gaditykus nie nadawał się na dowódcę, a Pelitas… tak, to byłaby radość, widzieć

upokorzonego Pelitasa.

- Swetoniuszu! - krzyknął ktoś za nim i Swetoniusz mało nie zemdlał z przestrachu. - Kwestor prowadzi żołnierzy! Ruszaj się, na co czekasz!

Z cieni wybiegli mężczyźni. Jeden chwycił go w pędzie za ramię i pociągnął za sobą.

Olbrzym Cyron! Swetoniusz szarpnął się i wyrwał z obrzydliwego uścisku, lecz nie zdążył

oprzytomnieć, kiedy zobaczył maszerujące z przeciwnej strony, w szybkim tempie i z obnażonymi mieczami, posępne portowe straże. Swetoniusz przełknął i potykając się, ruszył

do przodu. Nie było czasu na myślenie. Mogli go zabić, zanimby się dowiedzieli, kto im pomógł. Równie przerażony

jak wściekły, pobiegł za innymi. Nic po nadziejach na poranną poufną rozmowę z kwestorem jak równy z równym. Najpierw musi wyjść żywy z tego

zamieszania. Zacisnął szczęki, przyspieszył i w paru krokach wyprzedził ciężkiego Cy-rona.

Juliusz krzyknął z ulgi na widok tych kilku ostatnich, biegnących ku statków, ale żołnierze kwestora też ich zauważyli i ryknęli: „Stać!”

Rozdział XIV

161

- Szybciej! - zawołał Juliusz.

Legionistów dzieliła od jego ludzi niewielka odległość. Czasu było mało. Jeżeli nawet Cyron i inni zdołają wpaść na pokład, to tuż za nimi wpadną pierwsi ze strażników.

Obie grupy kierowały się prosto na niego. Odczekał do ostatniego momentu, po czym obrócił

się i ryknął:

- Teraz, Peli! Ruszaj!

Rozkazowi Juliusza odpowiedziały w czeluściach statku rozkazy Pelitasa; wiosła wysunęły się z bloków i odepchnęły od kamiennego nabrzeża. Ventulus zadrżał. Zaczynał niemrawo ruszać na ciemne wody. Juliusz, słysząc nowe krzyki na dole, zorientował się, że załoga, którą rozbudziło pierwsze drgnięcie statku, a która spodziewała się paru wesołych nocy w porcie, lada moment wypełni pokład. Rzucił się z mieczem na linę trzymającą statek na uwięzi. Po kilku cięciach lina puściła, a deska łącząca ich z lądem, gubiąc worki piasku, przesunęła się razem ze statkiem.

Czy pospieszył się z rozkazem do Pelitasa? Żołnierze byli nie dalej niż pięćdziesiąt stóp od jego ludzi, kiedy pierwsi z nich znaleźli się w paru susach na pokładzie i natychmiast obnażyli miecze. Swetoniusz bardziej przefrunął, niż przebiegł po desce i rzucił się na burtę.

- Szybciej, Cyronie! Odpływamy! - krzyknął Juliusz, machając mieczem nad głową.

Wielki mężczyzna poruszał się za wolno i Juliusz już ruszał ku desce, gotów do niego skoczyć. Cyron tymczasem zwolnił jeszcze bardziej i obnażył miecz na przyjęcie ataku portowych straży.

- Cyronie! Ich jest za dużo! - ryknął Juliusz miotany sprzecznymi uczuciami. Jego człowiek potrzebował pomocy, ale skok na nabrzeże groził dostaniem się w ręce kwestora. Jeszcze się wahał, kiedy wiosła odepchnęły się od kamieni po raz drugi i deska opadła.

Cyron, nie mając odwagi odwrócić się do żołnierzy plecami, powoli się cofał. Ludzie kwestora natarli i olbrzym zdzielił pierwszego potężnym ciosem pięści. Żołnierz zatoczył łuk w powietrzu, wpadł do wody i znacząc swój ślad srebrnymi bąbelkami powietrza, wciągnięty ciężarem zbroi poszedł na dno. Cyron okręcił się i spojrzał w wodę, jakby chciał człowieka ratować, lecz w tym

momencie czyjś miecz przebił mu plecy i olbrzym zamachał ramionami niezdarnie, po czym wydał z siebie głośny ryk, rzucił się za odpływającym statkiem i rozpaczliwie uczepił burty.

- Pomóżcie mi go wciągnąć! - krzyknął Juliusz. Razem z dwoma innymi przewinęli

broczącego krwią olbrzyma przez burtę i mężczyzna zwalił się ciężko na pokład.

- Nie chciałem go zabić - powiedział między jednym a drugim zgrzytliwym oddechem.

Juliusz przyklęknął i wziął go za rękę.

- Musiałeś. Nie było wyboru.

Cyron zacisnął powieki i zapadł się w swój ból. Juliusz wstał. Z ponurą twarzą podszedł do burty. Niewolnicy znaleźli

wreszcie dość miejsca, by wiosła uderzyły o wodę, i statek zaczął

brać kurs na pełne morze.

Na nabrzeżu, nie dalej niż dwadzieścia stóp, stali ludzie kwestora. Ich twarze wykrzywiała nienawiść. Byli blisko zdobyczy, a jednak dzieląca ją od nich wodna przepaść poszerzała się z chwili na chwilę i nie byli w stanie jej przekroczyć. Jeden splunął z obrzydzeniem.

Kwestor stał między nimi. Togę zamienił na ciemną tunikę i skórzaną spódniczkę.

Doprowadzony do wściekłości wysiłkiem, który okazał się daremny, patrzył, jak statek wymyka się z portu i daje pochłonąć nocy. Kilku jego ludzi, też obserwujących Ventulusa, zaklęło pod nosem.

-Jakieś rozkazy, panie? - spytał jeden, podnosząc oczy na kwestora.

Prawitas nie lubił zdradzać się ludziom z nadmiernymi emocjami. Odczekał, aż wyrówna mu się oddech.

- Biegnij do dowódcy okrętu, który zawinął do portu dziś rano. Ma natychmiast postawić żagle i udać się w pogoń za Venłulusem. Chcę, by wyruszył za godzinę, przy najbliższym odpływie.

Żołnierz oddał honory.

- Tak, panie - odpowiedział. - Czy mam mu podać powód?

- Powiedz, że zamordowano legionistę, a statek porwali piraci.

Juliusz zebrał ludzi w ciemnościach kołyszącego się pokładu. Brakowało jedynie Cyrona, który po odniesionej ranie musiał

Rozdział XIV

przyjść do siebie. Cięcie było głębokie i poszło pod łopatką, ale rzecz wyglądała czysto i mężczyzna miał duże szansę na przeżycie. Załogę przetrzymywano pod pokładem. Miała tam pozostawać tak długo, aż racjonalnie da się jej wyjaśnić sytuację. Ludzie z Accipitera radzili sobie z żaglem i obsługą

statku bez większych kłopotów, niemniej przetrzymywanie w zamknięciu niewinnych ludzi mogło napełniać serca goryczą. Zbyt świeża była pamięć o własnej niewoli i Juliusz wyczuwał, że jego dowódcy mają mu to za złe.

- Sprawy przybrały inny obrót - powiedział, usiłując zapanować nad własnymi myślami. -

Może nie wszyscy wiedzą, że kiedy nasi ludzie usiłowali dostać się na pokład, jeden z żołnierzy kwestora utonął. Musimy trzymać się jak najdalej od brzegu i uciekać przed

każdym żaglem na horyzoncie, aż sprawa przycichnie. Nie planowałem czegoś takiego, lecz stało się. Złapani zginiemy.

- Nie będę piratem - przerwał mu Gaditykus. - Wdaliśmy się w tę awanturę, by z nimi walczyć, a nie żeby dołączać do ich szeregów.

- Czyżbyś zapomniał, że kwestor zna nasze imiona? W meldunku, który wyśle do Rzymu, opisze, jak porwaliśmy statek i jak utopiliśmy jego człowieka. Chcesz czy nie, jesteśmy piratami. Nasza jedyna nadzieja na wyjście z całego zamieszania to zrealizować plan do końca i schwytać Celsusa. Przynajmniej wtedy udowodnimy nasze prawdziwe intencje. Może odstąpią od myśli, by nas ukrzyżować.

- Oto dokąd doprowadziły ludzi twoje pomysły! - warknął Swetoniusz, potrząsając pięścią. -

To katastrofa! Stąd nie ma odwrotu!

Każdy miał coś do dorzucenia i Juliusz, walcząc z własną rozpaczą, pozwolił im się wykrzyczeć. Niechby tylko kwestor chciał spędzić noc w łóżku, a zdążą zniknąć mu z oczu i znaleźć swoich porywaczy.

W końcu uspokoił się na tyle, by im przerwać.

- Po zaprzestaniu wzajemnych oskarżeń zobaczycie sami, że nie mamy wyboru. Powrót do portu oznacza poddanie się kwestorowi, a ten nas osądzi i każe stracić. To nieuniknione.

Dodam tylko jedno.

Zapadła cisza. Juliuszowi zrobiło się niedobrze na widok nadziei w ich twarzach. Wciąż myśleli, że doprowadzi do jakiejś zmiany, a na razie wszystko sprowadzało się do jego obietnic i nie był nawet pewien, czy sam w nie wierzy. Podchwycił spojrzenie jednego, potem drugiego i trzeciego. Wreszcie przyjrzał się wszystkim dowódcom z Accipitera.

- W tamtej cuchnącej norze, gdzie nas przetrzymywali, żaden nawet by nie pomyślał, że możemy być tu, gdzie jesteśmy, gotowi podjąć walkę z wrogiem. To nie może nic nie

kosztować, ale uporamy się z kłopotami, kiedy Celsus będzie leżał u naszych stóp i jego złoto będzie nasze. Wyprostujcie karki.

- Rzym ma długą pamięć co do swoich wrogów - powiedział posępnie Gaditykus.

Juliusz zmusił się do uśmiechu.

- Ależ my nie jesteśmy wrogami Rzymu. My to wiemy. Jedyne, co nam pozostało do

zrobienia, to przekonać o tym Rzym.

Gaditykus pokiwał wolno głową, odwrócił się od Juliusza i odszedł pokładem. Na niebie pojawiły się pierwsze zorze. Szare delfiny zaczęły się bawić i wyskakiwać nad tępą deskę dziobnicy. Wspomagany wiosłami Ventulus uwoził ludzi Juliusza coraz dalej od lądu i kary.

ROZDZIAŁ XV

oerwilia szła z synem przez forum głęboko zamyślona. On wydawał się zadowolony z jej niespiesznego kroku - pozwalał mu dłużej sycić oczy wielkimi łukami i kopułami senatu, do którego się zbliżali. Ona widywała budynek tysiące razy i teraz ledwo go zauważała.

Zerknęła ukradkiem na Brutusa. Na jej prośbę przybył na spotkanie w pełnym ekwipunku centuriona. Wiedziała, że miejscowi plotkarze zauważą go i będą ciekawi imienia,

przypuszczając, że młody człowiek odwiedza jej sypialnię. Do tej pory zaledwie niewielu mogło szeptać, że jej syn wrócił do niej, i tych niewielu aż płonęło z ciekawości, by zgłębić do końca tę tajemnicę. Wiedziała, że Brutus nie może przejść środkiem miasta niezauważony.

W sposobie, w jaki pochylał głowę do słuchania, jak się poruszał, było coś z nieokiełznanej natury dzikiego zwierzęcia, jakaś pewność siebie, która sprawiała, że tłum mimo woli rozstępował się przed nim.

Spotykali się od miesiąca, każdego dnia, najpierw w jej domu, a potem na spacerach po mieście. Na początku oboje byli sztywni i skrępowani, lecz z czasem nauczyli się rozmawiać bez napięcia w głosie i nawet się śmiać, choć takie momenty należały do rzadkich.

Zaskoczyło ją, jak wiele przyjemności czerpała z tego, że może pokazywać mu świątynie i opowiadać historie i legendy, które zewsząd ich otaczały. Rzym był pełen legend i Brutus chłonął je wszystkie z żarliwą ciekawością.

Przygładziła włosy i odrzuciła je do tyłu w sobie tylko właściwy sposób. Mijający ich mężczyzna zatrzymał się, żeby na nią popatrzeć, i Brutus spojrzał na niego kwaśno. Serwilia zachichotała. Czasami próbował ją ochraniać, zapominając, że w tym mieście przeżyła tyle lat, ile on na świecie. Jednak jakoś to jej nie przeszkadzało.

- Senat dzisiaj obraduje — powiedziała, widząc, jak przez uchylone brązowe drzwi zagląda do środka.

- Wiesz nad czym?

Już zaakceptował fakt, że niewiele jest spraw dotyczących senatu, o których by nie wiedziała.

Nie spytał ani razu, jak intymne związki łączą ją z którymś z nobilów, lecz unikanie tego tematu wyraźnie wskazywało na jego podejrzenia. Serwilia zaśmiała się beztrosko.

- W większości nad potwornie nudnymi rzeczami: mianowanie urzędników, zarządzenia, podatki. Ci starcy chyba to lubią. Myślę, że zrobi się ciemno, nim skończą.

- Chciałbym się tam znaleźć. Nudne by to było czy nie, chętnie bym spędził dzień w towarzystwie tych mężczyzn. Sięgają władzą aż po najdalsze granice Rzymu, a wszystko z tego małego miejsca.

- Znudziłbyś się już po godzinie. To nie tu pracują ich mózgi. Nim powstanie nowe prawo, najpierw się je przeżuwa tygodniami w domowym zaciszu. Tu się je tylko wygładza, i to nie jest zajęcie, które mogłoby sprawić przyjemność młodemu człowiekowi.

- Mnie by sprawiło - odpowiedział i Serwilia usłyszała w jego głosie rozmarzenie.

Jeszcze raz pomyślała, co dalej. Wydawało się, że cieszą go wspólne ranki, ale żadne z nich jak dotąd nie wspomniało o przyszłości. Może tak być powinno, może wystarczyło się cieszyć wzajemną obecnością, jednak czasami widziała w nim pragnienie pójścia dalej, tyle że cel był

mglisty, jeżeli w ogóle istniał. Wiedziała, że przebywając z nią, Brutus zboczył dla niej ze swojej ścieżki i że teraz płynie bezwolnie. Droga jej była każda wspólna chwila, lecz może należało pchnąć go z powrotem tam, skąd przyszedł.

- Za tydzień zajmą się obsadzaniem najwyższych stanowisk - rzuciła lekko. - Rzym dostanie nowego najwyższego kapłana i nowych urzędników. Wyznaczy się także nowych dowódców legio-Rozdział XV

nów. - Zobaczyła kątem oka, że Brutus nagle robi się czujny. A więc pod zewnętrznym spokojem zżerała go ambicja.

- Powinienem… zaciągnąć się do nowego legionu - powiedział powoli. - Stanowisko

centuriona dostanę prawie wszędzie.

- Och, dla mojego syna chyba potrafię znaleźć coś lepszego - powiedziała niedbale.

Zatrzymał się i ujął ją delikatnie pod ramię. Wyglądał na zbitego z tropu.

- To znaczy… jak?

Zaśmiała się, a on się zaczerwienił.

- Czasami zapominam, jak bardzo jesteś niewinny - powiedziała, łagodząc słowa uśmiechem.

- Myślę, że spędziłeś za dużo czasu na marszach i walce. Tak, to jest to. Dzikie plemiona i żołnierze i ani krzty polityki jak do tej pory.

Sięgnęła ku jego dłoni i czule przykryła ją swoją.

- Senat to są mężczyźni, a mężczyźni rzadko robią to, co słuszne. Na ogół robią to, do czego ich się przekona albo co się im każe lub wymusi strachem. Jeden przekupuje drugiego, złoto krąży z rąk do rąk, ale prawdziwa moneta Rzymu to wpływ i względy. Jestem

wpływowa i cieszę się względami. Połowa z tych stanowisk zostanie obsadzona z góry, podczas prywatnych spotkań. O resztę można się układać albo jej zażądać.

Spodziewała się, że jej słowa wywołają uśmiech, lecz Brutus wyglądał na urażonego i Serwilia, zawiedziona, cofnęła dłoń.

- Myślałem, że jest… że jest inaczej - zauważył spokojnie. Serwilia zbierała myśli. Żal jej było pozbawiać go złudzeń, lecz

czuła, że młody żołnierz powinien wiedzieć, w jakim świecie żyje, i im wcześniej, tym lepiej.

- Czy widzisz tamto ogrodzone miejsce? Pamiętasz, któregoś dnia powiedziałam, że to tam mieszkańcy Rzymu przychodzą wybierać nowych członków senatu… trybunów, kwestorów czy nawet pretorów. Wybory są tajne i Rzymianie traktują je poważnie, a przecież wciąż, z niewielkimi zmianami, wybierani są ci sami ludzie, te same rody. Gra wygląda na uczciwą, poza tym że wyborcy nie znają nikogo z zewnątrz. Tylko członkowie senatu cieszą się odpowiednim rozgłosem i są wystarczająco bogaci, by ich imiona miał na ustach każdy najpospolitszy obywatel Rzymu. Wszystko

jest iluzją, ale za to jak piękną! Zadziwia to, że jest kilku senatorów, którzy naprawdę są rzetelnymi ludźmi i którym na sercu leży dobro miasta i jego mieszkańców. - Serwilia wskazała na senat. - W tamtym gmachu są wielcy ludzie, mężczyźni, którzy opromieniają Rzym swoimi dokonaniami. Jednak innym brakuje jakiejkolwiek siły. Wykorzystują władzę senatu, aby mogli sami w nią obrastać i bogacić się bez końca. Oto cała rzeczywistość. Senat to nie jest zło, ale też nie świętość, to splot jednego i drugiego, jak wszystko inne do czego przykładamy rękę w tym życiu.

Brutus przyglądał się matce podczas jej całej gorącej przemowy. Serwilia nie była osobą, za jaką lubiła uchodzić - dystansującą się od spraw tego świata. Mur niezaangażowania, którym się na ogół otaczała, runął, gdy tylko z wyraźną niechęcią zaczęła mówić o przekupnych senatorach. Serwilia nie jest prostą kobietą, pomyślał w duchu, nie pierwszy raz.

- Rozumiem cię. Kiedy poznałem Mariusza, był jak bóg. Stał ponad wszystkim, co małe i mierne. Poznałem wielu, dla których liczyła się tylko ich praca i ich pozycja. Kiedy patrzę wstecz, widzę, że Mariusz miał swoją wizję miasta i wszystko, co robił, miało doprowadzić do jej urzeczywistnienia, bez względu na koszty. Ryzykował wszystko, co posiadał, by obalić Sullę, i miał rację. Po jego śmierci Sulla zrobił z siebie niemal króla.

Serwilia rozejrzała się szybko, czy nikt ich nie podsłuchuje. Ściszyła głos.

- Brutusie, nie wymawiaj tych imion zbyt głośno, zwłaszcza publicznie. Ci mężczyźni nie żyją, lecz rany są świeże i wciąż nie znaleziono zabójców SuUi. Cieszę się, że znałeś Mariusza. On nigdy nie był w moim domu, ale wiem, że nawet jego wrogowie mieli dla niego respekt. Chciałabym, by takich jak on było więcej. A teraz -dodała lżejszym tonem - ruszajmy dalej, nim plotkarze zaczną się zastanawiać, o czym rozmawiamy. Chcę wejść na wzgórze, do świątyni Jowisza.

Sulla odbudował ją po wojnie domowej i nawet sprowadził kolumny z Grecji, z ruin świątyni Zeusa. Złożymy ofiarę.

- W świątyni Sulli?

- Zmarli nie mają własnych świątyń. Świątynia należy do Rzymu, a może do samego boga, jak wolisz. Mężczyźni zawsze pragną zostawić coś po sobie. Myślę, że to dlatego ich kocham.

Rozdział XV

169

Brutus popatrzył na nią, ponownie odnosząc wrażenie, że ta kobieta w czasie jego krótkiego życia swoje przeżyła wielokrotnie.

- Czy chcesz, bym zajął jakieś stanowisko w legionie? Ten temat był bezpieczniejszy.

Serwilia się uśmiechnęła.

- To byłoby rozsądne. Co mi po cudzych względach, jeśli nigdy z nich nie korzystam? Jako centurion będziesz do końca kariery podlegał jakimś tępym dowódcom, a potem, kiedy za wierną służbę Rzym cię wynagrodzi działką ziemi w nowej, ledwo obłaskawionej prowincji, będziesz spał z mieczem u boku do końca swoich dni. Przyjmij to, co potrafię ci dać. Móc cię wesprzeć, po tak długiej nieobecności w twoim życiu, to prawdziwa radość. Rozumiesz mnie, Brutusie? To dług zaciągnięty u ciebie, a ja zawsze spłacam swoje długi.

- Więc…?

- Ach, jednak bierze cię ciekawość. To świetnie. Nie zniosłabym myśli, że mojemu synowi brakuje ambicji. Rozważmy możliwości. Masz zaledwie dziewiętnaście lat, zatem stanowiska kapłańskie nie wchodzą w grę przez kilka najbliższych lat. Wojsko? Owszem. Pompejusz każe swoim stronnikom zagłosować, jak mi się żywnie spodoba. To stary przyjaciel. Krassus także dorzuci parę głosów, za dawne łaski. Całą rzecz rozstrzygnie Cynna. On jest… bardziej aktualnym przyjacielem.

- Cynna, ojciec Kornelii? Zdawało mi się, że Cynna jest starcem! Serwilia zaśmiała się gardłowo.

- Raz jest, raz nie jest.

Brutus spurpurowiał. Jak miał spojrzeć w oczy Kornelii, kiedy się zobaczą?

Serwilia, poza tym, że kąciki jej ust lekko drgnęły, zlekceważyła jego zmieszanie.

- Z ich wsparciem mógłbyś dowodzić tysiącem żołnierzy - ciągnęła - w którymkolwiek z czterech legionów, które będę oceniać. Co ty na to?

Brutus prawie się potknął. To, co ofiarowywała, było zdumiewające, choć z drugiej strony Serwilia zdumiewała go od pierwszej chwili poznania i należało przestać się czemukolwiek dziwić. Była niezwykłą kobietą, na wiele sposobów, zwłaszcza jako matka.

Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl i aż się zatrzymał. Serwilia odwróciła się i uniosła brwi.

- Co z dawnym legionem Mariusza?

- Pierworodni są skończeni. Nawet gdyby znów pojawiło się ich imię, to tych, co przeżyli, została garstka. Miej głowę na karku, Brutusie. Przecież każdy z przyjaciół Sulli znałby twoje imię. Miałbyś szczęście, gdyby ci darowali rok życia.

Brutus się zawahał. Musiał spytać, inaczej gnębiłoby, go zawsze, dlaczego nie skorzystał ze sprzyjającej okoliczności.

- A jednak jest to możliwe, tak? Jeżeli podejmę ryzyko, czy ci trzej senatorowie, o których wspomniałaś, nakażą odtworzyć legion?

Serwilia wzruszyła ramionami i ten gest przyciągnął oczy następnego przechodnia.

Mężczyzna stanął i dopiero na widok Bru-tusa i jego dłoni na rękojeści miecza oprzytomniał i ruszył w dalszą drogę.

-Jeżeli poproszę, tak. Ale Pierworodni popadli w niełaskę. Mariusz został uznany za wroga Rzymu. Kto przyjdzie walczyć pod tamtym imieniem? Nie, to niemożliwe.

- Chcę tego. Chcę tego imienia i prawa do zaciągania i ćwiczenia nowych żołnierzy. Chcę tak, jak niczego innego.

Serwilia popatrzyła mu w oczy. -Jesteś pewien?

- Czy Krassus, Cynna i Pompejusz mogą to zrobić? - Brutus odpowiedział pytaniem.

Serwilia się uśmiechnęła, wciąż zdziwiona, jak ten młody człowiek potrafi w jednej chwili zamienić w niej gniew czy rozbawienie w prawdziwą dumę. Nie mogłaby mu niczego

odmówić.

- Potrafię zadbać, by tak się stało, poza tym wszyscy trzej są moimi dłużnikami. Wierz mi.

Dla mojego syna nie odmówią mi Pierworodnych.

Brutus chwycił ją w ramiona. Serwilia roześmiała się, uszczęśliwiona jego szczęściem, i odwzajemniła uścisk.

- Będziesz musiał zebrać ogromny kapitał, jeżeli chcesz podnieść legion z martwych -

powiedziała po chwili. - Przedstawię cię Krassusowi. Nie znam nikogo bogatszego i nie sądzę, że ktoś taki istnieje, lecz nie będziesz miał do czynienia z ufnym głupcem. Musisz go przekonać, że złoto w jakiś sposób mu się zwróci.

Rozdział XV

171

- Przemyślę to - powiedział Brutus, oglądając się na gmach senatu.

Po tym, jaki los spotkał Accipitera, Juliusz nigdy by nie pomyślał, że przyjdzie mu kiedykolwiek błogosławić ociężałość i powolność rzymskiego okrętu. Kiedy nastał świt i afrykańskie wybrzeże zapłonęło jak wielka żagiew, jego ludzie krzyknęli ze strachu na widok pierwszej rzeczy, jaka się pokazała na horyzoncie -prostokątnego rzymskiego żagla.

Juliusz obserwował go przez parę godzin, aż się upewnił, że przestrzeń między nimi maleje.

Zasępiony rozkazał wyrzucić ładunki za burtę.

Przynajmniej nie widział tego kupiec, przywiązany do ławy w swojej kajucie. Juliusz nie wątpił, że mężczyzna wpadnie w szał, kiedy sprawa wyjdzie na jaw, i trzeba mu będzie dać jeszcze więcej złota Celsusa, o ile je w ogóle odzyskają. Ale nie było wyboru, choć z drugiej strony zrobiło się dość nieprzyjemnie, kiedy jego ludzie sprowadzili spod pokładu załogę kupca, aby pomogła wyrzucać cenne afrykańskie towary w spienioną morską wodę. Kłody rzadkiego drewna podskakiwały na falach, tam gdzie upadły, ale skóry i sztuki płótna szybko poszły na dno. Do wyrzucenia pozostały już tylko ogromne żółte kły. Juliusz wiedział, że kość słoniowa jest cennym materiałem, i przez chwilę się zastanawiał, czyby jej nie zatrzymać. W końcu machnął na wszystko ręką i dał znak, by szczątki słonia dopełniły reszty.

Ludzie, wykonawszy zadanie, stanęli przy nim w pogotowiu i obserwowali żagiel na

horyzoncie, wzięty jak w ramkę w blask wschodzącego słońca. Jeżeli żagiel zbliży się jeszcze bardziej, wiedział, że jedynym ratunkiem będzie wyrzucenie ze statku wszystkiego, co było do wyrzucenia, ale w miarę jak godziny mijały, płynąca w ślad za nimi jednostka robiła się mniejsza i mniejsza, aż w końcu zniknęła i morze zlało się z niebem.

Juliusz odwrócił się do swoich ludzi, kręcących się między załogą. Zauważył, że nie było wśród nich Gaditykusa. Nie było go też, uprzytomnił sobie, kiedy inni wyrzucali ładunek. A więc Gaditykus tkwi pod pokładem i upiera się przy swoim. Juliusz ściągnął brwi, lecz postanowił go nie szukać i nie zaogniać sprawy. Kiedyś ten stary osioł zobaczy, że musieli kontynuować raz podjęte

zadanie. W tym była ich jedyna nadzieja. Odpłynie na Ventulusie od wybrzeża, na kilka tygodni, i będzie

przygotowywał nowy zaciąg do bitwy morskiej. Chętnie by się uzbroił w tarany i osęki, lecz by skusić piratów, muszą wyglądać jak każdy inny kupiecki statek. Potem się okaże, czy potrafił zamienić tych dobrodusznych prostaków w legionistów, czy raczej załamią się i zmuszą go do patrzenia, jak tonie pod nim Ventulus, tak jak tonął Accipiter.

Juliusz zacisnął szczęki i wyszeptał krótką modlitwę do Marsa. Nie wolno im zmarnować tej drugiej okazji.

ROZDZIAŁ XVI

Aleksandria rozejrzała się po małym pokoju. Zaoferowano jej niewiele, ale miejsce było schludne i czyste, a wykorzystywanie dobroci Tabbika teraz, kiedy jej ozdoby przynosiły prawdziwe zyski, mogło wyglądać na nieprzyzwoitość. Wiedziała, że stary rzemieślnik pozwoliłby jej mieszkać u siebie dłużej i w końcu przyjąłby nawet drobną opłatę, gdyby na to nalegała, ale w tamtym skromnym domu przestrzeni życiowej nie było wiele i ledwo jej starczało dla jego rodziny.

Nie powiedziała nic o swoich poszukiwaniach, zamierzając zaskoczyć ich zaproszeniem na małą ucztę już po znalezieniu nowego miejsca. Tymczasem poszukiwania trwały prawie miesiąc. Pewnie brano to za dziwactwo, że kobiecie urodzonej jako niewolnica nic się nie podoba, ale za pieniądze, które była skłonna zapłacić, oferowane mieszkania były brudne, wilgotne albo pełne ruchliwych, uciekających pod sprzęty żyjątek, którym wolała nie przyglądać się bliżej.

Mogła zapłacić za więcej niż jeden pokój, a nawet kupić sobie mały dom. Jej zapinki sprzedawały się tak szybko, że nie nadążała z robotą, i nawet po odliczeniu kosztów zakupu nowego i coraz doskonalszego materiału zostawało jej dość, by z miesiąca na miesiąc oszczędności się powiększały. Być może dzięki stanowi niewolniczemu poznała wartość pieniądza i żałowała każdego miedziaka wydanego na jedzenie czy na dach nad głową.

Opłacać latami, ciężko zarobionymi pieniędzmi coś, co nie należało do niej, uznawała za skrajną głupotę. Lepiej wydawać możliwie jak naj-

mniej, pewnego dnia kupić sobie dom na własność i zatrzasnąć drzwi przed całym światem.

- Bierzesz ten pokój? - spytała niecierpliwie właścicielka.

Aleksandria się zawahała. Kusiło ją dalsze targowanie, lecz kobieta wydawała się zmęczona po dniu pracy na targu i cena była przyzwoita. Nie byłoby uczciwe wykorzystać wyraźnie biedną rodzinę. Ręce kobiety były poplamione i przeżarte mieszaniem w kadziach barwników i kiedy bezwiednie dotknęła włosów, na jej czole został niebieski ślad.

- Mam do obejrzenia dwa inne. Dopiero wtedy dam ci odpowiedź - powiedziała Aleksandria.

- Mogę tu zajrzeć wieczorem?

Kobieta wzruszyła ramionami zrezygnowana.

- Pytaj o Ację. Gdzieś tu będę. Za taką cenę nie znajdziesz niczego lepszego. To czysty dom i możesz być pewna, że kot jest łowny. Ale jak chcesz. - Odwróciła się, by przygotować kolację z przyniesionych z targu produktów, które dostawała jako część swojego

wynagrodzenia. Wszystkie były nadpsute, to było widać, lecz Acja nie wydawała się

pokonana życiem.

To straszne, pomyślała Aleksandria, zobaczyć kobietę wolnego stanu na skraju ubóstwa. W

majątku, gdzie pracowała przed przybyciem do Rzymu, nawet niewolnicy byli lepiej karmieni i dostatniej ubrani niż rodzina tej Acji. Z taką biedą Aleksandria nigdy się nie zetknęła.

Zawstydziły ją jej własne przyzwoite szaty i srebrna zapinka przytrzymująca fałdy płaszcza.

- Zobaczę tamte inne i wrócę - zapewniła stanowczo.

Acja, bez słowa uwagi, postawiła żelazny garnek na glinianym piecu wbudowanym w ścianę i zaczęła kroić jarzyny. Nawet nóż dawno stracił swój wygląd i był wąski jak palec, lecz wciąż używany z braku lepszego.

Na ulicy podniósł się chór piskliwych głosów. Jakaś przerażająca postać rzuciła się przez otwarte drzwi i zatrzymała w pędzie tuż przed Aleksandrią.

- Uważaj, chłopcze! Niewiele brakowało, byś mnie przewrócił! - powiedziała z uśmiechem.

,

Chłopiec patrzył na nią niebieskimi oczami, z nie skrywaną ciekawością. Był cały w kurzu, pociągał spuchniętym nosem i rozmazywał po policzkach kapiącą z niego krew.

Rozdział XVI

175

Kobieta rzuciła nóż i przytuliła go do siebie.

- O co poszło tym razem? - spytała, delikatnie dotykając krwawiącego nosa.

Dzieciak zaśmiał się i szarpnął z ramion matki.

- To tylko bójka, matko. Chłopcy od rzeźnika gonili za mną aż tutaj. Podstawiłem jednemu nogę, a on wylądował na moim nosie. - Spojrzał promiennie na kobietę i wyciągnął spod kusej tuniki dwa ociekające krwią połcie mięsa.

Acja jęknęła i chwyciła za nie ze złością.

- Nie, matko. To moje! Nie ukradłem tego. To leżało na ulicy!

Kobieta, z twarzą pobladłą z gniewu, ruszyła do drzwi, lecz chłopiec, czepiając się jej i podskakując najwyżej jak się dało, za nic nie chciał zrezygnować ze swojej zdobyczy.

- Powiedziałam ci, że masz nie kraść i nie kłamać. Weź te ręce. To musi wrócić tam, skąd przyszło.

Aleksandria znalazła się między nią i drzwiami i by zrobić przejście, dała krok na ulicę.

Wokół stała grupka chłopców, rzucając w powietrze niejasne groźby. Zaśmiali się, widząc, jak ich ofiara podskakuje wokół matki, któryś wyciągnął rękę po mięso, i połeć bez słowa plasnął na otwartą dłoń.

- On jest szybki, pani, trzeba mu to przyznać, ale stary Tedus przykazał mi powiedzieć, że wezwie straże, jak twój dzieciak jeszcze coś ukradnie.

- Nie ma potrzeby - warknęła Acja, wycierając ręce z krwi kawałkiem wyciągniętego z rękawa gałganka. — Powiedz Tedu-sowi, że jeszcze nigdy nie stracił nic, czego bym mu nie zwróciła. I lepiej niech nie próbuje ze strażami, bo rozpowiem, by nikt u niego nie kupował.

A syna sama ukarzę.

- Już ja to widzę - zadrwił najstarszy.

Acja zamierzyła się na niego i chłopiec odskoczył, śmiejąc się głośno i mierząc palcem w zawstydzonego, wczepionego w kobiecą tunikę malca.

- Sam sprawię lanie twojemu Turynusowi, niech go tylko przy-dybię koło straganu,

zobaczysz.

Acja ruszyła do przodu, na dobre rozsierdzona. Chłopcy, najwyraźniej mając dosyć całego zamieszania, skorzystali z dogod-176

nego pretekstu i zadowalając się ostatnimi paroma obelgami, poderwali się do ucieczki.

Aleksandria stała obok matki i dziecka, zastanawiając się, czy po prostu powinna odejść.

Scena, której była świadkiem, nie dotyczyła jej, lecz brała ją ciekawość, co będzie dalej i co matka zrobi z synem łobuzem.

Chłopiec pochlipywał i ostrożnie pocierał nos.

- Przepraszam, matko. Chciałem, żebyś się ucieszyła. Nie myślałem, że będą mnie gonić aż tutaj.

- Ty nigdy nie myślisz. Gdyby żył twój ojciec, na pewno by się za ciebie wstydził.

Powiedziałby, że w naszej rodzinie nigdy nikt nie kradł ani nie kłamał. A potem przyłożyłby w tyłek parę pasów, co

powinnam zrobić sama.

Chłopiec próbował uciec, ale ramię matki przytrzymało go mocno.

- To lichwiarz. Sama mówisz, że lichwiarze to złodzieje. On nie jest lepszy.

- Żebym tego więcej nie słyszała! - Acja zacisnęła usta, nie czekając na odpowiedź, przełożyła chłopca przez kolano i wymierzyła sześć tęgich razów. Chłopiec się wyrywał tylko przez pierwsze trzy, a potem znieruchomiał. Kiedy puściła go wolno, odskoczył od obu kobiet, rzucił się w wąską uliczkę i zniknął za najbliższym rogiem.

Acja, śledząc go wzrokiem, westchnęła. Aleksandria zacisnęła nerwowo dłonie zakłopotana, że niepotrzebnie stała się świadkiem rodzinnych porachunków.

- Przepraszam - powiedziała Acja, nagle przypominając sobie o drugiej kobiecie, i zrobiła się czerwona. - Jestem bezradna. Nie potrafię oduczyć go kradzieży. Zawsze go przyłapują, lecz nim minie tydzień, znów robi swoje.

- Czy ma na imię Taurynus? Kobieta potrząsnęła głową.

- Nie. Nazywają go tak, bo rodzina wywodzi się z plemienia Taurynów. Przezwisko w ich ustach brzmi jak obelga, ale on chyba je lubi. Tak naprawdę nazywa się Oktawian, jak jego ojciec. Mały rozbójnik. Ma dopiero dziewięć lat, ale lepiej czuje się na ulicy niż we własnym domu. Martwię się o niego, i to bardzo. - Popatrzyła na Aleksandrię, właściwe szacując jej strój i zapinkę. - Nie powinnam zawracać ci głowy naszymi kłopotami, pani. Teraz nawet nie Rozdział XVI

śmiem pomyśleć o wynajmowaniu pokoju. Choć nie ukradłby nic od ciebie, a gdyby tak, oddałabym ci to od razu, na honor mojej rodziny. Nie możesz tego wiedzieć, ale w jego żyłach płynie szlachetna krew, Oktawii i Cezara, szkoda tylko, że to małe szczenię tego nie rozumie.

- Cezara, powiadasz? - spytała ostro Aleksandria. Kobieta przytaknęła.

- To był ród jego babki, zanim przez małżeństwo weszła do mojej rodziny. Ta kobieta gorzko by zapłakała, widząc, jak mały kradnie rzeźnikowi mięso. I to nie dalej niż trzy ulice stąd! Nie jest tak, żeby go nie znali. Następnym razem połamią mu ręce i co wtedy będzie?

Kobieta się rozpłakała. Aleksandria podeszła do niej bez zastanowienia i objęła ją ramieniem.

- Wejdźmy do środka. Chyba wezmę twój pokój. Kobieta wyprostowała się dumnie.

- Nie chcę jałmużny. Jakoś sobie poradzimy i chłopiec w końcu nabierze rozumu.

- To nie jałmużna. Chodzi o to, że twój pokój jest pierwszym czystym, jaki widziałam do tej pory i… i że pracowałam w majątku jakiegoś Cezara kilka lat temu. Może to ta sama rodzina.

Jesteśmy jak krewne.

Kobieta wytarła oczy wierzchem dłoni.

- Jesteś głodna? - spytała z uśmiechem. Aleksandrii przypomniały się nieświeże jarzyny.

-Już jadłam. Zapłacę ci za pierwszy miesiąc i pójdę po swoje rzeczy. To niedaleko.

Jeżeli poszłaby szybko, pomyślała, i nie zabawiła długo u Tabbi-ka, to wróci do nowego domu jeszcze przed zmierzchem. Może do tego czasu Acja kupi z jej pieniędzy trochę mięsa.

Senatorowie wiercili się niespokojnie w ławach. To były długie obrady i wielu, przestając nadążać za meandrami argumentów, głosowało jakkolwiek, byleby nie wbrew wcześniejszym deklaracjom.

Wieczorne cienie robiły się coraz dłuższe i wokół białych marmurowych ścian zapalono pochodnie. Marmur zajaśniał, a powietrze wypełniło się łagodnym zapachem wonnej oliwy.

Spora liczba

spośród trzystu senatorów, którzy przybyli tu rano, już wyszła, godząc się tym samym, by kilka ostatnich głosowań odbyło się pod ich nieobecność.

Krassus uśmiechnął się pod nosem. Był pewny, że jego stronnicy pozostaną, aż zgaśnie ostatnia pochodnia, a długi dzień zostanie zakończony zwyczajową modlitwą o

bezpieczeństwo miasta. Przysłuchiwał się uważnie liście mianowanych, czekając na tego, którego imię miało być poddane pod głosowanie z jego i Pompejusza polecenia. Jego wzrok przesunął się, prawie mimo woli, po wywieszonej na białym marmurze liście legionów. Tam, gdzie do niedawna widnieli Pierworodni, było puste miejsce. Z przyjemnością uszczupli spuściznę Sulli o kolejną rzecz, nawet gdyby nie poprosił go o to stary przyjaciel.

Popatrzył na Cynnę i ich oczy na moment się spotkały. Cynna kiwnął głową w stronę spisu.

Uśmiechnął się. Krassus odwzajemnił uśmiech, zauważając przy tym, że przyjaciel siwieje.

Serwilia chyba nie da pierwszeństwa takiemu starcowi? Wystarczyła jedna myśl

0 tej kobiecie, by krew w nim się wzburzyła i by przepuścił koniec odczytywanego

fragmentu. Popatrzył, jak głosuje Cynna, i podniósł rękę tak jak on.

Większość senatorów wstała, wymawiając się byle czym, spiesząc się do domów i nałożnic.

Krassus patrzył, jak Katon dźwiga z ławy swój ciężki tułów. Ten człowiek był w zażyłości z Sullą

1 będzie żałował, że przeoczy ostatnie głosowanie. Krassus usiłował nie pokazać po sobie zadowolenia, kiedy Katon go mijał, pogrążony w rozmowie. Będzie łatwiej, jak wyjdą wszyscy stronnicy Sulli, choć nawet gdyby zostali, to i tak wątpił, by Cynna, Pom-pejusz i on nie zdołali przeforsować

swojego. Wskrzeszenie Pierworodnych rozwścieczy ich, to pewne.

Przy następnym spotkaniu trzeba podziękować Serwilii za ten pomysł. Możliwe, że nie zaszkodziłby drobny upominek.

Pompejusz wstał, by odpowiedzieć na pytanie dotyczące nowego dowódcy legionu w Grecji.

Rekomendował nie znanych senatowi ludzi z ujmującą pewnością siebie. Krassus słyszał, że doszło tam do nowej rebelii, a straty w armii oznaczały nowe stanowiska dla przyjaciół i krewnych tych gnuśnych starców. Potrząsnął głową smutno, przypominając sobie ów dzień, kiedy Mariusz tak pokier

Rozdział XVI

rował głosowaniem, że to Sulla, nie on, musiał poprowadzić armię przeciw Mitrydatesowi.

Gdyby Mariusz był tutaj, przestaliby patrzeć wokoło tępym wzrokiem. Już on by ich

poderwał i coś by z tym zrobił! A tak, ci głupcy, zamiast skierować parę tych swoich drogocennych legionów do Grecji i wesprzeć tamtych, spędzają całe dnie na próżnym

gadaniu.

Krassus uśmiechnął się drwiąco. Przecież sam był jednym z tych głupców, których

krytykował. Ostatnia rebelia doprowadziła do wojny domowej i dyktatury. Ani jeden z wodzów w tym pomieszczeniu nie ośmielił się wysunąć przed innych, ze strachu, by

przeciwko niemu nie zjednoczyła się cała reszta. Nie chcieli drugiego Sulli i w rezultacie nic się nie działo. Nawet Pompejusz czekał, a on był prawie tak porywczy jak sam Mariusz.

Zgłosić się na ochotnika, tak jak to zrobili tamci dwaj, Mariusz i Sulla, równałoby się politycznemu samobójstwu. Zbyt wiele było złośliwości i zazdrości, by pozwolić któremuś

spośród siebie jeszcze raz zwyciężyć Mitrydatesa. Sulla popełnił błąd, puszczając go wtedy wolno. To człowiek, któremu nie można wierzyć i po którym nie można się spodziewać niczego dobrego.

Pompejusz usiadł i głosowanie przebiegło szybko i sprawnie. Została ostatnia pozycja porządku dziennego, zgłoszona przez Krassusa i poparta przez Pompejusza. Udział Cynny przemilczano ze względu na pogłoski, jakoby był zamieszany w otrucie Sulli. Pogłoski bezpodstawne, oczywiście, lecz nie było takiego, który by powstrzymał plotkarzy Rzymu od uprawiania tego rzemiosła.

Krassusowi przemknęła przez głowę myśl, czy rzeczywiście były bezpodstawne, ale

postanowił o tym zapomnieć. Był człowiekiem praktycznym; Sulla, tak jak i dzień

wczorajszy, odszedł na zawsze. Jeżeli córka Cynny uniknęła wątpliwego zaszczytu zostania nałożnicą Sulli, o czym szeptano, był to niezbity dowód, że bogowie patrzą przychylnie na rodzinę Cynny - albo być może, na Cezara. W każdym razie jednego z nich.

Słyszał, że poszukiwania niewolnika, który wniósł do domu Sulli truciznę, ruszyły z miejsca, ale sam zleceniodawca morderstwa wciąż pozostawał w cieniu. Krassus rozejrzał się po pustych do połowy senackich ławach. Mógł to być każdy z nich. Sulla przysparzał sobie wrogów na lewo i prawo, nie zachowując nijakiej

ostrożności. A ostrożność powinna być pierwszą zasadą w polityce, pomyślał Krassus. Drugą powinno być unikanie pociągających kobiet, łasych na względy, ale mężczyzna nie ma zbyt wielu okazji do rozrywki i Serwilia była źródłem kilku drogich jego sercu wspomnień.

- Przywrócenie Pierworodnych do rejestru legionów - zapowiedział prowadzący obrady, co sprawiło, że Krassus usiadł prosto i się skupił.

- Nabór, ćwiczenia, odbiór przysięgi i wyznaczanie poszczególnych dowódców zostaną powierzone Markowi Brutusowi z Rzymu. - Monotonny głos mówcy nie pasował do szmeru podniecenia, które nagle ogarnęło setkę najbardziej wytrwałych senatorów. Jeden ze stronników Sulli pospieszył do wyjścia, niewątpliwie, by ściągnąć przyjaciół na głosowanie.

Pompejusz zmarszczył czoło, kiedy z ław podnieśli się trzej, w tym Kalpurniusz Bibulus, z zamiarem zabrania głosu w sprawie. Mężczyzna ten był zagorzałym stronnikiem Sulli i choć czas mijał, klął się na wszystkich bogów, że zetrze na proch każdego, kto stał za zabójstwem dyktatora.

Wyglądało na to, że posłużą się starą sztuczką. Jeden po drugim będą przemawiać tak długo, aż skończą się obrady, czy przynajmniej aż ich stronnicy zostaną przyzwani i rozpocznie się głosowanie. Wniosek, przełożony na następne posiedzenie czy głosowany w licznej

obecności tamtych, przepadnie tak czy inaczej.

Krassus popatrzył współczująco na Cynnę, lecz ten puścił do niego oko. Krassus odetchnął i usiadł wygodniej. Pieniądz był potężnym bodźcem; wiedział to równie dobrze jak każdy inny.

Aby powstrzymać głosowanie, stronnicy Sulli musieliby być dopuszczeni do głosu,

tymczasem prowadzący obrady recytował szczegóły wniosku, nie podnosząc oczu w stronę ław, gdzie stali i hałaśliwym chrząkaniem usiłowali przyciągnąć jego uwagę.

Po dobrnięciu do ostatniego szczegółu prowadzący obrady natychmiast wezwał do

głosowania. Jeden ze stronników Sulli zaklął głośno i opuścił salę senatu, rażąco naruszając urzędowy ceremoniał. Mianowanie poszło łatwo i ogłoszono zamknięcie obrad. Podczas końcowej modlitwy Krassus rzucił ukradkowe spojrzenie na Pompejusza i Cynnę. Musi

starannie wybrać upominek dla Serwilii. Niewątpliwie ci dwaj mają podobne pomysły.

ROZDZIAŁ XVII

Juliusz stał w ciemnej ładowni, z obnażonym mieczem, w otoczeniu innych. Milczeli, czekając na sygnał, i w tamtej nienaturalnej ciszy poskrzypywanie drewnianego kadłuba Ventulusa brzmiało w ich uszach niby monotonny szmer głosów zawieszonych nad

nieustannym pluskiem fal.

Piraci tymczasem przywiązali swoją szybką tryremę do burty Ventulusa, przeskoczyli na jego pokład bez oporu z niczyjej strony i teraz słychać było śmiechy i przekleństwa. Juliusz łowił

uchem każdy dźwięk. Chwila była krytyczna dla wszystkich, lecz największe

niebezpieczeństwo groziło tym na górze, gdzie mogli zginąć dla przykładu lub przez czyste okrucieństwo. Załoga, początkowo nieufna i zła na żołnierzy, kiedy zdradził jej plany zaatakowania piratów, odniosła się do sprawy z entuzjazmem i z wielką ochotą wybrano tych, którzy mieli poddać statek piratom. Juliusz w pierwszej chwili był zaskoczony, że ktoś świadomie ryzykuje, szybko jednak zdał sobie sprawę, że dla tych ludzi okazja uderzenia na piratów, których się bali i których nienawidzili, będzie okazją jedyną w życiu. Nie dla nich potęga rzymskiego okrętu wojennego. Kupiecki stateczek, taki jak Ventulus, zawsze musiał

szukać ochrony i na przestrzeni lat niejedna załoga straciła swoich ludzi, a przyjaciel przyjaciela, za przyczyną Celsusa i jemu podobnych.

Mimo to Juliusz zostawił z nimi Pelitasa i Praksa, ucharakteryzowanych na zwykłych żeglarzy. Nie można było powierzać życia w ręce obcych i któryś z tych dwóch miał dać sygnał, gdyby ci z Yentulusa zdradzili. Wolał nie zostawiać niczego na los szczęścia.

W górze nad włazem rozległy się stłumione głosy. Ludzie Juliusza zaszurali nogami, zbijając się w gromadkę, lecz żaden nie ośmielił się nawet szepnąć. Nikt nie mógł wiedzieć, ilu wdarło się na pokład. Piracka załoga była zwykle mniej liczna niż siły rzymskiego okrętu i rzadko większa niż trzydzieści mieczy, jednak pokłady dwóch trójrzędowców, które zatopiły Accipitera, upchano ludźmi po burty. Juliusz sam to widział i teraz nie mógł się spodziewać, że jego szeregi są liczniejsze, a nawet zdziwiłby się, gdyby tak było. Z pozostałą załogą w oczekiwaniu na rozwój wydarzeń trwała przy nim pięćdziesiątka mężczyzn. Juliusz

pozostawił żeglarzom wybór broni, choć by się uchronić od ataku na tyły, kiedy ruszą na pokład, na wszelki wypadek przemieszał ich z własnymi szeregami.

Jeden taki stał obok niego i zaciskał pięść na zardzewiałym pręcie. Nie było w nim nic z fałszu i gotowości zdrady, przynajmniej na pozór. Jego oczy, podobnie jak oczy innych, zawisły na ciemnym włazie obramowanym światłem słonecznym, które spływało w dół, przez szczeliny, złocistymi smugami i w których wirowały drobinki kurzu. Smugi poruszały się prawie hipnotycznie, poddawane jednostajnemu rytmowi Ventulusa podskakującego i

kołyszącego się na falach. Powyżej rozległo się więcej głosów i Juliusz stężał w napięciu, widząc cienie, tam gdzie było światło, i słysząc trzeszczenie desek pod ciężarem kroków.

Jego ludzie nie stanęliby na włazie. To na pewno byli piraci rozglądający się za łupem.

Juliusz odczekał do ostatniej chwili z zejściem na dół, do całej reszty, chcąc kolejny raz na własne oczy zobaczyć działania piratów. Żeby wyglądać wiarygodnie, polecił wioślarzom Ventulusa narzucić szybsze tempo, ale był gotów kazać kilku wiosłom zgubić rytm, gdyby odstęp między jednym a drugim statkiem powiększał się, zamiast maleć. To się okazało niepotrzebne. Statek wroga najwyraźniej płynął bez żadnego obciążenia i ledwo dzień dobiegł

końca, pewnie podciągnął do ich jednostki.

Kiedy tamci byli dość blisko, by dało się policzyć ich wiosła, Juliusz ruszył pod pokład i dołączył do innych. Najbardziej martwiło go to, że wróg, wzorem Celsusa, mógł zatrudniać doświadczoną załogę. Jeżeli wioślarze z wrogiej tryremy byli najemnikami, mogli nie być przykuci do ław i Juliuszowi ścierpła skóra na samą myśl

W górze nad włazem rozległy się stłumione głosy. Ludzie Juliusza zaszurali nogami, zbijając się w gromadkę, lecz żaden nie ośmielił się nawet szepnąć. Nikt nie mógł wiedzieć, ilu wdarło się na pokład. Piracka załoga była zwykle mniej liczna niż siły rzymskiego okrętu i rzadko większa niż trzydzieści mieczy, jednak pokłady dwóch trójrzędowców, które zatopiły Accipitera, upchano ludźmi po burty. Juliusz sam to widział i teraz nie mógł się spodziewać, że jego szeregi są liczniejsze, a nawet zdziwiłby się, gdyby tak było. Z pozostałą załogą w oczekiwaniu na rozwój wydarzeń trwała przy nim pięćdziesiątka mężczyzn. Juliusz

pozostawił żeglarzom wybór broni, choć by się uchronić od ataku na tyły, kiedy ruszą na pokład, na wszelki wypadek przemieszał ich z własnymi szeregami.

Jeden taki stał obok niego i zaciskał pięść na zardzewiałym pręcie. Nie było w nim nic z fałszu i gotowości zdrady, przynajmniej na pozór. Jego oczy, podobnie jak oczy innych, zawisły na ciemnym włazie obramowanym światłem słonecznym, które spływało w dół, przez szczeliny, złocistymi smugami i w których wirowały drobinki kurzu. Smugi poruszały się prawie hipnotycznie, poddawane jednostajnemu rytmowi Ventulusa podskakującego i

kołyszącego się na falach. Powyżej rozległo się więcej głosów i Juliusz stężał w napięciu, widząc cienie, tam gdzie było światło, i słysząc trzeszczenie desek pod ciężarem kroków.

Jego ludzie nie stanęliby na włazie. To na pewno byli piraci rozglądający się za łupem.

Juliusz odczekał do ostatniej chwili z zejściem na dół, do całej reszty, chcąc kolejny raz na własne oczy zobaczyć działania piratów. Żeby wyglądać wiarygodnie, polecił wioślarzom Ventulusa narzucić szybsze tempo, ale był gotów kazać kilku wiosłom zgubić rytm, gdyby

odstęp między jednym a drugim statkiem powiększał się, zamiast maleć. To się okazało niepotrzebne. Statek wroga najwyraźniej płynął bez żadnego obciążenia i ledwo dzień dobiegł

końca, pewnie podciągnął do ich jednostki.

Kiedy tamci byli dość blisko, by dało się policzyć ich wiosła, Juliusz ruszył pod pokład i dołączył do innych. Najbardziej martwiło go to, że wróg, wzorem Celsusa, mógł zatrudniać doświadczoną załogę. Jeżeli wioślarze z wrogiej tryremy byli najemnikami, mogli nie być przykuci do ław i Juliuszowi ścierpła skóra na samą myśl

Rozdział XVII

183

0 setce muskularnych mężczyzn, uzbrojonych czy nie, atakujących jak burza jego ludzi. To by oznaczało katastrofę. Zdążył zobaczyć, że trójrzędowiec jest wyposażony w taran z osękiem, który mógł zakotwiczyć Ventulusa, gdyby piraci uderzyli w swoją ofiarę na wprost, lecz przypuszczał, że podpłyną burta w burtę i przeskoczą z pokładu na pokład. Bez wątpienia czuli się bezpieczni tak daleko od wybrzeża i zwiadowczych jednostek rzymskich i uważali, że nie muszą się spieszyć z przeładowywaniem towarów ani, być może, z zagarnięciem Ventulusa. Juliusz nie sądził, by go zatopili. Napastnicy, pomimo wszystko, nie mieli stoczni i sami nie budowali okrętów. Teraz miał nadzieję, że sprowadzili na pokład Ventulusa jedynie symboliczne siły, licząc na to, że żaden statek solidnie przywiązany do wrogiej jednostki nie zdoła uciec, czego tak samo spodziewał się Juliusz. Teraz, czekając na sygnał z góry, pocił się z przejęcia i niepokoju. Zawsze coś może zawieść.

Na górze wiał wiatr i na twarzach załogi Ventulusa i ich porywaczy osiadały drobne ziarenka soli. Znając plan, załoga

poddała się bez narzekania, opuściła żagiel i wezwała wioślarzy do wciągnięcia wioseł. Ventulus, podskakując i kołysząc się w poprzek burt, stanął w miejscu. W

powietrze wzniósł się łuk strzał i Pelitas przestąpił z nogi na nogę, żeby uchylić się przed przelatującą najbliżej. Zobaczył, że kilku ludzi z załogi siedzi z podniesionymi rękami. Koło nich nie wylądowała żadna, poszedł więc za ich przykładem i kiwnął na Praksa, by zrobił to samo. Kiedy już wszyscy siedzieli, strzały przestały się sypać. Pelitas, usłyszawszy śmiech mężczyzn oczekujących na wejście na pokład Ventulusa, uśmiechnął się ponuro. Juliusz powiedział, że ma czekać tak długo, aż wróg rozdzieli siły między dwa statki, ale nie sposób było osądzić, ilu ludzi ma w zapasie. Pelitas postanowił krzyknąć wtedy, gdy przez burtę przeskoczy dwudziestu. Z trzydziestką trudno byłoby się rozprawić. Zbyt wielu ludzi Juliusza było z nowego zaciągu

1 jeżeli piraci nie poddadzą się szybko, szala zwycięstwa może się przechylić na ich stronę.

Pierwsza dziesiątka wroga stanęła na górnym pokładzie Ventulusa. Chociaż mężczyźni byli pewni siebie, Pelitas zauważył, że działają wspólnie, osłaniając jeden drugiego przed nagłym ciosem. Rozciągnęli się w krótką linię i powoli zbliżali do siedzącej

załogi, każdy z długim rzemieniem u pasa. Niewątpliwie była to dziesiątka najlepszych wojowników; morscy weterani, którzy znali swoją robotę i potrafili usunąć z drogi każdą przeszkodę. Pelitas pożałował, że Juliusz zabronił mu wziąć na pokład miecz. Bez broni czuł

się jak nagi.

Załoga dała się wiązać, nie stawiając oporu, i Pelitas się zawahał. Przy zaledwie dziesięciu na pokładzie na umówiony sygnał było za wcześnie, lecz napastnicy pracowali sprawnie i jeżeli związą resztę równie szybko, ze związanych ludzi nie

będzie korzyści, kiedy rozpocznie się bitwa. Zobaczył, że przez burtę Ventulusa skacze czterech, i wtedy spojrzał w nieprzejednaną twarz mężczyzny, który szedł z rzemieniami w dłoniach prosto na niego. Czternastu to już coś.

- Accipiteń - wrzasnął, podrywając się na nogi.

Mężczyzna rzucił rzemienie i plunąwszy jakimś słowem, sięgnął po miecz, lecz wtedy otworzył się właz i na pokład wysypali się rzymscy legioniści. Ich zbroje rozbłysły w słońcu.

Mężczyzna okręcił się i na ich widok wybałuszył oczy ze zdziwienia. Pelitas skoczył mu na plecy i z całych sił zacisnął ramię na gardle człowieka. Mężczyzna zrobił kilka niezdarnych kroków, po czym odwrócił miecz i wbił ostrze w pierś Pelitasa. Rzymianin upadł na pokład.

Juliusz poprowadził atak. Zabił pierwszego człowieka, który wszedł mu w drogę, i zaklął, kiedy zobaczył, że Pelitas wezwał ich za szybko. Łucznicy wciąż trwali na swoich pozycjach na drugim okręcie i ciemne strzały uderzyły w pokład, zabijając jednego ze związanej załogi.

Wyraźnie brakowało tarcz. Jedyna nadzieja w tym, pomyślał Juliusz, że atak się nie załamie.

Jego ludzie nigdy nie byli pod ostrzałem, a ostrzał, kiedy instynkt nakazuje człowiekowi wtulić głowę w ramiona, bywa rzeczą trudną nawet dla doświadczonych żołnierzy. Juliusz uderzył mieczem raz i drugi i zwalił przeciwnika z nóg. Jedno szybkie pchnięcie w odsłonięte gardło i było po wszystkim.

Juliusz popatrzył na prawo i na lewo. Objął wzrokiem cały pokład. Większość z czternastki piratów na Ventulusie nie żyła. Jego ludzie bili się dzielnie, choć jeden czy dwóch, wyjąc z bólu, szarpało się z wbitymi w ciało strzałami.

Rozdział XVII

185

Lecący ze świstem czarny pocisk uderzył Juliusza w pierś, jak celowo wymierzony. Juliusz poczuł, że traci oddech, i szarpnął głową do tyłu, ale kiedy nienawistna strzała upadła mu pod nogi, zrozumiał, że żyje i że ocaliła go zbroja.

- Brać ich! - ryknął i jego ludzie ruszyli falą ku pirackiej tryremie, a on razem z nimi.

Posypały się następne strzały, lecz szkód nie było wiele i Juliusz, dziękując bogom za twarde rzymskie napierśniki, wskoczył podkutymi żelazem rzymskimi sandałami prosto na burtę Ventulusa. Pośliznął się niefortunnie i z chrzęstem metalu i przekleństwem na ustach wylądował prosto pod nogami wroga. Wymierzony w siebie miecz odparł nagim

przedramieniem, zahaczając o ostrze. Jego gladius był pod nim i musiał się przetoczyć, by go uwolnić. Tymczasem szczęknęło nad nim inne ostrze i odcięło mu kawał naramiennika.

Inni Rzymianie zaryczeli, widząc, jak pada, natychmiast przebili się do stojących im na drodze piratów i jak burza runęli na statek wroga. Gaditykus jednym chwytem postawił

Juliusza na nogi.

- Masz u mnie podwójny dług - warknął, kiedy pędzili razem przez pokład wroga.

Juliusz dopadł jakiegoś pirata i rzucił się naprzód z gladiusem, gotując się na kontruderzenie, ale mężczyzna odskoczył, stracił równowagę i upuszczając miecz, poleciał na plecy. Juliusz stanął nad nim i wymierzył gladius prosto w pulsujące przerażeniem gardło.

- Proszę! Dosyć! - krzyknął błagalnie mężczyzna.

Juliusz zatrzymał się, zaryzykował błysk spojrzenia w jedną i drugą stronę. Piraci wyraźnie osłabli. Wielu było martwych, a pozostali podnosili ręce i wołali, by zaprzestać pogromu. O

pokład zaszczekały miecze. Łucznicy złożyli łuki.

Robiąc krok do tyłu, Juliusz obejrzał się i serce wezbrało mu dumą.

Jego nowy zaciąg stał w błyszczących zbrojach, z obnażonymi mieczami, w pozycji na baczność. Wyglądali jak prawdziwa pięćdziesiątka legionu, rześka i zdyscyplinowana.

- Podnieś się - powiedział do leżącego mężczyzny. - Zabieram ten statek dla Rzymu.

Wszyscy żywi zostali związani tymi samymi rzemieniami, które przynieśli na pokład

Ventulusa. Zrobiono to szybko, choć Juliusz musiał rozkazać jednemu z załogi zaprzestać wiązania, po tym jak kopnął on swojego niedawnego napastnika w głowę.

- Dziesięć batów dla tego człowieka - powiedział twardo.

Jego ludzie chwycili żeglarza, a reszta załogi wymieniła spojrzenia. Juliusz zmierzył ich wzrokiem, wiedząc, jak jest ważne, by akceptowali jego rozkazy. Zostawieni sami sobie prawdopodobnie zarąbaliby piratów na śmierć, biorąc odwet za lata strachu, tortur i przemocy. Żaden z nich nie spojrzał mu w oczy, zamiast tego odłączyli się od gratulujących sobie grupek ludzi Juliusza i przystanęli z boku. Cezar odwrócił się, by dopilnować reszty poj-manych. Wioślarze, których się obawiał, darli się wniebogłosy pod pokładem, przerażeni niejasną sytuacją i odgłosami walki na górze. Należało ich uspokoić.

- Panie, tutaj! Pospiesz się! - dobiegł go głos Praksa.

Na pokładzie Yentulusa stary żołnierz trzymał w objęciach czyjeś ciało, zamykając dłonią ranę na piersi mężczyzny. Juliusz jednym susem przeskoczył burty. Rannym był Pelitas i Juliusz, widząc krew na ustach przyjaciela, zrozumiał, że nie ma dla niego nadziei. Jedynie Kabera mógłby go ocalić.

Pelitas patrzył przed siebie niewidzącymi oczami. Jego płuca jeszcze się nie poddawały, ale coraz słabszy oddech wyrzucał na usta coraz więcej krwi. Juliusz kucnął przy obu

mężczyznach, wokół zebrali się inni i przesłonili sobą słońce. Zapadła cisza. W końcu Pelitas wyzionął ducha, a jasne spojrzenie zrobiło się szkliste i znieruchomiało.

Juliusz wstał, popatrzył z góry na ciało przyjaciela i skinął na dwóch innych.

- Pomóżcie Praksowi zabrać go na dół. Nie oddam morzu jednego z naszych razem z

tamtymi.

Odszedł bez słowa i tylko dowódcy z Accipitera rozumieli, dlaczego musiał pokazać tak surowe oblicze. Dowódca nie ujawnia się ze słabościami przed podwładnymi i ani jeden nie wątpił, kto ich poprowadzi dalej. Nawet Gaditykus trzymał głowę pochyloną, kiedy Juliusz go mijał i odchodził samotnie.

Późnym wieczorem zabezpieczono oba statki i Juliusz spotkał

Rozdział XVII

Lię z innymi dowódcami z Accipitera. Wypili za pamięć Pelitasa, który już nigdy nie miał

wznieść żadnego toastu.

Przed udaniem się na spoczynek Gaditykus i Juliusz odbyli spacer po pokładzie. Świecił

księżyc, i obaj milczeli długo, zagubieni we wspomnieniach, lecz kiedy doszli do schodków prowadzących pod pokład, Gaditykus ujął Juliusza za ramię.

- Dowodzisz tutaj.

- Wiem - odpowiedział zwyczajnie Juliusz i spojrzał mu w twarz.

Gaditykus uśmiechnął się krzywo.

- Zrozumiałem to, kiedy upadłeś. Poszli za tobą wszyscy nasi ludzie, nie czekając na rozkazy.

I pójdą za tobą wszędzie, tak myślę.

- Chciałbym wiedzieć, dokąd ich zaprowadzę - powiedział cicho Juliusz. - Być może jeden z tych, których więzimy, będzie wiedział, gdzie jest Celsus. Rano się okaże. - Popatrzył na miejsce, gdzie upadł Pelitas. - Peli by się nieźle uśmiał, gdyby widział, jak się pośliznąłem.

Śmiesznie byłoby tak umrzeć.

Odważny atak prosto pod stopy wroga! Zaśmiał się niewesoło sam z siebie. Gaditykus mu nie zawtórował. Klepnął młodego

człowieka po ramieniu, ale ten był zasłuchany we własne myśli.

- Pelitas by nie umarł, gdybym się nie uganiał za Celsusem. Wszyscy bylibyście teraz w Rzymie, a waszych imion nie okrywałaby hańba.

Gaditykus zatrzymał się w pół kroku, znów wziął go za ramię i zmusił do spojrzenia sobie w oczy.

- Czy to nie ty nam powiedziałeś, że nie ma sensu gryźć się na zapas? Moglibyśmy wszyscy wrócić i dokonać lepszych wyborów, ale to nie jest tak. Jak świat światem człowiek ma

zawsze tylko jedną szansę. Mogłem nie wyruszyć Accipiterem na tamten kawałek wybrzeża, lecz gdybym tego nie zrobił, to kto wie? Może bym zachorował albo dostał nożem pod żebra w jakiejś gospodzie, albo spadł ze schodów i rozłupał głowę na pół. Nie ma sensu się tym zadręczać. Bierzmy każdy dzień, jaki jest, i podejmujmy najlepsze decyzje, jakie potrafimy.

- A jeżeli nie zawsze okazują się dobre? - mruknął Juliusz. Gaditykus wzruszył ramionami.

- Zwalam winę na bogów.

- Wierzysz w nich?

- Nie możesz żeglować po morzu, nie wiedząc, że jest coś więcej niż ludzie i skała. A co do świątyń, zawsze się zabezpieczam odpowiednimi ofiarami. To nikomu nie szkodzi, no i nigdy nic nie wiadomo.

Juliusz uśmiechnął się na myśl o tak praktycznej filozofii.

- Mam nadzieję… że znowu zobaczę Pelitasa. Gaditykus kiwnął głową.

- Zobaczymy go wszyscy, choć może jeszcze nie teraz - powiedział i ruszył pod pokład, zostawiając Juliusza sam na sam z morskim wiatrem.

Następnego ranka Juliusz podzielił swoich ludzi na dwie załogi. Kusiło go, by objąć stanowisko dowódcy na szybszym

pirackim statku, lecz zdając się na instynkt, przekazał je właścicielowi Ven-tulusa, Durusowi. Mężczyznę, zamkniętego w swojej kajucie, walka całkowicie ominęła, ale gdy tylko połapał się w całej sytuacji, przestał rozpaczać z powodu utraconego ładunku. Nienawidził piratów tak samo jak każdy członek jego załogi i widok związanych mężczyzn sprawił mu wielką przyjemność.

Kiedy Juliusz przedstawił swoją propozycję, Durus wyciągnął dłoń, by dobić targu.

- Oba statki będą moje, kiedy znajdziesz tego, kogo szukasz, tak?

- Chyba że podczas ataku na Celsusa jeden zatonie. Moi ludzie muszą na czymś wrócić do Rzymu. Chciałbym, żeby to był jego okręt, ale Celsus zna swoje rzemiosło i pokonanie pirata nie będzie łatwe, jeżeli w ogóle go znajdziemy - odpowiedział Juliusz, zastanawiając się, jak dalece można ufać kupcowi. Żeby być pewnym jego lojalności, pozwolił przesiąść się na drugi statek tylko części jego załogi. W razie, gdyby zawiodła, legioniści potrafią przywołać go do porządku.

Durus sprawiał wrażenie zadowolonego, przynajmniej pozornie. Sprzedaż przejętego statku mogła mu przynieść dużo więcej niż stracony ładunek, chociaż gdy usłyszał o zatopieniu kości słoniowej, głośno jęknął.

Rozdział XVII

189

Główny problem dotyczył tego, co zrobić z piratami, którzy przeżyli walkę. Rannych na rozkaz Juliusza dobito i wyrzucono za burtę razem z zabitymi wcześniej. Wybrali takie życie i nie miał litości dla ich krzyków. Zostało siedemnastu, których trzeba było pilnować dzień i noc. Juliusz zacisnął szczęki. Ich los spoczywał w jego rękach.

Kazał sprowadzać piratów pojedynczo do kajuty kupca, gdzie zasiadł za stołem z grubych desek. Każdy był związany i przytrzymywany przez dwóch jego ludzi. Juliusz chciał, by czuli się bezradni, i przywołał na twarz tyle okrucieństwa i

zawziętości, ile potrafił. Zarzekali się, że ich kapitan zginął w walce, co Juliuszowi dało do myślenia. Z pewnością człowiek ten wolał się nie zdradzać, jeżeli był pomiędzy żywymi.

- Dwa pytania - powiedział do pierwszego. - Jeżeli potrafisz odpowiedzieć, będziesz żył.

Jeżeli nie, pójdziesz za burtę na pożarcie rekinom. Kto jest twoim kapitanem?

Mężczyzna splunął na podłogę obok stóp Juliusza i spojrzał obojętnie w bok, nie

zainteresowany sprawą. Juliusz zignorował to, choć poczuł na kostkach ciepłe drobinki śliny.

- Gdzie jest człowiek o imieniu Celsus? - kontynuował przesłuchanie.

Odpowiedź nie padła, ale mężczyzna zaczynał się pocić.

- Bardzo dobrze - powiedział spokojnie Juliusz. - Na pożarcie rekinom. Przyprowadzić następnego.

- Tak, panie - odpowiedzieli obaj żołnierze naraz. Mężczyzna chyba się ożywił i zaczął się wyrywać i krzyczeć

wniebogłosy. Żołnierze, wzmacniając uścisk, podprowadzili go do burty. Jeden wyjął zza pasa sztylet. Drugi popatrzył na niego pytająco. Pierwszy wzruszył ramionami i przeciął

więzy na nadgarstkach, po czym wciąż krzyczącego pirata wspólnymi siłami wyrzucili za burtę.

Żołnierz ze sztyletem dołączył do drugiego, przyglądającego się desperackim zmaganiom w wodzie poniżej.

- Pomyślałem tylko, że można by mu dać szansę - powiedział. Na ich oczach do mężczyzny zbliżyły się trzy ciemne cienie.

Rekiny płynęły w ślad za statkami, od kiedy wyrzucono za burtę pierwsze ciała. Mężczyzna zobaczył, jak podpływają, i oszalały

z przerażenia zaczął bić wodę rękami i nogami. Potem zniknął z powierzchni i dwaj żołnierze odeszli od burty i zaprowadzili do Juliusza drugiego mężczyznę.

Ten z kolei pływać nie umiał w ogóle i po prostu się utopił. Trzeci przeklinał ich przez cały czas przepytywania i do ostatniej chwili, kiedy poprowadzony do burty, przepadł na zawsze.

W wodzie zgromadziło się więcej rekinów i olbrzymie drapieżniki, ślizgając się po sobie w krwawej pianie, walczyły o ludzkie mięso.

Czwarty przemówił natychmiast, ledwo Juliusz zdążył otworzyć usta.

- I tak mnie zabijesz.

- Nie, jeżeli powiesz mi to, co chcę wiedzieć. Mężczyzna odetchnął z ulgą.

- Więc jestem kapitanem. I co, nie zabijesz?

- Nie, jeżeli powiesz, gdzie jest Celsus. Masz moje słowo.

- Zimą pływa na Samos, do Azji. Na drugą stronę greckiego morza.

- Nie znam tej nazwy - powiedział niepewnie Juliusz.

- To duża wyspa, blisko Miletu. Rzymskie okręty tam się nie zapuszczają, ale ja tam byłem.

Mówię prawdę!

Juliusz uwierzył mu i kiwnął głową.

- Świetnie. Więc i ja tam będę. Jak to daleko?

- Miesiąc, najwyżej dwa.

Juliusz ściągnął brwi. Będą musieli zatrzymać się gdzieś po zapasy jedzenia, a to oznacza większe ryzyko. Popatrzył na dwóch żołnierzy.

- Rzucić innych rekinom. Pirat spojrzał spode łba.

- Nie mnie. Powiedziałeś, że mnie nie zabijesz. Juliusz podniósł się powoli.

- Przez ciebie i twoich ludzi straciłem dobrych przyjaciół, a także rok życia.

- Dałeś słowo! Wskażę ci drogę, zobaczysz. Sam byś na pewno zabłądził - mężczyzna mówił

szybko, łamiącym się ze strachu głosem.

Juliusz go nie słuchał. Wydawał rozkaz trzymającym go żołnierzom.

Rozdział XVII

191

- Zamknąć go gdzieś bezpiecznie. Na razie.

Kiedy odeszli, usiadł i wsłuchał się w krzyki wyciąganych spod pokładu i wyrzucanych za burtę piratów. W końcu hałasy umilkły i jedynym dźwiękiem stały się na powrót ciche poskrzypywania i głuche westchnienia statku płynącego pod rozpiętymi żaglami. Popatrzył na

swoje dłonie. Spodziewał się po sobie wstydu czy wyrzutów sumienia, ale nie przyszły.

Wtedy zamknął drzwi i zapłakał nad Pelitasem.

ROZDZIAŁ XVIII

Aleksandria westchnęła ciężko. Zapinka, wpięta w złożony poprzedniego wieczoru płaszcz, zniknęła. Szybkie spojrzenie, rzucone w głąb domu, utwierdziło ją w przekonaniu, że to sprawka Oktawiana. Mały przepadł. Zacisnęła szczęki, zatrzasnęła za sobą drzwi i udała się do domu Tabbika. To nie było wartościowe srebro ani nie poświęciła za dużo czasu

grawerunkowi i polerowaniu. To była jedyna ozdoba, którą zrobiła dla siebie; wielu klientów oglądało ją i podziwiało przy każdej okazji. Przedstawiała orła, którego nie nosiłaby na własnym ramieniu, gdyby nie stał się symbolem wszystkich legionów i rzeczą powszechnie pożądaną. Zatrzymywali ją głównie dowódcy, i to oni oglądali ostatnie dzieło jej rąk z największym zainteresowaniem, dać je więc sobie ukraść jakiemuś odrażającemu

łobuziakowi wołało o pomstę do bogów. Idąc, zaciskała pięści raz po raz, a jej płaszcz rozwiewał się na boki i wyraźnie brakowało zapinki, która by utrzymywała fałdy w

należytym porządku.

Był nie tylko złodziejem, był małym głupcem. Jak mógł się spodziewać, że nie zostanie złapany? Choć możliwe, że przyzwyczajony do kary chłopiec dla zapinki byłby gotów znieść następne lanie i każde inne zło. Aleksandria, zapytując się w duchu, co powinna zrobić, kiedy go zobaczy, potrząsnęła ze złości głową. Zawstydzić się go nie da, nawet w obliczu matki.

Widziała to, kiedy chłopcy rzeźnika przyszli upomnieć się o mięso.

Nie wspomnieć o tym Acji? Może tak byłoby lepiej. Myśl, że znów zobaczyłaby poniżenie na jej twarzy, przepełniła ją bólem,

a nie trzeba było nawet tygodnia, by Aleksandria polubiła tę kobietę. Acja miała w sobie dumę i godność. Jaka szkoda, że ani jedno, ani drugie nie przeszło na syna.

Sklepik Tabbika został doszczętnie zniszczony pod koniec ulicznych walk sprzed dwóch lat.

Aleksandria pomogła Tabbikowi go odbudować i nauczyła się trochę stolarki, gdy stary przerabiał drzwi i stół do pracy. Nie został bez środków do życia tylko dlatego, że cały wartościowy metal udało mu się w porę ukryć piętro wyżej, we własnym mieszkaniu, dobrze zabezpieczonym przed gromadami raptores, grasującymi po ulicach pogrążonego w chaosie miasta. Teraz, zbliżając się do skromnej małej posesji, Aleksandria utwierdziła się w postanowieniu, by nie obarczać przyjaciela swoimi zmartwieniami. Zawdzięczała mu wiele, nie tylko to, że pozwolił jej się schronić u siebie w najtrudniejszym czasie. Dług, który na początku znajomości zaciągnęła u Tabbika, nie wymagał słów i przysięgła sobie go spłacić.

Otworzyła dębowe drzwi wprost na piskliwy krzyk i jej oczy rozbłysły czystą satysfakcją. W

powietrzu, w zaciśniętych dłoniach Tabbika majtała nogami drobna figurka Oktawiana.

Brązownik spojrzał ku drzwiom i odwrócił chłopca twarzą do Aleksandrii.

- Nie uwierzysz, co ten tutaj usiłuje mi sprzedać - powiedział. Na widok wchodzącej chłopiec zaczął szarpać się na wszystkie

strony i kopać mężczyznę, lecz Tabbik trzymał go mocno, najwyraźniej nieczuły na razy.

Aleksandria rzuciła się ku nim.

- Gdzie moja zapinka, ty mały złodzieju?

Tabbik otworzył drugą dłoń. Błyszczał na niej srebrny orzeł. Aleksandria bez chwili namysłu chwyciła zapinkę i przypięła ją na dawnym miejscu.

- Wmaszerował tu bezczelnie i kazał mi zaproponować jakąś cenę! - rzucił gniewnie Tabbik.

Uczciwy do szpiku kości, nienawidził tych, którzy traktowali kradzież jak sposób na łatwe życie. Potrząsnął Oktawianem jeszcze raz, wyładowując oburzenie na chłopcu, który skomlał, kopał i szukał oczami drogi ucieczki. - I co z nim zrobimy? - spytał.

Aleksandria się namyślała. Ręka ją swędziała, by chłopcu dobrze

przyłożyć, ale przypuszczała, że te małe palce jeszcze nieraz sięgną po jej własność.

Potrzebne było rozwiązanie bardziej trwałe.

- Myślę, że mogłabym przekonać jego matkę, by dla nas pracował.

Ledwo Tabbik opuścił Oktawiana na podłogę, kiedy wpiły mu się w rękę ostre zęby i

dzieciak, w daremnej złości, znów powędrował w górę.

- Chyba żartujesz. Przecież on jest niewiele lepszy od zwierzęcia! - powiedział Tabbik, krzywiąc się na biały ślad zębów na skórze.

- Możesz go uczyć, Tabbiku. Chłopiec nie ma ojca, który mógłby to robić. Mówiłeś, że przydałby się ktoś do miechów, do pozamiatania czy na posyłki.

- Puść mnie! Nic nie będę robił! - wrzasnął Oktawian. Tabbik przyjrzał się mu.

-Jest chudy jak szczur. Żadnej siły w ramionach - powiedział powoli.

- Tabbiku, on ma dziewięć lat. Czego się spodziewasz?

- Ucieknie, jak tylko drzwi się otworzą.

- No to sprowadzę go z powrotem. Przecież kiedyś przyjdzie do domu. Zaczaję się, dam mu klapsa i każę z sobą pójść. Dzięki pobytowi tutaj nie będzie sprawiał kłopotów, a nam obojgu też to wyjdzie na dobre. Ty nie robisz się młodszy, a mnie mógłby pomóc przy kuciu.

Tabbik, nie zwalniając uścisku, jeszcze raz postawił Oktawiana na podłodze. Tym razem chłopiec nie gryzł, tylko

ostrożnie obserwował dwoje dorosłych, którzy rozprawiali o nim tak, jakby go nie było.

- Ile byś mi płacił? - spytał, brudnymi palcami rozcierając łzy.

- Płacić? Tobie? - Tabbik zaśmiał się pogardliwie. - Chłopcze, będziesz się uczył zawodu. To ty masz nam płacić.

Oktawian bluznął potokiem przekleństw, próbując ugryźć Tabbika powtórnie. Brązownik trzepnął go wolną ręką jak upartą muchę.

- A jak będzie kradł towar?

Widać było, że powoli przychyla się do pomysłu Aleksandrii. Choć to był problem. Jeżeli Oktawian ucieknie ze srebrem czy, co

Rozdział XVIII

gorsza, ze skromnym, pieczołowicie przechowywanym zapasem złota, wyrządzi krzywdę im wszystkim. Przyoblekła twarz w naj-sroższy wyraz, wzięła chłopca pod brodę i obróciła do siebie.

- Jeżeli to zrobi - powiedziała, przygważdżając małego spojrzeniem - będziemy mieli prawo zażądać, by został sprzedany jako niewolnik. W ten sposób spłaci dług. Jego matkę też, jak przyjdzie co do czego.

- Nie sprzedacie! - krzyknął Oktawian.

- Nie zajmuję się dobroczynnością, chłopcze. Sprzedamy - potwierdził Tabbik i nad głową chłopca mrugnął do Aleksandrii.

- W tym mieście długi się spłaca - zgodziła się.

Zima przyszła szybko i obaj, Tubruk z Brutusem, rąbiąc konary starego dębu i przygotowując drewno na opał, mieli na sobie grube płaszcze. Reniusz wystawił kikut ramienia na wiatr, korzystając z nieobecności ciekawskich, i wyglądał tak, jakby nie czuł chłodu. Stary gladiator przyprowadził z majątku

małego niewolnika, który miał podstawiać mu pod topór gałęzie.

Chłopiec się nie odzywał, robił posłusznie swoje, lecz trzymał się z daleka i kiedy topór starego ześliznął się po korze, a wymachujący nim mężczyzna zachwiał się i zaklął pod nosem, z wyraźnym trudem powstrzymał się od śmiechu. Brutus znał humory starego

gladiatora i aż się skrzywił na myśl, co by było, gdyby Reniusz zobaczył rozbawienie dziecka.

Spocony z wysiłku młody mężczyzna chuchnął parę razy, obrzucił krytycznym spojrzeniem ponownie uniesione zdrowe ramię Re-niusza i wznosząc nad głową własny topór, powiedział

do Tubruka:

- Najbardziej mnie martwi dług u Krassusa. Same kwatery kosztują cztery tysiące aureusów.

- Czego spodziewa się w zamian? - spytał Tubruk. Brutus wzruszył ramionami.

- Mówi, żebym się nie martwił, a to oznacza, że o niczym innym nie myślę. Zbrojownik, którego wynająłem, zrobił więcej kompletów, niż mam żołnierzy, nawet gdybym szukał ich po całym Rzymie. Przy moim żołdzie centuriona musiałbym pracować latami, by zapłacić mu za same miecze.

- Takie kwoty niewiele znaczą dla Krassusa. Mówią, że mógłby kupić pół senatu, gdyby chciał - powiedział Tubruk, opierając się

na drewnianym stylisku topora i chłodząc gardło zimowym powietrzem.

- Wiem. Moja matka mówi, że już posiada więcej domów w Rzymie, niż wie, co z tym

zrobić. Wszystko, co kupuje, przynosi mu zysk, i tylko można się zastanawiać, co mu przyjdzie z kupna Pierworodnych.

Tubruk pokręcił głową i znów uniósł topór.

- Nie kupił ani legionu, ani ciebie. Nawet tak nie mów. Pierworodni to nie dom czy srebrna zapinka i tylko senat może im rozkazywać. Jeśli mu się zdaje, że powołał prywatny legion, to mu powiedz, by senat zmienił odpowiednie zapisy.

- Tego nie powiedział. Podpisuje tylko rachunki, które mu przysyłam. Moja matka mówi, że w ten sposób ma nadzieję zdobyć jej przychylność. Zapytałbym go, czy to prawda. Ale jeśli odpowie twierdząco? Nie chcę, by matka prostytuowała się z tym czy z innym, ale muszę mieć Pierworodnych.

- Dla Serwilii nie byłby to pierwszy raz - zauważył Tubruk, chichocząc cicho.

Brutus położył topór na pniu i podszedł do byłego gladiatora.

- Mogłeś powiedzieć to tylko raz. - Głos Brutusa był tak zimny jak zimowy wiatr, który wznosił wokół nich tumany liści, i Tubruk, na widok ściągniętej gniewem twarzy, znów się oparł na stylisku.

- Ostatnio często ją wspominasz. Nie uczyłem cię, byś się tak łatwo odsłaniał przed kimkolwiek. Nawet przed Reniuszem.

Reniusz parsknął, ze złością wykopując spod stóp sękatą gałąź. Sterta jego drewna była o połowę mniejsza niż tamtych, chociaż rosła z większym wysiłkiem.

Brutus potrząsnął głową.

- To moja matka, Tubruku!

Starszy mężczyzna wzruszył ramionami.

- Nie znasz jej, chłopcze. I zanim poznasz, chciałbym, żebyś był ostrożny.

- Znam wystarczająco - odparł Brutus.

Wszyscy trzej wznieśli topory jak na rozkaz. Po godzinie wspólnej pracy i wspólnego milczenia załadowali część narąbanych polan na ręczny wózek, a resztę ułożyli w równe sterty. Tubruk pierwszy przełknął złość.

na drewnianym stylisku topora i chłodząc gardło zimowym powietrzem.

- Wiem. Moja matka mówi, że już posiada więcej domów w Rzymie, niż wie, co z tym

zrobić. Wszystko, co kupuje, przynosi mu zysk, i tylko można się zastanawiać, co mu przyjdzie z kupna

Pierworodnych.

Tubruk pokręcił głową i znów uniósł topór. - Nie kupił ani legionu, ani ciebie. Nawet tak nie mów. Pierworodni to nie dom czy srebrna zapinka i tylko senat może im rozkazywać. Jeśli mu się zdaje, że powołał prywatny legion, to mu powiedz, by senat zmienił odpowiednie zapisy.

- Tego nie powiedział. Podpisuje tylko rachunki, które mu przysyłam. Moja matka mówi, że w ten sposób ma nadzieję zdobyć jej przychylność. Zapytałbym go, czy to prawda. Ale jeśli odpowie twierdząco? Nie chcę, by matka prostytuowała się z tym czy z innym, ale muszę mieć Pierworodnych.

- Dla Serwilii nie byłby to pierwszy raz - zauważył Tubruk, chichocząc cicho.

Brutus położył topór na pniu i podszedł do byłego gladiatora.

- Mogłeś powiedzieć to tylko raz. - Głos Brutusa byl tak zimny jak zimowy wiatr, który wznosił wokół nich tumany liści, i Tubruk, na widok ściągniętej gniewem twarzy, znów się oparł na stylisku.

- Ostatnio często ją wspominasz. Nie uczyłem cię, byś się tak łatwo odsłaniał przed kimkolwiek. Nawet przed Reniuszem.

Reniusz parsknął, ze złością wykopując spod stóp sękatą gałąź. Sterta jego drewna była o połowę mniejsza niż tamtych, chociaż rosła z większym wysiłkiem.

Brutus potrząsnął głową.

- To moja matka, Tubruku!

Starszy mężczyzna wzruszył ramionami.

- Nie znasz jej, chłopcze. I zanim poznasz, chciałbym, żebyś by

ostrożny.

- Znam wystarczająco - odparł Brutus.

Wszyscy trzej wznieśli topory jak na rozkaz. Po godzinie wspó nej pracy i wspólnego milczenia załadowali część narąbanych pc lan na ręczny wózek, a resztę ułożyli w równe sterty. Tubruk pieni szy przełknął złość.

na drewnianym stylisku topora i chłodząc gardło zimowym powietrzem.

- Wiem. Moja matka mówi, że już posiada więcej domów w Rzymie, niż wie, co z tym

zrobić. Wszystko, co kupuje, przynosi mu zysk, i tylko można się zastanawiać, co mu przyjdzie z kupna Pierworodnych.

Tubruk pokręcił głową i znów uniósł topór.

- Nie kupił ani legionu, ani ciebie. Nawet tak nie mów. Pierworodni to nie dom czy srebrna zapinka i tylko senat może im rozkazywać. Jeśli mu się zdaje, że powołał prywatny legion, to mu powiedz, by senat zmienił odpowiednie zapisy.

- Tego nie powiedział. Podpisuje tylko rachunki, które mu przysyłam. Moja matka mówi, że w ten sposób ma nadzieję zdobyć jej przychylność. Zapytałbym go, czy to prawda. Ale jeśli odpowie twierdząco? Nie chcę, by matka prostytuowała się z tym czy z innym, ale muszę mieć Pierworodnych.

- Dla Serwilii nie byłby to pierwszy raz - zauważył Tubruk, chichocząc cicho.

Brutus położył topór na pniu i podszedł do byłego gladiatora.

- Mogłeś powiedzieć to tylko raz. - Głos Brutusa był tak zimny jak zimowy wiatr, który wznosił wokół nich tumany liści, i Tubruk, na widok ściągniętej gniewem twarzy, znów się oparł na stylisku.

- Ostatnio często ją wspominasz. Nie uczyłem cię, byś się tak łatwo odsłaniał przed kimkolwiek. Nawet przed Reniuszem.

Reniusz parsknął, ze złością wykopując spod stóp sękatą gałąź. Sterta jego drewna była o połowę mniejsza niż tamtych, chociaż rosła z większym wysiłkiem.

Brutus potrząsnął głową.

- To moja matka, Tubruku!

Starszy mężczyzna wzruszył ramionami.

- Nie znasz jej, chłopcze. I zanim poznasz, chciałbym, żebyś był ostrożny.

- Znam wystarczająco - odparł Brutus.

Wszyscy trzej wznieśli topory jak na rozkaz. Po godzinie wspólnej pracy i wspólnego milczenia załadowali część narąbanych polan na ręczny wózek, a resztę ułożyli w równe sterty. Tubruk pierwszy przełknął złość.

Rozdział XVIII

197

- Czy udasz się na Pole razem z innymi? - spytał, nie patrząc na Brutusa. Znał odpowiedź, ale był to bezpieczny temat do dalszej rozmowy.

Każdego roku zimą chłopcy, którzy skończyli szesnaście lat, przychodzili w wyznaczonym dniu na Pole Marsowe, gdzie nowe legiony wbijały w ziemię swoje proporce. Tylko kulawy czy ślepy mógłby zostać zawrócony. Świeżo wciągnięty do rejestru senatu legion

Pierworodnych kwalifikował się do zatknięcia swojego orła obok innych.

- Będę musiał - mruknął niechętnie Brutus, lecz głos mu złagodniał. - Razem z dzieciakami z innych miast zbiorą się jakieś trzy tysiące. Niektórzy z nich zgłoszą się do Pierworodnych. Tylko bogowie wiedzą, jak wielu mi potrzeba. Kwatery, które Krassus kupił, wciąż świecą pustkami.

- A ilu już masz?

- Z siedmioma wczorajszymi… blisko dziewięćdziesięciu. Powinieneś ich zobaczyć, Tubruku.

- Młodszy mężczyzna zapatrzył się przed siebie; najwyraźniej przywoływał w pamięci ich twarze. -Myślę, że dołączył do mnie każdy, kto wyszedł cało z pogromu Sulli. Ci, którzy wówczas zmienili zawód, na pierwszą wieść o przeformowaniu Pierworodnych po prostu rzucili narzędzia i przyszli tak jak stali. Innych znalazłem w prywatnych domach czy w świątyniach, gdzie byli strażnikami, i ci wracają do legionu bez słowa sprzeciwu. Wszystko przez pamięć o Mariuszu. - Przerwał na moment. Głos znów mu stwardniał. - Serwilia, moja matka, miała strażnika, który był u niego jakimś zastępcą. Poprosił ją, by pozwoliła mu odejść, i się zgodziła. Z czasem będzie pomagał Re-niuszowi ćwiczyć nowy zaciąg.

Tubruk zwrócił się do Reniusza.

- Pójdziesz z nim?

Stary odłożył topór i potarł dłonie.

- Nie mam przyszłości jako drwal, chłopcze. Będę robił to, co potrafię.

Tubruk kiwnął głową.

- Tylko nie próbuj nikogo zabić. Będziecie mieli dość roboty, by ich do siebie ściągnąć.

Bogowie wiedzą, że Pierworodni to nie jedyny legion, który marzy o powiększeniu szeregów.

- My mamy swoją historię - odpowiedział Brutus. - Nowo formowane legiony nigdy jej nie dorównają.

Tubruk zmierzył go ostrym wzrokiem.

- Historię wstydliwą, jak myślą niektórzy. I nie patrz tak na mnie. Wiem, co mówię. Naznaczą was piętnem legionu, który zgubił miasto. Nadejdą trudne dni. - Rozejrzał się po stertach drewna i pełnym wózku i pokiwał głową sam do siebie. - Na

dzisiaj dosyć. W kuchniach już czekają trzy kubki gorącego wina.

- Cztery, chciałeś powiedzieć - poprawił go Reniusz i obrócił się do chłopca. - Myślę, że pod koniec szło mi lepiej niż na początku. Co ty na to, mały?

Mały potarł nos, rozmazując po policzkach błyszczące gile, i przytaknął nerwowo.

Reniusz uśmiechnął się do niego.

-Jedna ręka to nie to samo co dwie, rozumiesz? Daj no mi tamten konar i przytrzymaj go mocno.

Chłopiec przywlókł kawałek odrąbanej dębowej kłody pod stopy Reniusza i zaczął się ostrożnie odsuwać.

- Nie. Masz to trzymać. Każdą ręką po każdej stronie - powiedział ostro Reniusz.

Chłopiec spojrzał na dwóch innych, ale ci obserwowali scenę w milczeniu. Nie było rady.

Krzywiąc się, przycisnął dłonie do szorstkiej kory i mocno zaciskając powieki, odchylił się jak mógł najdalej.

Reniusz się nie spieszył. Przymierzał dłoń do styliska, szukając najwygodniejszego chwytu.

- A teraz trzymaj. Mocno! - ostrzegł i wziął potężny rozmach. Topór zatoczył łuk przez powietrze i rozłupał kłodę na pół.

Chłopiec zacisnął zęby i schował dłonie pod pachy.

Reniusz odłożył topór, przykucnął przy małym niewolniku, obejrzał jedną dłoń, potem drugą.

Były całe i chłopcu poczerwieniały z ulgi policzki, a stary gladiator uśmiechnął się po dawnemu i zmierzwił mu włosy.

- Utrzymałem, nie wyśliznęło mi się - szepnął chłopiec.

- To prawda, chłopcze - zgodził się Reniusz. - Byłeś odważny. A to, powiedziałbym, jest warte kubka gorącego wina.

Chłopiec się rozpromienił i zapomniał o mrowiących dłoniach.

Rozdział XVIII

Trzej mężczyźni spotkali się wzrokiem, przypominając sobie dawne dni i ciesząc się z dumy chłopca. Następnie chwycili za wózek i ruszyli w dół wzgórza, do majątku.

- Chcę, by Pierworodni stali się silni, zanim wróci Juliusz - powiedział Brutus, kiedy cała czwórka stanęła w bramie.

Juliusz i Gaditykus wypatrywali przez krzaki porastające pochyłe zbocze maleńkiego statku, który kotwiczył w spokojnej zatoce poniżej. Obaj byli głodni i niemożliwie spragnieni, lecz worek z wodą był pusty, a obaj się zgodzili nie wyruszyć w powrotną drogę, dopóki się nie ściemni.

Wspinaczka na szczyt zajęła więcej czasu, niż myśleli. Za każdym razem, kiedy para zwiadowców sądziła, że jest na szczycie, odsłaniał się następny i w końcu, kiedy grunt im się pod nogami urwał i w dole ujrzeli zatokę, noc minęła i właśnie dniało. Przez cały ten czas Juliusz myślał tylko o jednym: czy pirat, chcąc się uratować przed rekinami, po prostu kłamał.

Podczas długiej podróży na wyspę mężczyzna był przywiązany do wioseł własnego okrętu i wyglądało na to, jakby szczegółową opowieścią o zimowym postoju Celsusa zarobił na życie.

Juliusz szkicował węglem na pergaminie wszystko, co dało się zauważyć, aby po powrocie na statek rysunek uwiarygodnił ich słowa. Gaditykus obserwował go w milczeniu i z kwaśną miną.

- To się nie uda, na pewno - mruknął pod nosem i zapuścił w krzaki następne spojrzenie.

Juliusz przestał rysować z pamięci i podniósł się na kolana, by jeszcze raz się przyjrzeć całej scenie. Żaden człowiek nie nosił zbroi - by metal nie stanowił dodatkowego obciążenia oraz by nie odbijało się w nim słońce i nie zdradziło ich pozycji. Juliusz znów przysiadł na pięty, aby skończyć szkic, i przyjrzał mu się krytycznie.

- Ze statku nie - odpowiedział po chwili i twarz skurczyła mu się z rozczarowania. Przez miesiąc szybkiej podróży załoga ćwiczyła dzień i noc, gotowa do walki z Celsusem. Juliusz

założyłby się o ostatniego miedziaka, że potrafią przejąć drugą jednostkę, ponosząc najwyżej kilka ofiar. Teraz, kiedy patrzył na małą zatokę ukrytą między trzema wzgórzami, cały plan wydawał mu się do niczego.

Wyspę tworzyły jedynie trzy zimne, wulkaniczne szczyty i ta nieszczęsna zatoczka. Siedząc od rana na swojej wysokiej grzędzie, w końcu wypatrzyli głębokie kanały biegnące między wzgórzami, z którejkolwiek więc strony zaatakowałoby się Celsusa, pirat mógł wybrać każdy z pozostałych i zniknąć na morzu bez pośpiechu i bezpiecznie. Trzy okręty mogłyby łatwo zajść mu drogę, ale z dwoma to już było czyste ryzyko.

W pewnym momencie Juliusz zobaczył ciemne kształty delfinów pływających wokół statku.

Miejsce było niezwykle piękne i pomyślał, że przy nadarzającej się okazji chętnie tu wróci. Z

daleka szarozielone wzgórza sprawiały wrażenie ponurych i niedostępnych, lecz przysiąść nad całą resztą, tak wysoko, jak przysiedli oni, było czymś wspaniałym. W przezroczystym powietrzu widział każdy szczegół na dwóch innych poszarpanych szczytach i z tego właśnie powodu on i Gaditykus nie odważyli się poruszyć. Jeżeli oni widzieli każdy ruch na pokładzie pirackiej jednostki, tak samo mogli zobaczyć ich tamci, a wtedy przepadłaby jedyna sposobność odwetu.

- Spodziewałbym się raczej, że spędza zimy w którymś z dużych miast, daleko od Rzymu -

powiedział Juliusz. Wyspa wydawała się nie zamieszkana, poza zakotwiczonym statkiem, i był zdziwiony, że twarda załoga piratów nie uznała jej za nudną po miesiącach polowania na kupców.

- Bez wątpienia odwiedza stały ląd, ale jak widać, to miejsce zapewnia mu więcej

bezpieczeństwa. Jezioro u stóp wzgórz jest prawdopodobnie słodkowodne i założyłbym się, że polują na ptaki i ryby i urządzają sobie uczty. Chociaż, czy zaufałby komuś na tyle, by zostawić statek bez opieki? Jego ludzie po prostu podnieśliby kotwicę i straciłby go ze wszystkim.

Juliusz ściągnął brwi i popatrzył badawczo na Gaditykusa.

- Biedny człowiek - mruknął, zwijając mapę. Gaditykus wyszczerzył zęby i popatrzył w słońce.

- Bogowie. Do wieczora jeszcze dobre parę godzin, a ja aż się dławię od kurzu.

Juliusz wyciągnął się na trawie i podłożył ręce pod głowę.

- Tratwy mogłyby nas podwieźć bliżej, a w tym czasie nasze statki zastąpiłyby mu drogę ucieczki. W następną bezksiężycową

Rozdział XVIII

201

noc będziemy mieli dość czasu, by związać kilka razem i planować, co dalej. Teraz się prześpię. - Zamknął oczy i po kilku minutach już cicho chrapał.

Gaditykus popatrzył na niego z rozbawieniem. Starszy mężczyzna był zbyt spięty, by spać, i z braku innego zajęcia dalej obserwował ruchy mężczyzn na pokładzie statku zakotwiczonego w zatoce między trzema wzgórzami. Zastanawiał się, ilu umrze, jeżeli Celsus ma tyle zdrowego rozsądku, by każdej nocy rozstawiać warty, i żałował, że brakuje mu wiary w przyszłość, którą miał śpiący obok młody człowiek.

ROZDZIAŁ XIX

lYzymianie, leżąc płasko na tratwach, wiosłując zgrabiałymi dłońmi i coraz bardziej nasiąkając czarną zimną wodą, powoli zbliżali się do ciemnej sylwetki statku Celsusa. By związać

tratwy, pracowano gorączkowo pół nocy i ogołocono z desek i lin obie jednostki ukryte przy brzegu, w pewnej odległości od zatoki. Następnie na wszystkie pięć tratw załadowano ludzi, a miecze zawinięto szczelnie i umieszczono na drugim końcu każdej, dla przeciwwagi. Zbroi nie zabrano. Mimo całej przewagi, którą dawałaby w walce, Juliusz

uznał, że nie będzie czasu, by ją wiązać, i teraz jego ludzie trzęśli się w mokrych tunikach ledwo chroniących od nocnego wiatru.

Celsusa wyrwał ze snu nietypowy dźwięk. Czyżby wiatr się odwrócił? Zatoka była

doskonałym schronieniem, lecz przy nagłej burzy woda w przybrzeżnych kanałach mogła wezbrać i wyrwać z mulistego dna kotwicę. Pomyślał przez moment, czyby się nie przekręcić na drugi bok i nie spać dalej. Poprzedniego wieczoru dobrze przesadził z piciem, tak samo jak jego ludzie. Podrapał się i zebrał paznokciami zaschnięty na wosk tłuszcz, niewątpliwy ślad wieczornego ucztowania i pieczonego mięsa. Był pewien dwóch rzeczy: tego, że jego ludzie odsypiają nadmiar wina, i tego, że ktoś powinien sprawdzać statek co godzinę. Westchnął, wymacał w ciemnościach ubranie, marszcząc nos na zapach zwietrzałego wina i jedzenia, którym zalatywało.

- Lepiej się upewnić - mruknął sam do siebie i czując zgagę,

Rozdział XIX

pomyślał, że warto by obudzić Kaberę. Niechby mu stary przyrządził jakąś kredową papkę, to, zdaje się, pomaga.

Na zewnątrz coś stuknęło o podłogę. Odgłos padającego ciała? Celsus zmarszczył czoło, zdjął

z haka sztylet, raczej z nawyku niż z poczucia zagrożenia, otworzył drzwi i wyjrzał.

W mrokach czaił się niewyraźny cień.

- Gdzie są moje pieniądze? - wyszeptał czyjś głos.

Celsus krzyknął, zaskoczony do granic możliwości, ruszył po omacku do przodu, zaczepił o czyjeś ramię i poleciał na

podłogę. Nim uderzył o deski, zobaczył kątem oka drugi cień i czyjaś dłoń schwyciła go za włosy i mocno nim potrząsnęła. Już po mnie, pomyślał,

spodziewając się ciosu w odsłonięte plecy, ale oba cienie zniknęły. Podniósł się niezdarnie i ryknął na załogę.

Tymczasem na górnym pokładzie wrzała walka i nikt mu nie odpowiedział ani go nie

usłyszał. Jego ludzie, przepici i nie do końca rozbudzeni, przegrywali. Przeskoczył kłąb walczących i popędził na tył statku, do zbrojowni. Jeszcze mogli się oprzeć napastnikom.

Jeszcze nie wszystko było stracone.

Coś ciężkiego wyrżnęło go w kark. Celsus się zatoczył, zaplątał w czyjeś związane ciało i zwalił się na nie z suchym trzaskiem. Panująca wokół cisza była niesamowita. Nikt nie krzyczał, nie padały rozkazy; mężczyźni walczący ze sobą na śmierć i życie, za pomocą tego, co im wpadło w ręce, jedynie cicho pochrząkiwali. Spojrzał w twarz jednego ze swoich ludzi, który rozrywał paznokciami zaciągnięty wokół szyi sznur, podniósł się, otrząsnął i z sercem, w którym słabła nadzieja, ruszył dalej w ciemność.

Zbrojownię otaczali obcy. Na odgłos kroków odwrócili się do niego i światło gwiazd odbiło się we wszystkich mokrych ciałach, ale nie rozjaśniło żadnej pary oczu. Celsus podniósł

sztylet w samą porę, by zdążyć ciąć przez zaciskającą mu się na szyi żylastą pętlę czyjegoś ramienia, i ramię odpadło z głuchym jękiem. Zawirował jak szalony, wymachując ostrzem, gdy nagle cienie się rozstąpiły i jakaś pojedyncza iskra, podobna błyskawicy, oświetliła miejsce. Nim na powrót zapanowała ciemność, gorsza niż przedtem, zdążył zobaczyć lśniące białka oczu.

Juliusz zdjął dłoń z płomienia oliwnej lampy wyniesionej z ka-

biny Celsusa i herszt piratów, rozpoznając młodego legionistę, krzyknął ze zgrozą.

- Pora oddać sprawiedliwość zmarłym, Celsusie - powiedział Juliusz, podsuwając lampę pod jego przerażoną twarz. - Mamy wszystkich twoich ludzi, chociaż kilku zamknęło się pod pokładem. Na razie mogą tam siedzieć.

Celsus zamarł. Ruszyli ku niemu inni i czyjeś palce wyjęły mu sztylet z dłoni. Juliusz przysunął twarz do jego twarzy.

- Wioślarze zostaną przywiązani do ław. Twoja załoga zawiśnie na krzyżach, tak jak ci obiecałem. Żądam tego statku w imię Rzymu i w imieniu Cezara.

Celsus patrzył na niego z niemą fascynacją. Próbował zrozumieć, co się stało, ale to przekraczało jego możliwości.

Po silnym ciosie w brzuch z ręki Cezara mężczyzna czknął, poczuł żółć w gardle i osunął się jak martwy w ramiona stojących za nim mężczyzn. Ci ugięli się pod niespodziewanym

ciężarem i nim wymienili między sobą spojrzenia, Juliusz odstąpił na bok, a Celsus wyrwał

im się i rzucił na niego. Rzymianin i pirat zwarli się w uścisku i padając na podłogę, przewrócili palącą się lampę. Cała reszta, jak przystało na ludzi pływających na drewnianych okrętach, rzuciła się gasić ogień. Celsus wymierzył potężny cios mężczyźnie pod sobą i korzystając z ogólnego zamieszania, poderwał się i skoczył ku burcie, rozpaczliwie pragnąc ujść z życiem.

Stanął mu na drodze Cyron i ostrza, na które wbiegł, nawet nie dostrzegł. Zdjęty potwornym bólem spojrzał w twarz zabójcy, ale nie było tam nic poza pustką. Uszedł na zawsze, zsuwając się z miecza na pokład.

Juliusz dźwigał się powoli. Gdzieś z dołu dochodziło skrzypienie belek; jeszcze trochę, pomyślał, a jego ludzie włamią się do zamkniętych kajut i będzie po wszystkim. Uśmiechnął

się i skrzywił, czując na wargach słony smak krwi.

Po drewnianym pokładzie szedł ku niemu Kabera. Wyglądał jeszcze bardziej chudo, jeżeli to było możliwe, a w szerokim

uśmiechu brakowało jeszcze jednego zęba. Niemniej była to ta sama twarz.

- Powtarzałem im wciąż, że będą mieli z tobą do czynienia, ale oni mi nie wierzyli -

powiedział pogodnie.

f

¦^^H

Rozdział XIX

205

Juliusz, przepełniony ulgą na widok starego człowieka, wziął go w ramiona. Żadne słowa powitania nie były potrzebne.

- Chodźmy zobaczyć, co zostało z naszego okupu i czego Celsus nie roztrwonił - zawołał w końcu. - Lampy! Lampy do ładowni!

Kabera i inni ruszyli za nim w dół schodów wąskich jak drabina. Mężczyźni przepychali się między sobą, jeden bardziej ciekawy od drugiego. Straże pilnujące pirackich skarbów wciąż jeszcze nie wytrzeźwiały i dało się je wziąć w pierwszym ataku. Juliusz położył dłoń na zamkniętych drzwiach, wstrzymując z przejęcia oddech. Ładownia mogła być pusta, wiedział

o tym. Choć mogła być pełna.

Drzwi ustąpiły toporom bez większego oporu i do środka wniesiono zapalone lampy. Miejsce znajdowało się na dnie statku, pod pokładem wioślarzy, i gniewne pomruki załogi, której jedyną nagrodą za porzucenie służby Rzymowi i oddanie się pod rozkazy Celsusa stało się niewolnictwo, brzmiały w ciasnej przestrzeni jak złowrogie echo.

Juliusz westchnął. Wokół ścian ładowni, od podłogi po sufit, biegły szerokie dębowe półki.

Każda uginała się od bogactw, od skrzyń ze złotymi monetami i od stosów srebrnych sztabek, ułożonych przemyślnie, tak by się nie poddawały przechyłom statku. Juliusz potrząsnął głową z niedowierzaniem. To, co miał przed oczami, wystarczyłoby

na kupno małego królestwa w paru częściach świata. Można było oszaleć z samej troski o bezpieczeństwo takich skarbów i Juliusz wątpił, by Celsus kiedykolwiek schodził ze statku, mając tak wiele do stracenia.

Jedyną rzeczą, której Juliusz nie mógł wypatrzyć, były zwoje zleceń przekazane mu przez Mariusza krótko przed śmiercią. Wiedział od początku, że tamten zwój pergaminów nie

przedstawiał dla Celsusa żadnej wartości. Pirat nie mógł pójść do miejskiego skarbca i poprosić o wypłatę worka srebrnych denarów, żeby się przy tym nie zdradzić. Juliusz chciał

wierzyć, że nie zatonęły razem z Acci-piterem, choć strata pieniędzy po Mariuszu była niczym w porównaniu ze zdobytym złotem.

Ludzie Juliusza po prostu oniemieli i z całej reszty tylko Kabera i Gaditykus ruszyli do półek i zaczęli sprawdzać zawartość każdej

ze skrzyń. Gaditykus zatrzymał się nagle, ściągnął jedną na ziemię, wskazał na wypalonego w drewnie orła, z dziecięcym entuzjazmem rozbił pokrywę rękojeścią miecza i zanurzył dłoń we wnętrzu. To były monety. Srebrne, błyszczące, świeżo bite. Na każdej odciśnięto godło Rzymu i głowę Korneliusza Sulli. Gaditykus nabrał ich pełną garść i spojrzał na Juliusza.

- Zwracając coś takiego, możemy przywrócić dumę naszym imionom.

Juliusz zaśmiał się z hierarchii potrzeb starego legionisty.

- Kiedy zastąpimy Accipitera tym statkiem, i tak powinni nas powitać jak dawno utraconych synów. Wszyscy wiemy, że rozwija prędkość, o której większość naszych może tylko marzyć

- powiedział.

Tymczasem Kabera bezczelnie zsypywał monety w fałdę swoich dawno spłowiałych łachów, szczelnie zatkniętą za pas. Juliusz uniósł brwi z rozbawienia.

Gaditykus zaczął się śmiać i odwrócił dłoń. Kiedy srebro spłynęło z brzękiem do skrzyni, powiedział:

- Możemy płynąć do domu. W końcu możemy płynąć.

Juliusz odmówił Durusowi wcześniej obiecanego drugiego trój-rzędowca, który miał

stanowić rekompensatę za utracony ładunek. Uważał, że byłoby niemądrze uszczuplać swoje siły przed dopłynięciem do rzymskiego portu. Podczas gdy kupiec szalał z gniewu, Gaditykus odwiedził Juliusza w kajucie, która poprzednio należała do Celsusa, a teraz była

wyszorowana do białości. Młodszy mężczyzna, nie potrafiąc się zrelaksować, przemierzał ją nerwowo tam i z powrotem.

Gaditykus popijał wino i chwalił w duchu dobry smak kapitana piratów.

- Widzisz, Juliuszu, można by przybić do brzegu w Tessalonice i przekazać srebro i statek tamtemu legionowi. Następnie można by popłynąć dookoła wybrzeża czy nawet

przemaszerować na zachód, do Dyrrachium, i tam wsiąść na pierwszą lepszą jednostkę odpływającą do Rzymu. Jesteśmy już tak blisko. Durus gotów jest przysiąc, że to była uczciwa umowa, i uważa, że trzeba płacić za każde piractwo.

Rozdział XIX

-Jest jeszcze tamten żołnierz, którego Cyron zabił na nabrzeżu - powiedział Juliusz powoli, pogrążony w myślach. Gaditykus wzruszył obojętnie ramionami.

- Żołnierze umierają, i to nie jest tak, że Cyron go zabił. Człowiek po prostu miał

pecha. Za późno, by mieli teraz czegoś dochodzić. Możemy spokojnie wracać.

- Co będziesz robił potem? Zdaje mi się, że odsłużyłeś swoje lata.

- Być może. Zastanawiam się, czy moim złotem nie zapłacić senatowi za niewolników, którzy poszli na dno razem z Accipi-terem. Jeżeli tego nie zrobię, dadzą mi pierwszy lepszy okręt i znów wyślą na morze. W końcu wzięliśmy dwa pirackie statki, czego mogą nie przeoczyć.

Juliusz wstał i wziął Gaditykusa w ramiona.

- Jestem ci winien więcej niż to złoto, dobrze wiesz. Gaditykus uścisnął ramię, które go obejmowało.

- Wobec mnie nie masz żadnych długów, chłopcze. Kiedy byliśmy w tamtym cuchnącym zamknięciu… i nasi przyjaciele umierali, zastanawiałem się przez chwilę, czy nie wypada pójść w ich ślady.

- Byłeś dowódcą. Mogłeś się chronić za swoim autorytetem. Gaditykus uśmiechnął się smutno.

- Pozycja mężczyzny, który musi to robić, okazuje się nie zawsze wysoka.

-Jesteś dobrym człowiekiem, wiesz o tym sam… i doskonałym dowódcą - powiedział Juliusz, żałując, że nie znajduje lepszych słów dla przyjaciela. Wiedział, że w Gaditykusie musi tkwić rzadko spotykane męstwo, jeżeli potrafi przełknąć dumę, lecz bez tego nigdy nie byliby zdolni ocalić życia i honoru.

- No więc dobrze - powiedział. - Jeżeli chcesz, popłyniemy do Grecji i dołączymy do cywilizowanego świata.

Gaditykus się uśmiechnął.

- Co zrobisz ze swoim złotem? - spytał ostrożnie.

Tylko Swetoniusz zgłosił pretensje, kiedy Juliusz zażądał połowy dla siebie, a resztę kazał

podzielić równo. Odliczając rzymskie srebro i okupy wpłacone za dowódców Accipitera, działka każdego to wciąż były takie pieniądze, jakich nigdy nie spo-

dziewali się zobaczyć. Swetoniusz nie odezwał się do Juliusza słowem, od kiedy dostał

przyznaną sumę, lecz z całej reszty ludzi na wszystkich trzech statkach tylko on miał ponurą twarz. Cała reszta patrzyła na młodego Cezara z czymś w rodzaju respektu.

- Jeszcze nie wiem - odpowiedział Juliusz. - Jak pamiętasz, nie mogę wrócić do Rzymu.

- Sulla, tak? - Gaditykusowi stanęła przed oczami ubrudzona sadzą twarz młodego człowieka, który uchodząc z płonącego miasta, dołączył do jego załogi tuż przed wypłynięciem z Ostii.

Juliusz przytaknął posępnie.

- Nie mogę wrócić, dopóki on żyje - mruknął i nastrój mu się popsuł tak szybko, jak przedtem poprawił.

-Jesteś za młody, by się tym martwić. Kilku wrogów możesz pokonać, ale kilku musisz po prostu przeżyć. To zresztą bezpieczniejsze.

Juliusz myślał o tej rozmowie, gdy przebijali się przez głęboki przybrzeżny kanał chroniący Tessałonikę przed wiatrami od Morza Egejskiego. Trzy okręty płynęły burta w burtę, żagle łopotały i każda wolna ręka na pokładzie była zajęta szorowaniem i polerowaniem. Rozkazał

wciągnąć na każdy z trzech masztów proporce republiki i przy wejściu do portu taki widok miał podnieść rzymskiego ducha. Westchnął. Rzym był wszystkim, co znał. Tubruk, Kornelia i Marek. Jego matka. Pierwszy raz, nie wiadomo od jak dawna, zapragnął ją zobaczyć, po prostu, by powiedzieć, że zrozumiał istotę jej choroby i że ją przeprasza. Życie na wygnaniu jest nie do zniesienia, pomyślał i zadrżał lekko pod ostrzejszym podmuchem wiatru.

Gaditykus stanął przy burcie, tuż obok.

- Coś jest nie tak, chłopcze. Gdzie kupieckie statki? Gdzie wojenne okręty? Ten port powinien wrzeć życiem.

Juliusz wytężył oczy, by spojrzeć na brzeg, przybierający coraz wyraźniejsze kształty. W

powietrze wzbijały się cienkie smugi dymu, zbyt liczne jak na domowe ogniska. Kiedy podeszli bliżej, jedyne poza nimi

statki w porcie były potwornie poprzechylane i nosiły ślady ognia. Jeden wyglądał jak wypatroszona skorupa.

Rozdział XIX

209

W spienionej wodzie rozmiękłe popioły mieszały się z połamanymi szczątkami drewna.

Przy burtach stanęła reszta ludzi, w grobowym milczeniu obserwując odsłaniającą się przed ich oczami pustkę zniszczenia. Tu i tam widać było rozkładające się trupy. Szarpały je psy i powykręcane członki wiły się i podskakiwały w potwornej parodii życia.

Trzy statki zakotwiczyły w zatoce i żołnierze, nie przerywając nienaturalnej ciszy, wyszli na brzeg. Ich dłonie dotykały mieczy, choć nie padł żaden rozkaz. Juliusz poszedł za swoimi ludźmi, zleciwszy wcześniej Gaditykusowi, by trzymał statki w pogotowiu do szybkiego odwrotu. Rzymski dowódca potwierdził rozkaz kiwnięciem głowy i czym prędzej zebrał

grupkę, która miała pokierować wioślarzami.

Na wyblakłych kamieniach nabrzeża leżały rzędy kobiet i dzieci i kiedy się do nich zbliżyli, znad odkrytych wnętrzności podniosła się czarna chmura much. Mimo chłodnego wiatru od morza odór był przerażający. Większość ciał błyszczała zbrojami i to byli rzymscy legioniści.

Juliusz razem z innymi szedł wzdłuż martwych szeregów, odtwarzając w myślach przebieg wydarzeń. Wokół każdej grupy poległych stały kałuże krwi i to znaczyło, że ciała wrogów odciągnięto, by je spalić. Pozostawienie ciał Rzymian i przyzwolenie na ich rozkład było zamierzoną obrazą, aktem świadomej pogardy. Juliusz zapłonął gniewem i to samo uczucie odbiło się w oczach jego ludzi. Ruszyli z obnażonymi mieczami przez ulice miasta, płosząc i odganiając od zwłok szczury i psy. Wroga, któremu mogliby rzucić wyzwanie, nie było. Port świecił pustkami.

Juliusz spojrzał na ciało małej dziewczynki wtulonej w ramiona żołnierza. Trudno było nie zgadnąć, że żołnierz,

usiłując ratować dziecko, uciekał i że powalono go ciosem w plecy.

Oboje mieli skórę sczerniałą od słońca i wiatru, a twardniejące ciało skurczyło się i odsłoniło obojgu zęby i ciemne języki.

- Bogowie, kto to mógł zrobić? - wyszeptał Praks sam do siebie. Twarz Juliusza zastygła w nieprzeniknioną maskę.

- Dowiemy się. Ci tutaj, to moi ludzie. Oni do nas wołają, Praksie, i my im odpowiemy.

Zbierz grupę do pogrzebu. Kiedy będą w ziemi, niech Gaditykus odmówi nad nimi modlitwy.

-

Juliusz przerwał i zapatrzył się w daleki horyzont, w miedziany, zimowy krąg słońca. - Reszta ludzi niech zetnie parę drzew. Ukrzyżujemy piratów na tym wybrzeżu. To posłuży jako ostrzeżenie dla tych, którzy są odpowiedzialni za tę zbrodnię.

Praks oddał honory i pobiegł z powrotem do miejsca kotwiczenia statków, ucieszony, że zostawia za sobą odór śmierci. A także młodego dowódcę. Przeraziły go słowa Juliusza, choć zdawało mu się, że zdążył go już poznać.

Juliusz miał twarz beznamiętną, kiedy do nieobrobionych żerdzi przybijano pierwszych pięciu mężczyzn. Każdy krzyż został podciągnięty do pionu za pomocą sznurów, osadzony w ziemi i solidnie zaklinowany. Piraci krzyczeli aż do zdarcia gardeł, a potem, poza świstem wiatru, od krzyży nie dochodził żaden inny dźwięk. Spod pach i pachwin jednego ściekał krwawy pot, znacząc skórę nieprzyjemnym fioletowym ściegiem.

Ciało szóstego mężczyzny wygięło się spazmem bólu, kiedy żelazny kolec przebił mu

nadgarstek i wszedł gładko w miękką poprzeczną belkę. Mężczyzna, płacząc jak dziecko i błagając o litość, długo walczył, by nie poddać drugiego ramienia, ale koniec końców żołnierze przytrzymali je, podstawili pod uderzenie młota i następny kolec przebił drugi nadgarstek.

Zanim zdążyli dopełnić brutalnego zadania i przebić na wylot parę drżących nóg, Juliusz, powoli obnażając miecz, wystąpił do przodu. Jego ludzie zamarli, ale on minął ich jak we śnie. Zdawał się głośno myśleć.

- Dosyć tego - mruknął i wbił miecz w gardło mężczyzny. W oczach wokół niego pojawiła się ulga i Juliusz, wycierając miecz, odwrócił spojrzenie, nienawidząc własnej słabości, lecz niezdolny przyglądać się tej scenie ani chwili dłużej. - Zabić resztę szybko -rozkazał i ruszył

kamiennym nabrzeżem ku statkom. To prawda, obiecał ukrzyżować ich wszystkich, lecz rzeczywistość tchnęła brzydotą nie do zniesienia. Tamte krzyki działały na nerwy. Wstydził

się krzyków i tego, że je słyszy, i wystarczyło, by zobaczył przerażenie pierwszego krzyżowanego, a stracił wolę do oglądania reszty.

Skrzywił się, zły sam na siebie. Jego ojciec nie okazałby słaboś-

Rozdział XIX

211

ci. Reniusz ukrzyżowałby ich sam i nie przestał dobrze sypiać. Poczuł, jak policzki płoną mu wstydem. Splunął. Nie mógł zostać z ludźmi ani chwili dłużej, nie mógł się przyglądać, jednak takie nagłe odejście mogło mu zaszkodzić w ich oczach. Tę okrutną śmierć zadawali oni, ale z jego rozkazu.

Kabera odmówił pójścia z legionistami i obejrzenia egzekucji. Stał przy burcie, z głową przechyloną na jedno ramię w nie wypowiedzianym pytaniu. Juliusz popatrzył na niego i wzruszył ramionami. Stary uzdrawiacz jedną ręką poklepał go po plecach, w drugiej trzymał

amforę z winem.

- Dobry pomysł - powiedział Juliusz chłodno, myśląc o czym innym. - A nie przyniósłbyś więcej? Nie chcę mieć dzisiaj żadnych snów.

ROZDZIAŁ XX

i ylko kilka portowych budynków miało dachy i ściany na tyle bezpieczne, by nadawały się dla ludzi Juliusza. Zbyt wiele innych spłonęło i teraz straszyły czarnymi szkieletami murów.

Krążąc między nabrzeżem a trzema statkami, Juliusz wysłał ludzi, by przeszukali okolicę i zdobyli jakieś zapasy. Chociaż Celsus zgromadził dość, by móc przetrwać zimę, prowadzący aktywne życie żołnierze potrzebowali znacznie więcej.

Legioniści zachowywali się ostrożnie, nie chodzili pojedynczo i spodziewali się ataku za każdym rogiem. Nawet kiedy uprzątnięto ciała, port pozostał cichym, przygnębiającym miejscem i ludzie żyli z myślą, że ci, co zniszczyli spokojną rzymską osadę, mogą być gdzieś w pobliżu albo mogą wrócić.

Znaleźli tylko jednego żywego człowieka. Miał na nodze brzydką ranę i zakażenie

najwyraźniej postępowało w zastraszającym tempie. Usiłował zabić szczura, który podszedł

zbyt blisko, zwabiony zapachem krwi, i w chwili, gdy podnosił kamień na zwierzę, zobaczyli się nawzajem. Mężczyzna krzyknął z przerażenia, a ludzie Juliusza chwycili go pod ręce i wyciągnęli z ruin. Po wielu dniach w ciemności nie mógł patrzeć nawet na blade światło i choć się nie wyrywał, bełkotał coś niezrozumiale przez całą drogę na statek.

Gdy Juliusz zobaczył spuchniętą nogę, natychmiast przywołał Kaberę, choć przypuszczał, że sprawa jest przesądzona. Któryś z ludzi, powodowany litością, przechylił kubek z wodą do zaschniętych w twardą skorupę ust i mężczyzna załkał bez łez.

Kabera tymczasem zbadał opuchliznę długimi starczymi palcami i potrząsnął głową. Stanął

przy Juliuszu.

- Trucizna sięgnęła pachwiny. Za późno na odjęcie nogi. Spróbuję złagodzić ból, ale nie zostało mu wiele czasu.

- Czy nie możesz… położyć na nim rąk?

- Doszedł za daleko. Już nie powinien żyć.

Juliusz pokiwał głową z gorzką rezygnacją. Wyjął kubek z rąk żołnierza i pomógł mężczyźnie utrzymać go samemu. Kościste palce trzęsły się, rozpalone gorączką.

- Czy rozumiesz mnie?

Mężczyzna, przełykając wodę, usiłował kiwnąć głową, lecz zakrztusił się i zaniósł suchym kaszlem. Twarz mu poczerwieniała z nadmiernego wysiłku.

- Czy możesz mi powiedzieć, co tu się wydarzyło? - nalegał Juliusz, pragnąc, by mężczyzna odzyskał oddech.

W końcu kaszel ustał i mężczyzna, wyczerpany, opuścił głowę na piersi.

- Zabili wszystkich. Cała ziemia stoi w płomieniach - szepnął.

- Rebelia? - podpowiedział szybko Juliusz. Spodziewał się, że to będą jacyś obcy najeźdźcy, którzy napadają na przybrzeżne miasta, siejąc zniszczenie, i wracają na swoje statki. To zdarzało się w tej części świata aż za często.

Mężczyzna przytaknął, wskazując drżącymi palcami na naczynie z wodą. Juliusz przysunął

kubek do jego ust i mężczyzna natychmiast go opróżnił.

- To był Mitrydates - wychrypiał. - Kiedy Sulla umarł, zebrał ich… - mówiący znów się zakrztusił.

Juliusz znieruchomiał. Po chwili opuścił duszne od niezdrowych wyziewów pomieszczenie i wyszedł na pokład. Sulla umarł?! Ścisnął krawędź burty, aż mu zbielały ręce, i trwał tak przez długą chwilę. Miał nadzieję, że agonia człowieka, który pozbawił Rzym Mariusza, była powolna.

Czasami, wzburzony, wyobrażał sobie, jak wraca do Rzymu, prowadząc nowe oddziały,

bogaty i dość silny, aby pokonać Sullę i wziąć odwet za Mariusza. Ale to były puste mrzonki i dziecinne marzenia, wiedział o tym dobrze, choć wiedział też, że to one pomogły mu przetrwać koszmar zamknięcia pod pokładem piratów.

U schyłku dnia Juliusz rzucił się w wir tysiąca obowiązków, związanych głównie z

zabezpieczeniem portu. Organizowanie zaopatrzenia i zakwaterowania żołnierzy dawało mu jakieś zajęcie, lecz myślami wciąż krążył wokół ostatnich słów umierającego mężczyzny; jak przez mgłę słyszał własny głos, rzucający rozkaz za rozkazem, a twarze ludzi, którzy je wypełniali, rozmywały się w niewyraźne plamy. Śmierć Sulli wydrążyła dziurę w jego przyszłości, pustkę, która kpiła z jego wysiłków.

Kupiec Durus znalazł go przy zatrutej studni. Najeźdźcy dość powszechnie zanieczyszczali miejscową wodę przez wrzucanie do niej zdechłych zwierząt, i Juliusz, odrętwiały i krztuszący się obrzydliwym fetorem, wyciągał wspólnie z trzema legionistami oślizłe kurze szczątki.

- Muszę z tobą porozmawiać, panie - powiedział Durus. Zdawało się, że Juliusz go nie słyszy, kupiec powtórzył więc

żądanie głośniej. Juliusz westchnął, odłożył zakończony pętlą sznur i wycierając ręce o tunikę, podszedł do niego. Nagle Durus zdał sobie sprawę, że ten człowiek jest bardzo młody.

Przy zmęczeniu, które pozbawiało go wewnętrznego żaru, wyglądał niemal na przegranego.

Kupiec odchrząknął.

- Chciałbym odpłynąć na moich dwóch tryremach, panie. Złożyłem swój podpis pod

dokumentem mówiącym, że wynająłeś Ventulusa, aby pochwycić piratów. Pora mi wracać do rodziny i do własnych spraw.

Juliusz spojrzał na niego uważnie i nic nie powiedział. Po chwili Durus zaczął od początku.

- Umowa była taka, panie, że po odnalezieniu Celsusa zwrócisz mi mój statek, a za utracony ładunek dołożysz drugą tryremę. Ja się nie skarżę, ale pora, żebyś nakazał swoim ludziom opuścić mój statek. Mnie oni nie posłuchają, panie.

Juliuszem szarpnął gniew. Nigdy dotąd nie stanął przed taką próbą i nie mógł wiedzieć, ile trudu wymaga zachowanie choćby pozorów honoru. Obiecał Durusowi obie tryremy, to

prawda, ale to było kiedyś. Teraz kotwiczyli w zrównanym z ziemią greckim porcie. Więc czego ten człowiek się spodziewa? Żołnierski instynkt podpowiadał mu, że powinien

stanowczo odmówić. Jak mógł myśleć o pozbyciu się swoich dwóch najcenniejszych na-

bytków, kiedy Mitrydates niszczy na ziemi greckiej wszystko, co rzymskie?

- Chodź ze mną - powiedział, mijając go szybkim krokiem, i Durus musiał biec, żeby się z nim zrównać.

Juliusz zmierzał prosto na nabrzeże, ku trzem kołyszącym się łagodnie statkom. Jego straże oddały honory, kiedy się zbliżył. Juliusz odwzajemnił je i nagle zatrzymał się nad samą wodą, na wprost kotwiczących jednostek.

- Nie chcę, żebyś popłynął do domu - powiedział krótko. Durus poczerwieniał.

- Dałeś mi słowo, że tak będzie, jak tylko schwytasz Celsusa - warknął.

Juliusz odwrócił się ku niemu. Na widok jego twarzy Durus cicho przełknął ślinę.

- Nie musisz mi przypominać, kupcze. Nie zatrzymam cię. Jednak Rzym potrzebuje twoich statków. - Yentulus i dwie pirackie tryremy podnosiły się i opadały na brudnych wodach tym samym powolnym rytmem. Juliusz myślał długo, wpatrując się w nie pociemniałymi oczami. - Chcę, żebyś popłynął dookoła wybrzeża tak prędko, jak potrafisz, i żebyś znalazł po zachodniej stronie rzymski port, wykorzystywany

przez rzymskie legiony. Przekażesz legionowi srebro, w moim imieniu… i w imieniu dowódcy Acci-pitera, Gaditykusa.

Przypuszczam, że wyprawią cię natychmiast do Rzymu, po większą grupę żołnierzy. Dla ciebie to żaden zysk, ale pirackie tryremy są szybkie, a legionom przyda się wszystko, co potrafi pływać.

Durus zdumiony przestępował z nogi na nogę.

- Jestem spóźniony o całe miesiące. Moja rodzina i wierzyciele już i tak myślą, że nie żyję -

powiedział, grając na zwłokę.

- Rzymianie nie żyją, Rzymianie, rozumiesz?! Nie widziałeś zwłok? Bogowie, proszę cię o przysługę dla miasta, które cię zrodziło i wychowało. Nie walczyłeś za nie nigdy, jak długo żyjesz, i nie przelewałeś dla niego własnej krwi. Zatem daję ci sposobność, byś spłacił

swój dług.

Durus byłby się uśmiechnął na takie słowa, gdyby nie poważna mina młodego mężczyzny.

Ciekawe, pomyślał, co by jego rzymscy przyjaciele sądzili o tym żołnierzu. Sprawiał

wrażenie kogoś, kto

się nigdy nie zetknął z żebrakami, szczurami i chorobami. Durus uzmysłowił sobie, że Juliusz wierzy w Rzym bardziej niż on, i przez chwilę poczuł się zawstydzony.

- Skąd wiesz, że nie ucieknę z pieniędzmi do Italii i do domu? - spytał.

Juliusz zasępił się, po czym zmierzył kupca lodowatym spojrzeniem.

- Bo jeżeli to zrobisz, będę twoim wrogiem, a wiesz dostatecznie dobrze, że znajdę cię i zniszczę, nie wcześniej, to później.

Słowa zabrzmiały zdawkowo, lecz po tym, jak Durus przyglądał się egzekucjom i widział

Celsusa wyrzucanego za burtę własnego okrętu, szczelniej owinął się płaszczem przed chłodnym wiatrem.

- Niech ci będzie. Zrobię, jak mówisz, choć przeklinam dzień, kiedy pierwszy raz wszedłeś na pokład Ventulusa - powiedział przez zaciśnięte zęby.

Juliusz krzyknął do straży na dziobach dwóch statków.

- Moi ludzie na brzeg!

Żołnierze trzasnęli butami i zniknęli, by sprowadzić innych. Durus poczuł, że z nagłej ulgi zakręciło mu się w głowie.

- Dziękuję - powiedział.

Juliusz ruszył w stronę portowych składów, ale zatrzymał się jeszcze. Za nim, tam gdzie kamienne nabrzeże graniczyło z surową ziemią, na krzyżach wisiało pięciu ludzi.

- Nie zapomnij tego widoku - warknął, odwrócił się do kupca plecami i odszedł.

Durus wątpił, czy byłoby to możliwe.

Kiedy zapadła noc, ludzie zebrali się w najlepszym z portowych składów. Jedna ze ścian była nadpalona, ale ogień budynku nie zabrał. Poza ostrym swądem w powietrzu miejsce było ciepłe i suche. Na zewnątrz zaczęło padać i o drewniany dach rozdzwoniły się krople.

Lampy oliwne przyniesiono ze statku Celsusa, lecz wiadomo było, że kiedyś się wypalą i że przyjdzie szukać zapasów w ziejących pustką, opuszczonych domach. Jakby chcąc

przygotować żołnierzy na ten moment, płomienie powoli zaczynały przygasać i ledwo

oświetlały pustą przestrzeń czterech ścian. Ziarno zboża,

rozsypane przez grabieżców, zaśmiecało podłogę. Żołnierze siedzieli na porozrywanych workach, moszcząc się jak

najwygodniej.

Gaditykus podniósł się, aby przemówić do bezładnej gromady mężczyzn. Większość

pracowała cały dzień; jedni naprawiali dach, inni krążyli między statkami i przenosili zapasy z tych, które miały odpłynąć z poranną falą.

- Pora rozważyć przyszłość, panowie. Przed powrotem do domu chciałem chwilę odpocząć w jakimś bezpiecznym rzymskim porcie. Niestety grecki król dokonał rzezi na naszych

żołnierzach. Coś takiego nie może ujść bezkarnie.

Przez szeregi żołnierzy przeszedł głuchy pomruk, choć trudno było rozsądzić, czy na potwierdzenie słów dowódcy, czy z rozczarowania. Juliusz popatrzył na nich, siadając obok Gaditykusa. Byli jego ludźmi. Gonił od miesięcy po lądzie i morzu za jednym jedynym celem

- znaleźć i zabić Celsusa - i niewiele myślał, co będzie potem, wyjąwszy mgliste marzenie o dniu konfrontacji z dyktatorem Rzymu. Gdyby przyprowadził legionowi nową centurię, senat musiałby uznać jego autorytet i potwierdzić to oficjalnym stanowiskiem.

Skrzywił się, skryty bezpiecznie w cieniu. Albo i nie: senat złożyłby dowodzenie w ręce Gaditykusa, a jemu dostałaby się jedynie dwudziestka ludzi. Senat nie był instytucją zdolną uznać jego niezwykłą władzę nad przypadkową zbieraniną mężczyzn, choć nowe bogactwo mogło mu dać wpływy, tylko musiałby się nim mądrze posłużyć. Ciekawe, czy zadowoliłby się stopniem centuriona, pomyślał i uśmiechnął się do siebie, podczas gdy ludzie wpatrywali się w Gaditykusa. Odpowiedź była prosta. Już wiedział, że nie ma nic piękniejszego, niż dowodzić innymi, i nie ma większego wyzwania niż zdanie się na samego siebie. W

najtrudniejszych chwilach patrzyli na niego i to on wskazywał im drogę i podpowiadał

następny krok. To prawda, nie ma nic łatwiejszego niż bezmyślnie iść za kimś, ale też prawda, że to mniej niż połowa

satysfakcji. Czasem, ulotną myślą, tęsknił za takim bezpieczeństwem, za zwykłą przyjemnością wtopienia się między innych. Lecz jego serce pragnęło podniecającego przemieszania strachu i niebezpieczeństwa, czegoś, co jest przypisane jedynie dowódcy.

Jak Sulla mógł nie żyć? Ta myśl wracała raz za razem i dręczyła

go nieustannie. Tamten nieszczęśnik nie wiedział nic poza tym, że żołnierzom nakazano nosić czerń przez cały rok. Kiedy stracił przytomność, Juliusz zostawił go w rękach Kabery, i o zachodzie słońca serce w końcu odmówiło mu posłuszeństwa. Juliusz rozkazał pogrzebać go obok innych Rzymian i teraz ogarnął go wstyd, że nawet nie spytał mężczyzny o imię.

- Juliuszu? Czy chcesz do nich przemówić?

Głos Gaditykusa przywołał go rzeczywistości. Juliusz aż podskoczył i poczuł się zmieszany, że nie słyszał nic, co powiedział żołnierzom starszy dowódca. Wstał, zbierając myśli.

- Wiem, że większość z was miała nadzieję zobaczyć Rzym, i tak się stanie. Moje miasto jest dziwnym miejscem: marmury i marzenia, zrodzone z siły legionów. Każdy legionista jest związany przysięgą, by bronić naszych ludzi, gdziekolwiek się znajdują. Każdy Rzymianin

ma prawo powiedzieć: Jestem obywatelem Rzymu" i ma mu to zapewniać nasza opieka i nasz autorytet.

Spojrzenia zebranych zawisły na nim. Po krótkiej przerwie pod-jął:

- Ale wy nie złożyliście takiej przysięgi i nie mogę was zmusić do walki o miasto, którego żaden nie widział. Macie więcej bogactw, niż większość żołnierzy zobaczy przez dziesięć lat.

Musicie dokonać wolnego wyboru… służba pod przysięgą albo każdy idzie w swoją stronę.

Odejdziecie jako nasi przyjaciele. Walczyliśmy razem i niektórym nie dane było dopłynąć aż dotąd. Dla niektórych to miejsce to o jeden port za daleko. Jeżeli zostaniecie, oddam skarb Celsusa pod opiekę kupca Durusa, z którym się spotkamy na zachodnim wybrzeżu, kiedy Mitrydates zostanie pokonany.

Juliusz przerwał i mroczne pomieszczenie ponownie wypełniły pomruki głosów.

- Czy możesz zawierzyć Durusowi? - spytał Gaditykus. Juliusz myślał przez chwilę, po czym potrząsnął głową.

- Nie przy takiej ilości złota. Przydzielę mu Praksa, by dbał

0 jego uczciwość. - Odnalazł wzrokiem starego zastępcę i ucieszył się na niemy znak zgody.

Mając to za sobą, wziął głęboki oddech

1 rozejrzał się po twarzach siedzących mężczyzn. Mógł nazwać z imienia wszystkich. - Czy złożycie legionową przysięgę i oddacie się pod moje dowództwo?

Rozdział XX

Z piersi żołnierzy podniósł się jeden zgodny ryk. Gaditykus pochylił się do ucha Juliusza.

Szepnął chrapliwie:

- Bogowie, człowieku. Senat wyrwie mi jądra, jeżeli na to pozwolę.

- Zatem wyjdź stąd i na czas kiedy będę odbierał przysięgę, dołącz na statku do Swetoniusza.

Gaditykus zmierzył go chłodnym okiem.

- Właśnie się zastanawiałem, dlaczego go tam zostawiłeś. Ale już rozumiem. Ten człowiek, cokolwiek by przysiągł, niczego nie dotrzyma. Lecz czy ty, poza sprawą przysięgi,

przemyślałeś i to, dokąd ich poprowadzisz?

- Przemyślałem. Zamierzam zebrać armię i poprowadzić ich prosto ku gardłu Mitrydatesa.

Wyciągnął dłoń. Gaditykus wahał się chwilę, potem wziął ją w krótki uścisk, który prawie Juliusza zabolał.

- Zatem pójdziemy tą samą ścieżką - powiedział Juliusz. Uniósł ramiona, by uspokoić wrzenie, i natychmiast zapadła

cisza. Uśmiechnął się, a jego głos zabrzmiał dobitnie.

- Nigdy w was nie wątpiłem. Ani przez moment. Teraz wstańcie i powtarzajcie słowa

przysięgi.

Poderwali się jak jeden i stanęli na baczność, podnosząc głowy i prostując plecy.

Juliusz popatrzył po nich i wiedział, że musi iść dalej raz obranym kursem. Nie słyszał w sobie żadnego głosu nakazującego odwrót, lecz wraz z przysięgą jego życie miało się zmienić i trwać w tej zmianie, aż Mitrydates polegnie.

Wypowiedział słowa, których nauczył go ojciec, kiedy świat był prosty.

-Jowiszu Zwycięzco, wysłuchaj tej przysięgi. Przyrzekamy oddać nasze siły, naszą krew, nasze życie Rzymowi. Nie zawrócimy. Nie załamiemy się. Niczym nam będzie ból czy

cierpienie. Dopóki słońca na niebie, od teraz aż do końca świata będziemy trwać przy Rzymie pod dowództwem Cezara.

Wyskandowali przysięgę słowo po słowie, głosami czystymi i pewnymi.

ROZDZIAŁ XXI

Aleksandria przyglądała się ukradkiem, jak Tabbik cichym, jednostajnym głosem udziela praktycznych wskazówek Oktawianowi i jak każdemu słowu towarzyszy gest silnych dłoni.

Przed starym człowiekiem i małym chłopcem leżał prostokąt skóry, a na nim kawałek grubego złotego drutu, ujętego na końcach w drewniane zaciski, i Tabbik pokazywał, jak należy

się posługiwać znacznikiem, wąskim drewnianym klockiem z drobnymi ząbkami.

- Złoto to najbardziej miękki metal, chłopcze. By zrobić w nim wzór, musisz jedynie naciskać delikatnie to narzędzie, trzymając rękę bardzo prosto, tak jak ci pokazałem. Spróbuj.

Oktawian powoli opuścił klocek i drewniane ząbki spoczęły na krucho wyglądającym

kawałku drogocennego materiału.

- Właśnie tak, a teraz naciśnij odrobinę mocniej. O tak, tak, jeszcze raz, i jeszcze. A teraz zobaczmy.

Oktawian podniósł klocek i aż się rozpromienił na widok regularnych rządków wybrzuszeń.

Tabbik przyjrzał się i kiwnął głową.

- Masz lekką rękę, chłopcze. To dobrze. Naciskając mocniej, przerwałbyś drut i musiałbyś zaczynać od początku. Teraz zdejmę zaciski i odwrócę drut. Dokończysz punktowanie.

Tym razem obsadzaj klocek ostrożnie i najdelikatniej jak potrafisz. Spoiny będą tak cienkie jak włosy na twojej głowie.

Tabbik, prostując plecy obolałe od nachylania się nad niskim stołem, który zrobił specjalnie dla Oktawiana, podchwycił spojrzenie Aleksandrii. Mrugnęła do niego, a on lekko się zaczerwienił i chrząknął, by ukryć uśmiech. Potrzebował sporo czasu, by po-Rozdział XXI

zbyć się pewnej dozy nieufności do małego złodziejaszka, lecz Aleksandria wiedziała, że lekcje z Oktawianem zaczynają go cieszyć. Tabbik lubił uczyć, wiedziała to z własnego doświadczenia. Oktawian zaklął i ze smutną miną odłożył na bok drewniany klocek. Drut nie wytrzymał pod jego ręką, pękł na trzy kawałki. Tabbik uniósł brwi i potrząsnął głową, zbierając ostrożnie złoto, aby stopić je i uformować drut raz jeszcze.

- Spróbujemy później albo jutro. Tym razem prawie ci się udało. Potem, kiedy potrafisz oznakować cały drut, pokażę ci, jak umocować go wokół jednej z zapinek Aleksandrii.

Oktawian wyglądał na przybitego i Aleksandria wstrzymała oddech, czekając na gwałtowny wybuch złości, czym chłopiec uprzykrzał im życie przez pierwsze tygodnie. Kiedy to nie nastąpiło, odetchnęła z ulgą.

- W porządku. Czemu nie - mruknął mały.

Tabbik odwrócił się od niego i zaczął grzebać pośród ozdób, które miały być odniesione ich właścicielom.

- Mam dla ciebie inne zadanie - powiedział, podając mu skórzany, złożony i obwiązany rzemykiem woreczek. - W środku jest naprawiony srebrny pierścień. Chcę, żebyś pobiegł na targ bydlęcy i spytał o pana Getusa. Pośredniczy w każdej sprzedaży, więc nietrudno go znaleźć. Powinien dać ci sestercję. Weźmiesz monetę i przybiegniesz prosto tutaj, nie zatrzymując się nigdzie. Zrozumiałeś? Wierzę ci. Jeżeli stracisz pierścień albo monetę, między nami koniec.

¦ Aleksandria zaśmiała się głośno na widok przejętej twarzy chłopca. Taka groźba mogła niewiele znaczyć w pierwszych tygodniach terminowania. Oktawian nie przejąłby się, gdyby go znów puszczono samopas. Chłopiec bronił się z całych sił przeciw połączonym siłom matki, Tabbika i Aleksandrii. Dwa razy musiała przeszukiwać okoliczne targi i za drugim razem zaciągnęła go do kwartału niewolników, aby go postraszyć. Potem już nie uciekał, lecz sposępniał i Aleksandria bała się, że tak już będzie na stałe. Zmiana nastąpiła w czwartym tygodniu pracy, kiedy Tabbik mu pokazał, jak zrobić wzór na srebrze za pomocą maleńkich kropelek roztopionego metalu. Chociaż chłopiec przez nadmierną ciekawość oparzył sobie kciuk, sam proces go zafascynował. Tamtego

wieczoru zapomniał o kolacji i został, żeby zobaczyć, jak gotowy przedmiot będzie wyglądał

po wypolerowaniu. W sklepiku zjawiła się Acja, najwyraźniej z przeprosinami, i zaniemówiła

- drobna figurka wciąż się pochylała przy pracy, ramię w ramię ze starym rzemieślnikiem.

Następnego ranka ubranie Aleksandrii było wyczyszczone i pocerowane. Inne podziękowania tak z jednej, jak i z drugiej strony nie były konieczne. Chociaż Acja i Aleksandria widywały się tylko przez ostatnie, krótkie godziny dnia, te dwie powściągliwe kobiety, pracujące tak ciężko, że nie uzmysławiały sobie, że są samotne, połączyła prawdziwa przyjaźń.

Oktawian pogwizdywał, idąc przez tłum. W godzinach, kiedy przyprowadzano zwierzęta na licytację i do rzeźni, targ bydlęcy był miejscem ruchliwym, bogatym w ciepłe zapachy nawozu i krwi. Każdy zdawał się krzyczeć do każdego i kiedy głosy tonęły w ogólnej wrzawie, licytujący wykonywali skomplikowane ruchy dłońmi, zrozumiałe tylko dla

zainteresowanych.

Chłopiec rozglądał się za którymś ze sprzedających, aby spytać o Getusa. Chciał przekazać naprawiony pierścień i wrócić szybciej, niż dorośli mogliby uwierzyć. Poddając się płynącej fali ludzi, już sobie wyobrażał zdziwienie i radość Tabbika.

Nagle jakaś ręka schwyciła go za kark i mały chłopiec zawisnął w powietrzu.

- Próbujesz ukraść komuś krowę, tak? - zabrzmiał mu przy uchu nieprzyjemny, nosowy głos.

Oktawian szarpnął głową i aż jęknął, widząc, że wpadł w ręce zwalistego chłopca od rzeźnika, z którym do niedawna ciągle miewał zatargi. O czym on myślał? Dlaczego postąpił

jak głupiec? Dlaczego nie zachował zwykłej ostrożności, dlaczego pozwolił, by te sępy złapały go bez najmniejszego wysiłku?

- Puść mnie! Ratunku! - wrzasnął.

Starszy chłopiec zdzielił go przez nos. Popłynęła krew.

- Zamknij się, ty. Tak czy owak jestem ci winien lanie. Kiedy ostatnim razem udało ci się uciec, dostałem baty. - Wokół szyi

Oktawiana owinęło się krzepkie ramię i napastnik ruszył

przez tłum ze swoją ofiarą. Chłopiec usiłował się wyrwać, ale bez skutku, a w zgiełku i ogólnym zamieszaniu nikt nawet nie spojrzał w jego stronę.

Rozdział XXI

223

Z boku targowiska czekało na nich trzech innych chłopców, uczniów rzeźnika. Wszyscy, ciężko pracując od dzieciństwa, byli wyrośnięci i długoręcy. Mieli na sobie poplamione świeżą krwią fartuchy i Oktawian omal nie zemdlał ze strachu na widok ich okrutnych twarzy. Chłopcy, popychając go i szydząc, skręcili za najbliższy róg i przystanęli w mrocznym zaułku, odciętym od gwaru ludzi i porykiwania zwierząt wysokimi ścianami

domów czynszowych.

Napastnicy cisnęli Oktawiana na lepki grunt, zalegający od lat grubymi warstwami śmieci i ludzkich odchodów, wyrzucanych wprost z okien. Oktawian poderwał się do ucieczki, ale któryś z nich zagrodził mu drogę i jednym silnym uderzeniem pięści odesłał na poprzednie miejsce. Chłopiec krzyknął z bólu. Do pierwszego dołączyli dwaj inni, kopiąc leżącą drobną postać gdzie popadło.

Po minucie, ciężko dysząc, oparli dłonie o kolana. Oktawian, ledwo przytomny, zwinięty w ciasny kłębek nieszczęścia, niewiele się różnił od tego, na czym leżał.

Jeden z chłopców od rzeźnika wykrzywił usta w szyderczym grymasie, podniósł pięść i widząc, jak Oktawian mimo woli wtula głowę w ramiona, zaśmiał się prostacko.

- Dobrze ci tak, ty mały śmieciu. Pomyślisz dwa razy, nim znów coś ukradniesz, tak czy nie?

Przymierzył się dobrze, kopnął Oktawiana w twarz i kiedy głowa chłopca odskoczyła do tyłu, wrzasnął z uciechy. Chłopiec opadł bezwładnie, z twarzą na pół wciśniętą w błoto, i stracił

przytomność. Nie czuł palców, które go przeszukiwały, i nie słyszał zwycięskiego okrzyku, kiedy jeden z trójki wymacał woreczek ze srebrnym pierścieniem.

Chłopiec od rzeźnika cicho gwizdnął: w srebrnej obrączce, osadzony w drobniutkich

srebrnych pazurkach tkwił ciężki nefryt.

- Ciekawe, komu to ukradł? - powiedział, patrząc na leżącą plackiem drobną figurkę, po czym każdy z trzech kopnął chłopca raz jeszcze, w imieniu właściciela pierścienia, i wszyscy trzej wrócili na targ, nie do pojęcia ucieszeni nieoczekiwanym uśmiechem fortuny.

Oktawian, na zmianę wymiotując i plując lepkimi nitkami ciemnej krwi, długo wracał do przytomności. Z całkowitego odrętwie-224

nia wyrwała go myśl o pierścieniu. Sięgnął do zanadrza, a potem zaczął grzebać w śmieciach wokół siebie, ale pierścienia nie było. Chłopiec się rozpłakał. Rozmazując po policzkach łzy, brud i zaschniętą krew, wrócił na główną ulicę i aż zmrużył oczy przed ostrym światłem.

Wciąż płacząc, zrozpaczony i bezradny, powlókł się na niepewnych nogach do sklepiku Tabbika.

Tabbik niecierpliwie tupał nogą o drewnianą podłogę, marszcząc czoło, ściągając brwi i krzywiąc w złości twarz.

- Na podziemne moce, ja tego szczeniaka zabiję. Powinien tu być wieki temu.

- Powtarzasz to od godziny, Tabbiku. Chłopiec po prostu się spóźnia albo nie może znaleźć pana Getusa - odpowiedziała Aleksandria, kryjąc własne zdenerwowanie.

Tabbik walnął pięścią w stół.

- Albo sprzedał pierścień i uciekł, co bardziej prawdopodobne! - warknął. - Będę musiał

zrobić drugi taki sam. No i ten nefryt, sama wiesz. Jak nic przyjdzie mi ślęczeć nad tym stołem cały dzień i stracę prawie

aureusa w materiale. Już słyszę, jak Getus się zaklina, że dostał pierścień od umierającej matki, i jak żąda dodatkowej rekompensaty. Gdzie ten chłopiec?!

Grube drewniane drzwi otworzyły się cicho, wpuszczając do środka gęsty tuman kurzu. W

drzwiach stał Oktawian. Tabbik objął spojrzeniem siniaki i porwaną tunikę i zapominając o całym gniewie, przyskoczył do chłopca.

- Przepraszam - wyjąkał mały, dając się poprowadzić Tabbikowi w głąb pomieszczenia. -

Próbowałem bić się z nimi, ale ich było trzech, a nikt mi nie pomógł.

Brązownik obmacał chłopcu żebra, sprawdzając, czy są całe, po czym odchrząknął i syknął

przez zaciśnięte zęby.

- Niezła robota. Możesz oddychać? Oktawian wytarł wierzchem dłoni siąpiący nos.

- Nic mi nie jest. Wróciłem tak szybko, jak mogłem. Nie widziałem ich w tłumie. Zwykle się za nimi rozglądam, ale dzisiaj się spieszyłem i…

Chłopcu głos się załamał. Aleksandria objęła go mocno i skarciła wzrokiem Tabbika.

Rozdział XXI

- Daj spokój, Tabbiku. Nie pora na przepytywania. Oktawian musi przyjść do siebie i odpocząć.

Tabbik się odsunął, a ona poprowadziła chłopca na zaplecze i dalej, do mieszkania nad sklepem. Tabbik westchnął, podrapał się po szczeciniastym zaroście, który mu urósł od porannego golenia, potrząsnął parę razy głową i zaczął przebierać w narzędziach. Musiał

odtworzyć tamten pierścień.

Pracował w ciszy i skupieniu przez kilka minut, po czym odwrócił się i popatrzył na wąskie schody na górę.

- Muszę ci zrobić porządny nóż, mój chłopcze - mruknął pod nosem i nim wrócił do swoich narzędzi, dodał: - A także nauczyć, jak się nim posługuje.

Brutus stał na Polu Marsowym z proporcem Pierworodnych zatkniętym w ziemię. Ucieszył

się, widząc, że kilka innych nowo formujących się legionów zatyka proporce płócienne, podczas gdy dla niego wydobyto Mariuszowego metalowego orła. Złoto nabite na miedź

odbijało poranne słońce i miał nadzieję, że przyciągnie swoim blaskiem więcej niż kilku chłopców, którzy gromadzili się na polu od świtu albo i wcześniej. Nie wszyscy powiększą szeregi rzymskiej armii. Niektórzy przyszli jedynie popatrzeć i dla tych sprzedawcy rozstawili stragany jeszcze przed pierwszym brzaskiem. Teraz w powietrzu unosił się smakowity zapach opiekanego mięsa i jarzyn. Brutus poczuł głód. Podzwaniając sakiewką i popatrując po tłumie wokół rzędu proporców, postanowił coś przekąsić.

Przypuszczał, że wszystko pójdzie łatwiej. Reniusz wyglądał jak prawdziwy stary rzymski lew, a dziesiątka mężczyzn, których obaj ze sobą przyprowadzili, w nowych zbrojach wypolerowanych i wybłyszczonych ku podziwowi tłumu, robiła imponujące wrażenie. A

mimo to Brutus był zmuszony patrzeć, jak setki młodych Rzymian wpisują się na listę legionistów, ale żaden nie podchodzi do jego stanowiska. Parę razy ci i tamci przystanęli, wskazując na złotego orła i poszeptując między sobą, po czym ruszali dalej. Kusiło go, by pochwycić za łokieć jednego czy dwóch młodzieńców i dowiedzieć się, co mieliby do

powiedzenia, ale się powstrzymał. Zbliżało się południe, tłumy się przerzedziły, a orzeł

Pierworodnych był jedynym proporcem, który nie tonął w przypływie nowego pokolenia.

Brutus zazgrzytał zębami. Ci, którzy już dołączyli, mogli przyciągnąć do tamtych orłów następnych. Tymczasem, jak sobie wyobrażał, ludzie pytają, co jest nie tak z Pierworodnymi, że do nich nie dołącza ani jeden. Usta zakrywane dłońmi i szepty, szepty z dziecinnym podnieceniem o zdradzieckim legionie. Odchrząknął i splunął na piaszczysty grunt. Zapisy trwały do wieczora i można było jedynie stać i czekać do końca, z nadzieją zdobycia kilku najbardziej opieszałych, przy mniej wyraźnym świetle. Poczerwieniał ze zmieszania.

Wiedział, że gdyby Mariusz tu był, chodziłby między młodymi ludźmi, nakłaniając, żartując i przekonując ich do dołączenia do legionu. Oczywiście wtedy był legion, by do niego dołączyć.

Brutus wrócił do posępnego szacowania tłumów, żałując, że nie umie się z nimi dogadać.

Trzej młodzi ludzie zmierzali ku jego proporcowi i uśmiechnął się do nich tak zachęcająco, jak potrafił.

- Pierworodni, tak? - spytał jeden.

Brutus obserwował, jak dwaj inni kryją uśmiechy. Przyszli tu dla zabawy, to jasne. Przez krótką chwilę rozważał możliwość stuknięcia tych dwóch głowami, lecz widząc na sobie oczy swojej dziesiątki, zapanował nad wzburzeniem. Czuł niemal, że stojący obok Reniusz sztywnieje, lecz nadal zachowuje spokój.

- Byliśmy legionem Mariusza, konsula Rzymu - powiedział - zwyciężaliśmy w Afryce i

wszędzie, dokąd sięga Rzym. Za ludźmi, którzy do nas dołączą, stanie chlubna historia.

- Ile płacisz? - spytał szyderczym tonem najwyższy.

Brutus zagryzł wargi. Wiedział, że senat ustanowił taki sam żołd dla wszystkich legionów.

Mając za sobą Krassusa, chętnie zaofiarowałby więcej, lecz limit był po to, by udaremnić bogatym sponsorom podkopywanie całego systemu.

- Siedemdziesiąt pięć denarów, tak samo jak inni.

- Więc Pierworodni, tak? A czy to nie ci sami, którzy zniszczyli miasto? - zapytał wysoki, jakby go nagle olśniło. Odwrócił się do szczerzących zęby przyjaciół, którzy mu najwyraźniej przyklaskiwali.

- Ależ tak, oczywiście! - powiedział, zadowolony z siebie. -

Rozdział XXI

227

Sulla ich nieźle przetrzebił, prawda? Dowodził nimi jakiś zdrajca czy ktoś taki.

Wysoki przerwał na widok zmiany, jaka zaszła w twarzach przyjaciół. Chyba posunął się za daleko. Kiedy się odwrócił, Brutus zamachnął się pięścią, lecz Reniusz powstrzymał cios wyciągniętym ramieniem. Cofnęli się wszyscy trzej, ale ich przywódca szybko odzyskał

pewność siebie i wykrzywił pogardliwie usta.

Nim zdążył wypowiedzieć słowo, Reniusz już stał przed nim twarzą w twarz.

- Jak się nazywasz?

- Germiniusz Katon - odpowiedział wyniośle. - Musiałeś słyszeć o moim ojcu.

Reniusz odwrócił się do żołnierzy za swoimi plecami.

- Wpiszcie go. Jest w legionie.

Germiniusz, z którego nagle opadła cała arogancja, wpatrywał się w zdumieniu, jak jego imię spływa czarnymi literami na biały pergamin.

- Nie możesz tego zrobić! Mój ojciec każe cię…

- Wpisałeś się, chłopcze. W obecności świadków - odpowiedział Reniusz. - Ci ludzie przysięgną, że dobrowolnie. Kiedy cię odprawimy, będziesz mógł pobiec i powiedzieć ojcu, jak jesteś dumny.

Syn Katona, po raz drugi odzyskując pewność siebie, spojrzał wściekle na starszego mężczyznę.

- Moje imię będzie wymazane ze spisu jeszcze przed zachodem słońca.

Reniusz podszedł do' niego raz jeszcze.

- Twoje imię, dodaj to, rozmawiając z ojcem, zapisał Reniusz. Twój ojciec mnie zna. Dodaj też, że od dziś będziesz znany jako chłopiec, który próbował wykręcić się od służby miastu w jego legionach. Twój ojciec będzie zniszczony, jeżeli sprawa się wyda. Czy sądzisz, że po takim wstydzie pójdziesz jego śladem? Senat nie lubi tchórzy, chłopcze.

Młody człowiek zawrzał gniewem.

-Ja… - przerwał i na jego twarzy pojawił się wyraz zwątpienia.

- Wszystko, co ci pozostało, to stać przed tym orłem, aż bę-

dziemy gotowi odebrać przysięgę. Jeżeli się nie mylę, jesteś pierwszym zaciągniętym dzisiaj legionistą.

- Nie możesz mnie zatrzymać!

- Nieposłuszeństwo legalnemu rozkazowi? Każę cię wychłostać, jak tylko zrobisz krok ode mnie. Stań na baczność, nim stracę cierpliwość!

Rozkaz podziałał. Na oczach Reniusza młodzieniec wyciągnął się w górę. Jego przyjaciele zaczęli się cofać.

- Wasze imiona! - warknął Reniusz i obaj popatrzyli na niego niemo, a on wzruszył

ramionami.

- Zapisać ich pod dzisiejszą datą jako drugiego i trzeciego legionistę. To wystarczy. Znam już ich twarze. Stać prosto, chłopcy, jesteście na oczach tłumu. - Nic sobie nie robiąc z ich zaskoczenia, odwrócił się do dziesiątki Pierworodnych.

- Jeżeli uciekną - powiedział wyraźnie - chcę, by przywleczono ich z powrotem i wychłostano tu, na Polu.

Stracimy przez to kilku nowych, za to inni zobaczą ciemną stronę całej tej sławy.

Trzej młodzi Rzymianie stanęli sztywno, twarzami do tłumu, i nawet Reniusz wyglądał na zaskoczonego, kiedy Brutus odciągnął go na bok i mruknął:

- Katon wpadnie w szał. To ostatni legion, w którym chciałby mieć syna.

Stary gladiator odchrząknął i splunął na zakurzoną trawę.

- A syna z mianem tchórza chciałby? Jak myślisz? To twoja sprawa, nie moja, ale nic nie zyskasz, jak go teraz puścisz. Stary albo spróbuje cię przekupić, albo jakoś to zniesie.

Dowiemy się za dzień czy dwa.

Brutus popatrzył na niego i potrząsnął niedowierzająco głową.

- Wiedz, że wymuszasz to na mnie.

- Gdybyś go uderzył, stary by cię zabił.

- Nie wiedziałeś, kim jest, nim mnie powstrzymałeś! Reniusz westchnął ciężko.

- Zdawało mi się, że czegoś cię nauczyłem, młodzieńcze, naprawdę. Co innego można

pomyśleć, kiedy chłopiec nosi godło ojca na złotym łańcuchu dostatecznie grubym, by kupić za niego dom?

Brutus tylko zamrugał. Podszedł do trzech z nowego zaciągu

Rozdział XXI

i przez chwilę, nic nie mówiąc, przyglądał się łańcuchowi. Już miał wrócić do dawnego nauczyciela, kiedy od tłumu odłączyli się trzej inni chłopcy i podeszli do orła Pierworodnych.

- Wpiszcie swoje imiona na listę i stańcie z innymi - rozkazał im Reniusz. - Przyjmiemy waszą przysięgę, jak się tu zrobi ciasno.

i przez chwilę, nic nie mówiąc, przyglądał się łańcuchowi. Już miał wrócić do dawnego nauczyciela, kiedy od tłumu odłączyli się trzej inni chłopcy i podeszli do orła Pierworodnych.

- Wpiszcie swoje imiona na listę i stańcie z innymi - rozkazał im Reniusz. - Przyjmiemy waszą przysięgę, jak się tu zrobi ciasno.

j|j§j|fjijlg§

ROZDZIAŁ XXII

Juliusz miał dość greckiego upału i wymówek i powoli przestawał nad sobą panować.

Rozpaczliwie potrzebował żołnierzy, lecz warowne rzymskie miasto zapomniało o swoim podstawowym obowiązku i każde żądanie wywoływało kolejne dyskusje.

- Młodych ludzi już mam. Teraz dostarcz mi weteranów - powiedział do człowieka, którego rada miasta wydelegowała do prowadzenia pertraktacji.

- Co takiego? Mamy zostać bezbronni? - parsknął oburzony mężczyzna.

Juliusz milczał, zwyczajem Reniusza zwlekając z odpowiedzią. Odkrył, że krótkie przerwy dodają wagi jego słowom bardziej niż cokolwiek innego.

- Moi ludzie idą stąd wprost na Mitrydatesa. Poza nim nie ma nikogo, przed kim miałbyś się bronić. Brakuje mi czasu, by ćwiczyć kolejnych nie obytych z żołnierką, a z tego, co mówisz, wynika, że w obrębie setek mil nie ma żadnej innej rzymskiej siły. Chcę dostać każdego w tych murach, kto kiedykolwiek dźwignął miecz w służbie Rzymu, z bronią i w najlepszych zbrojach, na jakie się zdobędziesz.

Delegat rady otworzył usta, by przemówić, lecz Juliusz go uprzedził. Podniósł nieco głos.

- Nie spodziewam się, doprawdy, bym musiał rozprawiać o systemie zwalniania żołnierzy z armii. Czułbym się jak ktoś, kto pozbawia twoich ludzi honoru, przypominając im, iż dostali działki ziemi pod warunkiem, że jeżeli Rzym ich wezwie, odpowiedzą. Rzym wzywa.

Przyprowadź ich.

Rozdział XXII

231

Człowiek okręcił się na pięcie i niemal biegiem ruszył do siedziby rady. Juliusz czekał z ludźmi stojącymi na baczność za jego plecami. Wycierpiał się dość z powodu zwlekania tamtych i przestawał darzyć ich jakimkolwiek współczuciem. Byli w podbitym kraju i strasząca po nocach zmora rebelii stała się rzeczywistością. Czy zatem spodziewają się tkwić spokojnie za swoimi pięknymi murami i obrastać w tłuszcz? Ciekawe, co by się stało, gdyby Mitrydates uderzył najpierw na nich. Właściwie odpowiedź leżała jak na dłoni - ze strachu o rodziny podsunęliby mu pod nos swoją lojalność, otworzyli bramy i pokornie rzucili się na kolana.

- Ktoś nadchodzi główną ulicą - powiedział stojący pośród innych Gaditykus.

Juliusz obrócił się i wsłuchał w miarowy krok co najmniej setki legionistów. Zaklął pod nosem. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował w tym momencie, była konfrontacja z innym dowódcą regularnych legionów.

Kiedy się pokazali, serce Juliusza podskoczyło z radości.

- Legioniści… stać! - dobiegł go szorstki głos, a szczeknięcie rozkazu odbiło się echem o ściany wokół małego placyku.

Jeden z ludzi Juliusza mimo woli gwizdnął. Mężczyźni byli starzy. Niektórzy mieli na sobie pancerze i kolczugi sprzed pół wieku. Ich-ciała pokazywały skutki dziesięcioleci odbytych wojen. Niektórym brakowało oka albo ręki. Innych zdobiły długie półksiężyce kiepsko pozszywanych starych i pomarszczonych blizn.

Idący na czele był krzepkim mężczyzną z wygoloną głową i potężnymi barami. Miał

pomarszczoną twarz, ale wciąż biła od niego siła i Juliuszowi przypominał trochę Reniusza.

Oddał honory, instynktownie uznając za dowódcę człowieka, który wysuwał się przed innych.

- Melduje się Kwertorus Far, panie. Pomyśleliśmy, że rada może stracić na gadaniu cały dzień, więc przychodzimy sami. Weterani są gotowi do przeglądu, panie.

Juliusz kiwnął głową i ruszył za przybyłym. Na placyk przybywało coraz więcej i więcej szeregów i każdy dołączał do zgrabnej formacji.

- Ilu ich jest? - spytał, oceniając wartość białobrodych, którzy prężyli się dumnie w zimowym słońcu.

- Razem prawie czterystu, panie, chód ci z dalszych osad jeszcze są w drodze. Do nocy powinni być wszyscy.

- A średnia wieku?

Kwertorus zatrzymał się i spojrzał na młodego dowódcę.

- To weterani, panie. Czyli starcy. Ale każdy idzie z własnej woli i wszyscy są twardzi i wytrzymali na ból, a ty, jak słyszałem, zamierzasz wykurzyć Mitrydatesa. Muszą mieć parę dni na wspólne ćwiczenia, lecz pamiętaj, że wszyscy przeszli niejedną próbę. Wielu umierało za Rzym rok po roku. Ci zwyciężali.

Mężczyzna miał w twarzy bezczelność, choć w głosie wiarę we własne słowa, kiedy usiłował

dodać ducha surowemu młodemu dowódcy, który przyszedł do ich miasta po armię.

- A ty, Kwertorusie? Czy dowodzisz nimi? Mężczyzna z wygoloną głową zaśmiał się krótko.

- Nie ja, panie. Rada uważa, że to ona, jak przypuszczam, ale ci ludzie idą własną drogą i większość robi to od dawna. Wyobraź sobie, kiedy Mitrydates zajął port, znów wzięli się do czyszczenia mieczy, jeżeli mnie dobrze rozumiesz.

- Nie mówisz tak, jakbyś był jednym z nich - powiedział Juliusz. Kwertorus uniósł brwi.

- Bo też nie jestem, panie. Służyłem w Pierwszym Cyrenejskim, dwadzieścia lat, z tego dziesięć jako zastępca.

Coś kazało Juliuszowi zapytać:

- Ostatnie dziesięć?

Kwertorus odchrząknął i odwrócił na chwilę oczy.

- Trochę pośrodku, panie. Pod koniec straciłem stopień za nadmierne ryzyko przy kościach.

- Rozumiem. No cóż, Kwertorusie, wygląda na to, że zaryzykujemy znowu, ty i ja - stwierdził

spokojnie Juliusz.

Kwertorus się rozpromienił, odsłaniając ubytki w dolnej szczęce.

- Nie założyłbym się przeciwko nim, panie. Juliusz popatrzył sceptycznie na stłoczone szeregi.

- Mam nadzieję, że wiesz, co mówisz. Teraz dołącz do innych. Chcę pozdrowić ludzi.

Przemknęło mu przez myśl, że Kwertorus mógłby odmówić i że być może stracił stopień za coś więcej niż za grę w kości, powszechne zajęcie legionistów poza służbą, ale mężczyzna z gołą

Rozdział XXII

czaszką wstąpił do szeregu, stanął na baczność i zmierzył Juliusza ciekawym wzrokiem.

Juliusz nabrał powietrza.

- Weterani Rzymu! - zagrzmiał, aż stojący najbliżej podskoczyli. Zawsze miał silny głos, choć trochę wątpił, czy

dostatecznie, gdyby w szeregach było kilku głuchych. - Moi ludzie i ja, zbierając nowy zaciąg, byliśmy już w dwóch osadach, na południe od tego miasta. Wieści, które dało się usłyszeć po drodze, są krótkie, ale powtarzane uporczywie: Mitrydates obozuje jakieś sto mil na zachód. Możecie być pewni, że nowe rzymskie legiony są już w marszu, idą na wschód z portów w Dyrrachium i Apollonii. Zamierzam pchnąć go ku nim. Zamierzam być młotem dla rzymskiego kowadła.

W porządku, zainteresował ich. Patrzyli na niego wszyscy, począwszy od jego ludzi, skończywszy na ostatnim, posiwiałym weteranie. Dziękował bogom za wcześniejszą decyzję, by przemaszerować te dziesięć mil na północ.

- Razem z wami poprowadzę na Mitrydatesa tysiąc. Kilku z tego miasta i niektórzy z południa nie mają żołnierskiej zaprawy. Ci, którzy już idą ze mną, zwykli walczyć tylko na morzu, na rzymskich okrętach. Wy tworzyliście legiony i to wy musicie być filarem naszej armii.

Każdemu z was dam drugi miecz. Będziecie ćwiczyć nowe zaciągi.

Przerwał, lecz cisza trwała nadal. Wiedział, że weterani pamiętają dawną dyscyplinę.

Zastanawiał się, ilu przetrwa marsz, zanim choćby zobaczy akcję. Z młodymi, nowo

zaciągniętymi żołnierzami mógł pokonać odległość w trzy, może cztery dni, lecz z tymi? Nie sposób było wiedzieć.

- Potrzebuję jednego, który zdobędzie w mieście tyle żywności i ekwipunku, ile się da.

Kwertorus z błyskiem w oku wystąpił z szeregu.

- Kwertorusie?

-Ja to zrobię, panie, za twoim pozwoleniem. Od dawna czekam na okazję, by dokuczyć radzie.

- Wspaniale, lecz ich skargi dotrą do mnie, a ja potraktuję je poważnie. Weź trzech moich ludzi i zacznij przygotowywać zapasy. Potrzebujemy tarczy dla każdego człowieka i tyle

oszczepów i łuków, ile znajdziesz. Chcę, by nim ściemnieje, na zewnątrz murów stanęły kuchnie polowe z posiłkiem dla każdego. Jeszcze jest dość

światła na ćwiczenia i chcę zobaczyć, jak ci ludzie potrafią się poruszać. Ale potem będą głodni, pamiętaj.

Kwertorus oddał honory, podszedł żwawo do Gaditykusa, który wraz z innymi wciąż stał na baczność, i sprawnie dokonano wyboru. Juliusza tknęło przeczucie, że wpuszcza wilka do

owczarni, lecz cała czwórka pospiesznie się oddaliła, a z budynku rady wybiegł delegat i ruszył prosto do zgromadzonych weteranów. Juliusz odwrócił się od niego, nieciekawy wieści. Cokolwiek rada postanowiła, to już nie miało znaczenia.

- Widziałem, że umiecie stać, a to, że umiecie walczyć, poznaję po bliznach - krzyknął przez szeregi. - Teraz muszę zobaczyć, czy pamiętacie szyk bojowy.

Na jego rozkaz odwrócili się i pomaszerowali główną ulicą do bram małego miasteczka. Ci, którzy czekali w bocznych uliczkach, dołączyli do szeregów przed sobą równym krokiem i Juliusz dał znak Gaditykusowi, by zamknął tyły. Obaj mężczyźni wymienili spojrzenia i dołączyli do opuszczającej miasto kolumny, zostawiając za sobą krzyczącego delegata. Ten w końcu zrozumiał, że nikt go nie słucha, i ucichł.

Przemieszani ze sobą weterani i młodzi ludzie potrzebowali trochę czasu, by uformować czworobok. Juliusz przechadzał się tam i z powrotem wzdłuż szeregów, krytycznym okiem oceniając wygląd i sprawność ludzi, których zebrał do tej pory. Marszcząc czoło, wracał

myślą do udręki lekcji sprzed lat, kiedy on sam był uczniem, a Reniusz wbijał mu do głowy prawidła sztuki żołnierskiej. Żaden z tych, z którymi teraz miał do czynienia, nie zaczynał od zera, ale trochę to tak wyglądało i martwił się z góry, jak taka duża grupa zachowa się w marszu i czy będzie posłuszna

jego rozkazom. Zmartwieniem, które go nie odstępowało na krok, było to, że któryś z weteranów może rozpoznać w nim dowódcę piechoty nigdy

wcześniej nie dowodzącego piechotą. Zmarszczył się jeszcze bardziej. Musi umieć to ukryć.

Dokonał w myślach obliczeń i rozpoczął od wyznaczenia ludzi, którzy mieli zająć pozycje na rogach. Pozostałych ustawił w trzydzieści szeregów i rzucił rozkaz:

- Sformować czworobok!

Rozdział XXII

Szło to nierówno, lecz mężczyźni posuwali się w poważnym skupieniu, aż stanęli, każdy na swoim miejscu, i znów zapadła cisza.

- A teraz rozejrzycie się wokół siebie. Chcę, gdziekolwiek to możliwe, by weteran miał u boku młodszego mężczyznę i na odwrót. Zobaczymy, co z tego wyjdzie w marszu. Wykonać rozkaz!

Jeszcze raz zmienili pozycje, przy niesamowitym szurgocie nóg, lecz milcząco. Juliusz uśmiechnął się pod nosem, widząc, że jego ludzie starają się naśladować ruchy i postawę weteranów, i zaraz przypomniał sobie nauki Reniusza, że człowiek, który dowodzi innymi, powinien cieszyć się respektem, lecz zachowywać dystans. Nie wolno mu się uśmiechać.

Jeszcze mógł nie być lubiany. Mariusza kochali, lecz walczyli dla niego latami, a on nie miał

tyle czasu.

- Mamy dwie kohorty, po czterysta osiemdziesiąt żołnierzy w każdej. Podzielcie się na piętnaście rzędów i zostawcie odstęp między jedną a drugą.

Ludzie znów ruszyli; otworzyła się przed nimi długa, piaszczysta droga.

- Pierwsza kohorta otrzymuje imię Accipiter, jastrząb. Druga będzie się nazywała Ventulus, tak jak wiatr. Accipiterem będzie dowodził Gaditykus, Ventulusem ja sam. Wbijcie sobie do głowy oba imiona. Kiedy padną podczas walki, macie na nie reagować bez namysłu. - O tym, że Ventulus był statkiem kupieckim, a Accipiter leżał na dnie morza, postanowił nie wspominać. Otarł pot z czoła. - Zanim zaczniemy ćwiczenia w formacjach, musimy mieć jedno wspólne imię.

Przerwał, czując w głowie nagłą pustkę. Weterani przyglądali mu się beznamiętnie, być może zgadując, że młodego człowieka opuszcza pewność siebie. We właściwe imię powinien trafić za pierwszym razem, to było ważne, i kiedy będą szli do ataku, to ono powinno dodać im ducha. Juliusz zaczął wpadać w panikę.

No, weźże się w garść, ponaglił sam siebie. Wypowiedz imię i daj tym ludziom tożsamość.

Zły na swoje niezdecydowanie, raz jeszcze obrzucił wzrokiem wszystkie szeregi. To byli Rzymianie, młodzi i starzy. Tak. Miał je.

-Jesteście Wilkami Rzymu - powiedział. Głos miał spokojny,

a przecież usłyszeli go nawet najdalsi. Jeden czy dwóch weteranów wyprostowało się jeszcze bardziej. Wybór był trafny.

- A teraz… kohorta Ventulus, sformować się w cztery oddziały po mojej prawej ręce.

Accipiter na lewo. Do zmroku mamy trzy godziny. Pozycja ćwiczebna. Do odwołania.

Nie mógł się oprzeć, by nie zacisnąć pięści z radości, kiedy ludzie sprawnie się rozdzielili.

Przyzwał Gadityksa i odwzajemnił honory.

- Chcę, byś wypróbował jak najwięcej formacji. I nie zostawiaj im czasu na myślenie. Ja zrobię to samo z moimi. Zmień dowódców jednostek, jeżeli okażą się rażąco nieodpowiedni, albo zaostrz dyscyplinę, lecz nie nadmiernie. Chcę, by byli zajęci aż do wieczornego posiłku.

- Czy planujesz marsz na jutro? - spytał Gaditykus, zniżając głos, tak by nie usłyszeli go najbliżej stojący.

Juliusz potrząsnął głową.

-Jutro urządzimy bitwę. Twoi przeciwko moim. Starszym chcę odnowić wspomnienia, a

młodszych przyzwyczaić do bezwarunkowego słuchania rozkazów w czasie walki.

Zobaczymy się wieczorem i uzgodnimy szczegóły. I, Gaditykusie…

- Tak, panie.

- Weź się tęgo do roboty, bo jutro Ventulus rozniesie twoich na kawałki i będziesz musiał

zaczynać od nowa.

- Czekam z niecierpliwością, panie, tylko spróbuj… Gaditykus uśmiechnął się kącikiem ust, oddał honory i wrócił

do swoich nowych podkomendnych.

Kiedy dwa dni później Juliusz wydał rozkaz do wymarszu, rozpierała go duma i czuł się tak, jakby w wojennym pochodzie przez obcą ziemię nie szedł, lecz frunął. Od trzonka topora któregoś z ludzi Gaditykusa spuchło mu prawe oko, lecz wiedział z własnego doświadczenia, że żaden ból nie trwa wiecznie.

Więcej niż kilku z obu kohort utykało od różnych obrażeń doznanych w próbnej walce, ale to już nie było przypadkowe zbiorowisko obcych, to były Wilki, i Juliusz wiedział, że niełatwo będzie ich zabić, a jeszcze trudniej złamać. Przemierzą setki mil równin i lasów i Mitrydates będzie musiał podnieść do buntu

Rozdział XXII

wielu, by oprzeć się nawale nieprzyjaciela. Juliusz był tego pewien; był podniecony i chciało mu się śmiać i płakać jednocześnie, jak komuś, kto wypije za dużo dobrego wina.

Idący obok Gaditykus wyczuł jego nastrój, lecz dowódca Jastrzębi zamiast spuchniętego oka miał spuchnięte wargi i ledwo zdążył zachichotać, a już się skrzywił.

- Powiem ci jedną rzecz o okrętach. Tam nie musiało się dźwigać na własnych plecach tego całego metalu i ekwipunku -użalił się półgłosem.

Tym razem zachichotał Juliusz i klepnął Gaditykusa po ramieniu.

- Uważaj się za szczęśliwca. Ludzi mojego wuja nazywali „mułami Mariusza". Nosili znacznie więcej.

Gaditykus chrząknął w odpowiedzi i przesunął swoje ciężary z jednej łopatki na drugą.

Najgorsze były nogi. Weterani przeszli w życiu tysiące mil i wielu miało silne, wprost nieprzyzwoicie rozbudowane łydki. Gaditykus westchnął cicho; nie mógł zarządzić

odpoczynku dla swojej kohorty, dopóki Juliusz tego nie zrobi albo dopóki któryś z weteranów nie ustanie w drodze. Nie dałby głowy, co jest bardziej prawdopodobne.

Juliusz wydłużył krok. Chciał się wysunąć na czoło szeregów. Mógł w ten sposób

maszerować cały dzień i noc i był pewien, że Rzymianie u jego boku również. Miasto za nimi malało w oddali.

ROZDZIAŁ XXIII

żołnierza na obcych lądach nie jest dla słabych, rozmyślał Juliusz, maszerując na pół oślepły z kurzu i potu pod koniec drugiego dnia. Wątpił, czy weterani dotrzymają raźnego kroku młodszym mężczyznom. Wyglądało na to, że ciężka praca nad oczyszczaniem ziemi pod

uprawy zachowała ich w dobrej kondycji, choć chyba niektórzy pod starą zbroją mieli jedynie skórę i ścięgna. Ich

skórzane tuniki były znoszone, popękane i kruche, ale żelazne listewki i płytki zbroi błyszczały od oliwy i długiego polerowania. Mogli nazywać siebie wieśniakami, lecz pośpiech, z jakim odpowiedzieli na jego wezwanie, ujawniał ich prawdziwą naturę.

Kiedyś byli najbardziej zdyscyplinowanymi mordercami na świecie i każdy krok długiego marszu podsycał w nich coś z dawnego żaru. To odbijało się w ich postawie i oczach, tak samo jak na nowo ogarniał ich entuzjazm do wojny. To byli mężczyźni, dla których koniec służby równał się wyrokowi śmierci i którzy odczuwali pełnię życia w żołnierskim

braterstwie, kiedy mogli spożytkować dawną energię w gwałtownych atakach własnych

szeregów i w wysuszającym gardła strachu przed atakiem wroga.

Juliusz niósł na plecach starą tarczę, zerwaną przez Kwertorusa z czyichś drzwi. Przed otarciem skóry na łopatkach chronił go ciężki wór na wodę, która bulgotała melodyjnie przy każdym kroku. Podobnie jak jego ludziom, jemu również brakowało sprawności fizycznej, której człowiek nabiera przy ustawicznym balansowaniu ciałem na pokładzie, lecz płuca miał

czyste i nie było ani śladu po napadach drgawek, męczących go od czasu pierwszej walki z pi-Rozdział XXIII

ratami. Choć wolał nie wracać do nich pamięcią, wciąż jednak się zamartwiał, że straci autorytet, kiedy zaczną się od nowa. Podczas forsownego marszu nie było mowy o

jakiejkolwiek prywatności.

Przez sporą część pierwszego dnia Juliusz nie narzucał szybkiego tempa. Mieli za mało ludzi, by ryzykować utratę większej liczby weteranów, i do pierwszego obozu dotarli wszyscy.

Wyznaczył na straże młodszych mężczyzn. Żaden nie narzekał, choć Swetoniusz, nim z wyzwaniem w oczach ruszył na swój odcinek, najwyraźniej zmełł w ustach jakieś

przekleństwo. Bywały chwile, kiedy Juliusz najchętniej kazałby go wychłostać, lecz powstrzymywał gniew. Wiedział, że musi zacieśniać więzi z ludźmi. Więzi dostatecznie silne, by wytrzymali gorączkę pierwszych chwil walki. Muszą w nim widzieć tego, kogo on kiedyś widział w Mariuszu - człowieka, za którym by poszedł do królestwa Hadesa.

Drugiego dnia przed południem Juliusz dotrzymywał kroku Gaditykusowi, na czele dwóch kohort. Oddech obu był za krótki, by wdawać się w pogawędki, ale byli zgodni, że należy się zmieniać na prowadzeniu, by ten drugi mógł krążyć między jednostkami i oceniać krzepkość jednych i słabość drugich. Dla Juliusza takie wyprawy były cenne; wtedy właśnie zobaczył

pierwszy blask podniecenia nawet w twarzach najsłabszych. Wyzwolili się z jarzma praw i ograniczeń życia w mieście i wrócili do najprostszego świata, jaki znali.

Juliusz maszerował ramię w ramię z kohortą Ventulusa całą godzinę i przejrzał w tym czasie połowę szeregów. Jego uwagę przykuł jeden z weteranów, jedyny, którego minął i któremu nie spojrzał w oczy. Mężczyzna przypuszczalnie był jednym z najstarszych i niełatwo dawało się go wypatrzyć spoza innych żołnierzy, co, jak Juliusz zgadywał, mogło być zamierzone.

Zamiast hełmu nosił poszarpaną skórę wyliniałego lwa, która zakrywała mu całą głowę i

spływała na ramiona. Oczy martwego wielkiego kota były jak dwie puste ciemne studnie i chyba, podobnie jak człowiek, nie na wiele mogły się przydać. Stary mężczyzna maszerował i patrzył prosto przed siebie, mrużąc oczy przed kurzem w wąskie pomarszczone szparki.

Juliusz, obserwując go z zainteresowaniem, zauważył pulsujące na szyi twarde sznury żył i spuchnięte ze-sztywniałe dłonie, z palcami jak kościane klocki. Chociaż człowiek

ten zaciskał usta, zapadnięte policzki wyraźnie świadczyły, że w dolnej szczęce zostało niewiele zębów. Juliusz zastanawiał się, jaki duch może drzemać w kimś tak starym i kazać wypatrywać niewidocznego celu.

Kiedy zbliżało się południe i Juliusz był gotów zarządzić postój na posiłek i godzinę błogosławionego odpoczynku, dostrzegł, że mężczyzna zaczyna utykać i ma świeżo

spuchnięte kolano. Juliusz rzucił rozkaz. Szeregi Wilków zafalowały i zastygły w miejscu po niecałych dwóch krokach, wszystkie naraz.

Podczas gdy Kwertorus zakrzątnął się koło kuchni, Juliusz przystanął nad weteranem, który siedział oparty o karłowate drzewo, ze starannie złożoną lwią głową u boku. Rzadkie, siwe włosy oblepiały mu czaszkę, a poznaczona bliznami twarz ściągnięta była bólem. Stary owijał

spuchnięte kolano.

-Jak się nazywasz?

Zapytany chrząknął, sprawdził, czy opatrunek dobrze się trzyma, i podniósł oczy na pytającego.

- Mówią na mnie Komiks, stara wrona. Jestem myśliwym, zastawiam pułapki w lasach.

- Mam przyjaciela, który mógłby ci pomóc przy tym kolanie. To uzdrawiacz. Chyba jeszcze starszy niż ty - powiedział Juliusz.

Komiks potrząsnął głową.

- Nie trzeba. Służyło mi w wielu wyprawach. Wytrzyma jeszcze jedną.

Juliusz nie nalegał; był pod wrażeniem nieugiętości starca. Nie wdając się w dalsze dyskusje, podał mu kawałek ciepłego chleba i porcję duszonej fasoli przygotowanej przez Kwertorusa.

To miał być ich ostatni gorący posiłek. Wchodzili w zasięg zwiadowców Mitrydatesa i nie mogli ryzykować, by tamci zobaczyli dym. Kor-niks podziękował kiwnięciem głowy.

- Dziwny z ciebie dowódca - powiedział z pełnymi ustami. - Nie było jeszcze takiego, co by sam roznosił jedzenie.

Juliusz przyglądał mu się przez chwilę.

- Pomyślałbym, że wojaczkę masz raczej za sobą. To już pewnie dwadzieścia lat, jak opuściłeś legion?

-Jakie tam dwadzieścia, trzydzieści, nie udawaj, że nie widzisz - odpowiedział mężczyzna i odsłonił w uśmiechu papkę nie

Rozdział XXIII

241

przeżutego chleba. - Choć wciąż człowieka bierze żałość, że było i nie wróci.

- Masz rodzinę? - Juliusz nie rozumiał, dlaczego ten człowiek nie siedzi bezpiecznie na swoich wzgórzach.

- Rodzina poszła na północ, żona umarła, człowiek został sam jak palec.

Juliusz stał i przyglądał mu się dalej. Nagle mężczyzna niechcący zgiął owinięte kolano i skrzywił się z bólu. Juliusz przeniósł spojrzenie pod drzewo, przy którym Komiks złożył

tarczę i miecz, i stary, idąc za jego wzrokiem, odpowiedział nie pytany:

- Nie martw się, wciąż wiem, do czego to służy.

- To świetnie, bo jak mówią, Mitrydates ma nieprzeliczoną armię. Komiks prychnął

pogardliwie.

- Niech sobie mówią. - Przełknął ostatni kęs fasoli i pociągnął zdrowo z worka z wodą. - No to pytasz czy nie?

- O co?

- Widziałem, jak cię to gryzło, kiedy szedłeś koło mnie. Po co taki staruch jak ja idzie na wojnę i czy choćby podniesie swój stary miecz, tak?

- Owszem, przemknęło mi to przez głowę - odpowiedział Juliusz i się zaśmiał, widząc błysk humoru w ciemnych oczach.

Komiks mu zawtórował, krótką gamą gardłowych dźwięków. Potem ucichł i spojrzał prosto w oczy wysokiemu dowódcy, który płonął młodzieńczą wiarą we własne siły i który miał

przed sobą całe życie.

- Chodzi o długi, chłopcze, długi do spłacenia. Nasze odwieczne miasto dało mi więcej, niż mogłem oddać. Pomyślałem, że ta wyprawa w końcu wszystko wyrówna.

Mrugnął do Juliusza. Młodzieniec uśmiechnął się blado. A więc Komiks idzie z nim, aby umrzeć. Wybiera szybki koniec, nie samotną długą agonię w zagubionej w lasach chacie.

Ciekawe, pomyślał, ilu jeszcze woli się rozstać z życiem w ostatnim akcie odwagi, zamiast nasłuchiwać każdej nocy cichych kroków śmierci. Choć dzień nie był zimny, Juliusz, wracając do ognisk, lekko zadrżał.

Nie wiadomo było, gdzie obozuje Mitrydates i jego nieregularne wojsko. Meldunki od Rzymian, którym udało się przeżyć, mogły

Rozdział XXIII

przeżutego chleba. - Choć wciąż człowieka bierze żałość, że było i nie wróci.

- Masz rodzinę? - Juliusz nie rozumiał, dlaczego ten człowiek nie siedzi bezpiecznie na swoich wzgórzach.

- Rodzina poszła na północ, żona umarła, człowiek został sam jak palec.

Juliusz stał i przyglądał mu się dalej. Nagle mężczyzna niechcący zgiął owinięte kolano i skrzywił się z bólu. Juliusz przeniósł spojrzenie pod drzewo, przy którym Komiks złożył

tarczę i miecz, i stary, idąc za jego wzrokiem, odpowiedział nie pytany:

- Nie martw się, wciąż wiem, do czego to służy.

- To świetnie, bo jak mówią, Mitrydates ma nieprzeliczoną armię. Komiks prychnął

pogardliwie.

- Niech sobie mówią. - Przełknął ostatni kęs fasoli i pociągnął zdrowo z worka z wodą. - No to pytasz czy nie?

- O co?

- Widziałem, jak cię to gryzło, kiedy szedłeś koło mnie. Po co taki staruch jak ja idzie na wojnę i czy choćby podniesie swój stary miecz, tak?

- Owszem, przemknęło mi to przez głowę - odpowiedział Juliusz i się zaśmiał, widząc błysk humoru w ciemnych oczach.

Komiks mu zawtórował, krótką gamą gardłowych dźwięków. Potem ucichł i spojrzał prosto w oczy wysokiemu dowódcy, który płonął młodzieńczą wiarą we własne siły i który miał

przed sobą całe życie.

- Chodzi o długi, chłopcze, długi do spłacenia. Nasze odwieczne miasto dało mi więcej, niż mogłem oddać. Pomyślałem, że ta wyprawa w końcu wszystko wyrówna.

Mrugnął do Juliusza. Młodzieniec uśmiechnął się blado. A więc Komiks idzie z nim, aby umrzeć. Wybiera szybki koniec, nie samotną długą agonię w zagubionej w lasach chacie.

Ciekawe, pomyślał, ilu jeszcze woli się rozstać z życiem w ostatnim akcie odwagi, zamiast nasłuchiwać każdej nocy cichych kroków śmierci. Choć dzień nie był zimny, Juliusz, wracając do ognisk, lekko zadrżał.

Nie wiadomo było, gdzie obozuje Mitrydates i jego nieregularne wojsko. Meldunki od Rzymian, którym udało się przeżyć, mogły

być mylące albo grecki król, do czasu nim Wilki podjęły marsz, mógł posunąć się do przodu wiele mil. Juliusza najbardziej martwiło to, że obie siły mogą się natknąć na swoich zwiadowców i akcja musiałaby się rozpocząć, zanim

byłby gotowy. Jego przednie straże wiedziały, że życie ich ludzi zależy od tego, by nie dali się zauważyć. Juliusz kazał

najszybszym i najsprawniejszym wyprzedzać całą resztę o mile i wypatrywać świeżych śladów wroga, gdy tymczasem główne siły Wilków ukrywały się w zaroślach lesistej okolicy.

To było denerwujące. Ponieważ zakazano palić ogniska, każdej nocy byli zmarznięci, a ich ubrania sztywne od wilgoci, w ciągu dnia zaś ledwo ogrzewało ich blade słońce, przenikające do nich jedynie przez liście drzew. Zakazano także swobodnych polowań.

Po czterech dniach bezczynności Juliusz właściwie był gotów rozkazać ludziom wyjść na otwartą przestrzeń. Wszyscy poza trzema zwiadowcami wrócili zza zewnętrznej linii wart i teraz, w przygnębiającej ciszy, razem z innymi jedli zimny posiłek.

Ale tamci trzej wciąż nie wracali. Juliusz się irytował. Tego, że jego siły idą właściwym tropem, był pewien. Nie dalej jak pięć mil na wschód na rzymskiej centurii, strzegącej samotnej warowni, dokonano rzezi i odarto martwych z broni. Ciała wyglądały żałośnie i żadne słowa Juliusza nie rozpaliłyby w jego ludziach tak przemożnej chęci odwetu jak taki widok.

Zaszeleściły wilgotne liście i dał się słyszeć niespieszny trucht, którym zwykle zwiadowcy pokonywali całe mile bez odpoczynku. Mężczyźni, z ogniem podniecenia w zmęczonych

twarzach, nawet nie rzucili okiem na czekającą na nich zimną fasolową breję, lecz podeszli wprost do Juliusza. Nie było ich w obozie od czterech dni i Juliusz od razu wiedział, że znaleźli wroga.

- Gdzie są? - spytał, podrywając się z miejsca.

- Trzydzieści mil dalej, na zachód - odpowiedział jeden, wyraźnie płonąc chęcią przekazania wieści. - To stały obóz. Wygląda tak, jakby się szykował do obrony przed legionami nadchodzącymi z Orikum. Okopali się na wąskim przesmyku między dwoma stromymi

zboczami. - Przerwał, by złapać oddech, i meldunek podjął jeden z dwóch pozostałych.

- Najeżyli kolcami zbocza i ziemię od zachodniej strony. Roz-

stawili szerokim kręgiem zwiadowców i straże, dlatego nie dało się podejść dość blisko, ale wygląda na to, że kolców jest dość, by zatrzymały jazdę. Widzieliśmy łuczników

zaprawiających się w strzelaniu i chyba samego Mitrydatesa. Taki jeden, wielki, wydawał

swoim jednostkom rozkazy. Wyglądał jak dowódca.

- Ilu tam było? - warknął Juliusz, żądny tej informacji bardziej niż całej reszty.

Zwiadowcy popatrzyli jeden na drugiego i znów przemówił pierwszy.

- Jakieś dziesięć tysięcy, z grubsza biorąc. Żaden z nas nie jest pewny, ale całą dolinę między jednym a drugim wzgórzem pokrywa może tysiąc skórzanych namiotów. Przypuszczamy, że w każdym jest ośmiu do dziesięciu ludzi…

Dwaj inni potaknęli, ciekawi, jak Juliusz przyjmie wieści. Dowódca miał twarz beznamiętną, lecz był rozczarowany. Nic dziwnego, że Mitrydates czuł się wystarczająco pewny, by stawić czoło legionistom z zachodu. Przeciwko mniejszej sile senat wysłał jedynie Sullę. Jeżeli znów przypłynął do Grecji tylko jeden legion, tym razem Mitrydates może się okazać zwycięzcą; zyskał cały rok, nim senat usłyszał o kolejnej rebelii i ściągnął do Rzymu żołnierzy niekoniecznie potrzebnych na innych lądach. Tak czy inaczej senat mógł być niechętny odzieraniu reszty rzymskich ziem z jakichkolwiek szeregów. Choć chyba ci ludzie nie dopuściliby do utraty Grecji?

Juliusz odprawił zwiadowców, by coś zjedli i udali się na odpoczynek. Wiedział, że będzie krótki. Kiedy odeszli, podszedł do niego Gaditykus. Podniósł pytająco brwi.

- Znaleźliśmy go - powiedział Juliusz. - Dziesięć tysięcy, choć chyba nie więcej. Myślę o przemaszerowaniu dziesięciu mil jeszcze tej nocy i po dniu odpoczynku… ostatnich dwudziestu,

jak tylko zacznie się ściemniać. Nasi łucznicy zestrzelą zwiadowców i uderzymy na główną siłę przed świtem.

Gaditykus sposępniał.

- Weterani będą bliscy wyczerpania. Nie dla nich takie długie nocne marsze. Pójdziemy jak na rzeź.

- Są w znacznie lepszej kondycji, niż kiedy opuszczaliśmy miasto. Będzie ciężko i kilku stracimy, to pewne, lecz musimy tamtych

zaskoczyć. Poza tym ci ludzie spędzili życie w marszu. Chcę, byś po pierwszym ataku zorganizował szybki odwrót. Nie powinni myśleć o śmierci, walcząc przeciw tak wielkiej sile.

Niech uderzą nagle, zabiją ilu się da i niech się wycofają. Do świtu odejdziemy jak najdalej i, no cóż, wtedy zobaczymy. - Popatrzył przez omszałe konary drzew na niebo. - Do zmierzchu niedaleko, Gadi. Przygotuj swoich ludzi i nie zadręczaj się. Przemyślimy taktykę, kiedy podejdziemy bliżej. Nie ma sensu zagłębiać się w drobiazgi, dopóki się nie zobaczy pozycji wroga. Nie musimy ich pokonać, wystarczy zmusić do zwinięcia obozu i ruszenia na zachód, prosto w ramiona nadchodzących z wybrzeża legionów.

- Pod warunkiem, że nadchodzą - zauważył cicho Gaditykus.

- Nadchodzą, bądź spokojny. Choćby nie wiem co się wydarzyło po śmierci Sulli, senat się nie wyrzeknie Grecji. Nie bez walki. Zwieraj szyki, Gadi.

Gaditykus zasalutował. Twarz mu się rozpogodziła. Wiedział, że przeciw takiej sile każdy atak będzie ryzykowny, lecz wziąwszy pod uwagę ogólną mizerię ludzi, którymi

dysponowali, nocne uderzenie miało sens. W dodatku Mitrydates zebrał armię nie

wyćwiczonego nieregularnego zaciągu, a w ich szeregach było kilka niezrównanych mieczy.

Przeciw tysiącom niewiele to znaczyło, niemniej robiło różnicę.

Wydając kohorcie Accipitera rozkaz zwijania obozu, Gaditykus obserwował, jak młodzi i starzy pracują razem, szybko i spokojnie zbierając się w luźną formację, do chwili opuszczenia lasu. Wilki, pomyślał. No, może kilka wilków.

T

ROZDZIAŁ XXIV

JMitrydates stracił swoje graniczne straże, ale jeszcze o tym nie wiedział. Juliusz obserwował

zewnętrzny krąg prawie przez godzinę, w końcu się uśmiechnął. System stosowany przez greckiego króla był bardzo prosty. Obok każdej płonącej pochodni osadzonej na wbitym w grunt drewnianym długim drągu stał jeden strażnik. W całkiem przypadkowych odstępach czasu któryś sięgał po pochodnię i machał nią nad głową, a odpowiadał mu wewnętrzny krąg i inni rozstawieni w kręgu zewnętrznym.

Mitrydates być może jest królem, lecz nie taktykiem, pomyślał Juliusz. Wilki złamały pierwszy krąg obrony przy pomocy par łuczników; jeden, na dany znak, zabijał strażnika, a drugi zajmował miejsce zabitego. Uwinięto się z tym szybko i łucznicy przeszli do

wewnętrznego kręgu. Tam straże stały bliżej siebie, i wymienienie ich na Wilków trwało prawie godzinę. Juliusz zalecał ostrożność, lecz nawet w nim narastało napięcie, kiedy czas upływał na czekaniu, aż ostatni zamacha pochodnią, całkowicie nieświadomy, że mogą mu odpowiedzieć tylko Rzymianie.

Kabera uwolnił ostatnią cichą strzałę i żołnierz wroga bez jednego jęku osunął się w cień.

Kilka chwil później płomień pochodni oświetlił inną ciemną postać, stojącą spokojnie, jakby nic się nie stało. Nie wszczęto żadnego alarmu i Juliusz z podniecenia zacisnął pięści.

Obóz u stóp dwóch wzgórz był oświetlony takimi samymi pochodniami na drągach, jakich używały zewnętrzne straże. Oglądana z daleka, ciemna zimowa noc była pocętkowana

morzem zło-

cistych punktów, czujnymi ślepiami, które wpatrywały się w mrok i w Rzymian, kiedy ci czekali na sygnał od Juliusza. Młodemu dowódcy wydawało się, że przyszłość całego świata zależy od jego słowa. Zbliżył się do jednego z podstawionych strażników, kiwnął do Kabery i stary odpalił od pochodni nasączoną oliwą strzałę.

Gaditykus zobaczył strzelający w górę błysk płomienia i wskazał mieczem kierunek ataku.

Jego ludzie ruszyli z pozycji w całkowitym milczeniu. Biegli w niesamowitej ciszy ku kałużom światła, które wyznaczały obóz, otoczeni z obu stron kohortą Ventulusa, tak aby w szeregach wroga powstała jak największa panika i zamieszanie.

Wraz z nadejściem nocy armia grecka udała się na spoczynek, zdawszy się na swoje daleko wysunięte straże. Pierwsi dowiedzieli się o niebezpieczeństwie ci, których skórzane namioty zostały gwałtownie otwarte i niewidoczne miecze uderzyły w śpiących żołnierzy, zabijając dziesiątki w pierwszych kilku sekundach. Krzyki zmieszały się z wrzaskami i obóz poderwał

się ze snu, chwytając za broń.

— Wilki! - zagrzmiał Juliusz.

Pora na ciszę minęła. Ogarnęło go podniecenie, kiedy on i jego ludzie biegli przez obóz, zabijając każdego, kto wychylił

się z namiotu. Przykazał swoim, by każdy pozbawił życia dwóch wrogów i od razu przebijał się na tyły, ale od jego miecza padło trzech, a pierwszy atak jeszcze się nie zakończył. Wśród ludzi Mitrydatesa wybuchła panika. Ich dowódcy spóźniali się z rozkazami. Jakaś setka mężczyzn na własną rękę próbowała podjąć walkę z ledwo widocznym napastnikiem i w rezultacie setka padła od mieczy weteranów. Okrzyk Juliusza podjęła kohorta Ga-ditykusa, robiąc jeszcze więcej wrzasku i zamętu. Kabera wystrzelił na oślep swoje ostatnie strzały, w ciemne czeluści namiotów, a Juliusz ciął nagiego mężczyznę, kiedy ten próbował podnieść miecz do uderzenia. Panował chaos i w ogólnym zamieszaniu Juliusz niemal przegapił moment, którego przysiągł sobie nie zlekceważyć.

To stało się po wielu minutach, po tym jak zabrzmiały rogi i biegający bezładnie Grecy zaczęli formować regularne oddziały.

Rozdział XXIV

247

W namiotach, które Rzymianie przeoczyli, wróg zdążył się uzbroić i już zaczął stawać do walki, a nad szczękiem i uderzeniami broni rozbrzmiały okrzyki po grecku.

Juliusz okręcił się i mężczyźnie, który skoczył na niego, odciął dłoń w nadgarstku. Do tej pory każdy cios jego miecza powodował potworne szkody, lecz następne uderzenie zostało gładko odbite i znalazł się twarzą w twarz z dwoma Grekami, a już ze wszystkich stron zbiegali się następni. Ludzie Mitrydatesa doszli do siebie i był najwyższy czas, by się wycofać, nim Wilki zostaną wybite co do jednego.

- Odstąpić! - wrzasnął, wbijając gladius w kostkę najbliższego mężczyzny.

Drugi, zanim go dosięgnął, rozciągnął się na pierwszym i Juliusz, nie zwlekając, obrócił się, pośliznął na kurzu zmieszanym z krwią i wyrwał gwałtownie do przodu. Jego ludzie ruszyli razem z nim, zawracając i biegnąc, gdy tylko któryś zdołał się uwolnić od naporu wroga.

Tam, gdzie nie sięgało światło pochodni, najlepszą kryjówką stała się czarna noc. Kiedy Juliusz zawołał do odwrotu, wszystkie pochodnie straży zostały wygaszone i Rzymianie, zostawiając za sobą zniszczenie i trupy, znikli poza granicami obozu.

Greckie jednostki zatrzymały się na skraju obozowych świateł, nie mając zamiaru biec w ciemność patrzącą, jak im się zdawało, tysiącem oczu wroga, który przecież miał być od nich

o tydzień marszu i nadejść z innej strony. Przemieszane rozkazy krążyły tam i z powrotem i podczas gdy Grecy się wahali, Wilki uciekły.

Mitrydates płonął gniewem. Został wyrwany ze snu, ledwo zdążył zasnąć. Jego namiot stał na najdalszym krańcu obozu, u wylotu wąskiej przełęczy, i król, kiedy oprzytomniał, zdał sobie sprawę, że zaatakowano ich z bezpiecznej strony. Stąd aż po przerażone miasta na wschodnim wybrzeżu jego ludzie rozprawili się skutecznie ze wszystkimi rzymskimi osadami.

Jego dziesięć tysięcy żołnierzy zajmowało szeroki pas doliny i do czasu, kiedy sprowadził

swoich dowódców na miejsce ataku i zaczął przywracać porządek, Rzymian już nie było.

W ponurym nastroju przeliczyli trupy. Dowódcy, którzy prze-

żyli, oceniali siły nieprzyjaciela na pięć tysięcy, a Greków, którzy padli pod ich mieczami, było więcej niż tysiąc. Mitrydates zaryczał z żalu, kiedy zobaczył w namiotach stosy ciał

żołnierzy, zabitych wcześniej, nim dano im szansę spojrzenia w twarz wroga. To była rzeź i znów ogarnęło go rozgoryczenie, tak samo jak kiedyś przed obliczem Sulli.

Jak mogli się przedostać na jego tyły? - zastanawiał się w myślach, idąc pomiędzy rzędami znieruchomiałych ciał.

Zajrzał w ciemne karłowate krzaki i owładnięty gniewem, cisnął

mieczem w czarną czeluść nocy.

- Straże nie żyją, panie - zameldował dowódca.

Mitrydates popatrzył na niego czerwonymi od dymu i niewyspania oczami.

- Wystaw następne i przygotuj obóz do wymarszu o świcie. Chcę ich dopaść. - Kiedy

mężczyzna pobiegł wypełnić rozkazy, Mitrydates jeszcze raz ogarnął wzrokiem ogrom spustoszenia. Tysiąc ludzi zginęło, a on widział na ziemi pomiędzy nimi tylko kilku Rzymian.

Dlaczego się wycofali? Wyglądało na to, że legion, nieważne który, napadł ich nocą, aby spowodować panikę i zamieszanie wśród jego ludzi. Gdzie mogli być bezpieczni, jeżeli nie w samym sercu własnej ziemi, własnego obozu?

Kiedy udawał się tej nocy na spoczynek, był przekonany, że prowadzi największą armię, jaką kiedykolwiek zebrał, a nawet widział. Teraz wiedział, że nigdy nie zaśnie spokojnie.

Wiedział, że można sobie zakpić z ich siły i pozbawić ich życia bezlitośnie łatwo. Przyglądał

się twarzom skupionym wokół niego, twarzom wciąż jeszcze porażonym strachem i nagle ogarnęło go zwątpienie. Myślał, że otaczają go lwy, lecz to były tylko owieczki.

Nadaremnie usiłował otrząsnąć się z rozpaczy. Jak mógł marzyć o współzawodnictwie z Rzymem? Ci ludzie przyszli pod jego proporce po kilku szybkich zwycięstwach nad

znienawidzonymi Rzymianami, lecz każdy był młody i każdy śnił sny o Sparcie, Tebach i Atenach. Sny o Aleksandrze, których być może on nie potrafi spełnić. Głowa mu opadła na piersi i potężne pięści się zacisnęły. Jego ludzie krążyli wokół, nie śmiejąc przemówić do pogrążonego w gniewie i rozpaczy króla.

Rozdział XXIV

- Powinniśmy tam wrócić - powiedział Swetoniusz. - Zaatakować raz jeszcze, kiedy zwijają obóz. Nie spodziewają się tego.

- Robi się widno, a czy za dnia dadzą nam uciec, jak myślisz? -zezłościł się Juliusz. - Nie.

Wyruszamy w drogę, do następnej leśnej kryjówki.

Odwrócił się szybko, żeby nie oglądać skwaszonej twarzy Swetoniusza. Choć chyba lepsze były kwasy niż zjadliwe zadowolenie, w którym młody dowódca pławił się od chwili ataku.

To Juliusza przyprawiało o mdłości. Dla niego ta krótka walka była walką bez honoru, praktycznym sposobem na uszczuplenie liczby wrogów. Podekscytowanie, od którego

zagotowała mu się krew w żyłach w czasie walki, minęło tak szybko, jak tylko z niej wyszedł, lecz Swetoniusz był pobudzony łatwym zabijaniem.

Weterani także, zauważył Juliusz, uciekli z greckiego obozu możliwie najprędzej i bez radosnych okrzyków. Znali się na wojennym rzemiośle i rozkaz był dla nich rozkazem. Kiedy maszerowali, słychać było tylko Swetoniusza, który najwyraźniej rozpływał się nad własną dzielnością.

- Przed odejściem można było posłać naszych łuczników i zabić z ukrycia jeszcze paru innych

- powiedział, tryskając z przejęcia śliną. - Widzieliście strażnika, którego zabiłem? Dostał

prosto w usta. Doskonały strzał.

- Zamknij gębę! - warknął mu nad uchem Juliusz. - Marsz do tylnych szeregów! - Miał dość tego człowieka i jego obmierzłych zachwytów nad zabijaniem. Przemknęła mu przez głowę myśl o krzyżowaniu i zadrżał, zastanawiając się, czy Swetoniusz okazałby litość, czy też doprowadziłby całą rzecz do końca. Podejrzewał, że gdyby to Swetoniusz wydawał rozkazy, ten koniec byłby powolny.

Młody dowódca warty nie od razu posłuchał Juliusza i niewiele brakowało, by Cezar go uderzył. Chyba myślał, że łączą ich jakieś prywatne związki i wspólna pamięć o niedoli na statku Celsusa. Juliusz popatrzył w wykrzywioną złośliwym grymasem twarz i zobaczył, że usta poruszają się tak, jakby Swetoniusz zamierzał coś odpowiedzieć.

- Na tyły albo zabiję cię, tak jak stoisz - wysyczał Juliusz i żylas-

ta postać w końcu zniknęła w ciemnościach za ostatnimi z maszerujących mężczyzn.

Jeden z weteranów potknął się i zaklął. O coś takiego nie było trudno w bezksiężycową noc i na nierównej drodze. Od początku ruszyli twardym krokiem, bez narzekania. Każdy wiedział, że ledwo się rozwidni, Mitrydates ruszy za nimi w pogoń. Do świtu zostało mniej niż dwie godziny, a przy dobrym tempie potrafią w tym czasie zrobić prawie dziesięć mil.

Choć z rannymi pewnie mniej. Nie musząc prosić o pomoc, ci, którzy mieli kłopoty z chodzeniem, byli podtrzymywani przez dwóch innych. Większość ran była powierzchowna.

W nocnej walce Rzymianie albo polegli, albo wyszli z niej w większości bez szwanku.

Juliusz nie miał czasu na oszacowanie strat, lecz przypuszczał, że jego ludzie spisali się dużo lepiej, niż się spodziewał.

Ciekawe, myślał w marszu, jak by on sam bronił greckiej armii, gdyby się znalazła pod jego dowództwem. Na początek: lepszy system straży. To niedopatrzenie pozwoliło Rzymianom wtargnąć do środka pogrążonego we śnie obozu. Wilkom się poszczęściło, to prawda, lecz mimo wszystkich popełnianych błędów Mitrydates nie był głupcem. Następnym razem może być trudniej i Rzymianie mogą ponieść większe straty. Niewidoczny na czele długiej kolumny Juliusz miał wreszcie chwilę spokoju, aby ocenić sukces. Wbrew całemu

niesmacznemu zadowoleniu Swetoniusz miał rację. Udało im się doskonale.

Kiedy nadszedł świt, większość ludzi padała ze zmęczenia. Za pomocą nie milknących rozkazów i gróźb Juliusz zmusił kolumnę, by powlokła się dalej. Po paru milach zaprowadził

ludzi między cały łańcuch stromych lesistych pagórków, które miały ich ukryć przed światłem dnia i oczami nieprzyjaciela. Mieli tam zjeść i się przespać, ale kiedy słuchał jęków weteranów, kiedy nawet ich żelazna wola osłabła w czasie nie kończącego się marszu, wiedział, że zostaną w ukryciu dłużej, aby nabrać nowych sił.

O świcie Mitrydates wysłał swój szczupły zapas koni, w grupach po dwadzieścia, z

rozkazami, by zwiadowcy wracali z meldunkiem, gdy tylko wypatrzą wroga. Pierwotny plan zwinięcia całego obozu i udania się w pościg ze wszystkimi ludźmi napawał go

niepokojem. Możliwe, że tego po nim oczekiwano. Możliwe, że miał opuścić bezpieczne schronienie górskiej doliny i wymasze-rować na równinę tylko po to, by kryjące się gdzieś legiony rozdzieliły jego siły. Przemierzał namiot w męce rozgoryczenia, przeklinając własne

niezdecydowanie. Czy powinien wycofać się do jakiegoś miasta? Wszystkie były rzymskie i mogły bronić przed nim murów do ostatniego człowieka. Lecz czy był bezpieczny na

równinach? Wiedział, że z zachodu może nadejść więcej legionów, aby stłumić rebelię, i nawet przez chwilę bawił się myślą, by rozwiązać oddziały i odesłać ludzi z powrotem do ich gospodarstw i domów. Nie, nie mógł tego zrobić. Rzymianie mogli ich wyłapać jednego po drugim, szukając rebeliantów, i niczego by nie zyskał.

Zazgrzytał zębami w tym samym bezsilnym gniewie, który go nie opuszczał od chwili, kiedy noc wcześniej zobaczył ciała swoich ludzi. Czy Aleksander dałby się zamknąć w pułapce między legionami?

Nagle przystanął. Nie, Macedończyk ruszyłby do walki. Ale w którą stronę? Jeżeli skieruje armię na wschód, wciąż może być schwytany przez tych, którzy idą od wybrzeża. Jeżeli ruszy na zachód, ku rzymskim portom, tamci nocni mordercy będą zadręczać jego tylne straże.

Bogowie, wybaczcie, co więc zrobiłby Sulla? Jeżeli zwiadowcy wrócą bez żadnych wieści, a on nie zacznie działać, ludzie zaczną uciekać z jego szeregów, tego był pewien.

Westchnął, nalał sobie trzeci kubek wina i lekceważąc protest pustego żołądka przeciw takiej karze o tak wczesnej porze dnia, przechylił naczynie do ust. Jeszcze trochę, a będzie musiał

powiedzieć synom, że każdy zapłaci własnym życiem, jeżeli dostatecznie szybko nie ruszą nocą dalej.

Pił więcej i więcej, w miarę jak dzień mijał, a zwiadowcy wrócili na spienionych

wierzchowcach, nie mając nic do zameldowania. Z całego obozu tylko król Mitrydates upił

się, by zasnąć, kiedy zapadła noc.

Juliusz wiedział, że szacunki krótkiego nocnego wypadu mogą być przesadzone i że nie można na nich polegać. Żołnierze zwykle przypisywali sobie większe zasługi, niżby się należało. Ale nawet dopuszczając taką możliwość, Juliusz uważał, że uszczuplili siły 252

Mitrydatesa o osiemset do tysiąca ludzi, swoich tracąc zaledwie jedenastu. Ci ludzie nie zostaną pogrzebani na oczach rzymskich bóstw. Nie było czasu na zbieranie ciał, to oczywiste, niemniej dla weteranów, którzy nigdy nie lubili zostawać swoich w rękach wrogów, był to cierń w sercu.

Młodsi mężczyźni uwolnili się od nocnego napięcia natychmiast po dotarciu do bezpiecznej linii drzew na wzgórzach i Juliusz przyzwolił na postój. Zakrzyknęli z radości i krzyczeli tak długo, aż ochrypli, co weterani, bardziej

skupieni na czyszczeniu i oliwieniu ekwipunku niż na świętowaniu, skwitowali pobłażliwymi uśmiechami.

Kwertorus wysłał w głąb lasu pięćdziesiątkę najlepszych myśliwych i już w połowie ranka w żarze małych ognisk piekły się jeże, zające i płowa zwierzyna.

Różnice wynikające z wieku uwidoczniły się po południu. Młodzi z nowego zaciągu w pełni odzyskali siły, kręcili się tu i tam, śmiali i żartowali. Weterani przespali parę godzin na jednym boku, jak martwi za życia, i po przebudzeniu byli sztywni i obolali. Na ich skórze wykwitły sińce po nocnej walce. Młodsi lekceważyli swoje obrażenia, lecz z weteranów nie kpili. W końcu liczą się zdolności, nie wiek.

Komiks siedział przy ognisku, żuł powoli i z przyjemnością pieczone mięso i najwyraźniej cieszył się, że może rozgrzać stare kości.

- Żyjesz, jak widzę - powiedział Juliusz szczerze ucieszony, że stary człowiek wyszedł cało z chaosu ataku.

Kolano wciąż było grubo owinięte, leżało płasko na ziemi i odpoczywało. Komiks pomachał

na powitanie kawałkiem ociekającego tłuszczem mięsa.

- Tak od razu nie mogli mnie zabić - zgodził się, wbijając w młodego człowieka zaciekawione spojrzenie. - Choć sporo ich tam było, nie powiem.

- Osiem czy dziewięć tysięcy, tak myślimy - odpowiedział Juliusz.

Komiks się zasępił.

- Trzeba by mieć trochę czasu, żeby zabić aż tylu - zauważył poważnie i znów przyssał się do mięsa.

Rozdział XXIV

253

Juliusz uśmiechnął się szeroko.

- Masz rację. Dobry rzemieślnik nie spieszy się z robotą - powiedział.

Komiks zgodnie kiwnął głową i uśmiechnął się, choć chyba wbrew samemu sobie.

Juliusz zostawił weterana przy uczcie i odnalazł Gaditykusa. Razem obeszli obóz i sprawdzili każdą ze straży, które stały trójkami, tak by jeden człowiek mógł ostrzec przed

nieoczekiwanym atakiem. Każda grupa była w zasięgu wzroku innej i w ten sposób

obstawiony był cały obóz. Potrzeba było do tego mnóstwa ludzi, lecz Juliusz zarządził

krótkie, dwugodzinne zmiany. Strażom czas minął szybko i noc upłynęła spokojnie.

Następnego wieczoru, gdy szybko zapadł zimowy zmierzch, wymaszerowali spomiędzy

drzew i raz jeszcze zaatakowali obóz Mitrydatesa.

ROZDZIAŁ XXV

Antonidus przemierzał nerwowo, tam i z powrotem, kosztownie urządzoną komnatę. Twarz płonęła mu czerwonymi cętkami gniewu. Na miękkiej, purpurowej sofie umościł się otyły senator Katon. Oczy obserwujące Antonidusa wydawały się małe i wbite głęboko w mięsiste fałdy spoconej twarzy. Błyszczały ciekawością, śledząc każdy krok byłego wodza Sulli na marmurowej posadzce. Katon skrzywił się lekko na widok ścieżki kurzu ciągnącej się za

Anto-nidusem. Człowiek powinien wiedzieć, że jak się wymusza na kimś spotkanie, najpierw wypadałoby się umyć.

- Nie mam żadnej nowej informacji, senatorze. Ani kawałka - odezwał się Antonidus.

Katon westchnął teatralnie, sięgając grubą dłonią do oparcia sofy, żeby się podciągnąć i usiąść prosto. Palce, które ścisnęły drewno, były śliskie i lepkie od słodkich resztek obiadu, przerwanego przez Antonidusa. Katon oblizał je do czysta i czekał, aż ten irytujący mężczyzna weźmie się w garść. Pies Sulli nigdy nie był cierpliwym człowiekiem, on to wiedział. Nawet za życia dyktatora Antonidus spiskował, domagał się większej władzy i mieszał się w to, w co nie powinien. Po tamtym, dość nikczemnym morderstwie Antonidus, poszukując zabójców, działał w sposób oburzający, przekraczając swoje uprawnienia. Kiedy senat podawał w wątpliwość jego postępowanie, Katon miał do wyboru albo stanąć po stronie tego człowieka, albo zobaczyć, jak niszczą go ci, których obraził. Choć i tak obrona była krucha i Katon zastanawiał się, czy chodzący po jego komnacie wódz wiedział, jak bliski był

/

Rozdział XXV

255

zguby. Antonidus obraził prawie każdego, który liczył się w mieście w ostatnich miesiącach, poddając przesłuchaniom nawet tych, którzy byli poza podejrzeniem.

Katon zastanawiał się w duchu, jak Sulla mógł znosić ponure towarzystwo swojego wodza.

On sam szybko się nim zmęczył.

- Czy wziąłeś pod uwagę, że możesz nie znaleźć rozkazodawcy? - spytał.

Antonidus zatrzymał się w pół kroku i obrócił twarzą do senatora.

- To niemożliwe. Sprawa ciągnie się dłużej, niż myślałem, lecz ostatecznie ktoś przemówi albo znajdę jakiś dowód, który

wskaże na krwawy palec, i dostanę tego człowieka.

W jego oczach pojawił się błysk szaleństwa. Niebezpiecznie obsesyjny, pomyślał Katon, przyglądając mu się uważnie i rozważając ciche usunięcie tego człowieka, nim narobi więcej kłopotów. Podjęto odpowiednie działania i nie szczędzono publicznego wysiłku, lecz jeśli

Sulla nie został pomszczony, cóż, miasto będzie trwało bez względu na to, czy Antonidusowi się powiedzie czy nie.

- Wiesz, że to może potrwać lata - ciągnął Katon. - Albo że umrzesz, nim znajdziesz sprawcę.

To nie byłoby aż takie dziwne. Jeżeli ktokolwiek zamierzał się odsłonić lub dać się zdradzić, myślę, że to nastąpiłoby zaraz po morderstwie, lecz nic nie wskazuje na ten twój krwawy palec i równie dobrze może nigdy nie wskazać. Może pora zakończyć

polowanie, Antonidusie.

Czarne oczy wwierciły się w niego, lecz w twarzy Katona nie drgnął nawet najmniejszy mięsień. Nie przejmował się ani trochę obsesją tego człowieka. W końcu - i ku własnemu zadowoleniu -to on mu pozwolił węszyć po wszystkich domach Rzymu. Ale Sulla nie żył i obrócił się w popiół. Nadszedł chyba czas, by przywołać psa do nogi.

Antonidus zdawał się odgadywać myśli kryjące się za znudzonym wyrazem twarzy, z jakim Katon odwzajemnił jego gniewne spojrzenie.

- Daj mi jeszcze trochę czasu, senatorze - poprosił, a w jego oczach nagle pojawiła się ostrożność.

Być może jednak Antonidus wie, jak ochroniłem go przed gniewem innych senatorów,

zamyślił się Katon. Och, nieważne. Odwrócił wzrok i w tej samej chwili Antonidus

powiedział jednym tchem:

-Jestem prawie pewien, że zabójstwa dokonano na rozkaz trzech. Każdy z nich mógł to zorganizować, a przed wojną wszyscy byli stronnikami Mariusza.

- No więc kim są ci niebezpieczni trzej? - zapytał senator, aby psu Sulli sprawić przyjemność, choć mógł wyrecytować imiona tak samo łatwo jak tamten. W końcu informatorzy donosili co trzeba najpierw jemu, a nie Antonidusowi. I tak być powinno, w końcu to od jego pieniędzy pęczniały ich sakiewki.

- Najprawdopodobniej Pompejusz i Cynna. Tak myślę. Może Cynna przede wszystkim, jako że Sulla był… zainteresowany jego córką. No i trzeci, Krassus. Wszyscy trzej mieli pieniądze i wpływy, by opłacić mordercę, i żaden nie był przyjacielem Sulli. Mogli też działać razem, Krassus mógł dostarczyć pieniędzy, a Pompejusz zadbać o odpowiednie kontakty, na

przykład.

· - Wymieniłeś kilku wpływowych mężczyzn, Antonidusie. Ufam, że nie wspomniałeś o

swoich podejrzeniach nikomu innemu, czy tak? Za nic nie chciałbym cię stracić - powiedział

Katon z kpiną w głosie.

Antonidus zdawał się jej nie zauważać.

- Moje podejrzenia i moje myśli zachowuję dla siebie. Choć do czasu. To znaczy, dopóki nie będę miał dowodu, by tych trzech oskarżyć. Zyskali na śmierci Sulli i otwarcie głosują w senacie przeciw jego stronnikom. Coś mi mówi, że to był jeden z nich albo że się wspólnie naradzali. Gdybym tylko mógł ich przepytać, gdybym mógł się upewnić! - Zazgrzytał zębami ze złości.

Katon musiał czekać, aż z twarzy wodza znikną czerwone plamki i zapanuje nad gniewem.

- Nie możesz ich dosięgnąć, Antonidusie. Ci trzej są doskonale chronieni przez tradycję senatu i przez swoje straże. Nawet jeżeli masz rację, i tak mogą ci się wymknąć.

Powiedział to głównie dlatego, by zobaczyć, czy Antonidusa można rozdrażnić tak, by nie panował nad sobą. Kiedy więc na jego czole i szyi pokazały się purpurowe żyły, zaśmiał się, a wódz warknął z gniewu, zdezorientowany nagłym dźwiękiem. Jak Sulla mógł go znosić? Ten człowiek był otwarty jak dziecko i dziecinnie łatwo było nim manipulować.

- Rozwiązanie jest proste, Antonidusie. Sam wynajmij morder-

ców, tylko bądź ostrożny i nie zdradź się ze swoim imieniem. - Katon zauważył z satysfakcją, że mężczyzna skupia na nim całą uwagę. Od wina zaczynała go boleć głowa i chciał, by ta kreatura wreszcie sobie poszła. - Wyślij ich do rodzin tamtych trzech, Anto-nidusie. Wybierz jakąś ukochaną żonę, córkę, syna. Zostaw jakiś ślad, by pokazać, że to było zrobione w imię pamięci Sulli. Jedna z twoich strzał uderzy w jednego, a reszta… No cóż, oni nigdy nie byli moimi przyjaciółmi. Nie zaszkodzi, jak przez jakiś czas będą się bali własnego cienia. Skończ w ten sposób z całą sprawą i niech ci się wydaje, że Sulla odzyskał spokój, jak przystało dobrym duchom.

Uśmiechnął się, widząc, jak Antonidus przeżuwa podsuniętą myśl i jak chuda twarz

mężczyzny zaczyna płonąć nowym okrucieństwem. Ponure linie żłobiące jego czoło od

chwili otrucia Sulli nagle się wygładziły. Katon kiwnął głową, wiedząc, że wódz wreszcie dosięgnie swojego człowieka, i pomyślał o kawałku zimnego mięsa przed snem. Ledwo

zauważył, jak Antonidus, kłaniając się nisko, opuścił komnatę szybkim, podekscytowanym krokiem.

Trochę później, odstawiając na bok nie dojedzone resztki, westchnął z irytacją na myśl o kłopotach tego idioty syna. Za czasów młodości widywał na arenie walki Reniusza i aż zadrżał, przypominając sobie tamtą powstrzymywaną dzikość, która wymuszała ciszę nawet na rozszalałym z emocji tłumie Rzymu. Człowiek, dla którego życie tak niewiele znaczyło, mógł być niepodatny na niczyje wpływy. Więc co on, Katon,

ma do zaoferowania własnemu synowi? Młodzieńczy wódz Brutus tkwi po uszy w długach. Może zachwiałoby nim złoto.

Władza to kapryśna rzecz i tam, gdzie pieniądze i wpływy zawodzą, a pewnie tak się stanie, pomyślał, przydałoby się tak użyteczne narzędzie jak Antonidus. Stracić go to doprawdy byłaby hańba.

Aleksandria uniosła dłoń, by zastukać do bram tak dobrze znanego majątku, i zatrzymała ją na moment w powietrzu. Pięć mil, które przeszła z miasta, było dla niej jak cofnięcie się w czasie. Ostatni raz stała tutaj jako niewolnica i teraz zalała ją fala wspomnień. Chłosta wymierzona przez Reniusza, stajnie i pocałunki Ga-jusza, praca aż do utraty przytomności na wietrze i deszczu, żabi-258

janie mężczyzn kuchennym nożem, w ciemnościach, pod murami, w najgorętszych

momentach buntu. Gdyby Juliusz nie zabrał jej do miasta, pracowałaby tu jeszcze i kolejne lata pracy powoli pozbawiałyby ją sił i ducha.

Stanęły jej przed oczami dawne twarze, tak jakby wszystko działo się wczoraj, i musiała zdobyć się na wiele odwagi, by w końcu uderzyć dłonią w solidne drewno bram.

- Kto tam? - zawołał obcy głos, przy wtórze szybkich kroków na zwieńczeniu muru. Z góry spojrzała na nią nieprzenikniona twarz, szacując wzrokiem ją i małego chłopca u jej boku, który stał cicho i z nachmurzoną miną, wciąż zły, że decydowano o jego losie bez jego woli.

Aleksandria, wbrew bijącemu niespokojnie sercu, podniosła wyzywająco głowę i

odwzajemniła się niewolnikowi twardym, pewnym siebie spojrzeniem.

- Aleksandria. Przyszłam zobaczyć się z Tubrukiem. Czy jest w majątku?

- Zaczekaj chwilę, pani - odpowiedział, znikając za murem. Aleksandria zachłysnęła się krótkim oddechem. A więc witano

ją tu jak wolną kobietę. Jeszcze bardziej wyprostowała ramiona i zrobiła pewniejszą minę.

Wiedziała, że trudno jej będzie stanąć przed obliczem Tubruka. Musi narzucić sobie spokój i opanowanie.

Kiedy Tubruk pchnął bramę i wyszedł do niej, była bliska omdlenia i ścisnęła Oktawiana za rękę tak, że prawie krzyknął. Mężczyzna wydawał się wciąż taki sam, podczas gdy wszyscy

inni pędzili szaleńczo do przodu. Jego uśmiech był naprawdę przyjazny i podziałał na nią kojąco.

- Słyszałem, że dobrze sobie radzisz - powiedział. - Każę podać coś do jedzenia, pewnie jesteś głodna.

-Jestem spragniona, Tubruku. To był niezły spacer. Oktawianie?

Tubruk pochylił się, by spojrzeć na dzieciaka kryjącego się za Aleksandrią.

- Witaj, chłopcze. Ty, jak zgaduję, na pewno jesteś głodny. Czy tak? - Oktawian szybko potrząsnął głową i Tubruk zachichotał. -Nie znam chłopca, który by nie miał wilczego apetytu. Zatem

Rozdział XXV

wejdźcie do środka i zapraszam do stołu. Aleksandrio? - Tubruk zmienił temat. - Jest tutaj Marek Brutus, a także Reniusz.

Aleksandria zesztywniała. Imię Reniusza niosło gorzkie wspomnienia. Marek, to imię wyrzuciła z pamięci dawno temu, to była słodycz zmieszana z bólem. Kiedy przechodzili przez bramę, jeszcze mocniej ścisnęła dłoń Oktawiana, dodając otuchy bardziej sobie niż jemu.

Cienie podwórza sprawiły, że zadrżała. Stała… właśnie tu, wbijając nóż w mężczyznę, który się na nią rzucił, a Susanna umarła tam, przy bramie. W tym miejscu, jak w żadnym innym, zbyt łatwo można było zagubić się w przeszłości.

- Czy pani jest w domu?

Wyraz twarzy Tubruka lekko się zmienił i teraz wydał się Aleksandrii starszy.

- Aurełia nie czuje się dobrze. Nie będziesz mogła się z nią zobaczyć.

- Przykro mi to słyszeć, ale nie przychodzę do niej. Przychodzę zobaczy<f się z tobą.

Tubruk zaprowadził ich do cichego pomieszczenia, do którego za dawnych dni nieczęsto wchodziła, a sam poszedł zarządzić posiłek. Miejsce było wygodne i przytulne i Aleksandria, kiedy zostali sami z Oktawianem, choć ten wiercił się nieznośnie i szorował podeszwami sandałów o dywanik, powoli zaczęła odzyskiwać spokój.

Tubruk wrócił, niosąc na tacy dzbanek soku i miseczki świeżo pokrojonych owoców.

Oktawian, nie czekając, aż go poproszą, rzucił się na owoce. Tubruk uśmiechnął się, rozradowany entuzjazmem chłopca, po czym usiadł i czekał, aż pierwsza przemówi

Aleksandria.

- Chodzi o Oktawiana - powiedziała po chwili milczenia.

- Czy chciałabyś, bym kazał komuś pokazać chłopcu stajnie? - Tubruk zapytał szybko.

Wzruszyła ramionami.

- On wie, co chcę powiedzieć.

Tubruk podsunął jej kubek zimnego soku i powoli sącząc napój, zbierała myśli.

- Jestem po części właścicielką warsztatu pewnego brązownika,

Tabbika. Jakiś czas temu wzięliśmy Oktawiana do terminu. Skłamałabym, mówiąc, że masz przed sobą ideał. Chłopiec bywał nieposkromionym dzikusem, to prawda, ale ostatnio

bardzo się zmienił. - Przerwała, widząc, jak Oktawian usiłuje wcisnąć do ust kilka plasterków melona.

Tubruk zauważył jej spojrzenie i poderwał się od stołu.

- Na razie dosyć, chłopcze. Idź i poszukaj stajni. Możesz poczęstować konie paroma kawałkami jabłek.

Oktawian popatrzył na Aleksandrię, a kiedy kiwnęła głową, wyszczerzył się, zagarnął dłonią owoce i zniknął za drzwiami bez słowa.

- Chłopiec nie pamięta swojego ojca i nim wzięliśmy go do siebie, był zwykłym ulicznym urwisem. Ale teraz, och, Tubruku, mówię ci! To dziecko jest nie do poznania. I jaki zafascynowany umiejętnościami Tabbika! Ma zręczne ręce i kiedyś, myślę, mógłby być prawdziwym rzemieślnikiem.

- Więc dlaczego przyprowadzasz go do mnie?

- Bo widzisz, jest pewien problem. Od kiedy u nas nastał, pobito go, i to ciężko, aż trzy razy.

Za pierwszym razem ukradziono mu srebrny pierścień. Za drugim napastnicy niewątpliwie liczyli na inną zdobycz. Zamieszana jest w to pewna banda chłopców. Tabbik dowiedział

się, kim są, i poskarżył się ich pracodawcom, i wtedy pobili chłopca trzeci raz. To go załamało, Tubruku. Tabbik zrobił mu nóż, ale chłopiec nie chce go wziąć. Mówi, że tamci go tym nożem zabiją, i ja gotowa jestem się z nim zgodzić. Teraz każdego wieczoru Tabbik odprowadza go do domu, a kiedy wraca, już jest ciemno. Ostatnio jednak ulice nie są bezpieczne nawet dla niego. - Po chwili podjęła: - Jego matka jest zrozpaczona, my z Tabbikiem podobnie, postanowiłam więc przyjść tutaj i spytać, czy nie wziąłbyś go do majątku i nie przyuczył do jakiegoś zawodu. Mógłbyś mu kazać pracować przy

gospodarstwie jakiś rok czy dwa, a potem, kiedy trochę podrośnie, wróciłby do nas.

Wydało jej się, że mówi za dużo, i zamilkła, lecz kiedy Tubruk popatrzył na swoje dłonie, szybko podjęła wątek, nie chcąc, by się odezwał i odmówił.

- Jego rodzina jest spokrewniona z Juliuszem, choć to dalekie

pokrewieństwo. Ich dziadkowie byli braćmi czy szwagrami. Wiem, że tylko ty mógłbyś go wyrwać z rąk ulicznych band, Tubruku. To by ocaliło mu życie. Nie prosiłabym, gdyby był

ktokolwiek inny, ale…

- Wezmę go - przerwał jej Tubruk. Aleksandria zamrugała zaskoczona, a on roześmiał się cicho. - Myślałaś, że mogłoby być inaczej? Pamiętam, jak ryzykowałaś życie dla tego domu.

Mogłaś uciec i ukryć się w stajniach, ale nie zrobiłaś tego. To mi wystarczy. W majątku nigdy dość rąk do pracy, choć w ostatnim czasie ubyło nam trochę ziemi. Chłopiec zarobi na swoje jedzenie, nie martw się. Zostawisz go już dzisiaj?

Aleksandria gotowa była uściskać starego gladiatora.

- Tak, jeśli chcesz. Wiedziałam, że na tobie można polegać. Dziękuję, Tubruku. A matka?

Czy może go czasem odwiedzić?

- Nie widzę przeszkód, pod warunkiem że nie za często. Choć będę musiał spytać Aurelię.

Powiem jej o rodzinnym pokrewieństwie. Prawdopodobnie pochwali ten pomysł.

Aleksandria odetchnęła z ulgą.

- Dziękuję - powiedziała znowu.

Oboje odwrócili głowy na odgłos szybkich kroków. W drzwiach stanął Oktawian, z

wypiekami na twarzy.

- W stajniach są konie! - oznajmił i dwoje dorosłych się roześmiało.

- Ile to już lat, jak nasi chłopcy byli mali - powiedział Tubruk.
- Dobrze, że trafia nam się następny.

Oktawian popatrzył na starego zarządcę, potem na Aleksandrię i nerwowo przestąpił z nogi na nogę.

- Zostaję? - spytał cicho. Tubruk kiwnął głową.

- Tak, ale czeka cię dużo ciężkiej pracy, chłopcze.

- To nic. Tu jest przepięknie! - powiedział chłopiec i aż podskoczył z radości.

- Nigdy nie był poza miastem - powiedziała z zakłopotaniem Aleksandria. Wzięła dłonie Oktawiana w swoje, przytrzymała je i powiedziała poważnie: - Masz robić to, co ci się każe.

Twoja matka przyjdzie cię odwiedzić, jak tylko się trochę zadomowisz. Pracuj ciężko i ucz się wszystkiego, czego Tubruk zechce cię nauczyć. Zrozumiałeś?

Oktawian przytaknął i uśmiechnął się do niej promiennie. Aleksandria puściła jego dłonie.

- Dziękuję, Tubruku. Dziękuję jeszcze raz. Nie potrafię ci powiedzieć, ile to dla mnie znaczy.

- Posłuchaj, dziewczyno - powiedział szorstko Tubruk. - Jesteś teraz wolną kobietą. Idziesz tą samą drogą, którą ja przeszedłem. Nawet gdybyś nie walczyła w czasie tamtego buntu, i tak bym ci pomógł. Pomagamy sobie nawzajem, kiedy tylko możemy.

Popatrzyła na niego z nagłym zrozumieniem. Przez większą część jej młodego życia Tubruk był zarządcą majątku. Zdążyła zapomnieć, że wiedział o niewolnictwie tyle samo co ona, i nigdy nie zdawała sobie sprawy, że łączą ich te same więzy. Poszła z nim do bram spokojna i z lekkim sercem.

Przy bramach byli obaj, Brutus i Reniusz. Prowadzili dwie młode klacze i rozmawiali przyciszonymi głosami. W pewnym momencie Brutus podniósł wzrok i popatrzył na

Aleksandrię, nie wierząc własnym oczom. Bez słowa oddał wodze Reniuszowi, podbiegł do niej i poderwał z ziemi w mocnym uścisku.

- Bogowie, dziewczyno, to już lata, od kiedy cię widziałem ostatni raz.

- Natychmiast mnie postaw - odpowiedziała i Brutus prawie ją upuścił, słysząc lodowaty ton jej głosu.

- O co chodzi? Myślałem, że się ucieszysz, widząc mnie po…

- Nie chcę być traktowana jak jedna z twoich młodych niewolnic - rzuciła. Policzki jej płonęły. Chętnie by się roześmiała sama z siebie, z nadmiernego poczucia własnej godności, lecz wszystko działo się za szybko. Oniemiała z zakłopotania, podniosła dłoń i wyprostowała palce. Na żadnym nie było żelaznej obrączki, świadectwa stanu niewolniczego.

Brutus wyszczerzył do niej zęby, jak kiedyś.

- Nie chciałem cię obrazić, pani - powiedział, kłaniając się nisko.

Aż ją kusiło, by go uderzyć, lecz czując na sobie oczy Oktawiana i Tubruka, postanowiła mężnie znieść pogodne kpiny młodego człowieka. Był nieznośny jak zawsze. Nagle

wspomnienie czegoś, co Juliusz kiedyś jej powiedział, ożyło w jej pamięci i kiedy Brutus się wyprostował, mimo wszystko odwinęła rękę.

Rozdział XXV

W pierwszej chwili Brutus chciał ją chwycić za nadgarstek, ale najwyraźniej się rozmyślił i przyjął policzek z uśmiechem.

- Za cokolwiek to było, mam nadzieję, że sprawa jest zamknięta - powiedział. -Ja…

- Wiem od Juliusza o twoich przechwałkach co do mojej osoby - przerwała mu. Nie tak.

Wszystko nie tak. Najchętniej by usiadła i wyśmiała tego młodego wilka, którego znała dawno temu, lecz każda jego mina i każde słowo wywoływało w niej nową falę złości.

Twarz Brutusa rozjaśniła się nagłym zrozumieniem.

- Powiedział, że się przechwalałem…? Och. Sprytny drań. Nie przechwalałem się. Nie i nigdy.

On po prostu myśli z wyprzedzeniem, to cały Juliusz. Jak się zobaczymy, nie będę ukrywał

końca historii. To mu się spodoba. Dostać policzek na oczach Reniusza! Wspaniale.

Reniusz chrząknął.

- Odprowadzę twojego konia do stajni, zanim skończysz tę zabawę - mruknął, zabierając klacze w gęstniejący mrok.

Aleksandria, patrząc za nim, zmarszczyła czoło. Owinął obie pary lejców wokół jednego nadgarstka zręcznie, jakby robił to całe życie, lecz jej nie rzucił słowa powitania.

Rozpłakała się. Poza Oktawianem nic tu chyba się nie zmieniło od tamtej nocy, kiedy niewolnicy zaatakowali majątek. Wszyscy byli na swoim miejscu i wydawało się, że czas upływał tylko dla niej.

Tubruk przestąpił z nogi na nogę i przeniósł spojrzenie na wciąż zafascynowaną twarz Oktawiana.

- Zamknijże tę buzię, chłopcze. Przed nocą czeka cię jeszcze sporo roboty. - Kiwnął do Aleksandrii. - Zostawiam was dwoje, byście sobie porozmawiali. Ja zapoznam Oktawiana z jego obowiązkami. - Potrząsnął głową w stronę Brutusa, chwycił małego za rękę i obaj odeszli.

Zostawieni sami sobie na ciemniejącym podwórzu, Brutus i Aleksandria odezwali się

jednocześnie, zamilkli i znów zaczęli mówić.

- Przepraszam - spróbował Brutus.

- Nie, to ja zachowałam się niemądrze. Tak długo mnie tu nie było i przy Tubruku, i tobie… i Reniuszu wszystko odżyło, wszystko wróciło.

- Nigdy nie powiedziałem Juliuszowi, że wpuściłaś mnie do swojego łóżka - ciągnął, podchodząc bliżej. Jest bardzo piękna, zauważył, to jedna z tych kobiet, które najlepiej wyglądają o zmierzchu. Oczy miała wielkie i ciemne i w taki sposób podniosła ku niemu głowę, że zapragnął ją pocałować. Pamiętał, jak zrobili to raz, kiedyś, zanim Mariusz dał mu listy polecające do legionu w Grecji.

- Tubruk nie powiedział, że Juliusz był tutaj. Brutus potrząsnął głową.

- Bo nie był. Wciąż czekamy na wiadomości. Porwali go piraci i przetrzymywali gdzieś przy afrykańskich wybrzeżach, ale już powinien być w drodze powrotnej. Nic nie jest tak, jak było.

Ty jesteś kobietą wolną, ja byłem centurionem, a Reniusz już nie mógłby walczyć dwoma mieczami naraz.

Aleksandria zachichotała rozśmieszona, a on wykorzystał chwilę i znów ją objął. Tym razem odwzajemniła uścisk, choć kiedy spróbował ją pocałować, odwróciła głowę.

- Nie przywitasz się jak należy? - powiedział zdziwiony.

- Jesteś okropny, Marku Brutusie. Nie usychałam z tęsknoty za tobą, dobrze wiesz.

- A ja usychałem. Jestem połową tego, jaki byłem kiedyś. I jak mi nie pozwolisz widywać się z tobą, uschnę do końca.

Westchnął jak pęknięty miech i roześmiali się oboje, lecz nim zdążyła cokolwiek

odpowiedzieć, na murach nad nimi rozległ się ostrzegawczy sygnał.

- Zbliża się wóz i jeźdźcy - zawołał pełniący straż niewolnik.

- Ilu? - Brutus rzucił krótko, poważniejąc w jednej chwili.

- Trzech na koniach. Wóz ciągną woły. Wszyscy uzbrojeni.

- Tubruk! Reniusz! Pierworodni do bram! - rozkazał Brutus.

Z zabudowań majątku wyszli żołnierze, rząd dwudziestu ludzi w zbroi. Na ich widok

Aleksandria zachłysnęła się własnym oddechem.

- A więc legion Mariusza jest teraz z tobą - powiedziała z niedowierzaniem.

Brutus błysnął spojrzeniem.

- To ci, którzy przeżyli. Po powrocie Juliusz będzie potrzebował wodza - powiedział. - Lepiej nie podchodź do bramy, dopóki się nie dowiemy, co się dzieje, dobrze?

Rozdział XXV

265

Gdy ją zostawił, poczuła się samotna i przestraszona jak wtedy, kiedy mury spływały krwią i gdy sama miała krew na rękach. Idąc ku oświetlonym budynkom, zadrżała lekko.

Tubruk wyszedł ze stajni razem z Oktawianem, zostawił chłopca na kamiennym podwórzu, a sam wspiął się po stopniach na bramę i popatrzył w dół, na zbliżających się z

pobrzękiwaniem zbroi żołnierzy.

- Późno jak na odwiedziny, nieprawda? - zawołał do nich. - Co was tu sprowadza?

- Przybywamy od Katona, aby zobaczyć się z Markiem Brutusem i z gladiatorem Reniuszem

- zadudnił głęboki głos.

Tubruk, wciąż patrząc w dół na przybywających, kiwnął głową z zadowoleniem na widok łuczników, którzy zajmowali stanowiska dookoła podwórza. Byli dobrze wyćwiczeni i każdy, kto by próbował zaatakować dom, padłby w jednej sekundzie. Brutus trzymał swoich

żołnierzy w drugim kręgu, kiedy Tubruk dał mu znak do otwarcia bram.

- Poruszajcie się powoli, jeżeli drogie jest wam życie i zdrowie - ostrzegł ludzi Katona.

Bramy otwarto i zamknięto szybko, gdy tylko wóz i jeźdźcy znaleźli się w środku. Otoczeni przez naciągnięte łuki, jeźdźcy zsiedli z koni ostrożnie, w widocznym napięciu. Reniusz i Brutus zbliżyli się do nich i przywódca skinął głową, rozpoznając jednorękiego gladiatora.

- Mój pan, Katon, chce wierzyć, że zaszła pewna pomyłka. Jego syn został zaprzysiężony na wierność Pierworodnym, kiedy w rzeczywistości obiecano go innemu legionowi. Mój pan rozumie, że to młodzieńczy entuzjazm mógł go zaprowadzić na Pole Marsowe, lecz z żalem oświadcza, że syn nie może ci służyć. Wóz jest pełen złota, jako zadośćuczynienie za stratę.

Brutus obszedł spocone woły i odrzucił z wozu przykrycie, odsłaniając dwie ciężkie skrzynie.

Otworzył jedną i cicho gwizdnął; była pełna złotych monet.

- Twój pan wysoko ocenia wartość syna dla Pierworodnych. Żołnierz popatrzył beznamiętnie na olbrzymie bogactwo.

- Krew Katona jest bezcenna. Te skrzynie to tylko upominek. Jest tu Germiniusz?

- Wiesz, że jest - odrzekł Brutus, odrywając wzrok od złota. Szybko by stopniało na długi zaciągnięte u Krassusa, mimo to suma była zbyt wielka, by ją odrzucić. Popatrzył na Reniusza, lecz ten wzruszył ramionami; nie do niego należała decyzja. Nietrudno by było otworzyć drzwi do pokoju Germiniusza i zwrócić go ojcu. Rzym doceniłby piękno takiego czynu i Brutus dałby się poznać jako przebiegły negocjator, który potrafił postawić Katona w takim położeniu. Westchnął. Legioniści nie są własnością swoich dowódców, nie można ich kupować i sprzedawać.

- Zabierzcie to z powrotem - powiedział, ogarniając złoto ostatnim tęsknym spojrzeniem. -

Podziękujcie waszemu panu za piękny gest i powiedzcie mu, że jego syn będzie dobrze traktowany. Nie chodzi o żadną

wrogość, chodzi o to, że Germiniusz złożył przysięgę i nie może jej złamać nic poza śmiercią.

Żołnierz kiwnął głową sztywno.

- Zaniosę przesłanie, lecz mój pan będzie wielce niezadowolony, że nie chcesz dostrzec sposobu, który by położył kres tej nieszczęsnej pomyłce. Dobrej nocy, panowie.

Bramy znów zostały otwarte i bez jednego słowa mała grupka straży Katona ruszyła w ciemność, z żałobnym porykiwaniem wołów, kiedy woźnica dźgał je i szturchał, by obróciły zady na majątek.

-Ja bym wziął złoto - powiedział Reniusz, kiedy bramy się zamknęły.

- Nie, nie wziąłbyś, stary przyjacielu. Ja też nie mogłem - odrzekł Brutus. W ciszy, jaka zapadła, zaczął się zastanawiać, jaki będzie następny krok Katona.

Pompejusz, znalazłszy się w swojej posiadłości na Awentynie, przeszedł przez ogrody, z lubością zaciągając się zapachem świeżo upieczonego chleba, i zawołał na córki. Po długim dniu wysłuchiwania meldunków z działań wojennych przeciw Mitrydatesowi był bardzo

zmęczony. Gdyby to nie było tak rozpaczliwie ważne, całą sytuację można by uznać za śmieszną. Po tygodniach dyskusji senat w końcu pozwolił dwóm wodzom zabrać ich legiony

do Grecji. O ile Pompejusz się orientował, wybrali najmniej zdolnych i najmniej ambitnych z całej reszty. Rozumowanie było aż nadto oczy-Rozdział XXV

wiste, lecz tak ostrożni ludzie posuwali się w głąb lądu powoli, nie chcąc brać na siebie nawet najmniejszego ryzyka. Z największą skrupulatnością otaczali małe osady, oblegali je w razie konieczności i dopiero wtedy ruszali dalej. Na coś takiego Pompejusz mógł tylko splunąć.

Chciał sam dowodzić legionem, ale ledwo zdradził się ze swoimi chęciami, sullańczycy wpadli w szał i jednogłośnie odrzucili jego kandydaturę, gdy tylko imię Pompejusza

pojawiło się na listach. Bronienie własnych pozycji kosztem miasta było nieprzyzwoitym

widowiskiem, co do tego miał jasne stanowisko, a przecież zmusili go do stanięcia w jednym szeregu. Gdyby, wsparty złotem Krassusa, sam zebrał parę tysięcy tak zwanych

wolontariuszy, ogłosiliby go wrogiem republiki wcześniej, nim wsiadłby na okręt.

Rozgoryczenie rosło w nim z dnia na dzień, kiedy meldunki ujawniały prawie zupełny brak osiągnięć. Do tej pory nawet nie znaleźli głównych sił Mitrydatesa.

Potarł grzbiet nosa, by się choć trochę rozluźnić. W ogrodach przynajmniej panował chłód, choć powiewy wiatru i tak nie studziły jego gniewu. Dać szarpać szatę senatu takim małym pieskom! Jazgoczące kundelki bez żadnej wyobraźni i chęci zdobycia laurów. Sklepikarze rządzą Rzymem!

Pompejusz, wciąż jeszcze w ogrodach, zatopiony w myślach ściskał dłonie za plecami.

Napięcie całego dnia stopniowo się rozładowywało. Od lat miał zwyczaj oddzielać sprawy publiczne od życia rodzinnego krótkim spacerem po ogrodowych ścieżkach. Dopiero

odświeżony potrafił towarzyszyć rodzinie przy wieczornym posiłku i śmiać się i bawić z córkami, pozwalając sobie na niemyślenie o żałosnym senacie aż do nowego świtu.

Niewiele brakowało, by nie zauważył ciała najmłodszej dziewczynki, leżącego w krzewach blisko zewnętrznego muru. Kiedy jego spojrzenie powędrowało w tamtą stronę i kiedy rozpoznał małą, uśmiechnął się, czekając, by dziecko podskoczyło i go objęło. Najmłodsza córka uwielbiała robić mu niespodzianki i zaśmiewać się na cały głos z udawanego

przerażenia ojca.

Spojrzał jeszcze raz. Jasną sukienkę pokrywały ciemnobrązowe plamy i na ten widok twarz mu się zapadła i zszarzał.

- Lauro? - spytał cicho.

Skóra Laury była woskowo blada, a w miejscu, gdzie szyi dotykała delikatna tkanina dziecięcych szatek, widniało rzeźnickie cięcie.

- Podnieś się, dziecko, proszę - wyszeptał.

Dziecko nie odpowiedziało i Pompejusz zszedł ze ścieżki i usiadł na wilgotnych liściach obok drobnego ciałka.

Głaskał delikatne włosy tak długo, aż zaszło słońce i cienie wokół nich najpierw się wydłużyły, a potem zgęstniały. Coś w nim mówiło, że powinien wołać o pomoc, krzyczeć i płakać, ale nie chciał zostawić Laury nawet na czas niezbędny do przyzwania żony. Pamiętał, jak latem nosił ją na ramionach i jak dziecięcym piskliwym głosikiem potrafiła naśladować wszystko, co powiedział. Siedział przy niej, kiedy dziecku wyrzynały się pierwsze ząbki, i teraz był z nią ostatni raz, łagodnie pomrukując, podciągając wyżej kołnierzyk, by zakryć ranę o czerwonych brzegach, by zakryć tę czerwień, która była jedynym żywym kolorem na całym ciele.

W końcu wstał i poszedł sztywnym krokiem do domu. Czas płynął i powietrze przeszył

rozdzierający kobiecy krzyk.

ROZDZIAŁ XXVI

iVlitrydates wyjrzał z namiotu w mglisty świt, zastanawiając się, czy nadejdzie następny atak.

Owinął się szczelniej grubym płaszczem i zadrżał, wmawiając sobie, że to tylko zimno poranka. Trudno było nie czuć rozpaczy.

Nocne ataki były coraz śmielsze i teraz już mało kto spał spokojnie w rozsypanym po dolinie obozie. Każdego wieczoru losowano straże i ci, których wybrał ślepy traf, popatrywali jeden na drugiego oczami w czerwonych obwódkach i wzruszali ramionami, z góry spodziewając się śmierci. Jeżeli nie przychodziła, wracali pod osłonę głównego obozu, z nowym

przypływem pewności siebie i wiarą w życie, co trwało aż do kolejnego złego losu,

wybranego z krążącego z rąk do rąk naczynia.

Zbyt często nie wracali. Przy wywoływaniu imion o każdym świcie brakowało kolejnych setek strażników. Mitrydates był pewien, że więcej niż połowa po cichu uciekała, lecz poza tym sprawy wyglądały tak, jakby obóz był otoczony przez niewidzialnego wroga, który z czystej zachcianki mógł wybrać, wyłapać i zabić dowolną liczbę ofiar. Niektórych strażników znajdowano z ranami od strzał, lecz same strzały najwyraźniej wyciągano z ciał pieczołowicie i do ponownego użytku. Wydawało się bez znaczenia, ilu ludzi stało na strażach obok siebie lub gdzie ich rozstawiał, każdego dnia do obozu wracało mniej.

Król popatrzył ze złością na wilgotną mgłę, która zatykała mu płuca zimowym chłodem. Ten i ów z jego ludzi był przekonany, że atakują ich duchy poległych w dawnych bitwach, tu i tam snu-270

to opowieści o starczych siwobrodych wojownikach, ukazujących się na sekundy przed zniknięciem i w milczeniu. Zawsze w milczeniu.

Mitrydates zaczął kroczyć wzdłuż szeregu swoich ludzi. Byli tak samo zmęczeni jak ich król, lecz broń trzymali w pogotowiu i stali czujnie, czekając, aż mgła się podniesie. Usiłował

wydobyć z siebie uśmiech i podnieść w nich ducha, lecz nie było to łatwe. Niemożność powstrzymania pochodu śmierci i widok rzedniejących z tygodnia na tydzień szeregów pozbawiły męstwa i woli walki zbyt wielu jego ludzi. Zadrżał raz jeszcze i przeklął białą mgłę, która uparcie wisiała nad namiotami, podczas gdy świat wokół dawno się przebudził.

Czasami myślał, że gdyby znalazł konia i szybko odjechał, i wyrwał się w słońce, a potem obejrzał za siebie, zobaczyłby jedynie dolinę pokrytą całunem.

Między namiotami leżał czyjś trup. Król przystanął i popatrzył na ciało, zły i zawstydzony, że zaniechano pogrzebania młodego wojownika. To nawet bardziej niż apatyczne spojrzenia jego ludzi mówiły mu, jak daleko sprawy zaszły od czasu, kiedy rozłożyli się obozem między dwoma wzgórzami i wypili za swój sukces i zagładę Rzymu. Jakże on nienawidził tego imienia.

Być może powinien wymaszerować stąd ze swoją armią, ale zawsze wracała ta sama dręcząca myśl, że przesunięcie ludzi na równiny było tym, czego wróg najbardziej oczekiwał. Gdzieś, ukryty przed jego zwiadowcami, znajdował się legion mężczyzn, z dowódcą, jakiego

Mitrydates nigdy dotąd nie spotkał. Można było przypuszczać, że jego ostatecznym celem jest wymazanie ich z pamięci tej ziemi. Nagły deszcz strzał spadał na ciało każdego, który miał na głowie hełm dowódcy czy proporzec w dłoni. Doszło do tego, że jego ludzie odmawiali zaszczytu stawania z proporcami w pierwszych szeregach i raczej znieśliby spokojnie karę chłosty, niż wystawiali się na pokusę nieuniknionej śmierci.

To było straszne, obserwować jak duch w ludziach karłowacieje. Wydał rozkazy strażom, by zabijały każdego, kto będzie próbował uciec, lecz najbliższej nocy zniknęło nawet więcej, a on wciąż nie wiedział, czy byli wśród martwych, czy uciekli. Czasami widział tylko stos ich zbroi, jak gdyby otrząsnęli z siebie i metal, i honor, ale czasami stosy były zbryzgane krwią.

Rozdział XXVI

271

Król Mitrydates potarł zmęczoną twarz i policzki odzyskały zwykłą czerwień. Na wypadek ataku o każdej porze nocy nie śmiał się upić przed snem i nawet nie pamiętał, kiedy spał

ostatni raz. Oni rzeczywiście są jak duchy, pomyślał ciężko. Śmiercionośne, szybko poruszające się duchy, które zostawiają za sobą na trawie białe ciała.

Jego synowie stworzyli posiłki, by w razie potrzeby nie zabrakło wsparcia walczącym, i wszystko na nic. Mitrydates się zastanawiał, czy jego ludzie zwlekają z tej prostej przyczyny, by nie być pierwszymi, których wróg dosięgnie i zabije. Kiedy Rzymianie znikali, posiłki przybywały z głośnym krzykiem i brzękiem tarczy i mieczy formowały gęste kręgi wokół

rannych i rzucały obelgi w noc, ale to wydawało się złością bezcelową, odwagą tchórza czy szydzeniem z napastnika za jego plecami.

Mgła zaczęła rzednąć i Mitrydates poszczypał się wielkimi paluchami w policzki, żeby je rozgrzać. Wkrótce powinien otrzymać nocny meldunek o strażach i chciał mieć nadzieję, że będzie to jeden z tych razy, kiedy każdy człowiek zjawiał się z powrotem, oszołomiony własnym szczęściem, zataczając się z ulgi po godzinach napięcia i strachu. Teraz takie noce zdarzały się rzadko.

Kiedyś spróbował wciągnąć wroga w zasadzkę, z siłą stu, ukrytych w pobliżu dwóch pozycji straży. Następnego dnia wszyscy co do jednego zostali znalezieni martwi od wielu godzin i zimni. Potem już tego nie próbował. To były duchy.

Podniósł się wiatr i Mitrydates otulił się jeszcze szczelniej. Mgła zakołowała w powietrzu i rozpłynęła się w kilka minut, odsłaniając ciemną dolinę. Mitrydates zamarł ze zgrozy, kiedy zobaczył szeregi czekających w milczeniu żołnierzy. Doskonałe szeregi legionistów, w zbrojach boleśnie błyszczących, zlewających się w jedną srebrną plamę. Dwie kohorty.

Tysiąc ludzi. O dwa tysiące stóp dalej, czekające na niego.

Serce załomotało boleśnie pod muskularną piersią i olbrzymiemu mężczyźnie zakręciło się w głowie. Słyszał krzyk płynący przez obóz, kiedy jego dowódcy - ta mizerna reszta, która przeżyła - podrywali żołnierzy i biegli na swoje pozycje. Wtedy ogarnęła go panika. Tysiąc ludzi na jednym skrzydle. A gdzie reszta?

- Rozesłać zwiadowców! - zagrzmiał.

Gońcy wskoczyli na końskie grzbiety i konie przeskoczyły w pędzie granice obozu.

- Łucznicy do mnie! - Mitrydates grzmiał dalej, a jego rozkazy niosły się przez dolinę.

Ku owiniętej płaszczem postaci zaczęły biegnąć setki łuczników. Król zebrał wokół siebie ich dowódców.

- To podstęp, to zwykła pułapka. Chcę, byście ochraniali to skrzydło obozu. Wysłać ku nim każdą możliwą strzałę i trzymać ich na odległość. Jak się uda, zabić wszystkich. Będę pilnował czoła, gdzie musi przyjść główny atak. Stracić każde drzewce, każdy grot, nie oszczędzać. Nie mogą uderzyć na nasze tyły, gdy inni będą w ataku. To by ludzi załamało.

Dowódcy skinęli głowami, pochylili się, a kiedy znów odgięli karki do tyłu, łuki już były naciągnięte. Na twarzach mężczyzn pojawił się pierwszy blask podniecenia, radości z siły, która bierze się z posyłania śmierci w żądlące roje, podczas gdy twoi ludzie są cali i bezpieczni.

Mitrydates zostawił łuczników, by uformowali jednostki, wziął konia i popędził przez obóz na czoło swoich sił. Zapomniał, co to takiego rozpacz, i usiadł w siodle prościej na widok swoich ludzi, stojących wokół w gotowości bojowej. Był dzień. Za dnia można się rozprawić nawet z duchami.

Juliusz stał na prawym skrzydle weteranów, na czele kohorty Ventulusa. Stały z nim trzy szyki po stu sześćdziesięciu mężczyzn; sześć centurii po osiemdziesięciu, z weteranami w pierwszym i trzecim i najsłabszymi wojownikami w drugim szeregu, gdzie nie mogli się

zachwiać ani zawahać i skąd nie mogli zbiec. Razem z Gaditykusem i ludźmi z Accipitera pokrywali prawie milę lądu, cisi i nieruchomi. Koniec zabawy. Każdy Wilk wiedział, że może umrzeć, zanim słońce przejdzie pół nieba, lecz w nikim nie było lęku. Każdy wypowiedział

wszystkie swoje modlitwy i teraz pozostało jedynie zabijać.

Było przeraźliwie zimno i kilku się trzęsło, czekając, aż mgły się podniosą. Nie rozmawiali i nie było nawet konieczne, by nowo wyznaczeni zastępcy rozdzielali niektórych z młodszych mężczyzn, by w ten sposób zachować spokój. Wszyscy zdawali się wyczuwać

Rozdział XXVI

273

moment, kiedy mgła pod podmuchem przybierającego na sile wiatru w końcu się poruszyła, i poderwali głowy w górę, niby psy idące za tropem. Wiedzieli, że tamci na nich patrzą.

Kilku weteranów chciało uderzyć w gęstej mgle, lecz Juliusz powiedział im, że wróg musi poznać, co to strach, jeszcze przed ostatecznym atakiem, i tych kilku przyjęło jego rozkazy bez protestu. Po trzech tygodniach niszczycielskich ataków na obóz patrzyli na młodego wodza, maszerującego z nimi ramię w ramię, z czymś w rodzaju respektu. Wydawało się, że potrafi przewidzieć każde posunięcie Mitrydatesa i bezlitośnie odpowiadać. Jeśli Juliusz powiedział, że nadszedł czas na ostatnie otwarte uderzenie i na pokonanie Greków, pójdą za nim i poszliby wszędzie, gdzie poszedłby on, bez narzekania.

Juliusz z zaciekawieniem przyglądał się rzędom namiotów, napawając się tą chwilą. Paru rzuciło się do ucieczki, lecz nie powiedziałby, że król także. Króla nie znał, choć mu o nim opowiadano. Czy dolina, którą właśnie zalał słoneczny blask, przyniesie mu szybkie zwycięstwo? Nawet przy stratach i dezercjach setek ludzi w ciągu kilku ostatnich nocy, wciąż zajmowali wielką przestrzeń, w porównaniu z którą jego własna siła wyglądała mizernie.

Choć wielka przestrzeń to jeszcze nie wszystko. Czy jego ludzie nie wiedzą, że wiele z tych namiotów stoi pustką? Obnażył niecierpliwie zęby. Szacunki się wyrównały.

Juliuszowi trudno było podjąć decyzję. Przechwyceni dezerterzy opowiadali o słabnącym duchu w szeregach i złej organizacji. Wiedział wszystko o ich dowódcach, ich wyposażeniu i chęci do walki. Najpierw podobała mu się idea

nocnych ataków, szarpania po kawałku armii Mitrydatesa i czekania, aż greckiemu królowi puszczą nerwy i ucieknie na zachód, prosto w pułapkę legionów idących z wybrzeża. Lecz tygodnie mijały, a Grecy nie zwijali obozu ani rzymskie wsparcie nie pojawiało się na horyzoncie.

Na początku trzeciego tygodnia Juliusz wziął pod uwagę możliwość, że nim zjawią się legiony, Mitrydates otrząśnie się z bezwładu i zacznie myśleć jak prawdziwy wódz. Tamtej nocy, kiedy greckie straże dezerterowały dziesiątkami i niemal ocierały się o jego ludzi, nawet o tym nie wiedząc, Juliusz zaczął robić plany do ataku wprost.

A teraz trzon greckiej armii formował czworobok dziesięciu szeregów i Juliusz pokiwał

posępnie głową, przypominając sobie lekcje, których mu udzielał jego dawny nauczyciel. Nie będą zdolni wprowadzić do walki tylu mieczy jak jego szeroko rozstawiona linia, lecz dziesięć szeregów może zapobiec pogromowi, kiedy wróg, który zabijał ich w ciemnościach, w końcu zmierzy się z nimi otwarcie. Przełknął boleśnie, przyglądając się badawczo całej dolinie i czekając na najlepszy moment do wydania rozkazu. Zobaczył, jak wysoki

mężczyzna wskakuje okrakiem na konia i rusza pędem, a potem setki łuczników formują jednostki. Za chwilę, pomyślał, powietrze poczernieje od strzał.

- Cały tysiąc - wyszeptał do siebie. Jego ludzie mieli teraz tarcze, wiele skradzionych Grekom, których zabijali noc po nocy. Ale i tak każdy rozkaz może powalić kilku, nawet jeżeli złączą tarcze i schowają się za nimi. - Sygnał do ruszenia… szybko! - warknął.

Cornicerf podniósł stary zniszczony róg i zadął podwójną nutę. Dwie kohorty ruszyły jak jedna, waląc butami o grecką ziemię. Juliusz spojrzał na prawo i na lewo i wyszczerzył

radośnie zęby: weterani, ruszając, instynktownie wyrównywali linię. Nikt nie został w tyle. Ci starcy łaknęli takiego ataku

prawie tak samo jak on i wreszcie ich niecierpliwość mogła znaleźć ujście.

Na początku podchodzili powoli. Juliusz czekał na ogień łuczników i prawie zamarł, kiedy tysiące długich czarnych drzazg zaszumiało w powietrzu. Cel był łatwy, ale weterani mieli do czynienia z łucznikami na wszystkich rzymskich lądach i teraz poruszali się bez pośpiechu, na ugiętych kolanach i przygarbieni, tarcza przy tarczy. To tworzyło jednolity mur, tak że strzały uderzały bezskutecznie i grzęzły w warstwowanym drewnie i w mosiądzu.

Przez chwilę było cicho, a potem weterani wyprostowali się, krzycząc co sił. Ich tarcze były najeżone wypuszczonymi strzałami, lecz żyli wszyscy. Posunęli się dwadzieścia szybkich kroków, powietrze znów zaszumiało i znów się skulili za tarczami, a jeden rozdzierająco krzyknął. Ruszyli dalej; robili tak jeszcze trzy razy, zostawiając za sobą jedynie pięć pobladłych ciał.

* Trębacz

Rozdział XXVI

Byli dostatecznie blisko, by przypuścić atak. Juliusz rzucił rozkaz i przez szereg popłynęła potrójna nuta. Wilki poderwały się do szybkiego biegu i kiedy przestrzeń między nimi a łucznikami zmniejszyła się do kilkuset stóp, w powietrze znów wzbiła się czarna chmura.

Greccy łucznicy utrzymywali swoje pozycje za długo, rozpaczliwie usiłując zabić tych, którzy noc w noc zabijali ich współbraci. Pierwszy szereg próbował zawrócić przed atakującymi Rzymianami, lecz rozkaz nie padł i Wilki na widok zamieszania zawyły dziko, aby tamtych przerazić jeszcze bardziej.

Juliusz nie posiadał się z radości, kiedy Rzymianie wbili się w tamtych, z niesamowitą wprawą wycinając sobie drogę w czworobokach. Szeregi Greków poszły w rozsypkę

zaledwie w kilka sekund. Widząc to, Juliusz rozkazał Accipiterowi przycisnąć ich i Gaditykus przesunął swoich ludzi nieco na lewo, by zwiększyć zasięg pogromu.

W szeregach Greków z gwałtownością nagłej wichury wybuchła panika. Wśród wrzasków

przerażonych i uciekających z pierwszej linii i wśród wypełniających powietrze krzyków konania ludzie, porzucając broń, zaczęli pierzchać na boki przed szeregiem Wilków.

Nawoływania dowódców pozostawały bez echa i w końcu uciekających było dość, by nawet najdzielniejsi odwrócili się plecami i dołączyli do pędzącego na oślep tłumu.

Wilki atakowały w szale, weterani przenikali szeregi wroga z wprawą i doświadczeniem setek stoczonych bitew, a młodsi mężczyźni ze świeżą energią i żywiołową radością, która sprawiała, że ręce im drżały i oczy płonęły dziko, kiedy wycinali Greków w pień, spływając ich krwią.

Wróg rozbiegał się we wszystkich kierunkach. Dwukrotnie dowódcy usiłowali skupić ich na nowo i Juliusz był zmuszony wesprzeć się Accipiterem, by przełamać największe skupisko, jednak bezładny kłąb przerażonych żołnierzy utrzymał się mniej niż minutę i potem ludzie znów się załamali.

Bitwa zamieniała się w rzeź, a obóz w pobojowisko zdeptanych ciał i połamanych zbroi, i po weteranach było widać zmęczenie.

Juliusz rozkazał Ventulusowi rozdzielić formację i ludźmi ze środkowego szeregu uzupełnić luki i wzmocnić najsłabsze miejsca.

Jego kohorta skrupulatnie czyściła obóz i wyglądało na to, że na zabijaniu minie im cały dzień.

Gaditykus poszedł dalej do przodu i to jego ludzie natrafili na Mitrydatesa i jego synów, otoczonych prawie tysiącem ludzi. Ten tysiąc, z królem na czele, zdawał się działać na

uciekinierów jak magnes i ludzie zwalniali, zawracali w swoim pędzie na oślep i dołączali do ostatniego stanowiska. Juliusz, widząc, co się dzieje, warknął „formować klin!" i jego ludzie otrząsnęli się ze zmęczenia jeszcze jeden raz. Ostatnie stanowisko Mitrydatesa musiało paść szybko. Ten tysiąc nie uciekł; trwał przy swoim królu, nie zmęczony walką i czekający na zwarcie.

Juliusz stanął za Komiksem, pośrodku trójki drugiego rzędu, i Ventulus uformował klin w kilka sekund, jakby ludzie walczyli ramię przy ramieniu przez całe życie. Podniesiono tarcze, dla ochrony zewnętrznych szeregów, i Rzymianie wcięli się w greckie linie. Tylko

pojedynczy człowiek na przedzie nie był chroniony. Nie było rady, Komiks musiał upaść od razu, lecz miecza z dłoni nie wypuścił. Podniósł- się, cały we krwi, i przytrzymując jedną wypływające jelita, drugą rozdawał ciosy na lewo i prawo, aż powalili go ponownie, tym razem na zawsze. Juliusz, z olbrzymim Cyronem u boku, zajął jego pozycję.

Mitrydates tymczasem z obłędem w oczach parł przez własne szeregi prosto ku Rzymianom.

Juliusz bardziej czuł, niż widział, że impet ich uderzenia zaczyna słabnąć, i mógł się jedynie cieszyć, że król odsuwa swoich ludzi na boki i usiłuje przedrzeć się do przodu. Był

przekonany, że grecki król powinien kluczyć i ociągać się na tyłach i że Rzymianie nigdy go nie dopadną. Zamiast tego Mitrydates wyrykiwał rozkaz za rozkazem i najbliżsi cofnęli się, by pozwolić mu zabijać.

Olbrzym, spowity w ciężki purpurowy płaszcz, nie przybywał, by się bronić. Zatoczył

mieczem szeroki łuk, wzniósł go nad głową jak piórko i spuścił z przerażającą siłą. Juliusz ledwo zdążył się uchylić. Tamten był silny i szybki. Wokół nich weterani zawyli raz jeszcze i ruszyli do przodu, spychając straże i zabijając ich dziesiątkami ciosów. Mitrydates wydawał

się nieświadomy napierających szeregów. Ryknął, znów zamachnął się wściekle i wymierzył

miecz prosto w pierś Juliusza. Młody człowiek zatoczył się do tyłu,

Rozdział XXVI

277

wgniatając zbroję w któregoś ze swoich ludzi. Z wysiłku i gniewu obaj mężczyźni cięli powietrze niecelnymi ciosami. Juliusz pomyślał, że pękło mu żebro, ale Mitrydates, porwany falą walczących, znalazł się daleko za pierwszym szeregiem i Juliusz wiedział, że wystarczy zawołać, a jego ludzie go osaczą i powalą.

Greckie straże zobaczyły osamotnionego króla i zaczęły się do niego rozpaczliwie przebijać.

Weterani powoli słabli i siły ich zawodziły. Mitrydates chyba to wyczuwał.

- Do mnie, moi synowie! - krzyknął. - Do mnie! - Szaleństwo Greków się podwoiło.

Miecz Mitrydatesa jeszcze raz zawisnął nad głową Juliusza. Rzymianin uskoczył i szybkim ciosem ciął króla przez ramię. Mitrydates potknął się i wtedy runął na niego Cyron. Przebita pierś króla chlusnęła czerwienią i wypuścił miecz z omdlałych palców. Przez chwilę jego oczy spotkały się z oczami Juliusza, a potem osunął się w błoto. Juliusz wzniósł grecki miecz w triumfie i w tej samej chwili Accipiter uderzył w greckie skrzydło. Złamał szyki ostatecznie i całkowicie. Szeregi się rozpierzchły i ludzie uciekli za ostatnimi ze swoich braci.

Nie mieli oliwy, by spalić ciała, Juliusz więc rozkazał wykopać na tyłach obozu wielkie doły i trzeba było całego tygodnia kopania, aby w końcu były dostatecznie głębokie i pomieściły trupy armii Mitrydatesa. Juliusz zabronił świętowania, wiedząc, że wciąż żyje wielu z pokonanej armii. Wprowadzenie rzymskich jednostek na miejsce obozu wroga i obsadzenie jego granic własnymi strażami było w pewnym sensie rzuceniem wyzwania losowi, lecz wobec śmierci charyzmatycznego króla istniało małe prawdopodobieństwo, by ci, co przeżyli, poderwali się do nowego ataku. Należało żywić nadzieję, że zabito w nich wolę walki, ale

chociaż w końcu zabito synów Mitrydatesa, Gaditykus oceniał, że z pola bitwy uciekło ponad cztery tysiące innych, i Juliusz chciał opuścić dolinę, gdy tylko ostatni z jego rannych odzyska siły albo umrze.

Atak przeżyło mniej niż pięciuset Wilków. Większość zginęła w ostatniej bitwie, stoczonej wokół greckiego króla, i kiedy Juliusz rozkazał pogrzebać ich ciała oddzielnie, nikt nie użalił

się na dodatkową pracę. Uroczysty pogrzeb trwał prawie cały dzień i cały

dzień palono pogrzebowe pochodnie, a czarny gryzący dym wydawał się stosowny do

złożonej z życia ofiary.

Kiedy wszystkie ciała spoczęły w ziemi i obóz oczyszczono z połamanego sprzętu, Juliusz wezwał do siebie wszystkich swoich dowódców. Spośród weteranów wybrał dziesiątkę

najstarszych centurionów, aby każdy przedstawił swoją opinię, i zrobiło mu się smutno, że Komiks nie przeżył walki, by teraz do nich dołączyć, choć wiedział również, że stary wojownik sam i bez żalu wybrał taki rodzaj śmierci. Patrząc po kręgu siedzących, Juliusz zauważył, że Swetoniusz także do nich dołączył, chociaż nie sprawował żadnego dowództwa.

Młody człowiek odniósł poważną ranę i jego ramię było grubo obwiązane, i to tylko

powstrzymało Juliusza, by kazać mu wstać i odejść. Być może zarobił na miejsce wśród wybranych, choć Juliusz nie był pewien, czy dzienna walka cieszyła go przynajmniej w połowie tak samo jak poprzednie nocne ataki.

- Chcę ruszyć na wybrzeże i połączyć się z Durusem i Praksem. Gdzieś między tym miejscem a morzem musimy napotkać jakiś legion, chyba że senat całkowicie stracił rozum.

Dostarczymy im ciało Mitrydatesa i pożeglujemy do domu. Nic nas tu więcej nie zatrzymuje.

- Rozpuścisz ludzi? - spytał Kwertorus.

- Rozpuszczę, ale na wybrzeżu. Zbyt wielu z greckiej armii przeżyło, bym rozwiązał naszą już teraz. Poza tym w walce zginęło trochę ludzi, z którymi wszedłem do twojego miasta, i teraz mam do podzielenia złoto między tych, którzy przeżyli. Myślę, że należy obdzielić nim wszystkich.

- Masz na myśli także swoją połowę? - zainteresował się natychmiast Swetoniusz.

- Nie. Okupy zostaną zwrócone prawowitym właścicielom, tak jak obiecałem. Cokolwiek zostanie, podzielimy między Wilki. Jak ci się to nie podoba, proszę, powiedz im sam, że nie zasługują nawet na trochę złota za to, co tu zrobili.

Swetoniusz ustąpił i marszcząc czoło, uciekł spojrzeniem przed weteranami, którzy

przyglądali mu się ciekawie.

- O jakiej ilości złota mówimy? - spytał zaciekawiony Kwertorus.

Rozdział XXVI

279

Juliusz wzruszył ramionami.

- Dwadzieścia, może trzydzieści aureusów na człowieka. Przeliczę dokładniej po spotkaniu z Durusem.

- Ten kupiec wiezie całe twoje złoto - wtrącił inny - a ty liczysz na to spotkanie?

- Dał słowo. Obiecałem, że go znajdę i zabiję, jeśli go nie dotrzyma. Durus będzie tam, gdzie ma być, a my wyruszamy stąd za godzinę. Mam dość tego obozu. Mam dość Grecji. -

Odwrócił się do Gaditykusa z tęsknym wyrazem twarzy. - No, teraz możemy wrócić do

domu.

Znaleźli pierwszy z dwóch legionów zaledwie osiemdziesiąt mil od wybrzeża. Dowodził nim Sewerus Lepidus. W solidnie ufortyfikowanym obozie Juliusz i Cyron pokazali mu ciało

Mitrydatesa, niesione na powiązanych drągach. Cyron milczał, kiedy składali je w jakimś pustym namiocie, lecz Juliusz dostrzegł, że usta olbrzyma poruszają się w cichej modlitwie.

- To był dzielny człowiek - powiedział po prostu, skończywszy modlitwę, i Juliusza poraziła zmiana, jaka zaszła w nim od czasu, kiedy spotkali się w maleńkiej osadzie na afrykańskim wybrzeżu.

- Czy modliłeś się do rzymskich bogów? - spytał. Olbrzym wzruszył ramionami.

- Jeszcze mnie nie znają. Porozmawiam z nimi, kiedy dojdę do Rzymu.

Rzymski legat wydzielił niewielki oddział, który miał odprowadzić Wilki na wybrzeże.

Juliusz nie sprzeciwił się temu, choć po cichu uznał, że są raczej więźniami, niż że Rzym zapewnia im bezpieczeństwo.

Kiedy w końcu dotarli do portu, Durus był na pokładzie i Juliusz zakrzyknął jego imię.

Kupiec nie wyglądał na uradowanego, że przeżyli, lecz złagodniał, gdy tylko Juliusz mu powiedział, że dostanie zapłatę za stracony czas i za kurs do Brundyzjum, najbliższego portu na rzymskim lądzie.

Na uroczystość pożegnalną Juliusz wykupił w porcie cały zapas wina, uszczuplając w ten sposób własne nowe bogactwo. Wbrew sprzeciwom Swetoniusza skarby Celsusa zostały

podzielone między Wilki i wielu wróciło do domu jako ludzie bogaci w porów-

naniu z poprzednim stanem, nawet po odliczeniu kosztów drogiej podróży na wozach czy na końskich grzbietach.

Przed wyruszeniem na wschód weterani poprosili o ostatnie, prywatne spotkanie z Juliuszem.

Kiedy zaproponował, by popłynęli do Rzymu i wstąpili do jego szeregów, jeden popatrzył na drugiego i zaśmiali się zgodnie. Było trudno skusić mężczyzn w ich wieku i ze złotem w ich sakiewkach do dalszej wojaczki i w gruncie rzeczy Juliusz nawet się tego nie spodziewał.

Kwertorus podziękował mu w imieniu wszystkich i na pożegnanie weterani wznieśli gromkie owacje.

Durus ruszył na pełne morze z pierwszą falą, młode Wilki zaś zostały przy Juliuszu. Morze było spokojne i po trzech krótkich tygodniach statek Durusa wpłynął do portu w Brundyzjum, a ludzie Juliusza zeszli na ląd.

Ci, którzy zawsze kręcili się na wybrzeżu, spoglądali zadziwieni przez długie chwile, podczas gdy trzy centurie Wilków formowały kolumnę do marszu na Rzym. Świeżo mianowany

dowódca pięćdziesiątki, Cyron, wyrównał szeregi i stał oszołomiony na myśl, że wkrótce zobaczy miasto, które go wzywało. Zadrżał i mocno się otulił gołymi ramionami. Było zimniej niż w jego maleńkim gospodarstwie na afrykańskim wybrzeżu, lecz Cyron czuł, że ma prawo do tego kraju. Wzywał duchy przodków wychodzące na powitanie swojego syna.

Rozpierała go duma.

Juliusz upadł na kolana i ze łzami w oczach ucałował zakurzoną ziemię, niezdolny wymówić słowa. Stracił przyjaciół i odniósł rany, których skutki będzie odczuwał przez całe życie, ale Sulla nie żył, a on był w domu.

CZĘŚĆ

r

ROZDZIAŁ XXVII

lYaton potarł pulchną dłonią czoło. Mimo chłodu zimy, wciąż utrzymującego się w Rzymie, budynek senatu był pełen, a powietrze ciężkie od oddechów trzystu nobilów stłoczonych na

małej przestrzeni. Katon uniósł dłonie, nakazując ciszę, i czekał cierpliwie, aż wrzenie głosów powoli ucichnie.

- Ten Cezar, ten nierozważny młody człowiek, nie okazuje niczego prócz pogardy dla woli senatu. Działając w pojedynkę, spowodował śmierć setek rzymskich obywateli, wśród nich wielu weteranów naszych legionów. Według mnie, sięgnął po władzę, której nigdy mu nie dano, i przez cały czas postępuje tak, jak mógłbym się spodziewać po siostrzeńcu Mariusza.

Zwołałem posiedzenie senatu, aby potępić tego małego kogucika… pokazać, że napełnia nas odrazą niefrasobliwość, z jaką trwoni rzymską krew i lekceważy naszą władzę nad nim.

Katon wrócił na miejsce z chrząknięciem zadowolenia i prowadzący obrady odetchnął z ulgą.

Był to wielki, rumiany mężczyzna, nie mający cierpliwości do głupców. Chociaż jego władza była nominalna, cieszyło go panowanie nad bardziej od niego władczymi ludźmi w senacie.

Po wystąpieniu Katona podniósł się Cynna, z twarzą płonącą gniewem. Prowadzący skinął ku niemu, by przemówił, i Cynna omiótł ławy spojrzeniem, by ściągnąć na siebie uwagę.

-Jak wielu z was wie, jestem spokrewniony z Cezarem przez małżeństwo mojej córki - zaczął.

- Przybywam tutaj, nie by go bronić, lecz by uczestniczyć w tym, co, jak się spodziewam, będzie

sprawiedliwym i słusznym z naszej strony aktem gratulacji. - Przez ławy, na których zasiadali stronnicy Katona, przeszła fala pomruków, lecz lodowato spokojny Cynna stał i czekał, aż

znów zrobi się cicho. - Czy nie powinniśmy pogratulować człowiekowi, który pokonał

jednego z wrogów Rzymu? Mitrydates nie żyje, jego armia jest w rozsypce, a niektórzy z was mówią o potępieniu? To niewiarygodne. Zamiast liczyć ludzi, którzy stracili życie w bitwie przeciw większej sile, pomyślcie o tych niewinnych, którzy żyją, bo zmiażdżono potęgę Mitrydatesa. Ilu więcej obywateli Rzymu pożegnałoby się z tym światem do czasu, kiedy nasze ostrożne legiony odeszłyby od wybrzeża dość daleko, by wciągnąć do walki wroga?

Sądząc po meldunkach, można przypuszczać, że nigdy by to nie nastąpiło!

Stonowane pomruki przeszły w gwizdy i głośne krzyki. Wielu senatorów po obu stronach wstało, aby zabrać głos, i ci, stojąc i czekając, wiercili się niecierpliwie. Prowadzący obrady podchwycił spojrzenie Cynny i podniósł pytająco brew. Cynna ustąpił niechętnie i usiadł.

Obok Katona stał senator Prandus. Był wysoki i szczupły w porównaniu ze swoim patronem.

Delikatnym chrząknięciem dał znak, że zaczyna wystąpienie.

- Mój syn Swetoniusz był jednym z porwanych przez piratów, razem z tym Cezarem. Swoją opinię opieram na jego opowieściach, a te wskazują na zagrożenie dla wszystkiego, co reprezentujemy. Ten człowiek działa, niczego z nikim nie uzgadniając. Jego pierwszą i ostatnią odpowiedzią na wszystko jest ślepy atak. Znam szczegóły egzekucji i tortur zarządzonych w jego imieniu, a nie usankcjonowanych przez senat. Muszę się zgodzić z czcigodnym Katonem, że Cezar powinien być tu wezwany, by odpowiedzieć za swoje

poczynania. I nie zapominajmy o zarzucie piractwa, postawionym mu przez kwestora

Prawitasa. Jeżeli doczeka się pochwały, co według niektórych wydaje się słuszne, możemy stworzyć drugiego Mariusza i oby nie przyszło nam żałować własnej wielkoduszności.

Katon szturchnął mężczyznę o rozbieganych oczach. Senator Bibilus potknął się, wstając, popychany tłustymi dłońmi. Miał

bladą twarz i krople nerwowego potu na czole. Wbrew zwyczajowi

Rozdział XXVII

285

zaczął mówić wcześniej, nim otrzymał pozwolenie, i jego pierwsze słowa utonęły w zgiełku drwin i szyderstw.

- …powinno się rozważyć odebranie członkostwa senatu - powiedział i przełknął ślinę. -

Albo może stopni wojskowych. Niech sobie będzie kupcem, z tym całym złupionym złotem, które przywiózł ze sobą.

Prowadzący obrady spojrzał na niego lodowato i szybkim machnięciem dłoni odesłał na ławę.

Bibilus poczerwieniał z zakłopotania. Prowadzący zmarszczył czoło i zwrócił twarz ku ławom po drugiej stronie, wyraźnie zdecydowany przywrócić równowagę dyskusji. Wskazał

na Krassusa. Mężczyzna podziękował kiwnięciem głowy i patrzył spokojnie po

przepełnionych rzędach, aż raz jeszcze zrobiło się odpowiednio cicho.

-Jakże wy odsłaniacie swoje tajemne lęki! - warknął. - Drugi Mariusz, mówicie. Jego siostrzeniec! Trzęśmy się, trzęśmy wszyscy! Mdli mnie od takiego gadania. Czy wam się zdaje, że nasza drogocenna republika mogłaby przeżyć bez militarnej potęgi? Ilu z was dowodziło ludźmi w zwycięskich bitwach?

Omiótł spojrzeniem rzędy, wiedząc, że Katon odsłużył tylko dwuletnie minimum, niezbędne do politycznej kariery. Inni pokiwali głowami, podczas gdy Katon stłumił ziewnięcie i spojrzał w bok.

- Mamy młodego człowieka, który wie, jak przewodzić żołnierzom - ciągnął Krassus. - Zebrał

małą armię i rozgromił siłę oś-mio- albo dziewięciokrotnie większą. To prawda, działał, nie pytając o nasze przyzwolenie, ale czekałby rok albo dwa, zanim senat skończyłby o tym dyskutować!

Prowadzącemu udało się podchwycić jego spojrzenie, lecz Krassus to zignorował.

- Nie, taką jadowitą niechęć powoduje wstydliwy fakt, że źle wybraliśmy dowódców

legionów i że ten młody człowiek to wykazał. Jego sukces tkwi w udowodnieniu, że nie działaliśmy z wystarczającą energią i dostatecznie prędko, aby bronić naszych zdobyczy w Grecji. Oto co napawa goryczą tych senatorów. To jest jedyny powód ich złości skierowanej przeciw niemu. Pozwolę sobie przypomnieć, że w Mitylene Cezar dostał dębowy wieniec za męstwo. To zdolny, lojalny żołnierz Rzymu i wstydem byłoby nie

przyznać tego publicznie. Słyszę, jak Bibilus mruczy o pozbawieniu go stopnia, i pytam, jakie wojenne zwycięstwa przyniósł nam on sam. Albo Katon? A ta aluzja Prandusa do piractwa?

Prandus doskonale wie, że kiedy wyszły na jaw wszystkie fakty, zarzuty o piractwo okazały się bzdurą. Nic dziwnego, że obchodzi bokiem tak trudną kwestię, kiedy jego własny syn był

jednym z oskarżonych! Powinniśmy przyjąć Cezara z honorami za to, co zrobił.

- Dosyć, Krassusie - powiedział surowo prowadzący obrady, zadowolony, że pozwolił mu mówić wystarczająco długo, by inni zapomnieli o wybuchu Bibilusa. - Wypowiedziały się obie strony. Możemy przystąpić do głosowania.

Ci, którzy wciąż stali w oczekiwaniu na dopuszczenie do głosu, usiedli niechętnie, rozglądając się po sali i próbując przewidzieć rezultat. Nim głosowanie się rozpoczęło, masywne brązowe drzwi otworzyły się na oścież i wkroczył Pompejusz, powodując nowe zamieszanie i skupiając na sobie ciekawe spojrzenia. Od śmierci córki nie widziano go w pobliżu forum ani w senacie i powtarzane szeptem pytania o

tragedię i o to, co z niej może wyniknąć, mnożyły się z dnia na dzień.

Prowadzący skinął na wodza, wskazując mu miejsce w rzędach ław. Zamiast usiąść,

Pompejusz podszedł do niego i stanął, czekając, by ten pozwolił mu przemówić.

Prowadzący westchnął. Podniósł dłoń i rzędy ucichły, a oczy zawisły na nowo przybyłym.

Katon obserwował go szczególnie wnikliwie. Prochy córki ledwo wystygły, lecz na twarzy mężczyzny nie było oznak żalu. Mężczyzna wydawał się spokojny i powoli mierzył

wzrokiem ławę za ławą.

- Wybaczcie mi moją nieobecność i spóźnienie, senatorowie. Pogrzebałem córkę - powiedział

donośnie. - Przysięgam przed wami, że odpowiedzialni za tę śmierć będą żałować użycia niewinnych w rozgrywkach o władzę, lecz to jest sprawa nie na dzisiaj.

Mówił rozsądnie, choć ci, którzy siedzieli najbliżej, doskonale widzieli, jak sztywnieją mu mięśnie ramion, jakby z trudem hamował wybuch gniewu.

- Powiedz mi, nad czym się głosuje tego ranka? - spytał prowadzącego obrady Pompejusz.

Rozdział XXVII

- Chodzi o podjęcie decyzji, potępić czy pochwalić działania Juliusza Cezara w Grecji -

odpowiedział mężczyzna.

- Rozumiem. Jakie jest stanowisko Katona? - indagował wódz, nie patrząc na rozwaloną w ławie postać, i Katon nagle się wyprostował.

Prowadzący, wyraźnie zmieszany, zaryzykował szybkie spojrzenie na niego.

-Jest za potępieniem.

Pompejusz zacisnął dłonie za plecami i ci z najbliższych ław zobaczyli, jak bieleją mu knykcie.

- W takim razie ja zagłosuję przeciw niemu.

Zapadła cisza. Pompejusz mierzył się wzrokiem z Katonem wystarczająco długo, by dla każdego stało się jasne, że zadawniona niechęć obydwu zamieniła się w otwartą wrogość.

- Ponadto wzywam moich stronników, by postąpili podobnie. Wzywam również każdego, kto ma u mnie długi. Głosujecie przeciw Katonowi, a od dziś daruję wszystkie każdemu.

W senacie zawrzało. Jeden przez drugiego zastanawiał się głośno nad konsekwencjami takiego posunięcia. Właściwie to była deklaracja wojny i kiedy prowadzący obrady zarządził

głosowanie, Katon zacisnął mięsiste usta w cienką kreskę wściekłości. Takim wystąpieniem Pompejusz przekreślał lata ostrożnych umów i przymierzy, tylko po to, by okazać publicznie swoją pogardę.

Krassus lekko pobladł. Pompejusz postąpił nieroztropnie, to prawda, choć nietrudno go było zrozumieć. Nikt nie wątpił, że Pompejusz w zawoalowany sposób wskazał na człowieka odpowiedzialnego za zamordowanie córki. Katon straci sporo swojej władzy, to oczywiste, jego stronnicy rozważają nowe zagrożenie i to, czy się zdystansować. Krassus westchnął.

Przynajmniej głosowanie przejdzie pomyślnie i podjęta decyzja zaszkodzi Katonowi. Chociaż wielu nic sobie nie robi z nieuregulowanych zobowiązań wobec Pompejusza, grubemu

senatorowi wciąż będzie trudno trwać niemal w pojedynkę wobec setek mu przeciwnych.

Głosowanie poszło sprawnie i Pompejusz zajął swoje miejsce, aby włączyć się do dyskusji nad przyznaniem Juliuszowi stanowiska w legionie. Senatorom spieszyło się do wyjścia na świeże powietrze i sprawę zakończono zadziwiająco szybko,

niemal bez udziału Katona, zdruzgotanego własnym poniżeniem.

Kiedy przechodzili przez brązowe drzwi, Katon skrzywił się i skinął Pompejuszowi głową, uznając jego zwycięstwo. Pompejusz go zignorował, nie odezwał się do nikogo i poszedł do domu.

Tubruk, wdzięczny pracującym na polu niewolnikom za wczesne ostrzeżenie, wspiął się schodami na mur otaczający majątek i mrużąc oczy, popatrzył w stronę nadchodzącej drogą kolumny.

- To wygląda na dwie albo trzy centurie - zawołał do Kornelii, która wyszła z budynków na jego wezwanie. - Nie widzę proporców, ale wszyscy są w zbrojach. To może być część rzymskiej załogi.

- Czy przywołasz ludzi? - spytała nerwowo.

Tubruk nie od razu odpowiedział, skupiony na wypatrywaniu każdego szczegółu w wyglądzie i szyku maszerujących szeregów. Byli zdyscyplinowani i w pełnym wyposażeniu, lecz brak

proporców zaniepokoiłby każdego, nie tylko Tubruka. Śmierć córki Pompejusza na nowo wprowadziła stare rzymskie rody w stan napięcia. Jeżeli tak władczy senator mógł

doświadczyć ataku we własnym domu, to nikt nie powinien czuć się bezpiecznie. Tubruk się zawahał. Gdyby wezwał do bram Brutusa i jego żołnierzy, mogłoby to być poczytane za prowokację albo obrazę legalnej siły. Zacisnął szczęki i wpił dłonie w kamień muru. Raczej obrazi każdego, niż okaże słabość, a centuriom, które usuwają godła legionu, nietrudno zamienić się w morderców.

- Wezwij Brutusa. Powiedz, że ma się natychmiast stawić przy bramach razem ze swoimi ludźmi! - zawołał do Kornelii.

Kobieta rzuciła się biegiem do budynków.

Do czasu, gdy kolumna zbliżyła się na tysiąc kroków, Brutus uformował szeregi przy bramach i przygotował się do ataku. Było z nim tylko dwudziestu ludzi i Tubruk, który przedtem śmiał się i z dwudziestki, i z młodego wodza, teraz pożałował, że w majątku nie starczyło miejsca dla innych.

Brutus poczuł, jak ściska go w dołku i jak ogarnia go fala dobrze znanego niecierpliwego oczekiwania, a także chłopięcy żal, że Reniusz, zamiast stać u jego boku, tkwi nie wiadomo po co w mieście, w żołnierskich kwaterach. Bądź mężczyzną, powiedział sobie krótko i szybko obnażył gladius, a napięcie widoczne na twarzach

Rozdział XXVII

289

jego ludzi ustąpiło skąpym uśmiechom. Każdy słyszał coraz wy-raźniejszy tupot żołnierzy, ale w nikim nie było śladu strachu.

Ze stajni wybiegła w pędzie drobna postać i ledwo zdążyła wyhamować u stóp Brutusa.

- Ty z nami nie idziesz - warknął Brutus, uprzedzając prośbę. Niewiele wiedział o urwisie, którego Tubruk uratował, i w tej chwili nie miał cierpliwości na żadne dyskusje. Oktawian otworzył usta i Brutus zezłoszczony widokiem błyszczącego sztyletu w ręce chłopca

krzyknął: - Zjeżdżaj stąd!

Oktawian zamarł, wytrzeszczył oczy, a potem zawrócił na pięcie i odszedł sztywno i bez słowa. Brutus nawet za nim nie popatrzył, zajęty obserwowaniem Tubruka i czekaniem na wieści, co dzieje się na zewnątrz. Czekanie w cieniu bram denerwowało, lecz Brutus rozumiał, że żołnierzy wysłanych przez senat nie powinno się witać z obnażonymi mieczami.

Na pewno doszłoby do rozlewu krwi, nawet jeżeli przychodzili w niewinnej sprawie.

Tymczasem Tubrukowi, wpatrującemu się w nadchodzącą coraz bliżej armię, nagle zaparło dech w piersiach. Były gladiator otworzył szeroko oczy i zawołał na dół:

- Marku Brutusie! Każ swoim ludziom otworzyć bramy i wyjść tamtym na spotkanie.

Brutus zadarł głowę i spojrzał na niego z ukosa.

- Jesteś pewien? Jeżeli mają wrogie zamiary, lepiej będzie bronić się w murach.

- Otwieraj bramy - powtórzył z dziwnym wyrazem twarzy Tubruk.

Brutus wzruszył ramionami i dał rozkaz Pierworodnym, a ci wyciągnęli miecze i ruszyli do przodu. Serce załomotało mu w piersi i nagle poczuł dziką radość. Nie było ani jednego wśród żyjących, który mógłby pokonać go na miecze. Nie od tamtego pamiętnego dnia sprzed wielu lat, od walki z Reniuszem, na tym samym podwórzu tego samego majątku.

- W porządku, ty stary szczekający żółwiu, ale jeśli mimo twoich nauk dam się zabić, będę czekał na ciebie, aż się doczekam.

Juliusz zobaczył wychodzącą mu naprzeciw uzbrojoną dwudziestkę, i zesztywniał.

- Do broni! - warknął do swoich ludzi, w jednej chwili wytrącając ich ze stanu błogiego samozadowolenia. To, co miało być zwycięskim powrotem, nagle zamieniało się w jawne zagrożenie.

Kabera, słysząc wściekły rozkaz, najpierw podskoczył, a potem zmrużył oczy i przyjrzał się dokładniej nieznanej sile. Już miał wyciągnąć dłoń, by zwrócić na siebie uwagę Juliusza, lecz zdążył się rozmyślić i podnosząc miecz i wściekle nim wymachując, wyszczerzył się sam do siebie. Jego radość była widoczna, lecz tego nastroju nie podzielał żaden z żołnierzy w szeregu. Każdy, po tylu ciężkich miesiącach podróży i zabijania, czuł się bohaterem i spodziewał się powitania jak bohater. Ich twarze były dzikie, a miecze wzniosły się jeszcze raz.

- Formować szeregi! - rozkazał Juliusz, kipiąc gniewem. Jeżeli wzięto jego dom, zniszczy ich wszystkich i nikogo nie zostawi przy życiu. Zakłuło go serce z żalu o matkę i Tubruka.

Zmierzył wprawnym okiem rząd żołnierzy rozstawionych przed bramami. Nie więcej niż dwudziestu, chociaż wewnątrz mogli kryć się inni. Legioniści. Prężni i sprawni, lecz jego Wilki mogły stanąć przeciw każdej innej armii i gdziekolwiek, a poza tym przeważali liczebnie. Odsunął na bok myśli o rodzinie i był gotów wydać rozkazy.

- Słodki Marsie! Oni ruszają do ataku! - zawołał Brutus, widząc kolumnę formującą linię natarcia. W obliczu setek przeciw jego dwudziestce najchętniej dałby rozkaz wmaszerowania do środka, lecz zabrakłoby czasu na zamknięcie bram i kiedy by się wycofywali, wróg mógłby zajść ich od tyłu i porąbać na kawałki.

- Tubruk! Zabezpieczyć bramy! - zagrzmiał. Stary głupiec najwyraźniej źle ocenił zagrożenie i teraz przyjdzie drogo zapłacić za jego pomyłkę.

Serce Brutusa napęczniało dumą, kiedy Pierworodni, świadomi nieuchronnej zguby, wcale się nie zachwiali. Zajęli pozycje tuż przy murze i odwiązali oszczepy, aby je wyrzucić, kiedy nadejdzie atak. Każdy człowiek miał po cztery sztuki i musiałoby paść wielu tamtych, nimby się zbliżyli ze swoimi mieczami.

- Nerwy na wodzy… - zawołał nad głowami swoich ludzi Brutus. Jeszcze kilka kroków i wróg będzie w zasięgu skutecznego rzutu.

Rozdział XXVII

291

W najmniej oczekiwanej chwili padł głośny rozkaz. Przeciwne szeregi zafalowały i,

zdyscyplinowane jak należy, przystanęły. Brutus uniósł brwi i aż wysunął głowę, by lepiej się przyjrzeć twarzom wrogów.

Podchwycił spojrzenie Juliusza i nagle zaśmiał się głośno, wprawiając Pierworodnych w kompletne osłupienie.

- Spocznij! - rozkazał swojej dwudziestce i poczekał, aż ludzie powiążą oszczepy i schowają miecze. Kiedy wszystko było na swoim miejscu, pomaszerował na ich czele ku zatrzymanym w marszu szeregom.

Pierwszy wyszczerzył zęby Juliusz.

- Nie przyszło ci do głowy, że jeszcze dziesięć kroków, a byłoby po tobie?

- Pomyślałem to samo. Po twoich dziesięciu krokach moi ludzie przeszyliby cię kilkoma oszczepami. Szczęście cię nie opuszcza, jak rozumiem.

-Ja cię rozpoznałem, ja, nikt więcej! - wtrącił zadowolony z siebie Kabera.

Brutus wrzasnął z radości na widok starego człowieka. Wszyscy trzej się uścisnęli, ku całkowitemu zamieszaniu w szykach obu stron. Juliusz wyrwał się z uścisków pierwszy i natychmiast rzuciły mu się w oczy trzy skrzyżowane strzały na napierśniku Brutusa.

- Bogowie! To przecież Pierworodni, tak? Brutus kiwnął radośnie głową.

- Dowodzę nimi, choć jak na razie brakuje mi trochę ludzi.

- Trochę, to znaczy ile?

-Jakieś cztery tysiące, tak się składa, ale staram się jak mogę.

Juliusz gwizdnął cicho.

- Mamy dużo do pogadania. Czy Tubruk wie o moim powrocie?

Brutus popatrzył przez ramię na białe mury majątku. Stojąca na górze postać podniosła ramię w geście pozdrowienia i Kabera entuzjastycznie zamachał w odpowiedzi.

- O, tak. On wie - odpowiedział Brutus i uśmiechnął się kwaśno.

- Każę poszukać w mieście kwater dla moich ludzi - powiedział Juliusz. - Na razie, dopóki nie załatwię paru swoich spraw,

niech obozują w namiotach wokół majątku, ale potrzebuję dla nich czegoś trwałego i miejsca do ćwiczeń.

- Znam takie miejsce i człowieka, który mógłby ich ćwiczyć - odrzekł Brutus. - To Reniusz.

Wrócił ze mną.

- W takim razie potrzebuję ciebie i jego - odpowiedział Juliusz, już planując następne posunięcie.

Brutus się uśmiechnął. Robiło mu się lekko na sercu, kiedy patrzył na starego przyjaciela. Na znajomej twarzy przybyło parę blizn, co dodawało jej twardszego wyglądu, ale to wciąż był

ten sam człowiek. Odruchowo wyciągnął rękę i Juliusz uścisnął ją mocno, wzruszony.

- Czy moja żona jest bezpieczna? - spytał Juliusz, szukając odpowiedzi w twarzy

najdawniejszego przyjaciela.

- Kornelia jest tutaj, razem z twoją córką.

- To ja mam córkę? - Twarz Juliusza przeciął głupi uśmiech. - Więc co my tu robimy? Mam córkę! Idziemy do mojej córki!

W dwóch słowach rozkazał rozstawić obóz wokół murów i odszedł. Brutus ruszył za nim jak cień, prowadząc swoją dwudziestkę i gorączkowo myśląc. Tyle miał do powiedzenia

Juliuszowi. O zamordowaniu Sulli, o córce Pompejusza, o rozplotko-wanym senacie, o którym opowiadała mu matka. Juliusz powinien poznać Serwilię! Teraz, kiedy przyjaciel wrócił, wszystko zdawało się wracać na dawne miejsce i Brutus poczuł, jak odstępują go wszelkie troski. Przy pomocy dawnych przyjaciół przywróci Pierworodnym dawną siłę, zaczynając od ludzi, których przyprowadził Juliusz. On

zawsze sprawia, że wszystkie problemy wydają się błahe, i ze wszystkich ludzi na świecie tylko on zrozumie, dlaczego

„legion zdrajcy” musi się odrodzić.

Brutus, pogrążony w myślach, wpadł na Tubruka, który czekał na niego na kamiennych schodach, wewnątrz bram, z krzywym uśmieszkiem rozbawienia.

- Masz dobre oczy jak na człowieka w twoim wieku - powiedział zgryźliwie Marek.

Tubruk zachichotał.

- Żołnierz zwraca uwagę na szczegóły, jak na przykład, kto dowodzi kolumną.

Brutus puścił docinki mimo uszu.

Rozdział XXVII

293

- Dokąd poszedł Juliusz?

- Do żony i córki, chłopcze. Daj mu trochę czasu, niech się nimi nacieszy.

Brutus ściągnął brwi.

- Oczywiście. Zabiorę swoich ludzi na kwatery w mieście i zostanę tam na noc. Daj mu znad, gdzie jestem.

- Nie to miałem na myśli… nie musisz odchodzić, chłopcze - zapewnił go pospiesznie Tubruk.

Brutus potrząsnął głową.

- Nie. Masz rację. Teraz Juliusz powinien być z rodziną. Zobaczymy się jutro. - Zawrócił

sztywno i rozkazał swoim ludziom uformować za bramami kolumnę do marszu.

Kabera tymczasem włóczył się po podwórzu, rozpromieniając się wciąż na nowo.

- Tubruku! - zawołał. - Czy nakarmisz nas jak trzeba? Nie wiadomo od jak dawna nie piłem dobrego wina i mam ochotę

na te wasze cywilizowane przekąski, tę dumę Rzymian. Chcesz,

żebym odwiedził kucharza? Lubiłem tego człowieka, był doskonałym śpiewakiem. No, co z tobą?

Twarz Tubruka, zasępiona podczas rozmowy z Brutusem, natychmiast się wypogodziła. Nie sposób było nie ulec entuzjazmowi Kabery, którym stary zdawał się płonąć zawsze i

wszędzie. Tubruk tęsknił za nim tak samo jak wszyscy inni i teraz zszedł ze schodków, by go powitać.

Kabera zdążył zauważyć spojrzenie, jakie stary gladiator posłał za Brutusem, i poklepał go po ramieniu.

- Pozwól mu odejść. On zawsze był jak oset, pamiętasz? Jutro znów będą jak bracia, ale dzisiaj Juliusz ma do odrobienia sporo zaległości.

Tubruk z nowym entuzjazmem uścisnął kościste ramiona uzdra-wiacza.

- Kucharz wpadnie w rozpacz, kiedy zobaczy, ile gąb ma do nakarmienia, ale obiecuję, że będzie znacznie lepiej niż przy tych waszych racjach, do których się przyzwyczaiłeś w podróży.

- Radzę, mierz znacznie wyżej - odpowiedział całkiem poważnie Kabera.

Kornelia odwróciła się gwałtownie, słysząc stukot biegnących stóp. W pierwszej chwili nie poznała stającego przed nią dowódcy, opalonego i szczupłego po długich podróżach. Potem twarz rozjaśniła się radością, gdy przybysz podszedł do niej i wziął ją w ramiona. Kornelia wtuliła się w nie z całych sił i aż zachłysnęła zapachem jego skóry.

- Tak dawno cię nie widziałem - powiedział i oczy mu się zaiskrzyły nad jej ramieniem, gdy wyciskał jej z płuc powietrze i zgniatał żebra aż do bólu, lecz Kornelii to nie przeszkadzało.

Przez tak długi czas Juliusz mógłby zapomnieć o wszystkim, tylko nie o tej pięknej kobiecie, którą teraz trzymał w ramionach. W końcu odstąpił o krok i wziął ją za rękę, jakby nie chciał

pozwolić, by znów mu uciekła.

- Jesteś wciąż wspaniała, moja żono - powiedział. - Słyszałem, że mamy córkę.

Kornelia gniewnie zacisnęła usta.

- Chciałam ci to sama powiedzieć. Klodio, przyprowadź małą -zawołała i piastunka zjawiła się odpowiednio szybko, by nikt się nie domyślił, że czekała w pogotowiu tuż za drzwiami.

Mała dziewczynka, niesiona w ramionach Klodii, popatrzyła z ciekawością po twarzach rodziców. Miała brązowe, tak samo łagodne oczy jak jej matka, i włosy tak samo ciemne jak u Juliusza. Uśmiechnął się do niej, a ona odwzajemniła mu uśmiech, z do-łeczkami w policzkach.

- Ma prawie dwa lata i rządzi całym domem. Zna już mnóstwo słów - obwieściła dumnie Kornelia, biorąc dziecko z rąk Klodii.

Juliusz objął obie i lekko uścisnął.

- W najgorszych chwilach zawsze przywoływałem przed oczy twój obraz, ale nie

przychodziło mi na myśl, że możesz być brzemienna - powiedział, wypuszczając je z objęć. -

Chodzi już?

Klodia i Kornelia przytaknęły i wymieniły pełne radości spojrzenia. Kornelia postawiła córkę na podłogę i cała trójka przyglądała się w zachwycie, jak dziecko drepce po pokoju i zatrzymuje się ciekawie przed każdą rzeczą.

- Dałam jej na imię Julia, po tobie. Nie byłam pewna, czy wrócisz?…

Rozdział XXVII

- Oczy Kornelii wypełniły się łzami i Juliusz znów ją uścisnął.

- Już dobrze, moja żono, wróciłem. Skończmy z tym.

- Wiesz, chwilami… było tu dość trudno. Tubruk musiał sprzedać kawałek ziemi, aby zapłacić okup.

Zawahała się, czy powiedzieć mu wszystko. Dzięki miłosiernym bogom, Sulla nie żył. To tylko zraniłoby Juliusza, gdyby się dowiedział, co wycierpiała z rąk tamtego. Powinna ostrzec Tubruka, by nic nie mówił.

- Tubruk sprzedał kawałek ziemi? - zdziwił się Juliusz. - Miałem nadzieję… nie, nieważne.

Odzyskam ją. Teraz chcę usłyszeć

0 wszystkim, co się wydarzyło od mojego wyjazdu, ale najpierw muszę wziąć kąpiel i zmienić ubranie. Przyszliśmy tu prosto z wybrzeża, nie wstępując do miasta. - Podniósł dłoń, by pogłaskać ją po włosach. Kornelia zadrżała. - Mam dla ciebie niespodziankę -powiedział i zawołał na swoich ludzi.

Kornelia odczekała cierpliwie, z Klodią i z córką, aż ludzie Juliusza przynieśli skórzane worki i ustawili je na środku pokoju. Jej męża rozsadzała taka sama energia jak przedtem. Wezwał

sługę, by ten pokazał żołnierzom drogę do składów wina i by dał im tyle, ile potrzebują, a resztę domowej służby zatrudnił przy dziesiątkach innych spraw i dom wokół niego wypełnił

się gorączkową bieganiną. W końcu zamknął drzwi, rozwiązał jeden worek i skinął na Kornelię i Klodię, by pochyliły się nad nim.

- Cały okup i cztery razy tyle - pochwalił się Juliusz, uszczęśliwiony zdumieniem i zachwytem obu kobiet i rzucił się do rozwiązywania innych worków, jednakowo

wypełnionych sztabkami złota oraz złotymi i srebrnymi monetami.

Kornelia chciała zapytać, gdzie znalazł takie bogactwo, ale gdy jej oczy spoczęły na białych bliznach na ciemnych

ramionach męża

1 głębokiej szramie na czole, postanowiła zmilczeć. Musiał za nie drogo zapłacić.

- Tatuś? - odezwał się cienki głosik i Juliusz głośno się roześmiał na widok drobnej figurki, która szarpała go za łydkę i dopominała się jego uwagi.

- Tak, moje dziecko. Jestem twoim ojcem, przybywam prosto z okrętu. Marzę o gorącej kąpieli, obfitym posiłku i długim śnie. Sama myśl o własnym łóżku to przyjemność nie do opisania.

Dziecko zaśmiało się radośnie, a on schwycił je w ramiona i mocno uściskał.

- Delikatniej, proszę! Ona nie jest jednym z twoich żołnierzy - oburzyła się Klodia, wyciągając ręce po małą.

Juliusz niechętnie otworzył ramiona, lecz nie minęła chwila, a już był myślami przy swoich obowiązkach. Westchnął ciężko i powiedział do żony:

- Czeka mnie dużo pracy, skarbie.

Zbyt niecierpliwy, by doczekać do końca kąpieli, Juliusz wezwał Tubruka i słuchał jego relacji, zmywając z ciała kurz i brud długiej podróży. Gorąca woda zrobiła się gęsta i szara już po paru chwilach, ale ciepło działało kojąco na zmęczone ciało.

Tubruk, tak samo jak niegdyś, kiedy w wodzie pławił się ojciec Juliusza, przystanął na końcu wąskiego basenu i w zwięzłych słowach przedstawił sytuację majątku z trzech ostatnich lat.

Kiedy Juliusz w końcu się domył, wydał mu się młodszy niż tamten ogorzały wojownik maszerujący pewnym krokiem na czele kolumny. Ale niebieskie oczy były przejrzyste jak zawsze, poza tym, że kiedy gorąca woda popłynęła bardziej

leniwym strumieniem, zaczęły się przymykać i Juliusz zaczął zapadać w drzemkę.

Tubruk podał mu miękkie szaty i ręczniki i wyszedł. Ruszył lekkim krokiem przez korytarze i podcienia majątku, wsłuchując się w śpiewy pijanych żołnierzy obozujących za bramami.

Poczucie winy za śmierć Sulli, które go prześladowało w dzień i w nocy od tamtego

pamiętnego wydarzenia, opuściło go tak nagle i całkowicie, jakby nigdy go w sobie nie nosił.

Uznał, że kiedy wszystkie sprawy związane z powrotem Juliusza do Rzymu zostaną załatwione i kiedy życie w majątku potoczy się utartym torem, wyzna Juliuszowi całą prawdę.

Ostatecznie morderstwo zostało dokonane w jego imieniu i z chwilą, gdy Juliusz się o tym dowie, wyśle się anonimowe podarunki rodzinie Kasaweriusza, Ferkusa i rodzicom młodego żołnierza wykonującego żołnierskie powinności przy bramach domu Sulli. Zwłaszcza

rodzinie Ferkusa, po jego śmierci niemal całkowicie pozbawionej środków do życia. Nigdy im się nie wypłaci za męstwo ojca, pomyślał i nie wątpił, że Juliusz będzie czuł to samo.

..-·T

Rozdział XXVII

297

Zza drzwi Aurelii, które właśnie mijał, dochodził cichy lament. Tubruk się zawahał. Juliusz, zmęczony, na pewno już zdążył zasnąć, a nie zapytał o matkę. On sam nie pragnął niczego więcej, niż po długim wyczerpującym dniu położyć się we własnym łóżku. Westchnął jednak i wszedł do środka.

ROZDZIAŁ XXVIII

a ostaniec z senatu zjawił się następnego dnia o świcie. Do-budzenie Juliusza zajęło Tubrukowi trochę czasu i kiedy

młodzieniec w końcu pozdrowił posłańca, wciąż był

niezupełnie przytomny, co było zrozumiałe, bo jedna noc we własnym domu nie mogła go uwolnić od wielomiesięcznego napięcia i zmęczenia.

Ziewając, przygładził włosy i uśmiechnął się niewyraźnie do młodego człowieka z miasta.

- Jestem Juliusz Cezar. Mów, z czym przychodzisz.

- Senat żąda, byś się stawił przed radą w jej pełnym składzie dzisiaj w południe, panie -

wyrecytował jednym tchem posłaniec.

Juliusz zamrugał.

- I to wszystko?

Posłaniec przestąpił z nogi na nogę.

- To oficjalna wiadomość, panie. Faktycznie wiem trochę więcej. Jak się jest posłańcem, słyszy się to i owo.

- Tubruku? - Juliusz zawiesił głos, a zarządca majątku wsunął w dłoń człowieka srebrną monetę.

- No więc? - zapytał Juliusz, kiedy pieniądz zniknął w ukrytej sakiewce.

Posłaniec się uśmiechnął.

- Mówią, że dostaniesz stanowisko trybuna, za Grecję.

- Trybuna? - Juliusz spojrzał na Tubruka, ale ten wzruszył obojętnie ramionami.

- To zwykły stopień w drabinie społecznej - powiedział, wskazując oczami na posłańca.

Rozdział XXVIII

Juliusz zrozumiał i odprawił młodego człowieka w drogę powrotną.

Kiedy zostali sami, Tubruk klepnął go po ramieniu.

- Moje gratulacje. Czy powiesz mi, jak się na coś takiego zapra-cowuje? Nie jestem senatem i nie mam posłańców, którzy roznoszą plotki. Ja słyszałem tylko tyle, że pobiłeś Mitrydatesa i napadłeś na armię dwadzieścia razy większą od własnej.

Juliusz zaśmiał się krótko.

- Jak znam Rzymian, za tydzień ta armia będzie trzydzieści razy większa. Być może nie powinienem wyprowadzać ich z błędu -powiedział drwiąco. - Przejdźmy się po okolicy, to opowiem ci wszystko ze szczegółami. Chcę zobaczyć nowe granice majątku.

Dostrzegł, że Tubruk ściąga brwi, i czym prędzej się uśmiechnął.

- Byłem zdziwiony, kiedy Kornelia mi o tym powiedziała. Jesteś ostatnim człowiekiem, którego bym posądził choćby o samą chęć sprzedania ziemi.

- Chłopcze, wybór był niewielki. Albo ją sprzedać, albo wysłać mniejszy okup. A ten dom ma tylko jednego syna.

Juliusz ścisnął mu ramię w przypływie nagłego uczucia.

- Wiem, ja się tylko z tobą drażnię. Po pierwsze, postąpiłeś słusznie, po drugie, mam za co ją odkupić.

- No tak, tylko że ja ją sprzedałem ojcu Swetoniusza - zauważył ponuro Tubruk.

Juliusz zatrzymał się w pół kroku.

- Prandus wiedział, że potrzebujesz pieniędzy na okup. Tak czy owak jego też to dotknęło.

Dostałeś dobrą cenę?

- Niezupełnie. Ten człowiek bardzo się targował i koniec końców musiałem spuścić więcej, niż należało. Jestem pewien, że zrobił dobry interes, ale to było - Tubruk skrzywił się, jakby miał przełknąć coś gorzkiego - to było niegodziwe.

Juliusz odetchnął głęboko.

- Pokaż mi, ile straciliśmy, a potem pomyślimy, jak dobrać się do Prandusa, żeby wszystko zwrócił. Jeżeli jest taki sam jak

syn, nie będzie to łatwe. Tubruku, chciałbym wrócić, kiedy obudzi się moja matka. Mam jej… wiele do powiedzenia.

Coś powstrzymało Juliusza przed zwierzeniem się Tubrukowi

z rany głowy i ataków, które potem nastąpiły. Po części ze wstydu, że latami nie miał

zrozumienia dla matki, lecz bardziej, by nie zobaczyć współczucia w oczach starego gladiatora. Nie sądził, że mógłby je udźwignąć.

Wyszli z majątku i weszli na wzgórze, między drzewa, tam gdzie biegał jako chłopiec, i Juliusz opowiedział Tubrukowi o wszystkim, co mu się przytrafiło, od kiedy opuścił miasto.

Nowe granice miały solidne drewniane ogrodzenie. Przecinało ono ścieżkę, na której Juliusz, wiele lat temu, wykopał wilczą pułapkę dla Swetoniusza. To, że wzniesiono je na ziemi, która należała do jego rodziny od pokoleń, sprawiło mu ból, i najchętniej by je rozwalił. Oparł się o drewniane sztachety i głęboko zamyślił.

- Mam dość złota, by dać mu więcej, niż ta ziemia jest warta, lecz to by było poniżej mojej godności. Nie lubię być oszukiwany.

- Prandus będzie dziś w senacie, więc będziesz miał okazję go wybadać. Może źle go osądzamy. Może zgodzi się zwrócić ziemię za takie same pieniądze - powiedział bez

przekonania Tubruk.

Juliusz popukał palcami w solidne żerdzie i westchnął.

-Jakoś w to wątpię. Swetoniusz powinien już być w domu, a na okręcie i w Grecji nie we wszystkim byliśmy zgodni. Nie zechce wyświadczyć mi żadnej przysługi, ale ja tak czy inaczej odzyskam ziemię mojego ojca. Spytam Marka, co o tym myśli.

- Chciałeś powiedzieć, Brutusa. Czy nie wiesz, że był centurionem w Pięści z Brązu? On z kolei zechce twojej rady

co do Pierworodnych.

Juliusz uśmiechnął się na myśl o rozmowie z przyjacielem z dzieciństwa.

- To pewnie najmłodszy wódz w całej historii Rzymu - powiedział.

- Legat bez legionu - prychnął Tubruk i nagle spoważniał, a jego oczy zrobiły się lodowato zimne. - Po śmierci Mariusza Sulla kazał skreślić tę nazwę z rejestru legionów. Nikt nie czuł

się bezpiecznie, nawet senatorowie. Każdy, kogo Sulla nazwał wrogiem miasta, był

wywleczony z domu i pozbawiony życia bez żadnego wyroku. Pomyślałem, że trzeba zabrać Kornelię i dziecko, ale… - Ugryzł się w język. Przypomniało mu się, co Kornelia powiedziała, Rozdział XXVIII

kiedy w nocy wracał od Aurelii do swojego pokoju, a Juliusz był pogrążony w głębokim śnie.

Stary gladiator był w rozterce. Nie mógł być nielojalny wobec Juliusza i nie chciał nie usłuchać Kornelii. Jego związki z obojgiem bardziej przypominały związek ojca z dziećmi niż zarządcy majątku z parą właścicieli. Nienawidził trzymać niczego w sekrecie, lecz wiedział, że o tym, co wydarzyło się z Sullą, powinien powiedzieć najpierw jej.

Juliusz, zatopiony w myślach, chyba nie zauważał jego zakłopotania.

- Tubruku - powiedział - podziękuj furiom, że ten potwór nie żyje. Nie wiem, co bym zrobił, gdyby wciąż chodził po tym świecie. Może napisałbym do ciebie, byś wywiózł moją rodzinę z kraju, ale życie na wygnaniu oznaczałoby dla mnie kres wszystkiego. Nie potrafię opisać, co to znaczy na powrót dotykać stopami rzymskiej ziemi, po tak długiej nieobecności. By poczuć siłę jej oddziaływania, trzeba najpierw ją opuścić, rozumiesz to, prawda?

- Wiesz, że tak, chłopcze. I nieraz się zastanawiam, jak Kabera może znosić to ciągłe wędrowanie. Nie potrafię pojąć, jak

można żyć bez korzeni, choć być może my tutaj

zakorzeniliśmy się głębiej niż większość.

Juliusz powiódł wzrokiem po zielonych cieniach lasu, który mieścił w sobie tak wiele wspomnień, i poczuł, że utwierdza się w swoim postanowieniu.

Przyszła mu do głowy inna myśl.

- A co z miejskim domem Mariusza?

-Już po nim - powiedział Tubruk, odwracając oczy. - Sprzedany na aukcji, kiedy Sullę ogłoszono dyktatorem. Z jego rozkazu wiele posiadłości zmieniło właścicieli. Niektóre kupił

Krassus, ale ogólnie biorąc, licytację zrobiono dla pozoru, i najlepsze dostały się stronnikom Sulli.

- Czy wiesz, kto tam mieszka? - W głosie Juliusza słychać było nutę napięcia.

Tubruk wzruszył ramionami.

- Został podarowany Antonidusowi, wodzów Sulli, albo może kupiony za znikomy procent wartości. Antonidusa nazywają psem

Sulli, za wierność własnemu panu, ale ten człowiek nieźle się na tej wierności obłowił. Juliusz zacisnął pięść.

- Ten problem mogę załatwić jeszcze dzisiaj, po spotkaniu w senacie. Czy dużo ma żołnierzy ten Antonidus?

Tubruk zmarszczył czoło, nie bardzo rozumiejąc intencję pytania, ale potem uśmiech rozciągnął mu usta.

- Trochę domowych straży. Ma nominalny stopień, którego nikt nie śmie mu odebrać, lecz nie jest powiązany z żadnym legionem. Masz dosyć ludzi, by go stamtąd wyrzucić, tylko zrób to szybko.

- Zatem zrobię to szybko - odpowiedział Juliusz, zawracając od ogrodzenia i spoglądając w stronę majątku. - Czy moja

matka już wstała?

- Raczej tak. Ostatnio nie śpi wiele. Męczy ją wciąż ta sama choroba, lecz musisz wiedzieć, że Aurelia z dnia na dzień robi się słabsza.

Juliusz popatrzył z miłością na starego gladiatora, który nie był biegły w sztuce skrywania uczuć.

- Bez ciebie dawno by zginęła - powiedział.

Tubruk chrząknął, spojrzawszy w bok, i ruszyli w milczeniu w drogę powrotną. Jego

obowiązek względem Aurelii był poza wszelką dyskusją, wbrew temu, że z miesiąca na miesiąc i z tygodnia na tydzień wciąż więcej i więcej poświęcał jej czasu. Myślał o niej, nawet patrząc na Klodię i godząc się na uczucie, które ku jego zaskoczeniu wzięło się z niczego. Piastunka Julii nie kryła, że podziela cichą miłość, którą ją darzył. A jednak była

Aurelia, która wymagała opieki, i wiedział, że dopóki będzie miał takie zobowiązania, nie ucieknie z majątku w zacisze małego domu w mieście, nawet gdyby oboje wykupili Klodię z niewoli, co według niej było sprawą z góry przesądzoną. Martwienie się na zapas to jałowe zajęcie, doszedł do wniosku, kiedy znaleźli się bliżej majątku. Wszystko, co człowiek może zrobić, pomyślał, to nie dać się zaskoczyć losowi i być gotowym na zmiany, jakie przyniesie.

Przy bramach czekał na nich Oktawian. Juliusz popatrzył na niego bezmyślnie, kiedy go mijali, ale mały chłopiec skłonił się przed nim głęboko.

- A to kto taki? - spytał zaskoczony.

Rozdział XXVIII

Tubruk się zaczerwienił.

- To Oktawian, panie. Powiedziałem mu, że ci go przedstawię, jak przyjdzie pora, ale widzę, że znów się zniecierpliwił.

Oktawian pobladł na tak wyraźną przyganę. To prawda, cierpliwy nie był, ale nie był też nieposłuszny, tylko się bał, że Tubruk zmieni zdanie, a to całkiem co innego, pomyślał.

- Tubruk opiekuje się mną, za moją matkę - powiedział śmiało, zwracając się do Juliusza. -

Uczę się walczyć mieczem i jeździć konno, i…

Tubruk, coraz bardziej zakłopotany, trzepnął chłopca, by przerwał swój popis. Zamierzał

wyjaśnić Juliuszowi całą sytuację i niepotrzebne tu były żadne niespodzianki.

- Przyprowadziła go Aleksandria - powiedział, popychając Oktawiana w stronę stajni. - To twój daleki krewny, potomek siostry twojego dziadka. Aurelia chyba go lubi, ale małemu wciąż brakuje ogłady.

- A ta walka na miecze i ta jazda konna? - spytał Juliusz, rozbawiony zmieszaniem Tubruka.

Zobaczyć zdenerwowanego zarządcę majątku było dla niego nowym doświadczeniem i

postanowił trochę go podręczyć.

Tubruk podrapał się za uchem, skrzywił i popatrzył gniewnie za ociągającym się

Oktawianem, aż ten rad nierad w końcu znikł im z oczu.

- To był mój pomysł. Pobili go w mieście jacyś więksi chłopcy terminujący u rzeźnika, więc pomyślałem, że warto mu pokazać, jak się troszczyć o samego siebie. Zamierzałem ci to wszystko powiedzieć, ale…

Juliusz wybuchnął śmiechem, co tylko bardziej zmieszało Tubruka. .

-Jeszcze nigdy nie widziałem, żebyś się tak denerwował - powiedział. - Chyba polubiłeś tego szczeniaka?

Tubruk wzruszył ramionami, zirytowany całą sytuacją. Oktawian jak zawsze nic sobie nie robił z jego poleceń. Jak zawsze tak i dzisiaj zaczął dzień, całkowicie zapominając o wczorajszych naukach czy karach.

- To mały chłopiec, ale bardzo uparty. Teraz, kiedy go trochę oswoiliśmy, przypomina mi ciebie.

- Tubruku, wiedz, że nie podaję w wątpliwość niczego, co robiłeś pod moją nieobecność.

Jeżeli twój sąd był dostatecznie dobry dla mojego ojca, będzie dobry i dla mnie. Wieczorem po powrocie przyjrzę się chłopcu lepiej. Jest trochę za mały, by walczyć w ślepych zaułkach miasta, nieprawda?

Tubruk przytaknął, ucieszony ze zgody Juliusza, ale postanowił na razie nie wspominać, że chłopiec ma własny pokój w domu i własnego kucyka w stajniach.

Juliusz, wciąż w dobrym humorze, wszedł do głównego budynku i Tubruk został na

podwórzu sam. W drzwiach stajni coś się poruszyło. A więc mały znów szpieguje, pomyślał i ciężko westchnął. Pewnie boi się, że straci kucyka, i pora, by go tym postraszyć.

Juliusz siedział w milczeniu w ubieralni matki, obserwując, jak niewolnica nakłada na nią olejki i róże, które miały ukryć chorobliwą bladość. Pozwoliła mu się zobaczyć podczas ubierania, co było równie niepokojącym objawem jak widok jej chudości i złego wyglądu. Od dawna obiecywał sobie, że okaże zrozumienie dla jej choroby i na gruzach jego dzieciństwa zbudują oboje coś na kształt przyjaźni. Ale kiedy przyszła właściwa chwila, nie wiedział, jak zacząć. Kobieta siedząca przed lustrem była mu prawie obca. Zapadłe, pociemniałe policzki skutecznie opierały się barwom, które nakładała niewolnica, i przeświecały przez nie jak cienie śmierci. Ciemne oczy były zmęczone i apatyczne, a ramiona tak żałośnie cienkie, że patrząc na nie, mimo woli się skrzywił.

Aurelia przynajmniej go poznała. Powitała łzami i delikatnym uściskiem, który odwzajemnił

ostrożnie, by nie zgnieść kości tej kruchej istocie. Choć i tak zaczęła tracić oddech, a jego ogarnęło poczucie winy.

Kiedy niewolnica spakowała swoje drobiazgi do inkrustowanego drewnianego pudełeczka i skłoniwszy głowę, wyszła z komnaty, Aurelia odwróciła się do syna. Obdarzyła go bladym uśmiechem, a jej cienka jak pergamin skóra ściągnęła się pod nałożonymi sztucznymi kolorami w skorupę zmarszczek.

Juliusz walczył z własnymi uczuciami. Kabera powiedział, że jego kondycja jest inna niż matki, poza tym on odniósł niemal

śmiertelną ranę. Ale i tak mieli ze sobą coś wspólnego, nawet jeśli przepaść między nim a nią była nie do pokonania.

-Ja… myślałem o tobie. Bardzo wiele… - zaczął.

Aurelia nie odpowiedziała, pozornie skupiona na oglądaniu własnej twarzy w tafli

wypolerowanego brązu. Wykręcała się to w jedną, to w drugą stronę, dotykając długimi, cienkimi palcami szyi i włosów i ściągając brwi.

- Odniosłem ranę w bitwie i długo chorowałem - brnął dalej Juliusz - i potem miałem dziwny atak. To… przypomniało mi o twojej chorobie i pomyślałem, że trzeba ci o tym powiedzieć.

Żałuję, że nie byłem lepszym synem. Nigdy przedtem nie rozumiałem, przez co przechodzisz, ale kiedy to samo przydarzyło się mnie, to było tak, jak przejrzenie na oczy. Przepraszam.

Mówiąc, przyglądał się jej drżącym dłoniom, gładzącym i pieszczącym twarz coraz

szybszymi pociągnięciami. Wolał nie czekać, co będzie dalej. Poderwał się z miejsca, a ona, jakby nagle sobie o nim przypomniała, spojrzała przez ramię.

- Juliusz? -Jej źrenice były ciemne i rozszerzone, a oczy omiotły go niewidzącym

spojrzeniem.

- Jestem tutaj - powiedział smutno, zastanawiając się, czy matka w ogóle go słyszy.

- Myślałam, że mnie opuściłeś - poskarżyła się żałosnym głosem.

Juliusz zadrżał.

- Nie, nie opuściłem. Jestem tutaj - powtórzył raz jeszcze.

- Czy z Gajuszem wszystko w porządku? To taki uparty chłopiec. - Aurelia zamknęła oczy i opuściła głowę, jakby chciała się odciąć od wszystkiego, co ją otaczało.

- Tak… w porządku. On cię bardzo kocha - odpowiedział czule, podnosząc dłoń, by otrzeć pierwszą bolesną łzę.

Aurelia skinęła głową, odwróciła się do lustra i na powrót wpatrzyła we własne odbicie.

- To dobrze. Czy przysłałbyś mi niewolnicę, kochanie? Musi mi umalować twarz. Robię dzisiaj obchód domu.

Juliusz przytaknął i przyglądał się jej jeszcze przez chwilę.

- Zaraz ją przyślę - powiedział i wyszedł z komnaty.

Juliusz wszedł na wielki płac ze swoją strażą i skierował się do senatu w tej samej chwili, kiedy cień na zegarze słonecznym na forum wskazał południe. Przecinając otwarty plac, przyglądał się zmianom, jakie zaszły w mieście od czasu, gdy je opuścił. Fortyfikacje Mariusza, wzniesione wzdłuż murów, były rozebrane, i w zasięgu wzroku nie było więcej niż kilku legionistów. Ci zresztą przechadzali się z wyzywająco ubranymi kobietami albo stali w małych rozgadanych grupkach, bez śladu napięcia, którego Juliusz się spodziewał. To znów było miasto pokojowe i przeszył go dreszcz, kiedy kroczył po szarych kamieniach bruku.

Przyprowadził do miasta dziesięciu żołnierzy, chcąc mieć ich blisko siebie, kiedy stanie w senacie bez zbroi i w oficjalnej todze. Takie zabezpieczenie wydawało się niezbędne i nie

wiedział, czy ma się cieszyć, czy smucić. Bitwa o mury wciąż żyła w jego pamięci, jakby wszystko działo się wczoraj, lecz ludzie byli na ulicach i w bladym zimowym słońcu śmiali się i żartowali jedni z drugimi, ślepi na sceny, które rozgrywały się na nowo w jego wyobraźni. Zobaczył padającego Mariusza i krąg ciemnych postaci, żołnierzy Sulli, którzy odcięli obrońców od ich wodza.

Usta wykrzywiły mu się w grymasie goryczy. Jaki był młody i pełen entuzjazmu tamtej nocy.

Wyskoczył prosto z małżeńskiego łoża tylko po to, by zobaczyć, jak obracają się wniwecz ich marzenia i plany, a jego przyszłość odmienia się na zawsze. Gdyby pobili Sullę, gdyby tylko pobili Sullę, Rzymowi zaoszczędziłoby to paru lat przemocy i rozlewu krwi, a republika mogłaby raz jeszcze odzyskać dawną świetność.

Zatrzymał swoich ludzi u podnóża szerokich marmurowych schodów i mimo radosnych

nastrojów na forum nakazał im zachować czujność. Śmierć Mariusza nauczyła go, że

człowiek jest o całe niebo bezpieczniejszy, kiedy się spodziewa kłopotów, nawet obok budynku senatu.

Zabezpieczony odwodami własnych ludzi, którzy zostali na słońcu, Juliusz popatrzył na szeroko otwarte nabijane ćwiekami brązowe drzwi. Senatorowie stali w parach i po trzech, rozmawiając o sprawach dnia i czekając wezwania. Dostrzegłszy swojego teścia, Cynnę, i Krassusa, Juliusz wszedł po schodach, by ich pozdrowić. Pochylali ku sobie głowy, a na ich twarzach dojrzał

Rozdział XXVIII

gniew i rozgoryczenie. Krassus był wciąż zasuszonym mężczyzną, tak jak go Juliusz

pamiętał, pogardzającym jakąkolwiek oznaką bogactwa, co się wyrażało w prostej białej szacie i zwykłych sandałach. Cynnę Juliusz widział ostatni raz podczas ceremonii zaślubin z Kornelią i - z tej pary senatorów - minione lata najbardziej odmieniły jego. Kiedy się odwrócił, by przywitać zięcia, młodszego mężczyznę poraził widok zmarszczek szatkujących twarz nieomylnym świadectwem zmartwień. Cynna obdarzył go zmęczonym uśmiechem i

Juliusz odpowiedział niepewnie, nie znając go przecież dobrze.

- Wędrowiec wraca, w miecza i łuku chwale - zacytował Krassus. - Twój wuj byłby z ciebie dumny, gdyby tu był.

- Dzięki, panie. Właśnie o nim myślałem - odrzekł Juliusz. - Trudno mi patrzeć na miasto po tak długiej nieobecności, zwłaszcza na to miejsce. Wciąż mam nadzieję usłyszeć jego głos.

- Dopóki żył Sulla, nie wolno było nawet wspomnieć jego imienia, wiedziałeś o tym? - spytał

Krassus, oczekując na reakcję, ale młody człowiek zdradził swoje uczucia tylko lekkim zaciśnięciem warg.

- Żądania Sulli niewiele dla mnie znaczyły za jego życia, a teraz jeszcze mniej - powiedział

stanowczo. - Po zakończeniu obrad chciałbym odwiedzić grób Mariusza, by wyrazić mu swój szacunek.

Krassus i Cynna wymienili spojrzenia i finansista dotknął współczująco jego dłoni.

- Przykro mi, jego szczątki rozszarpano i rozrzucono. Zrobili to żołnierze Sulli, choć on temu zaprzeczał. To dlatego, myślę, zostawił zalecenia, by jego spalić, chociaż przyjaciele Mariusza nie zniżyliby się do takiego samego czynu.

Opuścił dłoń, kiedy Juliusz stężał z gniewu, wyraźnie usiłując zapanować nad sobą. Krassus przemówił spokojnie, dając mu czas na opanowanie emocji.

- Dyktator nie żyje, ale jego duch straszy dalej z ław jego stronników w senacie. Katon przewodzi, a Katulus i Bibilus

naśladują go ślepo we wszystkim. Przypuszczam, że znasz senatora Prandusa, bo to z jego synem zostałeś porwany przez piratów, prawda?

- Tak, i po południu chcę z nim coś omówić - odpowiedział Juliusz. Wyglądał na

opanowanego, ale ukradkiem ściskał prawą

dłoń w lewej. Bał się, że wzbierające w nim emocje wywołają atak na schodach senatu i okryje się hańbą na zawsze.

Krassus udawał, że nie zauważa niczego, za co Juliusz był mu wdzięczny.

- Uważaj na Prandusa, Juliuszu - powiedział surowo, pochylając się ku niemu, by senatorowie wchodzący do środka nie mogli ich podsłuchać. - Ma silne związki z sullańczykami i Katon uważa go za przyjaciela.

Juliusz pochylił ku niemu głowę jeszcze bliżej i wyszeptał chrapliwie:

- Ci, którzy byli przyjaciółmi Sulli, są moimi wrogami. - Odwrócił się od pary

sprzymierzeńców, przeskoczył w pędzie kilka ostatnich stopni i zniknął w budynku.

Krassus i Cynna popatrzyli jeden na drugiego porozumiewawczo i ruszyli w górę

wolniejszym krokiem.

- Wygląda na to, że nasze cele są zbieżne - powiedział cicho Cynna.

Krassus przytaknął krótko, nie chcąc dyskutować o sprawie w tłumie innych, przyjaciół, jak i wrogów, razem z nimi kierujących się na swoje miejsca.

Spośród kilku wolnych miejsc Juliusz wybrał jedno w trzecim rzędzie, z tyłu rostry, i chłonął

dźwięki i obrazy z satysfakcją kogoś, kto po długiej nieobecności wrócił do centrum władzy.

Widząc wokół siebie tak wielu obcych, pożałował, że nie siedzi obok Krassusa i Cynny, którzy nazwaliby każdego z imienia. Z drugiej strony dobrze było nie być zauważanym w tłumie przez sępy, przynajmniej do czasu, nim się lepiej zabezpieczy. Uśmiechnął się pod nosem. Senat to była gra pozorów. To było zgromadzenie fałszywych przyjaciół i ukrytych wrogów. Juliusz wiedział, że wrogami mogą się okazać ci, którzy go tutaj pozdrawiają najbardziej czule. Że ledwo się odwrócą, naślą na niego morderców. Jego ojciec zawsze był

lekceważony przez większość nobilów, choć sam darzył pewnym respektem kilku, którzy przedkładali honor nad politykę.

Zgromadzenie zaczęło przycichać i podstarzały konsul, którego Juliusz nie znał, zaintonował

zwyczajową przysięgę. Wstali jak jeden, by powtarzać za nim uroczyste słowa.

Rozdział XXVIII

309

- My, którzy stanowimy Rzym, przyrzekamy służyć życiem w imię pokoju, własnymi siłami miastu i własnym honorem naszym obywatelom.

Juliusz powtórzył wyskandowane słowa razem z innymi i poczuł nieśmiały dreszcz

podniecenia. Serce świata wciąż biło. Wysłuchał w wielkim skupieniu porządku dyskusji, które mieli przeprowadzić, i udało mu się nie zdradzić z uczuciami, kiedy konsul przeszedł do słów „stanowiskiem trybuna nagrodzić Gajusza Juliusza Cezara za jego czyny w Grecji”.

Kilku, którzy go znali, odwróciło się, by zobaczyć jego reakcję, ale Juliusz, przygotowany na tę sytuację dzięki wiadomości kupionej u posłańca, odwzajemnił ich spojrzenia z obojętną twarzą. Postanowił wynająć ludzi, którzy pomogą mu zrozumieć każde wydarzenie dnia. A

także zatrudnić cały zespół prawników. Teraz, kiedy został nagrodzony pierwszym stanowiskiem w politycznej karierze, wytoczy parę spraw. Był dziwnie przekonany, że pierwszy proces skieruje przeciwko Antonidusowi, po tym jak odbierze dom swojego wuja.

Że argumenty, które przedstaw w publicznej obronie Mariusza, sprawią mu dużo satysfakcji.

Katona dawało się łatwo rozpoznać po ogromnej tuszy, chociaż Juliusz nie pamiętał go ze swojej pierwszej wizyty w senacie, jeszcze u boku Mariusza. Senator był nieprzyzwoicie wielki i jego rysy ginęły w grubych fałdach tłuszczu, a cała osobowość człowieka kryła się wyłącznie na dnie przenikliwych paciorków oczu. Zgromadził wokół siebie tłum przyjaciół i stronników i sądząc po różnorodności postaci, Juliusz, nawet bez ostrzeżeń Krassusa, nie mógł nie widzieć, że to człowiek wpływowy. Ojciec Swetoniusza też tam był i ich oczy spotkały się na moment, nim starszy mężczyzna odwrócił wzrok, udając, że go nie poznaje.

Chwilę później Prandus szepnął coś Katonowi do ucha i Juliusz stał się obiektem jego oględzin, choć spojrzenie grubasa wydawało się raczej rozbawione niż zmartwione. Z

beznamiętną twarzą Juliusz zapisał go sobie w myślach jako wroga, następnie z ciekawością odnotował nagły błysk w oczach Katona, kiedy w zgromadzeniu pojawił się Pompejusz i zajął

miejsce, które zatrzymali dla niego jego stronnicy.

Juliusz także obserwował Pompejusza, osądzając zmiany, jakie

w nim zaszły. Skłonność do miękkości kształtów zniknęła. Trzymał się prosto, miał twarde muskuły, jak przystało na żołnierza, i kiedy Juliusz jeszcze raz przeniósł wzrok z niego na Katona, nasunęło mu się jedno porównanie: pies gończy. Zdecydowany brąz skóry

przypomniał Juliuszowi, że człowiek ten spędził jakiś czas w Hiszpanii, dozorując tamtejsze legiony. A więc cały tłuszcz wytopiła z niego walka ze zbuntowanymi plemionami prowincji, to jasne.

Pompejusz podniósł się i zabrał głos w pierwszej sprawie. Przemawiał za koniecznością wysłania sił przeciwko piratom, oceniając, że dysponują tysiącem statków i że narzucili władzę dwu tysiącom osad. Mając w pamięci własne gorzkie doświadczenia, Juliusz słuchał z zainteresowaniem i nie bardzo pojmował, jak senat mógł aż tak stracić panowanie nad sytuacją. Był zdumiony, kiedy inni wstali, zaprzeczając szacunkom Pompejusza i

sprzeciwiając się dalszemu wzmacnianiu sił na morzach.

- Oczyściłbym je w czterdzieści dni, gdybym miał okręty i ludzi - warknął w odpowiedzi Pompejusz, lecz jego deklaracja przepadła w głosowaniu i zasępiony i rozgoryczony zajął na powrót swoje miejsce.

Juliusz głosował w trzech innych sprawach. Zauważył, że Pompejusz, Krassus i Cynna w każdej podzielają jego pogląd. We wszystkich trzech zostali pokonani i tym razem Juliusza ogarnęło rozgoryczenie. Bunt niewolników w pobliżu Wezuwiusza okazał się trudny do stłumienia, lecz zamiast wysłać jakąś potężną siłę i rzecz szybko zakończyć, senat ograniczył

swoje groźby do jednego legionu. Juliusz potrząsnął głową z niedowierzaniem. Początkowo nie zdawał sobie sprawy, jak dalece senat zrobił się ostrożny. Doświadczenia, których nabrał

u boku Mariusza i które wyniósł z własnych bitew, nauczyły go, że imperium musi być silne, jeżeli chce przetrwać, a przecież wielu senatorów przymykało oczy na problemy, z którymi musieli się mierzyć dowódcy na wodach i wybrzeżach Marę Internum. Pod koniec pierwszej godziny przemówień Juliusz zaczynał lepiej rozumieć takich ludzi jak Gaditykus i Praks i ich irytację na brak zdecydowania senatu. Spodziewał się szlachetności w działaniu i rozsądku, odpowiadających

przysiędze, którą złożyli, nie małostkowych sprzeczek i przeciwnych sobie frakcji.

/

Rozdział XXVIII

311

Zatopiony w myślach przeoczył moment, w którym zgromadzenie przeszło do kolejnego

punktu obrad, i wrócił do rzeczywistości dopiero na dźwięk własnego imienia.

- …Cezar, który zostanie nagrodzony stanowiskiem trybuna wojskowego ze wszystkimi prawami i zaszczytami. To wyraz naszej podzięki za pokonanie w Grecji Mitrydatesa i za przechwycenie dwóch pirackich statków.

Wszyscy senatorowie wstali, łącznie z dźwigającym się ciężko na nogi Katonem.

Juliusz uśmiechnął się po chłopięcemu, kiedy wznoszono okrzyki na jego cześć, i udał, że nie zauważa tych, którzy stali w milczeniu, chociaż przesunął wzrokiem po każdej twarzy i po każdym wypełnionym po brzegi rzędzie ław.

Kiedy siadał, serce biło mu jak szalone. Trybun mógł robić pobór do wojska, a on miał już pod ręką trzy setki, które pierwsze przejdą pod jego rozkazy. Katon przechwycił jego spojrzenie i kiwnął głową, wystawiając go na próbę. Juliusz odwzajemnił się tym samym gestem i szerokim uśmiechem. Tamten nie powinien wiedzieć, że ma nowego wroga.

Kiedy ciężkie brązowe drzwi otworzyły się szeroko i do gmachu senatu wpadło światło dzienne, Juliusz ruszył przez tłum, aby zatrzymać ojca Swetoniusza, który już zmierzał do wyjścia.

- Chciałbym zamienić słowo, senatorze - powiedział, przerywając mu jakąś rozmowę.

Senator Prandus odwrócił się, unosząc brwi ze zdziwienia.

- Nie potrafię sobie wyobrazić, Cezarze, byśmy mieli o czym dyskutować - odpowiedział.

Juliusz zignorował chłodny ton i mówił dalej, jakby sprawa rozgrywała się między

przyjaciółmi.

- Chodzi o ziemię, którą mój zarządca sprzedał tobie, by zapłacić za mnie okup. Wiesz, że udało mi się odzyskać złoto, łącznie ze złotem twojego syna. Chciałbym się z tobą spotkać, aby uzgodnić cenę, za którą ziemia wróci do mojej rodziny.

Senator potrząsnął głową.

- Obawiam się, że będziesz rozczarowany. Od paru lat staram się poszerzać swoją posiadłość i w przyszłości, po wycięciu lasu,

zamierzam zbudować tam dom dla mojego syna. Przykro mi, nie mogę ci pomóc.

Uśmiechnął się krzywo i odwrócił na powrót do towarzyszących mu mężczyzn. Juliusz

schwycił go za ramię, lecz senator Prandus szarpnął się i jeszcze raz zwrócił twarz do Juliusza. Płonął gniewem.

- Uważaj, młody człowieku. Jesteś w budynku senatu, nie w jakiejś zapadłej dziurze.

Dotknij mnie raz jeszcze, a każę strażom, by cię pochwyciły i zamknęły w lochu. Z tego, co mi powiedział mój syn, nie jesteś osobą, z którą chciałbym ubijać jakieś interesy.

- Być może powiedział i to, że nie jestem osobą, w której warto mieć wroga - warknął Juliusz, przyciszając głos, by nie usłyszeli go postronni.

Senator zamarł na moment, rozważając groźbę, po czym odwrócił się sztywno i dogonił

Katona, który właśnie wychodził z gmachu.

Juliusz patrzył za nim zamyślony. Spodziewał się czegoś podobnego ze strony tego

człowieka, lecz wiadomość o budowie domu na jego starej ziemi okazała się prawdziwym ciosem. Wzniesiony na szczycie wzgórza nowy dom patrzyłby na jego majątek z wyższością, co Swetoniuszowi dałoby niewątpliwą satysfakcję. Juliusz rozejrzał się za Krassusem i Cynną, chcąc porozmawiać z nimi, zanim udadzą się do swoich domów. W pewnym sensie to, co powiedział ojciec Swetoniusza, było prawdą. Uciekanie się w Rzymie do siły szybko może doprowadzić do katastrofy. Powinien postępować ostrożnie i rozważnie.

- Zaczniemy od Antonidusa - mruknął pod nosem. Tu siła mogła być skuteczna.

/L

ROZDZIAŁ XXIX

Przemarsz przez miasto na czele dziesiątki, do byłego domu Mariusza, obudził w Juliuszu bolesne wspomnienia. Przypomniało mu się tamto podniecenie, jakie poczuł, kiedy

rozsadzająca wodza energia udzieliła się także jemu. Każda ulica i każdy zakręt przypominały mu o tamtej pierwszej, pobrzękującej zbrojami wyprawie do senatu, w otoczeniu

najtwardszych ludzi legionu Pierworodnych. Ile miał wtedy lat? Czternaście? Dosyć, by zrozumieć lekcję, że prawo da się naginać siłą. Nawet Sulla zadrżał przed żołnierzami na forum, na kamieniach, które zwilgotniały od krwi napierających tłumów. Mariusz został

nagrodzony triumfem, którego żądał i za którym przyszedł ponowny wybór na urząd konsula, chociaż Sulla w końcu go pokonał. Serce w Juliuszu załkało, kiedy zapragnął raz jeszcze stanąć u boku złotego wodza.

Żaden z ludzi Juliusza nigdy nie widział Rzymu, a czterech z nich pochodziło z małych osad na afrykańskim wybrzeżu. Silili się na obojętne spojrzenia, ale walka była przegrana, gdy tylko mityczne miasto okazało się rzeczywistością i objawiło przed nimi w całej pełni.

Cyron wydawał się przerażony samą liczbą ludzi chodzących po ruchliwych ulicach. Juliusz, obserwując reakcje olbrzyma, zobaczył Rzym nowymi oczami. Nigdzie na świecie nie było podobnego miejsca. Zapachy jedzenia i przypraw mieszały się z okrzykami i podzwanianiem młotów, z błękitem, czerwienią i złotem tunik i tog tłumów. To była uczta dla zmysłów.

Juliusza cieszyło zdumienie jego ludzi, gdy wspominał, jak jechał u boku Mariusza na 314

złoconym wozie przez ulice pełne wiwatujących ludzi. Słodka chwała tamtej chwili mieszała się w pamięci z bólem, który nadszedł wkrótce, ale przecież wtedy, tamtego pamiętnego dnia triumfu, był tam tak samo, jak był tu teraz.

Choć w pamięci utkwiły mu jedynie nazwy największych ulic, po opuszczeniu forum

rozpoznał drogę bez trudu i instynktownie wybrał właściwy kierunek. Stopniowo ulice stawały się mniej zatłoczone, za to bardziej czyste, gdy tylko znaleźli się ponad doliną z tanimi czynszówkami i zaczęli się piąć brukowaną drogą, która biegła wzdłuż rzędu

skromnych drzwi i bram kryjących za sobą splendor i bogactwo.

Juliusz zatrzymał swoich ludzi kilkaset stóp od bramy, którą dobrze pamiętał, i kiedy zbliżył

się do niej sam, za żelaznymi prętami pojawiła się niska, krępa postać w sandałach i w prostej tunice niewolnika. Chociaż człowiek ten uśmiechnął się uprzejmie, Juliusz zauważył, że jego oczy omiatają oba końce ulicy z charakterystyczną ostrożnością stróża.

- Przychodzę, by rozmawiać z właścicielem domu - powiedział uśmiechnięty i rozluźniony.

- Wodza Antonidusa nie ma tutaj - odpowiedział po chwili wahania stróż.

Juliusz kiwnął głową, jakby się spodziewał takiej właśnie odpowiedzi.

- Zatem muszę na niego poczekać. Przynoszę pewne wieści.

- Nie możesz wejść do środka, kiedy… - zaczął mężczyzna. Jednym krótkim wyrzutem ramienia Juliusz sięgnął przez pręty,

pamiętając, jak kiedyś to samo zrobił Reniusz. Stróż nie zdążył odskoczyć i palce Juliusza chwyciły za tunikę, szarpnęły i przyciągnęły mężczyznę do bramy.

- Otwieraj! - wrzasnął prosto do ucha szamoczącego się stróża.

- Nie otworzę! Gdybyś znał tego, do kogo należy ten dom, nie ośmieliłbyś się go nachodzić.

Będziesz martwy, nim zajdzie słońce, jeśli mnie nie puścisz!

Juliusz użył całej swojej siły, by wcisnąć stróża między pręty.

- Znam go. Ten dom należy do mnie. Albo otworzysz, albo cię zabiję.

f

Rozdział XXIX

315

- Więc mnie zabij, i tak nie wejdziesz - warknął mężczyzna, wciąż szamocząc się dziko.

Nabrał powietrza w płuca, by zawołać o pomoc, aż Juliusza zaskoczyła jego odwaga. Sięgnął

przez pręty drugą ręką, po wiszący u pasa tamtego klucz. Stróż sapnął z gniewu, a Juliusz gwizdnął cicho na swoich ludzi.

- Przytrzymajcie go. Muszę mieć wolne dłonie, by poradzić sobie z zamkiem i z zasuwą -

powiedział: - Stróż ma być cicho, ale krzywdy mu nie róbcie. To dzielny człowiek.

- Ratunku! - wrzasnął odźwierny, nim ciężkie dłonie Cyrona zamknęły mu usta.

Juliusz pomanipulował kluczem w zamku i usłyszawszy suchy trzask, uśmiechnął się.

Podniósł zasuwę. Kiedy brama się otworzyła, na dziedziniec wpadli z hałasem i z

obnażonymi mieczami dwaj strażnicy.

Ludzie Juliusza natychmiast ruszyli, aby ich rozbroić. Mając przed sobą tak wielu, obaj rzucili miecze, gdy tylko ich otoczono, chociaż stróż na ten widok aż posiniał z wściekłości.

Spróbował ugryźć Cyrona w rękę, ale olbrzym trzepnął go mocno i mężczyzna się uspokoił.

- Związać ich i przeszukać dom. Nie przelewać krwi - rozkazał Juliusz, przyglądając się spokojnie, jak jego ludzie dzielą się na pary i ruszają przeszukać tak dobrze mu znany dom.

Niewiele się tu zmieniło. Antonidus zostawił ogrody w takim stanie, w jakim je zastał. Juliusz spojrzał na ścieżkę, gdzie pocałował Aleksandrię, i pomyślał, że trafiłby do jej pokoju w kwaterach niewolników bez żadnego przewodnika. Łatwo było sobie wyobrazić dudniący śmiech Mariusza gdzieś, gdzie nie sięgał wzrok, i Juliusz dałby wiele w tym momencie, by jeszcze raz zobaczyć wielkiego człowieka. Przytłoczył go nagły smutek.

Nie rozpoznał żadnego z niewolników czy sług, których wyprowadzili na zewnątrz i związali jego ludzie, uwijający się z godną podziwu skutecznością. Jeden czy dwóch jego legionistów miało na twarzach świeże zadrapania, lecz Juliusz z wyraźną satysfakcją zauważył, że żaden ze związanych nie doznał nawet takiej szkody. Jeżeli miał odnieść sukces w

sprawie, którą zamierzał wytoczyć, by potwierdzić swoje prawa do domu jako żyjący spadkobierca, 316

wiedział, że należy postępować pokojowo. Sędziowie mogli być członkami rzymskiej

nobilitas i jakakolwiek historia z przelewem krwi w środku miasta mogła ich nastawić przeciwko niemu już na samym początku.

Stróżowi zatkano usta, by wreszcie przestał się wydzierać, ale był uparty i szarpał się jeszcze wtedy, kiedy Cyron kładł go w rzędzie obok innych. Juliusz własnoręcznie zamknął bramę, przekręcił w zamku klucz i odwrócił się do swoich ludzi, którzy stali przed nim w dwóch rzędach po pięciu. Nie było ich dość, by utrzymać dom na wypadek ataku. Musiał wysłać posłańców do majątku po pięćdziesiątkę jego najlepszych żołnierzy, Wszystko było bardzo dobrze zaplanowane, jeśli chodzi o rozprawę z urzędu, lecz Juliusz wiedział, że ten będzie miał przewagę, kto weźmie dom w posiadanie, i przewidując nieuniknione nadejście Antonidusa, był zdecydowany nie stracić dziedzictwa wuja.

W końcu wysłał aż trzech swoich najszybszych biegaczy, przebranych w wydobyte z.

domowych składów tuniki posłańców. Jego głównym zmartwieniem było to, że ludzie mogą się zgubić w wielkim mieście, i głośno przeklął własny brak przezorności. Należało przyprowadzić z majątku kogoś, kto pomógłby im znaleźć drogę do mostu na Tybrze.

Kiedy posłańcy odeszli, Juliusz z przebiegłym uśmiechem zwrócił się do reszty swoich ludzi.

- Powiedziałem, że znajdę wam kwatery w Rzymie. Siedmiu mężczyzn zachichotało zgodnie i rozejrzeli się wokół

z uznaniem.

- Potrzebuję trzech do pilnowania bramy. Inni zmienią ich po dwóch godzinach. Bądźcie czujni. Jestem pewny, że Antonidus wróci tutaj jeszcze przed zachodem słońca. Wezwijcie mnie, jak tylko się pojawi.

Kiedy straże zajęły swoje pozycje, na myśl o mającej się odbyć rozmowie Juliusz wpadł w radosny nastrój. Dzisiaj, nim minie wieczór, dom będzie jego. Od jutra będzie się mógł zająć przywracaniem w mieście dobrego imienia Mariuszowi, nawet gdyby miał walczyć w tej sprawie z całym senatem.

Rozdział XXIX

317

Brutus i Kabera byli w majątku, kiedy nadbiegli posłańcy Juliusza. Przyzwyczajony do wydawania rozkazów Brutus szybko zorganizował pięćdziesiątkę i ruszył szybkim marszem do miasta. Juliusz nie mógł wiedzieć, że tak duża grupa żołnierzy zostałaby zatrzymana przy bramach, Brutus więc kazał ludziom zdjąć zbroje i odpiąć miecze. Wysłał ich do miasta dwójkami albo trójkami. Mieli zebrać się znów, kiedy znajdą się daleko od oczu miejskich straży, które w Rzymie były jednocześnie oczami senatu. Na końcu minął bramy wóz

wyładowany bronią, a Brutus przekupił dowódcę. Kabera wyciągnął spod przykrycia dzban wina, aby wcisnąć go w dłonie strażnika razem z paroma monetami, i w końcu znaleźli się wewnątrz murów.

- Nie wiem, czy się cieszyć, czy oburzać, że tak łatwo poszło - mruknął Brutus, kiedy Kabera szarpnął lejce, by para ciężkich wołów ruszyła. - Kiedy będzie po wszystkim, chyba wrócę do tego strażnika i zamienię z nim słówko. Żeby to choć było wielkie przekupstwo.

Kabera strzelił z bicza i zarechotał.

- Gdyby było, zrobiłby się podejrzliwy. Zapłaciliśmy w sam raz, żeby pomyślał o nas jak o winiarzach, którzy chcą uniknąć miejskich opłat. Wyglądasz jak strażnik, więc mnie musiał

wziąć za bogatego właściciela winnicy.

Brutus parsknął pogardliwie.

- Wziął cię za woźnicę. W tej znoszonej szmacie nie wyglądasz na żadnego właściciela, nie tylko bogatego.

Kabera szarpnął ze złością lejcami, wykręcił w ulicę i wpasował koła wozu między kamienie służące pieszym do omijania błota. Nigdzie nie było przejazdu ani skrętu i posuwali się wolno, chociaż Kaberze wiele radości sprawiało pokrzykiwanie na innych woźniców i

wygrażanie pięścią każdemu, kto ośmielił się zajechać im drogę. Ruszyli za nimi czterej ludzie Juliusza, wyraźnie zadowoleni, że mogą podążać za wozem przez kręte labirynty ulic.

Ani Brutus, ani Kabera nie ośmielili się obejrzeć za siebie, chociaż Brutus zastanawiał się w duchu, ilu wciąż się wałęsa po miejskich targach o zachodzie słońca. Udając, że sprawdza koła, rozejrzał się wokół i z ulgą zobaczył, że liczba tych, których Juliusz zażądał, wzrosła do dziewięciu. Miał nadzieję, że nie rzucają się za bardzo w oczy, w przeciwnym razie ciekawi Rzymianie szybko do nich

dołączą i pod dom Mariusza przybędzie niespodziewany pochód, z wozem na czele, i

jakakolwiek próba uczynienia tego ukradkiem spełznie na niczym.

Kiedy wykręcili na wzgórze i byli niedaleko wielkiego domu, tak dobrze zapisanego w pamięci Brutusa, ich oczom ukazała się gestykulująca postać, krzycząca na kogoś za bramami. Przynajmniej ulica jest dość szeroka i zatrzymanie się na niej nie wstrzyma całego ruchu w okolicy, pomyślał z ulgą Brutus.

- Zsiadaj i sprawdź koła czy coś w tym rodzaju - syknął do Kabery. Stary wygramolił się z -

wozu z głośnym stęknięciem i obszedł go, cztery razy głosząc słowo „koło”. Brutus, ryzykując drugie spojrzenie do tyłu, ze zdziwienia otworzył szeroko oczy na widok

mężczyzn, którzy zebrali się za nimi. Nawet gorzej, uformowali szeregi i mimo cywilnych

ubrań wyglądali na tych właśnie, którymi byli - na grupę legionistów udających zwykłych obywateli. Brutus zeskoczył z wozu i podbiegł do nich.

- Nie stójcie na baczność, głupcy! Jeszcze chwila, a każdy dom w okolicy wyśle straże, by zobaczyć, co się dzieje.

Mężczyźni zaszurali niepewnie butami i Brutus wzniósł oczy do nieba. Na takich nie ma rady.

Do prętów najbliższych bram już przyciskali twarze słudzy i strażnicy, wytrzeszczając oczy na falujące szeregi żołnierzy, i już tu i tam niosły się przez powietrze krzyki nawołujące do czujności.

- No dobrze. Zapomnijmy o ukradkowych działaniach. Zabierać miecze i zbroje z wozu i biegiem do bramy. Tylko szybko! Senat dostanie białej gorączki, kiedy się dowie, że wprowadziliśmy armię w mury miasta.

Żołnierzom wystarczył jeden rozkaz. Twarze natychmiast stężały i każdy zawiązał rzemienie zbroi sprawnie i bez zamieszania. Wszystko razem trwało nie dłużej niż pięć minut i Brutus powiedział Kaberze, by zaprzestał wreszcie sprawdzać wóz.

- Formacja naprzód! - warknął dowódca i policzki mu zapłonęły pod spojrzeniami

gęstniejącego tłumu widzów.

Pomaszerowali ku bramie w doskonałych szeregach. Rzucił krótkie spojrzenie do tyłu i szybko ocenił prowadzonych przez siebie ludzi. Świetny materiał na Pierworodnych,

pomyślał, wyzbywając się całego zakłopotania.

/

Rozdział XXIX

319

Do czasu, nim Juliusz wyjaśnił mu swoje stanowisko, Antonidusowi zdążyła odpłynąć z twarzy ostatnia kropla krwi.

-Jak śmiesz! - zagrzmiał wściekle. - Odwołam się do senatu. Ten dom jest mój prawem kupna i raczej umrzesz, nim go mi ukradniesz.

- Nie kradnę go nikomu. Nie miałeś prawa płacić innym za posiadłość mojego wuja -

odpowiedział spokojnie Juliusz, raczej ciesząc się, niż martwiąc wściekłością psa Sulli.

- To był wróg Rzymu, jego ziemie i bogactwa skonfiskowano. To był zdrajca! - wrzeszczał

Antonidus.

Niczego tak nie pragnął, jak sięgnąć przez żelazne pręty i schwycić bezczelnego młodego człowieka za gardło, lecz straże, które go obserwowały spoza bramy, miały obnażone miecze, a jego dwaj ludzie byli w zdecydowanej mniejszości. Zaczął się zastanawiać, co Juliusz mógł

znaleźć w domu. Czy były tam jakieś ślady wskazujące na jego związek z morderstwem córki Pompejusza? Nie sądził, lecz nie mógł się już uwolnić od tej myśli i wściekłość, od której niewiele brakowało, a dostałby apopleksji, zaczęła przechodzić w panikę.

- Zdrajca, nazwany tak przez Sullę, który zaatakował własne miasto, czy tak? - odrzekł

Juliusz, niebezpiecznie zwężając oczy. -Zatem nazwany źle. Mariusz bronił senatu przed człowiekiem, który sięgnął po władzę dyktatora. Mariusz był człowiekiem honoru.

Antonidus splunął z obrzydzeniem, a jego ślina niemal dotknęła tuniki wciąż związanego stróża.

- Pluję na jego honor - zagrzmiał i chwycił za żelazne pręty. Juliusz kiwnął na jednego ze swoich ludzi, by ruszył do przodu,

i Antonidus chcąc nie chcąc musiał puścić żelazo.

- Niech ci się nie zdaje, że będziesz kładł swoje łapska na wszystko, co posiadam - powiedział

Juliusz.

Antonidus zbierał się do odpowiedzi, lecz nagły stukot żołnierskich butów kazał mu się powstrzymać i obejrzeć w dół wzgórza. Uśmiechnął się chytrze.

- No to się doczekałeś, ty przestępco. Senat wysłał ludzi, a ci jak nic zaprowadzą porządek.

Zostaniesz pobity i tak samo wyrzucony na ulicę jak moi ludzie.

Odstąpił od bramy, by powitać przybyszy.

- Ten człowiek włamał się do mojego domu i zelżył moją służbę. Chcę go umieścić pod strażą

- powiedział do najbliższego żołnierza, czerwieniejąc i blednąc na przemian.

- Och, ten człowiek ma całkiem przyjazną twarz. Pozwólmy mu ją sobie zatrzymać -

odpowiedział Brutus, szczerząc zęby.

Antonidus dopiero po kilku sekundach przyjął do wiadomości szeregi uzbrojonych ludzi i zauważył brak legionowych insygniów. Cofnął się powoli, z hardo zadartą głową.

Brutus zaśmiał mu się w nos.

- Odwołam się do senatu - zagroził Antonidus zachrypniętym od krzyku głosem.

- Odwołaj się i niech twoi rozkazodawcy wyznaczą datę posłuchania. Będę bronił swoich poczynań z litery prawa - odpowiedział Juliusz, otwierając bramę dla Brutusa i jego ludzi.

Antonidus spiorunował go wzrokiem, po czym zawrócił na pięcie i ruszył w dół wzgórza, a za nim para strażników.

Juliusz zatrzymał Brutusa w bramie, dotykając dłonią jego ramienia.

- Planowałem bardziej dyskretny pochód, Brutusie.

Jego przyjaciel zacisnął usta i szarpnął głową, uciekając spojrzeniem.

- Chciałeś ich tutaj, tak? Nie masz pojęcia, jak trudno przeprowadzić przez miasto grupę uzbrojonych ludzi. Dni,

kiedy pięćdziesiątka Mariusza prześlizgiwała się tam i z powrotem, dawno minęły.

Na dziedziniec, zamykając szeregi i bramę, wkroczył Kabera.

- Straże przy miejskich bramach myślały, że jestem dobrze prosperującym kupcem - rzucił od niechcenia.

Obaj, Juliusz i Brutus, zignorowali go, mierząc się wzrokiem. W końcu Brutus skinął głową.

- Niech ci będzie. Mogło się to odbyć spokojniej. Juliusz się uśmiechnął.

- Prawdę mówiąc, ucieszyłem się, kiedy Antonidus pomyślał, że przysyła was senat -

powiedział. - Już choćby tamta chwila warta była publicznego przybycia szeregów.

Brutus wciąż wyglądał na rozżalonego, lecz powoli zaczynał się uśmiechać.

Rozdział XXIX

- Być może. Posłuchaj, senat dowie się od niego, że masz aż tylu ludzi. Nie pozwolą ci na to.

Powinieneś pomyśleć o przeniesieniu niektórych do kwater Pierworodnych.

- Pomyślę, ale za chwilę. Teraz musimy to i owo zaplanować. Trzeba tu sprowadzić z majątku moje inne centurie. - Nagle poraziła go inna myśl. -Jak to się dzieje, że senat się nie sprzeciwia, by w mieście stacjonowali Pierworodni?

Brutus wzruszył ramionami.

- Są na liście legionów, nie zapominaj, ale na dobrą sprawę obozujemy na zewnątrz murów, po północnej stronie, blisko bramy Kwirynalskiej. Mam jeden z najlepszych w Rzymie placów do ćwiczeń. No i Reniusza. Powinieneś to zobaczyć.

- Wiele dokonałeś, Brutusie - powiedział Juliusz, ściskając mu ramię. - Teraz, kiedy obaj wróciliśmy, Rzym nie będzie ten

sam. Przyprowadzę do ciebie moich ludzi, gdy tylko będę pewny, że Antonidus nie spróbuje raz jeszcze.

Brutus rozentuzjazmował się.

- Potrzebujemy twoich ludzi. Pierworodni muszą powiększyć szeregi. Nie spocznę, dopóki nie odzyskają dawnego znaczenia. Mariusz…

- Nie, Brutusie. - Juliusz cofnął dłoń. - Źle mnie zrozumiałeś. Moi ludzie przysięgali tylko mnie. Nie mogą być pod twoim dowództwem. - Nie chciał być twardy wobec przyjaciela, ale atmosferę należało oczyścić na samym początku.

- Co takiego? - zdziwił się Brutus. - Twoi ludzie nie należą do żadnego legionu, a Pierworodni nie mają nawet tysiąca.

Juliusz potrząsnął głową stanowczo.

- Pomogę ci przy nowym zaciągu, tak jak obiecałem, ale moich ludzi ci nie dam. Przykro mi.

Brutus patrzył na niego z niedowierzaniem.

- Ależ ja odbudowałem Pierworodnych dla ciebie. Rozumiesz? Dla ciebie! Będę twoim

mieczem w Rzymie, jeśli jeszcze pamiętasz moje obietnice.

- Pamiętam - odrzekł Juliusz i raz jeszcze ścisnął ramię przyjaciela. - Twoja przyjaźń znaczy dla mnie więcej niż cokolwiek, z wyjątkiem życia i bezpieczeństwa mojej żony i córki. Twoja krew płynie w moich żyłach, a moja w twoich, jeśli jeszcze pamię-

tasz… - Przerwał, zaciskając dłoń mocniej. - Ci ludzie są moimi Wilkami. Nie mogą być pod twoim dowództwem. Zostawmy to raz na zawsze.

Brutus szarpnął się gwałtownie. Twarz mu stężała.

- Niech ci będzie. Zatrzymaj sobie te swoje Wilki, a ja tymczasem będę walczył o każdego nowego żołnierza.

Wracam do siebie i do moich ludzi. Odwiedź mnie, jak zechcesz

przyprowadzić swoich. Być może porozmawiamy o opłatach za ich zakwaterowanie.

Odwrócił się i przekręcił klucz w zasuwie.

- Marku! - krzyknął mu w plecy Juliusz.

Brutus zamarł na chwilę, potem otworzył bramę i odszedł, zostawiając za sobą oba kołyszące się skrzydła.

Nawet w towarzystwie dwóch strażników, jedynych, którzy mu pozostali, Antonidus trzymał

dłoń na sztylecie u pasa, torując sobie drogę przez ciemne uliczki. Choć były wąskie, nocą było na nich aż za dużo miejsc, w których mogli się na niego zasadzić jacyś gwałciciele porządku. Oddychając przez nos, usiłował nie zwracać uwagi na kałuże cuchnącej wody, która zniszczyła mu sandały już po paru krokach, gdy tylko zostawił za sobą główną ulicę.

Jeden z jego ludzi nawet zmełł w ustach przekleństwo, pośliznąwszy się na czymś, co było miękkie i jeszcze parowało świeżością.

Światło dzienne rzadko zaglądało do tej części Rzymu, lecz nocą cienie nabierały

przeraźliwego zabarwienia. Tu prawo nic nie znaczyło, nie chodzili tędy żołnierze ani obywatele, którzy ośmieliliby się odpowiedzieć na wołanie. Antonidus wzdrygnął się i ścisnął

sztylet jeszcze mocniej, kiedy coś wyskoczyło z piskiem spod ich stóp. Nie dociekał, co to takiego, lecz brnął dalej, prawie na oślep, licząc kolejne rogi dotykiem dłoni. Trzy od wejścia, potem cztery następne, na lewo.

Dzień czy noc na tych uliczkach panował ruch, którego większość Rzymu nigdy nie oglądała na oczy. Tu nie prowadzono hałaśliwych rozmów przeplatanych wybuchami śmiechu. Pod murami, przeskakując raz po raz brudne kałuże, przemykały milczące przygarbione cienie i żaden nie

zainteresował się trzema mężczyznami. Tam, gdzie pojedyncze latarnie oświetlały drogę na kilka

tasz… - Przerwał, zaciskając dłoń mocniej. - Ci ludzie są moimi Wilkami. Nie mogą być pod twoim dowództwem. Zostawmy to raz na zawsze.

Brutus szarpnął się gwałtownie. Twarz mu stężała.

- Niech ci będzie. Zatrzymaj sobie te swoje Wilki, a ja tymczasem będę walczył o każdego nowego żołnierza. Wracam do siebie i do moich ludzi. Odwiedź mnie, jak zechcesz

przyprowadzić swoich. Być może porozmawiamy o opłatach za ich zakwaterowanie.

Odwrócił się i przekręcił klucz w zasuwie.

— Marku! - krzyknął mu w plecy Juliusz.

Brutus zamarł na chwilę, potem otworzył bramę i odszedł, zostawiając za sobą oba kołyszące się skrzydła.

Nawet w towarzystwie dwóch strażników, jedynych, którzy mu pozostali, Antonidus trzymał

dłoń na sztylecie u pasa, torując sobie drogę przez ciemne uliczki. Choć były wąskie, nocą było na nich aż za dużo miejsc, w których mogli się na niego zasadzić jacyś gwałciciele porządku. Oddychając przez nos, usiłował nie zwracać uwagi na kałuże cuchnącej wody, która zniszczyła mu sandały już po paru krokach, gdy tylko zostawił za sobą główną ulicę.

Jeden z jego ludzi nawet zmełł w ustach przekleństwo, pośliznąwszy się na czymś, co było miękkie i jeszcze parowało świeżością.

Światło dzienne rzadko zaglądało do tej części Rzymu, lecz nocą cienie nabierały

przeraźliwego zabarwienia. Tu prawo nic nie znaczyło, nie chodzili tędy żołnierze ani obywatele, którzy ośmieliliby się

odpowiedzieć na wołanie. Antonidus wzdrygnął się i ścisnął

sztylet jeszcze mocniej, kiedy coś wyskoczyło z piskiem spod ich stóp. Nie dociekał, co to takiego, lecz brnął dalej, prawie na oślep, licząc kolejne rogi dotykiem dłoni. Trzy od wejścia, potem cztery następne, na lewo.

Dzień czy noc na tych uliczkach panował ruch, którego większość Rzymu nigdy nie oglądała na oczy. Tu nie prowadzono hałaśliwych rozmów przeplatanych wybuchami śmiechu. Pod murami, przeskakując raz po raz brudne kałuże, przemykały milczące przygarbione cienie i żaden nie zainteresował się trzema mężczyznami. Tam, gdzie pojedyncze latarnie oświetlały drogę na kilka

Rozdział XXIX

kroków, ludzie obchodzili światło, jak gdyby wejście w jego krąg było zwykłym kuszeniem losu.

Tylko wściekłość popychała Antonidusa do przodu, ale i tak był przerażony. Człowiek, z którym już miał do czynienia, powiedział, by nie proszony nie pokazywał się na tych ulicach, lecz dzisiejsza strata i gniew dodały mu odwagi. W ciemnościach i narastającym poczuciu zagrożenia odwaga jednak zaczynała go opuszczać.

W końcu doszedł do miejsca, które znalazł poprzednio, do skrzyżowania czterech ścieżek między zapleśniałymi ścianami, gdzieś w samej głębi ciemnego labiryntu. Zatrzymał się, by poszukać swojego człowieka, i wbił oczy w ciemność. Gdzieś w pobliżu kropla wody spadała na kamień i nagły szurgot stóp sprawił, że jego ochroniarze zakręcili się nerwowo, wymachując sztyletami jak dla odpędzenia duchów.

- Miałeś zapowiedziane, by mnie nie szukać aż do ostatniej nocy miesiąca - syknął wodzowi tuż nad uchem czyjś głos.

Antonidus podskoczył przerażony, nogi mu się rozjechały na śliskich kamieniach i niewiele brakowało, by upadł. Szarpnął za sztylet, lecz silna dłoń zacisnęła mu się nieustępliwie na nadgarstku.

Mężczyznę otulał szczelnie płaszcz z kapturem z ciemnej grubej tkaniny, chociaż w

atramentowej czerni zaułka taka przezorność nie była konieczna. Antonidus prawie się zakrztusił bijącą od niego dziwną słodką wonią. To był zapach choroby, powolnego rozkładu maskowanego wonnymi olejkami, i jak za poprzednim razem, tak i teraz przyszło mu na myśl, że płaszcz być może skrywa nie tylko tożsamość. Ciemny mężczyzna przysunął się jeszcze bliżej i zagłębione w kapturze usta prawie dotknęły ucha Antonidusa.

- Dlaczego przychodzisz tutaj, w brzęku sztyletów i straży, niepokojąc połowę moich obserwatorów hałaśliwą niezdarnością?

Głos dyszał gniewem i niósł słodycz ciepłego oddechu, od którego Antonidusowi robiło się niedobrze. Zadrżał mimo woli, kiedy brzeg kaptura musnął jego policzek.

- Musiałem przyjść. Mam dla ciebie inną robotę i spieszy mi się. Uścisk na nadgarstku zrobił się jeszcze mocniejszy, prawie

bolesny. Antonidus ze strachu, że ich twarze mogłyby się dotknąć, nie odwrócił głowy i nie spojrzał na mężczyznę, tylko w drugą

stronę, powstrzymując mdłości, kiedy chorobliwy odór tamtego zaczął wypełniać jego własne płuca.

Ciemna postać cmoknęła parę razy.

-Jeszcze nie znalazłem sposobu na syna Krassusa. Za szybko na następną akcję. Pośpiech zabija moich braci. Nie zapłaciłeś mi dość, bym tracił dla ciebie ludzi.

- Zapomnij o Krassusie. Ten już się nie liczy. Chcę, byś odnalazł córkę Cynny i ją zabił.

Teraz ona ma być twoim celem. Zostaw znak z imieniem Sulli, tak jak w przypadku suki Pompejusza.

Antonidus poczuł, jak uścisk mężczyzny kieruje jego dłoń w stronę pasa, i zgadując intencje, schował sztylet do pochwy. Stanął pewniej na nogach i czekał na dalszy ciąg, nie śmiejąc się ruszyć, by nie okazać wstrętu. Wiedział, że jeśli znieważy tamtego choćby gestem, ani on, ani jego ludzie już nigdy nie zobaczą szerokich jasnych ulic.

-Jej będą strzegli. Będziesz musiał zapłacić za życie tych, których stracę. Moja cena to dziesięć tysięcy sestercji.

Antonidus zacisnął szczęki. Katon pokryje dług, był tego pewien. Czy to nie jego pomysł z wynajęciem tego człowieka? Skinął głową skwapliwie.

- Dobrze. Dostaniesz, ile żądasz. Każę swoim strażnikom przynieść złoto tak jak przedtem.

- Będziesz musiał poszukać innych. Następnym razem nie przychodź tutaj nie proszony albo koszty będą wyższe - wyszeptał głos.

Rozległy się szybkie kroki i nie minęła chwila, kiedy Antonidus poczuł, że jest sam.

Ostrożnie podszedł do miejsca, gdzie stali jego ludzie, sięgnął dłońmi w dół i czym prędzej je cofnął. Gardła były otwarte i wilgotne. Otrząsnął się i prędko odszedł drogą, którą przyszedł.

ROZDZIAŁ XXX

Juliusz przyprowadził swoich żołnierzy do obozu Pierworodnych godzinę przed świtem. Tak jak powiedział Brutus, budynki i pole do ćwiczeń robiły wrażenie. Juliusz cicho gwizdnął, przechodząc pod zewnętrznym łukiem głównej bramy i widząc dobrze rozmieszczone straże i ufortyfikowane pozycje wewnątrz.

Strażnikom na pewno zapowiedziano ich przyjście i żołnierze Juliusza przeszli przez ciężkie bramy, nie zatrzymując się. Chociaż kiedy te się za nimi zamknęły i znaleźli się w środku,

Juliusz poczuł się jak między murami warowni Mitylene. Każdy z budynków wokół

głównego placu mógł być otoczony przez łuczników, a jedyne przejście, bez możliwości odwrotu, było wąskie i poprzecinane szczelinami w murze, skąd mogły się posypać następne strzały.

Centurie zatrzymały się na rozkaz, równając szeregi i wypełniając pole ćwiczebne

doskonałym czworobokiem.

Ciekawe, pomyślał, jak długo Brutus każe mu na siebie czekać. Trudno przewidzieć, po tak długim rozstaniu z najdawniejszym przyjacielem. Chłopiec, którego znał, już by tu był, lecz

mężczyzna, który dowodził resztkami Pierworodnych, zmienił się bardzo, może aż tak, że niewiele miał w sobie z dawnego Marka, ale tego Juliusz jeszcze nie wiedział.

Minuty się ciągnęły, stał jednak obok swoich ludzi, nie okazując zniecierpliwienia.

Potrzebował kwater dla żołnierzy, a Tubruk potwierdzał słowa Brutusa, że te są bardzo dobre.

W końcu, jak ktoś ma za sobą Krassusa i jego złoto, równie dobrze mogłyby być

najlepsze. On sam gotów byłby odkupić od tego finansisty jakąś część, choć po cichu zgadzał

się z Tubrukiem, że nigdy nie wiadomo, czym obecne, choćby najbardziej przyjazne związki z bogatym senatorem zaowocują w przyszłości.

Brutus wyszedł z głównego budynku z ich dawnym nauczycielem u boku. Juliusz z kamienną twarzą przyjrzał się zakrytemu kikutowi lewego ramienia Reniusza. Przyjaciel wciąż miał złą minę i nadzieje w Juliuszu zgasły.

Brutus podszedł, zatrzymał się sztywno i zasalutował jak równy równemu. Juliusz zrobił to samo. Zakłuło go w sercu na ten chłód między nimi, lecz po ułamku sekundy raz podjęte postanowienie tylko się w nim ugruntowało. Nie ustąpi. Brutus nie był kimś, czyją

inteligencję chciałby wykorzystać do schlebiania własnej osobie i nad kim miałby panować.

Taki rodzaj manipulacji był dobry wobec wrogów czy formalnych sprzymierzeńców, nie wobec chłopca, z którym kiedyś złapał kruka.

- Witaj w kwaterach Pierworodnych, trybunie - powiedział Brutus.

Tak oficjalny ton każdego mógłby zirytować. Juliusz go zignorował i zwrócił się do Reniusza:

- Miło znów cię widzieć, stary przyjacielu. Czy nie mógłbyś mu wytłumaczyć, że ci ludzie to nie Pierworodni?

Reniusz przyjrzał mu się beznamiętnie, po czym odpowiedział:

- Nie pora, chłopcze, rozdzielać siły. Tegoroczny termin zaciągu na Polu Marsowym już minął i nie będzie chętnych, aby utworzyć nowy legion. Wy dwaj powinniście przestać prężyć pierś jeden na drugiego. Trzeba zawrzeć pokój.

Juliusz parsknął zirytowany.

- Na bogów, Brutusie, czego ty się po mnie spodziewasz? Pierworodni nie mogą mieć dwóch dowódców, a moi ludzie przysięgali tylko mnie. Znalazłem ich w małych osadach i zrobiłem z nich legionistów, zaczynając od zera. Nie możesz żądać, bym przekazał ich w inne ręce po tym, co ze mną przeszli.

- Myślałem… że ty, jak nikt inny, chciałbyś zobaczyć Pierworodnych tak samo silnych jak kiedyś.

-Jako trybun wojskowy mogę zrobić dla ciebie nowy zaciąg. Roześlę za ludźmi po całym kraju. Przysięgam, że odtwo-

rżymy Pierworodnych. Jestem winien Mariuszowi tyle samo co ty, i więcej.

Brutus spojrzał mu w oczy, ważąc jego słowa.

- Czy to znaczy, że jednocześnie będziesz tworzył własny legion? Czy wystąpisz do senatu, by wpisać do rejestru nową nazwę? - spytał głosem pełnym napięcia.

Juliusz zawahał się i Reniusz odchrząknął, aby przemówić. Posłuszeństwo, które im wpoił

wiele lat temu, nakazywało czekać jednemu i drugiemu. W końcu dawny nauczyciel zajrzał

Juliuszowi w oczy.

- Lojalność to rzadkość, chłopcze, ale Brutus ryzykował życie dla ciebie, kiedy Pierworodni wrócili do rejestrów, i teraz tacy jak Katon występują przeciw niemu. Tu nie ma żadnego konfliktu. Pierworodni są twoim legionem, nie rozumiesz tego? Twoi ludzie mogą złożyć nową przysięgę i wciąż pozostać twoimi ludźmi.

Juliusz popatrzył na obu i to było jak spojrzenie w dzieciństwo. Niechętnie potrząsnął głową.

- Nie może być dwóch dowódców. Brutus wytrzeszczył na niego oczy.

- Czy żądasz, bym ja złożył przysięgę tobie? Bym przekazał ci dowództwo?

- Jak inaczej mógłbyś być moim mieczem, Brutusie? Jednak nie mogę żądać, byś złożył swój stopień. Zawsze o nim marzyłeś. Żądałbym za wiele. - Juliusz dotknął jego ramienia.

- Nie - mruknął Brutus. Nagle dojrzał do decyzji. - Nie żądałbyś za wiele. Łączą nas starsze przysięgi, a ja zawsze przysięgałem być tam, gdzie mnie wezwiesz. Czy wzywasz mnie teraz?

Juliusz odetchnął głęboko, przyglądając się przyjacielowi i czując gwałtowne bicie własnego serca.

- Wzywam - powiedział spokojnie.

Brutus skinął głową. Decyzja została podjęta.

- Zatem przysięgnę razem z twoimi Wilkami i odrodzeni Pierworodni wkroczą w swój

pierwszy dzień.

Juliusz otoczony pięcioosobową zaledwie ochroną kroczył przez gwarne ulice miasta, kierując się wskazówkami Tubruka. Był w dobrym nastroju. Dom wuja przeszedł w jego ręce i był dobrze pil-328

nowany przez dwudziestu żołnierzy. Co ważniejsze, problem z Pierworodnymi został

rozważany. Po cichu błogosławił Brutusa i Re-niusza za ich lojalność, choć coś mu mówiło, że w końcu wykorzystuje ich miłość do niego z zimną krwią, tak jak manipuluje się wrogiem.

Nie było innego sposobu, powiedział sobie, lecz nie mógł też stłumić głosu sumienia.

Sklep Tabbika znajdował się niedaleko domu Mariusza i Juliusz bez trudu go znalazł, choć kiedy podszedł bliżej, serce zatłukło mu się w piersi od nagłego podniecenia. Nie widział

Aleksandrii od dnia swoich zaślubin i z początku bał się zapytać Tubruka, jak przeżyła zacięte walki, które spowodowały jego ucieczkę z miasta. Położył dłoń na drzwiach i jeszcze się zawahał, doświadczając dawnego zdenerwowania, które zawsze go prześladowało w jej

obecności. Potrząsnął głową i zaśmiał się, rozpoznając stare uczucie, po czym wszedł do środka. Jego ludzie zostali na zewnątrz i zagrodzili wąskie przejście.

Aleksandria stała o kilka kroków od drzwi i odwróciła się, aby pozdrowić wchodzącą osobę.

Roześmiała się, rozpoznając go, z czystej przyjemności spotkania ze starym przyjacielem.

Miała na sobie złoty naszyjnik, a za plecami Tabbika manipulującego przy zapięciu.

Juliusz zachłysnął się jej widokiem. Złoto rzucało na jej skórę jasne refleksy, a ona zdawała się emanować pewnością siebie, czymś, czego przedtem jej brakowało.

- Wyglądasz pięknie - powiedział, zamykając za sobą drzwi.

- To dlatego, że stoję obok Tabbika - odpowiedziała żartobliwie.

Tabbik chrząknął, podniósł oczy znad pracy i przyjmując do wiadomości, że ktoś odwiedził

jego sklep, wyprostował się, przyciskając dłoń do krzyża.

- Kupujesz czy sprzedajesz? - spytał i ku żalowi Juliusza zdjął złoto z szyi Aleksandrii.

- Ani jedno, ani drugie, Tabbiku - powiedziała Aleksandria. - Juliusz jest moim starym przyjacielem.

Tabbik ostrożnie kiwnął głową.

- Czy to ten, który opiekuje się Oktawianem?

- Chłopiec dobrze sobie radzi - zapewnił szybko Juliusz.

Rozdział XXX

Tabbik pociągnął nosem, nieudolnie maskując czuły uśmiech.

- Cieszę się - powiedział tylko i odszedł z naszyjnikiem na zaplecze.

- Wyszczuplałeś, Juliuszu. Czy twoja piękna żona nie dość cię karmi? - spytała całkiem naturalnie Aleksandria.

- Wróciłem dopiero przed paroma dniami - zaśmiał się Juliusz. - I zająłem dawny dom Mariusza.

Aleksandria uniosła brew, zdziwiona.

- Szybko ci idzie - powiedziała. - Zdawało mi się, że mieszka tam wódz Sulli.

- Mieszkał. Będę musiał stawić się na forum przed ławą sędziów, aby go zatrzymać na dobre, lecz to będzie świetna okazja do przywrócenia czci imieniu Mariusza.

Na wspomnienie trudnych czasów Aleksandria posmutniała i zaczęła nieporadnie

rozwiązywać troki fartucha. Juliusz chciał zrobić krok i jej pomóc, lecz w ostatniej chwili oparł się pokusie. Był wstrząśnięty. Wystarczyło, by przekroczył próg tego miejsca, a czuł ten sam pociąg do Aleksandrii co kiedyś.

Jesteś żonatym mężczyzną, powiedział sobie twardo, a jednak kiedy znów na niego spojrzała, zrobił się czerwony.

- Więc po co przychodzisz do naszego skromnego sklepiku? Popatrzeć na mnie, Juliuszu?

- Możliwe. Ucieszyłem się, kiedy Tubruk mi powiedział, że przeżyłaś. Słyszałem o samobójstwie Metelli. - Jak zwykle, kiedy był z nią, jąkał się i denerwował brakiem odpowiednich słów.

Aleksandria odwróciła się do niego. W oczach miała łzy.

- Nie zostawiłabym jej samej, gdybym wiedziała, co zamierza zrobić. Bogowie, mogłam ją zabrać ze sobą tutaj, do Tabbika. Ona jest taką samą ofiarą jak ludzie, których ten potwór Sulla zabijał na ulicach. Żałuję jedynie, że miał szybką śmierć, jak mówią. Powinien umierać długo i w mękach.

- Nie zapomniałem ani o Metelli, ani o nich, choć wydaje się, że cały senat chce zapomnieć -

powiedział Juliusz z goryczą i nagle zrodziło się między nimi milczące porozumienie.

Oboje mieli w pamięci tych, których stracili, i oboje byli sobie bliscy, bardziej, niż jedno czy drugie odważyłoby się zgadywać.

- Każesz im za to zapłacić, czy tak, Juliuszu? Nie potrafię spo-

kojnie myśleć, że szumowiny, które wtedy widziałam, wciąż włóczą się bezkarnie po ulicach.

Rzym jest brudniejszym miastem niż to, które oglądasz z forum.

- Zrobię, co będę mógł. Zacznę od tego, by oddali cześć Mariuszowi, co powinno stanąć kością w kilku gardłach - odpowiedział poważnie.

Uśmiechnęła się do niego raz jeszcze.

- Bogowie, jak to dobrze móc cię znów oglądać. Twoja twarz ożywia we mnie pamięć

dawnych dni.

Juliusz znów poczerwieniał, a ona, widząc to, głośno się roześmiała. Przez tę nową pewność siebie, pewność wolnej kobiety, była prawie nie do poznania, mimo to Juliusz czuł, że Aleksandria jest kimś, komu może zaufać z tej prostej przyczyny, że jest częścią jego przeszłości. Bardziej cyniczna część jego jestestwa podejrzewała jednak, że robi się beznadziejnie naiwny. Zmienili się wszyscy i Brutus już go o tym dostatecznie przekonał.

- Nigdy nie podziękowałam ci za pieniądze, które zostawiłeś u Metelli i które mi dała, kiedy się wyzwoliłam - powiedziała. - Kupiłam za nie część udziałów w tym sklepiku. Znaczyły dla mnie dużo.

Juliusz machnął ręką.

- Och, nieważne, chciałem ci tylko pomóc - odpowiedział i przestąpił z nogi na nogę.

- Czy przyszedłeś tu po to, żeby zobaczyć, jak je wydałam?

- Nie, mógłbym tu przyjść, żeby zobaczyć ciebie, z czystej przyjaźni, ale tak się składa…

- Wiedziałam! Chcesz dla żony jakiś wisiorek albo piękną zapinkę? Zrobię coś specjalnego, coś pod kolor jej oczu. - Jej wesołość kontrastowała z jego powagą. To nie był

ten sam jąkający się chłopiec, którego znała.

- Nie, to coś na proces i na potem. Chcę zamówić tarcze z brązu, by uczcić Mariusza. Chcę odtworzyć na nich jego twarz, jego bitwy, nawet jego śmierć, po tym, jak upadło miasto.

Chcę opowiedzieć im historię jego życia.

Aleksandria przesunęła dłonią po związanych włosach, zostawiając na nich cienką smugę opiłków, które odbiły światło, kiedy się poruszyła, i Juliusz nagle zapragnął, jak niczego na świecie,

Rozdział XXX

dotknąć kciukiem jej włosów i skóry i delikatnie je stamtąd zebrać. Zły na siebie, wziął się w garść.

Aleksandria zmarszczyła czoło i zamyślona podeszła do półki po rylec i woskową tabliczkę.

- Powinny być duże, może na trzy stopy szerokie, dobrze widoczne z daleka.

Mrużąc oko, zaczęła wydrapywać rysunek w wosku. Juliusz przyglądał się, jak odgarnęła z czoła luźny kosmyk. Tubruk powiedział, że jest dobra w tym, co robi, a sądy tego człowieka zazwyczaj były wiarygodne.

- Pierwsza tarcza powinna przedstawiać jego wizerunek. Co myślisz o tym?

Odwróciła tabliczkę w stronę Juliusza. Rozpoznał znajomą twarz. W rysach było coś z dawnej siły, choć proste linie rysunku były jedynie odległym echem żywotności, którą kipiał

Mariusz.

- To on. Nie rozumiem, jak potrafisz robić takie rzeczy.

- Och, Tabbik uwielbia uczyć. Mogę zrobić dla ciebie te twoje tarcze, ale już za sam metal trzeba drogo zapłacić. Nie chcę się z tobą targować, Juliuszu, lecz chodzi o miesiące pracy.

Muszę być precyzyjna. Twoje zamówienie to coś, co może mi wyrobić w mieście markę.

- Koszty się nie liczą. Ty ustalisz uczciwą cenę, ja muszę mieć tarcze za parę tygodni, nie miesięcy. W sytuacji, kiedy Antonidus szaleje z gniewu po stracie domu, senat nie pozwoli zwlekać z procesem. Potrzebuję najlepszych, jakie potrafisz zrobić, i tak prędko, jak zdołasz.

- Tabbiku? - zawołała Aleksandria.

Siwy brązownik wyszedł z tylnego pomieszczenia, wciąż z narzędziami w dłoniach.

Aleksandria wyjaśniła mu szybko, o co chodzi, i Juliusz uśmiechnął się na widok rozjaśnionej zainteresowaniem twarzy mężczyzny.

- Mogę prowadzić sklep normalnie, lecz zamówienia na zapinki muszą być odłożone na potem. Zauważ - potarł brodę w zamyśleniu - że to może podnieść cenę tych, które

skończyłaś, co by wcale nie zaszkodziło. Musimy wynająć większe pomieszczenie i dużo większą kuźnię. Pomyślmy…

Sięgnął po inną tabliczkę i tych dwoje pisało i rozmawiało przy-

ciszonymi głosami nieskończenie długo, podczas gdy Juliusz płonął zniecierpliwieniem. W

końcu doszli do zgody i Aleksandria znów odwróciła się do Juliusza, a złoto wciąż błyszczało w jej włosach i na skórze.

- Przyjmę pracę. Cena będzie zależała od tego, ile nieudanych pomysłów trzeba będzie poprawić. Musimy omówić poszczególne sceny, ale musisz tu przyjść na parę godzin.

- Wiesz, gdzie mieszkam - powiedział. - Kiedy będziesz mnie potrzebowała, możesz tam przyjść.

Aleksandria ściągnęła brwi i chwilę bawiła się rylcem.

- Wolałabym, żebyś ty przyszedł tu. - Nie chciała wyjaśniać, ile kosztowało ją przejście przez bramy starej posiadłości, kiedy tam była ostatni raz.

Juliusz zrozumiał to, czego nie dopowiedziała.

- Zatem przyjdę. Mogę nawet przyprowadzić chłopca. Wiem od Tubruka, że wciąż mówi o tobie i, ehm… o Tabbiku.

- Przyprowadź koniecznie. Obojgu go nam brakuje. Matka go odwiedza, kiedy może, ale rozłąka z nim musi być dla niej ciężkim przeżyciem - odpowiedziała Aleksandria.

- Ten dzieciak jest postrachem całego majątku. Parę dni temu Tubruk przyłapał go jeżdżącego po polach na moim koniu.

- Oberwało mu się? - spytała Aleksandria, o wiele za szybko. Julıusz uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Tubruk go przyłapał, nie Reniusz, chociaż jak by sobie z nim poradził, mając jedną rękę, to inna sprawa. Powiedz matce, niech się nie martwi o syna. To moja krew i ja się nim zajmę.

- On nigdy nie miał ojca, Juliuszu. Chłopiec potrzebuje trochę innej opieki niż dziewczynka.

Juliusz się zawahał. Nie chciał brać na siebie całej odpowiedzialności.

- Ośmielam się twierdzić, że krążąc między Reniuszem a Tubru-kiem nie uda mu się zboczyć z uczciwej drogi.

- Ale oni to nie twoja krew, Juliuszu. - Aleksandria rzuciła mu wyraźne wyzwanie.

- No dobrze! Będę go miał przy sobie, chociaż i tak, od kiedy wróciłem do miasta, nie mam chwili spokoju. Zajmę się nim, powtarzam ci to raz jeszcze.

Rozdział XXX

Uśmiechnęła się do niego zaczepnie.

- Podobno nie ma większego trudu dla mężczyzny niż wychować syna.

Juliusz westchnął.

- Mój ojciec powtarzał to samo.

- Wiem. I miał rację. Bieganie po ulicach w mieście to żadna przyszłość dla tego chłopca.

Absolutnie żadna. Gdzie dziś byłby Brutus, gdyby twoja rodzina go nie przygarnęła?

- Zgadzam się, Aleksandrio. Nie musisz drążyć dziury w całym. Aleksandria niespodziewanie podniosła dłoń, by dotknąć białej

blizny przecinającej jego czoło.

- Pozwól, że się temu przyjrzę. - Stanęła bliżej i cicho gwizdnęła. - Masz szczęście, że żyjesz.

To dlatego jedno twoje oko jest inne?

Wzruszył ramionami, by zmienić temat rozmowy, i nagle, ku własnemu zaskoczeniu,

opowiedział jej wszystko. O walce na Accipiterze, o ranie głowy, która zdrowiała miesiącami, o atakach, które wciąż miewał.

- Nic nie jest takie samo, jak było niegdyś - zakończył niewesoło. - Albo wszystko jest, tylko ja sam zmieniłem się zanadto, by to widzieć. Kabera mówi, że ataki mogą mi towarzyszyć do końca życia albo zniknąć choćby jutro. To trudno przewidzieć. - Podniósł lewą dłoń i spojrzał

na nią niechętnie, choć nie zadrżała.

- Czasami myślę, że życie to ciągły ból z małymi chwilami radości - powiedziała

Aleksandria. - Jesteś silniejszy niż przedtem, Juliuszu, mimo tamtej rany. Nauczyłam się sztuki przeczekiwania bólu i cieszenia się momentami szczęścia, nie martwiąc się o jutro.

Juliusz opuścił dłoń zawstydzony, że zdradził się ze swoimi lękami. To było jego brzemię.

Był głową rodziny, trybunem Rzymu i wodzem Pierworodnych. Dziwne, że nie mógł się

zdobyć na radość, którą kiedyś dałyby mu same marzenia o takich rzeczach.

- Czy widziałaś… Brutusa? - zapytał po krótkiej przerwie. Aleksandria odwróciła się i zajęła dłonie czyszczeniem narzędzi

na stole Tabbika.

- Tak, widzieliśmy się.

- Och. Nie powiedziałem mu, że my… hm… Popatrzyła na niego przez ramię i się roześmiała.

- Więc lepiej nie mów. Między wami dwoma i tak jest dość współzawodnictwa.

Ukłuła go zazdrość, choć nie powinna. Aleksandria nie należy do niego i, poza zastygłym w pamięci momentem sprzed lat, nigdy nie należała. Nie wyglądało na to, że wyczuwa burzę jego uczuć, kiedy popatrzył na nią.

- Bądź z nim blisko, Juliuszu. Rzym jest groźniejszy, niż ci się wydaje.

Juliusz prawie się zaśmiał na myśl, co przeżył, by wrócić do tego groźnego Rzymu, lecz nagła świadomość, że jego życie coś dla niej znaczy, kazała mu spoważnieć.

- Postaram się - odpowiedział.

Juliusz zsiadł z konia, by ostatnie dwie mile pokonać na piechotę. Głowę miał nabitą myślami. Od kiedy wrócił, wszystko działo się w zastraszającym tempie. Objęcie stanowiska trybuna, przejęcie domu Mariusza i dowództwa nad Pierworodnymi, ponowne spotkanie z Aleksandrią. Oktawian. Kornelia. Była dla niego jak obca. Zmarszczył czoło. Pamięć o niej pomogła mu przetrwać najgorsze chwile niewoli. Pragnienie powrotu do niej było tajemną siłą, która przezwyciężała rany, choroby i ból. A przecież kiedy w końcu

ją objął, wydała mu się kimś innym. Miał nadzieję, że z czasem wszystko się ułoży, choć coś tęskniło już teraz za żoną, którą kochał i która była tylko o milę od niego i czekała na niego.

Publiczna rozprawa nie martwiła go ani trochę. Miał więcej niż sześć miesięcy nudy i monotonii pod pokładem piratów, by przygotować obronę Mariusza, i gdyby Antonidus nie dał mu szansy, uporałby się z tą sprawą w jakiś inny sposób. Wiedział, że nie spocznie, dopóki nie przywróci nieżyjącemu wujowi czci.

Kornelia wyszła mu na spotkanie do bram i kiedy ją pocałował, przemknęło mu przez myśl, choć trochę późno, że między mężem a żoną dzieją się inne rzeczy i że je zaniedbał podczas obu nocy po powrocie. Był pewien, że intymność odbuduje jego miłość. Pocałował ją raz jeszcze, przeciągając pocałunek, i wciąż zajęty własnymi myślami nie zauważył, że Kornelia dziwnie zesztywniała. Oddał konia niewolnikowi i szepnął jej do ucha:

^r

Rozdział XXX

335

- Wszystko w porządku? - Zapach jej pachnideł wypełnił mu płuca chłodem.

Kornelia skinęła głową.

- Dziecko śpi, żono?

- Co masz na myśli? - spytała, próbując nie okazywać niepokoju.

- Pokażę ci, jeżeli chcesz - powiedział, całując ją jeszcze raz. Jej skóra była blada i piękna, i zauważył to, kiedy szli razem w zacisze domu.

W sypialni poczuł się nieswojo i rozrzucając ubranie po podłodze, usiłował maskować nerwowość pocałunkami. W tym, jak na niego reagowała, było coś, co mu się nie podobało, lecz mógł przypuszczać, że właśnie tak zachowuje się dwoje

ludzi po długiej rozłące. Ich znajomość, nawet przed ślubem, była bardzo krótka i kiedy oboje siedzieli nago, jedynie przyćmione światło lampy ozłacało komnatę, pogłaskał ją po szyi, by się rozluźniła i odprężyła, a potem przesunął delikatnie dłońmi w dół pleców.

Kornelia przyjmowała jego pocałunki, lecz wolałaby wypłakać swój żal. Nie powiedziała nikomu, nawet Klodii, co zrobił Sulla. To był wstyd, o którym spodziewała się zapomnieć, to było coś, co powoli tłumiła w sobie, i w końcu zaczęła myśleć, że to się nigdy nie wydarzyło.

Poruszyła się, razem z Juliuszem, lecz nie czuła nic poza strachem, kiedy wspomnienie

ostatniego pobytu u dyktatora rozbłysło w jej umyśle jak nagła błyskawica. Poczuła na nowo ciężar Sulli na sobie i na nowo usłyszała płacz córki u swego boku. Zapłakała i powiedziała łamiącym się głosem:

- Nie sądzę, bym mogła, Gajuszu.

- Co ci jest? - spytał, przestraszony łzami.

Kornelia zwinęła się w kłębek u jego boku, a on objął ją ramieniem i oparł głowę o wstrząsane łkaniem plecy żony.

- Czy ktoś cię skrzywdził? - Juliusz, wypowiadając na głos potworną myśl, poczuł, że wszystko w nim lodowacieje.

Nie od razu odpowiedziała. Dopiero kiedy mocno zacisnęła oczy, zaczęła szeptać, choć bardziej do siebie niż do niego. Nie o najgorszym, ale o tym, jak to się zaczęło, o strachu o nie narodzone dziecko, o bezradnym gniewie, kiedy wiedziała, że nikt w całym Rzymie nie jest w stanie powstrzymać Sulli.

Juliusz słuchał i czuł, jak zwala się na niego ogromny ciężar smutku. Mimo woli zapłakał nad nieszczęściem swojej żony i zagryzł wargi, by nie zadać pytania, bezcelowego głupiego pytania, które nie służyło niczemu, a jeszcze bardziej zraniłoby oboje. Nie liczyło się nic poza tym, że była obok.

Objął ją ramieniem jeszcze mocniej i obejmował tak długo, aż się uspokoiła.

- On nie żyje, Kornelio. Już nigdy cię nie zrani ani nie przestraszy.

Powiedział jej, że nie postradał zmysłów w pirackiej niewoli tylko dzięki jej miłości, że ta miłość uczyniła go silnym, powiedział, jak był dumny w dniu ich zaślubin, powiedział, ile znaczyła i znaczy w jego życiu. Łzy obojgu obeschły i kiedy księżyc opuszczał krąg nieba, odsunięci od siebie zasnęli.

ROZDZIAŁ XXXI

Jeszcze słońce dobrze nie wstało, kiedy Tubruk, robiąc codzienny obchód majątku, zobaczył na murach Juliusza.

- Źle wyglądasz - powiedział stary gladiator.

Ku jego zaskoczeniu Juliusz nie odpowiedział i chyba nawet nie zauważył, że ktoś przy nim stoi. Oczy młodego mężczyzny były czerwone po zaledwie paru godzinach spania, a ramiona od chłodnego wiatru pokrywała gęsia skórka. Od brązu opalenizny odbijały wyraźnie białe ślady cięć i Tubruk pomyślał, że właśnie tak się zapisuje na ciele wojowników historia ich bólu i walki.

- Juliuszu? - zagadnął raz jeszcze.

- Muszę pobiegać - odparł Juliusz, podnosząc wzrok ku drzewom na wzgórzu. Głos miał tak chłodny jak wiatr i Tubruk, wyczuwając nowe zmartwienie, zmarszczył czoło.

- Pójdę z tobą, chłopcze. Zaczekaj chwilę - powiedział i mając za odpowiedź jedynie wzruszenie ramion, wrócił do domu, by zdjąć grubą tunikę i przebrać się w coś lżejszego.

Kiedy znów stanął na murach, Juliusz rozciągał mięśnie nóg i rąk. Zarządca majątku oplótł

łydki rzemieniami sandałów i dołączył do niego.

W końcu obaj byli gotowi i razem podeszli w górę stoku. Juliusz narzucał tempo.

Tubruk biegł bez trudu przez pierwszą milę, dumny z siebie i ze swojej sprawności. Ale po mili poczuł w piersiach płomień i spojrzał na Juliusza. Młody człowiek biegł lekko po nierównej leśnej ścieżce, a płuca rozciągały mu młodą pierś długimi, powol-338

nymi oddechami. Tubruk zrównał się z nim na chwilę, po czym zaczął coraz bardziej zwalniać. Juliusz się nie odzywał, biegł dalej, choć spływające z czoła strużki potu zalewały mu oczy.

Po następnej mili wybiegli z chłodnego, zielonego mroku drzew i ruszyli wzdłuż granic majątku. Tubruk dyszał coraz ciężej. Jeszcze trochę, wiedział, a nogi odmówią mu

posłuszeństwa. Nawet przy jego sprawności żaden mężczyzna w jego wieku nie mógł długo wytrzymać morderczego tempa, Juliusz zaś nie okazywał żadnego zmęczenia, jak gdyby jego ciało lekceważyło jakikolwiek wysiłek. Młody mężczyzna, skupiony na własnym ciele i myślach, nie widział, że Tubruk słabnie. Stary gladiator czuł, że powinien być przy Juliuszu, kiedy w końcu i ten się zmęczy, lecz nie był pewien, czy tego dożyje.

Juliusz zatrzymał się nagle i oparł dłonie o kolana. Oddychał ciężko. Tubruk, uszczęśliwiony chwilą wytchnienia, zrobił jeszcze kilka chwiejnych kroków i stanął w poprzek ścieżki, by zagrodzić Juliuszowi drogę i by przerwa potrwała dłużej niż kilka sekund.

- Czy wiedziałeś, co się przydarzyło Kornelii? - spytał go Juliusz.

Tubruka ogarnął nagły chłód. Całe zmęczenie zeszło na drugi plan.

- Wiedziałem - powiedział ponuro. - Klodia mi powiedziała.

Juliusz zaklął w gwałtownym gniewie, zacisnął pięści i czerwona od biegu twarz

spurpurowiała z emocji. Tubruk szarpnął się do tyłu i zastygł w oczekiwaniu. Młody mężczyzna chodził tam i z powrotem, w furii ściskając dłońmi powietrze, jakby był tam ktoś, kogo

można by pochwycić i zabić. Wreszcie zatrzymał się przed zarządcą majątku i wbił w niego oczy.

- Powiedziałeś, że będziesz się nią opiekować - warknął, przysuwając twarz do jego twarzy. -

Zaufałem ci. Przy tobie miała być bezpieczna!

Juliusz podniósł pięść. Tubruk nie drgnął, gotów przyjąć cios, lecz młodzieniec parsknął tylko i odwrócił się do niego tyłem.

Tubruk odezwał się cicho, wiedząc coś o wezbranych emocjach, takich, które nie pozwalają człowiekowi panować nad sobą.

- Kiedy Klodia mi powiedziała, przystąpiłem do czynu. Juliusz zdawał się go nie słyszeć.

Rozdział XXXI

339

- Ten potwór Sulla przestraszył ją, Tubruku. Położył na niej swoje brudne ręce - powiedział i zaczął łkać.

Opuścił się powoli na kolana, w kępę trawy, i zakrył dłonią oczy. Tubruk kucnął, objął

młodego człowieka ramieniem i przytulił go do piersi. Juliusz się nie opierał, wychrypiał

tylko cicho:

- Kornelia myślała, że ją za to znienawidzę. Tubruku, możesz w to uwierzyć?

Stary gladiator obejmował go mocno, pozwalając, by młody człowiek sam zwalczył w sobie żałość i rozgoryczenie. Kiedy w końcu Juliusz się uspokoił, Tubruk puścił go i popatrzył w pobladłą twarz.

- Zabiłem go, Juliuszu. Zabiłem Sullę, kiedy to usłyszałem - powiedział. - Juliusz otworzył

szeroko oczy, a Tubruk, czując ulgę, że może komuś zdradzić swoją tajemnicę, mówił dalej: -

Nająłem się do pracy w jego kuchniach, jako niewolnik, i wlałem mu do jedzenia buteleczkę tojadu.

Juliusz nagle odtajał, uświadamiając sobie grożące im niebezpieczeństwo. Wpił się palcami w ramię Tubruka.

- Kto jeszcze wie o tym?

- Tylko Klodia. Nie powiedziałem Kornelii. Chciałem ją chronić - odrzekł, tłumiąc chęć wyrwania się z uścisku.

- Nikt więcej? Jesteś pewien? Czy mogli cię rozpoznać?

W końcu Tubruk miał dość. Wyszarpnął się z uścisku Juliusza. Odchrząknął.

- Każdy, kto mógł, nie żyje. Człowiek, z którym łączyła mnie trzydziestoletnia przyjaźń, ten, który mnie sprzedał do domu Sulli, wolał śmierć w torturach, niż mnie wydać. Poza Klodią i nami dwoma nikt inny nie wiąże mnie z tamtym morderstwem, przysięgam. - Popatrzył hardo w oczy Juliusza i wycedził przez zaciśnięte zęby, zgadując myśli tamtego. - Żebyś mi nie tknął Klodii. Zapomnij o tym.

- Dopóki ona żyje, moja żona i córka są zagrożone. To pewne.

- W takim razie także dopóki ja żyję. Czy mnie też zabijesz? Będziesz musiał, jeżeli ją skrzywdzisz, wierz mi, inaczej ja zabiję ciebie.

Obaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem, sztywni z napięcia. Cisza między nimi narastała, lecz żaden nie chciał ustąpić. Potem Juliusz

zadrżał i szaleństwo w jego oczach przygasło. Tubruk wciąż patrzył na niego z wściekłością, chcąc, by to tamten dał za wygraną. W końcu młody człowiek przemówił.

- Niech ci będzie, Tubruku. Ale jeżeli sullańczycy przyjdą po nią, niech ślady nie prowadzą do mojej rodziny.

- Nie proś mnie o to! - Tubruk aż się zatrząsł. - Służyłem twojej rodzinie przez dziesiątki lat.

Nie pozwolę przelać krwi Klodii ani nie oddam swojej! Kocham ją, Juliuszu, a ona kocha mnie. Moje obowiązki i moja miłość do ciebie kończą się tam, gdzie zaczyna się jej krzywda.

Nie pozwolę jej skrzywdzić, powtarzam raz jeszcze. Tak czy owak, wiedz, że żaden ślad nie prowadzi od Sulli do mnie czy do ciebie. Moje ręce są splamione krwią i niech to będzie dla ciebie najlepszą gwarancją.

Kiedy Juliusz znów się odezwał, jego głos był nabrzmiały zmartwieniem.

- Zatem musisz stąd odejść. Mam dość złota, by urządzić cię gdzieś daleko od Rzymu. Mogę wyzwolić Klodię i odejdziecie oboje.

Tubruk zacisnął szczęki.

- A twoja matka? Kto się nią zajmie?

Oczy młodego mężczyzny zrobiły się puste.

-Jest Kornelia, poza tym mogę nająć jakąś opiekunkę. Czy mamy jakiś wybór, Tubruku? Czy myślisz, że chcę tego? Byłeś ze mną całe moje życie. Nie potrafię sobie wyobrazić

zarządzania majątkiem bez ciebie, ale sullańczycy wciąż węszą za zabójcami, wiesz dobrze.

Och, bogowie, córka Pompejusza!

Zamarł z przerażenia. Śmierć może uderzyć w każdą rodzinę.

- Oni atakują na oślep. Kornelia jest w niebezpieczeństwie! - wyszeptał zdławionym głosem i rzucił się biegiem w stronę majątku. Tubruk zaklął i pospieszył za nim, niezdolny dorównać mu kroku na swoich zmęczonych nogach. Kiedy tylko padły tamte słowa, starego gladiatora ogarnęła panika; wiedział, że Juliusz ma rację. Stracić Kornelię po tym, co zrobił, by ją ochronić, to byłoby nie do wybaczenia.

Kornelia spała równie krótko jak jej mąż i kiedy obaj mężczyźni zjawili się w domu, już obie z Klodią rozmawiały o wyprawie do

Rozdział XXXI

miasta. Usłyszała, jak Juliusz wzywa swoich żołnierzy, i podniosła się z sofy wyraźnie zdenerwowana. Mimo chwil czułości to już nie był ten sam młody człowiek, którego znała, nim uciekł z płonącego Rzymu. Stracił niewinność, a o bliznach na twarzy nie chciał mówić.

Myślała, i to nie raz, że nie starczy jej łez, by opłakać to, co Sulla odebrał im obojgu.

Kiedy wpadł jak burza do komnaty, jej oczy rozszerzyły się niepewnością.

- Co się stało?

Juliusz, widząc, że jest bezpieczna, zamiast odpowiedzieć, wymienił spojrzenie ze starą opiekunką i nieznacznie skinął jej głową, potwierdzając to, co zgadywała. Wiedział tak samo jak Tubruk, że wtajemniczenie samej Kornelii w sprawę może jedynie zwiększyć jej ryzyko.

Biegnąc do domu, zadręczał się myślą o mordercach podkradających się do majątku, by ją zabić. Zaczął mówić niecierpliwie:

- Może ci zagrażać niebezpieczeństwo ze strony przyjaciół Sulli. Pompejusz stracił córkę, a był blisko z Mariuszem. Powinienem pomyśleć o tym wcześniej! Możliwe, że ci, którzy chcą pomścić dyktatora, uderzą na każdego z jego wrogów, chcąc schwytać w swoje sieci

prawdziwego zabójcę. Muszę sprowadzić tu kilku Pierworodnych, aby cię strzegli, i wysłać posłańców do Krassusa. On może być innym celem. Bogowie, nawet Brutus! Och, ten

przynajmniej jest dobrze chroniony. Przemierzał pokój tam i z powrotem, a jego naga pierś wciąż falowała od zmęczenia. - Muszę działać przebiegle, lecz cokolwiek zrobię, i tak nie mogę zostawić tych ludzi przy życiu. Trzeba przetrącić kark ich przymierzu zawartemu w imię Sulli. Nie możemy żyć w ciągłym strachu przed sztyletem potajemnego mordercy. -

Odwrócił się nagle i wskazał na zarządcę majątku, stojącego przy drzwiach i spływającego potem. - Tubruku, chcę, byś

czuwał nad bezpieczeństwem mojej rodziny, aż będzie po wszystkim. Kiedy ja będę w Rzymie, tu musi być ktoś, komu bezgranicznie ufam.

Starszy mężczyzna wyprostował się z godnością. Postanowił pominąć milczeniem szalone groźby Juliusza sprzed kilkunastu minut, za to usiłował odgadnąć, jaką jeszcze niespodziankę szykuje ten młody nieprzewidywalny umysł.

- Chcesz, bym tu został? - Ton głosu zarządcy kazał Juliuszowi przystanąć w miejscu.

- Tak. Myliłem się. Moja matka potrzebuje ciebie. A ja nawet bardziej niż kiedykolwiek.

Komu innemu mógłbym zaufać?

Tubruk pokiwał głową ze zrozumieniem. Wiedział, że o rozmowie w lesie trzeba zapomnieć.

Młody mężczyzna, który krążył po komnacie jak lampart, nie należał do tych, którzy rozpamiętują popełnione omyłki.

- Kim są ci, którzy nam zagrażają? - spytała Kornelia, podnosząc głowę wysoko, mimo lęku, który w niej narastał.

- Przede wszystkim Katon. On i jego zwolennicy. Być może Antonidus. Może nawet ojciec Swetoniusza. Będą stali za zbrodnią albo będą o niej wiedzieli - odpowiedział Juliusz.

Kornelia zadrżała, słysząc imię wodza Sulli. Jej mąż zaklął; coś mu przyszło do głowy.

- Powinienem zabić psa Sulli, kiedy miałem okazję. Był nie dalej jak parę stóp ode mnie, dobijał się do bram domu Mariusza. Jeżeli przyłożył rękę do morderstwa córki Pompejusza, jest bardziej niebezpieczny, niż sądziłem. Bogowie, jakiż ja byłem ślepy!

- A więc musisz odwiedzić Pompejusza. To nasz sprzymierzeniec - podpowiedział mu

Tubruk.

- I Krassusa, i twojego ojca także - dorzucił Juliusz, wskazując na Kornelię. - Muszę się spotkać z nimi wszystkimi.

Kiedy Kornelia na powrót zagłębiła się w sofie, Juliusz przyklęknął na kolano. Ujął ją za rękę.

- Nie pozwolę cię skrzywdzić, obiecuję. Przy pomocy pięćdziesięciu ludzi mogę zrobić z tego miejsca prawdziwą twierdzę.

Rozumiała, że czuje potrzebę jej chronienia. Że powoduje nim nie miłość, lecz obowiązek męża. Już myślała, że nic nie zdoła jej poruszyć, lecz patrzenie w jego zimną i szczerą twarz było gorsze niż cokolwiek na świecie.

Zmuszając się do uśmiechu, Kornelia przycisnęła dłoń do jego policzka, wciąż rozgrzanego biegiem. To będzie twierdza czy więzienie?

Kiedy dwa dni później na drodze z miasta pokazali się jeźdźcy, wystarczyło parę minut, by Juliusz i Brutus postawili majątek na

Rozdział XXXI

343

nogi. Reniusz przyprowadził z kwater pięćdziesiątkę Pierworodnych i nim przybysze znaleźli się u bram, trzeba by było armii, by przełamać ich obronę. Na każdym murze rozmieszczono łuczników, a Kornelię ukryto, razem z innymi, w oddzielnym skrzydle budynku,

przeznaczonym przez Juliusza wyłącznie do tego celu. Julia protestowała, kiedy Klodia ją tam zabrała, lecz nim przeprowadzono tam Aurelię, która nie rozumiała, co się dzieje, stracono mnóstwo cennego czasu.

Juliusz stał sam na dziedzińcu, obserwując, jak Tubruk i Reniusz zajmują wyznaczone pozycje. Oktawian mimo gwałtownych protestów został odesłany do kobiet. Wszystko

ucichło i Juliusz kiwnął głową sam do siebie. Majątek był zabezpieczony jak trzeba.

Z mieczem w pochwie wspiął się schodami na kamienny parapet nad bramą w chwili, kiedy jeźdźcy przystanęli, nieufni

wobec nagłej demonstracji siły na murach. Razem z nimi zatrzymał się wóz zaprzężony w dwa konie, które nerwowo zatańczyły w miejscu. Jeden z jeźdźców zeskoczył na ziemię i rozłożył na piaszczystej drodze jedwabną materię.

Katon wygrzebał się z powozu i stanął na jedwabiu, uważnie poprawiając na sobie fałdy togi, na której nie było ani pyłku, ani kurzu. Popatrzył na Juliusza oczami bez wyrazu, po czym skinął na swoich ludzi, aby zeszli z koni i zbliżyli się do bram.

Juliusz pokazał za plecami, na palcach, liczbę przybywających. Było ich za mało na otwarty atak, mimo to czuł się nieswojo, widząc w pobliżu tych, których kochał, tego człowieka.

Zacisnął szczęki i obserwował, jak podchodzą w cienie bram. Brutus powiedział mu o synu Katona, ale tego, co się stało, nie można było odmienić. Podobnie jak Brutus, musiał sam przez to przejść.

Pięść zadudniła o grube belki bramy.

- Kto upomina się o wstęp do mojego domu? - spytał Juliusz i spojrzał w dół, prosto w oczy Katona. Mężczyzna odwzajemnił mu beznamiętne spojrzenie, przyjmując formalności za rzecz oczywistą. Wiedział lepiej niż ktokolwiek, jakie zamieszanie wywołuje jego osoba w głowie Juliusza. Senatora nie można było nie wpuścić.

Żołnierz u boku Katona odpowiedział dostatecznie głośno, by być słyszanym nie tylko na bramach, lecz także w domu.

- Senator Katon przybywa w prywatnej sprawie. Każ odstąpić swoim ludziom i otwórz

bramy.

Juliusz nie odpowiedział. Zbiegł na podwórze i odbył krótką naradę z Brutusem i Tubrukiem.

Obrońcy na murach zostali sprowadzeni na dół i wysłani do budynków, gdzie mieli czekać na wezwanie do broni. Inni mieli pozostawać w pobliżu. Widok był raczej śmieszny -

uzbrojeni mężczyźni wyprowadzający konie ze stajni i oporządzający je na oczach przybyłych - lecz Juliusz nie był w nastroju do ryzykowania i własnoręcznie otwierając bramy, zastanawiał się, czy dojdzie do rozlewu krwi zaraz czy dopiero za godzinę.

Katon przeszedł przez bramy i widząc szeregi uzbrojonych mężczyzn, uśmiechnął się kpiąco.

- Spodziewasz się wojny, Cezarze?

- Legion musi ćwiczyć, senatorze. Nie lubię być zaskoczony i nieprzygotowany -

odpowiedział Juliusz. Zmarszczył czoło, kiedy ludzie Katona weszli za swoim panem. Musiał

na to pozwolić, lecz podziękował domowym bóstwom za przezorność i sprowadzenie aż tylu Pierworodnych. Gdyby wydał rozkaz, ani jeden nie przeżyłby kolejnej sekundy.

Zrozumiał to każdy, kiedy ich konie odprowadzono, a za nimi zamknęły się bramy.

Katon popatrzył na gospodarza.

- A więc jesteś teraz wodzem Pierworodnych, tak? Nie przypominam sobie, byś wnosił o to w senacie. - Ton człowieka był lekki i nie wyczuwało się w nim groźby, lecz Juliusz

zesztywniał, wiedząc, że musi uważać na każde słowo.

- Oficjalnie jeszcze nie, lecz przemawiam w ich imieniu - odpowiedział. Grzeczność wymagała zaproponować senatorowi miejsce do siedzenia i odpoczynek po podróży, lecz Juliusz nie potrafił się zmusić do sztucznej uprzejmości, choć wiedział, że Katon uzna to za swoje małe zwycięstwo.

Reniusz i Brutus stanęli u boku przyjaciela i Katon przeniósł wzrok z jednego na drugiego, na pozór nie poruszony ich obecnością.

- Świetnie, Juliuszu. Chcę mówić z tobą o moim synu - powiedział. - Już raz zaproponowałem za niego złoto i spotkałem się z odmową. Teraz przybywam i pytam: ile chcecie?

- Senator Katon przybywa w prywatnej sprawie. Każ odstąpić swoim ludziom i otwórz

bramy.

Juliusz nie odpowiedział. Zbiegł na podwórze i odbył krótką naradę z Brutusem i Tubrukiem.

Obrońcy na murach zostali sprowadzeni na dół i wysłani do budynków, gdzie mieli czekać na wezwanie do broni. Inni mieli pozostawać w pobliżu. Widok był raczej śmieszny - uzbrojeni mężczyźni wyprowadzający konie ze stajni i oporządzający je na oczach przybyłych - lecz Juliusz nie był w nastroju do ryzykowania i własnoręcznie otwierając bramy, zastanawiał się, czy dojdzie do rozlewu krwi zaraz czy dopiero za godzinę.

Katon przeszedł przez bramy i widząc szeregi uzbrojonych mężczyzn, uśmiechnął się kpiąco.

- Spodziewasz się wojny, Cezarze?

- Legion musi ćwiczyć, senatorze. Nie lubię być zaskoczony i nieprzygotowany -

odpowiedział Juliusz. Zmarszczył czoło, kiedy ludzie Katona weszli za swoim panem. Musiał

na to pozwolić, lecz podziękował domowym bóstwom za przezorność i sprowadzenie aż tylu Pierworodnych. Gdyby wydał rozkaz, ani jeden nie przeżyłby kolejnej sekundy.

Zrozumiał to każdy, kiedy ich konie odprowadzono, a za nimi zamknęły się bramy.

Katon popatrzył na gospodarza.

- A więc jesteś teraz wodzem Pierworodnych, tak? Nie przypominam sobie, byś wnosił o to w senacie. - Ton człowieka był lekki i nie wyczuwało się w nim groźby, lecz Juliusz

zesztywniał, wiedząc, że musi uważać na każde słowo.

- Oficjalnie jeszcze nie, lecz przemawiam w ich imieniu - odpowiedział. Grzeczność wymagała zaproponować senatorowi miejsce do siedzenia i odpoczynek po podróży, lecz Juliusz nie potrafił się zmusić do sztucznej uprzejmości, choć wiedział, że Katon uzna to za swoje małe zwycięstwo.

Reniusz i Brutus stanęli u boku przyjaciela i Katon przeniósł wzrok z jednego na drugiego, na pozór nie poruszony ich obecnością.

- Świetnie, Juliuszu. Chcę mówić z tobą o moim synu - powiedział. - Już raz zaproponowałem za niego złoto i spotkałem się z odmową. Teraz przybywam i pytam: ile chcecie?

Rozdział XXXI

345

Podniósł głowę i Juliusz zobaczył, że jego głęboko osadzone oczy były jasne. Był ciekaw, czy to ten człowiek rozkazał zabić córkę Pompejusza. Czy ryzyko, że powtórnie zaatakuje, byłoby mniejsze, gdyby zwrócił mu Germiniusza? Czy też potraktowałby to jako słabość, którą by wykorzystał, żeby obrócić jego dom w perzynę?

- Złożył przysięgę, senatorze. To…

- Brakuje ci ludzi, prawda? - przerwał Katon. - Jutro rano przyprowadzę ci cały tysiąc. Tysiąc zdrowych niewolników z mojego majątku, stanowiliby trzon Pierworodnych.

- W legionach nie ma niewolników, senatorze - szczeknął Reniusz. - Pierworodni to wolni ludzie.

Katon zamachał ręką, jakby to nie miało żadnego znaczenia.

- Uwolnisz ich, jak tylko złożą tę twoją cenną przysięgę. Nie wątpię, że człowiek taki jak ty ma swoje sposoby, Reniuszu. Jesteś tak bardzo… pomysłowy. - Przez jego słowa przebijała złośliwość i Juliusz wiedział, że ustąpić mu, to znaczy zgodzić się na zagładę.

- Odpowiadam: nie, senatorze. Przysięga nie może być przedmiotem targu.

Katon patrzył na nich i chyba ważył w myślach odpowiedź.

- Zatem nie dajesz mi wyboru. Jeżeli mój syn musi odsłużyć z tobą dwa lata, chcę, by na koniec służby był żywy. Wyślę ludzi… - przerwał - wyzwolonych niewolników, Reniuszu.

Mówię to specjalnie do ciebie. Wyślę ich, by chronili mojego syna.

- Kiedy ich wyzwolisz, mogą nie zrobić tego, co zechcesz - rzekł Reniusz, odpowiadając wściekłym spojrzeniem na wściekle spojrzenie.

- Zrobią. Pójdą tam, gdzie im każę - warknął Katon. - Kilku ludzi sprawia mi tyle samo kłopotu, ile ty sprawiłeś.

-Jak przyjdą do Pierworodnych, nie będą strażą twojego syna - powiedział Juliusz. - Wierz mi, nie pozwolę na to.

- Więc nie dasz mi nic? - Głos Katona nabrzmiał gniewem. Ruch na podwórzu zamarł i dłonie zaczęły ukradkiem sięgać do

mieczy.

- Jeżeli bogowie pozwolą, dam ci syna od dziś za dwa lata. To wszystko - odpowiedział

stanowczo Juliusz.

- Zastanów się, Cezarze, co robisz. Jeżeli on nie przeżyje… -

Katon mówił przez zaciśnięte zęby, zapominając o udawanym spokoju. - Lepiej bądź pewny, że tak się nie stanie.

Zawracając na pięcie, dał znak ludziom, by otworzyli bramy. Żołnierze Pierworodnych znaleźli się przy nich pierwsi i Katon wsiadł do wozu, nie oglądając się za siebie.

Kiedy skrzydła bram zasłoniły ludzi Katona, Brutus natarł na Juliusza.

- Co ty sobie właściwie myślisz? Ilu z jego „wyzwolonych” niewolników będzie szpiegami, ilu, pytam? Ilu mordercami? Pomyślałeś o tym? Bogowie, musisz znaleźć sposób, by go powstrzymać.

- Czy nie chcesz mieć tysiąca więcej dla Pierworodnych?

- Takim kosztem? Nie, to już wolałbym oddać syna ojcu albo wziąć złoto. Gdyby było mniej, moglibyśmy ich upilnować, ale tysiąc! Nie można nie ufać połowie Pierworodnych. To szaleństwo!

- On ma rację, wiesz o tym - dodał Reniusz. - Ja bym nie wziął nawet setki, a co dopiero tylu.

Juliusz popatrzył na obu. Nie było ich przy nim, kiedy na afrykańskim wybrzeżu szukał

synów Rzymian ani kiedy znalazł swoich weteranów w Grecji.

- Przerobimy ich na naszych - powiedział, kpiąc w duchu z ich wątpliwości.

Kiedy się obudził, słońce nad zimowym miastem przewędrowało już pół nieba. Na ból głowy nie pomagało nawet gorące wino i kiedy słuchał Antonidusa, ledwo mogąc ścierpieć jego postawę, skronie wciąż mu chorobliwie pulsowały.

- Dziesięć tysięcy sestercji to dużo, Antonidusie, nawet za śmierć - powiedział.

Z przyjemnością przyglądał się kropelkom potu, który pokazał się na czole wodza, wiedząc równie dobrze jak ten człowiek, że jeżeli się nie zapłaci, można się spodziewać własnej

śmierci, przez zwykłą złość wynajętego mordercy. Był małoduszny, przedłużając chwile oczekiwania. Wiedział o tym, mimo to dalej bębnił leniwie palcami po poręczy sofy, pozwalając, by czas płynął. Należało się spodziewać otwartej wrogości Pompejusza,

oczywiście, nawet jeżeli morderca nie zostawił glinianego znaku w zaciśniętej dłoni dziecka, tak jak miał to zrobić. Katon nie przypuszczał, by senator odrzucił

/

jego względy tylko dlatego, by postawić na swoim, chociaż on by przyklasnął subtelności takiego posunięcia. Miał nadzieję, że Pom-pejusz będzie działał w akcie rozpaczy i szaleństwa, co pozwoli Katonowi kazać go uwięzić i usunąć z gry o władzę w senacie.

Zamiast tego Pompejusz okazał powściągliwość, która była jawnym dowodem na to, że jest groźniejszym wrogiem, niż można się było spodziewać. Katon westchnął i podrapał się w kąciku ust. Jeśli miałby sądzić siebie po własnych wrogach, pomyślał, to nie ulega wątpliwości, że jest pierwszym człowiekiem Rzymu.

- Kusiłoby mnie wycofać wsparcie i moje złoto, gdyby chodziło tylko o twoją zemstę, Antonidusie, ale chodzi także o ten twój proces. Wynająłem ci na obrońcę Rufusa

Sulpicjusza.

- Przeciw Cezarowi mogę się bronić sam, senatorze. To dość prosta sprawa - odpowiedział

zaskoczony Antonidus.

- Nie, chcę poniżyć tego młodego kogucika. Z tego, co widziałem, jest wystarczająco młody i dostatecznie popędliwy, by dało się go łatwo zniszczyć. Publiczne zawstydzenie na oczach sędziów i plebejuszy powinno przygasić blask na jego świeżym urzędzie. Może nawet

zażądamy śmierci za zło, które wycierpiałeś. - Katon zamknął oczy i potarł czoło. Zacisnął

usta. - To jest cena za mojego syna i on musi ją zapłacić. Posłuż się Sulpicjuszem. W Rzymie jest kilka tęższych umysłów niż on, ale to on wyznaczy potrzebnych ci jurystów i wyszuka odpowiedni precedens. Nie wątpię, że ten Cezar będzie dobrze przygotowany. Czy wysłałeś wezwanie?

- Nie, czekałem na wyznaczenie terminu. Odwołałem się do pretora, ale jak do tej pory bez odpowiedzi.

- Dlatego, Antonidusie, potrzebujesz takiego człowieka jak Sul-picjusz. Spotkaj się z nim i zdaj we wszystkim na niego. On dopilnuje, by rozprawa odbyła się nie później jak za miesiąc.

Nie zapominaj, że ten człowiek z tego żyje. Twój drogocenny dom znów wróci do ciebie, za co, jak się spodziewam, będziesz mi odpowiednio wdzięczny i równie zobowiązany.

- Już jestem, senatorze. A te pieniądze?

- Tak, tak - rzucił niecierpliwie Katon - będziesz miał te swoje pieniądze i na proces, i… na to drugie. Teraz odejdź i daj mi odpocząć. Dzień był długi i męczący.

Nawet w zaciszu własnego domu uważał na to, co mówi, czerpiąc przyjemność ze

spiskowania, choć przez ten proceder musiał zatrudniać takich łudzi jak Antonidus. Wiedział, że wielu senatorów postrzega go jako człowieka, który lubi tylko mówić, przedkładając celność słowa nad ich prężne żołnierskie kręgosłupy. Wynajmowanie morderców było

wyśmienitą odskocznią od intryg i odkrył szybko, że władza, jaka się za tym kryje, wspaniale odurza. Móc wskazać jakiegokolwiek człowieka i nasłać na niego śmierć - przyprawiało o dreszczyk nawet kogoś tak znudzonego życiem jak on. Kiedy wódz wyszedł, zawołał o

chłodny jedwab, by zasłonić sobie twarz.

/

ROZDZIAŁ XXXII

lYozprawa się zaczęła, ledwo na wschodzie Rzymu niebo pojaśniało tym zdradliwym świtem, który uczciwych ludzi podrywa do pracy, a wysyła do łóżek złodziei i prostytutki. Przestrzeń placu wydzieloną na oficjalne procesy wciąż jeszcze oświetlały pochodnie. Na obrzeżach

zebrał się wielki tłum, utrzymywany w karności jedynie dzięki gęstemu szeregowi żołnierzy sprowadzonych z miejskich kwater. Oddani pod bezpośrednie rozkazy pretora, który miał

czuwać nad procesem, żołnierze odpowiadali za utrzymanie ładu na wypadek niepopularnego wyroku, a tłum, wiedząc

0 tym, wolał nie wchodzić w zasięg ich pałek. Wyjątkowo, jak na proces w tak drobnej sprawie, ławy obrońców tak jednej, jak

1 drugiej strony były pełne; licznie również stawił się senat, zaproszony przez Juliusza czy wezwany przez Antonidusa. Rodzina pierwszego została w majątku. Kornelia i jej córka pod ochroną Pierworodnych, a co do Tubruka, mimo wszystkich jego zapewnień, że nie zostałby rozpoznany, Juliusz uznał, że lepiej niech się nie pokazuje w pobliżu Antonidusa i senatorów.

Przepataijąc wzrokiem ławy, Juliusz odnalazł Brutusa w drugim z trzech rzędów, w

towarzystwie kobiety, która podniosła głowę, by odwzajemnić jego spojrzenie. W jej chłodnych oczach było coś niepokojącego i w dziwny sposób wyróżniała się z tłumu, tak jakby siedziała odrobinę bliżej niż cała reszta. W trudnym do uchwycenia momencie

odchyliła się powoli do tyłu, przykuwając jego uwagę. Miała rozpuszczone włosy i zanim zdołał oderwać oczy, podniosła dłoń i odsunęła z twarzy ciemny kosmyk.

Zmuszając się w końcu do odwrócenia wzroku od nieznajomej, odetchnął ciepłym

powietrzem i jeszcze raz rzucił okiem na argumenty, które po otrzymaniu formalnego wezwania spisał wraz ze swoimi obrońcami. Jeżeli sprawa zostanie osądzona uczciwie, wiedział, że zwycięstwo przyjdzie im bez trudu, lecz jeśli któryś z sędziów jest opłacony przez jego wrogów, proces może się okazać czystym szyderstwem. Omiótł spojrzeniem

zebrany tłum. Gawiedź przychodziła na forum dla rozrywki i dla popisów oratorskich, by przyklasnąć jednym mówcom lub złorzeczyć innym. Juliusz łudził się, że kilku przyszło z powodu pogłosek, które jego prawnicy rozpuścili po mieście,

że proces będzie obroną Mariusza. Większość stanowili plebejusze i podczas gdy ludzie czekali cierpliwie na pojawienie się sędziów i pretora, sprzedawcy pieczonych ryb i parującego chleba robili niezły interes.

Juliusz jeszcze raz popatrzył na szczelnie zakryte tarcze i zauważył, że wielu gapiów wykręca szyje i rzuca spojrzenia w tamtą stronę, wielu je sobie pokazuje i o nich rozprawia. Tylko ich trójka, Aleksandria, Tabbik i on, wiedziała, co kryje się pod grubymi fałdami płótna. Juliusz poczuł dreszcz podniecenia na myśl o reakcji ludzi, kiedy je zobaczą.

Za jego plecami jego trzej prawnicy brnęli przez dokumenty i notatki nie wiadomo który raz z rzędu, z pochylonymi głowami i z cichym pomrukiwaniem. Wynajęcie Kwintusa Scewoli do pomocy w przygotowaniu sprawy kosztowało go dwa talenty złota, lecz w Rzymie trudno było o lepszego znawcę prawa zwyczajowego i Prawa Dwunastu Tablic. To prawda,

skuszenie go, by na czas procesu jeszcze raz wznowił działalność, kosztowało wiele, lecz na przekór artretycznej sztywności starca umysł kryjący się za ciężkimi powiekami okazał się tak przenikliwy, jak Juliusza zapewniano. Kwintus nagryzmolił na pergaminie jakiś przypis i podniósł w zamyśleniu głowę. Ich spojrzenia spotkały się.

- Nerwowy? - spytał Juliusza, machając pergaminem w stronę ławy sądu i ciemnych tłumów za ławą.

- Trochę - przyznał Cezar. - To duże ryzyko.

- Pamiętaj o wartości domu. Ciągle to pomijasz.

- Pamiętam, Kwintusie. Omawialiśmy to wiele razy - odpowiedział Juliusz.

Rozdział XXXII

351

Lubił tego człowieka coraz bardziej, chociaż Scewola zdawał się żyć jedynie prawem i nic poza tym w mieście go nie interesowało. W pierwszym tygodniu przygotowań Juliusz spytał

go żartem, co by zrobił, gdyby się okazało, że jeden z jego synów podłożył ogień pod któryś z rzymskich domów. Kwintus milczał długo, wreszcie odrzekł, że nie mógłby przyjąć sprawy, ponieważ prawo zabraniało, by wezwał sam siebie na świadka.

Kwintus wcisnął Juliuszowi notatki i zrobił surową minę.

- Pamiętaj, nie obawiaj się konsultować. Będą cię prowokowali do mówienia bez chwili namysłu. Jeżeli poczujesz, że nie starcza ci argumentów, odwróć się, a ja ci poradzę najlepiej jak potrafię. Czy pamiętasz tamten paragraf z Dwunastu Tablic?

Juliusz, zirytowany, przewrócił oczami.

- Ten, którego wszyscy uczyliśmy się na pamięć w dzieciństwie? Tak, pamiętam.

- No to go powtórz raz jeszcze, na wszelki wypadek.

Juliusz otworzył usta, by coś odpowiedzieć, lecz przerwało mu lekkie poruszenie w tłumie.

- Sąd idzie… i pretor. Tylko godzina spóźnienia, mistrzu - syknął w stronę Scewoli jeden z młodszych prawników. Juliusz poszedł za jego wzrokiem i zobaczył wychodzącą z budynku senatu grupę.

Tłum ucichł i zastygł w oczekiwaniu, a otoczona strażami grupa czterech mężczyzn

wkroczyła na miejsce rozprawy. Juliusz przyjrzał się im uważnie. Pretora, niskiego człowieka o czerwonej twarzy z łysiną na czubku głowy, nie znał. Szedł on z przygiętym jak do modlitwy karkiem i zajął miejsce na środku podestu, który ustawiono na czas rozprawy.

Skinął centurionowi straży i dał znak urzędnikom, by zajęli miejsca obok niego.

Urzędników Juliusz znał z widzenia, lecz żadnej twarzy nie utożsamiał z jakąkolwiek frakcją w senacie. Odetchnął z ulgą; najbardziej bał się tego, że mogą być poplecznikami Katona.

Zupełnie się rozpogodził, kiedy jeden z nich się do niego uśmiechnął. Trybun ludowy zajął

miejsce ostatni, jako najważniejszy z urzędników. Tłum, widząc swojego reprezentanta, pozdrowił go kilkoma okrzykami. Mężczyzna odwzajemnił się uśmiechem i krótkim

pozdrowieniem dłonią. Nazywał się Serwiusz Pella. Miał siwe,

krótko przycięte włosy, kanciastą głowę, i głęboko osadzone oczy, które w świetle pochodni wydawały się czarne. Juliusz pożałował, że nie postarał się o spotkanie z nim na jednym z posiedzeń senatu, lecz szybko odsunął żale na bok. Wiedział, że nie ma sensu martwić się o urzędników. Jeżeli poradzi sobie z pyszałkowatym obrońcą Antonidusa, Rufusem, sprawa potoczy się gładko. Jeżeli zostanie poniżony, straci nie tylko duży dom Mariusza, ale także pozycję w senacie i w samym mieście. Zaryzykował, wymuszając proces, i nie może żałować takiego ryzyka. Mariusz spodziewałby się po nim przynajmniej tyle.

Juliusz popatrzył w stronę, gdzie siedział Katon, i nie mógł nie zauważyć, że gruby senator wpatruje się w niego z ciekawością. Jak zwykle u jego boku byli Bibilus i Katulus.

Swetoniusz z kolei siedział razem z ojcem, obaj z jednakowo wyniosłymi uśmiechami na twarzy.

Juliusz wolał odwrócić spojrzenie, niż okazać gniew. Stronnicy Katona jeszcze zdążą się nauczyć bać, kiedy usunie filary ich wpływów, jeden po drugim.

Kwintus poklepał Juliusza po ramieniu i usiadł razem ze swoim zespołem. Tłum zaszurał

nogami i poniosły się szepty, że proces zaraz się zacznie. Juliusz znów popatrzył na tarcze, czy choćby z jednej nie zsunęły się płótna.

Pretor wstał powoli, wygładzając dłońmi fałdy togi. Gestem nakazał zduszenie ognia pochodni i wszyscy czekali, aż każdą pochodnię nakryto, a na forum zagościł szary świt.

- Niniejszy dostojny sąd jest zwołany dwudziestego czwartego dnia roku konsularnego. Niech to zostanie zapisane. Na oczach bogów i pod groźbą kary zobowiązuję wszystkich tu

obecnych, by mówili prawdę i tylko prawdę. Jeśli ktokolwiek zezna w naszej obecności fałszywie, będzie poddany próbie ognia, soli i wody i odeśle się go z miasta bez prawa powrotu, na mocy edyktów.

Pretor przerwał. Najpierw podchwycił spojrzenie Antonidusa, następnie Juliusza. Obaj mężczyźni kiwnęli głowami na znak zrozumienia, i głos urzędnika poniósł się dalej przez ciche rzędy, jak głośny głos dzwonu.

- W sprawie vindicatio, kto jest powodem? Antonidus wystąpił do przodu, przed podest sądu.

Rozdział XXXII

-Ja, panie. Wódz Antonidus Sewerus Sertoriusz. Oskarżam o bezprawne zagarnięcie mojej własności.

- Kto będzie przemawiał w twoim imieniu?

- Rufus Sulpicjusz, mój obrońca - odpowiedział Antonidus. Tłum zaszemrał z podniecenia i pretor spojrzał na zebranych

karcącym wzrokiem.

- Pozwany, wystąp - powiedział głośno.

Juliusz zszedł z podwyższenia, na którym stały tarcze, i stanął naprzeciw Antonidusa, po drugiej stronie.

- Jestem Gajusz Juliusz Cezar, pozwany przed ten sąd. Roszczę sobie prawo do posiadania rzeczonej własności. Przemawiam sam.

- Czy przyniosłeś symboliczną część rzeczonej własności?

- Przyniosłem, panowie sędziowie - odpowiedział Juliusz. Odwrócił się w stronę

udrapowanych płócien i zręcznie odwinął jedno, pokazując sądowi pierwszą brązową tarczę.

Tłum aż się zachłysnął podziwem.

Tarcza była całą nadzieją Juliusza. Aleksandria włożyła w nią cały swój talent, w pełni świadoma, że takim dziełem sztuki w jeden dzień zdobędzie sławę.

Brzegi metalu były misternie żłobkowane, lecz oczy wszystkich skupiły się na płaskorzeźbie, na twarzy i ramionach Mariusza obrzucającego zebranych piorunującym wzrokiem. Szepty niosły się dalej i dalej i kiedy dotarły do ostatniego gapia, tłum zakrzyknął radośnie, jak gdyby chciał okazać nieżyjącemu wodzowi swoją aprobatę. Hałasowano jednak za głośno jak dla uszu pretora i mężczyzna dał centurionowi straży sędziowskich znak płaską dłonią. Gdy żołnierze uderzyli pałkami o bruk, tłum przycichł, woląc nie prowokować ataku. Rufus, wychudzony szakal ubrany w ciemną szatę, wysunął się do przodu. Uśmiechnął się szyderczo i pokazał na tarczę.

- Wielce czcigodny pretorze. Mój klient nalega, żeby to… żeby ten przedmiot był wyłączony ze sporu o dom. Nie może być uznany za symbol, chyba że był częścią własności.

- Znam prawo, Rufusie. Racz mnie nie pouczać - odpowiedział chłodno pretor i zwrócił się do Juliusza: - Czy możesz odpowiedzieć?

- To prawda, że kiedy Antonidus miał w bezprawnym posiada-

niu dom Mariusza, na ścianach nie wisiała żadna taka tarcza, ale wisiała tego ranka i stanowi, tak samo jak wszystko inne, miarodajny symbol w sporze o własność. Na potwierdzenie tego mogę przedstawić świadków. Pretor skinął głową.

- To nie będzie konieczne, Cezarze. Dopuszczam tarczę jako dowód. Powód i pozwany, podejdźcie do symbolu i dopełnijcie rytuału otwarcia sporu - dodał głośno.

Antonidus przeszedł na drugą stronę bruku, niosąc w dłoni krótki oszczep. Juliusz wszedł na podwyższenie razem z nim. Na jego twarzy nie było śladu triumfu, czym by mógł obrazić urzędników. Dotknął swoim oszczepem tarczy, metal cicho

zabrzęczał i Juliusz odstąpił do tyłu. Antonidus opuścił grot swojego i zacisnął usta, słysząc kpiące głosy w tłumie. Potem odszedł na miejsce obok Rufusa, który stał z założonymi rękami, odprężony i nie zmieszany.

- Własność, o którą toczy się spór, została oznaczona. Proces może się rozpocząć -

zaintonował pretor, rozsiadając się wygodniej. Jego rola w postępowaniu procesowym skończyła się aż do chwili zamknięcia rozprawy. Trzej urzędnicy wstali, skłonili się przed nim, a następnie jeden odchrząknął i zwrócił się do Antonidusa.

- Obrońca powoda przemawia pierwszy - powiedział.

Rufus skłonił mu się i wyszedł na środek, by lepiej panować głosem nad przestrzenią.

- Pretorze, sędziowie, senatorowie - zaczął. - Rozpatrujemy sprawę prostą, chociaż wyrok, jak sądzę, odwoła się do skrajnych przypadków naszego prawa. Pięć tygodni temu pozwany wprowadził uzbrojonych ludzi do miasta z wyraźnym zamiarem użycia siły. Takie

przestępstwo jest karane śmiercią lub wygnaniem. Dodatkowo pozwany nakazał swoim

ludziom włamać się do prywatnego domu, domu powoda, wodza Antonidusa. Karą za coś

takiego jest zwykła chłosta, lecz chłosta wymierzona po śmierci mogłaby być postrzegana jako niepotrzebne okrucieństwo. - Przerwał, podczas gdy ławy sądu obiegł cichy chichot.

Tłum na zewnątrz trwał w ciszy. - Na sługach i strażach położono szorstkie żołnierskie dłonie, a kiedy właściciel wrócił, ci sami żołnierze zabronili mu wejścia do własnego domu.

To nie jest mściwy człowiek, lecz

Rozdział XXXII

przestępstwa, których się dopuszczono na jego osobie, są liczne i poważne. Jako jego obrońca wzywam wysoki sąd do wymierzenia najsurowszej kary. Śmierć od miecza jest jedyną

możliwą odpowiedzią na tak jawne lekceważenie i łamanie rzymskich praw.

Ze strony ludzi skupionych wokół Katona rozległy się uprzejme oklaski i Rufus, zajmując miejsce, szybko kiwnął głową w ich kierunku. Pozornie tchnął spokojem, lecz rozbiegane oczy świadczyły o czymś innym.

- A teraz pozwany - kontynuował urzędnik. Nic w jego zachowaniu nie wskazywało, czy poruszyły go słowa Rufusa, mimo to Juliusz wyszedł do przodu, czując dziwną miękkość w kolanach. Dobrze wiedział, że za to, co zrobił, grozi kara śmierci, lecz usłyszenie tego w obliczu sędziów zachwiało jego wiarą w siebie.

- Pretorze, sędziowie, senatorowie, ludu Rzymu - powiedział na tyle głośno, by jego głos poniósł się przez tłum. Ludziom się to spodobało i znów zakrzyknęli, chociaż pretor zmarszczył się na niego. Juliusz ostatecznie porządkował myśli. Instynktownie czuł, że podczas obrony Mariusza należałoby bardziej odwoływać się do ulicy, która cierpiała pod rządami Sulli, niż do milczących sędziów, lecz granie na emocjach tłumu mogło nastawić urzędników przeciwko niemu. Powinien być ostrożny. - Ta sprawa ma dłuższą historię niż pięć tygodni - ciągnął. - Zaczyna się w nocy przed trzema laty, kiedy miasto przygotowywało się do wojny domowej. Mariusz był legalnie wyznaczonym konsulem Rzymu i jego legion ochronił miasto przed atakiem…

- Panowie sędziowie, apeluję, byście kazali mu przerwać ten chaotyczny wywód - przerwał

mu Rufus, wstając. - Sprawa dotyczy własności domu, nie zmagań historii.

Urzędnicy naradzali się, potem jeden wstał.

- Nie przerywaj, Rufusie. Pozwany ma prawo prowadzić swoją sprawę w sposób, jaki uzna za najlepszy - powiedział.

Rufus ustąpił i usiadł.

- Dziękuję, wysoki sądzie - ciągnął Juliusz. - O tym, że Mariusz był moim wujem, wiedzą wszyscy. Mariusz zajął się obroną miasta osobiście, gdy tymczasem Sulla udał się do Grecji, aby pokonać Mitrydatesa, i było to zadanie, które nie całkiem ukończył.

Tłum zaśmiał się na te słowa i umilkł pod wściekłym spojrzeniem pretora. Juliusz mówił

dalej:

- Mariusz był przekonany, że Sulla wróci do miasta, by przejąć całą władzę. Aby do tego nie dopuścić, ufortyfikował mury Rzymu i przygotował swoich żołnierzy do obrony naszych obywateli przed zbrojnym atakiem. Gdyby Sulla podszedł do bram w sposób pokojowy,

zostałby wpuszczony i objąłby na nowo stanowisko konsula, a miasto byłoby bezpieczne. Ten człowiek jednak zostawił wewnątrz murów morderców, którzy wykorzystując ciemności

nocy, tchórzliwie zaatakowali wodza Mariusza, otworzyli bramy i pozwolili swojemu

rozkazodawcy wejść do miasta. Wierzę, że to był pierwszy zbrojny atak na Rzym na

przestrzeni co najmniej dwustu lat.

Juliusz przerwał, odetchnął, rozejrzał się po urzędnikach, by zobaczyć jak reagują na jego słowa, ale patrzyli na niego beznamiętnie.

- Mój wuj zginął od ciosu zadanego sztyletem i własną ręką Sulli, a jego legion, choć jeszcze przez parę dni szaleńczo walczył, w końcu uległ najeźdźcy.

- Tego za wiele! - krzyknął Rufus, podrywając się na nogi. - Chroniony miejscem, w którym stoi, i instytucją sądu oczernia imię ukochanego przywódcy Rzymu. Żądam kary za taką bezczelność.

Sędzia, ten sam, który mówił przedtem, wychylił się do przodu i powiedział do Juliusza:

- Nadużywasz naszej cierpliwości, Cezarze. Jeżeli przegrasz sprawę, bądź pewien, że kiedy dojdzie do orzeczenia wyroku, weźmiemy pod uwagę twój brak szacunku. Czy dobrze mnie rozumiesz?

Juliusz skinął głową, przełykając nerwowo.

- Rozumiem, chociaż pewne słowa muszą być wypowiedziane. Sędzia wzruszył ramionami.

- To twój kark, nie mój - mruknął.

- Resztę znacie. Jako zwycięzca, Sulla sięgnął po tytuł dyktatora. Nie będę mówił o tamtym okresie w historii miasta.

Sędzia przytaknął skwapliwie i Juliusz ciągnął:

- Mariusz, choć bronił miasta zgodnie z prawem, został ogłoszony zdrajcą, a jego majątek sprzedano z urzędu. Jego dom trafił

Rozdział XXXII

357

na publiczną aukcję i został kupiony przez powoda na tym procesie, wodza Antonidusa.

Legion Mariusza rozproszono, a jego imię wymazano z honorowych rejestrów w senacie.

Juliusz przerwał i pochylił głowę, jakby ze wstydu za tych, którzy to zrobili. Przez rzędy obecnych na rozprawie senatorów przeszedł pomruk pytań i uwag. Juliusz znów podniósł

głowę i głosem niosącym się ponad sędziami i tłumem rzekł:

- Moja sprawa dotyczy trzech aspektów. Po pierwsze, Pierworodni zostali wpisani do rejestru legionów i nie ciąży na nich zarzut żadnej zdrady. W takim razie jak ich wódz może być nazywany zdrajcą? Po drugie, jeżeli Mariusz poniósł niesłuszną karę, jego majątek powinien przejść w ręce prawowitego spadkobiercy, czyli moje. Po trzecie, w świetle

niesprawiedliwego losu Mariusza, moje działania, podjęte w celu odebrania domu złodziejom, powinny w oczach sądu znaleźć całkowite zrozumienie i usprawiedliwienie. Dopuszczono się wielkiego zła, lecz przeciwko mnie, a nie odwrotnie.

Tłum rzucił parę radosnych okrzyków i straże raz jeszcze uderzyły pałkami o bruk.

Sędziowie pochylili ku sobie głowy, potem jeden z nich skinął na Rufusa, by zabrał głos w odpowiedzi. Rufus wstał, ostentacyjnie wzdychając.

- Wysiłki Cezara, zmierzające do zagmatwania sprawy, są godne podziwu choćby przez ich szczerość, lecz w świetle prawa cała rzecz jest oczywista. Wierzę, że sędziowie, tak samo jak ja, z przyjemnością odbyli podróż w przeszłość, lecz, jak przypuszczam, rozumieją także, że interpretacja pozwanego jest tak barwna dzięki jego osobistemu związkowi z wodzem. I choć

z wielką przyjemnością spierałbym się z wizją, którą przedstawił jako fakty, to jednak jestem za tym, by sprowadzić sprawę do jej podstawowego znaczenia dla prawa i by niepotrzebnie nie tracić czasu tu obecnych.

Spojrzał na Juliusza i uśmiechnął się przyjaźnie, tak by wszyscy mogli zobaczyć, że przebaczył młodemu człowiekowi jego jawną głupotę.

- Mój klient kupił dom całkowicie legalnie na całkowicie legalnej aukcji, jak to już zostało powiedziane. Jego podpis znajduje się na akcie notarialnym i na pokwitowaniu sprzedaży.

Kradzież jego

Rozdział XXXII

na publiczną aukcję i został kupiony przez powoda na tym procesie, wodza Antonidusa.

Legion Mariusza rozproszono, a jego imię wymazano z honorowych rejestrów w senacie.

Juliusz przerwał i pochylił głowę, jakby ze wstydu za tych, którzy to zrobili. Przez rzędy obecnych na rozprawie senatorów przeszedł pomruk pytań i uwag. Juliusz znów podniósł

głowę i głosem niosącym się ponad sędziami i tłumem rzekł:

- Moja sprawa dotyczy trzech aspektów. Po pierwsze, Pierworodni zostali wpisani do rejestru legionów i nie ciąży na nich zarzut żadnej zdrady. W takim razie jak ich wódz może być nazywany zdrajcą? Po drugie, jeżeli Mariusz poniósł niesłuszną karę, jego majątek powinien przejść w ręce prawowitego spadkobiercy, czyli moje. Po trzecie, w świetle

niesprawiedliwego losu Mariusza, moje działania, podjęte w celu odebrania domu złodziejom, powinny w oczach sądu znaleźć całkowite zrozumienie i usprawiedliwienie. Dopuszczono się wielkiego zła, lecz przeciwko mnie, a nie odwrotnie.

Tłum rzucił parę radosnych okrzyków i straże raz jeszcze uderzyły pałkami o bruk.

Sędziowie pochylili ku sobie głowy, potem jeden z nich skinął na Rufusa, by zabrał głos w odpowiedzi. Rufus wstał, ostentacyjnie wzdychając.

- Wysiłki Cezara, zmierzające do zagmatwania sprawy, są godne podziwu choćby przez ich szczerość, lecz w świetle prawa cała rzecz jest oczywista. Wierzę, że sędziowie, tak samo jak ja, z przyjemnością odbyli podróż w przeszłość, lecz, jak przypuszczam, rozumieją także, że interpretacja pozwanego jest tak barwna dzięki jego osobistemu związkowi z wodzem. I choć z wielką przyjemnością spierałbym się z wizją, którą przedstawił jako fakty, to jednak jestem za tym, by sprowadzić sprawę do jej podstawowego znaczenia dla prawa i by niepotrzebnie nie tracić czasu tu obecnych.

Spojrzał na Juliusza i uśmiechnął się przyjaźnie, tak by wszyscy mogli zobaczyć, że przebaczył młodemu człowiekowi jego jawną głupotę.

- Mój klient kupił dom całkowicie legalnie na całkowicie legalnej aukcji, jak to już zostało powiedziane. Jego podpis

znajduje się na akcie notarialnym i na pokwitowaniu sprzedaży.

Kradzież jego

własności, dokonana przez uzbrojone straże, to niechlubny powrót do rozsądzania sporów siłą. Jestem pewien, że wszyscy tu obecni zauważyli rytuał, otwierający niniejszą rozprawę.

Dotknięcie tej jakże przyciągającej oczy tarczy dwoma oszczepami symbolizuje to, co symbolizować powinno. W Rzymie nie wyciągamy mieczy, by zakończyć kłótnię. W Rzymie podporządkowujemy się prawu. Mam zrozumienie dla argumentów, które przytoczył Cezar, lecz z niniejszą sprawą nie mają one związku. Jestem pewien, że pozwany gotów był się cofnąć nawet dalej i wyjawić zebranym historię domu aż po jego pierwsze fundamenty, lecz nie sądzę, by tego rodzaju rozszerzanie tematu wniosło do sprawy coś nowego. Muszę powtórzyć moje wołanie o miecz, choć z żalem, że Rzym straci tak żarliwego młodego obrońcę.

Siadając, przyoblekł twarz w wyraz smutku, niewątpliwie z powodu surowości wnioskowanej kary, i zaczął się naradzać z An-tonidusem, który obserwował Juliusza wąskimi szparkami oczu.

Juliusz -wstał i raz jeszcze zwrócił się do sędziów:

- Skoro Rufus powołał się na akt notarialny i pokwitowanie sprzedaży, myślę, że powinien okazać je sądowi - powiedział szybko.

Sędziowie popatrzyli na Rufusa. Obrońca się skrzywił.

- Gdyby przedmiotem własności był koń czy niewolnik, wysoki sądzie, wtedy oczywiście mógłbym przedstawić rzeczone dowody. Niestety, dom, o którym mowa, został wzięty przez zaskoczenie i uzbrojoną siłę. Dokumenty zostały w środku, o czym Cezar bardzo dobrze wie.

Sędzia, który zdawał się mówić za innych, popatrzył na Juliusza z dezaprobatą.

- Czy te pergaminy są u ciebie? - spytał.

- Przysięgam, że nie - odpowiedział Juliusz. - Na mój honor, w domu Mariusza nie ma po nich śladu. - Usiadł znowu. Miał czyste sumienie i mówił prawdę. Poprzedniej nocy, kierując się wskazówkami Kwintusa, spalił jedno i drugie.

- Zatem żadne dokumenty potwierdzające własność nie mogą być okazane przez żadną ze stron? - ciągnął gładko sędzia.

Juliusz potrząsnął głową i Rufus zrobił to samo, choć z irytacji twarz mu stężała. Wstał i znów zwrócił się do sędziów.

Rozdział XXXII

359

- Mój klient podejrzewa, że tak ważne dokumenty mogły zniknąć tuż przed procesem -

powiedział z ledwo ukrywaną ironią, patrząc na Juliusza. - Ale my, na szczęście, mamy świadka, który był obecny na aukcji i może poświadczyć legalność zakupu domu przez wodza Antonidusa.

Świadek wstał ze swego miejsca u boku Antonidusa i wystąpił do przodu. Juliusz rozpoznał w nim człowieka, który podczas zgromadzeń senatu siadywał gdzieś w pobliżu Katona. Był

przygarbionym, wątłym mężczyzną i bez przerwy odsuwał z czoła kosmyk rzadkich włosów.

-Jestem Publiusz Tenelia. Mogę poświadczyć legalność sprzedaży.

- Czy mogę zadać pytanie temu człowiekowi? - spytał Juliusz i otrzymawszy pozwolenie, wyszedł na środek. - Czy byłeś obecny na całej aukcji?

- Byłem. Od początku do końca.

- Widziałeś pokwitowanie sprzedaży podpisane imieniem Antonidusa?

- Widziałem imię - powiedział po sekundzie wahania. Miał spłoszone spojrzenie i Juliusz wiedział, że jeśli ten człowiek komuś pomoże, to na pewno nie tamtym.

- A więc tylko rzuciłeś okiem na dokument, czy tak? - naciskał.

- Nie, widziałem cały - odpowiedział z większym przekonaniem mężczyzna.

- Czy widniała tam suma, którą wódz zapłacił?

Rufus uśmiechnął się. Wiedział, że sztuczka Juliuszowi się nie uda, ponieważ świadek był

całkowicie przygotowany na takie pytania.

- Tak, tysiąc sestercji - odpowiedział triumfalnie mężczyzna, na co zgromadzony za ławami tłum zakpił zgodnym chórem.

Ku plebejuszom odwróciło się wiele głów i Juliusz, tak jak sędziowie, zobaczył, że im dłużej ciągnął się proces, tym bardziej gęstniał tłum na okolicznych ulicach. Urzędnicy popatrzyli po sobie i pretor niespokojnie zacisnął usta. Taka liczna publiczność zwiększała ryzyko zakłócenia porządku. Być może należało posłać po żołnierzy.

Kiedy tłum ucichł, Juliusz przemówił znowu.

- Przygotowując się do tego procesu, panowie sędziowie, wyceniłem dom. Gdyby był

sprzedany dzisiejszego ranka, kupujący zapłaciłby około miliona sestercji, nie tysiąc. W

Prawie Dwunastu Tablic jest paragraf, który ma związek z tą sprawą.

Kiedy przygotowywał się do zacytowania tekstu sprzed setek lat, Rufus zrobił znudzoną minę i wzniósł błagalnie oczy, a świadek, któremu wciąż nie pozwalano wrócić na miejsce, zaczął

się wiercić.

- „Własność nie może przejść od sprzedającego do nabywającego, jeżeli żądana cena nie została zapłacona” - zagrzmiał Juliusz, a w piejącym z radości tłumie jedni drugim zaczęli wyjaśniać sens cytowanego paragrafu.

- Tysiąc sestercji za posiadłość wartą miliona to żadna „cena”, panowie sędziowie. Sprzedaż była fikcją, naigrawaniem się z aukcji, a brak pokwitowania sprzedaży świadczy wyraźnie o tym, że nie było żadnej legalnej transakcji.

Rufus podniósł się powoli.

- Cezar chce, byśmy uwierzyli, że każda transakcja jest pogwałceniem Tablic - zaczął.

Tłum zawył i pretor posłał gońca po posiłki.

- Powtarzam raz jeszcze, że tak bezcelowymi dygresjami Cezar próbuje jedynie zagmatwać sprawę i wprowadzić sąd w zakłopotanie. Suma jest nieistotna. Mój klient jest człowiekiem sprytnym i umie się targować - zakończył dumnie Rufus i usiadł, pod maską spokoju kryjąc irytację. Nie mógł otwarcie przyznać, że aukcja była pozorowana i że przeprowadzono ją tylko po to, by Sulla miał czym nagrodzić swoich ulubieńców, choć Cezar powiedział to wyraźnie, na wypadek gdyby był jeszcze ktoś, kto by o tym nie wiedział. Antonidus pod wpływem gniewnych spojrzeń tłumu wyraźnie się skurczył.

- Co więcej - kontynuował Juliusz, ignorując wystąpienie Rufusa - skoro problem ceny poruszył sam świadek Antonidusa, mnie pozostaje zwrócić uwagę sądu na jeszcze inną okoliczność. Jeżeli wyrok będzie dla prawnego spadkobiercy, którym jestem, korzystny, zażądam czynszu za dwa lata zajmowania domu przez wodza Antonidusa. Choć,

powodowany wielkodusznością, przystanę na jedynie trzydzieści tysięcy sestercji.

Rozdział XXXII

- Co takiego?! Jak śmiesz się o to upominać! - parsknął wściekle Antonidus i aż się poderwał.

Rufus wcisnął go na ławę z powrotem i zaczął szeptać mu coś do ucha. Antonidus się uspokoił, a jego obrońca zwrócił się do sędziów:

- Panowie sędziowie, ten człowiek dodaje do swych przestępstw jeszcze jedno, obrazę publiczności, przez podjudzanie mojego klienta do gwałtownych zachowań. Żaden czynsz nie wchodzi w grę. Kiedy po legalnej transakcji Antonidus legalnie zajął swoją własność, dom nie był zamieszkany.

- Moja rodzina zdecydowała, że będzie stał pusty, i miała prawo do każdej innej decyzji. Tak czy inaczej, zysk z domu szedłby na moje konto, gdyby nie lokator, którego ty reprezentujesz

- odciął się Juliusz.

Sędzia odchrząknął i pochylił głowę ku dwóm innym. Po trwającej dłuższą chwilę naradzie ponownie zabrał głos.

- Sprawa została dostatecznie wyjaśniona. Czy któraś ze stron chce coś dodać, nim

rozważymy wyrok?

Przez chwilę Juliusz łamał sobie głowę, lecz wszystko, co chciał powiedzieć, zostało powiedziane. Obrzucił spojrzeniem resztę brązowych tarcz, lecz oparł się chęci odsłonięcia ich przed tłumem, wiedząc, że sędziowie mogliby to poczytać za tani chwyt. Nie do końca był

pewien brzmienia wyroku i odwrócił się z pytaniem w oczach do Kwintusa, lecz stary człowiek wzruszył obojętnie ramionami.

- Poprzestanę na tym, co powiedziałem, panowie sędziowie - odpowiedział Juliusz.

Tłum go pozdrowił radośnie i obrzucił obelgami obrońcę powoda, kiedy ten powtórzył słowa pozwanego. Trzej sędziowie wstali i przed udaniem się do budynku senatu, by

przedyskutować ostateczny wyrok, pokłonili się pretorowi. Utorowały im drogę dodatkowe szeregi żołnierzy uzbrojonych nie w pałki, lecz w miecze.

Pretor wstał i przemówił do tłumu.

- Kiedy sędziowie wrócą, żądam zachowania porządku, bez względu na wynik. Każda

wrogość spotka się z szybką i najwyższą karą. Rozejdziecie się spokojnie, a obywatel, który by tego nie uczynił, będzie narażony na mój gniew.

Usiadł, ignorując złowrogie spojrzenia, jakie zawiesił na nim lud Rzymu. Nagle jakiś samotny głos zakrzyknął „Ma-riusz!" i ci, którzy stali obok, dołączyli do wezwania. Po kilku minutach cały zebrany tłum tupał i wywrzaskiwał imię nieżyjącego wodza. Obecni na rozprawie członkowie senatu popatrzyli wokół siebie nerwowo, nagle świadomi tego, że od motłochu Rzymu oddziela ich zaledwie cienka linia żołnierzy.

Juliusz zdecydował, że nadszedł właściwy moment do odsłonięcia reszty dzieł Aleksandrii.

Podszedł dostojnym krokiem do zakrytych tarcz, schwycił za róg pierwszej płachty i odnalazł

wzrokiem podekscytowaną, uśmiechniętą od ucha do ucha Aleksandrię. Wtedy odrzucił

zasłonę i tłum odpowiedział hałaśliwą radością. To były trzy skrzyżowane strzały

Pierworodnych, ukochanego legionu Mariusza. Brutus poderwał się i skandował tak samo głośno jak tłum, a stojący wokół niego poszli za jego przykładem.

Pretor rzucił w stronę Juliusza rozkaz, który przepadł w ogólnym hałasie krnąbrnego tłumu.

Cezar przeszedł do następnych tarcz i odsłaniał jedną po drugiej. Przy każdej odsłonie tłum grzmiał coraz głośniej, kiedy ci, którym dane było oglądać tarczę po tarczy na własne

oczy, wykrzykiwali opisy stojącym za nimi. Małe dzieci posadzono na ramionach rodziców i dziecięce piąstki grzmociły powietrze z taką samą uciechą, jak dorośli wznosili okrzyki.

Tarcze pokazywały sceny z życia Mariusza, jego bitwy w Afryce, triumf na ulicach miasta, jego dumną postawę na murach, kiedy oczekiwał nadejścia Sulli.

Juliusz, sięgając do fałd ostatniej płachty, zawiesił dłoń teatralnym gestem i tłum się uciszył, jak na niewidzialny znak. Ostatnia tarcza została odsłonięta i w porannym świetle każdy mógł

zobaczyć, że jest pusta.

Zrobiło się cicho i Juliusz przemówił:

- Ludu Rzymu, ostatni obraz będzie żywym odbiciem dzisiejszego dnia! - zawołał gromkim głosem i tłum rozszalał się z radości.

Pretor poderwał się na nogi i zakrzyknął do swoich straży. Odstęp między tłumem a sądem zrobił się większy, gdy tylko żołnierze sięgnęli do pałek. Ludzie zaczęli się cofać, choć nie przestawali wznosić buntowniczych okrzyków i wyszydzać Antonidusa.

Rozdział XXXII

Imię Mariusza wybiło się ponad wszystko inne i wyglądało to tak, jakby cały Rzym je podjął i całe miasto skandowało.

Tubruk pochylił się i pocałował Klodię. Zrobił to tak delikatnie i czule, że Kornelię, mimowolnego świadka tej sceny, ogarnął wstyd, a jednak nie potrafiła odwrócić oczu. Ukryta przed nimi w cieniach okna, czuła się tak samotna jak nigdy. Klodia poprosi, by ją wyzwoliła, była tego pewna, i wtedy ona zostanie całkiem sama.

Kornelia uśmiechnęła się gorzko, dotykając czułych miejsc swojej pamięci. Miało być całkiem inaczej. Juliusz brał Rzym w swoje ręce i zdawał się kipieć życiem i energią, lecz jego żona nie miała z tego żadnej pociechy. Pamiętała potoki słów,

które płynęły z jego ust, kiedy się poznali i kiedy jeszcze żył Mariusz. Musiała zakrywać mu te usta dłonią, by wścibscy słudzy jej ojca nie usłyszeli jego głosu i jego śmiechu. Ile było w nim wtedy

radości! Teraz stał się kimś obcym i chociaż raz czy dwa zauważyła, że patrzy na nią z dawnym płomieniem w oczach, ten płomień gasł, ledwo się zapalił. Nieraz zbierała się na odwagę i była bliska zażądania od niego miłości, choćby tylko po to, by skruszyć lód, który oddzielał jedno od drugiego coraz grubszymi pokładami. Chciała tego, nawet

0 tym śniła, lecz za każdym razem pamięć o grubiańskich palcach Sulli obracała wniwecz jej postanowienie i zapadała w swoje nocne koszmary sama. Sulla nie żyje, mówiła sobie, lecz wciąż miała przed oczami jego twarz i czasami, w nagłym porywie wiatru, wydawało jej się, że czuje jego zapach. Wtedy kuliła się ze strachu

1 chowała w pościel, swoje schronienie przed światem.

Tubruk objął ramieniem jej starą opiekunkę. Klodia oparła na nim głowę, szepcąc coś do mężczyzny. Kornelia usłyszała jego cichy chichot i pozazdrościła obojgu tego, co znaleźli.

Nie zamierzała odmówić, gdyby Klodia poprosiła, chociaż myśl, że jest zapomnianą żoną, podczas gdy Juliusz chełpił się i puszył w tym swoim mieście i w tym swoim legionie, była nie do zniesienia. Widywała je przedtem, te jadowite rzymskie matrony, z tymi opiekunkami do dzieci i niewolnikami do prac domowych. Spędzały dni na kupowaniu bogatych strojów czy na plotkach z przyjaciółkami, co dla Kornelii oznaczało koniec życia i początek śmier-364

ci. Jak będą jej żałowały, kiedy dogrzebią się do prawdy małżeństwa bez miłości!

Kornelia potarła gniewnie oczy. Jest za młoda, by dać się zniszczyć, powiedziała sobie.

Doczeka zagojenia ran, choćby miała czekać rok. Nawet jeśli on się zmienił w tamtej pirackiej niewoli, to przecież wciąż jest młodym mężczyzną, tym samym, którego znała. Tym

samym, który ryzykował życie i gniew jej ojca, byleby tylko przyjść do jej komnaty, wysoko nad śliskimi dachami. Gdyby tylko potrafiła zachować tego człowieka w swoim sercu, byłaby zdolna znów z nim rozmawiać i być może on przypomniałby sobie dziewczynę, którą kochał.

Być może rozmowa nie zamieni się w kłótnię i jedno nie opuści drugiego.

Na podwórzu poruszył się jakiś cień. Kornelia podniosła głowę. Mógł to być jeden z żołnierzy na obchodzie, pomyślała i natychmiast odetchnęła, kiedy szarzejąca noc odsłoniła postać: Oktawian, szpiegujący kochanków. Gdyby do niego zawołała, jej głos spłoszyłby chwilę intymności Klodii i Tubruka. Oby chłopiec miał dość rozumu i nie podszedł za blisko.

Juliusz także dorastał wewnątrz tych murów i kiedyś był tak samo zafascynowany miłością jak ten dzieciak.

Przyglądała się w milczeniu, jak Oktawian przykucnął za korytem na wodę, wpatrując się w Tubruka. Para pocałowała się znowu i stary zarządca, znowu cicho chichocząc, pogrzebał

palcami w ziemi, po czym zamachnął się i w miejsce, gdzie krył się Oktawian, poleciała garść żwiru.

- Wracaj do łóżka - zawołał do chłopca Tubruk. Kornelia się uśmiechnęła i skorzystała z dobrej rady.

- Otwierają się drzwi senatu! - powiedział Kwintus prosto w kark Juliusza.

- Szybko im poszło - szepnął nerwowo Cezar. Stary człowiek skinął głową.

- Pośpiech nie jest wskazany w sprawie o nieruchomość - mruknął złowieszczo.

Juliusz zdrętwiał ze strachu. Czy niczego nie zaniedbał? Jeżeli wyrok będzie dla niego niepomyślny i sędziowie zażądają kary śmierci, umrze przed zachodem słońca. Już słyszał ich sandały na

Rozdział XXXII

kamieniach forum. Każdy krok tych mężczyzn zdawał się wybijać ostatnie sekundy jego żyda.. Poczuł strużkę potu spływającą po plecach.

Wstał wraz z całą resztą, by przywitać urzędników pokłonem. Żołnierze, towarzyszący pochodowi od samego budynku senatu, teraz z dłońmi na rękojeściach mieczy, zajęli pozycje

w drugim szeregu, między sądem a tłumem. Juliusz zamarł. Jeżeli spodziewają się kłopotów, mogło to znaczyć, że sędziowie już zapoznali ich z werdyktem.

Trzej sędziowie zajmowali miejsca powoli i z godnością. Juliusz starał się podchwycić ich spojrzenia, rozpaczliwie pragnąc przygotować się na to, co go czekało. Napięcie narastało i tłum zamilkł.

Sędzia, który przemawiał poprzednio, dźwignął się z miejsca z ponurym wyrazem twarzy.

- Usłysz nasz wyrok, Rzymie - zawołał. - Dociekaliśmy prawdy i przemawiamy w imieniu prawa.

Juliusz wstrzymał oddech. Cisza, która go teraz otaczała, po niedawnych owacjach i skandowaniu wydawała się prawie bolesna.

- Przyznaję rację wodzowi Antonidusowi - mówił dalej sędzia i widać było, jak kark mu sztywnieje. Tłum zawrzał gniewem, lecz kiedy podniósł się drugi sędzia, ucichł na nowo.

- Przyznaję rację Antonidusowi - powtórzył drugi za pierwszym, ślizgając się spojrzeniem ponad głowami tłumu, nad którym nie sposób było zapanować, i po jego słowach na nowo podniosły się głośne kpiny. Juliuszowi zakręciło się w głowie.

Trybun wstał, popatrzył na tłum, na brązową podobiznę Mariusza i w końcu zatrzymał wzrok na Juliuszu.

-Jako trybun mam prawo zawetować wyrok moich kolegów sędziów. Nie robię tego z lekkim sercem i, zapewniam, dobrze rozważyłem wszystkie za i przeciw. - Przerwał, by ściągnąć na siebie oczy wszystkich, po czym mówił dalej: - Dzisiaj to prawo zastosuję. Przyznaję rację Cezarowi.

Tłum oszalał z radości i od nowa zaczęto skandować imię „Mariusz”, jeszcze głośniej niż przedtem.

Juliusz opadł na ławę. Otarł pot z czoła.

- Dobra robota, chłopcze. - Kwintus wyszczerzył się bezzęb-

nym uśmiechem. - Twoje imię poznało dzisiaj mnóstwo ludzi. To zaowocuje, jak kiedyś będziesz sięgał po wyższy urząd. Podobało mi się, w jaki sposób posłużyłeś się tymi twoimi tarczami. Ostentacja, owszem, ale czemu nie, jeżeli ludzie to lubią? Gratuluję. Juliusz odetchnął. Doskonale wiedział, że był o włos od katastrofy. I choć wciąż kręciło mu się w głowie i nogi się pod nim uginały, szybko przemierzył przestrzeń dzielącą go od Antonidusa, aby wziąć pierwszy odwet za Kornelię.

- Kładę na tobie rękę. Jesteś mi winien trzydzieści tysięcy se-stercji - powiedział

wystarczająco głośno, by usłyszeli go sędziowie, i bezceremonialnie schwycił go za wodzowską szatę.

Antonidus zastygł w bezsilnym gniewie, szukając oczami Katona w tłumie na ławach. Juliusz, nie zwalniając uścisku, także się odwrócił. Zobaczył, że oczy obu mężczyzn się spotkały i że Katon, nie kryjąc odrazy, potrząsnął przecząco głową. Antonidus wydawał się oszołomiony odmianą losu.

- Nie mam pieniędzy - powiedział.

- Jest przyjęte - wtrącił się Rufus - że na spłatę tak wielkiego długu ma się trzydzieści dni.

- Nie. Dostanę pieniądze teraz albo wódz zostanie związany i sprzedany na targu

niewolników.

Antonidus szarpnął się gwałtownie.

- Nie zrobisz tego! Katonie! Nie możesz pozwolić, by mnie zabrano! - krzyknął, lecz Katon odwrócił się do niego plecami i zbierał się do opuszczenia sądu.

Pompejusz, obecny w tłumie na ławach, przyglądał się całej scenie z nie skrywanym

zainteresowaniem. Skazany tymczasem miał tyle zdrowego rozsądku, by zacisnąć usta

wcześniej, zanimby zdradziły sekrety morderstw. Pompejusz, Katon, jak i sami mordercy skazaliby go na tortury i zabili.

Przy Juliuszu stanął Brutus. Miał w dłoniach gruby sznur.

- Związ go, Brutusie, tylko delikatnie. Chcę dostać za niego jak najwięcej - powiedział Juliusz chrapliwie, dając się ponieść złości i nie kryjąc pogardy.

Brutus wypełnił polecenie szybko i sprawnie. Na koniec zatkał Antonidusowi usta, by go uciszyć. Urzędnicy nie reagowali, wiedząc, że Juliusz działa zgodnie z prawem, chociaż twarze dwóch,

Rozdział XXXII

którzy głosowali przeciw niemu, były purpurowe z tłumionego gniewu.

Tymczasem do Juliusza podszedł Rufus i kładąc mu dłoń na ramieniu, powiedział:

- Dobrze się broniłeś, Cezarze, lecz Kwintus jest za stary na to, abyś w przyszłości miał

korzystać z jego rad. Mam nadzieję, że będziesz pamiętał moje imię, szukając innego obrońcy.

Juliusz popatrzył na niego.

- Niepodobna, bym o tobie zapomniał - powiedział krótko. Po tym, jak Antonidus został

związany i przeznaczony do

sprzedaży w niewolę, pretor uznał rozprawę za zakończoną, a tłum znów zawył z radości. Za Katonem, który wyszedł pierwszy, szybko opuściło ławy wielu innych senatorów,

wyraźnie czując się nieswojo w obecności tak wielkiego zbiorowiska obywateli, których

reprezentowali.

Juliusz i Brutus wspólnymi siłami pociągnęli po bruku leżącego twarzą do ziemi wodza i rzucili go obok podwyższenia z desek, na którym stały tarcze.

Aleksandria przecisnęła się między senatorami i podeszła do Juliusza. Jej oczy błyszczały triumfem.

- Byłeś wspaniały. Choć przez chwilę myślałam, że już po tobie. -Ja też. Muszę podziękować trybunowi za to, co zrobił. Ocalił

mi życie.

Brutus prychnął lekceważąco.

- Nie zapominaj, że jest jednym z ludu. Rozerwaliby go na kawałki, gdyby wydał wyrok przeciwko tobie, jak tamci. Bogowie, popatrz na nich! - Brutus wskazał na ludzi, którzy cisnęli się wokół, by spojrzeć z bliska na Juliusza.

- Stań obok tarcz. Niech ludzie zobaczą, że ich zauważasz - poradziła Aleksandria,

uśmiechając się do niego promiennie. Poza wszystkim innym, co się tu wydarzyło, wiedziała, że jej prace zyskają na wartości i będą się o nie ubiegać ważni i wielcy Rzymu.

Juliusz stanął na podwyższeniu. Tłum pozdrowił go. Policzki młodego człowieka zapłonęły przyjemnym ciepłem, kiedy jego imię powoli zaczęło zastępować imię Mariusza.

Wzniósł ramię i pozdrowił tłumy. Więc jednak Kwintus miał

rację. Imię Cezara zostanie w ich pamięci i kto wie, dokąd go to zaprowadzi?

Poranne słońce wzeszło nad forum i w jego promieniach rozbłysnął brąz tarcz wykonanych przez Aleksandrię. Juliusz

się uśmiechnął. Miał nadzieję, że Mariusz je widzi, gdziekolwiek jest.

m

ROZDZIAŁ XXXIII

Poranne powietrze przesycały pierwsze zapachy wiosny, kiedy Juliusz biegł przez swój ukochany las, czując, jak intensywnym ruchem uwalnia organizm z napięcia ostatnich dni.

Mając za sobą podniecające przeżycia procesu, spędzał w kwaterach Pierworodnych z

Reniuszem i Brutusem całe godziny i wracał do domu jedynie na noc. Mężczyźni z zaciągu afrykańskiego i greckiego dobrze sobie radzili, a starzy legioniści znowu byli dumni z odrodzonego ukochanego legionu Mariusza. Ludzie, których dostarczył im Katon, byli młodzi i bez jednej blizny na twarzy. Juliusza kusiło, by zapytać ich o przeszłość, lecz po głębszym namyśle doszedł do wniosku, że to, kim byli przed przysięgą i do czego w swych pierwotnych zamysłach przeznaczał ich Katon, nie jest ważne, i że zdąży się wszystkiego dowiedzieć w odpowiednim czasie. Reniusz spędzał z nimi każdą godzinę dnia i przy ćwiczeniach nowych ludzi korzystał z pomocy doświadczonych legionistów.

Chociaż Pierworodnym wciąż brakowało co najmniej połowy sił, rozesłano wieści do innych miast i Krassus obiecał wyłożyć dość złota, by odbudować legion do końca i przywrócić mu poprzednie znaczenie. Dług zaciągnięty u niego był zawrotnie “wysoki, lecz Juliusz musiał to zaakceptować. Mimo całego złota Celsusa, odtworzenie legionu kosztowało fortunę, nie mówiąc o tym, że Krassus, wspierając Pierworodnych, przeciwstawił się sullańczy-kom.

Juliusz spychał olbrzymie sumy na dno pamięci. Każdego dnia obolałe nogi niosły mężczyzn z całego kraju, zwabionych obietnicami wysłańców Juliusza. Każdy dzień był ekscytujący i kiedy

każdego wieczoru słońce chowało się za horyzontem, Juliusz zostawiał swoich ludzi

niechętnie, wiedząc, że w domu może liczyć jedynie na najchłodniejsze przyjęcie.

Chociaż dzielili łóżko, Kornelia się otrząsała, kiedy ją dotykał, i albo wybuchała kłótnia, albo szedł spać gdzie indziej. Z każdą nocą było gorzej i Juliusz kładł się spać udręczony tęsknotą za żoną. Brakowało mu dawnej Kornelii i czasami odwracał się do niej, aby podzielić się jakąś myślą czy żartem, lecz znajdował w jej twarzy całkiem niezrozumiałą gorycz. Czasami kusiło go, by pójść do innego pokoju i kazać przyprowadzić sobie niewolnicę. Wiedział, że Kornelia by go za coś takiego znienawidziła, więc cierpiał przez długie noce i kipiał

wewnętrznym gniewem, a jedynym ukojeniem stawał się sen. Śnił o Aleksandrii.

Chociaż to go zawstydzało, przyprowadził Oktawiana do miasta trzy razy tylko dlatego, że pragnął zajrzeć do sklepu Tabbika i że chłopiec był doskonałą wymówką. Za trzecim razem zastał tam Brutusa i po tym, jak cała trójka, zmieszana i skrępowana, jąkała się przez kilka minut, postanowił nie ponawiać wizyt.

Przystanął, dysząc, na szczycie wzgórza, z którego roztaczał się widok na jego majątek, niedaleko od nowej granicy, ogrodzonej płotem przez ojca Swetoniusza. Może nadszedł czas, by w końcu coś z tym zrobić. Ze świeżym powietrzem w płucach, spocony po biegu, lecz podniesiony na duchu, przyjrzał się swojej ziemi. Rzym był gotów na zmiany. Czuł to tak samo, jak czuł zmieniające się pory roku, które znów rozpalą gorączką lata ulice i pola.

Z marzeń wyrwał go stukot kopyt. Zszedł ze ścieżki. Zgadł, kto nadjeżdża, jeszcze nim dostrzegł drobną postać przykucniętą wysoko na grzbiecie najsilniejszego konia w stajniach.

Chłopiec był odważny i zręczny, zauważył to i zmusił się do ściągnięcia brwi, co kazało Oktawianów zatrzymać się nagle, w tumanie kurzu i wilgotnych liści.

Wierzchowiec parsknął i zatańczył w miejscu, po czym szarpnął za wodze, wyraźnie

niezadowolony z przymusowego postoju. Oktawian zsunął się z gołego grzbietu, wczepiony jedną ręką w końską grzywę. Juliusz milczał.

- Przepraszam - zaczął chłopiec, czerwieniejąc ze zmieszania.
-

Rozdział XXXIII

371

Koń potrzebował przejażdżki, a chłopcy stajenni wolą się nim nie zajmować. Wiem, że obiecałem…

- Chodź ze mną - przerwał mu Juliusz.

Juliusz ruszył w dół wzgórza i zasmucony Oktawian poszedł za nim, prowadząc konia.

Wiedział, że czeka go lanie albo, co gorsza, odeślą go do miasta i ten koń będzie ostatnim, którego dosiadł. Łzy wypełniły mu oczy. Wytarł je szybko. Juliusz by wzgardził chłopcem, który maże się jak dziecko. On przyjmie karę bez jednej łzy, nawet jeżeli tą karą będzie odesłanie z majątku.

Juliusz zawołał, by otwarto bramy, i skierował się razem z Oktawianem prosto do stajni.

Kilka koni sprzedano, kiedy Tubruk zbierał pieniądze na okup, ale zarządca zachował

najlepszych reproduktorów, by odbudowały stado.

Słońce podniosło się nad horyzontem, kiedy Juliusz wszedł między ocienione przegrody, buchające błogosławionym ciepłem końskich oddechów. Konie odwróciły łby, by go powitać.

Bez słowa podszedł do młodego ogiera, wyhodowanego przez Tu-bruka od źrebięcia, i

pogłaskał go po potężnym brązowym zadzie. Na oczach Oktawiana założył koniowi uzdę, następnie wybrał jedno z wielu wiszących na ścianie siodeł i wyprowadził cicho parskające zwierzę prosto w światło poranka.

- Dlaczego nie jeździsz na swoim kucu? - spytał chłopca. Oktawian patrzył na niego, nic nie rozumiejąc.

- Jest za powolny - odpowiedział po pewnym namyśle i bezwiednie poklepał szyję ogiera.

Potężny koń górował nad nim, lecz stał spokojnie, nie okazując nic ze swoich humorów, które tak irytowały chłopców stajennych.

- Wiesz, że jesteś moim krewnym, tak? - spytał Juliusz.

- Wiem, od matki.

Juliusz myślał przez chwilę. Jego ojciec prawdopodobnie sięgnąłby po kij, gdyby on albo Brutus odważyli się pędzić przez las na jego najlepszym koniu, ale on nie zamierzał psuć sobie nastroju. Poza tym pamiętał, co obiecał Aleksandrii.

- Ruszaj zatem, kuzynie. Zobaczymy, czy jesteś tak dobry, jak ci się zdaje.

Twarz Oktawiana pojaśniała wewnętrznym światłem. Juliusz wyprowadził za bramy oba

konie i przyglądał się, z jaką łatwością

chłopiec wskakuje na koński grzbiet. Sam dosiadł swojego bardziej statecznie, ale potem nagle krzyknął, wbił pięty w boki konia i popędził w górę zbocza.

Oktawian przez chwilę oniemiał i patrzył za nim z otwartymi ustami. Następnie uśmiechnął

się chytrze, klepnął swojego wierzchowca, zakrzyknął w odpowiedzi i popędził z rozwianymi włosami za Juliuszem.

Kiedy Juliusz wrócił do domu, Kornelia szaleńczo zapragnęła go objąć. Rozgrzany jazdą, z rozwichrzonymi włosami

wyglądał tak młodo i tak kipiał życiem i energią, że z żalu aż coś w niej załkało. Pragnęła, by się do niej uśmiechnął, pragnęła poczuć na sobie jego silne ramiona, lecz zamiast tego odezwała się gniewnie, pełnymi goryczy słowami, których nie potrafiła powstrzymać.

- Jak długo, według ciebie, mam żyć w tym zamknięciu, z dala od ludzi? - spytała. - Ty masz tę swoją wolność, gdy tymczasem ja nie mogę zrobić kroku, by ci twoi przeklęci Pierworodni nie szli za mną!

- Oni są tu po to, by cię chronić! - odpowiedział Juliusz wstrząśnięty jej poruszeniem.

Kornelia spojrzała na męża wściekłym wzrokiem.

-Jak długo, Juliuszu? Wiesz lepiej niż ktokolwiek, że miną jeszcze lata, nim twoi wrogowie przestaną być groźni. Czy chcesz mnie tu zamknąć do końca mojego życia? A co z twoją córką? Kiedy ostatni raz wziąłeś ją na ręce? Czy chcesz, żeby dorastała w samotności? Twoi

żołnierze przeszukali nawet przyjaciół mojego ojca, którzy przyszli mnie odwiedzić. Możesz być pewien, że więcej ich tu nie zobaczę.

- Po pierwsze, pracowałem, Kornelio, przecież wiesz. Po drugie, obiecuję znaleźć czas dla dziecka. A co do Pierworodnych, być może byli zbyt ostrożni - przyznał Juliusz - lecz to ja nakazałem im czuwać nad tobą i będą to robić, dopóki będą nam zagrażać mordercy.

Kornelia zaklęła, ku własnemu zdziwieniu.

- Wszystko z powodu nieszczęścia, które dotknęło Pompejusza! Czy nie przyszło ci do głowy, że być może nam nic nie zagraża? Z tego co wiemy, Pompejusza zaatakowano za coś, co nie miało

/

Rozdział XXXIII

373

nic wspólnego z senatem, a w rezultacie mnie się zabrania nawet krótkiej wyprawy do miasta, dla zwykłego wyrwania się z monotonii jednakowych dni. Tego za wiele, Juliuszu. Ja tego nie zniosę.

Raz wypowiedzianych słów nie dało się cofnąć, dobrze wiedziała. A przecież nie tak miało być. On musi się przekonać do jej miłości, inaczej go straci na zawsze.

Juliusz popatrzył na nią. Twarz mu stwardniała.

- Czy żądasz, bym wystawił własną rodzinę na bezpośredni atak? Nie, nie zrobię tego. Nie mogę, nie potrafię, jak wolisz.

Już poczyniłem pewne kroki przeciw moim wrogom.

Złamałem Anto-nidusa na oczach Katona i jego popleczników. Wiedzą, że jestem

niebezpieczny, i to wielokrotnie zwiększa ryzyko dla ciebie. Nawet jeżeli ich mordercy uderzą we mnie, potkną się, chcąc skrzywdzić ciebie.

Kornelia odetchnęła głęboko, by spowolnić tętno własnej krwi.

- Czy to, co robisz, ma nas chronić, czy ma uciszyć twoje sumienie? A może tylko jesteś dumny, że więzisz nas we własnym domu? - Widziała, jak zwężają mu się oczy, i cierpiała razem z nim.

- Więc o co ci chodzi? - warknął. - Czy chcesz wrócić do ojca? Proszę bardzo, lecz Pierworodni pójdą za tobą i zamienią jego dom w twierdzę nie do zdobycia. Dopóki żyją moi wrogowie, musisz być chroniona, to wszystko.

Przycisnął dłonie do oczu, jakby nie chciał patrzeć na własne rozgoryczenie. Sięgnął ku niej i objął ramieniem jej spięte ciało.

- Moja duma nie ma z tym nic wspólnego, Kornelio, a w moim życiu nie ma nic ważniejszego od Julii i od ciebie. Myśl o tym, że ktoś mógłby cię skrzywdzić, jest… tak, jest nie do zniesienia. Muszę wiedzieć o każdej porze dnia i nocy, że jesteś bezpieczna.

- Nie, tó nieprawda - szepnęła. - Bardziej dbasz o miasto niż o własną rodzinę. Bardziej dbasz o własną sławę i miłość ludu niż o nas.

Zapłakała, a on objął ją mocniej i oparł o nią głowę. Przestraszyły go jej słowa i walczył sam z sobą, czując w nich ziarno prawdy.

- Nie, żono - powiedział, zmuszając się do lekkiego tonu. - Znaczysz dla mnie więcej niż cała reszta.

Kornelia popatrzyła mu w oczy.

-Jeśli tak, odejdź razem z nami, Juliuszu. Jeśli to prawda, zabierz swoje złoto i swroją rodzinę i zaprzestańmy tych obrzydliwych sporów. Są inne ziemie, gdzie można się osiedlić, gdzie Rzym jest za daleko, by nas niepokoił, i gdzie twoja córka może dorosnąć bez lęków przed sztyletem każdej nocy. Ją, Juliuszu, już dręczą senne koszmary. Obawiam się bardziej o to, co

zamknięcie może uczynić dla niej, nie dla mnie. Jeżeli znaczymy dla ciebie tak wiele, jak mówisz, opuśćmy Rzym.

Juliusz zacisnął powieki.

- Nie możesz mnie o to prosić.

Kornelia wyrwała mu się z uścisku. Jej głos, twardy i głośny, wypełnił całą komnatę.

- Zatem skończ z tymi swoimi opowiastkami, jak to ci na nas zależy, Juliuszu. Skończ raz na zawsze. Twoje bezcenne miasto trzyma nas w pułapce zagrożenia, a ty zaplątałeś się w sieć kłamstw o obowiązku i miłości. - Z zaczerwienionych oczu Kornelii znów trysnęły łzy gniewu, a ona sama rzuciła się ku drzwiom i gwałtownie odepchnęła stojące za nimi straże Pierworodnych.

Obaj mężczyźni słyszeli, co działo się w środku, i twarze im pobladły. Utkwili wzrok w podłodze, ruszając za Kornelią, choć ostrożnie i z daleka, by nie prowokować na nowo jej gniewu.

Juliusz opadł bezwładnie na sofę. Od dnia procesu pokłócili się trzeci raz i ten był najgorszy.

Wtedy przybył do domu rozentuzjazmowany odniesionym triumfem i kiedy jej o wszystkim opowiedział, ona wybuchnęła gniewem, nie znanym mu aż do tamtego dnia. Miał nadzieję, że Klodia jest w pobliżu. Jedynie ona mogła uspokoić Kornelię. Cokolwiek by on powiedział, pogorszyłby sytuację.

Przybity, jeszcze raz przemyślał całą kłótnię. Kornelia nie rozumiała pracy, której się podjął

w mieście. Zacisnął pięści w nagłej złości na samego siebie. Ona ma rację: ma dość złota, by zabrać ich stąd wszystkich. Majątek da się łatwo sprzedać jego skąpym i chciwym sąsiadom i może zaprzestać zmagań z senatem i prób zdominowania innych. Tubruk może przestać

pracować i przejść na zasłużony odpoczynek i będzie tak, jakby rodzina Cezara nigdy nie odegrała żadnej roli w największym z miast świata.

Kornelia kiedyś zobaczy, że to był tylko przejściowy smutek,

kiedyś, kiedy on pokona wrogów i oboje będą się przyglądać, jak ich córka dorasta

bezpiecznie i w ramionach Rzymu. Niechby tylko jego żona chciała przetrwać trudne dziś, zapewniłby jej łatwe jutro. W końcu otrząsnął się z mrocznego bezwładu i wstał. Zbliżało się południe i wobec zapowiedzianego na wczesny wieczór zebrania w senacie musi się

pospieszyć, by dokończyć sprawę z rodziną Swetoniusza.

Oktawian był w stajniach. Pomagał Tubrukowi dosiąść konia. Wierzchowiec, na którym tego ranka jeździł Juliusz, lśnił wyszczot-kowaną brązową skórą. Juliusz podziękował chłopcu klepnięciem w ramię, przerzucił nogę przez siodło i wspomnienie radosnej jazdy pozwoliło mu na chwilę zapomnieć o gniewie. Z nieczystym sumieniem zdał sobie sprawę, że jest zadowolony, że może opuścić majątek, opuścić ją.

Ziemie ojca Swetoniusza leżały bliżej miasta niż ziemie Juliusza, a na długim odcinku graniczyły ze sobą. Chociaż senator nie miał żadnego wojskowego stopnia, zatrudniał liczne straże, i jedne z nich zastąpiły drogę dwóm przybyszom, gdy tylko przekroczyli granicę, a następnie z zawodową ostrożnością i pośpiechem towarzyszyły im do głównych zabudowań.

Gdy tylko Juliusz i Tubruk zbliżyli się do wejścia, pchnięto przodem posłańców.

Miejsce, gdzie Swetoniusz dorastał, było prawie dwukrotnie większe niż to, które

odziedziczył Juliusz. Był to rozległy kompleks budynków o białych ścianach. Ta sama rzeka, która nawadniała ziemie Cezara, płynęła przez posiadłość Prandusa; tak że wszędzie bujnie krzewiła się mieniąca się kolorami roślinność. Droga do wejścia biegła między szpalerem starych sosen, których cienie zapewniały, chłód o każdej porze roku. Tubruk pociągnął nosem z dezaprobatą.

- Niepodobna bronić czegoś takiego - mruknął. - Za drzewami mogą się kryć masy napastników, no i przydałyby się porządne zewnętrzne mury i bramy. Takie miejsce

wziąłbym z dwudziestką ludzi.

Juliusz nie odpowiedział, myśląc o własnym domu, z odkrytymi przestrzeniami dookoła. Nie zdawał sobie do tej pory sprawy, jakich zmian dokonał Tubruk, zwłaszcza po buncie

niewolników

sprzed lat. Dom Swetoniusza był piękny i w porównaniu z nim jego własny wydał mu się surowy i prosty. Być może Kornelii czas upływałby przyjemniej, gdyby jej otoczenie mniej przypominało żołnierskie kwatery.

Zsiedli z koni, by przejść pod krytym dachówką łukiem prowadzącym do otwartego ogrodu, gdzie szumiał potok, niewidoczny pod kwitnącymi krzewami. Juliusz zdjął ciężki worek z konia i zarzucił go sobie na ramiona. Tubruk zrobił to samo, oddając lejce w ręce

niewolników, którzy wyszli ich powitać. Wprowadzono ich do chłodnej zewnętrznej

komnaty, wskazano na ławy i kazano czekać.

Juliusz rozsiadł się wygodnie, dobrze wiedząc, że senator może ignorować ich obecność przez dobrą część dnia. Tubruk podszedł do okna, aby popatrzeć na kwiaty, Juliusz pomyślał, że kwiaty mogłyby przemówić do Kornelii, gdyby rosły wokół ich domostwa.

Z domu wyszedł młody niewolnik i zbliżył się do czekających mężczyzn.

- Senator Prandus wita cię, trybunie. Proszę, pójdź za mną. Tubruk uniósł brwi, zdziwiony nagłą gotowością gospodarza.

Juliusz wzruszył ramionami i obaj mężczyźni udali się za niewolnikiem do odległego skrzydła, gdzie niewolnik otworzył przed nimi drzwi i skłonił się, kiedy w nie wchodzili.

Senator Prandus stał z synem w pomieszczeniu, które bardziej przypominało świątynię niż miejsce do mieszkania. Marmurami wyłożono zarówno podłogę, jak i ściany, a w jednej, tej najdalszej, była wbudowana domowa kaplica. Powietrze lekko pachniało łagodną wonią kadzidła. Juliusz odetchnął z przyjemnością i z pełnym uznaniem. Nie miał wątpliwości, że należy dokonać pewnych zmian w jego majątku. Na każdym kroku odkrywał nowe i ciekawe dla oka szczegóły, od popiersia przodka w kaplicy do kolekcji greckich i egipskich pamiątek na ścianach, które aż kusiły, by się im bliżej przyjrzeć. To był świadomy pokaz bogactwa, lecz Juliusz potraktował wszystko razem jako wzór do naśladowania i do zmian, które powinien zaprowadzić w swoim domu, i zamierzony efekt całkiem uszedł jego uwagi.

— Jestem zaskoczony, Cezarze - zaczął Prandus.

Rozdział XXXIII

377

Juliusz odwrócił oczy od bogactwa i uśmiechnął się szczerze do pary gospodarzy.

- Masz piękny dom, senatorze. Zwłaszcza ogrody.

Prandus zamrugał zdziwiony, potem zmarszczył czoło, zmuszając się do uprzejmości.

- Dziękuję, trybunie. Pracowałem wiele lat, by go takim uczynić, lecz nie powiedziałeś, co cię tu sprowadza.

Juliusz i Tubruk złożyli worki na marmurowej posadzce, przy wtórze nieomylnego brzęku monet.

- Wiesz dobrze co, senatorze. Przychodzę odkupić ziemię, którą ci sprzedano podczas mojej i twojego syna niewoli. - Juliusz zerknął na Swetoniusza i zobaczył, że twarz młodego człowieka zastyga w aroganckim, szyderczym uśmiechu. Nie zareagował. Jego twarz była nieprzenikniona. To z ojcem miał ubić interes.

- Miałem nadzieję zbudować na twojej ziemi dom dla syna — zaczął senator.

Juliusz mu przerwał.

-Już mi to mówiłeś. Przynoszę sumę, którą wtedy zapłaciłeś, i jedną czwartą ponadto, by zrekompensować ewentualne straty. Nie będę się targował o własną ziemię. To moja ostatnia propozycja - powiedział stanowczo, rozwiązując worek, aby odsłonić złoto.

- To jest… uczciwe odszkodowanie - powiedział Prandus, patrząc na worki. - A więc dobrze, każę niewolnikom przesunąć granice.

- Co takiego? Ojcze, nie możesz tak po prostu… - zaczął gniewnie Swetoniusz.

Senator odwrócił się do syna i chwycił go za ramię.

- Bądź cicho! - warknął.

Młodszy mężczyzna potrząsnął niedowierzająco głową, gdy tymczasem Juliusz zbliżył się do ojca, by uściskiem dłoni przypieczętować umowę.

Juliusz i Tubruk odeszli bez słowa. Swetoniusz i stary Prandus zostali sami.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytał syn bardziej wściekły niż zdumiony.

Stary wykrzywił twarz, przedrzeźniając minę młodszego. - Jesteś głupcem, mój synu. Kocham cię, lecz jesteś głupcem.

Byłeś na procesie razem ze mną. Ten człowiek nie jest kimś, w kim chciałoby się mieć wroga.

Czy wyrażam się dość jasno?

- Ale co z domem, który zamierzałeś zbudować? Bogowie, spędziłem z architektem całe dni!

Senator Prandus popatrzył na syna z wyraźnym rozczarowaniem, co raniło młodszego

mężczyznę bardziej niż policzek.

- Zaufaj mi, Swetoniuszu. Byłbyś martwy w tamtym domu, tak blisko jego ziemi. Czy

pojmujesz to, czy nie, zachowałem cię przy życiu. Nie obawiam się go ze względu na siebie, ale ty jesteś moim najstarszym synem, a on jest dla ciebie zbyt niebezpieczny. Katon się go obawia i ty też powinieneś.

- Nie boję się ani Cezara, ani jego żołnierzy! - wykrzyknął Swetoniusz.

Jego ojciec smutno potrząsnął głową.

- Właśnie dlatego, mój synu, jesteś głupcem.

Kiedy Juliusz i Tubruk wjeżdżali przez bramę majątku, wybiegł im na spotkanie Brutus. Na widok jego twarzy na ich ustach zamarły radosne słowa powitania.

- Bogom niech będą dzięki, że już jesteście - powiedział. - Senat wzywa każdego.

Pierworodni muszą być gotowi do wymarszu. - Kiedy to mówił, niewolnik podprowadził mu konia i Brutus wskoczył w siodło.

- Co się stało? - rzucił ostro Juliusz, czując nagłe podniecenie.

- Na północy wybuchł bunt niewolników. Powstały tysiące i dołączyły do nich setki gladiatorów, którzy zabili swoich właścicieli. Mutina wzięta - odpowiedział Brutus, z pobladłą i pokrytą pyłem twarzą.

- To niemożliwe! Tam stacjonują dwa legiony - wtrącił przerażony Tubruk.

- Takie są doniesienia. Wszędzie rozesłano posłańców, lecz pomyślałem, że zechcesz usłyszeć te wieści tak szybko, jak potrafię ci je przynieść.

Juliusz mocniej ściągnął lejce.

- Nie mogę zabrać stąd ludzi, którzy chronią moją żonę, kiedy zagraża niebezpieczeństwo innej rebelii, która może sięgnąć aż tutaj - oznajmił stanowczo.

Rozdział XXXIII

379

Brutus wzruszył ramionami.

- Powtórzę ci rozkaz: każdy żołnierz ma być gotowy do wymarszu na północ, Juliuszu - powiedział, wyciągając dłoń, by współczująco poklepać ramię przyjaciela.

Juliusz ściągnął lejce jeszcze mocniej, gotów w każdej chwili uderzyć piętami o boki konia.

- Zabezpiecz dom, Tubruku - rozkazał. - Jeżeli bunt się rozszerzy, może wrócimy, by ocenić, w jaki sposób przygotowałeś obronę. Chroń moją rodzinę, tak jak to robiłeś przedtem.

Tubruk z Juliuszem popatrzyli sobie w oczy. Rozumieli się doskonale. Tak, by Brutus nie mógł usłyszeć, Juliusz pochylił się i szepnął zarządcy do ucha:

- Wiem, co ci zawdzięczam. - Wiedział, że śmierć Sulli ocaliła ich wszystkich.

- Bądź spokojny. A teraz… w drogę! - odpowiedział szorstko Tubruk i klepnął konia Juliusza po zadzie.

Dwaj młodzi mężczyźni pochylili się nisko nad końskimi grzbietami, spięli wierzchowce i na drodze do Rzymu podniósł się obłok kurzu.

ROZDZIAŁ XXXIV

Wokół budynku senatu panowało poruszenie. Juliusz i Brutus zsiedli z koni na skraju forum i prowadząc swoje wierzchowce, dołączyli do schodzących się ze wszystkich stron senatorów, wezwanych na nadzwyczajne posiedzenie z całego miasta i spoza miasta.

- Jak to się stało, że tak szybko dostałeś tę wiadomość? - spytał Juliusz przyjaciela.

Brutus zrobił niewyraźną minę i odpowiedział dopiero po chwili.

- Matka mi powiedziała. Ona ma wiele… kontaktów w senacie. Prawdopodobnie wiedziała o wszystkim pierwsza.

Uwagi Juliusza nie uszła ostrożność w zachowaniu Brutusa i był ciekaw jej powodów. Młody mężczyzna nalegał na spotkanie przyjaciela z Serwilią i Juliusz wyczuwał, że jest to dla niego ważne.

- Och, muszę wreszcie zobaczyć tę twoją matkę - rzucił lekko. Brutus spojrzał na niego spod oka, doszukując się szyderstwa,

którego nie znalazł, i wyraźnie mu ulżyło.

- Od tamtego procesu bardzo jest ciebie ciekawa. Chcę, byś ją poznał. To ktoś nadzwyczajny.

- Może dziś wieczorem, jak będzie czas - odpowiedział Juliusz, skrywając niechęć. Tubruk wygłosił już parę opinii o tej kobiecie, lecz nie mógł dłużej odmawiać przyjacielowi czegoś, czego tamten najwyraźniej pragnął.

Kiedy doszli do podnóża schodów, Brutus wziął lejce obu koni.

Rozdział XXXIV

381

- Przyjdź potem do naszego obozu, jeżeli ci się uda. Przygotuję Pierworodnych do marszu pod twoimi rozkazami - powiedział.

Jego oczy błyszczały podnieceniem i Juliusz się zaśmiał.

- Jak tylko będę wolny.

Kiedy wszedł do budynku, prowadzący obrady i konsul wciąż jeszcze byli w drodze i żadne oficjalne dyskusje jeszcze się nie zaczęły. Co najmniej połowa jego kolegów senatorów zbiła się w niespokojne grupki i w zgiełku i hałasie krzyżowały się głośne pytania i uwagi, co jedynie wzmagało poczucie ogólnego zagrożenia. Nie było w tym żadnego ładu. Juliusz wykorzystał wolną chwilę, by podejść do tych, których znał, i dowiedzieć się szczegółów wydarzenia, których Brutus nie znał.

Pompejusz wraz z Krassusem i Cynną byli pogrążeni w gorącej dyskusji. Powitali Juliusza kiwnięciem głów i mówili dalej.

- Oczywiście będziesz dowodził, mój przyjacielu. Nie ma drugiego tak sławnego dowódcy i nawet Katon się nie zawaha, zwłaszcza kiedy południa strzegą jedynie siły w Ariminum -

powiedział Krassus do Pompejusza.

Opalony mężczyzna wzruszył ramionami. Z jego twarzy wyzierała gorycz.

- Och, Katon nie może mnie powstrzymać przed objęciem dowództwa, wiesz o tym. Nie można mu pozwolić, by obsadził armię swoimi ludźmi. Popatrzcie, co się wydarzyło w Grecji! Popatrzcie na piratów, którzy poczynają sobie absolutnie śmiało i atakują naszych kupców! Jeżeli to ci sami gladiatorzy, z którymi nie zrobiliśmy porządku pod Wezuwiuszem,

to Mutina jest stracona z powodu naszej bojaźliwej polityki po śmierci Sulli. Wszystko przez to, że Katon uparcie nie pozwolił senatowi wysłać przeciw buntownikom odpowiedniego człowieka. Czy sądzisz, że tym razem będzie inaczej?

- Być może - odpowiedział Cynna. - Katon ma posiadłości na północy i to jasne, że się o nie boi. Poza tym niewolnicy mogą zawrócić na południe i zaatakować miasto. Chyba nie jest takim idiotą, by zignorować taką groźbę. Muszą tam wysłać ciebie, to jasne. Na szczęście, od kiedy wróciły legiony z Grecji, dysponujemy większą siłą.

- No, przyszedł konsul. Musi założyć weto przeciw Katonowi,

jeżeli ten gruby głupiec się wtrąci. Tym razem nie chodzi o rozgrywki między nami. Chodzi o bezpieczeństwo północy. Bezpieczeństwo samego Rzymu.

Pompejusz zostawił ich i przepchnął się przez tłum senatorów, aby porozmawiać z konsulem.

Juliusz wiedział, że ten starszy mężczyzna został wybrany na urząd w ramach kompromisu między frakcjami senatu, i kiedy wódz odezwał się do niego, żywo gestykulując, widać było wyraźnie, że urzędnik jest zdenerwowany i przestraszony. Juliusz zmarszczył brwi, kiedy konsul odwrócił się od gestykulującego Pompejusza i wszedł na rostrę.

- Zajmijcie miejsca, senatorowie - konsul wezwał zebranych, następnie sprawnie odebrał

przysięgę, odchrząknął i zwrócił się do rzędów niespokojnych mężczyzn. - Zostaliście wezwani na nadzwyczajne spotkanie, aby rozważyć odpowiedź buntownikom. Mam

najświeższe doniesienia i te mogą nas zmartwić. Zaczęło się od buntu w szkole gladiatorów w Kapui. Najpierw zdawało się, że miejscowy pretor poradzi sobie z problemem, ale niestety.

Gladiatorzy zdołali zebrać armię niewolników i uciec na północ. Złu-pili wiele miast i majątków, zabili setki właścicieli i spalili wszystko, czego nie zdołali ukraść. Legat w Mutinie podjął walkę z niewolnikami i wygląda na to, że z całej załogi nikt nie przeżył.

Przerwał. Senatorowie, ci, którzy jeszcze o niczym nie wiedzieli, wstrzymali oddech, a następnie zakrzyknęli gniewnie. Konsul uniósł dłoń, by ich uspokoić.

- Senatorowie, takiego zagrożenia nie możemy zlekceważyć. Legiony w Ariminum dostały rozkaz obrony miasta, lecz po tym, jak Mutina padła, północ stoi otworem przed buntownikami. Szacunki, które mam, są różne, niemniej

trzydzieści tysięcy buntowników to całkiem realna liczba, a z każdym złupieniem kolejnego miasta ich szeregi rosną. Pewne jest to, że w Mutinie było ich więcej niż legionistów. Na ich drodze musi stanąć największa siła, jaką zbierzemy, choć nie można też zapomnieć o bezpieczeństwie naszych południowych granic. I chyba nie muszę mówić, że nie możemy wycofać załóg z miast Grecji, jeżeli nie chcemy ryzykować tam nowej rebelii. Obecnie nic nie wskazuje na to, by buntownicy

zamierzali się zwrócić przeciwko Rzymowi, ale jeśliby tak się stało, to do czasu, nim dojdą na południe, może dołączyć do nich następ-Rozdział XXXIV

383

ne osiemdziesiąt tysięcy niewolników. To poważne zagrożenie i nasza odpowiedź musi być szybka i ostateczna. Konsul spojrzał na Katona, potem na Pompejusza.

- Proszę, byście dla dobra miasta i rzymskich lądów chwilowo zapomnieli o wzajemnych pretensjach. Wzywam prowadzącego obrady, by wysłuchał odpowiedzi.

Konsul usiadł, ocierając nerwowo czoło, najwyraźniej zadowolony, że może przekazać sprawy innemu. Prowadzący zajmował swoje stanowisko od wielu lat i wieloletnie

doświadczenie nauczyło go zachowywać dystans, który studził najgorętsze głowy. Odczekał

cierpliwie, aż zrobi się cicho, i wybrał pierwszego mówcę.

- Pompejuszu?

- Dziękuję. Senatorowie, proszę o powierzenie mi dowództwa nad legionami, które zostaną wysłane przeciw rebeliantom. Przemawia za mną moja przeszłość, tak samo jak

moje umiejętności, i zachęcam was do szybkiego głosowania. Każdy żołnierz Rzymu, przebywający w obrębie setek mil, został wezwany do powrotu do miasta. Za tydzień

powinniśmy zgromadzić armię sześciu legionów, z kolejnymi dwoma, kiedy dotrzemy do Ariminum. Przy naszej zwłoce armia niewolników będzie powiększać swoje szeregi z dnia na

dzień, aż w końcu nie da się jej powstrzymać. Pamiętajmy, senatorowie, że tamci są liczniejsi od nas, nawet w naszych domach. Obdarzcie mnie dowództwem, a ja ich zniszczę w imię senatu.

Pompejusz usiadł. Jedne ławy odpowiedziały owacją, inne tupaniem. Nie zareagował na hałas wpatrzony w Katona, który podniósł się powoli, czerwony na twarzy.

- Będzie przemawiał Katon - oznajmił przewodniczący.

- Przeszłość Pompejusza jest faktycznie przeszłością bez skazy - zaczął Katon, uśmiechając się do senatora, który siedział z kamienną twarzą na ławach po drugiej stronie. - Zgadzam się z nim, że należy zebrać odpowiednie siły i niech te siły uderzą szybko, zanim ogień rebelii podpali północ. Jednak uważam, że można by wybrać innych dowódców, takich, którzy mają stopień wodza i doświadczenie w walkach dla Rzymu. Moim zdaniem człowiek, który sam wysuwa swoją kandydaturę, niekoniecznie

musi być odpowiedni do takiej roli. Lepiej będzie, jeśli tak trudnym zadaniem obarczymy wodza, którego zaakceptują wszyscy. Przyznaję, że zważywszy na świeżą historię naszego miasta, skwapli-wość Pompejusza wprawia mnie w zakłopotanie, dlatego proponowałbym, by dowództwo przekazać Lepidusowi, wodzowi, który dopiero co wrócił z Grecji. - Usiadł, nim rozbrzmiały gniewne okrzyki i wszczęto rozmowy, i nim jedna frakcja zaczęła obrażać drugą.

- Ciszej, obywatele. Nie złością służycie Rzymowi - rzucił ponad głowami przewodniczący i w ławach na powrót zapanował spokój. Rozejrzał się dokoła, po siedzących senatorach, i skinął Juliuszowi, który wstał już pod koniec wystąpienia Katona.

- Byłem świadkiem ostrożności Lepidusa wysłanego przeciw Mitrydatesowi. Nie zdążył

nawiązać walki i kiedy go spotkałem i przekazałem ciało greckiego króla, był wciąż niedaleko od wybrzeża. Widziałem za dużo tego rodzaju kompromisów w tym senacie.

Lepidus to marny wybór w sytuacji, kiedy trzeba posuwać się szybko i zgnieść bunt, zanim przestaniemy nad nim panować. Musimy odłożyć na bok wzajemne uprzedzenia frakcji i nagrodzić dowództwem tego, kto osiągnie najwięcej i najszybciej. Tym kimś jest Pompejusz.

Przewodniczący skinął potakująco głową, odstępując od typowej dla niego bezstronności, lecz natychmiast był zmuszony oddać głos Katonowi.

- Martwi mnie to, senatorowie, że wspólne zagrożenie jest wykorzystywane jako zasłona dla osobistych ambicji. Nie musimy się bać Lepidusa, kiedy stłumi rebelię, natomiast Pompejusz być może już w tej chwili wybiega myślą w przyszłość. Oddam głos na Lepidusa.

- Piorunując Juliusza spojrzeniem, opuścił się ostrożnie na swoje miejsce.

- Czy są inni kandydaci? Jeżeli tak, niech wstaną albo przystąpimy do głosowania. -

Przewodniczący czekał, omiatając wzrokiem rzędy.

Krassus wstał sztywno, ignorując zdziwione spojrzenia stronników Katona. Otrzyma wszy pozwolenie na zabranie głosu, skrzyżował dłonie za plecami, jak nauczyciel przemawiający do uczniów.

Rozdział XXXIV

385

- Senatorowie, obawiam się, że polityka doprowadzi nas do złych wyborów dla Rzymu. Nie wiem, kto wygra głosowanie, Pompejusz czy Lepidus, lecz jeśli ten drugi, to nasz wybór będzie naszą katastrofą. Wysuwam swoją kandydaturę, jako trzecią, aby zapobiec

marnowaniu ludzkiego życia, bo jakiż inny może być rezultat, kiedy złożymy dowództwo w

ręce Lepidusa. Chociaż w ostatnich latach poświęciłem się interesom, by zyskać wasze poparcie pozwolę sobie wspomnieć na własną przeszłość w legionach.

Kiedy Krassus usiadł, wszystkie rzędy jeszcze raz zawrzały gorączką rozmów. Pompejusz był

zdumiony deklaracją przyjaciela i usiłował podchwycić jego spojrzenie, lecz Krassus wyraźnie odwracał głowę. Kiedy hałasy przycichły, Pompejusz -wstał, nieświadomie

zaciskając obie pięści.

- Wycofuję swoje imię na rzecz Krassusa - oświadczył z goryczą.

- Zatem bez dalszej zwłoki przystępujemy do głosowania. Wstańcie, senatorowie, zgodnie z waszym wyborem - powiedział przewodniczący, równie zaskoczony obrotem

sprawy jak inni. Odczekał kilka chwil, dając senatorom czas do namysłu, potem przystąpił do wywoływania imion. - Lepidus!

Juliusz wykręcił szyję, tak samo jak wszyscy, którzy pozostali na swoich miejscach, aby policzyć tych, którzy wstali, i odetchnął z satysfakcją. Lepidus nie przeszedł.

- Krassus! - powiedział gromko przewodniczący, uśmiechając się.

Juliusz wstał, wraz z Pompejuszem i innymi, którzy uznali wybór za słuszny. Przewodniczący skinął na konsula. Mężczyzna podniósł się i uchwycił brzegu rostry.

- Na wodza północnych armii został wyznaczony Krassus. To on ma stawić czoło rebelii i to on ma ją zgnieść całkowicie - oświadczył.

Teraz wstał Krassus, aby podziękować senatorom.

- Zrobię, co będzie w mojej mocy, aby uchronić przed katastrofą nasze ziemie i miasto, senatorowie. Wyruszę przeciwko buntownikom natychmiast, gdy tylko legiony zbiorą się na Polu Marsowym. - Przerwał i chytrze się uśmiechnął. - Pozostawię legatów

na ich miejscach, lecz muszę mieć zastępcę, na wypadek gdybym zginął. Mianuję nim

Gnejusza Pompejusza.

Zewsząd posypały się jednakowo przekleństwa, jak i okrzyki zadowolenia. Juliusz zaśmiał się głośno, ubawiony takim posunięciem. Krassus kiwnął mu głową, z jednakowym uznaniem dla niego i dla siebie.

- Spokój! - zagrzmiał przewodniczący, tracąc w końcu cierpliwość.

Głosy przycichły pod jego ostrym spojrzeniem, ale pomału.

- Musimy przejść do szczegółów, senatorowie - powiedział konsul, wpatrując się w swoje zapiski. - Nasi posłańcy donoszą, że niewolnicy wraz ze zdobyciem Mutiny zdobyli broń i wyposażenie legionistów. Jeden z naszych ludzi utrzymuje, że widział, jak gladiatorzy uczą niewolników walki na miecze i na oszczepy i jak ustawiają ich w szeregi, naśladując nasze formacje. Po Mutinie nie można ich nie doceniać. - Konsul polizał nerwowo palec i dalej przerzucał leżące przed nim płachty pergaminów.

- Czy mają dowódców? - zapytał Pompejusz. Konsul kiwnął głową.

- Wygląda na to, że struktury ich armii przypominają strukturę naszych legionów. Gdzieś tutaj mam wiadomość od właściciela kwater, z których uciekli gladiatorzy.

Senatorowie czekali spokojnie, aż konsul znajdzie poszukiwany dokument.

- Tak, było ich siedemdziesięciu. Zabito wszystkich strażników. Tamtejsi niewolnicy poszli z nimi, chociaż czy z własnej woli, czy pod przymusem, ten człowiek nie wie. On sam ledwo uszedł z życiem. Wygląda na to, że to gladiatorzy weszli w rolę dowódców.

- Kto przewodzi temu motłochowi? - dociekał Pompejusz, nie dbając o to, że jego ciekawość i ton potwierdzają fikcję

przywództwa Krassusa.

Konsul znów polizał palec i znów przerzucił parę pergaminów.

- Tak, już wiem. Przewodzi im gladiator o imieniu Spartakus, Trak. To od niego wszystko się zaczęło i to za nim poszła cała reszta. Nie mam tu nic więcej, ale w miarę napływu jakichkolwiek wieści będę je przekazywał Krassusowi.

Rozdział XXXIV

387

- Za pozwoleniem, senatorowie, chciałbym opuścić zgromadzenie razem z moim zastępcą, aby przygotować się do marszu, który nas czeka - powiedział Krassus. Kiedy się odwracał, popukał palcem w ramię Juliusza. - Chcę, by Pierworodni byli z nami, kiedy będziemy wyruszać, Juliuszu - powiedział cicho.

- Będą gotowi - obiecał Juliusz.

Krassus leżał w ciepłej kąpieli, pozbywając się trudów całego dnia. Na dworze szybko ściemniało, lecz pokój kąpielowy oświetlały łagodnie migoczące płomienie lamp i kaganków, a powietrze było ciężkie od parującej wody. Oparł ramiona na marmurowych brzegach, czując przyjemny chłód na skórze. Woda podeszła mu pod szyję, ale na gładkim kamiennym siedzeniu pod powierzchnią mógł całkowicie odpocząć. Oddychał powoli, zastanawiając się, dlaczego kąpiel w jego domu nigdy nie przynosi mu tyle ukojenia.

Serwilia siedziała naprzeciw niego naga, cała pod wodą, poza ramionami i głową. Kiedy się poruszyła, nabrzmiałe łuki jej piersi wychyliły się na powierzchnię na krótki zwodniczy moment, nim znów zsunęły się w dół, przesłonięte przez opary słodkich olejków, które wlała do wody. Serwilia wiedziała, że tego właśnie potrzebuje Krassus, kiedy przychodzi do niej od tych swoich wodzów, zmęczony i zirytowany. Gdy jej palce rozmasowywały bolesne

stwardniałe mięśnie na jego karku, jeszcze zanim wszedł do głębokiego basenu,

wpuszczonego w podłogę w prywatnej części jej domu, wszystko inne odchodziło w

niepamięć. Zawsze umiała wyczuć jego nastrój.

Obserwowała, jak napięcie dnia opuszcza Krassusa, rozbawiona jego westchnieniami i jękami. Wiedziała coś, o co prawie nikt nawet nie podejrzewał starzejącego się senatora; wiedziała, że był potwornie samotnym mężczyzną, który zgromadził fortunę i wpływy bez uciekania się do pomocy przyjaciół z młodości. Rzadko prosił ją o cokolwiek innego poza okazją do prywatnej rozmowy, chociaż wiedziała, że widok jej nagości wciąż może go pobudzić, jeśli ona na to pozwoli. To był wygodny związek, bez krępującego dbania o zapłatę, która zepsułaby ich intymność. On nie złoto jej ofiarowywał, lecz rozmowy, chociaż to drugie czasami było więcej warte od pierwszego.

Tłuste krople lśniły na powierzchni wody i Serwilia tropiła palcem ich wzór, -wiedząc, że cieszy go sam jej widok.

- Przywróciłeś do życia Pierworodnych - powiedziała. - Mój syn jest niezwykle dumny z ludzi, których pozyskał dzięki imieniu legionu.

Twarz Krassusa rozjaśnił powolny uśmiech.

- Gdybyś znała Mariusza, zrozumiałabyś, dlaczego to mi sprawiło tyle przyjemności.

Postanowił przemilczeć udział Pompejusza i Cynny w całym przedsięwzięciu, woląc nie słyszeć ich imion w jej domu. To była jeszcze jedna rzecz, którą ona rozumiała bez zbędnych, słów.

Serwilia podniosła się z wody, kładąc szczupłe ramiona na brzegach i odsłaniając piersi. Była z nich bardzo dumna i poruszała się bez skrępowania. Krassus uśmiechnął się z uznaniem, czując się przy niej całkowicie swobodnie.

- Byłem trochę zaskoczony, kiedy mi doniesiono, że przekazał dowództwo Juliuszowi -

powiedział.

Serwilia wzruszyła ramionami, co go zafascynowało.

- On go kocha - odrzekła. - Rzym to szczęśliwe miasto, jeśli ma takich synów jak ci dwaj.

- Katonowi się to nie podoba, moja droga. Musisz na niego uważać.

- Wiem, Krassusie. Oni obaj są tacy młodzi. Zbyt młodzi, by widzieć niebezpieczeństwo choćby w zaciąganiu długów.

Krassus westchnął.

- Przyszłaś do mnie po pomoc, pamiętasz? Nie zakreśliłem limitu na wydatki na

Pierworodnych. Czy każesz mi anulować dług? Zostałbym wyśmiany.

- Za dźwignięcie legionu Mariusza z popiołów? Nigdy. Postąpiłeś jak mąż stanu, Krassusie; oni będą o tym pamiętać. To był szlachetny czyn.

Krassus zaśmiał się cicho, opierając głowę na chłodnym marmurze i wpatrując się w sufit, pod którym zawisły gęste obłoki pary.

- Najwyraźniej mi schlebiasz, nie zdaje ci się? Mimo całej przyjemności, której mi dostarczyło ponowne wciągnięcie Pierworodnych na listę legionów, nie mówimy o małej sumie.

Rozdział XXXIV

389

- Myślisz, że Juliusz mógłby spłacić dług? Ma dość złota, by to zrobić. - Kiedy powietrze schłodziło jej skórę, zadrżała lekko i znów osunęła się w wodę. - Byłoby o wiele lepiej, gdybyś zrobił z tego podarunek. Tak okazałym gestem zawstydziłbyś wszystkie miernoty w senacie. Wiem, że nie dbasz o nic poza pieniędzmi, Krassusie, i wiem, że dlatego masz ich tak dużo. Pieniądze dają wpływy, a to jest coś, co bardzo kochasz. Ale są jeszcze inne rodzaje długów. Ile razy

przekazywałam ci informacje, które wykorzystywałeś dla osobistych zysków?

Wzruszyła ramionami na własne pytanie i woda -wokół niej delikatnie się zmarszczyła.

Krassus z pewnym wysiłkiem uniósł głowę, pozwalając oczom nacieszyć się kobietą i jej ciałem. Serwilia uśmiechnęła się do niego.

- To część mojej przyjaźni. Pomagać ci od czasu do czasu to dla mnie czysta przyjemność.

Jeżeli podarujesz te pieniądze, mój syn zawsze będzie myślał o tobie życzliwie. Juliusz będzie cię wspierał w każdej sprawie. Takich ludzi się nie kupuje, Krassusie. Oni mają w sobie zbyt wiele dumy, ale darować dług? To szlachetny czyn, wiesz to równie dobrze jak ja.

- Cóż… pomyślę o tym - powiedział, zamykając oczy. Serwilia przyglądała mu się, kiedy zapadł w lekki sen, i woda

wokół niej zrobiła się chłodna. Uczyniłby wszystko, czego by zażądała. Jej własne myśli odpłynęły do Juliusza, którego zobaczyła na procesie. Taki silny młody mężczyzna. Kiedy jej syn przekazywał mu Pierworodnych, była ciekawa, czy obaj rozważyli dług zaciągnięty u Krassusa. Teraz te pieniądze już nie będą ciężarem. Dziwne, ale myśl o wdzięczności syna znaczyła dla niej mniej niż to, by Juliusz się dowiedział, że to ona stoi za tym podarunkiem.

Leniwie przesunęła dłońmi po brzuchu, na samo wspomnienie młodego Rzymianina o

dziwnych oczach. Miał w sobie siłę, która w ciele śpiącego Krassusa odbijała się zaledwie nikłym echem, chociaż to ten stary człowiek miał poprowadzić legiony na północ.

Do pokoju spowitego jedwabną ciszą wśliznęła się jedna z jej niewolnic, piękna dziewczyna, którą Serwilia uratowała z jakiegoś gospodarstwa na północy.

- Przybył twój syn, pani, razem z trybunem - szepnęła niewolnica.

Serwilia popatrzyła na Krassusa, a potem nakazała dziewczynie gestem, by zajęła jej miejsce.

Kiedy się obudzi, nie będzie zadowolony, że zostawiła go samego, a dziewczyna była wystarczająco ponętna, by nawet on się nią zainteresował.

Serwilia naciągnęła suknię na wilgotne ciało i przystając na chwilę przed wielkim lustrem osadzonym w ścianie odgarnęła z czoła wilgotne włosy. Na myśl, że wreszcie pozna Juliusza, poczuła lekki zawrót głowy i rozbawiona, uśmiechnęła się sama do siebie.

Brutus siedział z Juliuszem w komnacie, która niczym nie przypominała zbytku pomieszczeń w drugiej części domu, przeznaczonej dla klientów. Miejsce było urządzone prosto, a ściany pokrywała jasna barwna tkanina, która dawała poczucie ciepła. Na palenisku płonął ogień, rozsiewając wkoło złote światło. Młodzi mężczyźni poderwali się jednocześnie, by ją powitać.

- To miło móc cię w końcu poznać, Cezarze - powiedziała, wyciągając dłoń. Jej suknia przylegała do wilgotnej skóry właśnie tak, jak na to liczyła, a jego spojrzenie, kiedy starał się omijać ją wzrokiem, sprawiało jej przyjemność.

Juliusz był nią przytłoczony. Zastanawiał się, czy Brutusa martwi to, że wydaje się prawie naga, mimo cienkiej tkaniny, która pokrywała jej ciało. Widział, że wyszła z kąpieli, i puls mu przyspieszył na myśl, co się mogło dziać przed ich przybyciem. Nie jest piękna, pomyślał, ale kiedy się uśmiechnęła, jej zmysłowość, absolutnie bezpretensjonalna, uderzyła mu do głowy jak wino. Przypomniał sobie jak przez mgłę, że nie miał kobiety od nie wiadomo jak dawna, ale obie, z którymi się kochał, Kornelia czy Aleksandria, nie poruszyły nim tak łatwo, jak zrobiła to ta jedna.

Zaczerwienił się nieco, kiedy sięgnął do jej dłoni.

- Twój syn mówi o tobie z wielkim zachwytem. Cieszę się, że mogliśmy się spotkać, nawet na tak krótko. Właśnie wracam do domu. Przepraszam, nie mogę zostać dłużej.

- No tak, Pierworodnych trzeba ćwiczyć, jeśli mają stłumić rebelię - powiedziała i pokiwała głową. - Nie zatrzymuję ciebie, a sama powinnam wrócić do kąpieli. Pamiętaj tylko, że w razie potrzeby masz we mnie przyjaciela.

Juliusz się zastanawiał, czy w jej oczach, tych, które patrzyły na

L«.

Rozdział XXXIV

391

niego niezwykle ciepło, rzeczywiście pojawiła się obietnica. Miała głos niski i łagodny i mógłby się weń wsłuchiwać w nieskończoność. Nagle potrząsnął głową, jakby chciał się wyrwać spod jej uroku.

- Będę pamiętał - powiedział, żegnając ją lekkim skinieniem głowy.

Kiedy przeniosła wzrok na Brutusa, rzucił ukradkowe spojrzenie tam, gdzie linie wilgotnej sukni zataczały łuk na jej piersiach, i znów się zaczerwienił. Serwilia zauważyła spojrzenie i rumieniec i uśmiechnęła się, nie kryjąc zadowolenia.

- Musisz go tu znów przyprowadzić, Brutusie, jak tylko będziecie mieli więcej czasu. Wydaje mi się, że mój syn mówi z zachwytem również o tobie.

Juliusz popatrzył na przyjaciela, ale ten ściągnął brwi.

- Przyprowadzę - odpowiedział krótko i pokierował Juliuszem do wyjścia.

Serwilia została sama. Myśląc o młodym Rzymianinie, dotknęła palcami piersi. Twarde brodawki miały niewiele wspólnego z miękkim aksamitem jej skóry.

Mimo panujących na ulicach ciemności Brutus trafił do domu Aleksandrii bez trudu. W zbroi Pierworodnych stanowił niezbyt zachęcający cel dla opryszków, polujących na słabych i biednych. Otworzyła mu matka Oktawiana, Acja, wyraźnie przestraszona, lecz szybko go rozpoznała. Wszedł za nią do środka, zastanawiając się, jak wielu ludzi żyje w strachu przed

żołnierzami dobijającymi się w nocy do ich domów. Podczas gdy senatorowie otaczają się strażą, lud Rzymu nie ma innej obrony poza drzwiami, które ich odcinają od reszty miasta. ·

Brutusa krępowała obecność matki Oktawiana, przygotowującej wieczorny posiłek.

- Czy nie moglibyśmy porozmawiać bardziej prywatnie? - spytał Aleksandrię.

Dziewczyna spojrzała na otwarte drzwi do swojego pokoju i Acja, idąc za jej spojrzeniem, zacisnęła usta w wąską kreskę.

- Nie w moim domu - powiedziała, marszcząc brwi. - Nie jesteście mężem i żoną.

Brutus poczerwieniał.

-Jutro wyjeżdżam. Chciałem tylko…

- Och, tak, doskonale rozumiem, co chciałeś, ale w moim domu nie ma miejsca na takie rzeczy.

Acja wróciła do krojenia jarzyn, a Brutus i Aleksandria zaczęli się krztusić ze śmiechu, co wzmogło podejrzenia gospodyni.

- Wyszedłbyś ze mną na dwór, Brutusie? Jestem pewna, że na oczach sąsiadów Acja zechce ci zaufać. - Włożyła płaszcz i wyszła za nim w mrok, podczas gdy gospodyni, nieporuszona, wrzucała jarzyny do garnka.

Aleksandria wtuliła się w jego ramiona i owinięci oboje jej płaszczem pocałowali się.

Chociaż było ciemno, ulicami wciąż płynęły potoki ludzi. Brutus rozejrzał się dokoła ze złością. Wnęka drzwi nie dawała osłony przed wiatrem, nie mówiąc o prywatności, o której marzył.

- To śmieszne - powiedział, choć w rzeczywistości miał nadzieję właśnie na takie spotkanie, jakiego Acja zabraniała. Odjeżdżał, aby walczyć na odległych polach bitew, i ciepłe łóżko w noc poprzedzającą odjazd należało do dobrej żołnierskiej tradycji.

Aleksandria zachichotała i pocałowała go w szyję.

- Zasłoń nas moim płaszczem - szepnęła mu do ucha, wtuliła się w niego jeszcze bardziej i jedno zaczęło oddychać oddechem drugiego.

- Będzie mi ciebie brakowało - powiedział tęsknie. Musiał jedną ręką trzymać płaszcz, ale drugą wsunął pod stole, na ciepłe plecy dziewczyny.

Aleksandria wstrzymała oddech.

- Myślę, że Acja ma rację - szepnęła, nie chcąc, by czujne uszy kobiety cokolwiek usłyszały.

Szeroka męska dłoń zsunęła się na jej biodro i Aleksandria poczuła się tak, jakby była naga, a tłumy płynące przez ciemność jeszcze bardziej ją podniecały. Płaszcz był doskonałą ochroną przed chłodem, więc, by się z nich nie zsunął, należało trzymać się Brutusa z całych sił.

Legionista miał jak zwykle gołe uda i ona, zdziwiona własną odwagą, położyła na nich dłonie.

- Powinnam ją zawołać, by mnie obroniła przed tobą - powiedziała, przesuwając dłonie wyżej i rozwiązując rzemienie zbroi.

Rozdział XXXIV

393

Brutus jęknął cicho, czując ciepły dotyk pod zimnym metalem. Rozejrzał się dokoła, czy nikt niczego nie zauważa. Tłumy płynęły obojętnie w ciemności jak cienie i nagle przestał się przejmować, czy ktoś ich widzi, czy nie.

- Chcę, byś mnie pamiętał, kiedy będziesz daleko, Brutusie, i byś nie wodził tęsknym wzrokiem za obozowymi prostytutkami — szepnęła. - Musimy doprowadzić do końca dawno zaczętą rzecz, ty i ja.

- Nie sądziłem… och, bogowie. Pragnąłem ciebie od lat! Rozwiązał jej stole, wszedł w nią i łatwo dźwignął w górę

niewielki ciężar. Przywarli razem do drzwi, nieświadomi nikogo i niczego. Tłum pędził i roztrącał się nawzajem obok

nich, ale kiedy nikt się nie zatrzymał, zawierzyli nocy i dali się jej pochłonąć.

Aleksandria, zagryzając usta, zaciskała płaszcz wokół obojga ciaśniej i ciaśniej i metalowy napierśnik wpijał się w nią bardziej i bardziej, ale nie czuła żadnej niewygody, a tylko ciepło jego ciała wewnątrz siebie i jego szybki gorący oddech na swoich dyszących ustach.

Wydawało się, że minęła wieczność, nim uświadomili sobie zesztywniałe mięśnie i zimno.

Aleksandria cicho westchnęła, kiedy opuścił jej ciało. Brutus stanął tuż obok, w

ciemnościach, i gładził skórę, której nie widział, z czymś w rodzaju zdziwienia. Przysunął

oczy do oczu Aleksandrii. Mimo jej całej zaczepnej pewności siebie była w nich jakaś słabość. Ale to nie miało znaczenia. Nie chciał jej zranić. Usiłował znaleźć słowa, by powiedzieć, co dla niego znaczy, lecz położyła mu dłoń na ustach.

- Szsz… ja wiem. Po prostu wróć do mnie, mój przystojny mężczyzno. Po prostu wróć.

Poprawiła płaszcz, by przykryć nieład pod spodem i, po tym jak go pocałowała ostatni raz, otworzyła drzwi i zniknęła za nimi, zostawiając go samego.

Brutus przez chwilę doprowadzał się do porządku, by idąc ulicami, wyglądać w miarę przyzwoicie. Od jej dotyku drgał w nim każdy nerw i Brutus czuł, jak po tym, co się wydarzyło, pulsuje w nim nowe życie i nowa energia. Ruszył lekkim, zawadiackim krokiem i pomaszerował prosto do obozu Pierworodnych.

ROZDZIAŁ XXXV

Zachłystując się zimnym powietrzem, Juliusz się odwrócił, aby popatrzeć za siebie, na błyszczące serpentyny Via Flaminia, poniżej wysokiej przełęczy. Pierwsze trzy dni - nim zaczął odzyskiwać sprawność, z którą przemierzył Grecję -

okazały się ciężkie, ale teraz nogi mu stwardniały w supły mięśni i znajdował przyjemność w prostym wysiłku ciała, które wydawało się niestrudzone. Koniec dziesiątego przyniósł mu prawdziwą radość z marszu do Arimi-num, z wojskiem legionów za plecami. Każdego wieczoru w rozłożonym na noc

obozie ćwiczył walkę gladiusem pod okiem doświadczonych nauczycieli wojennego

rzemiosła, których zabrał w drogę Krassus, i choć wiedział, że nigdy nie będzie najlepszy, nadgarstki rozciągały mu się z dnia na dzień i tylko miecz któregoś z nauczycieli mógł się przebić przez jego obronę.

Wiatr powiał wzdłuż maszerującej kolumny i Juliusz zadrżał lekko. Chociaż widział wiele różnych krajów, zimno wyniosłych Apeninów nie było mu znane i znosił je z grymasem niechęci, która jak w lustrach odbijała się w twarzach -wielu jego żołnierzy.

Juliusz pociągnął spory łyk ze skórzanego, dźwiganego na ramionach worka, aby spłukać smak kurzu w gardle. Kolumna zatrzymywała się tylko dwa razy na dzień: krótko w południe i potem na wieczorny postój, który się zaczynał od trzech godzin wyczerpującej pracy przy zakładaniu obozu i wyznaczaniu jego granic na wypadek zasadzki czy ataku. Popatrzył za siebie raz jeszcze, na kolumnę, i zdumiał się jej długością. Z wysokiej przełęczy między jednym a drugim szczytem widział olbrzymie

ROZDZIAŁ XXXV

/-jachłystując się zimnym powietrzem, Juliusz się odwrócił, aby popatrzeć za siebie, na błyszczące serpentyny Via Flaminia, poniżej wysokiej przełęczy. Pierwsze trzy dni - nim zaczął odzyskiwać sprawność, z którą przemierzył Grecję - okazały się ciężkie, ale teraz nogi mu stwardniały w supły mięśni i znajdował przyjemność w prostym wysiłku ciała, które wydawało się niestrudzone. Koniec dziesiątego przyniósł mu prawdziwą radość z marszu do Arimi-num, z wojskiem legionów za plecami. Każdego wieczoru w rozłożonym na noc

obozie ćwiczył walkę gladiusem pod okiem doświadczonych nauczycieli wojennego

rzemiosła, których zabrał w drogę Krassus, i choć wiedział, że nigdy nie będzie najlepszy, nadgarstki rozciągały mu się z dnia na dzień i tylko miecz któregoś z nauczycieli mógł się przebić przez jego obronę.

Wiatr powiał wzdłuż maszerującej kolumny i Juliusz zadrżał lekko. Chociaż widział wiele różnych krajów, zimno wyniosłych Apeninów nie było mu znane i znosił je z grymasem niechęci, która jak w lustrach odbijała się w twarzach wielu jego żołnierzy.

Juliusz pociągnął spory łyk ze skórzanego, dźwiganego na ramionach worka, aby spłukać smak kurzu w gardle. Kolumna zatrzymywała się tylko dwa razy na dzień: krótko w południe i potem na wieczorny postój, który się zaczynał od trzech godzin wyczerpującej pracy przy zakładaniu obozu i wyznaczaniu jego granic na wypadek zasadzki czy ataku. Popatrzył za

siebie raz jeszcze, na kolumnę, i zdumiał się jej długością. Z wysokiej przełęczy między jednym a drugim szczytem widział olbrzymie

Rozdział XXXV

przestrzenie, ale niewidoczne tylne straże jazdy były za nimi dalej niż trzydzieści mil. Krassus wymuszał szybki krok, dwadzieścia pięć mil od świtu do zmierzchu, co znaczyło, że ci na tyłach byli

0 dzień za pierwszymi szeregami i mogli się z nimi zrównać dopiero w Ariminum. Każdy postój musiał być sygnalizowany przez trębaczy, i głosy rogów niosły się wzdłuż kolumny coraz ciszej i ciszej, aż cichły zupełnie.

Przednie straże tworzyli doborowi jeźdźcy dosiadający najsilniejszych legionowych koni.

Juliusz przypuszczał, że straże, przeczesując okoliczne stoki wzdłuż i wszerz, pokonywały trzy lub cztery razy dłuższy dystans niż maszerująca kolumna. To była taktyka typowa i niezbędna, wiedział o tym, chociaż zaatakować kolumnę tak silną jak ich odważyłby się chyba tylko samobójca.

Na czele szedł legion wybierany każdego dnia w drodze losowania. Wobec niepełnego składu Pierworodni nie mogli brać udziału w zmianach i ich szeregi pozostawały dziesięć mil z tyłu, niewidoczne ze środka kolumny. Juliusz był ciekaw, co Brutus

1 Reniusz myślą o marszu. I co sądzi Kabera, starszy nawet od paru weteranów Juliusza, którzy walczyli w Grecji przeciwko Mitry-datesowi. W Rzymie Juliusz uważał, że powinien znaleźć się blisko Krassusa, lecz teraz tęsknił za przyjaciółmi i nadaremnie wytężał oczy, by w powodzi innych proporców dostrzec orła Pierworodnych. Obserwował, jak jazda legionowa wysuwa się przed szeregi niby afrykańskie mrówki-zwiadowcy, zawsze wypatrujące ataku i gotowe powstrzymać nieprzyjaciela, nim cała armia stanie w formacji bojowej.

Juliusz maszerował z przednimi strażami, na odległość głosu od Krassusa i Pompejusza, którzy jechali spacerowym krokiem obok trzonu armii. Wyprzedzało ich ponad cztery tysiące żołnierzy i każdego dnia, kiedy odtrąbiono postój na noc, nim dotarli do czołówki, główny obóz był rozłożony i namioty postawione. I kiedy reszta wznosiła wokół nich umocnienia ziemne, zdolne powstrzymać prawie wszystko i każdego, oni już zasiadali do rozmów i do wieczornego posiłku.

Każdego wieczoru wszystkie trzy obozy oznaczano proporcami i zawsze w ten sam sposób.

Każdego wieczoru, do czasu nim słońce zniknęło za ostatnią górską granią, sześć legionów zdążyło

się zamknąć w sześciu wielkich czworobokach poprzecinanych arterią dróg; wyglądało to tak, jakby z niczego wyrosły na górskim odludziu miasta. Juliusza zdumiewała sprawność

organizacyjna, która dla starych żołnierzy była czymś oczywistym. Każdej nocy wraz z innymi najpierw wbijał w twardy grunt żelazne kołki do namiotów, następnie dołączał do

jednostek kopiących rowy i wznoszących mur ziemnych obwarowań, niedostępnych z

zewnątrz poza czterema bramami, których strzegły straże i hasła. Chociaż jego nauczyciele z dzieciństwa nauczyli go wielu rzeczy o życiu i taktyce legionów, rzeczywistość okazała się fascynująca i nie trzeba było wielu dni marszu, by Juliusz zrozumiał, że u podstaw ich potęgi leżą błędy popełniane w przeszłości i wypływająca z nich nauka. Gdyby Mitrydates

zabezpieczył granice swojego obozu tak, jak to się robiło tutaj, on i jego weterani wciąż jeszcze tkwiliby w Grecji i szukali sposobu na pokonanie greckiego króla.

Kamienna Via Flaminia biegła wąskim wąwozem między dwoma piarżystymi stokami.

Chociaż światło dnia już przygasło, Juliusz zgadywał, że Krassus poprowadzi żołnierzy dalej, aż przednie straże dotrą do miejsca bardziej równego i na tyle szerokiego, by dało się rozbić pierwszy obóz. Reszta będzie musiała zawrócić na równinę poniżej, przez zwykłą

przezorność, i poza strażami i doborowymi jeźdźcami na przełęczy nie miało być nikogo. Bez względu na okoliczności legiony nie mogły być zaskoczone przez wroga, tego się nauczono ponad sto lat temu, w bitwach na równinach z Hannibalem. Juliusz pamiętał podziw Mariusza dla dawnego wroga. A przecież i Kartagińczyk w końcu poległ, pokonany przez Rzym.

Chociaż ta ziemia kiedyś była dzika, teraz góry przecinała szeroka kamienna Via Flaminia.

Co dwadzieścia mil znaczyły ją strażnice, do których przytulały się wioski, i ludzie czuli się bezpieczniej w cieniu Rzymu. Wielu znalazło stałe zajęcie w utrzymywaniu drogi i czasami Juliusz widział grupy kamieniarzy, z tępą obojętnością godzących się na nie zapowiedzianą przerwę w pracy.

Przy innych okazjach Juliusz mijał grupy kupców, zmuszonych ustąpić z drogi, którzy przyglądali się żołnierzom z respektem, choć bardziej ze złością. Podczas przemarszu

legionów nie mogli ruszyć ku Rzymowi i ci, którzy wieźli szybko psujące się towary, Rozdział XXXV

z ponurą miną przeliczali w myślach przyszłe straty. Legioniści ignorowali kupców. To ich grzbiety dźwigały kamienie i ich ręce budowały szlaki kupieckie i to oni mieli prawo korzystania z nich przed każdym innym.

Juliusz żałował, że nie ma z nim Tubruka. W młodości stary gladiator pokonywał tę samą drogę przez góry i rozległe równiny północy, tam gdzie Krassus spodziewał się napotkać armię niewolników, ale teraz chyba zarządca majątku nie chciałby uczestniczyć w nowej kampanii, nawet gdyby Juliusz oszczędził mu obowiązku pilnowania Kornelii.

Na myśl o rozstaniu Juliusz nieświadomie zacisnął usta. Wolałby nie odjeżdżać, zostawiając za sobą gorycz świeżej niezgody między nimi i wciąż nie wygasłego gniewu, nie mógł jednak nie dołączyć w porę do Pierworodnych, zgromadzonych pośród innych legionów na Polu Marsowym i gotowych do marszu na północ.

Wspomnienia z czasu, kiedy pierwszy raz zostawiał Rzym za sobą, wciąż raniły mu serce.

Rzym płonął za nim na horyzoncie, a ludzie Sulli polowali na resztki Pierworodnych. Juliusz się skrzywił. Legion żyje, podczas gdy po dyktatorze została garstka prochu.

Proces w pewnej mierze przywrócił miastu imię Mariusza, lecz Juliusz wiedział, że dopóki żyją przyjaciele Sulli i dopóki uprawiają swoje mściwe gry w senacie, nie potrafi zbudować Rzymu na miarę zamysłów wielkiego wodza. Katon mógł się czuć dość bezpiecznie, dopóki jego przeciwnicy przemierzają pola bitewne, lecz po powrocie Juliusz zjednoczy swoje siły z Pompejuszem, aby go wreszcie zniszczyć. Wódz rozumiał taką potrzebę, tak samo kilku innych. Przez chwilę Juliusz zatrzymał się myślą przy synu Katona, rozważając jego los.

Nietrudno byłoby wysyłać chłopaka do pierwszego szeregu podczas każdego ataku, tak długo, aż go zabiją, ale to by było

niegodne zwycięstwo. Przysiągł sobie, że jeżeli Ger-miniusz umrze, to tylko przez zwykłe zrządzenie losu, będzie to zwykła żołnierska śmierć. Córkę Pompejusza znaleziono z imieniem Sulli wypisanym na glinianej skorupce, którą dziecko trzymało w woskowo bladej piąstce, lecz Juliusz nie chciał się zniżać do zabijania niewinnych, choć nie miałby nic przeciwko temu, by niepokój o syna zabił Katona, a przynajmniej odebrał mu sen, dopóki oni walczą za Rzym.

Najpierw czekają ich długie, gorzkie miesiące kampanii. Juliusz wiedział, że będzie miał

szczęście, jeżeli zobaczy mury swojego miasta wcześniej niż za rok. Musi być cierpliwy. Jego majątek zdoła zdobyć jedynie armia, a ojciec Kornelii, Cynna, został w senacie, aby przeciwstawiać się Katonowi. Utworzyli ciche przymierze i Juliusz wiedział, że biorąc pod uwagę siłę Pompejusza i bogactwo Krassusa, niewiele jest rzeczy, których nie potrafiliby osiągnąć.

Dzień już dogasał i trębacze zadęli sygnał do postoju. Juliusz znalazł się po drugiej stronie przełęczy i spojrzał przed siebie. Via Flaminia schodziła w dół, w głęboką dolinę, by po przecięciu jej wpełznąć na odległy czarny wierzchołek, co, jak mówiono, miało być dla armii ostatnią wspinaczką przed Ariminum. Żałował, że nie może tego zobaczyć Brutus, czy choćby Kabera, który podróżował z posiłkami zamykającymi całą kolumnę. Jemu stopień trybuna pozwalał zajmować pozycję blisko czoła, lecz marsz w szyku bojowym nie pozwalał

na kontakt z przyjaciółmi.

Razem z zachodem słońca pierwsze straże zajęły pozycje, starym zwyczajem zostawiając tarcze w jednostkach. W poszarpanym krajobrazie zapanował ład i porządek. Tysiąc żołnierzy szybko się posiliło i położyło w miniaturowym mieście, wzniesionym własnymi rękami.

Przez noc budzono ich kolejno, aby stanęli na straży i zastąpili tych, którzy wyziębieni górskim chłodem wracali do ciepłych namiotów.

Juliusz zajął swoją pozycję, patrząc ponad ziemnymi obwarowaniami na surową ziemię za nimi. Przyjął drewniany kwadrat z rąk centuriona i zapamiętał wycięte na nim hasło.

Zostawiono go samego pośród ciemnej nocy, z uśpionym za jego plecami obozem.

Uśmiechnął się drwiąco; zrozumiał, dlaczego strażom zabraniano używania tarczy - najpierw oparłby na niej ramiona, potem głowę na ramionach i zapadłby w drzemkę. Wytężając uwagę i wsłuchując się w każdy szelest, zastanawiał się, jak dawno temu znaleziono śpiącego w ten sposób żołnierza. Współtowarzysze z namiotu pobili go na śmierć i od tamtej pory taka kara powstrzymywała przed zamknięciem oczu nawet najbardziej znużonego wartownika.

Jego godzina minęła spokojnie i Juliusz zamienił się miejscem z innym z namiotu. Marząc o szybkim zaśnięciu, zamknął oczy i wsłuchał się w chrapanie innych legionistów. Nietrudno było so-Rozdział XXXV

bie wyobrazić, że nie ma siły na świecie zdolnej wpędzić w kłopoty rozległe szyki potęgi, z którą Krassus maszerował z Rzymu na północ. Kiedy odpływał w sen, zdążył pomyśleć, że jest nadzieja, by on i Brutus mieli okazję rozsławić imię Pierworodnych w zbliżającym się starciu. Problemy z Kornelią i Katonem wydały mu się odległe.

Oktawian piskliwym głosem rzucił wyzwanie mrowiu otaczających go wrogów. Oni jeszcze nie wiedzą, że mają do czynienia z urodzonym wojownikiem i że od jego ciosu umrze każdy, z imieniem matki na ustach. Rzucił oszczepem w przywódcę, który w jego rozgorączkowanej wyobraźni był bardzo podobny do terminatora rzeźnika. Żołnierz wroga upadł i Oktawian przysunął ucho do zakrwawionych ust, żeby usłyszeć jego ostatnie słowa.

- Walczyłem w setkach bitew, ale nigdy nie spotkałem tak zręcznego przeciwnika -

wyszeptał żołnierz z ostatnim oddechem.

Oktawian krzyknął triumfalnie i obiegł stajnie, wywijając nad głową ciężkim gladiusem.

Znienacka, zza pleców, capnęła go za nadgarstek silna dłoń i chłopiec krzyknął przestraszony.

- Co ty sobie myślisz, ganiając po podwórzu z moim mieczem? - zapytał Tubruk, sapiąc nad nim ze złości.

Oktawian zacisnął powieki i wtulił głowę w ramiona, oczekując ciosu, a kiedy niczego nie poczuł, ostrożnie spojrzał do góry. Stary gladiator wciąż mierzył go wściekłym wzrokiem, czekając na odpowiedź.

- Przepraszam, Tubruku. Ja go tylko pożyczyłem, żeby trochę poćwiczyć.

Wciąż ściskając nadgarstek chłopca, Tubruk wyjął miecz z nie stawiających sprzeciwu palców. Podniósł broń, popatrzył na ostrze i zaklął. Oktawian odskoczył w bok. Oczy chłopca, na widok wykrzywionej gniewem twarzy starego, rozszerzyły się ze strachu. Nie spodziewał się powrotu zarządcy z pól przez najbliższe parę godzin, a do tego czasu miecz znalazłby się na swoim miejscu.

- Popatrz na to! Czy masz jakiekolwiek pojęcie, jak długo potrwa ponowne naostrzenie krawędzi? Nie, oczywiście że nie. Jesteś małym beznadziejnym głupcem, któremu się zdaje, że może kraść wszystko, na co ma ochotę.

Do oczu Oktawiana napłynęły łzy. Niczego tak nie pragnął, jak

pochwały gladiatora, a rozczarowanie tego mężczyzny było gorsze od bólu.

- Przepraszam. Chciałem go tylko pożyczyć. Naostrzę krawędzie tak, że nie zobaczysz najdrobniejszej rysy.

Tubruk jeszcze raz popatrzył na ostrze.

- Nic nie rozumiem. Czy ty celowo go tak stępiłeś? To się nie da naostrzyć. Trzeba go całkowicie wypolerować albo, co gorsza, wyrzucić na śmietnik. Walczyłem tym mieczem na arenie, jako gladiator, i w trzech wojnach, jako żołnierz, tylko po to, by taki bezmyślny chłopiec, który nie potrafi trzymać rąk z daleka od cudzej własności, zniszczył go w godzinę?

Tym razem posunąłeś się za daleko, przysięgam.

Zbyt rozgniewany, by mówić dalej, Tubruk cisnął mieczem

0 ziemię i wypadł ze stajni, zostawiając pochlipującego chłopca sam na sam z własnym nieszczęściem.

Oktawian schwycił broń i przeciągnął kciukiem po krawędzi; była w kilku miejscach

pofalowana. Pomyślał, że jak uda mu się znaleźć dostatecznie ostry kamień i zniknąć z majątku na kilka godzin, to do czasu, kiedy wróci, Tubruk zdąży się uspokoić, a on odda mu miecz. Wyobraził sobie scenę wręczania staremu gladiatorowi świeżo naostrzonej broni.

„Myślałem, że tego nie da się zrobić!” - powie zdziwiony Tubruk, sprawdzając palcem krawędź. On sam będzie milczał, tylko zrobi skromną minę, a wtedy zarządca zmierzwi mu włosy

1 cały incydent pójdzie w niepamięć.

Sen na jawie przerwał powrót Tubruka. Oktawian, widząc w jego dłoni ciężki skórzany pas, z przerażenia upuścił miecz.

- Nie! Przecież przeprosiłem! Obiecuję wszystko naprawić - wrzasnął, ale Tubruk wyciągnął

go ze stajni i milcząc zawzięcie, powlókł przez podwórze.

Chłopiec nadaremnie szarpał się i wyrywał z uchwytu silnej męskiej ręki.

Chrząkając z wysiłku, Tubruk pchnął ciężką bramę.

- Powinienem to zrobić dawno temu. Oto droga powrotna do miasta. Radzę, byś się nią udał i obym cię więcej nie oglądał. Jeżeli zostaniesz, zbiję cię tak, że popamiętasz. No więc?

Idziesz czy zostajesz?

Rozdział XXXV

401

- Nie chcę iść, Tubruku! - krzyknął rozpaczliwie chłopiec. Tubruk zacisnął usta, głuchy na jego błagania.

- Zatem dobrze - powiedział ponuro, po czym chwycił Oktawiana za tunikę i przyłożył mu pasem po siedzeniu, z głośnym świstem, który poniósł się echem przez podwórza.

Oktawian raz jeszcze szarpnął się szaleńczo, chcąc uciec, i zaniósł się płaczem, ale Tubruk, obojętny na rozpacz dziecka, raz jeszcze podniósł pas.

- Tubruku! Przestań wreszcie! - powiedziała Kornelia. Wyszła z domu, by zbadać przyczynę zamieszania i hałasu,

i teraz stała naprzeciw nich z płonącym wzrokiem. Oktawianowi wystarczyła chwila, by wyrwać się Tubrukowi i przypaść do kobiety.

- Co on ci zrobił? - warknęła.

Zarządca majątku, zamiast odpowiedzieć, podszedł do niej, chcąc ponownie pochwycić swoją ofiarę. Oktawian, choć miał głowę wciśniętą w suknię Kornelii, wyczuł, co mu grozi, i

jednym susem skrył się za jej plecami. Kornelia odepchnęła Tubruka w nagłym przypływie energii.

- Skończ z tym natychmiast - zażądała. - Czy nie widzisz, że dzieciak jest wystraszony?

Tubruk potrząsnął głową.

- Kornelio, osłaniając go, wyrządzasz mu krzywdę na przyszłość. Chcę, by to zapamiętał i by to sobie przypomniał, kiedy następnym razem pomyśli, by coś ukraść.

Kornelia pochyliła się i ujęła dłonie Oktawiana w swoje.

- Co wziąłeś tym razem?

- Miecz, ale pożyczyłem, a nie wziąłem. Odłożyłbym go na miejsce, tylko że się stępił, i nim dał się naostrzyć, Tubruk już wrócił - wyjąkał przez łzy Oktawian, obserwując Tubruka

kątem oka, w razie gdyby stary zarządca chciał się do niego dobrać jeszcze raz.

Kornelia potrząsnęła głową.

- Zniszczyłeś jego miecz? Och, Oktawianie. Tego już za wiele. Przykro mi, ale muszę cię oddać Tubrukowi.

Oderwała palce wrzeszczącego wniebogłosy Oktawiana od swojej sukni i pozwoliła, by Tubruk jeszcze raz złapał go za tunikę.

Przygryzła dolną wargę i kuląc się, odczekała, aż Tubruk cztery razy opuścił skórzany pas. Za czwartym razem pozwolił chłopcu uciec w kojącą ciemność stajni.

- On się ciebie panicznie boi - powiedziała, patrząc za Oktawianem.

- Możliwie, ale aż się prosił o lanie. Do tej pory uchodziły mu na sucho rzeczy, których nigdy bym nie zniósł u Juliusza i Brutusa, kiedy byli mali. Ten tutaj połowę czasu spędza w świecie marzeń. Parę pasów na pewno mu nie zaszkodzi.

- Czy miecz jest naprawdę na straty? - spytała Kornelia, wciąż czując się nieswojo w obecności zarządcy majątku. Tubruk znał Juliusza, kiedy ten był w wieku Oktawiana i wcześniej, i nijak nie potrafiła sobie tego wyobrazić.

Tubruk wzruszył ramionami.

- Miecz pewnie tak, za to chłopiec nie. Co niewątpliwie by nastąpiło, gdyby trochę dłużej pobył w mieście. Zostawmy go w stajniach. Wypłacze się i przyjdzie na kolację, jakby nic się nie stało.

Oktawian nie zjawił się na wieczornym posiłku i kiedy mrok zgęstniał, Klodia wyszła z domu z pełną miską jedzenia. Nie znalazła go w stajniach. Poszukiwania w majątku nie przyniosły rezultatu. Oktawian przepadł, razem z mieczem.

- Jesteś za brzydki, by dobrze władać mieczem - zawyrokował pogodnie Brutus, tańcząc na palcach wokół rozzłoszczonego

legionisty. Kiedy światło dnia nabrało szarych barw, mężczyźni, tak jak i podczas trzech poprzednich wieczorów, zgromadzili się pośrodku obozu, aby przyglądać się zawodom. To Brutus je wymyślił.

- Zdolności się liczą, to prawda, ale trzeba być także przystojnym - ciągnął Brutus, maskując przekomarzaniem wnikliwą obserwację mężczyzny.

Legionista zwrócił się twarzą ku niemu, z napięcia trochę za mocno ściskając drewniany miecz. Broń nie była śmiercionośna, jednak silny cios mógł złamać palec czy wykłuć oko.

Wydrążone wzdłuż całego ostrza drewno było wypełnione ołowiem i drewniany miecz był

cięższy od gladiusa. Kiedy żołnierze chwytali za prawdziwe miecze, wydawały się im lekkie jak piórko.

Brutus zawirował, by uniknąć uderzenia. Ostrze minęło go

Rozdział XXXV

403

0 całe. Rozpoczął zawody pod koniec szóstego wieczoru, kiedy się okazało, że wcale nie jest zmęczony, a przynajmniej nie tak, jak się spodziewał, i wieczorne walki szybko stały się

główną rozrywką. Znudzonych żołnierzy pociągała zawadiacka pewność siebie Bru-tusa, przekonanego, że nie ma wśród nich nikogo, kto by go pokonał. Często walczył z trzema lub czterema legionistami naraz; po drugim wieczorze obóz przestał grać w kości i wszystkie pieniądze postawiono na Brutusa albo przeciw niemu. Gdyby zwyciężał dalej,

zakończyłby marsz z małą fortuną.

- Ludzie jak urodziwi herosi, prawda? Daleko ci do takich - oznajmił Brutus, chrząknął i przypuścił atak. - Nie chodzi o coś tak oczywistego jak nos czy wyjątkowe usta…

Uderzył znowu. Jego cios został rozpaczliwie odparty i Brutus odczekał, aż mężczyzna dojdzie do siebie. Legionista na początku był zadziorny, ale teraz, w nieustannym rytmie uników i ataków, pot zlepił mu włosy, pojedyncze krople

skapywały z czoła i rozpryskiwały się na ziemi. Brutus spojrzał na niego zezem.

- Wprost niesamowite nagromadzenie brzydoty. Można by pomyśleć, że nic nie jest na właściwym miejscu.

Żołnierz warknął i wymierzył cios, który rozpłatałby Brutusowi czaszkę, gdyby na niej wylądował. Ale uderzenie było niecelne

1 kiedy żołnierz chciał je powtórzyć, Brutus przystawił swój miecz pod jego grdykę.

Mężczyzna stracił równowagę i upadł na plecy. Podnosząc się niezdarnie i ciężko dysząc, powiedział:

- Jutro? Myślę, że gdybym miał jeszcze jedną szansę, mógłbym cię pokonać, brzydki czy nie.

Brutus wzruszył ramionami i pokazał na rząd czekających żołnierzy.

-Jest kilku przed tobą, ale jeśli chcesz, każę Kaberze ustawić cię jutro z przodu kolejki.

Pamiętaj, że wciąż ściskasz miecz za bardzo.

Żołnierz sprawdził uchwyt i kiwnął głową.

- Popracuj nad nadgarstkami - ciągnął poważnie Brutus. - Gdybyś zawierzył własnej sile, potrafiłbyś je trochę rozluźnić.

Mężczyzna, ze skupioną miną, obracając w dłoni mieczem, cofnął się w tłum. Kabera

przyprowadził następnego i dumny jak z własnego dziecka, wypchnął go do przodu.

- Mów, że jest dobry. W centurii nie miał sobie równego, kilka lat temu, powiedzmy. Prefekt obozu chce wiedzieć, czy jeszcze raz obstawiamy zawody. Coś mi się zdaje, że zaczynasz go martwić. -Kabera wyszczerzył się do Brutusa zadowolony, że znalazł się w szeregach Pierworodnych, zwłaszcza po pierwszym nudnym wieczorze na tyłach.

Brutus przyjrzał się uważnie ostatniemu przeciwnikowi. Miał on szerokie bary i wąską talię i nic sobie nie robiąc z taksującego spojrzenia, spokojnie się przeciągnął.

- Jak się nazywasz? - spytał Brutus.

- Domicjusz. Centurion - odpowiedział przeciwnik. Brutus podejrzliwie zmarszczył czoło.

- Najlepszy w centurii, tak? Ile lat temu?

- Trzy. Najlepszy w legionie. Rok temu - odpowiedział Domicjusz i zaczął rozciągać mięśnie.

Nie patrzył na młodszego od siebie mężczyznę.

Brutus wymienił szybkie spojrzenie z Kaberą, zauważył też gęstniejący wokół tłum. W

charakterze widzów stawił się chyba cały legion, poza strażami. Nie zabrakło nawet Reniusza i Brutus zmarszczył czoło na jego widok. Niełatwo się rozluźnić, kiedy człowiek, który kiedyś go uczył, potrząsał głową z wyraźnym niedowierzaniem. Brutus zebrał się w sobie.

- No cóż, Domicjuszu, jestem pewien twoich umiejętności, ale w każdym pokoleniu musi być ktoś, kto jest lepszy od wszystkich innych. Takie jest prawo natury.

Domicjusz rozciągał mięśnie nóg. Chyba zastanawiał się nad słowami Brutusa.

- Pewnie masz rację - odpowiedział w końcu.

- Mam rację. Ktoś musi być najlepszy w swoim pokoleniu i mówię prawie zmieszany, że tym kimś jestem ja. - Brutus obserwował Domicjusza, ciekawy jego reakcji.

- Prawie zmieszany? - mruknął tamten, rozciągając mięśnie karku.

Brutusa zaczynał irytować spokój legionisty i to jego niemal hipnotyczne rozciąganie kolejnych partii mięśni.

- Kabera, idź do prefekta i powiedz, że obstawiamy jeszcze jedną walkę, z Domicjuszem.

Rozdział XXXV

405

-Ja bym… - zaczął Kabera, patrząc powątpiewająco na nowego przeciwnika.

Domicjusz był o głowę wyższy od Brutusa, miał pewne ruchy i łatwo kołysał ciałem, co się rzadko zdarzało.

- Idź i powiedz. Jeszcze jedna walka i zbieram pieniądze. Kabera się skrzywił, lecz zawrócił

na pięcie i pobiegł truchtem

do prefekta.

Domicjusz wyprostował się, sprawiając wrażenie, jakby nagle jeszcze bardziej urósł.

Uśmiechnął się do Brutusa.

- Czekałem na to. Moi przyjaciele stracili dużo pieniędzy, zakładając się przeciw tobie.

- I nic ci to nie mówi? No, zaczynamy - rzucił Brutus. Domicjusz westchnął.

- Że też ci niscy mężczyźni zawsze są tacy popędliwi - powiedział, potrząsając głową.

Oktawian wytarł nos wierzchem dłoni. Na początku miasto wydało mu się całkiem

odmiennym miejscem. Za zasłoną jakiegoś wozu łatwo prześliznął się przez miejskie bramy, ale kiedy znalazł się w środku, hałas i zapachy, i najzwyklejszy pośpiech tłumów pozbawiły go pewności siebie. Parę miesięcy w majątku wystarczyło, by zapomniał o rozsadzającej miasto energii, nawet nocą.

Miał nadzieję, że Tubruk martwi się o niego i za dzień czy dwa przyjmie go z powrotem z otwartymi ramionami. Zwłaszcza jeżeli da się przekonać Tabbika, by dobrze naostrzył miecz.

Najważniejsze teraz było uniknięcie kłopotów i doczekanie ranka i otwarcia sklepiku. Miecz, owinięty w szmatę ze stajni,

tkwił pod jego pachą. Inaczej nie doszedłby z nim daleko.

Mógłby go zatrzymać jakiś praworządny obywatel lub, co gorsza, jakiś złodziej wyrwałby mu broń, aby ją spieniężyć w jakimś tańszym sklepiku niż warsztat Tabbika.

W pierwszej chwili Oktawian skierował kroki w stronę domu matki. Spędzi tam noc, jutro odwiedzi Tabbika i wróci do majątku w dzień lub dwa, i Tubruk znów się ucieszy na jego widok. Wystarczyło jednak, by pomyślał o reakcji matki, i natychmiast się skrzywił. Miecza przed nią nie da się ukryć i matka pomyśli, że go ukradł. Nie jest ufna, jak na matkę, zauważył ze smutkiem. Nie

wierzyła mu nigdy, nawet kiedy mówił prawdę, co zawsze było denerwujące.

Być może powinien dać jakiś znak Aleksandrii, niechby wyszła na dwór, nie stawiając na nogi reszty domu. Aleksandria zrozumiałaby lepiej niż matka, dlaczego to wszystko zrobił.

Ruszył przez nocny tłum, unikając ulic kupców i opierając się chęci porwania czegoś gorącego, co wypełniało powietrze drażniącymi nozdrza zapachami. Umierał z głodu, lecz pusty żołądek był sprawą drugorzędną wobec konieczności naprawienia stosunków z

Tubrukiem. Złapanie przez rozzłoszczonego właściciela straganu zepsułoby całą sprawę tak samo jak rozmowa z matką.

- Patrzcie, nasz szczurek!

Oktawian, wyrwany z nieszczęsnych myśli, spojrzał w górę, prosto w oczy chłopca od rzeźnika, i wpadł w panikę. Jego dawni prześladowcy! Niewiele myśląc, odwinął miecz, chwycił za rękojeść i wyciągnął go przed siebie w chwili, kiedy napastnik ruszył na niego z

mackami swoich pożądliwych dłoni. Oktawian zamachnął się na oślep i niewiele brakowało, by miecz przeciął wyciągnięte palce. Chłopiec, nieprzyjemnie zaskoczony, zaklął głośno.

- Umrzesz za coś takiego, ty śmierdzący podrzutku. Już się nawet zastanawiałem, co się z tobą dzieje. A więc teraz kradniesz miecze, tak?

Podczas gdy chłopiec wywarkiwał na Oktawiana swoją złość, inni, jak chłopiec zauważył

kątem oka, zachodzili go od tyłu. W parę chwil znalazł się w pułapce, a tłum, zaprzątnięty własnymi sprawami, nie zauważał zajścia albo zbyt przestraszony jego gwałtownością, wolał

się nie mieszać.

Oktawian trzymał miecz przed sobą tak, jak go nauczył Tubruk. Nie widząc możliwości ucieczki, przysiągł sobie, że nie zawaha się go użyć, nim go dopadną.

Chłopiec od rzeźnika zaśmiał się, podchodząc bliżej.

- No co, szczurku? Oblatuje nas strach, prawda?

Wyglądał jak jakiś wielkolud i Oktawian poczuł, że miecz w jego słabych dłoniach jest bezużyteczny. Tymczasem chłopiec, zasłaniając się ramieniem przed niespodziewanym

atakiem, zbliżył się jeszcze bardziej. Twarz mu jaśniała dzikim podnieceniem.

- Daj mi to, a pozwolę ci żyć - powiedział i wyszczerzył zęby od ucha do ucha.

wierzyła mu nigdy, nawet kiedy mówił prawdę, co zawsze było denerwujące.

Być może powinien dać jakiś znak Aleksandrii, niechby wyszła na dwór, nie stawiając na nogi reszty domu.

Aleksandria zrozumiałaby lepiej niż matka, dlaczego to wszystko zrobił.

Ruszył przez nocny tłum, unikając ulic kupców i opierając się chęci porwania czegoś gorącego, co wypełniało powietrze drażniącymi nozdrza zapachami. Umierał z głodu, lecz pusty żołądek był sprawą drugorzędną wobec konieczności naprawienia stosunków z

Tubrukiem. Złapanie przez rozzłoszczonego właściciela straganu zepsułoby całą sprawę tak samo jak rozmowa z matką.

- Patrzcie, nasz szczurek!

Oktawian, wyrwany z nieszczęsnych myśli, spojrzał w górę, prosto w oczy chłopca od rzeźnika, i wpadł w panikę. Jego dawni prześladowcy! Niewiele myśląc, odwinął miecz, chwycił za rękojeść i wyciągnął go przed siebie w chwili, kiedy napastnik ruszył na niego z mackami swoich pożądliwych dłoni. Oktawian zamachnął się na oślep i niewiele brakowało, by miecz przeciął wyciągnięte palce. Chłopiec, nieprzyjemnie zaskoczony, zaklął głośno.

- Umrzesz za coś takiego, ty śmierdzący podrzutku. Już się nawet zastanawiałem, co się z tobą dzieje. A więc teraz kradniesz miecze, tak?

Podczas gdy chłopiec wywarkiwał na Oktawiana swoją złość, inni, jak chłopiec zauważył

kątem oka, zachodzili go od tyłu. W parę chwil znalazł się w pułapce, a tłum, zaprzątnięty własnymi sprawami, nie zauważał zajścia albo zbyt przestraszony jego gwałtownością, wolał

się nie mieszać.

Oktawian trzymał miecz przed sobą tak, jak go nauczył Tubruk. Nie widząc możliwości ucieczki, przysiągł sobie, że nie zawaha się go użyć, nim go dopadną.

Chłopiec od rzeźnika zaśmiał się, podchodząc bliżej.

- No co, szczurku? Oblatuje nas strach, prawda?

Wyglądał jak jakiś wielkolud i Oktawian poczuł, że miecz w jego słabych dłoniach jest bezużyteczny. Tymczasem chłopiec, zasłaniając się ramieniem przed niespodziewanym

atakiem, zbliżył się jeszcze bardziej. Twarz mu jaśniała dzikim podnieceniem.

- Daj mi to, a pozwolę ci żyć - powiedział i wyszczerzył zęby od ucha do ucha.

Rozdział XXXV

407

Groźba była bezczelna i Oktawian ścisnął rękojeść mocniej, gorączkowo się zastanawiając, co na jego miejscu zrobiłby Tubruk. Wymyślił ratunek w momencie, kiedy uczeń rzeźnika wszedł w zasięg chwiejącego się miecza.

Krzyknął i zaatakował, tnąc krawędzią przez wyciągniętą rękę. Gdyby miecz był ostry, chłopiec od rzeźnika zostałby kaleką, a tak tylko zawył i rzucił się krok do tyłu, klnąc i zaciskając zranioną dłoń.

- Zostawcie mnie! - krzyknął rozpaczliwie Oktawian, rozglądając się za drogą ucieczki.

Tłum był zwarty i nie było żadnej, a tymczasem chłopiec od rzeźnika, obejrzawszy przeciętą dłoń, skrzywił się potwornie, sięgnął za plecy i wyciągnął zza pasa szeroki nóż. Pokazał go Oktawianowi. Rzeźnickie narzędzie miało na sobie rdzawe ślady krwi i Oktawian wprost nie mógł oderwać od niego oczu.

- Zarżnę cię, szczurku. Wydłubię ci oczy. Oślepię cię - warknął starszy chłopiec.

Oktawian próbował uciec, ale zamiast go łapać, inni terminatorzy zaśmiali się i pchnęli go na chłopca od rzeźnika. Jeszcze raz podniósł miecz i wtedy zawisł nad nimi jakiś cień i ciężka ręka spadła na głowę chłopca od rzeźnika, powalając go na ziemię.

Tubruk pochylił się i podniósł nóż. Chłopiec od rzeźnika zaczął się dźwigać, ale Tubruk zacisnął pięść i pchnął go na powrót w brud ulicy.

- Nigdy nie myślałem, że doczekam dnia, kiedy będę się bił z dziećmi - mruknął. - Nic ci nie jest? Szukam cię od paru godzin.

Oktawian wytrzeszczył na niego oczy jak na jakąś zjawę. - Ja… ja niosę miecz do Tabbika. Ja go nie ukradłem - odpowiedział łamiącym się głosem.

- Wiem, chłopcze. Klodia pomyślała, że tak właśnie zrobisz. Wygląda na to, że zjawiłem się w porę, prawda? - Stary gladiator popatrzył na krąg terminatorów, którzy stali niepewni.

- Na waszym miejscu, chłopaki, już by mnie tu nie było. Wiem, co mówię - rzucił w ich stronę. Jego twarz nie pozostawiała wątpliwości, co ich czeka, i chłopcy, nie tracąc czasu, znikli w tłumie. -Sam wyślę miecz do Tabbika, dobrze? A teraz… wracasz do majątku czy nie?

Oktawian kiwnął głową. Tubruk zawrócił, by utorować sobie przez tłum drogę do bramy.

Nim dotrą do majątku, pewnie będzie świtać, ale wiedział, że nie zasnąłby, gdyby Oktawian gdzieś przepadł. Mimo wszystkich chłopca wad lubił go.

- Zaczekaj, Tubruku - Oktawian go zatrzymał. Tubruk obrócił się, marszcząc czoło.

- Co znowu?

Oktawian podszedł do zbitego chłopca od rzeźnika i kopnął go w krocze najmocniej jak potrafił. Tubruk skrzywił się ze współczuciem.

- Bogowie, musisz się jeszcze dużo nauczyć. Nie kopie się leżącego.

- Może nie, ale byłem mu to winien.

Oktawian dołączył do niego i Tubruk odetchnął z ulgą.

- Może byłeś, chłopcze.

Brutus nie mógł uwierzyć w to, co mu się przytrafiało. Ten człowiek był nieludzki. Brutus nie miał czasu na przekomarzania i prawie przegrał pojedynek już w pierwszych sekundach, kiedy Domicjusz natarł na niego z gwałtownością, z jaką Brutus nie spotkał się w żadnej innej walce. Rozpalony złością odpowiedział tak samo, i szczękanie ciosów nie milkło dłużej, niż uznałby to za możliwe. Tamten chyba nie potrzebował chwili oddechu. Ciosy padały

nieprzerwanie, pod każdym kątem, i dwa razy Brutus omal nie wypuścił z dłoni miecza. W

walce na prawdziwą broń należałoby kończyć, ale w zawodach musiał paść rozstrzygający cios, zwłaszcza kiedy stawką były pieniądze.

Brutus zyskał trochę pola, przechodząc na płynny styl walki, którego nauczył się w Grecji, od wojownika niebieskoskórych. Tak jak miał nadzieję, nowy rytm przełamał atak Domicjusza i Brutus uwięził przedramię przeciwnika uderzeniem, które odcięłoby mu rękę w nadgarstku, gdyby miecz miał ostre krawędzie.

Domicjusz odstąpił krok do tyłu i popatrzył zdziwiony. Ta krótka chwila wytchnienia pozwoliła Brutusowi stłumić gniew i spokojnie odpowiadać przeciwnikowi. Domicjusz

oddychał ciężko, a on wydawał się całkowicie rozluźniony.

Na wypadek gdyby to miało zagłuszyć ewentualny atak, obser-

wującym walkę żołnierzom zabroniono wznosić okrzyki. Kiedy walka przetaczała się z jednej strony kręgu na drugą, legioniści gwizdali i sapali, wymachując zaciśniętymi pięściami i obnażając zęby w tłumionym podnieceniu.

Kiedy miecze się zwarły, Brutus miał doskonałą okazję, by zdzielić przeciwnika pięścią, ale to też było zabronione, na

wypadek gdyby zawodnicy mieli wyrządzić sobie za dużą krzywdę i nie mogli walczyć lub maszerować następnego dnia.

-Ja… mogłem cię dopaść - zazgrzytał.

Domicjusz kiwnął głową.

-Ja tak samo, tylko wcześniej. Oczywiście, mam dłuższe ramiona.

Atak ruszył na nowo i Brutus odparował dwa ciosy, ale trzeci przebił się przez jego zasłonę.

Młody człowiek spojrzał w dół, na drewniane ostrze wpijające się boleśnie w jego pierś poniżej żeber.

- Zwyciężyłem - powiedział Domicjusz. - Jesteś dobry, nawet bardzo. Niewiele ci brakowało do wygranej, kiedy przeszedłeś na inny styl walki. Musisz mi go kiedyś pokazać. - Zauważył

strapioną minę Brutusa i zaśmiał się głośno. - Synu, od czasu kiedy byłem w twoim wieku, wygrywałem w legionie pięć razy. Jeszcze wszystko przed tobą, tylko trochę dorośnij.

Spróbujmy zmierzyć się za rok czy dwa. Możliwe, że wtedy zwycięży inny.

Domicjusz wszedł w tłum żołnierzy, którzy poklepywali go po plecach i ramionach,

winszując zwycięstwa. Kabera podszedł do Brutusa. Miał wyraźnie skwaszoną minę.

- On był bardzo dobry - burknął Brutus. - Lepszy niż Reniusz czy ktokolwiek.

- Czy pokonałbyś go innym razem? Brutus potarł niepewnie podbródek.

- Możliwe, po dzisiejszej nauczce…

- W porządku. Dzisiaj zabrałem od prefekta wszystkie nasze wygrane, nim zaczęła się walka, oczywiście.

- No wiesz?! Przecież kazałem ci obstawiać! - wrzasnął Brutus. - Ha! A ile wygraliśmy?

- Dwadzieścia aureusów w srebrze. Po siedmiu wygranych pojedynkach stawka nam się

podwoiła. Coś musiałem postawić na ciebie przeciw Domicjuszowi, przez grzeczność, ale cała reszta jest nasza.

Brutus zaśmiał się głośno, ale zaraz skrzywił się z bólu.

- On wyzwał mnie tylko po to, by jego przyjaciele odzyskali pieniądze. Chyba dam im jeszcze jedną okazję.

- Gdybyś chciał, ustawię walkę nawet na jutro. Ale jak zwyciężysz, cały obóz zostanie bez miedziaka.

- Zrób to. Chętnie wystawię Domicjusza na próbę raz jeszcze. Ty sprytny starcze! Skąd wiedziałeś, że przegram?

¦ Kabera westchnął i przysunął się bliżej, jakby chciał zdradzić sekret.

- Wiedziałem, bo jesteś głupcem. Po trzech pojedynkach nikt nie ma szans ze zwycięzcą legionu.

Brutus parsknął gniewnie.

- Następnym razem każę obstawiać Reniuszowi.

- W takim razie wycofam swój udział jeszcze przed walką.

ROZDZIAŁ XXXVI

Juliusz widział ruchliwe porty w Afryce i w Grecji, lecz przez Ariminum płynęło zboże na cały kraj i na nabrzeżach było ciasno od statków załadowujących i wyładowujących towar.

Nie brakowało tu nawet forum ani świątyń dla żołnierzy, w których mogli się pojednać z bogami i modlić o ujście z życiem z nadchodzącego konfliktu. To był mały Rzym,

wzniesiony na krańcach wielkiej Niziny Padańskiej, brama na południe. Wszystko, co szło z północy do Rzymu, nie mogło ominąć Ariminum.

Krassus i Pompejusz rozporządzali prywatnym domem na skraju forum i to tam Juliusz zmierzał drugiego wieczoru, zmuszony kilkakrotnie pytać o drogę. Szedł z dziesiątką Pierworodnych, właściwą ochroną jak na obce miasto, lecz tutejsi obywatele wydawali się zbyt zajęci swoimi sprawami,

by mieć czas na spiskowanie czy politykę. Czy wielka siła obozująca wokół miasta niepokoiła ich, nie umiałby powiedzieć. Statki przypływały i odpływały, wozy ze zbożem przyjeżdżały i odjeżdżały bez przerwy, jak gdyby jedynym zagrożeniem i skutkiem wojny była możliwość podniesienia cen na rynkach.

Juliusz, otoczony swoimi ludźmi, łatwo torował sobie drogę przez gwarne tłumy,

podchwytując tu i tam skrawki rozmów, z których wynikało, że miejscowi załatwiają interesy, nie zwracając uwagi na legionistów. Możliwe, że ich poczucie bezpieczeństwa jest

uzasadnione, pomyślał. Razem z dwoma północnymi legionami, które zastali w mieście, zgromadzone siły sięgały czterdziestu tysięcy wytrawnych żołnierzy. Trudno było sobie wyobrazić wroga,

któremu nie mogliby poradzić, mimo psychicznego wstrząsu po tym, jak rebelia Spartakusa w Mutinie sięgła zenitu.

Rozpoznał poszukiwane miejsce po strażach, które pilnowały schodów prowadzących do drzwi. Typowe dla Krassusa, znaleźć tak bogaty dom, pomyślał z uśmiechem. Powściągliwy w stosunkach z ludźmi rzymski bogacz uwielbiał się otaczać pięknymi przedmiotami.

Ciekawe, myślał Juliusz dalej, czy po jego wyjeździe właściciel domu znajdzie dla siebie trochę miejsca pośród nowo zgromadzonych skarbów. Pamiętał słowa Mariusza, że

Krassusowi nie można zaufać w niczym, poza sztuką i dobrym gustem.

Jeden z żołnierzy wprowadził Juliusza do komnaty, w której wzrok przyciągał alabastrowy posąg nagiej dziewczyny. Krassus i Pompejusz ustawili krzesła u jej stóp.

Kiedy wkraczali dwaj ostatni legaci, Juliusz siedział już z rękami na kolanach i czekał.

Jednym z nich był Lepidus, ten sam, któremu dostarczył w Grecji ciało Mitrydatesa. Juliusz pomyślał, że od tamtej chwili minęły wieki, a tamten zachował tak samo ironiczny, obojętny wyraz twarzy. Niewyraźnie skinął głową Juliuszowi i zaczął czyścić paznokcie jednej ręki paznokciami drugiej.

Pompejusz pochylił się do przodu i krzesło przechyliło się razem z nim.

- Od tej chwili, panowie, będę was oczekiwał każdego wieczoru, zaraz po wystawieniu straży.

By się łatwiej obronić przed ewentualnym atakiem, zarządziłem rozbicie dwóch obozów, nie czterech. W każdym stacjonują cztery legiony. Powinniście być na tyle blisko, by dotrzeć do punktu dowodzenia na dwie godziny przed północą. Najświeższe meldunki donoszą, że armia niewolników kieruje się szybkim marszem na północ. Jeżeli nie dopadniemy ich w porę, dojdą do Alp i znikną w Galii. To jest niebezpieczeństwo, którego obawiamy się obaj z Krassusem. Galia jest równie wielka, jak niewielkie w niej nasze wpływy. Nie można pozwolić, by uszli wolno, inaczej za rok zbuntuje się każdy niewolnik na rzymskich ziemiach i zniszczenie oraz straty w ludziach mogą być olbrzymie.

Przerwał, oczekując uwag, lecz zebrani wodzowie milczeli. Jeden czy dwóch zerknęło na Krassusa, wyraźnie ciekawi rozkazów senatu, ale towarzysz Pompejusza ograniczał się do potakiwania.

- Zarządzam marsz na zachód równinnymi drogami do czasu,

kiedy dam rozkaz odbicia na północ. To, ogólnie biorąc, dłuższa droga, lecz łatwiejsza niż przedzieranie się w poprzek kraju. Oczekuję trzydziestu mil jednego dnia, potem dwudziestu, potem znów trzydziestu.

- Jak długo? - przerwał Lepidus. Pompejusz milczeniem okazał irytację.

- Według najlepszych szacunków przez pięćset mil na zachód i dalej, jakiś kawałek na północ. Jaki, nie potrafimy określić, nie

znając miejsca pobytu wroga. Spodziewam się…

- Tego się nie da zrobić - uciął stanowczo Lepidus. Pompejusz wstał i popatrzył na wodza.

- Ma być tak, jak mówię, Lepidusie. Jeżeli twój legion nie da rady dotrzymać kroku innym pod moimi rozkazami, pozbawię cię stopnia i wyznaczę na dowódcę kogoś, kto potrafi zmusić ludzi do marszu.

Lepidus prychnął z oburzenia. Ciekawe, pomyślał Juliusz, czy mu powiedziano, jak był bliski przejęcia całkowitego zwierzchnictwa nad legionami. Gdyby nie kilka głosów w senacie, to on stałby teraz przed nimi, nie Pompejusz. Sądząc jednak po zachowaniu tego człowieka, należało przypuszczać, że wiedział o wszystkim, niewątpliwie za przyczyną Katona. Kiedy gromadzono armię na Polu Marsowym, Katon na pewno nie omieszkał szepnąć mu słówka, z nadzieją na wzniecenie wzajemnych niesnasek w czasie marszu.

- Moi ludzie, Pompejuszu, w tej wyprawie już przeszli trzysta mil twardym żołnierskim krokiem. Mogą to zrobić jeszcze raz, ale żądam dla nich dwóch tygodni odpoczynku i nie więcej niż dwadzieścia, dwadzieścia pięć mil dziennie potem.

- Każdy dzień zwłoki w Ariminum oznacza przewagę dla Spar-takusa i całe mile bliżej do gór i wolności w Galii dla buntowników - warknął Pompejusz. - Nie zostanę tu ani godziny po załadowaniu zapasów. Kilka skręconych kostek to cena warta zapłacenia. Czy nawet kilkaset, jeżeli w tym będzie tkwić różnica między pochwyceniem ich a przyglądaniem się, jak uciekają przed karą za rzymską krew na swoich rękach. Dziewięć tysięcy trupów w Mu-tinie!

- Głos Pompejusza przeszedł w krzyk. Wódz pochylił się ku Lepidusowi, który odwzajemniał

jego spojrzenie z denerwującym spokojem.

- Właściwie to kto tu dowodzi? - spytał Lepidus, machając dłonią w stronę Krassusa. - Dano mi do zrozumienia, że senat, zamiast wybrać mnie, wybrał jego. Nie rozumiem tej kwestii z

„zastępcą dowódcy”. Czy to choćby zgodne z prawem?

Podobnie jak Juliusz, inni legaci także wiedzieli, jak niewiele brakowało, by dowodził nimi Lepidus. Jak koty, obserwowali obu, ostrożnie chowając pazury i czekając na wynik. Krassus także się podniósł i stanął obok Pompejusza.

- Pompejusz mówi w moim imieniu, Lepidusie, i taki jest głos senatu. Cokolwiek słyszałeś, nie powinieneś kwestionować dowództwa.

Twarz Pompejusza stężała z gniewu.

- Posłuchaj, Lepidusie. Wystarczy, że popełnisz jeden błąd, a każę cię obedrzeć ze wszystkich dystynkcji. Wystarczy, że jeszcze raz podasz w wątpliwość mój rozkaz, a zabiję cię i porzucę na drodze. Zrozumiano?

- Całkowicie - odpowiedział Lepidus, wyraźnie usatysfakcjonowany.

Juliusz był ciekaw, na co ten człowiek liczy. Chce podkopać Krassusa? Nie, pod kimś takim nie dałoby się służyć, choćby człowiek nie wiem jak się starał zapracować na swój autorytet.

Lecz groźba Pompejusza była bronią obosieczną. Jeżeli Lepidus cieszy się taką lojalnością

swoich ludzi jak niegdyś Mariusz, Pompejusz wiele ryzykował. Na miejscu wodza on by kazał zabić Lepidusa natychmiast, a jego legion odesłać w hańbie do Rzymu. Strata ludzi była mniejszą szkodą niż maszerowanie z potencjalnymi zdrajcami.

- Wyruszamy za dwa dni, o świcie - oznajmił Pompejusz. - Wysłałem szpiegów przodem, z odpowiednimi rozkazami. Taktykę bitwy przemyślimy po uzyskaniu dokładniejszych meldunków. Możecie odejść. Trybunie Cezarze, chciałbym zamienić z tobą słowo, gdybyś mógł zostać.

Kiedy opuszczali pomieszczenie, Lepidus wdał się w rozmowę z dwoma legatami. Juliusz usłyszał, jak się roześmiał z jakiegoś dowcipu. Pompejusz zesztywniał z irytacji.

- Ten tam, to ucho i oko Katona - powiedział do Krassusa. - Możesz być pewien, że śledzi nas na każdym kroku, i kiedy wrócimy do Rzymu, złoży odpowiedni raport.

- Właściwie to kto tu dowodzi? - spytał Lepidus, machając dłonią w stronę Krassusa. - Dano mi do zrozumienia, że senat, zamiast wybrać mnie, wybrał jego. Nie rozumiem tej kwestii z

„zastępcą dowódcy". Czy to choćby zgodne z prawem?

Podobnie jak Juliusz, inni legaci także wiedzieli, jak niewiele brakowało, by dowodził nimi Lepidus. Jak koty, obserwowali obu, ostrożnie chowając pazury i czekając na wynik. Krassus także się podniósł i stanął obok Pompejusza.

- Pompejusz mówi w moim imieniu, Lepidusie, i taki jest głos senatu. Cokolwiek słyszałeś, nie powinieneś kwestionować dowództwa.

Twarz Pompejusza stężała z gniewu.

- Posłuchaj, Lepidusie. Wystarczy, że popełnisz jeden błąd, a każę cię obedrzeć ze wszystkich dystynkcji. Wystarczy, że jeszcze raz podasz w wątpliwość mój rozkaz, a zabiję cię i porzucę na drodze. Zrozumiano?

- Całkowicie - odpowiedział Lepidus, wyraźnie usatysfakcjonowany.

Juliusz był ciekaw, na co ten człowiek liczy. Chce podkopać Krassusa? Nie, pod kimś takim nie dałoby się służyć, choćby człowiek nie wiem jak się starał zapracować na swój autorytet.

Lecz groźba Pompejusza była bronią obosieczną. Jeżeli Lepidus cieszy się taką lojalnością swoich ludzi jak niegdyś Mariusz, Pompejusz wiele ryzykował. Na miejscu wodza on by kazał zabić Lepidusa natychmiast, a jego legion odesłać w hańbie do Rzymu. Strata ludzi była mniejszą szkodą niż maszerowanie z potencjalnymi zdrajcami.

- Wyruszamy za dwa dni, o świcie - oznajmił Pompejusz. - Wysłałem szpiegów przodem, z odpowiednimi rozkazami. Taktykę bitwy przemyślimy po uzyskaniu dokładniejszych

meldunków. Możecie odejść. Trybunie Cezarze, chciałbym zamienić z tobą słowo, gdybyś mógł zostać.

Kiedy opuszczali pomieszczenie, Lepidus wdał się w rozmowę z dwoma legatami. Juliusz usłyszał, jak się roześmiał z jakiegoś dowcipu. Pompejusz zesztywniał z irytacji.

- Ten tam, to ucho i oko Katona - powiedział do Krassusa. - Możesz być pewien, że śledzi nas na każdym kroku, i kiedy wrócimy do Rzymu, złoży odpowiedni raport.

ś

Rozdział XXXVI

415

Krassus wzruszył ramionami.

- No to odeślij go już teraz. Przyłożę pieczęć do takiego rozkazu i stłumimy rebelię z siedmioma legionami równie łatwo jak z ośmioma.

Pompejusz potrząsnął głową.

- Możliwe, ale niestety rzeczy mają się gorzej, niż myśleliśmy. Juliuszu, to, co powiem, nie może się rozejść między ludźmi, zrozumiano? Nie ma sensu już dzisiaj podnosić wrzawy w całym obozie, do czego by doszło, gdybym się zdradził przed innymi legatami, zwłaszcza

przed Lepidusem. Armia niewolników niepokojąco rośnie w siłę i podobno liczy więcej niż pięćdziesiąt tysięcy. Złupiono setki gospodarstw i majątków. Teraz już nie mają drogi odwrotu, a to znaczy, że walczą desperacko i nie mają nic do stracenia. Wiedzą, jak karzemy niewolników uciekinierów, i rebelia nie może zakończyć się inaczej, jak potwornym pokazem siły. Dlatego myślę, że przyda się każdy legion, nawet Lepidusa.

Juliusz gwizdnął cicho.

- Nie możemy liczyć na zadanie druzgocącej klęski - powiedział.

Pompejusz zmarszczył czoło.

- Nie, na to się chyba nie zanosi. Spodziewałbym się raczej, że zwiną szeregi i uciekną przy pierwszym ataku, gdyby nie to, że są wśród nich kobiety i dzieci i że nie mają dokąd uciekać.

Za tymi gladiatorami stoi więcej sukcesów i trudno ich nazwać motło-chem. - Parsknął cicho.

- Przyznam, przyszło mi nawet na myśl, że Katon celowo wysłał nas na pewną śmierć, ale nie, do czegoś takiego nie posunąłby się nawet on. Buntownicy wciąż mogą zawrócić na południe, a począwszy od Ariminum, cały kraj stoi otworem. Muszą być pokonani, to pewne.

Lecz by tak się stało, Juliuszu, potrzebuję dobrych dowódców.

- Mam ponad dwa tysiące ludzi pod orłem Pierworodnych - odrzekł Juliusz. Wolał nie

wspominać, że połowę z nich dostarczył Katon, aby chronili jego syna. Reniusz wycisnął z nich ostatnie krople potu, mimo to w porównaniu z doświadczonymi legionistami wciąż byli niewiele warci. Juliusz się zastanawiał, ilu z nich tylko czeka na odpowiedni moment, by wbić mu nóż w plecy, i wbrew wszystkim zapewnieniom, jakie składał Reniuszowi, że w końcu da

się z nich zrobić Pierworodnych, nie potrafił nabrać do nich zaufania.

- Miło ponownie słyszeć to imię na polu walki i nawet nie potrafię ci powiedzieć, jak bardzo.

- Pompejusz uśmiechnął się zadziwiająco świeżo, po czym twarz mu zastygła w twardą skorupę gniewu, który go nie opuszczał od śmierci córki. - Chcę, by Pierworodni szli obok Lepidusa. Nie ufam żadnemu człowiekowi, którego mocodawcą jest Katon. Kiedy przyjdzie do walki, trzymaj się blisko tego człowieka. Zawierzę ci we wszystkim, cokolwiek by się stało. Powiedziałbym, że będziesz moją jednoosobową doborową jednostką. Dobrze się spisałeś w Grecji. Spisz się dobrze i dla mnie.

- Do twoich rozkazów, panie - zapewnił Juliusz, potwierdzając słowa szybkim skinięciem głowy. Napotkał wzrok Krassusa i skłonił mu się także. Brutus powinien wiedzieć o

wszystkim, pomyślał.

Kiedy wyszedł na zewnątrz i natychmiast otoczyła go dziesiątka Pierworodnych, poczuł się dumny. Nie został zapomniany i musi zrobić wszystko, by nie zawieść zaufania Pompejusza.

Niewolnik wbił motykę w ziemię, rozbijając na proch szare grudy, i odchrząknął. Pot znaczył

mu na twarzy ciemne bruzdy, a ramiona poczerwieniały z wysiłku. Pogrążony we własnej niedoli początkowo nie zauważył stojącego obok mężczyzny. Podniósł swoje narzędzie raz jeszcze i kątem oka pochwycił cień jakiegoś ruchu. Nie zareagował natychmiast, maskując zaskoczenie kolejnym zgięciem karku. Pęcherze na dłoniach znów mu pękły i odłożył

motykę, już świadomy czyjejś obecności, ale jeszcze nie chcąc się z tym zdradzić. Przewaga nad drugim to cenna rzecz, nauczył się tego od swoich panów.

- Kim jesteś? - spytała cicho ciemna postać.

Niewolnik odwrócił się spokojnie. Mężczyznę spowijał szorstki brązowy płaszcz, zarzucony na podartą tunikę. Twarz obcego była w cieniu, lecz oczy błyszczały ciekawością i

współczuciem.

-Jestem niewolnikiem - odpowiedział zapytany, mrużąc oczy przed słońcem. Nawet pośród rzędów winorośli biło niemiłosiernie z góry i przypiekało go do żywego, a pokryte

pęcherzami czerwone ramiona ciągle się łuszczyły i swędziały. Podrapał się nie-

spiesznie, przyglądając się przybyszowi. Zastanawiał się, czy mężczyzna wie, jak blisko są straże.

- Nie powinieneś tu być, przyjacielu. Pól pilnują straże właściciela. Jak cię znajdą, zabiją za samo przekroczenie cudzych granic.

Obcy wzruszył ramionami.

- Straże nie żyją.

Niewolnik przestał się drapać. Był otępiały ze zmęczenia. Jak to, nie żyją? Czy ten człowiek oszalał? I czego chce? To, co miał na sobie, niewiele się różniło od jego łachmanów. Obcy nie był bogaty. Być może to sługa właściciela przysłany, by sprawdzić jego lojalność. Albo żebrak.

-Ja… muszę wracać - mruknął.

- Straże nie żyją, nie słyszysz? Nigdzie nie musisz wracać. Kim jesteś?

- Niewolnikiem, już to powiedziałem - warknął z goryczą. Kąciki oczu obcego zmarszczyły się w sposób nieomylnie wskazujący na uśmiech.

- Nie, mój bracie. Już się wyzwoliłeś.

- To niemożliwe.

Mężczyzna roześmiał się w głos i odsłonił silną, zdrową twarz. Gwizdnął cicho. Na pierwszy szelest w winoroślach niewolnik, w przypływie strachu, chwycił za motykę. To mordercy nasłani z Rzymu, przychodzą go zabić, pomyślał i poczuł nagły skurcz pustego żołądka.

Z zielonych cieni, uśmiechając się do niego, wyszło na słońce kilku kolejnych mężczyzn.

Niewolnik wzniósł groźnie motykę.

- Kimkolwiek jesteście, pozwólcie mi odejść. Nie powiem nikomu, że was widziałem -

wysyczał.

Pierwszy mężczyzna znów się roześmiał.

- Nie ma komu powiedzieć, przyjacielu. Jesteś niewolnikiem i zostałeś wyzwolony. Taka jest prawda. Straże nie żyją, a my ruszamy dalej. Idziesz z nami?

- A co z… - zawahał się. Lepiej było nie wypowiadać słowo „pan” w obecności tych ludzi. -

Co z właścicielem i jego rodziną?

- Są uwięzieni w domu. Chcesz ich zobaczyć?

Niewolnik popatrzył na płonące podnieceniem twarze męż-

czyzn. Powoli zaczynał pojmować, co się stało, i zaczynał im wierzyć.

- Tak, chcę ich zobaczyć. Chcę przez godzinę być sam na sam z córkami i z ojcem.

Mężczyzna znów się roześmiał, ale nie był to przyjemny dla ucha dźwięk.

- Więc aż tak ich nienawidzisz, rozumiem. Czy umiesz posługiwać się mieczem? Proszę, mam tu jeden dla ciebie - powiedział.

Poddawano go próbie, wiedział o tym. Niewolnikom nie wolno było nosić broni. Jeżeli ją weźmie, naznaczy się śmiercią, razem z innymi. Wyciągnął dłoń i mocno ścisnął rzymski gladius, radując się od nowa jego ciężarem.

- A więc, kim jesteś? - spytał łagodnie obcy.

- Nazywam się Antonidus. Byłem rzymskim wodzem - powiedział niewolnik, prostując się nieznacznie.

Człowiek podniósł brwi.

- Spartakus chętnie cię pozna. On także był żołnierzem, przed… tym wszystkim.

- Pozwolicie mi zająć się tamtymi? - spytał niecierpliwie Antonidus.

- Daję ci tę twoją godzinę, ale potem ruszamy dalej. Dzisiaj jeszcze wielu czeka na uwolnienie i nasza armia potrzebuje zboża z tutejszych stodół.

Antonidus uśmiechnął się powoli na myśl o tym, co zrobi ludziom, którzy nazywali siebie jego panami. Widywał ich

tylko z daleka, podczas pracy, ale wyobraźnia podpowiadała mu słowa, którymi z niego szydzono. Przejechał kciukiem po ostrzu miecza.

- Zaprowadź mnie tam. Będę do twoich rozkazów, niech tylko wynagrodzę sobie krzywdy.

Labirynt brudnych ulic wydawał się odcięty od życia i światła Rzymu. Dwaj wysłani przez Katona ludzie stąpali ostrożnie pośród śmieci i ekskrementów, starając się nie reagować na piski uciekających im spod stóp szczurów i większych drapieżników, polujących nocą w ciemnych zaułkach. Gdzieś rozległ się żałosny krzyk dziecka i nagle umilkł, jak zduszony czyjąś ręką. Mężczyźni wstrzymali oddechy, czekając, aż się powtórzy, lecz kiedy cisza się prze-

/

Rozdział XXXVI

419

ciągała, skrzywili się obaj w nagłym zrozumieniu. W tym miejscu życie istoty ludzkiej niewiele kosztowało.

Policzyli wszystkie zakręty każdego odcinka drogi, od czasu do czasu naradzając się szeptem, czy ledwo zauważalny przesmyk między jednym a drugim domem też należy do rachunku.

Czasami był wąski na parę stóp i zasypany ciemną masą czegoś, na co nie śmieli patrzeć. W

jednym leżał zdechły pies, do połowy zagrzebany w odpadkach. Wyglądał tak, jakby się na nich czaił, a zagrzebaną część ogryzały jakieś niewidoczne zęby, i mijając go, obaj lekko zadrżeli.

Nim dotarli do skrzyżowania, gdzie Katon kazał im czekać, obaj byli potwornie niespokojni.

Znajdowali się na odludziu, a te kilka pojedynczych osób, które przemknęły jak cienie pod ścianami, najwyraźniej starało się ich nie zauważać.

Po jakimś czasie z ciemności, spod jakiegoś okapu oderwał się cień i ruszył ku nim prawie bezszelestnie.

- Kogo tu szukacie? - wyszeptał głos.

Obaj mężczyźni przełknęli głośno ślinę, wytężając oczy, by rozróżnić rysy człowieka.

- Nie patrzcie na mnie! - -warknął nieznajomy.

Mężczyźni posłusznie przenieśli wzrok na zaśmieconą ziemię pod nogami. Ciemna postać zbliżyła się na wyciągnięcie ręki i na obu wionęła chorobliwa woń.

- Kimkolwiek jesteś, nasz pan kazał wymienić imię Antonidusa - powiedział jeden, starając się nie oddychać.

- Antonidus został sprzedany w niewolę, na daleką północ. Kto jest teraz waszym panem?

Jeden z mężczyzn nagle przypomniał sobie woń z czasu, kiedy umarł jego ojciec. Pochylił się i zwymiotował ostatnim posiłkiem na nierozpoznawalną maź pomyj i odpadków. Drugi

odezwał się niezdecydowanie:

- Żadnych imion, tak nam powiedziano. Mój pan życzy sobie dalszej współpracy, ale nie mogą padać żadne imiona.

Ciepła woń zgnilizny wionęła na niego wyraźniej.

- Mogłem się tego domyślić, głupcy. Znam zasady takiej gry. No więc dobrze. Czego twój pan chce ode mnie? Przekaż wiadomość, dopóki jestem cierpliwy.

- On… mój pan powiedział, że teraz, kiedy Antonidus jest niewolnikiem, masz zapomnieć o tym, o co cię prosił. Wskaże ci inne imiona i zapłaci, ile zechcesz.

Postać chrząknęła z ubolewaniem.

- Powiedz mu, niech wymieni imiona, a ja zdecyduję, tak czy nie. Cenię sobie własne usługi i nikomu z góry nie będę nic obiecywał. A co do śmierci kupionej przez Antonidusa, to już za

późno, by zawrócić ludzi. Tamta jest martwa, chociaż jeszcze o tym nie wie. Wracaj do swojego pana i nie zapomnij zabrać

tego ze słabym żołądkiem.

Postać się odsunęła i sługa Katona odetchnął głęboko, woląc fetor brudu i nędzy od trupiego odoru, który, kiedy rozmawiali, przeniknął im przez ubranie i przez skórę i nie mogli o nim zapomnieć nawet na szerokich ulicach i wśród ludzi, którzy śmiali się i przekrzykiwali, nieświadomi ropiejącego rozkładu zaułków tuż za ich plecami.

ROZDZIAŁ XXXVII

IN a horyzoncie bielał łańcuch wysokich gór. Gdzieś między poszarpanymi grzbietami znajdowały się trzy przełęcze, i to tamtędy mieli nadzieję uciec przed gniewem Rzymu.

Spartakusa, patrzącego na ośnieżone szczyty, ogarnęła nieprzeparta tęsknota za ojczyzną.

Tracji nie widział od dzieciństwa, lecz nie sądził, by miał ją kiedykolwiek zapomnieć. Zawsze kochał miejsca wyniesione ponad inne, gdzie ciało musi stawiać opór nieustannemu wiatrowi.

W takich miejscach człowiek czuje, że żyje.

- Popatrz, jakie bliskie - powiedział. - Moglibyśmy przejść przez nie w tydzień czy dwa i nigdy więcej nie oglądać Rzymian i ich oręża.

- Dopóki nie przyjdą w przyszłym roku i, tropiąc nas, nie przetrząsną Galii, jak ich znam -

odparł Kryksus.

W porównaniu z gladiatorem, za którym poszedł, był człowiekiem otwartym, tkwił w

rzeczywistości i nie dawał się zwodzić marzeniom ani szalonym pomysłom. Był niski i przysadzisty, zwłaszcza przy Spartakusie, który zachował młodzieńczą szczupłość i lekkość sylwetki i zdawał się być w pędzie, nawet kiedy stał w miejscu. Kryksus nie miał nic z takiego wdzięku. Urodzony w jakiejś kopalni, był równie brzydki jak silny i wśród

gladiatorów jedyny, który mógł mocować się ze Spartakusem i przynajmniej nie przegrać.

- Nie mogą nas znaleźć, Kryksusie. Galowie powiadają, że kraj za górami jest pełen zwaśnionych plemion. Legiony musiałyby toczyć wojnę przez dziesięciolecia, a brak im do tego ducha. Teraz,

po śmierci Sulli, nie mają ani jednego przyzwoitego dowódcy. Po przekroczeniu Alp

będziemy wolni.

- Niepoprawny marzyciel, tak, Spartakusie? - powiedział wyraźnie rozgoryczony Kryksus. -

Jakąż to wolność obiecujesz sobie i nam? Wolność do pracy cięższej niż tamta, niewolnicza?

Wydzieranie ziemi nędznego plonu w ciągłym zagrożeniu ze strony miejscowych? Oni nas nie chcą tak jak Rzymianie, bądź pewny. Ta twoja wolność przygnie nam karki na nowo, ja to wiem. Poprzestań na uwolnieniu kobiet i dzieci. Zostaw setkę mężczyzn, by przeprowadziła ich przez przełęcze, a my zawrócimy na południe i dokończymy sprawy.

Spartakus popatrzył na swojego zastępcę. Kryksus pałał żądzą krwi i zwycięstwo w Mutinie jedynie go rozgrzało. Po tym, co przeżył w rzymskich rękach, łatwo to było zrozumieć, lecz Spartakus wiedział, że chodzi o coś więcej.

- Pragniesz ich wygodnego życia, Kryksusie?

- A dlaczego nie? - zdziwił się Kryksus. - Czy nie po to się rozbija ul, by wybrać miód? Obaj pamiętamy wojnę domową. Ten, kto ma Rzym, ma wszystko. Wystarczy wziąć miasto, by

poddała się cała reszta. Sulla to wiedział!

- Sulla był wodzem rzymskim, nie niewolnikiem.

- To bez znaczenia! Kiedy raz się tam znajdziesz, możesz naginać prawa wedle własnej woli.

Nie ma żadnych innych poza tymi, które ustanawia silny. Wierz mi, jeżeli przepuścisz tę okazję, roztrwonisz wszystko, co osiągnęliśmy. Za dziesięć lat skrybowie będą pisać, że załogę w Mutinie stanowili buntownicy, a nas nazwą lojalnymi Rzymianami! Jeżeli

weźmiemy miasto, wepchniemy im w gardła ich historię i ich dumę i każemy im zaakceptować .nowy porządek. Wypowiedz tylko słowo, Spartakusie. Resztę zostaw mnie.

- A pałace i wielkie majątki? - dociekał Spartakus, zwężając oczy.

- Będą nasze! Dlaczego nie? Na co liczysz w Galii prócz krzaków i nędznych wiosek?

- Będziesz potrzebował niewolników do pracy w tych swoich majątkach, Kryksusie.

Pomyślałeś o tym? Kto obsieje twoje pola i będzie doglądał winorośli?

Kryksus pogroził pokiereszowaną pięścią mężczyźnie, którego kochał jak nikogo na świecie.

/

Rozdział XXXVII

423

- Wiem, o czym myślisz, ale my to urządzimy inaczej niż ci przeklęci krwiopijcy. Nie musi być tak, jak było.

Spartakus milczał, wciąż mrużąc oczy.

- No dobrze. Więc to senatowi każę zginać karki na moich polach i nawet będę płacił tym głupcom dniówkę.

Spartakus się zaśmiał.

- Kto tu jest marzycielem, Kryksusie? Posłuchaj, dotarliśmy do miejsca, w którym możemy zostawić za sobą dawne życie i zacząć nowe. Nie, nie zacząć, wrócić do takiego, jakie być powinno. Możliwe, że w końcu po nas przyjdą, ale jak powiedziałem, Galia jest dostatecznie duża, by ukryć więcej niż jedną armię. Będziemy szli na północ tak długo, aż znajdziemy miejsce, gdzie Rzym jest tylko pustą, a nawet

nieznaną nazwą. Jeżeli zawrócimy na południe, choćby bez kobiet i dzieci, ryzykujemy utratę wszystkiego, cośmy wygrali. I w imię czego?

Tego, żebyś mógł zasiąść pośród marmurów jakiegoś domu i pluć na starych ludzi?

- Pozwoliłbyś, by polowali na ciebie poza granicami ich ziem? - spytał z goryczą Kryksus.

Spartakus ścisnął mu ramię potężną dłonią.

- Czekałbyś, aż cię zabiją? Kryksus znów zapłonął gniewem.

- Niczego nie rozumiesz, ty tracki podrzutku - powiedział, uśmiechając się krzywo. - Ta ziemia jest także moją ziemią. Tutaj jestem twoim wodzem, niewolnikiem-młotem, który pokonał legion na jego własnej ziemi i dwa inne w Mutinie. W Galii będę członkiem jeszcze jednego marnie przefarbowanego plemienia. I ty tak samo. Bylibyśmy szaleni, odwracając się od tego całego bogactwa i władzy, by do końca naszych dni żyć nadzieją, że nigdy nas nie znajdą. Popatrz, mamy ze sobą Antonidusa. On zna ich słabości. Gdybym nie uważał, że zwyciężymy, wypiąłbym na nich tyłek i zniknął, nim zobaczyłbym następny legion, ale my możemy wygrać, możemy! Antonidus mówi, że pilnują jak psy każdej ze swoich granic, w Grecji, Afryce, wszędzie. Nie mają dość legionów w kraju, by nas pojmać. Bogowie, przecież sam widzisz, że północ stoi otworem. Antonidus mówi, że przeciw jednemu legioniście możemy wystawić trzech naszych ludzi. Nie będziesz miał takiej drugiej szansy, nie w tym życiu. Och, w końcu nieważne, ilu jest

tamtych, i tak możemy ich pokonać, a potem Rzym, miasta, kraj, bogactwa… wszystko będzie nasze. Wszystko.

Wyciągnął dłoń i wyszeptał słowa, które znaczyły każdy krok ich rebelii, od pierwszych szalonych dni do pierwszego nieśmiałego przekonania, że mogą zachwiać odwiecznym

porządkiem.

- Wszystko albo nic, Spartakusie?

Gladiator popatrzył na wyciągniętą dłoń, na ten symbol ich przyjaźni. Powędrował

spojrzeniem ku orłowi Mutiny, opartemu o połę jego namiotu. Po chwili namysłu odetchnął i powiedział:

- W porządku. Wszystko albo nic. Zabierzcie kobiety i dzieci. Chcę rozmawiać z Antonidusem, nim wyłożę sprawę naszym ludziom. Myślisz, że pójdą za nami?

- Nie za nami, Spartakusie. Pójdą za tobą, wszędzie. Spartakus kiwnął głową.

- A więc zawrócimy na południe i uderzymy wroga w samo serce.

- I wyprujemy bebechy.

Pompejusz rozkazał Lepidusowi stanąć ze swoim legionem na czele kolumny, zmuszając ich do narzucania tempa marszu. Za nimi szli Pierworodni prowadzeni przez Krassusa i

Pompejusza. Przesłanie było wyraźne i pierwsze sto mil zostało za nimi tak prędko, jak chciał

wódz, choć na tyle wolno, by nikt nie ucierpiał.

Wieczory w dwóch wielkich obozach bywały spokojniejsze niż na Via Flaminia. Marsz

pozbawiał legionistów energii i kiedy od-trąbiono postój, każdy pragnął jedynie jedzenia i snu. Nawet Brutus przestał urządzać zawody, uznając w końcu pojedynek z Domi-cjuszem -

po dwóch przegranych i dwóch zwycięstwach - za nierozstrzygnięty. W przerwach między jednymi a drugimi Kabera grał w kości i odzyskiwał to, co stracili w zakładach.

Każdego dnia jeźdźcy z grup zwiadowczych wracali z zatrważająco krótkimi meldunkami: nie ma śladu po armii niewolników. Pompejusz rozsyłał coraz więcej zwiadowców, na północ i na zachód, nakazując ich znaleźć. Nie mówiło się głośno, za to bano się po cichu, że w tak rozległym kraju

rebelianci mogliby im się wymknąć i ruszyć przeciw bezbronnemu południu.

Każdej nocy narady wodzów przeradzały się w kłótnie i mani-

festacje złego humoru. Zamiast obrazić się na Pompejusza, że postawił go na czele kolumny, Lepidus zdawał się rozkoszować całą sytuacją, i Pompejusz coraz mniej chętnie wysłuchiwał

jego narzekań. Zdaniem Lepidusa, tylko on swoim autorytetem wymuszał tempo, którego żądał Pompejusz od legionów, i każdej nocy straszył, że ostateczną ceną za taki wysiłek będzie kompletna katastrofa. Był mistrzem w doprowadzaniu Pompejusza do granic

cierpliwości i z czasem nocne narady przerodziły się w wojnę nerwów między dwoma

mężczyznami, wojnę, której Krassus nie potrafił położyć kresu. Juliusz miał jedynie nadzieję, że Lepidus potrafi równie dobrze walczyć, jak się kłócić.

Po dwóch tygodniach na zachodnich drogach Lepidus doniósł triumfalnie, że ludzie padli i że zostawiono ich w strażnicach czy w przydrożnych wioskach, z rozkazami, by dołączyli do kolumny, kiedy wyzdrowieją. Legiony były bliskie wyczerpania i kiedy Lepidus domagał się odpoczynku dla ludzi, inni legaci zaczęli brać jego stronę. Pompejusz, zagrożony utratą autorytetu, zgodził się niechętnie i zarządził cztery dni postoju. Odmówiono go jedynie doborowej jeździe, rozesłanej wokół w ostatniej próbie odnalezienia armii niewolników.

W końcu jeźdźcy przygałopowali do obozu z konkretnymi wieściami: rebelianci posuwają się na południe i na wschód, wracają z gór na równiny. Pompejusz zebrał wodzów, by przekazać im ponure wieści.

- Odbili na powrót w stronę Rzymu i zwiadowcy mową, że maszeruje osiemdziesiąt tysięcy.

Przystał do nich każdy niewolnik z północy.

Nie było sensu zatajania przed wodzami niepokojących liczb, w sytuacji gdy rebelianci byli nie dalej niż sto mil. Teraz, kiedy zwiadowcy ich odnaleźli, nie można było spokojnie patrzeć, jak uciekają. Jedyne, co należało zrobić, to wybrać najlepsze miejsce do ataku.

- Jeżeli idą na południe, możemy albo maszerować na ich spotkanie, albo czekać, aż przyjdą -

ciągnął Pompejusz. - Nieważne, co się wydarzy, nie mogą nam się wymknąć. W przeciwnym razie stracimy Rzym. Żeby było jasne, panowie, jeżeli przełamią nasze linie, Rzym padnie i wszystko, co kochamy, umrze, jak Kartagina

przed nim. W razie potrzeby będziemy walczyć do ostatniego człowieka i niech wasi ludzie będą tego świadomi. Nie ma dokąd się wycofać, nie ma żadnego bezpiecznego schronienia, gdzie można się przegrupować i uderzyć ponownie. Republika opiera się wyłącznie na nas.

Lepidus był tak samo wstrząśnięty jak inni.

- Osiemdziesiąt tysięcy! Wierzę w naszych żołnierzy tak samo jak każdy, ale… legiony z Grecji i Hiszpanii muszą być odwołane. Senat nie znał rozmiaru zagrożenia, kiedy nas tu wysyłał.

Pierwszy raz Pompejusz zniósł jego wybuch bez słowa upomnienia.

- Wysłałem meldunki do Rzymu, lecz jesteśmy tu i nawet gdyby granice zostały odarte z legionów i nie oznaczałoby to utraty wszystkiego, co zebraliśmy przez setki lat, te wojska nie dotrą do nas w porę, by odmienić losy walki.

- Więc nim dotrą, spróbujmy zarządzić odwrót w walce. Kto potrafi wytrzymać napór osiemdziesięciu tysięcy! Zostaniemy otoczeni i pokonani już w pierwszej godzinie. Nie, to niemożliwe!

- Powiedz to przed ludźmi, a stanie się właśnie tak, jak wróżysz - warknął Pompejusz na wodza. - Nie zmierzymy się z wyszkolonymi żołnierzami, Lepidusie. Prawdopodobnie

udałoby się im uciec przez góry, ale zamiast tego wolą zawłaszczać cudze bogactwa, podczas gdy nasi ludzie walczą za własne rodzinne miasto i życie każdego obywatela w tym mieście.

To ich szeregi się załamią. My wytrwamy.

- Dowódca w Mutinie mówił prawdopodobnie to samo - mruknął Lepidus, ale nie na tyle głośno, by Pompejusz musiał odpowiedzieć, chociaż spiorunował go wzrokiem.

- Moje rozkazy są krótkie: podjąć walkę i zniszczyć wroga. I właśnie to zrobimy. Jeżeli będziemy na nich czekać, mogą nas obejść bokiem, więc to my im poniesiemy wojnę.

Przygotować ludzi do marszu na północ. Lepidusie, zajmiesz lewe skrzydło i rozciągniesz ludzi w szeroką linię, by nie zdołali nas otoczyć. Juliuszu, chcę, byś także stanął na lewym i kiedy zajdzie potrzeba, masz wraz z częścią konnych jednostek wspierać Lepidusa. Krassus i ja zajmiemy prawe, jak zawsze, i to na prawym skupię większość jazdy, tak by szeregi niewolników nie rozsypały się wokół nas i nie

ruszyły na południe i na wschód, w stronę Ariminum. Nie można im pozwolić na zajęcie miasta.

Jeden z dwóch legatów z Ariminum odchrząknął.

- Chciałbym zająć prawe skrzydło razem z tobą, panie. Wielu z moich ludzi ma rodziny w Ariminum. Ja też. Moi ludzie będą walczyć do upadłego, wiedząc, co może się zdarzyć, kiedy prawe się załamie.

- Dobrze - zgodził się Pompejusz. - Legiony z Ariminum będą stanowić jądro prawego.

Reszta zajmie środek. Chcę, by na pierwszą linię poszli oszczepnicy, nie lekkozbrojni. W

pierwszym ataku bardziej przyda się siła niż prędkość. I niech trzecie szeregi nadejdą natychmiast, gdyby natarcie straciło impet czy zawróciło. Choć mam nadzieję, że spotkamy się z siłą, której nasi weterani mogą sprostać.

Narada skończyła się o świcie i dzień minął na zwijaniu obozu przed marszem. Juliusz krążył

wśród Pierworodnych, przekazując rozkazy Brutusowi i wyznaczając pozycje centurionów.

Nim nadszedł wieczór, każdy człowiek był świadomy wagi zbliżającej się bitwy i w

większości o pęcherzach i skręconych kostkach zapomniano albo je zlekceważono. Mimo pogłosek o wielkiej liczbie wroga każdy żołnierz był zdecydowany, że legiony nie wydadzą Rzymu i swoich rodzin na pastwę napastnika. Rzymscy legioniści wiedzieli lepiej niż ktokolwiek na świecie, że ich zdyscyplinowanie i umiejętności są niezrównane, bez względu na to, kto i w jakiej sile miał stanąć przeciwko nim.

Armię Spartakusa dostrzeżono o zachodzie słońca. Padły rozkazy, by rozstawiony na noc obóz zabezpieczyć dwukrotnie wyższymi obwarowaniami. Straże zmieniano często i każdy wyrwany z krótkiego snu żołnierz był gotowy do odpierania nocnego ataku, chociaż i tak nocne godziny upływały na sprawdzaniu zbroi i mieczy, oliwieniu skóry i polerowaniu metalu. Groty oszczepów naostrzono lub zamieniono na świeżo wykute w obozowej kuźni.

Zgromadzono stos kamiennych pocisków i ciężkie balisty i onagery wyznaczyły koleiny w ziemi już przed świtem. Armia niewolników nie miała żadnych wielkich machin i chociaż oni ustawili tylko jeden szereg, nawet jeden onager swoim „kopnięciem muła” mógł spustoszyć szeregi wroga.

Brutus potrząsnął Juliusza za ramię i wybudził go z lekkiego snu.

- Czy to moja zmiana? - spytał Cezar niezbyt przytomnie, siadając w ciemnym namiocie.

- Ciiicho… Wyjdź na dwór. Chcę ci coś pokazać.

Juliusz, lekko poirytowany, poszedł za Brutusem przez obóz. Przystawali dwa razy, by rzucić hasło czujnym strażom. Mając przed sobą szeroko rozciągnięty łańcuch wroga, obóz był

daleki od spokoju. Wielu ludzi, nie mogąc spać, siedziało na zewnątrz namiotów albo wokół

małych ognisk, cicho rozmawiając. Napięcie i strach ściskały pęcherze przez całą noc. Juliusz i Brutus, przechodząc obok, bardziej wyczuli, niż zobaczyli, że rowy już zdążyły przesiąknąć uryną.

Juliusz zauważył, że Brutus kieruje się wprost do bramy w północnej ścianie obozu.

- Co robisz? - syknął do przyjaciela.

-Jesteś mi potrzebny, bym mógł wyjść poza straże. One usłuchają rozkazu trybuna.

Szeptem przekazał swoje zamiary i Juliusz zerknął ukradkiem na przyjaciela, podziwiając jego nieprzebrane zasoby energii. Zastanawiał się w myślach, czyby mu nie odmówić i nie wrócić do namiotu, ale nocne powietrze już go zdążyło orzeźwić i drugi raz pewnie by nie zasnął.

Bram strzegły wyborowe konne straże, wciąż zakurzone po zwiadowczych wypadach.

Dowódca podjechał do nich, gdy tylko się pokazali.

- O co chodzi? - rzucił krótko.

- Chcę opuścić obóz na parę godzin - odrzekł Juliusz.

- Nie wypuszczam nikogo. Rozkaz to rozkaz.

-Jestem legatem przy legionie Pierworodnych, trybunem Rzymu i siostrzeńcem Mariusza.

Pozwól nam przejść. Centurion się zawahał.

- Powinienem o tym zameldować, panie. Jeśli wyjdziesz, złamiesz bezpośredni rozkaz Pompejusza.

Juliusz spojrzał na Brutusa, klnąc po cichu, że postawił go w takiej sytuacji.

- Wyjaśnię to wodzowi po powrocie. Melduj zatem, jeśli widzisz potrzebę.

Brutus potrząsnął Juliusza za ramię i wybudził go z lekkiego snu.

- Czy to moja zmiana? - spytał Cezar niezbyt przytomnie, siadając w ciemnym namiocie.

- Ciiicho… Wyjdź na dwór. Chcę ci coś pokazać.

Juliusz, lekko poirytowany, poszedł za Brutusem przez obóz. Przystawali dwa razy, by rzucić hasło czujnym strażom. Mając przed sobą szeroko rozciągnięty łańcuch wroga, obóz był

daleki od spokoju. Wielu ludzi, nie mogąc spać, siedziało na zewnątrz namiotów albo wokół

małych ognisk, cicho rozmawiając. Napięcie i strach ściskały pęcherze przez całą noc. Juliusz i Brutus, przechodząc obok, bardziej wyczuli, niż zobaczyli, że rowy już zdążyły przesiąknąć uryną.

Juliusz zauważył, że Brutus kieruje się wprost do bramy w północnej ścianie obozu.

- Co robisz? - syknął do przyjaciela.

-Jesteś mi potrzebny, bym mógł wyjść poza straże. One usłuchają rozkazu trybuna.

Szeptem przekazał swoje zamiary i Juliusz zerknął ukradkiem na przyjaciela, podziwiając jego nieprzebrane zasoby energii. Zastanawiał się w myślach, czyby mu nie odmówić i nie wrócić do namiotu, ale nocne powietrze już go zdążyło orzeźwić i drugi raz pewnie by nie zasnął.

Bram strzegły wyborowe konne straże, wciąż zakurzone po zwiadowczych wypadach.

Dowódca podjechał do nich, gdy tylko się pokazali.

- O co chodzi? - rzucił krótko.

- Chcę opuścić obóz na parę godzin - odrzekł Juliusz.

- Nie wypuszczam nikogo. Rozkaz to rozkaz.

-Jestem legatem przy legionie Pierworodnych, trybunem Rzymu i siostrzeńcem Mariusza.

Pozwól nam przejść. Centurion się zawahał.

- Powinienem o tym zameldować, panie. Jeśli wyjdziesz, złamiesz bezpośredni rozkaz Pompejusza.

Juliusz spojrzał na Brutusa, klnąc po cichu, że postawił go w takiej sytuacji.

- Wyjaśnię to wodzowi po powrocie. Melduj zatem, jeśli widzisz potrzebę.

Rozdział XXXVII

429

- Tak, panie, widzę. Ale Pompejusz zechce wiedzieć, co robisz - ciągnął centurion, krzywiąc się lekko.

Juliusz mógłby podziwiać jego lojalność, gdyby nie strach, co powie Pompejusz, kiedy centurion spełni swoją groźbę.

- W pobliżu jest skałka, z której roztacza się widok na jutrzejsze pole walki - powiedział

spokojnie. - Brutus jest przekonany, że zobaczymy stamtąd siły nieprzyjaciela.

- Wiem, panie, lecz zwiadowcy powiadają, że ta skałka jest za stroma na wspinaczkę.

Właściwie jest całkiem pionowa - powiedział centurion i niepewnie potarł brodę.

- Przynajmniej warto spróbować - wtrącił szybko Brutus. Centurion, wyraźnie bijąc się z myślami, przeniósł wzrok na

drugiego mężczyznę, jakby go zauważył dopiero teraz.

- Mogę zaczekać z meldunkiem trzy godziny, do kolejnej zmiany. Jeżeli nie wrócicie, uznam was za dezerterów. To wszystko, co mogę zrobić dla siostrzeńca Mariusza.

- Jak masz na imię, dobry człowieku?

- Taranus, panie. Juliusz poklepał konia.

-Juliusz Cezar, Marek Brutus. Znaj nasze imiona. Wrócimy przed zmianą straży, Taranusie.

Masz moje słowo, wrócimy.

Straże odsunęły się na bok, przepuszczając ich na rozkaz Taranusa, i Juliusz znalazł się na skalistej równinie. Kiedy straże ich nie słyszały, natarł na Brutusa.

- To wprost niewiarygodne, że dałem ci się przekonać. Jak Pompejusz się dowie o naszym wyczynie, obedrze nas ze skóry. W najlepszym razie.

Przyjaciel wzruszył obojętnie ramionami.

- Nic się nie bój, najważniejsze to wspiąć się na tę skałkę. Zwiadowcom Pompejusza się zdaje, że tam, gdzie nie wjadą na koniu, nie sposób się dostać. Przed zmierzchem obejrzałem sobie to miejsce i jestem pewien, że z wierzchołka będzie dobry widok. Przy księżycu obejrzymy cały obóz wroga. To rzecz warta zachodu, bez względu na to, co nam zrobi Pompejusz.

- Lepiej, żebyś miał rację - burknął Juliusz. - Ruszajmy, trzy godziny to nie wieczność.

Młodzi mężczyźni rzucili biegiem, w stronę ciemnego kształ-

tu rysującego się na tle gwiaździstego nieba. Niegroźna skałka okazała się groźną skałą.

Czarnym zębem na czarnej skalistej równinie.

- Z bliska jest większa - szepnął Brutus, zdejmując sandały i odpinając miecz.

Chociaż groziło im pokaleczenie stóp, podkute sandały ślizgałyby się i stukały na skale i mogły postawić wroga w stan pogotowia. Nie sposób zbadać, gdzie stoją ich straże, ale było pewne, że blisko.

Juliusz popatrzył na księżyc; próbował ocenić, ile mają czasu, nim się schowa.

Niezadowolony z obliczeń, pozbył się miecza i sandałów i odetchnął głęboko. Bez słowa sięgnął do pierwszego uchwytu, wcisnął dłoń w szczelinę i zapierając się bosymi stopami o szorstką powierzchnię, dźwignął się w górę.

Wspinaczka okazała się trudna, a jasny księżycowy blask niewiele pomagał, za to mógł im napytać biedy. Przez całą drogę Juliusz zadręczał się myślą, że zobaczy ich jakiś łucznik, plunie na nich strzałami, które przetrącą im karki, i obaj spadną na skalisty grunt. Skalna iglica wydawała się coraz wyższa i Juliusz był pewien, że miała sto, a nawet dwieście stóp wysokości. Po jakimś czasie odrętwiałe nogi już go ledwo podtrzymywały, a dłonie wykręcał

bolesny skurcz. Zaczął się martwić, że nie wrócą do obozu w porę i że Pompejusz dostanie odpowiedni meldunek.

Wydawało mu się, że dotarcie do nagiego wierzchołka skały zajęło im prawie godzinę. Przez chwilę obaj leżeli płasko i nieruchomo, ciężko dysząc i czekając, aż zmęczone mięśnie odzyskają zwykłą prężność.

Szczyt w świetle księżyca był prawie biały. Juliusz podniósł głowę, poderwał się i czym prędzej kucnął, zlany nagłym potem przerażenia.

Na szczycie był ktoś jeszcze, tylko stopę od nich; dwie siedzące postaci, które się przyglądały, jak Juliusz sięga do

pustego boku. Juliusz zaklął. Zapomniał, że miecz został na dole.

- Wygląda na to, że mieliście ten sam pomysł co my - zabulgotał śmiechem jakiś głęboki głos.

Teraz zaklął Brutus i wyprostował się tak samo przerażony jak

Rozdział XXXVII

431

Juliusz. Głos mówił po łacinie, ale obaj Rzymianie szybko pozbyli się złudzeń, że należy do któregoś z ich ludzi.

- Tu się nie da wejść z mieczem, chłopcy, to jasne, choć nie będę ukrywał, że mam sztylet i radzę zachowywać się spokojnie. Przesuńcie się bliżej i niech żaden mnie nie zdenerwuje gwałtownym ruchem.

Brutus i Juliusz popatrzyli po sobie. Nie było odwrotu. Dwie postaci wstały i stanęły przed nimi, wypełniając sobą skromną przestrzeń. Mężczyźni byli boso, tak jak oni, i mieli na sobie jedynie tuniki i owijacze. Jeden z nich machnął sztyletem.

- Myślę, że dzięki niemu jestem panem tej nocy, chłopcy, a wy, zgadując po ubraniach, jesteście Rzymianami. Przyszliście sobie popatrzeć, tak?

- Zabijmy ich - powiedział drugi.

Brutus popatrzył na niego z nieprzyjemnym uczuciem. Mężczyzna był zbudowany jak

zapaśnik i światło księżyca odsłoniło jego bezlitosne oblicze. Brutus mógł liczyć jedynie na to, że spadając, porwie za sobą osiłka, lecz to była ostateczność. Odsunął się powoli od krawędzi.

Pierwszy mężczyzna położył dłoń na piersi swojego przyjaciela.

- Nie rób tego, Kryksusie. Na to będzie dosyć czasu jutro, podczas bitwy. Jedni i drudzy zdążą przelać dość krwi, wrzeszcząc i grożąc sobie nawzajem.

Zapaśnik ustąpił z cichym chrząknięciem i odwrócił się plecami do dwójki Rzymian. Był na wyciągnięcie dłoni, lecz

coś w jego czujnej postawie ostrzegło Brutusa przed pchnięciem.

Możliwe, że na to liczył.

-Jesteście uzbrojeni? - spytał uprzejmie pierwszy, kiwając, by podeszli bliżej.

Kiedy się nie ruszyli, sam podszedł do Juliusza, z obnażonym, gotowym do ciosu sztyletem.

Niższy stanął za nim i patrzył wściekłym wzrokiem na młodych mężczyzn, wyraźnie ich prowokując.

Juliusz pozwolił się poklepać i stanął z boku. Mężczyzna przeszukał Brutusa. Był ostrożny, a jego bary wyglądały dostatecznie potężnie, by mógł pchnąć Rzymianina za krawędź choćby gołą ręką.

- Grzeczni chłopcy - powiedział, upewniwszy się, że są całkowicie bezbronni. - Jestem niebezpiecznym draniem i tylko dlatego chodzę ze sztyletem. Będziecie walczyć jutro?

Juliusz przytaknął, niezdolny uwierzyć w to, co się im przydarzyło. Myślał gorączkowo, ale nie było nic do zrobienia. Kiedy to sobie uzmysłowił, rozluźnił się i roześmiał. Brutus, przestraszony, podskoczył, a mężczyzna ze sztyletem zachichotał cicho.

- Równie dobrze możesz się śmiać, chłopcze, bo jak na walkę, trochę tu mało miejsca. A teraz róbcie swoje. Bez względu na wasze meldunki, niewiele jest rzeczy, które mogłyby nas jutro powstrzymać.

Obserwując mężczyznę, czy nie zrobi nagłego ruchu, Juliusz usiadł. Na myśl, że

wystarczyłoby jedno krótkie pchnięcie, a spadnie na dół, żołądek podjechał mu do gardła.

Sytuacja była co najmniej dziwna, lecz mężczyzna ze sztyletem wydawał się całkowicie odprężony i nie zamierzał

podejmować walki, która czekała ich na ziemi.

Z wierzchołka granitowej iglicy obóz rebeliantów wydawał się niewiarygodnie blisko, prawie tak, jakby jeden dobry skok mógł ich przenieść w sam jego środek. Juliusz patrzył w dół i się zastanawiał, czy pozwolą im wrócić, zanim centurion zamelduje o ich misji.

Mężczyzna ze sztyletem wsunął broń w fałdy tuniki, usiadł obok Juliusza i poszedł za jego spojrzeniem.

- Największa armia, jaką kiedykolwiek widziałem - powiedział pogodnie, wskazując na swój obóz. - Myślę, że czeka was jutro ciężki dzień.

Juliusz zmilczał, nie chcąc, by go pociągnięto za język. Po cichu odnosił takie samo wrażenie.

Obozu wroga prawie nie dawało się objąć okiem; wyglądał tak, jakby mógł wchłonąć ich osiem legionów i nikt by tego nie zauważył.

Brutus i zapaśnik stali, nie spuszczając z siebie nawzajem oczu. Mężczyzna ze sztyletem wyszczerzył się do nich.

- Siadajcie - powiedział, zachęcając obu lekkim ruchem głowy. Niechętnie podeszli i usiedli blisko siebie, sztywno i w napięciu.

Rozdział XXXVII

433

- No to ile macie, trzydzieści, czterdzieści tysięcy? - spytał Brutusa zapaśnik.

- Spróbuj zgadnąć - odpowiedział krótko Brutus. Mężczyzna zaczął się podnosić, lecz jego towarzysz zatrzymał

go w miejscu ledwo widocznym gestem.

-Jakie to ma znaczenie? Tak czy inaczej zmusimy Rzymian do ucieczki. - Człowiek ze sztyletem uśmiechnął się teraz do Juliusza, najwyraźniej licząc na ciętą odpowiedź.

Juliusz go zignorował, wpatrując się w obóz w dole i wbijając sobie do głowy szczegół po szczególe. Księżyc powoli się

chował i Juliusz wstał ostrożnie, tak by nie poderwać na nogi swoich dziwnych przypadkowych towarzyszy.

- Powinniśmy wracać - powiedział, czując, jak mięśnie znów w nim tężeją.

- Tak, my też - odpowiedział ten ze sztyletem, podnosząc się zwinnie i bez najmniejszego wysiłku.

Przerastał wszystkich o głowę albo i więcej i sądząc po szybkich, zdecydowanych ruchach, był wojownikiem. Brutus zauważył to, i być może mężczyzna o sylwetce zapaśnika dlatego był tak spięty i rozjątrzony.

- To było… interesujące. Mam nadzieję, że ty i ja nie spotkamy się jutro - powiedział Juliusz do tego ze sztyletem.

- Mam nadzieję, że my dwaj tak - rzucił Brutus pod adresem zapaśnika, który parsknął

pogardliwie.

Mężczyzna ze sztyletem przeciągnął się, skrzywił i poklepał Juliusza po ramieniu.

- Wszystko w rękach bogów, chłopcze. A teraz, jak myślę, mój przyjaciel i ja powinniśmy zejść pierwsi, tak? Nie chciałbym, byście się rozmyślili co do naszego skromnego

żołnierskiego rozejmu, kiedy sięgniecie po miecz. Cofnijcie się do miejsca, którym wyszliście w górę, a my znikniemy w jednej chwili.

Stało się tak, jak powiedział, i Brutus sapnął głośno.

- Myślałem, że już po nas.

- Ja tak samo. Nie sądzisz, że to był Spartakus?

- Możliwe. Kiedy opowiem ludziom tę historię, na pewno nim będzie. - Brutus zaczął się śmiać. Wyraźnie odreagowywał napięcie minionej godziny.

- Lepiej ruszajmy, inaczej straże podadzą nas Pompejuszowi jak na półmisku - powiedział

Juliusz. Spuścili się szybko, nie zważając na szorstką skałę i poranione nogi. Sandały tkwiły tam, gdzie je zostawili, lecz po obu mieczach nie było śladu. Brutus ruszył, by przejrzeć okoliczne krzaki, ale wrócił z pustymi rękami.

- Łajdak, jeden z drugim. Ani krzty honoru.

ROZDZIAŁ XXXVIII

Uwie godziny przed świtem legiony zwinęły obóz i uformowały szyk bojowy. Kiedy zrobiło się na tyle widno, by cokolwiek zobaczyć, trębacze uderzyli w swoje płaczliwe tony i wielkie czworoboki legionistów ruszyły, w marszu otrząsając się ze sztywności nocnego chłodu. W

sytuacji, kiedy armia Spartakusa wypełniała równinę i zdawała się sięgać po kres horyzontu, w szeregach nie toczono żadnych rozmów ani jałowych sporów. Nawet skrzypienie sandałów tłumił wilgotny grunt i każdy rozluźniał ramiona, wiedząc, że są coraz bliżej chwili, w której cisza pęknie w chaos.

Na wszystkie linie wytoczono onagery i balisty. Kiedy naciągnięto grube liny z końskiego włosia, a machiny były gotowe do wyrzucania kamieni, żelaznych kul i strzał i do siania śmierci w szeregach wroga, zgromadzeni wokół nich mężczyźni zakrzyknęli radośnie.

Juliusz maszerował z Brutusem i Cyronem u boku, o krok za nimi Reniusz. Chociaż próba ataku na Juliusza podjęta przez jakiegoś człowieka z zaciągu Katona mogła się równać samobójstwu, trzej towarzyszący mu mężczyźni byli przygotowani na taką ewentualność. Dla Kabery nie było żadnego stosownego miejsca w szeregach i stary uzdrawiacz mimo skarg i narzekań pozostał w obozie, razem z resztą świty. Juliusz był nieustępliwy. Gdyby nawet ten starzec dał radę przywdziać zbroję i udźwignąć miecz, nigdy przedtem nie walczył jako legionista i mógł wśród Rzymian wokół siebie wprowadzić nieład i zamieszanie.

Za łucznikami, w głębi ósmego szeregu, czterech mężczyzn

otaczali najlepsi spośród Pierworodnych, ludzie, których Reniusz wyćwiczył i zahartował, i przygotował na taki dzień. Z zaciągu Katona w linii natarcia nie było nikogo.

Choć wielu panicznie bało się ataku, każdy równał krok do pierwszych szeregów. Zęby były obnażone nieświadomie, kiedy każdy zostawiał za sobą wszystko na tym świecie. Mroczne

popędy, trzymane na wodzy w miastach, tu były mile widziane i kilku z ludzi, nagle sobie uświadamiając tę dziwną wolność, krztusiło się krótkim śmiechem.

Padł rozkaz do zatrzymania i chwilę później powietrze rozdarł grzmot machin wojennych.

Potężna broń, wyrzuciwszy pociski, znieruchomiała. Niewolnicy nie mogli uniknąć" gradu kamieni i żelaza i setki zostało rozerwanych na strzępy. Powoli kołowroty znów naciągnęły liny i Pompejusz, oblizując zaschnięte wargi, czekał, by dać znak.

Po trzeciej salwie padł rozkaz - do przodu. Machiny miały rzygnąć pociskami raz jeszcze, nad ich głowami, nim szeregi się zewrą.

Kiedy armie się zbliżyły, legioniści zrzucili z siebie gładką skórę cywilizacji i jedynie twarda wojskowa dyscyplina powstrzymywała ich przed narastającą żądzą zabijania. Poprzez

prześwity w szeregach mogli podchwycić spojrzenia czekającego na nich wroga -ciemnej ściany mężczyzn, którzy przyszli wypróbować siły ostatnich obrońców Rzymu. Jedni nieśli gladiusy, lecz inni topory i kosy czy długie miecze ukradzione z kwater legionu w Mutinie.

Kamienie wyrzucone przez onagery wyżłobiły w ziemi krwawe bruzdy, ale ludzie szybko je zadeptali.

Juliusz dyszał z podniecenia i strachu, tak samo jak ci wokół niego, kiedy ramię dotykało ramienia i pulsy przyspieszyły, napełniając ich siłą i szaleńczą energią. Tuż obok ktoś krzyknął dziko.

- Spokojnie, Pierworodni! - zagrzmiał, choć sam czuł nieodpartą chęć, by rzucić się do przodu.

Zobaczył Brutusa, którego także przepełniało uniesienie i któremu każdy moment przed pierwszym szarpnięciem bólu wydawał się dłuższy niż całe życie. Miną setki lat, nim legiony przemierzą równinę, pomyślał Juliusz, lecz wtedy dwa frontowe szeregi uniosły włócznie z głuchym pomrukiem, który zlał się z wrzaskiem

Rozdział XXXVIII

obrony, i spokój chwili roztrzaskał się na setki dźwięków. Zaczęli biec, chociaż niebo nad nimi poczerniało od oszczepów, i pierwsi niewolnicy padli pod ich uderzeniem.

Wróg wył dostatecznie głośno, by wypełnić tym wyciem świat, i pędził na legionistów.

Pierwsze zwarcie nastąpiło z trzaskiem, który zagłuszył wszystkie inne dźwięki. Ciężkie rzymskie tarcze wypchnięto do góry, w szczelną linię, i impet uderzenia zbił z nóg setki niewolników. Potem miecze zanurzyły się w ciała i krew tryskała na oślep, aż pokrył się nią pierwszy szereg, a ramiona i twarze zrobiły się mokre, kiedy miecze odcinały członki i zabijały życie w ludziach, z którymi się Rzymianie zmierzyli.

Z Brutusem u prawego boku Juliusz mógł się poruszać wokół jego tarczy, podczas gdy Cyron stał za własną. Zakorzeniona głęboko dyscyplina powstrzymywała szeregi z tyłu pierwszej linii, pozwalając im obserwować rzeź z odległości ledwo paru stóp, i kiedy oszczepnicy parli naprzód przez szeregi wroga, na nich także padały piekące krople krwi. Cyron z niestrudzoną siłą ścinał wszystko, co stało mu na drodze. Juliusz i Brutus posuwali się równo z innymi, zatapiając swoje miecze w mijanych ciałach. Do czasu gdy tylne szeregi przeszły po trupach i każdy żołnierz zbryzgał krwią swój miecz, z żywych istot zostały białe kości i poszarpane ochłapy mięsa.

Oszczepnicy, ludzie z dziesiątką lat solidnych doświadczeń, stanowili kręgosłup armii. Nie było w nich miejsca na strach,

ale Juliusz zaczął wyczuwać zmianę tempa natarcia. Atak powoli słabł. W obliczu takich rzesz przeciwnika zmęczyli się nawet oni i wielu w szeregach ruszyło do przodu, by wypełnić wyrwy, depcząc po wijących się w agonii ciałach ludzi, których znali i uważali za przyjaciół. Reniusz szedł z nimi, z tarczą grubymi sprzączkami przypiętą do zbroi. Zabijał pojedynczymi pociągnięciami, nieustannie przyjmując ciosy na twarde drewno i kontratakując. Tarcza uginała się i trzeszczała pod kolejnymi uderzeniami, lecz nie pękła.

Trębacze dęli w rogi swoje trzy dźwięki raz za razem, i przez całą rozciągniętą linię ataku szedł blask, kiedy jednostki Rzymu napierały na wroga z dyscypliną, która nie miała równej sobie na całym świecie. Oszczepnicy podnieśli tarcze, by się zasłonić, i wtopili się gładko w swoje oddziały, podczas gdy do przodu ruszyły

trzecie szeregi. Dyszeli i byli zmęczeni, lecz przepełniała ich dzika radość i krzyczeli zachęcająco do weteranów z dwudziestką lat wojaczki na karku, którzy biegli uformować nową pierwszą linię. Trzecie szeregi to byli najlepsi z najlepszych, to byli mężczyźni w pełni sił. Za rodzinę i przyjaciół starczały im legiony, w których służyli, i szybko schlapała ich krew, tak samo jak oszczepników przed nimi. Szeregi Pierworodnych, których liczbę

dopełniały niewprawne oddziały Katona, miały ich zaledwie garść, poza Reniu-szem. Kiedy niewolnicy rzucili się na legiony, nowy zaciąg umierał prędzej niż doświadczeni żołnierze wokół, i Pierworodni ponieśli najwięcej ofiar.

Atak ruszył ponownie po trupach zabitych. Nie było innej drogi, ponieważ żadne ze skrzydeł

się nie zachwiało ani nie cofnęło od krwawiącej wyrwy pierwszego szeregu. Juliusz czekał w piątej linii, pośród spinających się do ataku Pierworodnych. Ramiona i miecze

drżały niecierpliwie, kiedy stali na tyle blisko pogromu, by krople krwi rozpryskiwały się na nich jak deszcz i spływały strugami po wypolerowanych rzymskich zbrojach.

Niektóre oddziały wykruszyły się na oszczepnikach, inne - kiedy ruszyły trzecie szeregi, aby w gwałtownym natarciu złamać wolę walki wroga. Ciał, które Rzymianie przebili włóczniami i przez które przeszli, były setki, może tysiące wzdłuż całej linii, lecz armia Spartakusa straciła zaledwie obrzeża i wkrótce każdy człowiek wiedział, że ich oddziały mogą zająć miejsce przyjaciół. I kiedy już raz zobaczyli, że jest to nieuniknione, nawet najsłabsi zapanowali nad nerwami, czekając na dojście do pierwszego szeregu.

- Pierworodni… oszczepy po raz drugi! - rozkazał Juliusz, powtarzając rozkaz na lewo i prawo.

Z szeregów za nimi, nad głowami własnych ludzi poszybowały oszczepy i wylądowały,

niewidoczne, w stłoczonych masach wroga. Akcję powtórzono na całej linii. O tym, że życie skończyło wielu, mówiły jedynie dalekie krzyki.

Juliusz wspiął się na palce i zaczął wykręcać szyję, by zobaczyć,

co się dzieje na obu skrzydłach. Wobec tak licznych zastępów

¦wroga jazda musiała ustrzec Rzymian przed okrążeniem. Gdy

szeregi armii Spartakusa uginały się przed Rzymianami, nagły błysk

pamięci podsunął mu pod oczy dawną szkolną izbę i lekcję

Rozdział XXXVIII

439

0 bitwach Aleksandra. Armia rzymska, choć ogromna, mogła być połknięta i zniszczona, chyba że zachowa silne skrzydła.

Kiedy Juliusz zaczął się rozglądać na boki, wyczuł jakąś zmianę po lewej stronie. Linia Lepidusa niebezpiecznie się wygięła i wróg wlewał się w wyrwę. Było za daleko, żeby rozróżnić szczegóły,

1 kiedy ich szereg, a więc także on i Brutus ruszyli do przodu, stracił żołnierzy Lepidusa z oczu i zaklął.

- Brutusie, z Lepidusem dzieje się coś niedobrego. Stań na palce i postaraj się dobrze przyjrzeć.

Brutus wyciągnął się w górę.

- To niemożliwe - powiedział przerażony - tam łamią się szyki. Bogowie, oni chyba zawracają!

Juliusz prawie wpadł na człowieka przed sobą, kiedy tamten skrócił krok. Spojrzał do przodu, przez cztery rzędy ludzi. Weterani trzecich szeregów miażdżyli niewolników i -wcale nie wyglądali na zmęczonych. Juliusza zaczął ogarniać strach. Gdyby pchnął Pierworodnych, aby wesprzeć Lepidusa, tak jak obiecał Pompejuszowi, zostawiłby weteranów bez zabezpieczenia.

Jeżeli ich szeregi zostaną przerzedzone czy wycięte, zabraknie posiłków, których by się spodziewali, i w ten sposób niewolnicy wleją się w drugą wyrwę, rozrywając linię Rzymian na wyspy ludzi, i ci, odcięci od reszty, nie przeżyją naporu wroga.

Jeszcze się wahał, kiedy zobaczył, że lewe skrzydło się ścieśnia, wyrwa w nim powiększa i niektórzy z ludzi Lepidusa odwracają się plecami do wroga i zaczynają uciekać. Ucieczka szerzyła się jak plaga i ci, którzy uciekali, wpadali na tylne szeregi i zarażali je swoim tchórzostwem. Juliusz wybrał.

- Pierworodni! Na lewe skrzydło! - Tak jak przedtem, powtórzył rozkaz dwa razy. Chciał, by pierwsze szeregi go usłyszały. Niech wiedzą, że nie ma za nimi nikogo, kto by je wspomógł, i żeby przeżyć, muszą walczyć jeszcze zacieklej.

Pierworodni ruszyli szybko przez linię natarcia, kilku wpadło na żołnierzy, którzy nie usłyszeli rozkazu. Takie posunięcie w środku walki było niebezpieczne, lecz Juliusz wiedział, że musi użyć swoich ludzi do wzmocnienia legionu Lepidusa, zanim załamie się całe lewe skrzydło. Pędził przez szeregi razem z innymi, przeskakując trupy i wciąż na nowo

wykrzykując rozkazy, by utrzymać

ludzi przy sobie i w ciągłym parciu do przodu. Nie mógł dopuścić do pogromu.

Brutus przybył pierwszy, rozmyślnie roztrącając tarczą i przewracając uciekających legionistów. Juliusz i Cyron stanęli przy nim i we trzech utworzyli jądro Pierworodnych, formujących wokół nich mur posępnych żołnierzy. Reniusz zniknął w ścisku, oddzielony od nich setkami czekających na swoją kolej żołnierzy.

- Do mieczy! - ryknął Juliusz, z twarzą wykrzywioną zwierzęcą wściekłością. - Żaden żołnierz nie przekroczy tej linii żywy! Pokażcie Lepidusowi, kim jesteśmy!

Potoki mężczyzn zatrzymały się w pędzie, kiedy wyrosły przed nimi szeregi Pierworodnych, zagradzając drogę odwrotu. W oczach pokazał się strach na widok wyciągniętych mieczy, gotowych do rzezi we własnych szeregach. Nikt nie wątpił, że należy ich użyć. Pierworodni rozumieli równie dobrze jak Juliusz, że umrą wszyscy, jeżeli legion Lepidusa ucieknie ze skrzydła niewolników.

W parę chwil bezładny motłoch, w który zamienili się ludzie Lepidusa, jako tako się uporządkował. Centurionowie i ich pomocnicy użyli płazów mieczy i grubych dębowych drzewc, by zmusić żołnierzy do ponownego utworzenia formacji. Czas był najwyższy.

Armia wroga wyczuła słabość. Padły rozkazy, które pchnęły setki niewolników w wyrwę, by ją rozszerzyć. Juliusz nie wiedział, czy powinien przeć do przodu przez szeregi i uszczelnić wyrwę Pierworodnymi, czy nie odstępować z pozycji, na wypadek gdyby ludzie Lepidusa załamali się jeszcze raz. Wiedział, że chwilowy ład nie jest utrwalony na dobre i że żołnierzy nadal paraliżuje strach przed śmiercią, której ledwo się wymknęli. Następnym razem może ich dopaść łatwiej.

- Juliuszu? - Brutus czekał na rozkazy.

Juliusz popatrzył na niecierpliwiącego się przyjaciela. Właściwie nie było wyboru. Musieli sami stanąć w pierwszej

linii i prosić bogów, by ludzie Lepidusa nie zostawili ich z odsłoniętymi tyłami.

- Pierworodni! Naprzód! - ryknął i siedem setek mężczyzn pod jego dowództwem ruszyło przed siebie, w idealnej formacji.

Ostatni z ludzi Lepidusa zawrócili, aby uciec przed niewolnikami, i Pierworodni skosili ich co do jednego, nie czekając, aż prze-Rozdział XXXVIII

drą się na tyły. Zrobili to z wściekłą skutecznością i na oczach niewolników, by ostrzec tamtych, kto im teraz zagraża.

Tarcze Pierworodnych wbiły się w wyrwę, miecze się podniosły i opadły niesamowicie szybko, a każdy człowiek bardziej się spieszył, niż przejmował własnym życiem. Przeszli po rannych i zostawili za sobą ich krzyki, ponieważ liczyło się jedno - nie dać odciąć całej pierwszej linii ód reszty. Reniusz zrównał się z nimi, zwierając szeregi dudniącymi jak dzwon rozkazami.

Juliusz walczył jak szalony. Bolało go ramię, naznaczone od nadgarstka do barku czerwoną pręgą rany. Ześliznęło się po nim jakieś ostrze, nim zabił jego właściciela. Inny niewolnik w rzymskiej zbroi, wielki jak góra, skoczył na niego, lecz Reniusz, który właśnie zajął pozycję, wbił miecz w nieosłonięty bok i potężne cielsko zwaliło się na ziemię.

Juliusz zabił następnego człowieka, który wyrósł przed nim, ale potem napadło na niego z nożami trzech kolejnych. Gratulował sobie tysięcy godzin ćwiczeń, dzięki którym potrafił

wcześniej działać, niż myśleć. Uskoczył w bok i zamiast zabić pierwszego, pchnął go na dwóch pozostałych. Mężczyzna zachwiał się i Juliusz podciął mu gardło, następnie rzucił się przez padające ciało, aby zatopić gladius w falującą pierś środkowego. Oręż zaklinował się między żebrami. Juliusz krzyknął ze złości i zawodu, kiedy jego zakrwawiona dłoń ześliznęła się z rękojeści i pozostał bez broni.

Trzeci mężczyzna przeciął powietrze takim samym gladiusem i Cezar, by uniknąć ciosu, musiał rzucić się na ziemię. Wpadł

w panikę. Za chwilę poczuje w sobie zimny metal, a pod sobą ciepłą kałużę krwi. Ale mężczyzna umarł z mieczem Cyrona w ustach. Wtedy Juliusz wyciągnął rękę po własny i po chwili szamotania z ciałem, w którym tkwiło śmiercionośne ostrze, wyciągnął je przy wtórze rozłupywanej na dwoje kości.

Brutus był o krok przed nim i Juliusz zobaczył, jak zabija dwóch kolejnych, szybko i z łatwością, jakiej nie widział u nikogo i o jaką by nie podejrzewał chłopca, którego znał prawie od urodzenia. Wydawało się, że wokół Brutusa nagle zrobiło się spokojnie i że jego twarz promienieje spokojem i łagodnością. Każda żywa istota, która dostawała się pod miecz młodego człowieka, umierała od jednego czy dwóch ciosów. Niewolnicy, jakby wyczuwając granicę,

której nie należało przekraczać, zostawili mu trochę wolnego miejsca i nie naciskali na młodego żołnierza tak bardzo jak na resztę.

- Brutusie! - zawołał Juliusz. - Gladiatorzy przed tobą!

Ku Pierworodnym pędzili mężczyźni w zbrojach gladiatorów. Mieli na głowach hełmy, które zasłaniały im twarze, z wyjątkiem oczu, co przydawało im niesamowitej dzikości. Ich przybycie chyba dodało ducha niewolnikom i Pierworodni stanęli jak wryci, zatykając tarcze w miękki grunt.

Juliusz był ciekaw, czy wśród nich są mężczyźni, których spotkali ostatniej nocy. Nie sposób’

jednak było to ustalić pośród szczęku metalu i rozpędzonych ciał. Każdy miał jednakowo szybkie i sprawne ruchy. Juliusz zobaczył, jak Reniusz odpycha jednego, kiedy szeregi się zwarły, i jak drugi pędzi prosto na niego. Młody dowódca szarpnął tarczę w górę i ręka trzymająca miecz zaplątała się w nią bezradnie. Juliusz bił, wydawało się, bez końca, w żelazny hełm, aż wreszcie żelazo się rozpękło, czaszka pod nim też, a on, ciężko dysząc, mógł

ruszyć dalej. Bolał go każdy mięsień, w gardle czuł ogień.

Brutus czekał w swojej oazie spokoju, której natłok ciał zdawał się nie dotykać. Gladiator zrobił zwód, ale Brutus odgadł jego intencje, i uchylił się przed prawdziwym ciosem. Jego własny miecz wystrzelił w odpowiedzi i zadrasnął szyję nieprzyjaciela. Trysnęła krew i stojący krok dalej Juliusz usłyszał cichy jęk zdziwienia, kiedy zapaśnik przyłożył dłoń do szyi. To było ledwo zadraśnięcie, lecz tętnica została przecięta i nogi się pod nim ugięły.

Walczył, by się podnieść, dysząc i postękując głucho jak zraniony wół, potem życie z niego wyciekło.

Juliusz ciął mieczem przez odkrytą szyję i został powalony na plecy, kiedy inny gladiator rzucił się na jego tarczę i przeciął przytrzymujące ją rzemienie. Tarcza odpadła, a Cezar wczepił się w atakującego lewą ręką i zanurzył gladius w jego ciele prawą. Kiedy spychał z siebie napastnika, poczuł w plecach żądło bólu, a twarz owionął mu zapach czosnku z ostatniego posiłku. Mężczyzna skonał.

Pierworodni padali wokół niego gęsto, a tymczasem do wyrwy w szeregach, wciąż nie zabezpieczonej, pędziło więcej gladia-

torów. Juliusz spojrzał za siebie i zobaczył z ulgą, że legion Lepidusa zwiera szeregi i staje w pełnej gotowości do ataku.

- Pierworodni! Formować oddział. Powrót do piątego szeregu! - krzyknął i zabił dwóch następnych szalejących niewolników, kiedy ci próbowali wykorzystać zmianę w szykach wroga. Tak jak wściekły był ich atak, tak samo szybko umarli. Za nimi szło wielu następnych i gdyby nie przesunięto na czoło świeżych rezerw, Pierworodni mogliby zostać rozbici.

Brutus cofnął się i zrównał z Juliuszem, oddychając ciężko. Przez jakiś czas bitwa chyba nie robiła na nim wrażenia i to, że w końcu zmęczył się tak samo jak reszta, podnosiło Juliusza na duchu. Ogarnęło go dziwne zadowolenie. Obserwował z aprobatą, jak ludzie Lepidusa ruszają do ataku i prą do przodu. Nadeszła pora wycofać się na własne pozycje. Lewe skrzydło było zabezpieczone.

- Panie? - odezwał się ktoś u jego boku. Szarpnął głową, oczekując jedynie nowego

zagrożenia.

Stał tam centurion, bez hełmu. Szerokie cięcie na policzku i zakrwawione przedramiona wyraźnie wskazywały, że był w samym wirze walki.

- Co jest?

- Wódz Lepidus nie żyje, panie. Nie ma nikogo, kto by dowodził lewym skrzydłem.

Juliusz zamknął na sekundę oczy, chcąc odsunąć zmęczenie, które sparaliżowało mu mięśnie, kiedy tylko odstąpił od walki. Popatrzył na Brutusa.

- Jak zwykle dopisuje ci szczęście, Juliuszu - skwitował z kwaśnym uśmiechem Brutus.

Juliusz ujął dłoń przyjaciela i ścisnął ją mocno i w milczeniu. Potwierdzał, że rozumie, co tamtego omija. Potem zwrócił się do czekającego żołnierza.

- Dobrze, centurionie. Obejmę dowództwo. Przynieś mi tu waszego orła, by ludzie wiedzieli, skąd oczekiwać rozkazów. I rozpuść wieść, że jeżeli się załamią, po bitwie ukrzyżuję wszystkich pozostałych przy życiu.

Centurion zamrugał, patrząc w oczy młodego dowódcy. Następnie oddał honory i pobiegł

sprowadzić człowieka dźwigają-

cego proporzec. Cztery szeregi przed nimi bitwa szalała nieprzerwanie.

Pompejusz i Krassus obserwowali rozwijającą się bitwę z wysokich grzbietów swoich koni.

Słońce podniosło się znad horyzontu i nieruchome wzgórza wokół zaroiły się niewolniczą armią. Pompejusz rozkazał

onagerom i balistom razić wroga ponad liniami frontu

nieprzerwanym ogniem, aż do ostatniego pocisku. Machiny umilkły po trzech godzinach i od tego momentu walka rozgorzała jeszcze bardziej.

Senatorowie mogli się przyglądać działaniom względnie bezpiecznie z odległości ponad stu stóp od czołowych szeregów prawego skrzydła. Ich stanowisko ochraniała centuria,

dopuszczając do dwóch dowódców jedynie wyborowych konnych posłańców. Po długim

oczekiwaniu w punkcie dowodzenia pojawiły się spienione konie. Jeździec podjechał do senatorów i najpierw, mimo zmęczenia, pozdrowił ich jak należy, a potem wysapał meldunek.

- Wyrwa jest zamknięta, panie. Cezar dowodzi lewym skrzydłem. Wódz Lepidus nie żyje.

- Dobrze - odpowiedział krótko Pompejusz. - To mi zaoszczędzi trudu zabicia głupca po bitwie. Przedostań się do Marcjusza i każ mu sprowadzić tysiąc, do wsparcia Cezara. Młody człowiek niech dowodzi dalej. Powiedziałbym, że zasłużył na to.

Jeździec oddał honory, zawrócił konia i popędził między strażami. Obwisłe ramiona i przygarbione plecy wyraźnie mówiły, że człowiek nie panuje nad zmęczeniem. Pompejusz dał znak innemu doborowemu jeźdźcowi, by się zbliżył i był gotów odebrać następny rozkaz.

Omiatał wzrokiem pole bitwy, próbując ocenić posuwanie się obu armii.

Wiedział, że Rzymianie powinni rozgromić niewolników. Tysiące padły, lecz cała reszta sprawiała wrażenie działających w szale i legiony zaczynały tracić siły. Nieważne, jak często się zmieniały pierwsze szeregi, nie brakowało nowych zastępów wroga, gotowych podkopać siły i osłabić ducha w legionach. Wydał rozkaz łucznikom, by wyrzucali strzały na każdego, kogo zobaczą w zbroi gladiatora, lecz trafienie do pojedynczego celu było prawie

niemożliwe.

cego proporzec. Cztery szeregi przed nimi bitwa szalała nieprzerwanie.

Pompejusz i Krassus obserwowali rozwijającą się bitwę z wysokich grzbietów swoich koni.

Słońce podniosło się znad horyzontu i nieruchome wzgórza wokół zaroiły się niewolniczą armią. Pompejusz rozkazał onagerom i balistom razić wroga ponad liniami frontu

nieprzerwanym ogniem, aż do ostatniego pocisku. Machiny umilkły po trzech godzinach i od tego momentu walka rozgorzała jeszcze bardziej.

Senatorowie mogli się przyglądać działaniom względnie bezpiecznie z odległości ponad stu stóp od czołowych szeregów prawego skrzydła. Ich stanowisko ochraniała centuria,

dopuszczając do dwóch dowódców jedynie wyborowych konnych posłańców. Po długim

oczekiwaniu w punkcie dowodzenia pojawiły się spienione konie. Jeździec podjechał do senatorów i najpierw, mimo zmęczenia, pozdrowił ich jak należy, a potem wysapał meldunek.

- Wyrwa jest zamknięta, panie. Cezar dowodzi lewym skrzydłem. Wódz Lepidus nie żyje.

- Dobrze - odpowiedział krótko Pompejusz. - To mi zaoszczędzi trudu zabicia głupca po bitwie. Przedostań się do Marcjusza i każ mu sprowadzić tysiąc, do wsparcia Cezara. Młody człowiek niech dowodzi dalej. Powiedziałbym, że zasłużył na to.

Jeździec oddał honory, zawrócił konia i popędził między strażami. Obwisłe ramiona i przygarbione plecy wyraźnie mówiły, że człowiek nie panuje nad zmęczeniem. Pompejusz

dał znak innemu doborowemu jeźdźcowi, by się zbliżył i był gotów odebrać następny rozkaz.

Omiatał wzrokiem pole bitwy, próbując ocenić posuwanie się obu armii.

Wiedział, że Rzymianie powinni rozgromić niewolników. Tysiące padły, lecz cała reszta sprawiała wrażenie działających w szale i legiony zaczynały tracić siły. Nieważne, jak często się zmieniały pierwsze szeregi, nie brakowało nowych zastępów wroga, gotowych podkopać siły i osłabić ducha w legionach. Wydał rozkaz łucznikom, by wyrzucali strzały na każdego, kogo zobaczą w zbroi gladiatora, lecz trafienie do pojedynczego celu było prawie

niemożliwe.

Rozdział XXXVIII

445

Krassus spojrzał ponad prawym skrzydłem, tam gdzie jazda dwóch legionów walczyła o utrzymanie pola, które zdobyli w pierwszym ataku. Konie rżały z bólu i ludzie już spadali z ich grzbietów.

- Pompejuszu! Prawe skrzydło! - warknął do drugiego senatora. Pompejusz zaryzykował i wysłał posłańca po posiłki. Wiedział,

że nie należy zabierać za dużo ludzi ze środka. Jeżeli to tam nastąpiłaby wyrwa w szeregach, armia mogłaby zostać przecięta na pół i byłoby po wszystkim. W Pompejuszu zaczęła

narastać rozpacz. Szeregom niewolników nie było końca. Mimo całego żołnierskiego

doświadczenia i wojennych talentów mogło się okazać, że nie wie, jak doprowadzić legiony do zwycięstwa.

Dał znak trębaczom do kolejnego przegrupowania oddziałów. Stracił rachubę wydawanych rozkazów i wyobrażał sobie, co czują jego ludzie, kiedy zawracano ich na linię frontu, zanim zdążyli odpocząć po ostatnim razie. Oszczędzał jednych, lecz to znaczyło, że drugim dawał za mało czasu na odzyskanie sił.

Pompejusz i Krassus odwrócili się na ostrzegawczy krzyk z prawej strony. Niewolnicy przebili się przez ostatnich jeźdźców i płynęli falą do przodu, siejąc panikę w rzymskich szeregach i grożąc otoczeniem całego skrzydła czy nawet atakiem od tyłu. Pompejusz zaklął i przyzwał następnego jeźdźca.

- Prawe skrzydło do odwrotu w szyku bojowym. Lewe do ataku. Musimy przejść na drugą stronę pola bitwy, zanim nas otoczą. Trębacze do sygnału: „Prawe zmienia front". Ruszaj.

Mężczyzna oddalił się pędem i dwaj wodzowie, zapominając, co przystoi senatorom, uklękli na siodłach, by lepiej śledzić rozwijającą się akcję. Pompejusz zacisnął dłonie na lejcach.

Wiedział, że to on decyduje o losach bitwy. Jeżeli odwrót zamieni się w panikę, armia niewolników rozleje się wokół i otoczy Rzymian.

Minęło sporo czasu, nim rozkazy dotarły do całej linii. Echo przeniosło okrzyki i prawe skrzydło zaczęło się cofać, przesuwając szeregi po przekątnej, na drugą stronę równiny.

Tymczasem lewe skrzydło poszło do zwarcia z niewolnikami i Pompejusz zacisnął pięści.

Bitwa zaczęła przybierać dramatyczny obrót. Pompejusz szalał ze zmartwienia. To, co zrobił

z prawym skrzydłem, było jedynym sposobem, by je uratować, lecz podczas gdy tysiące zachodziły

w lewo, droga do Ariminum stanęła przed niewolnikami otworem i ich dowódcy dostrzegli tę szansę.

Spartakus stał na grzbiecie konia i klął cicho, widząc, że legiony się wciąż nie załamują.

Najpierw pomyślał, że Antonidus miał rację i że zduszą ich skrzydło, lecz nie wiadomo dlaczego tamci odwrócili się, wszyscy razem, osiem legionów jak jeden, aby skierować walkę ku wschodowi. Cicho gwizdnął z zachwytu, choć już widział, jak ich marzenia rozsypują się w pył równiny. Nie

było nic na świecie ponad legiony, on je znał i przez chwilę przypomniał

sobie dni swojej służby. To było jedno wielkie braterstwo, dopóki nie napełniło go goryczą.

Bijatyka po pijanemu i zabity dowódca, i od tamtej pory nic już nie było tak, jak być powinno. Uciekł, ponieważ wiedział, że zawloką go przed przyjaciół zabitego i skażą na śmierć. Nie było sprawiedliwości dla kogoś takiego jak on, ledwo wyrośniętego chłopca w dniach, kiedy wcielono go do armii w Tracji. Nie był dla nich prawdziwym Rzymianinem, był

obcy, niewiele lepszy od zwierzęcia. Wspomnienia miał różne i wszystkie gorzkie: pojmanie w niewolę, potem szkoła gladiatorów, gdzie byli traktowani jak niebezpieczne psy i jak psy trzymano ich na łańcuchu i bito do nieprzytomności.

- Morituri te salutamus. My, którzy sami jesteśmy bliscy śmierci, pozdrawiamy was -

wyszeptał cicho, przyglądając się, jak umierają jego ludzie. Spojrzał na słońce i zobaczył,

że przeszło na drugą połowę nieba, zimne i blade za chmurami. Dni ledwo zaczęły się wydłużać i do zmierzchu nie zostało więcej niż parę godzin.

Obserwował bitwę przez długi czas, mając nadzieję, że zobaczy klęskę legionów, ale one, ku jego rozpaczy, wciąż się opierały nieprzeliczonym rzeszom. W końcu pokiwał głową. Kiedy Rzymianie wycofają się na noc do swoich obozów, on ruszy na Ariminum. Jego ludzie nie jedli od czterech dni, a rzymskie miasto miało dość jedzenia, by wlać w nich nową siłę.

- Przygotujmy się na ucieczkę, Kryksusie - mruknął. Jego przyjaciel stał z Antonidusem. W

ręku trzymał lejce.

- Poczekajmy do zmierzchu, może to oni uciekną - odpowiedział z goryczą.

Rozdział XXXVIII

Antonidus warknął gniewnie i splunął flegmą na ziemię. Obiecał zwycięstwo, a teraz czuł, jak maleją jego wpływy, w miarę jak rośnie stos ich trupów.

Spartakus potrząsnął głową.

- Nie licz na to. Jeżeli nie pokonaliśmy ich do tej pory, nie uciekną. Obwarują się na noc w tych swoich obozach i najedzą do syta, a rano wyjdą dokończyć dzieła. Ale nas już tu nie będzie.

- Właściwie dlaczego nie mieliby uciec albo dać się pokonać? -drążył ze złością Kryksus.

- Bo w takim razie Rzym byłby nasz - warknął Antonidus. - Wiedzą, o co toczy się gra, ale my wciąż jeszcze możemy zwyciężyć. Odciągnij pierwsze linie i zastąp je świeżymi ludźmi.

Każ otoczyć lewe skrzydło. Zawsze możemy ich zmęczyć do ostatka.

Spartakus popatrzył z obrzydzeniem na rzymskiego wodza, którego jego ludzie wynaleźli nie wiadomo skąd i po co. W tym człowieku nie było niczego poza żółcią i wydawało się, że nie rozumie, iż ponagla ich do zabijania własnych przyjaciół i braci. Gladiator zamknął na chwilę oczy. Wszyscy zakrzyknęli radośnie na widok Antonidusa, kiedy Kryksus postawił go przed nimi, ubranego w zbroję zabraną z rzymskich zwłok. Oprowadzano go między ludźmi jak oswojonego wilka, lecz jego obietnice okazały się bezwartościowe, a jego wodzowskie zdolności spowodowały jedynie konsternację wśród niewolników, z których żaden do czasu rebelii nie trzymał w dłoni miecza.

- Nasi ludzie są słabi z głodu - powiedział. - Widziałem kilku z posiniałymi twarzami od jedzenia gotowanej trawy. Możemy przeżyć jeszcze jeden dzień walki, nie dłużej.

- Możemy spróbować przejść do Galii - mruknął Kryksus. -Jak ci się zdaje, ilu przejdzie przełęcz i przeżyje? - spytał

Spartakus. - Legiony dopadną nas, nim opuścimy równiny. Nie, ten ratunek przepadł. To musi być Ariminum. Weźmiemy

tyle żywności, ile nasi ludzie potrzebują, by odbudować siły. I w ten sposób wyprzedzimy Rzymian.

- Gdybyśmy znaleźli statki, może by pozwolili nam odejść. Co ty na to? - Kryksus uniósł

wzrok na przyjaciela.

- Trzeba by całej floty - odpowiedział Spartakus, marszcząc czoło. Marzył o wydostaniu się spod władzy Rzymu i serce zalała

mu gorycz. Zaprzepaścił szansę przeprowadzenia swoich ludzi przez góry i podarowania im ich małego kraju. Jego zadowoliłaby sama wolność.

Antonidus z trudem panował nad sobą. Wyrwali go z niewolnictwa tylko po to, by został

zabity przez własnych ludzi. Nie uzmysławiali sobie, że Rzym nigdy nie przebaczy wodzowi, który przyczynił się do ucieczki niewolników. Rzym zhańbiłby się na wieki i każdy niewolnik w kraju myślałby o powstaniu przeciw swoim panom. Przysłuchiwał się ich planom z coraz większym gniewem. Wolność mogli zdobyć tylko w jeden sposób; pobić legiony na równinie, bez względu na straty w swoich ludziach.

Antonidus przyrzekł sobie po cichu,' że wymknie się, nim nadejdzie koniec. Nie da się prowadzić przez Rzym jako trofeum. Nie zniósłby myśli o triumfującym Katonie, skazującym go na śmierć jednym kiwnięciem tłustej ręki.

- Ludzie są zmęczeni - warknął Krassus. - Musisz kazać odtrąbić rozejm, nim zostaną rozbici.

- Nie. Ludzie są silni. Wytrwają - odpowiedział Pompejusz, mrużąc oczy pod słońce, które zbliżało się do horyzontu. - Wyślij jeźdźców, by przygotowali obozy na noc. Ściągniemy tam, kiedy się ściemni. Jeżeli rozkażę to teraz, pomyślą, że pokonali jedyne legiony między tą równiną a Rzymem. Ludzie muszą wytrwać.

Krassus wygiął złączone dłonie w męce niezdecydowania. Legiony były pod jego

dowództwem i jeżeli Pompejusz będzie zwlekał z ich odwołaniem, może przepaść wszystko, o co kiedykolwiek walczyli. Jeżeli legiony padną, padnie Rzym.

Czekając, kiedy rogi zatrąbią do następnego ataku, Juliusz usiłował wciągnąć powietrze w ciążące mu ołowiem piersi. Krew zaschła na nim już dawno i teraz przy każdym ruchu, odpadała ciemnymi grudkami. Stara krew. Popatrzył ze znużeniem na ręce. Podniósł jedną i widząc, jak drży, zmarszczył czoło.

U jego boku dyszał inny człowiek. Juliusz zerknął kątem oka. Żołnierz dobrze się spisywał

podczas ostatniego natarcia. Trwonił siły z wiarą w nieśmiertelną młodość. Teraz zauważył

spojrzenie Juliusza i w szarych oczach pojawił się cień. Nie odezwał się żaden,

Rozdział XXXVIII

bo żadne słowo nie byłoby na miejscu. Juliusz się zastanawiał, czy syn Katona przeżyje bitwę. Jeżeli tak, ojciec nigdy nie zrozumie zmian, które w nim zaszły.

Cyron odchrząknął i splunął za siebie krwią. Usta miał spękane i spuchnięte, a jego uśmiech był czerwony, kiedy wyszczerzył się boleśnie do swojego wodza.

Byli pocięci i poobijani. Juliusz krzywił się co chwila. Coś go zakłuło w krzyżu, kiedy podnosił z siebie martwego mężczyznę, i teraz ból promieniował do barków, Juliusz pragnął

jedynie snu. Popatrzył na Brutusa, którego jakiś oszalały niewolnik pozbawił przytomności.

Tylko szybkie kontruderzenie pozwoliło odzyskać kawałek ziemi, na którą upadł, i jego bezwładne ciało. Cyron wywlókł nieprzytomnego przez szeregi, by doszedł do siebie. Niebo zaczynało już ciemnieć, kiedy znów do nich dołączył, ale teraz

poruszał się wolno i prawie niezdarnie. Juliusz się zastanawiał, czy przypadkiem pod ciosem nie pękła mu czaszka, lecz tak czy owak nie mógł go odesłać do obozów. Potrzebowali każdego człowieka, który wciąż mógł utrzymać się na nogach.

Każdy już przeszedł i ból, i wyczerpanie, i teraz zapadał się w skrajne otępienie. Kolory zbladły i stracili poczucie czasu.

Róg zabrzmiał tuż koło nich i Juliusz podskoczył, jak wyrwany ze snu. Zataczając się, ruszył

do przodu, by zmierzyć się w pierwszej linii z jeszcze jednym zadaniem. Otrząsnął dłoń, która dotknęła jego ramienia.

- Dosyć na dzisiaj, wodzu - powiedział Cyron i zatrzymał go w pół kroku. - Światło dnia zgasło. Ten róg wzywa nas do obozu.

Przez chwilę Juliusz patrzył na niego pustym wzrokiem, a potem przytaknął.

- Każ Brutusowi i Reniuszowi uformować linie i wycofać się w należytym porządku. Każ ludziom strzec się niespodziewanego ataku. - Mówił niewyraźnie, lecz podniósł głowę i uśmiechnął się do człowieka, którego znalazł na innym kontynencie, w innym świecie. -

Lepiej niż na twojej gospodarce, Cyronie?

Olbrzym popatrzył po leżących wokół ciałach. To był najcięższy dzień w jego życiu, lecz znał

tych ludzi, i to lepiej, niżby potrafił wyjaśnić. Na swojej gospodarce był sam.

- Tak, panie - powiedział, i Juliusz chyba go rozumiał.

ROZDZIAŁ XXXIX

Owetoniusz opierał się o drewniane ogrodzenie przecinające las na pół. Kątem oka widział

niewolników ojca w pośpiechu wykopujących z ziemi słupki graniczne. W kilka godzin nie będzie śladu po nowej granicy. Swetoniusz, opierając głowę na skrzyżowanych dłoniach, zmarszczył czoło. Dom, który sobie wymarzył, miał być piękny. Wznosiłby się ponad drzewa na ziemi Cezara i

patrzyłoby się z niego w dół wzgórza. Wyobrażał sobie, jak w ciepłe wieczory siedzi w ogrodzie i sączy chłodne wino. Wszystko to zniknęło przez nagłą słabość ojca.

Swetoniusz odłupał od słupka drewnianą drzazgę. Myślał o dziesiątkach drobnych zniewag, których doświadczył ze strony Juliusza w pirackiej niewoli i w Grecji, w szeregach Wilków.

Wiedział, że gdyby Juliusza tam nie było, może ludzie nie byliby mu tak niechętni i w końcu może nawet zgodziliby się na jego dowództwo. Wtedy to on przekazałby ciało Mitrydatesa legatowi Lepidusowi, a potem zasiadł z nim do wspólnego posiłku, zamiast pędzić do portu na złamanie karku. Senat przyznałby tytuł trybuna jemu i ojciec byłby wreszcie dumny.

Teraz nie miał nic poza zwróconym okupem, który należał do ojca, i kilkoma bliznami świadczącymi o tym, co musiał znosić. Cezar zabrał Wilki na północ, schlebiając im i przekonując ich, że powinni pójść za nim, gdy tymczasem Swetoniusz został sam i nawet bez skąpej pociechy, że zobaczy dom zbudowany tylko dla niego.

Rozerwał drzazgę na pół. Był zły, naprawdę zły. Ubiegał się

Rozdział XXXIX

0 przyjęcie do szóstego legionu. Chciał iść z nimi na północ, lecz żaden z legatów go nie przyjął. Nie było wątpliwości, za czyją przyczyną. Wiedział, że ojciec mógłby się za nim wstawić, lecz przestał już prosić ojca. I teraz, w nieruchomej ciszy drzew, wstyd za to, jak go ojciec potraktował w obecności Juliusza, rozpalił go na nowo.

W pobliżu coś się poruszyło. Swetoniusz podniósł głowę. Był prawie pewien, że kilku niewolników jego ojca wymiguje się od pracy. Może chłosta, którą kazałby im wymierzyć, choć na chwilę wyrwałaby go z bezwładu. Tak, pora ukarać te gnuśne zwierzęta, pomyślał, czując, jak wstępuje w niego nowy duch. Wiedział, że się go boją, lecz tak być powinno.

Zaczerpnął powietrza, ale rozkaz zamarł mu na ustach. Przez grubą ściółkę lasu po drugiej stronie ogrodzenia skradali się

jacyś mężczyźni. To nie byli jego niewolnicy. Ostrożnie opuścił głowę w ramiona i obserwował w milczeniu, jak przechodzą niedaleko, nieświadomi jego obecności.

Poczuł, jak z nagłego strachu serce tłucze mu się w piersi i krew uderza do głowy. Jeszcze go nie widzieli, lecz cała scena tchnęła grozą. Trzech mężczyzn szło ramię w ramię, a czwarty trzymał się z tyłu, w pewnym odstępie. Swetoniusz już się prostował, by się przyjrzeć pierwszej grupie, która za chwilę miała zniknąć między drzewami, kiedy pokazał się wyraźniej ten czwarty. Był ubrany w ciemne grube szaty, tak jak i inni, a po spróchniałych gałęziach

1 po mchu poruszał się ostrożnie i zwinnie jak myśliwy. Swetoniusz dostrzegł, że też jest uzbrojony, i był prawie pewien, że tamten go widzi. Chciał uciec lub krzyknąć na swoich niewolników. Stanęła mu przed oczami wizja rebelii na północy i poczuł, jakby mu ktoś wbijał morderczy sztylet. Wielu konało na jego oczach i z łatwością mógł sobie wyobrazić, jak ci ludzie rzucają się na niego niby zwierzęta. Miał miecz u boku, ale nie poruszył dłońmi.

Wstrzymał oddech. Mężczyzna zdawał się wyczuwać na sobie czyjś wzrok, zawahał się i szybko rozejrzał. Nie zauważył Swe-toniusza i po chwili, wyraźnie uspokojony, zniknął w gąszczu za tamtą trójką.

Swetoniusz oddychał powoli, wciąż nie śmiąc się poruszyć. Kierowali się w stronę majątku Juliusza i oczy zapłonęły mu okru-452

cieństwem, kiedy to sobie uzmysłowił. Niech sobie Cezar ma tę swoją ziemię, razem z tymi ludźmi, którzy właśnie ją depcą. Nie zdradzi się, że ich widział. Wszystko jest w rękach bogów, nie jego.

Uwolniony co najmniej od części zadawnionej goryczy i bólu, wyprostował się i leniwie przeciągnął. Kimkolwiek są ci myśliwi, życzy im powodzenia. Podszedł do miejsca, gdzie

niewolnicy wykopywali słupki, i rozkazał, by zebrali narzędzia i wrócili do majątku jego ojca.

Instynktownie przez kilka następnych dni chciał być daleko od tego lasu.

Widząc, że humor mu się poprawił, niewolnicy wymienili spojrzenia. Byli ciekawi, jaka niegodziwość mogła go tak ucieszyć, ale bez słowa zarzucili na ramiona swoje ciężary i ruszyli w drogę powrotną.

Juliusz był śmiertelnie zmęczony. Potykał się na sterczących z ziemi kamieniach i przeklinał

pod nosem. Wiedział, że jak upadnie, już się nie podniesie i zostawią go na drodze.

Nie mogli się zatrzymać, kiedy armia niewolników była przed nimi i zmierzała prosto do Ariminum. Ucieczka z pola bitwy w ciemnościach dała tamtym pół dnia przewagi i

Pompejusz rozesłał rozkazy, by ich dogonić. Jednak w sytuacji, kiedy legiony ścigały armię o wiele świeższą niż szeregi legionistów, nie dało się tego zrobić w siedem dni. Niewolnicy rzucali się po drodze na żywność jak szarańcza i legiony szły śladem zniszczeń. Juliusz wiedział, że będą dalsze straty w ludziach, lecz od kiedy niewolnicy zawrócili na południe, pierwszy raz w historii Rzym stał otworem.

Skupił wzrok na plecach legionisty, który szedł przed nim. Robił to przez cały dzień i znał

każdy szczegół żołnierzy, od nakrapia-nych siwizną włosów, wystających spod hełmu, do zakrwawionych i pokrytych pęcherzami kostek nóg. Ktoś z przodu oddał w marszu mocz, co było widać po smudze ciemniejszego kurzu na drodze. Juliusz przeczłapał po nim obojętnie, zastanawiając się, kiedy zrobi to samo.

Brutus, który szedł obok, odchrząknął i splunął. Nie było w nim nic z niedawnej tężyzny.

Przyginał go ciężar żołnierskiego ekwipunku i Juliusz wiedział, że ramiona ma otarte do żywego mięsa.

Rozdział XXXIX

Co noc wcierał w nie tłuszcz kuchenny i czekał ze stoickim spokojem, aż skóra zrogowacieje.

Nie rozmawiali ze sobą od świtu; każdy znosił w milczeniu własną słabość i drogę bez końca.

Tak działo się z większością. Maszerowali z obwisłymi i otwartymi ustami, zawężając świadomość do punktu, do którego sięgały oczy. Często, kiedy róg wzywał do postoju, ludzie wpadali na tych przed sobą i budzili się jak ze snu, kiedy ich przeklinano czy odpychano.

Juliusz i Brutus żuli wręczony w marszu czerstwy chleb i mięso. Właśnie usiłowali wycisnąć z gardeł trochę śliny, kiedy zauważyli na poboczu drogi kolejnego martwego żołnierza i każdy zapytał się w duchu, czy skończy tak samo.

Jeżeli Spartakus chciał zmęczyć legiony, nie mógł wpaść na lepszy pomysł niż pogoń i nikt nie wątpił, że przyjdzie im stoczyć następną bitwę, niech tylko niewolnicy i gladiatorzy ostatecznie znajdą miejsce na postój. Legiony mogła powstrzymać tylko śmierć.

Kabera odkaszlnął kurz. Juliusz spojrzał na starego człowieka, raz jeszcze podziwiając, że stary nie padł razem z innymi. Marne racje i długie mile marszu sprawiły, że wyglądał jak szkielet. Policzki miał zapadnięte i poczerniałe, stracił humor i chęć do rozmowy. Podobnie jak Brutus i Reniusz, nie odezwał się od momentu, kiedy zostali postawieni na nogi przez pomocników centurionów, których twarze były równie wychudzone i zmęczone jak u reszty i którzy podnieśli pałki jednakowo obojętnie i na dowódców, i na żołnierzy.

Pozwolono im tylko na cztery godziny snu. Pompejusz wiedział, że mogą zastać Ariminum w płomieniach, ale gdyby na horyzoncie pokazały się legiony, wymuszając na nich dalszy

marsz, niewolnicy ledwo by zdążyli się zatrzymać. Nie mogli pozwolić Spartakusowi na przegrupowanie. Będą go ścigać nawet na morzu.

Juliusz starał się trzymać głowę prosto; wiedział, że patrzą na niego wszyscy Pierworodni.

Legion Lepidusa maszerował z nimi w jednym szeregu, chociaż jedna grupa nie mogła się równać drugiej. Pierworodni nie uciekli. Każdy żołnierz wiedział, że kara za dezercję nie ominie tamtych. Strach czaił się w oczach ludzi Lepidusa i godziny cichego zmartwienia nadwątlały ich wolę.

Juliusz i Brutus nic nie mogli dla nich zrobić, choć śmierć Lepi-dusa była pewnym

zadośćuczynieniem za chwilę paniki podczas bitwy.

Kiedy doszli do miejsca dawnego obozu, zabrzmiały rogi. Byli dwie godziny wcześniej, niż przewidywano, lecz Pompejusz zdecydował, by wykorzystać obwarowania wzniesione

wcześniej i jedynie podeprzeć je w miejscach, gdzie ziemia się osunęła. Gdy tylko znaleźli się w środku, mężczyźni padli, tak jak stali. Niektórzy położyli się na boku, zbyt zmęczeni, by zdjąć z pleców ekwipunek. Przyjaciele rozwiązywali rzemienie jeden drugiemu, wyciągano malejące racje i przekazywano je wzdłuż szeregów do kucharzy, którzy zaczynali rozpalać ognie na dawnych popiołach. Ludziom chciało się spać, ale najpierw musieli zjeść, jak najszybciej więc zbożową breję i suszone mięso podgrzano i wydano na żelaznych płytach.

Legioniści apatycznie wepchnęli jedzenie w usta, potem każdy owinął się cienką derką i zwalił na ziemię.

Juliusz właśnie skończył swoją rację i oblizywał palce z najmniejszego śladu brei, tak rozpaczliwie potrzebnej organizmowi, kiedy usłyszał w pobliżu ostrzegawcze dęcie w rogi.

Zbliżali się do niego Pompejusz i Krassus. Dźwignął się z mozołem i kopnął zwiniętego w kłębek, już odpływającego w sen Brutusa. Reniusz otworzył jedno oko, jęknął i opierając się na jedynej ręce, usiadł.

- Wstawać! - ryknął Juliusz. - Centurionowie, poderwać ludzi na nogi! Formować

Pierworodnych w czworoboki do przeglądu! Natychmiast!

Nienawidził tego robić. Oszołomieni ludzie prostowali się jak mogli, a tych kilku, którzy zdążyli zasnąć, stało przygarbionych, ze zwisającymi ramionami i tępym spojrzeniem.

Centurionowie zwlekali z ziemi i stawiali na nogi całą resztę, aż w końcu udało się im uformować coś na kształt szeregów. Nie było jęków ani narzekań; ludzie nie mieli energii czy ochoty, by się opierać czemukolwiek, co z nimi robiono. Stali tam, gdzie ich pchnięto, i czekali, by raz jeszcze kazano im pójść spać.

Pompejusz i Krassus przejechali przez obóz i zatrzymali konie tuż przed Juliuszem. Jak przystało na wodzów, obaj wyglądali bardziej świeżo niż zgromadzeni wokół legioniści, ale otaczała ich atmosfera powagi, a zaciśnięte usta obu sprawiły, że w oczach

Rozdział XXXIX

ludzi Lepidusa pojawił się popłoch i zaczęli nerwowo spoglądać jeden na drugiego.

Pompejusz zsiadł z konia. Zbliżył się do Juliusza.

- Pierworodni gotowi do przeglądu - powiedział Juliusz, oddając honory.

- Sprowadza mnie tutaj twoje drugie dowództwo, Cezarze. Powiedz Pierworodnym, by udali się spać, i każ uformować szyki ludziom Lepidusa.

Juliusz wydał rozkazy i czekał razem z Krassusem i Pompejuszem, aż żołnierze zajmą wyznaczone pozycje. Nawet po stratach, które ponieśli podczas bitwy i chaotycznej ucieczki, wciąż stanowili siłę ponad trzech tysięcy. Niektórzy byli ranni, chociaż rannych najciężej zostawiono na drodze już przed paroma dniami. Pompejusz dosiadł konia, by ich pozdrowić,

lecz nim pierwsze słowa padły z jego ust, pochylił się ku Juliuszowi i powiedział cicho:

- Nie mieszaj się, Juliuszu. Decyzje zapadły.

Juliusz spojrzał na niego równie pytającym jak beznamiętnym wzrokiem i posłusznie skinął

głową. Pompejusz dołączył do Krassu-sa i razem podjechali przed pierwszy szereg

zgromadzonych mężczyzn.

- Centurionowie, wystąp! - warknął Pompejusz. Uniósł głowę, by jego głos poniósł się możliwie najdalej. - Ten legion okrył się hańbą, która domaga się zmycia. Dla tchórzostwa nie ma żadnego wytłumaczenia. Oto kara, która was czeka. Każdy dziesiąty w szeregu zostanie naznaczony przez centurionów. Umrze z rąk innych. Nie użyjecie mieczy, lecz zabijecie ich własnymi pięściami i pałkami. W ten.sposób przelejecie krew swoich przyjaciół

i zapamiętacie to na zawsze. Tego dnia umrze z was co dziesiąty. Centurionowie, zaczynajcie odliczać.

Juliusz obserwował przerażony, jak centurionowie, idąc wzdłuż szeregów, wykrzykują liczby.

Ludzie kulili się ze strachu, kiedy dowódcy zbliżali się do nich, i wypuszczali wstrzymywany oddech, kiedy ręka opadała na inne ramię. Kilku krzyknęło, za siebie czy za przyjaciół, lecz nikt się nie spodziewał litości. Krassus i Pompejusz patrzyli na całą procedurę z wyniosłą pogardą.

Decymacja trwała prawie godzinę, ale pod koniec trzy setki

mężczyzn wyszły z szeregów. Niektórzy płakali, lecz inni wpatrywali się w ziemię bez wyrazu, niezdolni pojąć, co się z nimi stało, dlaczego zostali wybrani, aby umrzeć.

- Wy, którzy będziecie żyć, zapamiętajcie tę chwilę! - zagrzmiał Pompejusz. -

Uciekliście przed niewolnikami, czego nie zrobił żaden legion w żadnym pokoleniu. Odłóżcie miecze i wykonajcie swoje zadanie.

Szeregi się załamały, kiedy każdy co dziesiąty został otoczony przez dziewięciu przyjaciół i braci. Juliusz usłyszał, jak jeden z nich wymruczał przeprosiny, nim jego pięść wymierzyła pierwszy cios. To było gorsze od wszystkiego, co kiedykolwiek widział. Centurionowie mieli pałki, lecz zwykli żołnierze jedynie pięści, by bić nimi po twarzach i piersiach ludzi, których znali przez lata. Niektórzy bili i płakali, z twarzami wykrzywionymi dziecinną żałością, lecz ani jeden nie odstąpił na bok.

Zabrało to wiele czasu. Kilku z pobitych żołnierzy umarło szybko, ze zmiażdżonymi szyjami, lecz inni ociągali się ze śmiercią, dygocząc i krzycząc w koszmarnym chórze głosów.

Brutusa, kiedy jak sparaliżowany obserwował kłąb ociekających krwią ludzi, kopiących i bijących bezlitośnie, przeszyły dreszcze. Potrząsnął głową z niedowierzaniem i odwrócił

wzrok, ogarnięty falą mdłości. Obok stał Reniusz, sztywny, z woskowo bladą twarzą.

- Nigdy nie sądziłem, że znów to zobaczę - mruknął stary gladiator. - Zdawało mi się, że ten krwawy zwyczaj dawno zaginął.

- Tak jest, zaginął - oświadczył stanowczo Juliusz. - Ale teraz, jak widać, Pompejusz go wskrzesza.

Cyron obserwował scenę równie przerażony. Popatrzył pytająco na Juliusza, lecz nie otrzymał

odpowiedzi.

Padły ostatnie ciosy i centurionowie sprawdzili każde zwłoki. Mężczyźni, z których wyciekła cała energia, powłócząc nogami, wrócili do szeregów. Ciała leżały kręgiem w nasiąkniętej krwią trawie.

- Gdybyśmy byli w Rzymie, rozkazałbym was rozwiązać i zabronić noszenia broni - ryknął

Pompejusz. - Ale jesteśmy tutaj i okoliczności mogą was ocalić.

Popatrzył na Krassusa i senator przesunął się w siodle. Ju-

liusz zmarszczył czoło. Jeżeli Pompejusz ustępował pierwszeństwa Krassusowi, to znaczyło, że za wszystkim, co mówi, musi stać autorytet senatu. Reprezentował go tylko Krassus.

Starszy mężczyzna odchrząknął, by przemówić.

- Z mojego rozkazu zostanie uformowany nowy legion, by zmazać winy Lepidusa. Połączycie się z Pierworodnymi i będziecie tworzyć nową historię. Wasze proporce zostaną zmienione.

Dostaniecie nowe imię, na którym hańba nie odcisnęła swojego piętna. Waszym dowódcą mianuję Gajusza Juliusza Cezara. Przemawiam w imieniu senatu.

Krassus podjechał do Juliusza, który patrzył na niego gniewnie.

- Więc co z Pierworodnymi? - spytał szorstko. Krassus potrząsnął głową.

- Wiem, czym to będzie dla ciebie, Juliuszu, ale nie ma lepszego wyjścia. Jeżeli przystaną do ciebie, zawsze będą z boku, tak jak teraz. Nowe imię oczyści im pole… i tobie też. Pompejusz i ja zgadzamy się co do tego. Bądź posłuszny naszym rozkazom. Od dziś legion

Pierworodnych przestaje istnieć.

Juliuszowi głos odebrało z gniewu. Krassus przyglądał mu się bacznie, czekając na

odpowiedź. Młodszy mężczyzna pojmował, co usiłują zrobić, tyle że pamięć o Mariuszu wciąż prześladowała jego myśli. Krassus zdawał sobie z tego sprawę. Pochylił się i powiedział cicho, tak by nikt inny nie usłyszał:

- Twój wuj zrozumiałby to. Bądź pewien.

Juliusz zacisnął szczęki i kiwnął głową. Zawdzięczał wiele temu człowiekowi i należało powstrzymać język. Krassus się wyprostował w siodle.

- Potrzebujesz dla swoich ludzi nowego imienia. Pompejusz uważa…

- Nie - przerwał mu Juliusz. - Ja mam dla nich imię. Senator uniósł brwi w zdziwieniu, kiedy Juliusz obszedł dookoła

jego konia i stanął przed zakrwawionymi ludźmi, którymi dowodził. Wziął głęboki oddech, aby jego głos usłyszało wielu.

- Przyjmę od was przysięgę, jeżeli zechcecie ją złożyć. Pamiętam, żeście nie uciekli z pola bitwy, lecz każdy stanął w szeregu, kiedy od was tego zażądałem i choć Lepidus już nie żył. -

Powiódł wzrokiem po martwych ciałach leżących przed szeregami. - Cena

za błąd została zapłacona i po dzisiejszym dniu nie będzie on wam nigdy wypomniany. Ale ma zostać w waszej pamięci.

Cisza była potworna i powietrze pachniało krwią.

-Jesteście naznaczeni życiem co dziesiątego człowieka. Nazwę was Dziesiątym, i w ten sposób ani jeden z was nie zapomni wziętej zapłaty i nigdy się nie załamie.

Kątem oka Juliusz zobaczył grymas na twarzy Krassusa, na dźwięk nowego imienia, mimo to od pierwszej chwili wiedział, że wybrał właściwie. Nowe imię będzie ich przeprowadzało przez każdy strach i ból, nawet gdy inni stracą nerwy.

- Pierworodni! Oto mój ostatni rozkaz. Uformować szeregi z waszymi braćmi. Spojrzeć im w twarze i nauczyć się ich imion. I wiedzieć jedno: kiedy ludzie usłyszą, że Dziesiąty

staje naprzeciw nich, obleci ich strach, ponieważ legioniści z Dziesiątego zapłacili swoją należność własną krwią.

Kiedy szeregi się przeformowały, Juliusz znów podszedł do Krassusa, do którego już dołączył

Pompejusz. Obaj wodzowie popatrzyli na młodego mężczyznę z ciekawością.

- Przemawiasz… do nich dobrze, Juliuszu - odezwał się Pompejusz. Potrząsnął lekko głową, obserwując, jak Pierworodni życzliwie przyjmują nowe szeregi. Przypuszczał, że Juliusz oprze się rozkazowi ze względu na imię Pierworodnych i był przygotowany wymusić sprawę siłą. Łatwość, z jaką młody dowódca przyjął zmiany i wprowadził je w życie, była prawdziwą niespodzianką. Wreszcie zaczynał rozumieć, jak to się stało, że Cezar pokonał w

Grecji Mitrydatesa, a wcześniej piratów. Wydawało się, że on wie, jakich słów używać, a także to, że słowa ranią bardziej niż miecze.

- Chciałbym wydłużyć chwilę postoju w obozie. To da mi czas, bym przemówił do ludzi, a ludziom pozwoli skończyć posiłek i trochę się przespać.

Pompejusza kusiło, by odmówić prośbie. Pominąwszy palącą potrzebę ścigania niewolników, instynkt go ostrzegał, by za bardzo nie ułatwiać spraw młodemu człowiekowi, który potrafi przemawiać prosto do serc żołnierzy i w jednej chwili podnosić ich z niedoli. W końcu ustąpił. Cezar potrzebował każdej przewagi, jeżeli miał wskrzesić godność nowego legionu, obróconą w popiół.

Rozdział XXXIX

- Możesz powiedzieć ludziom, że nagradzam ich dwiema godzinami więcej. Na twoją prośbę, Juliuszu. Bądź gotowy do wymarszu o zachodzie słońca.

- Dziękuję, wodzu. Jak tylko skończymy z rebelią, zadbam o nowe tarcze i zbroje dla ludzi.

Pompejusz kiwnął głową niedbale, dając znak Krassusowi do odjazdu na pozycje dowództwa, na czoło kolumny. Juliusz popatrzył za nim z nieprzeniknioną twarzą, po czym odwrócił się do Brutusa, przy którym stał Kabera. W oczach starego uzdrawiacza płonęło coś z dawnego ożywienia i ciekawości. Juliusz uśmiechnął się blado.

- Brutusie, każ im się rozejść i niech dokończą posiłek. Potem chcę rozmawiać z tyloma, ilu jeszcze nie zaśnie. Mariusz nauczyłby się ich imion. Więc ja się też nauczę.

- To boli, widzieć koniec Pierworodnych - mruknął Brutus. Juliusz potrząsnął głową.

- To żaden koniec. Imię pozostanie w rejestrach senatu. Upewnię się co do tego. Pompejusz i Krassus mieli rację, zarządzając nowy początek, choć to rzeczywiście boli. No, przyjaciele, przejdźmy się wśród szeregów Dziesiątego. Pora zapomnieć o przeszłości.

Nad Ariminum unosiły się dymy. Armia niewolników najwyraźniej przeszła przez nie jak szarańcza, zabierając wszystko, co nadawało się do jedzenia, a także owce i bydło, i pędząc je przed sobą, ruszyła w dalszą drogę. Podczas gdy obywatele byli ukryci za zamkniętymi drzwiami, Spartakus i jego armia przeszli powoli przez ulice. Podłożyli ogień w składach zboża i na pustych targowiskach, licząc na to, że ścigająca ich armia straci trochę czasu na wygaszaniu pożarów, nim pójdzie dalej. W sytuacji kiedy legiony deptały im po piętach, cenna była każda godzina.

Straże uciekły z miejskiego skarbca i Spartakus rozkazał załadować złoto na muły. Miejscowi kupcy zgromadzili prawdziwą fortunę i marzenie o flocie okrętów, która była drogą do wolności, przybrało realne kształty, gdy tylko niewolnicy zobaczyli skrzynie monet.

W porcie nie było okrętów. Kotwiczyły w pewnej odległości od

nabrzeża. Na każdym tłoczący się ludzie w niemym milczeniu obserwowali łupiące ich miasto hordy niewolników i bijące w niebo pióropusze dymu i popiołu. Spartakus podszedł

do brzegu i obrzucił wzrokiem morze, ludzi i okręty.

- Zobacz, ile ich tam jest. Ale starczy nam złota, by kupić wszystkie.

- Ci szacowni kupcy nie zrobią nic, by nas uratować - odpowiedział Kryksus. - Potrzebujemy piratów. Bogowie wiedzą, że piraci mają dosyć statków, i naplucie w oczy Rzymianom sprawi im pewną przyjemność.

- Ale jak do nich dotrzeć? Chyba trzeba pchnąć jeźdźców do każdego portu. - Spartakus popatrzył ponad wodą na niewyraźne twarze ludzi na pokładach. Byłoby to możliwe, gdyby to byli wrogowie Rzymu.

Antonidus podszedł, stanął u jego boku i z szyderczym uśmiechem popatrzył nad falami.

- Dzielni rzymscy obywatele chowają się przed nami jak dzieci - powiedział.

Spartakus wzruszył ramionami, znużony jego goryczą i złością.

- Sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt okrętów takich jak te i moglibyśmy opuścić rzymski ląd.

Flota kupiona za ich własne pieniądze to nic innego jak sprawiedliwość.

Antonidus popatrzył na obu gladiatorów z większą uwagą. Kusiło go, by wyśliznąć się z portu, zrzucić zbroję i wmieszać się w tłumy, które z pewnością pokażą się na ulicach zaraz po odejściu niewolników. Ale potem zobaczył złoto, które zabrali ze skarbca. Dosyć, by kupić jakiś majątek w Hiszpanii lub duże gospodarstwo w Afryce. Na świecie jest wiele miejsc dla człowieka, dla którego nie ma schronienia w armii. Wiedział, że jeżeli zostanie, ich ufność do niego da mu szansę. Czy Pompejusz przebaczyłby mu, gdyby mu przyniósł głowę

Spartakusa? Antonidus zmarszczył czoło. Nie, już raz stanął przed sądem w Rzymie, i to mu wystarczy. Lepiej uciec

gdzieś, gdzie zacznie wszystko od początku.

Spartakus odwrócił się, zostawiając morze za plecami.

- Wyślemy miejscowych ludzi do każdego portu, z paroma monetami na drogę, by się

upewnić co do ich obietnic. Przemów do nich, Kryksusie. Ktoś musi wiedzieć, jak nawiązać kontakt z pirata-460

nabrzeża. Na każdym tłoczący się ludzie w niemym milczeniu obserwowali łupiące ich miasto hordy niewolników i bijące w niebo pióropusze dymu i popiołu. Spartakus podszedł

do brzegu i obrzucił wzrokiem morze, ludzi i okręty.

- Zobacz, ile ich tam jest. Ale starczy nam złota, by kupić wszystkie.

- Ci szacowni kupcy nie zrobią nic, by nas uratować - odpowiedział Kryksus. - Potrzebujemy piratów. Bogowie wiedzą, że piraci mają dosyć statków, i naplucie w oczy Rzymianom sprawi im pewną przyjemność.

- Ale jak do nich dotrzeć? Chyba trzeba pchnąć jeźdźców do każdego portu. - Spartakus popatrzył ponad wodą na niewyraźne twarze ludzi na pokładach. Byłoby to możliwe, gdyby to byli wrogowie Rzymu.

Antonidus podszedł, stanął u jego boku i z szyderczym uśmiechem popatrzył nad falami.

- Dzielni rzymscy obywatele chowają się przed nami jak dzieci - powiedział.

Spartakus wzruszył ramionami, znużony jego goryczą i złością.

- Sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt okrętów takich jak te i moglibyśmy opuścić rzymski ląd.

Flota kupiona za ich własne pieniądze to nic innego jak sprawiedliwość.

Antonidus popatrzył na obu gladiatorów z większą uwagą. Kusiło go, by wyśliznąć się z portu, zrzucić zbroję i wmieszać

się w tłumy, które z pewnością pokażą się na ulicach zaraz po odejściu niewolników. Ale potem zobaczył złoto, które zabrali ze skarbca. Dosyć, by kupić jakiś majątek w Hiszpanii lub duże gospodarstwo w Afryce. Na świecie jest wiele miejsc dla człowieka, dla którego nie ma schronienia w armii. Wiedział, że jeżeli zostanie, ich ufność do niego da mu szansę. Czy Pompejusz przebaczyłby mu, gdyby mu przyniósł głowę

Spartakusa? Antonidus zmarszczył czoło. Nie, już raz stanął przed sądem w Rzymie, i to mu wystarczy. Lepiej uciec gdzieś, gdzie zacznie wszystko od początku.

Spartakus odwrócił się, zostawiając morze za plecami.

- Wyślemy miejscowych ludzi do każdego portu, z paroma monetami na drogę, by się

upewnić co do ich obietnic. Przemów do nich, Kryksusie. Ktoś musi wiedzieć, jak nawiązać kontakt z pirata-Rozdział XXXIX

mi. I przedstaw ludziom nasze zamiary. To podniesie w nich ducha podczas marszu na południe.

- A więc kierujemy się ku Rzymowi, tak? - spytał ostro Antonidus.

Twarz gladiatora ściągnęła się w potwornym gniewie i Antonidus cofnął się o krok.

- Nigdy nie powinniśmy odwracać się plecami do gór, ale teraz musimy to zrobić.

Uciekniemy tym draniom depczącym nam po piętach. Pamiętaj, to my uprawiamy ich ziemię i to my pracujemy od urodzenia po śmierć dla powiększenia ich bogactw. To nas czyni silnymi. Zobaczmy, w jakim będą stanie do czasu, kiedy wejdziemy do ich ukochanego miasta.

Spartakus popatrzył na zachodzące słońce i oczy zalśniły mu złotym blaskiem. Wyobraził

sobie ścigające ich legiony. Jego twarz była maską goryczy i Antonidus odwrócił wzrok.

ROZDZIAŁ XL

W zeszedł księżyc, gdy Aleksandria stanęła na murach wielkiego Rzymu. Padający od paru godzin deszcz powoli ustawał, ale płonące w całym mieście pochodnie wciąż skwierczały i dawały obrońcom niewiele światła. Na ostrzegawczy dźwięk rogów przyszli wszyscy i

chwycili za narzędzia i noże, aby utrzymać mury przed milczącą masą, która sunęła przez Pole Marsowe, zamieniając je w spienione błoto.

Tabbik zaciskał w dłoni swój żelazny młotek. Twarz miał bladą i ściągniętą. Nie zamierzał się poddać, ani on, ani nikt inny, Aleksandria to wiedziała. Gdyby niewolnicy ich zaatakowali, walczyliby tak zaciekle jak legiony. Powiodła wzrokiem po ludziach wpatrujących się w ciemności. Dziwił ją ich spokój. Całe rodziny stały w milczeniu; umilkły nawet przerażone dzieci. Rozbielone księżycową poświatą twarze niewolników były zwrócone ku miastu, które zadekretowało ich śmierć. Wydawało się, że maszerującym tłumom nie ma końca, i księżyc musiał przejść połowę nieba i zacząć się chylić ku zachodowi, zanim ostatni niewolnik zniknął w nocy.

Po godzinach niespokojnego wyczekiwania napięcie wreszcie zelżało. Legiony przysłały posłańców z wieściami, że są już blisko, i senat rozkazał obywatelom stanąć na murach, nim będą bezpieczne; sami senatorowie, dając przykład innym, stanęli z mieczami swoich ojców i dziadów przy wielkich bramach.

Aleksandria chłonęła chłodne powietrze nocy. Deszcz ustał całkowicie i Rzym przeżył.

Najpierw delikatne uśmiechy, a potem

głośny śmiech ludzi świadczyły, że wszyscy to czują, i przez chwilę miała wrażenie, że w ciemnościach nocy wiąże ją z nimi więź silniejsza od jakiejkolwiek w jej życiu. A przecież targał nią wewnętrzny niepokój. Kiedyś i ona była niewolnicą,

i marzyła, by poderwały się całe rzesze i porzuciły domy swoich panów, i obaliły mury.

- Czy zabiją wszystkich? - szepnęła. Tabbik odwrócił się gwałtownie.

- Zabiją. Senat poznał, co to strach, i nie przebaczy ani jednemu. Nim to się skończy, legiony, dla przykładu, dokonają krwawej rzezi.

Lampy powoli przygasały i nietknięte jedzenie już dawno wystygło, lecz Pompejusz tego nie zauważał; czytał wciąż od nowa ostatnie doniesienia z Rzymu, od którego dzieliło ich mniej niż trzydzieści mil. Krople deszczu dudniły o płótno namiotu. W paru miejscach woda przeciekała do środka i rozmiękczała ziemię. Nie ma rady, musi powiedzieć o wszystkim Krassusowi.

Podniósł się zza stołu. Jedna z lamp zgasła zupełnie. Sięgnął po drugą i oświetlił zawieszoną na ścianie namiotu wielką mapę. Na wyprawionej na pergamin skórze już się pokazały ciemne zacieki i jeżeli deszcz miałby padać dalej, mapę należało ze ściany zdjąć i przenieść w suchsze miejsce. Rzym był na niej maleńką plamką i gdzieś na południu niewolnicy wciąż się posuwali w stronę morza. Pompejusz bił się z myślami. Wiedział, że musi podjąć decyzję, nim zjawi się Krassus.

W żałosnej wilgoci wokół pogrążonego w ciszy obozu krążyły jedynie straże. Senat wysłał

legionom posiłki, jak tylko armia Spartakusa pomaszerowała na południe. Pompejusz mógł

sobie jedynie wyobrazić strach panujący na ulicach, kiedy mijało je mrowie niewolników, lecz bramy były szczelnie zamknięte i pilnie strzeżone.

Był dumny ze swoich ludzi, kiedy usłyszał, że w razie potrzeby walkę podjęliby starzy i młodzi, kobiety i lojalni niewolnicy. Nawet sam senat się uzbroił, by, jak przed wiekami, za swoje miasto oddać własne życie. To dawało mu nadzieję na przyszłość.

Na zewnątrz wypowiedziano półgłosem hasła i do ciemnego

namiotu wszedł Krassus. Na zbroję miał narzucony gruby płaszcz. Ściągnął z głowy kaptur i otrząsnął krople deszczu.

- Paskudna noc - mruknął. - Jakie wieści? Pompejusz spojrzał na niego ciężkim wzrokiem.

- Niektóre… no cóż, powiedziałbym, przerażające, ale to zostawmy sobie na koniec. Z Grecji przypłynęły cztery legiony. Mam zamiar wyjść im naprzeciw i poprowadzić za sobą.

- Mógłbyś wysłać doborową jazdę, z naszymi pieczęciami i rozkazami. Dlaczego chcesz iść sam?

Pompejusz się skrzywił.

- Znaleziono człowieka, który zabił moją córkę. Moi ludzie go schwytali i teraz jest pod ich nadzorem. Zatrzymam się w mieście, nim się spotkam z legionami maszerującymi z wybrzeża na zachód. Będziesz musiał iść dalej beze mnie.

Krassus rozejrzał się po skąpych sprzętach, sięgnął po knot i dzbanek z oliwą i

powstrzymując lekkie drżenie rąk, zapalił obie wygasłe lampy. W końcu usiadł i popatrzył

Pompejuszowi w oczy.

-Jeżeli zawrócą i staną do walki, nie będę mógł na ciebie czekać - powiedział.

Pompejusz potrząsnął głową.

- Więc nie zmuszaj ich, by zawrócili. Pozwól im uciec, a za kilka dni, za tydzień, będę tu z nowymi, wypoczętymi ludźmi i wtedy dokończymy pościg. Nie ryzykuj utraty niczego,

przyjacielu. Mimo wszystkich twoich zalet i zręcznych posunięć w senacie, nie jesteś wodzem. Wiesz o tym tak samo jak ja.

Krassus ukrył gniew. Oni zawsze widzą w nim tylko kupca, bogacza, od którego można pożyczyć pieniądze, i to wszystko.

Jakby w instytucji legionów tkwiła tajemnica zrozumiała jedynie dla kilku wybranych. Jakby należało się wstydzić własnego bogactwa. Widział, doskonale widział, jak desperacko walczy Pompejusz, by mu się nie wymknęło z rąk to zwycięstwo. Jakie to byłoby okropne, gdyby ten potulny Krassus mu je wykradł! Ten, kto zdusi rebelię, będzie następnym konsulem, tego był pewien. Jak senat mógłby się oprzeć woli ludu, po tak wielu miesiącach strachu? Nie po raz pierwszy Krassus pożałował swojej wspaniałomyślności w wyborze Pompejusza podczas obrad w senacie. Gdyby wiedział wte-Rozdział XL

dy, jak potoczy się wyprawa przeciw armii Spartakusa, zaryzykowałby poprowadzenie jej w pojedynkę.

- Zagonię ich na południe - powiedział.

Pompejusz skinął głową zadowolony. Podniósł ze stołu inny z meldunków, podsunął go Krassusowi, a sam podszedł do mapy.

- Te meldunki donoszą o flocie, na którą liczą niewolnicy. Zostałbym, gdybym nie był

pewny, że będą posuwać się naprzód, ale dopóki ich nie sprowokujesz, powinni kierować się na południe, na spotkanie tamtym statkom. Wezwę przeciwko nim nasze okręty. Nie uciekną przez morze, przysięgam.

-Jeśli takie są ich zamiary - mruknął Krassus, wbijając oczy w tekst.

- Nie mogą uciekać bez końca. Na pewno są wygłodzeni, bez względu na to, ile i co łupią po drodze. Jeżeli mają nadzieję doprowadzić do kolejnej bitwy, osłabia ich każdy dzień. Nie, oni próbują uciec i meldunki, które czytasz, są do tego kluczem.

- Rozumiem, że kiedy zobaczą nasze okręty, zbierające się, by im w tej ucieczce

przeszkodzić, ty przybędziesz z greckimi legionami i z nimi skończysz, czy tak? - spytał

Krassus, którego powoli zalewała żółć.

- Tak - odpowiedział krótko Pompejusz. - Nie traktuj sprawy lekko, Krassusie. Jeżeli przegramy teraz, przegramy wszystko. Potrzebujemy dodatkowych legionów i ja je

przyprowadzę. Nie wszczynaj bitwy, dopóki nie zobaczysz moich proporców. Wolałbym

widzieć twój odwrót niż rozbicie twoich legionów.

- Doskonale - odrzekł Krassus, ukłuty do żywego brakiem wiary w jego zdolności. Jeżeli Spartakus zaatakuje legiony pod nieobecność Pompejusza, trzeba będzie skorzystać z chwili i ze sławy, która za tym pójdzie. - Wiem, że przybędziesz jak najszybciej.

Pompejusz przygarbił się i wsparł dłońmi o stół.

-Jest jeszcze jedna rzecz. Wyjeżdżam do miasta natychmiast i nie wiem, czy powinienem o niej mówić, czy raczej ją przemilczeć.

- Mów - powiedział cicho Krassus.

Skórzane namioty coraz bardziej nasiąkały deszczem, który nierównym rytmem wdzierał się w niespokojny sen strudzonych

mężczyzn. Juliusz śnił o majątku. Miniony dzień był męczący, legiony pędziły w stronę Rzymu co tchu, toteż kiedy rozkazano rozstawić namioty, legioniści zapadli w sen, ledwo zrzuciwszy z siebie zbroje. Ci, którzy przeżyli forsowne marsze, byli twardsi niż

kiedykolwiek. Widzieli przyjaciół umierających w marszu. Widzieli tych, którym nogi odmawiały posłuszeństwa i osuwali się w pył drogi. Kilku się podnosiło i dołączało do końca kolumny, lecz wielu rannych zmarło z upływu krwi, i kiedy za którymś krokiem serce się zatrzymywało, żołnierz zostawał tam, gdzie upadł.

Na poocieranych i pokrwawionych stopach narosły kolejne warstwy nagniotków,

wylewających się bielą z ciemnych sandałów. Pozrywane mięśnie się zaleczyły i legiony były teraz silniejsze w marszu, a głowy ludzi się podniosły. Podczas trzeciego tygodnia, na Via Flaminia, Pompejusz wezwał do szybszego kroku i ludzie przyjęli wezwanie bez protestu, czując na powrót przejmujący dreszcz pogoni.

Ktoś potrząsnął Juliusza za ramię.

- Pompejusz przysyła po ciebie. Wstawaj szybko.

Juliusz poderwał się i potrząsnął głową, by zapomnieć o resztkach sennych widziadeł.

Wyjrzał z namiotu, na posłańca z brązową pieczęcią Pompejusza, i wyszedł na zewnątrz.

Deszcz przemoczył go do nitki.

Kiedy podał hasło, straże przy namiocie dowódcy odsunęły się na bok. Obaj, Krassus i Pompejusz, byli w środku i pozdrowił obu, nagle nieufny i czujny. W ich twarzach pojawiło się coś dziwnego, coś, czego nie widział nigdy przedtem.

- Usiądź, Juliuszu - odezwał się Krassus.

Starszy mężczyzna unikał jego wzroku. Juliusz, siadając na ławie przy stole, ściągnął brwi.

Czekał cierpliwie, lecz gdy obaj wodzowie zwlekali ze słowami, poczuł w sercu żądło niepokoju. Machinalnie starł z twarzy krople deszczu. Pompejusz podsunął młodemu

trybunowi kubek z winem.

- My obaj… to znaczy ja… ja mam złe wieści, Juliuszu. Z miasta przybyli posłańcy - zaczął

niepewnie Pompejusz. - Widzisz, zaatakowano majątek. Twoja żona została zabita.

Rozumiem…

Juliusz się szarpnął.

Rozdział XL

- Nie. To niemożliwe. To na pewno pomyłka.

- Przykro mi, Juliuszu. Ta wiadomość przyszła razem z meldunkami - powiedział Pompejusz, a przerażenie młodego człowieka nasunęło mu wspomnienie znalezionej w ogrodzie martwej córki. Wręczył Juliuszowi rozwinięty pergamin i przyglądał się w milczeniu, jak Cezar wpatruje się w tekst, jakby nie mógł pojąć jego sensu.

- Bogowie, nie - wyszeptał młody człowiek. - Z tego niewiele wynika. Co z Tubrukiem? Co z Oktawianem? Żadnej wzmianki o mojej córce. To tylko kilka słów. Kornelia… - Nie mógł

dokończyć. Pochylił głowę w niemym nieszczęściu.

- To formalne zawiadomienie. Poczekajmy na listy. Być może cała reszta żyje. - Pompejusz przerwał. W końcu podjął decyzję. -Jesteśmy blisko miasta i w takiej sytuacji okażę zrozumienie, jeżeli na krótko opuścisz obóz, by osobiście się zająć swoimi sprawami.

Juliusz chyba go nie słyszał. Krassus, widząc to, podszedł do dotkniętego kolejnym nieszczęściem młodego człowieka.

- Jeżeli chcesz wrócić do swojego majątku, podpiszę odpowiednie rozkazy. Juliuszu, jesteś tu?

Juliusz podniósł głowę i obaj mężczyźni odwrócili wzrok, by nie patrzeć na jego mękę.

- Chcę wziąć ze sobą Dziesiąty. Proszę o pozwolenie - powiedział Juliusz, drżąc na całym ciele.

- Nie, Juliuszu, to niemożliwe - odrzekł Pompejusz. - Nie mogę dać ci legionu, byś go użył

przeciw osobistym wrogom.

- Zatem chcę pięćdziesięciu ludzi. Chcę dziesięciu. Pompejusz potrząsnął głową.

- Ja sam udaję się do miasta, Juliuszu. Sprawiedliwości stanie się zadość, przysięgam ci, ale na mocy prawa, w imię pokoju w mieście. W imię wszystkiego, czego dokonał Mariusz.

Wrócisz tu ze mną za kilka dni i wtedy skończymy z rebelią. To twój i mój obowiązek.

Juliusz się odwrócił, jakby chciał opuścić namiot. Ogromnym wysiłkiem woli zmuszał się do milczenia. Pompejusz położył mu dłoń na ramieniu.

-Jeżeli republika ma przetrwać, musimy sami na siebie nakładać ograniczenia, Juliuszu.

Kiedy umarła moja córka, kazałem

sobie czekać. Sam Mariusz powiedział, że republika jest warta życia. Pamiętasz?

- Nie jej życia - odpowiedział Juliusz, powstrzymując łkanie. - Ona nie była częścią tego wszystkiego.

Obaj wodzowie wymienili spojrzenia nad jego głową.

- Jedź do domu, Juliuszu - powiedział miękko Krassus. - Przed namiotem czeka koń. Do twojego powrotu Dziesiątym będzie dowodził Brutus.

Juliusz w końcu wstał i dla stworzenia pozorów, że panuje nad sobą, odetchnął głęboko.

- Dziękuję - powiedział, próbując oddać honory. Zauważywszy, że wciąż zaciska dłoń na pergaminie z nieszczęsną wiadomością, położył go na stole, po czym opuścił namiot i chwycił

lejce konia, którego mu przyprowadzono. Pragnął jednego - wbić pięty w boki zwierzęcia i popędzić przed siebie, zawrócił jednak i podjechał do miejsca, gdzie Dziesiąty spał w swoich namiotach. Na widok jego twarzy Brutus, wyrwany ze snu, wyszedł na zewnątrz bez słowa sprzeciwu.

- Wracam do Rzymu, Brutusie. Kornelia nie żyje. Nie rozumiem, co się stało.

- Och, Juliuszu, nie! - zakrzyknął Brutus.

Przyjaciele padli sobie w ramiona i zjednoczeni w żalu stali tak przez dłuższą chwilę. Juliusz wreszcie mógł zapłakać.

- Wymaszerowujemy? - wyszeptał Brutus.

- Pompejusz zabronił - odpowiedział Juliusz, wysuwając się z objęć przyjaciela.

- Nieważne, Juliuszu. Ruszamy? Powiedz tylko słowo.

Juliusz zacisnął powieki, myśląc o tym, co powiedział Pompejusz. Konsul cierpiał z powodu własnej tragicznej straty. Czy miałby być słabszy od tamtego człowieka? Śmierć Kornelii uwolniła go z więzów powściągliwości. Nic nie mogło go powstrzymać od rzucenia armii przeciwko Katonowi i wyrwania go z korzeniami z trzewi Rzymu. Jakąś cząstką rozpaczliwie pragnął zobaczyć płomienie nad miastem, wypalające raz na zawsze imię sullańczyków z ludzkiej-pamięci. Katulus, Bibulus, Prandus, wreszcie sam Katon. Każdy z nich ma rodzinę, która mogłaby zapłacić krwią za to, co mu odebrano.

Rozdział XL

469

Ale była jeszcze jego córka Julia. W meldunku nie wspomniano o jej śmierci.

Myśl o niej przypomniała mu o węzłach krwi, które zasupłały się w nim przez wybór takiego życia, i szybko stłumił żal. Brutus wciąż go obserwował w skupieniu; czekał.

- Nie, Brutusie, jeszcze nie teraz. Dług krwi musi być spłacony, ale jeszcze nie teraz.

Będziesz dowodził Dziesiątym aż do mojego powrotu.

-Jedziesz sam? Pozwól, bym ci towarzyszył - powiedział Brutus, kładąc dłoń na lejcach, które trzymał Juliusz.

- Nie, ty musisz przejąć dowodzenie. Pompejusz zabronił mi wziąć z sobą jakiegokolwiek legionistę. Każ Kaberze wyjść z namiotu. Potrzebuję go.

Brutus pobiegł do miejsca, gdzie spał uzdrawiacz, i szarpnął go za ramię. Kiedy starzec zrozumiał, co się dzieje, ruszył

szybko, choć gdy owijał się ciaśniej swoją szatą przed smagającym deszczem, jego twarz żłobiły głębokie bruzdy zmęczenia.

Juliusz wciągnął Kaberę za siebie, na grzbiet konia, i spojrzał Brutusowi w oczy. Młodzi mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

- Pompejusz nie wie o żołnierzach, których zostawiliśmy w majątku, Juliuszu. W razie potrzeby będą się bić za ciebie, pamiętaj.

- Jeżeli jeszcze żyją - odpowiedział Juliusz.

Ogarnięty przytłaczającym smutkiem wbił pięty w boki konia. Kiedy pędził przez noc, z Kaberą wciśniętym w jego plecy, łzy na jego policzkach mieszały się z deszczem.

ROZDZIAŁ XLI

v>iemne chmury przesłaniały wiosenne słońce. Kiedy Juliusz i Kabera zbliżyli się do majątku, deszcz wciąż jeszcze jednostajnie padał. Cezar, patrząc na dom, poczuł potworne znużenie, które nie miało nic wspólnego z jazdą w ciemnościach nocy. Każąc dźwigać koniowi podwójny ciężar, pozwolił mu iść wolnym krokiem przez całe godziny. Nie czuł

potrzeby pośpiechu. Przeciwnie, pragnął, by czas wlókł się w nieskończoność i by go oddalał, a nie zbliżał do nieuchronnego momentu. Kabera milczał przez całą podróż. Nie było w nim dawnej zaraźliwej wesołości, tak jak nieoczekiwany powrót do miejsca tak wielu wspomnień nie był wesoły. Mokre ubranie przykleiło mu się do ciała i stary człowiek trząsł się z zimna.

Juliusz zsiadł z konia przy bramach i przyglądał się, jak je przed nim otwierają. Coś w nim protestowało przed wejściem do środka. Wprowadził konia na podwórze jak sparaliżowany.

W twarzach żołnierzy z legionu Pierworodnych, którym rzucił lejce, odbijała się jego własna męka. Nie odezwał się do żadnego, lecz poszedł prosto do budynków, przez błoto i kałuże.

Kabera, głaszcząc w roztargnieniu ciepły pysk konia, patrzył, jak Juliusz wchodzi w progi własnego domu.

Pierwszą napotkaną osobą była Klodia. Trzymała w dłoniach zakrwawione ubranie. Bladość twarzy i ciemne worki pod oczami świadczyły, w jakim był stanie.

- Gdzie ona jest?

- W tryklinium - powiedziała łamiącym się głosem. - Panie, ja…

Rozdział XLI

471

Juliusz minął ją bez słowa, wszedł do wskazanego pomieszczenia i stanął przy drzwiach. W

głowach prostego łoża płonęły pochodnie, rozjaśniając twarz Kornelii. Juliusz podszedł do żony i popatrzył na nią. Była umyta i ubrana w białe szaty, twarz miała naturalną, włosy odgarnięte do tyłu i związane. Dotknął jej twarzy i skrzywił się, czując pod palcami gładkość skóry. Oczy Kornelii były niedomknięte i mógł zobaczyć białka pod powiekami. Spróbował

je docisnąć, lecz kiedy cofnął palce, powieki znów się podniosły.

- Przepraszam - wyszeptał, ale szept, na tle cichego migotania pochodni, zabrzmiał głośno.

Juliusz ujął jej dłoń i poczuł sztywność drobnych palców. Uklęknął. - Przepraszam, że cię aż tak skrzywdzili. Nigdy nie byłaś częścią tego wszystkiego. Przepraszam, że cię stąd nie zabrałem. Jeżeli mnie słyszysz, wiedz, że cię kocham, że zawsze kochałem.

Pochylił głowę zawstydzony. Jego ostatnie słowa mogłyby rozgniewać kobietę, której przysiągł miłość, lecz na odkupienie winy było za późno. Był za głupi, by jej pomóc, zbyt pewny tego, że będzie tu zawsze i że kłótnie i złe słowa się nie liczą. Teraz odeszła, a on przycisnął pięści do czoła w gniewie na siebie samego, aż do bólu. Jakże on się przechwalał i chełpił przed nią! Jego wrogowie upadną, a ona będzie bezpieczna…

W końcu wstał, lecz nie potrafił się od niej odwrócić.

Jakiś głos zburzył ciszę.

- Nie! Nie wchodź tam!

To była Klodia. Wołała z zewnątrz. Juliusz obrócił się i sięgnął dłonią do miecza.

Do tryklinium wpadła jego córka. Widząc go, zatrzymała się jak wryta. Instynktownie zasłonił sobą Kornelię, podszedł do dziecka i wziął je w ramiona.

- Mamusia odeszła - szepnęła Julia, a on, choć z oczu trysnęły mu łzy, potrząsnął głową.

- Nie, nie, ona wciąż jest tutaj i kocha ciebie.

Ludzie Pompejusza krztusili się odorem rozkładu, który niósł się od schwytanego mężczyzny.

Skóra pod grubym płaszczem, w uścisku ich dłoni, zdawała się nie mieć związku z resztą ciała

i kiedy przesunęli dłonie, zakapturzony mężczyzna jęknął z bólu, jakby go rozrywano na części.

Pompejusz, z oczami błyszczącymi od gniewu i złości, był zwrócony do nich twarzą. Tuż przy nim stały dwie młode dziewczyny znalezione w domu w głębi labiryntu uliczek i zaułków pośród wzgórz. Twarze miały ściągnięte strachem, lecz wiedziały, że nie ma ucieczki i że pozostało im jedynie milczenie. Groźba była oczywista.

Pompejusz otarł pot z czoła.

- Zdejmijcie mu kaptur. Chcę zobaczyć człowieka, który zabił moją córkę - powiedział.

Dwaj żołnierze pociągnęli za szorstką tkaninę i czym prędzej odwrócili oczy. Morderca spojrzał na nich z nienawiścią. Jego twarz pokrywały strupy i blizny, i nabrzmiałe kratery wrzodów. Nie było na niej ani skrawka zdrowego ciała, a kiedy otworzył usta, aby

przemówić, skóra wokół ust pękła i trysnęła krwią.

- Nie jestem człowiekiem, którego poszukujesz. Pompejusz obnażył zęby.

- Jesteś jednym z nich. Wiem, że zdradzisz mi pewne imię. Ale twoje życie należy do mnie i odbiorę ci je za to, co zrobiłeś.

Mężczyzna, marszcząc się ze strachu, strzelił spojrzeniem kaprawych oczu w stronę

dziewczyn. Gdyby Pompejusz nie odgadł tego wcześniej, wiedziałby teraz, że są jego córkami. Senator znał taki strach bardzo dobrze. Morderca mówił szybko, jakby pod słowami chciał ukryć to, z czym niepotrzebnie się zdradził.

- Jak mnie znaleźliście?

Ostrze sztyletu, który Pompejusz wyciągnął zza pasa, błysnęło złowieszczo.

- Wytropienie ciebie zabrało dużo czasu i pieniędzy i kosztowało życie czterech przyzwoitych ludzi, lecz to plugastwo, które zatrudniasz, w końcu cię wydało. Powiedziano mi, że budujesz piękną posiadłość na północy, daleko od tej nory. Budujesz na mojej krwi. Myślisz, że zapomniałem o zabójcy mojej córki?

Mężczyzna zakaszlał. Jego oddech wionął słodkim zapachem pachnideł, których używał do zabicia odoru rozkładu.

- To nie był mój nóż.

- To był twój rozkaz. Kto ci ją wskazał? Czyje złoto wziąłeś?

i kiedy przesunęli dłonie, zakapturzony mężczyzna jęknął z bólu, jakby go rozrywano na części.

Pompejusz, z oczami błyszczącymi od gniewu i złości, był zwrócony do nich twarzą. Tuż przy nim stały dwie młode dziewczyny znalezione w domu w głębi labiryntu uliczek i zaułków pośród wzgórz. Twarze miały ściągnięte strachem, lecz wiedziały, że nie ma ucieczki i że pozostało im jedynie milczenie. Groźba była oczywista.

Pompejusz otarł pot z czoła.

- Zdejmijcie mu kaptur. Chcę zobaczyć człowieka, który zabił moją córkę - powiedział.

Dwaj żołnierze pociągnęli za szorstką tkaninę i czym prędzej odwrócili oczy. Morderca spojrzał na nich z nienawiścią. Jego twarz pokrywały strupy i blizny, i nabrzmiałe kratery wrzodów. Nie było na niej ani skrawka zdrowego ciała, a kiedy otworzył usta, aby

przemówić, skóra wokół ust pękła i trysnęła krwią.

- Nie jestem człowiekiem, którego poszukujesz. Pompejusz obnażył zęby.

- Jesteś jednym z nich. Wiem, że zdradzisz mi pewne imię. Ale twoje życie należy do mnie i odbiorę ci je za to, co zrobiłeś.

Mężczyzna, marszcząc się ze strachu, strzelił spojrzeniem kaprawych oczu w stronę

dziewczyn. Gdyby Pompejusz nie odgadł tego wcześniej, wiedziałby teraz, że są jego córkami. Senator znał taki strach bardzo dobrze. Morderca mówił szybko, jakby pod słowami chciał ukryć to, z czym niepotrzebnie się zdradził.

- Jak mnie znaleźliście?

Ostrze sztyletu, który Pompejusz wyciągnął zza pasa, błysnęło złowieszczo.

- Wytropienie ciebie zabrało dużo czasu i pieniędzy i kosztowało życie czterech przyzwoitych ludzi, lecz to plugastwo, które zatrudniasz, w końcu cię wydało. Powiedziano mi, że budujesz piękną posiadłość na północy, daleko od tej nory. Budujesz na mojej krwi. Myślisz, że zapomniałem o zabójcy mojej córki?

Mężczyzna zakaszlał. Jego oddech wionął słodkim zapachem pachnideł, których używał do zabicia odoru rozkładu.

- To nie był mój nóż.

- To był twój rozkaz. Kto ci ją wskazał? Czyje złoto wziąłeś?

Rozdział XLI

Wiem to i tak, ale powiedz o wszystkim w obecności świadków, tak bym mógł zadośćuczynić sprawiedliwości.

Mierzyli się wzrokiem przez długą chwilę, po czym morderca opuścił wzrok na broń, którą Pompejusz wyraźnie się bawił. Jego córki patrzyły przed siebie, z suchymi oczami. Nie rozumiały zagrożenia i mógłby wołać głośno, że są niewinne, kiedy patrzyły na niego z taką ufnością. Nie były dotknięte nieszczęściem jego wrzodów. W rzeczywistości, gdyby nie kojąca kąpiel, którą zarządziły dla swojego ojca, wiedział, że odebrałby sobie życie dawno temu. Obie były zdrowe, ich skóra była doskonale gładka pod warstwą brudu, pod którym się ukrywały przed sępami zaułków. Kto zadba o nie, kiedy on odejdzie? Wiedział dosyć o

Pompejuszu, by rozumieć, że jego życie się skończyło. Pompejusz nie miał litości od dnia śmierci swej córki. Jeżeli miał kiedykolwiek.

- Pozwól moim córkom odejść, a powiem ci wszystko - wycharczał morderca, a w jego

oczach pojawiło się błaganie.

Pompejusz chrząknął cicho, następnie sięgnął po młodszą i schwycił ją mocno za włosy.

Drugą ręką przeciągnął sztyletem po wyprężonym gardle i rzucił wykręcone ciało na ziemię.

Morderca krzyknął i ten rozdzierający dźwięk zlał się w jedno z krzykiem drugiej córki. Przez moment usiłował wyrwać się mężczyznom, którzy go trzymali, potem osunął się w ich

ramiona i zaczął łkać.

- Teraz wiesz - powiedział Pompejusz. Wytarł ostrze kciukiem i palcem wskazującym i strząsnął ciężkie krople krwi na glinianą podłogę. Odczekał cierpliwie, aż przywódca morderców przestanie się dławić łkaniem. - Druga być może będzie żyła. Pytam po raz ostatni. Czyje złoto wziąłeś?

- Katona… przez Antonidusa. To wszystko, co wiem, przysięgam.

Pompejusz zwrócił się do otaczających go żołnierzy.

- Czy każdy słyszał?

Żołnierze przytaknęli, ponurzy jak ich dowódca.

- A więc skończyliśmy z tym miejscem. - Odwrócił się, by odejść, i tylko mała plama na jego dłoniach wskazywała, że był tam kiedykolwiek. - Zabić oboje, dziewczynę najpierw -

dorzucił, wychodząc w mrok zaułka.

- Czy się obudził? - spytał Juliusz.

W pokoju unosiła się ciężka woń choroby. Na łóżku, na którym widniały rdzawe plamy krwi, leżał Tubruk. Zanim Juliusz się tu znalazł, musiał przeczekać łzy swojej córki, a potem łagodnie odgiąć palce zaciśnięte wokół jego szyi. Wtedy Julia rozpłakała się od nowa, ale nie mógł jej zabrać do kolejnego pomieszczenia, w którym królowała śmierć, i w końcu Klodia oddała ją w ręce młodej niewolnicy. Ze sposobu, w jaki mała wtuliła się w jej ramiona, wynikało niezbicie, że kobieta pocieszała ją przez ostatnie, straszne dni.

- Może się obudzi na dźwięk twojego głosu, ale to już nie potrwa długo - powiedziała Klodia, stając obok niego w drzwiach pokoju. Jej twarz mówiła mu więcej, niżby chciał wiedzieć, i przed wejściem do środka zamknął na chwilę oczy.

Tubruk leżał bezwładnie w pościeli, ze świeżymi szwami na piersi. Chociaż zdawał się spać, zadrżał i Juliusz, zbliżywszy się do łóżka, przykrył go szczelniej. Wokół ust mężczyzny pieniła się różowa krew. Klodia sięgnęła po naczynie z zabarwioną na fioletowo wodą, podczas gdy Juliusz przyglądał się wszystkiemu w rozpaczy. Zaszło zbyt wiele zmian, by mógł je objąć rozumem, i stał jak przykuty do podłogi, podczas gdy Klodia przemywała usta Tubruka i każdy szew, delikatnie i czule.

Tubruk najpierw jęknął, a potem, pod czułym dotykiem, otworzył oczy, choć jego spojrzenie wydawało się nie całkiem przytomne.

- Ty wciąż tutaj, staruszko? - wyszeptał, wydobywając na usta delikatny uśmiech.

- Wciąż i tak długo, jak będziesz mnie potrzebował, kochanie - odpowiedziała Klodia.

Popatrzyła na Juliusza, potem znów na mężczyznę na łóżku. - Przyjechał Juliusz -

powiedziała.

Tubruk poruszył głową.

- Niech stanie tak, bym go zobaczył - poprosił cicho.

Klodia cofnęła się, a Juliusz podszedł bliżej i popatrzył w zamglone oczy. Tubruk zachłysnął

się własnym oddechem i znów zadrżał.

- Nie mogłem ich powstrzymać, Juliuszu. Próbowałem, ale… nie mogłem się do niej przebić.

Rozdział XLI

475

- To nie twoja wina - wyszeptał Juliusz i wpatrując się w starego przyjaciela, zaszlochał

bezgłośnie.

- Zabiłem ich wszystkich. Zabiłem go, aby ją ocalić - powiedział Tubruk.

Oczy miał puste i urywany oddech i Juliusz zwątpił w bogów. Zsyłali za wiele bólu tym, których kochał.

- Sprowadź tu Kaberę. To przecież uzdrawiacz - rozkazał Klodii.

Klodia przyzwała go do siebie dłonią.

- Nie męczmy go niepotrzebnie. Nic się nie da zrobić, poza czekaniem. Nie została w nim kropla krwi.

- Sprowadź Kaberę - powtórzył gniewnie Juliusz. - Kabera jest tutaj, Tubruku. On cię wyleczy - zwrócił się do umierającego i gardło znów mu nabrzmiało łkaniem.

Stary człowiek, otrząsając się z kropli deszczu, wszedł do środka i jednym susem znalazł się przy łóżku. Wyglądał jak rażony gromem. Zręcznymi palcami sprawdził rany, obejrzał całe ciało, po czym popatrzył na zrozpaczonego Juliusza i ciężko westchnął.

- Będę próbował - powiedział w końcu. Położył dłonie na poranionym ciele, wokół szwów, i zamknął oczy.

Juliusz, szepcąc cichą modlitwę, wychylił się do przodu. Dojrzał jedynie nieruchome, ciemne dłonie starego uzdrawiacza na bladej piersi mężczyzny. Tubruk wciągnął gwałtownie

powietrze, następnie wypuścił je powoli. Otworzył oczy.

-Już po bólu, kochanie - powiedział, patrząc na Klodię. Po czym życie z niego uszło, a Kabera zachwiał się i upadł.

Pompejusz spojrzał spod oka na dowódcę okrętu, który stał przed nim sztywno.

- Nie dbam o to, jakie masz rozkazy. Te są moje. Popłyniesz na południe, w stronę Sycylii, i skrzykniesz wszystkie inne jednostki, które zobaczysz po drodze. Każdy rzymski statek ma strzec naszego południa i przeszkodzić niewolnikom w ucieczce. Czy to jasne, czy muszę kazać cię zakuć w kajdany i wyznaczyć na twoje miejsce innego dowódcę?

Gaditykus oddał honory, nie śmiąc okazać aroganckiemu senatorowi swojej głębokiej

niechęci. Po sześciu miesiącach na morzu

miał nadzieję na jakiś pobyt w mieście, lecz rozkazano mu wyruszyć w dalszą drogę i nie zostawiono nawet chwili na przegląd okrętu. Praks wpadnie w szał, kiedy to usłyszy, pomyślał.

- Tak jest, panie. Odpłyniemy z portu z najbliższą falą.

- Obyś był tego pewien - rzucił cierpko Pompejusz i odszedł do czekających na niego żołnierzy.

Gaditykus popatrzył za nim, po czym przeniósł wzrok na inne okręty, które już wypływały na morze. Teraz, kiedy wszystkie kierują się ku Cieśninie Sycylijskiej, rzymskie porty staną się łatwym łupem. Oby to, co senat zamyślał, było warte takiego ryzyka.

O szarym zmierzchu Klodia znalazła Juliusza w stanie kompletnego zamroczenia. Podniósł

głowę znad pucharu wina i popatrzył na nią apatycznie.

- Czy wróciłeś do domu na dobre? - spytała.

Juliusz potrząsnął głową i powiedział bełkotliwie i żałośnie:

- Nie. Wracam z Pompejuszem za kilka dni. Ale najpierw wyprawię obojgu pogrzeb.

Klodia nie miała dla tego mężczyzny żadnych słów pocieszenia. Chętnie zadałaby mu ból za to, jak okrutnie potraktował Kornelię, i tylko ostatnim wysiłkiem woli powstrzymała cisnące się na usta złe słowa. Ale on je czytał w jej twarzy, była tego pewna.

- Czy zostaniesz i zaopiekujesz się moją matką i córką? - spytał cicho, nie patrząc na nią.

- Powinnam wrócić do domu Cynny. Jestem niewolnicą. Juliusz zamachał ku niej pijackim gestem.

- No to ja cię wyzwalam. Wykupię akt własności od ojca mojej żony. Nim wrócę do legionu, mogę zrobić przynajmniej tyle. Po prostu opiekuj się Julią. Co z Oktawianem? Jest tutaj?

-Jest w stajniach. Nie byłam pewna, czy powinien wrócić do matki, więc…

- Opiekuj się nim także. To moja krew. Obiecałem się nim zająć, a ja obietnic dotrzymuję. -

Twarz wykrzywiła mu się cierpieniem. - Chcę, byś tu została. Chcę, byś prowadziła mój dom.

Nie wiem, kiedy wrócę następnym razem, lecz teraz, kiedy tu jestem, chcę, byś mi o niej opowiedziała. Znałaś ją wcześniej

niż ja, i chcę o niej wiedzieć wszystko.

Rozdział XLI

477

Jest taki młody, pomyślała. Młody i głupi, ale już zdążył się nauczyć, że życie bywa gorzko niesprawiedliwe. Jak długo ona sama czekała na miłość, nim doświadczyła jej z Tubrukiem?

Kornelia by ją wyzwoliła, pozwoliłaby jej założyć własną rodzinę, a Tubruk zebrałby się kiedyś na odwagę i poprosił, by została jego żoną. Teraz nie ma niczego, a dziewczyna, którą pielęgnowała za dni jej dzieciństwa, leży cicho i spokojnie w sąsiednim pokoju. Kiedy będzie miała dość sił, to ona, nikt inny, owinie nieszczęsne ciało Tubruka i przygotuje je na ostatnią drogę. Ale jeszcze nie teraz.

- Zostanę - powiedziała, choć nie miała pewności, czy Juliusz ją słyszy.

ROZDZIAŁ XLII

lYaton stał na forum pod ciemniejącym niebem, a zdarta z jego ramion toga odsłaniała zwały białego ciała, które błyszczało kroplami wody. Plecy przecinały mu krwawe pręgi, ale ból był

zaledwie dalekim echem złości i obrzydzenia wobec miernot, które doprowadziły go do upadku. Ani jeden z tych ludzi nie zawahałby się działać tak jak on, niechby tylko nadarzyła się im sposobność. A przecież patrzyli na niego wzrokiem pełnym nienawiści i wytykali go palcami, jakby nie byli ulepieni z tej samej gliny. Uśmiechał się do nich szyderczo i trzymał

wysoko głowę, nawet kiedy zbliżył się jego oprawca z długim mieczem w dłoniach.

Pompejusz przypatrywał się tej scenie pozornie beznamiętnie. Odwlókł powrót do Krassusa i legionów, by się upewnić, że dokończono dzieła. Oczywiście wolałby widzieć te tłuste ręce przygwożdżone do drewnianej belki i wystawione na forum na powolną śmierć. Taki koniec byłby dla Katona odpowiedniejszy. Choć dobre i to, że wbrew jego krzykom rodzina została sprzedana w niewolę. Dom natomiast został przekazany senatowi i pieniądze ze sprzedaży pójdą na

opłacenie legionów Pompejusza, poprowadzonych przeciw niewolnikom.

Juliusz stał obok Pompejusza jak odrętwiały. Wódz, z miną triumfatora, wypchnął go do przodu, aby był naocznym świadkiem egzekucji, lecz Cezar nic nie czuł. Widzieć Katona zabitego to żadna radość. To jakby zobaczyć zabitego psa czy rozgniecionego dokuczliwego robaka. Spasiony senator nie był w stanie pojąć, jaki ogrom żalu spowodował, i nic, co by wycierpiał, nie

Rozdział XLII

479

mogło wskrzesić Kornelii. Niech to się szybko skończy, Juliusz wyszeptał do siebie, przyglądając się scenie. Niech skończy się wszystko.

Katon splunął na kamienie forum i rozejrzał się po senatorach i obywatelach, którzy przyszli popatrzeć na egzekucję. Przynajmniej raz nie czuł zagrożenia ze strony tłumu. Nigdy nie cieszył się popularnością wśród mieszkańców miasta, lecz kto by dbał o to, co ci ludzie myślą czy robią. Splunął raz jeszcze i usta wykrzywił mu grymas na widok zniecierpliwienia w oczach motłochu. Zwierzęta, co do jednego, bez cienia wyobraźni, w jaki sposób wielki człowiek może naginać prawo. Mariusz to wiedział, Sulla też. Ani jeden z tego pospólstwa nie potrafi zrozumieć, że nie ma prawa innego niż prawo silniejszego.

Na odgłos kroków Katon odwrócił głowę i zobaczył, że zmierza ku niemu Pompejusz.

Skrzywił się. Ten człowiek nie ma choćby tyle ogłady, by pozwolić skazańcowi umrzeć, oszczędzając mu więcej drwin i szyderstw. Nie, Pompejusz nie jest stworzony, by być wielkim. Sulla pozwoliłby swojemu wrogowi, choćby najgorszemu, na godną śmierć. Sułla rozumiał znaczenie władzy.

Pompejusz stanął tak blisko, by jego usta znalazły się przy uchu Katona.

- Twoja rodzina nie pożyje długo jako niewolnicy. To ja ich kupiłem. Wszystkich - syknął.

Katon popatrzył na niego chłodno.

- Germiniusza też?

- Germiniusz nie przeżyje ostatniej bitwy.

Katon się uśmiechnął. Ciekawe, pomyślał, czy Pompejusz lepiej niż on poradził sobie z Juliuszem i Brutusem. Podniósł głowę wyzywająco. Wydawało mu się stosowne być sobą do ostatniej chwili. Słyszał kiedyś, że rodziny dawnych królów rzucano żywcem na ich stosy pogrzebowe. Pompejusz jest głupcem, jeśli sądzi, że go zrani.

- Jeszcze i ty poznasz taki dzień jak ten. Jesteś człowiekiem zbyt małego formatu, byś miał

długo utrzymać miasto w swoich rękach - powiedział i roześmiał się na cały głos, widząc, jak znienawidzoną twarz wykrzywia skurcz gniewu.

- Chwytaj za miecz i kończ z nim - warknął Pompejusz do

oprawcy i kiedy ten skłonił mu się nisko, wrócił do grona czekających senatorów.

Katona ogarnęła fala śmiertelnego znużenia. Kiwnął na kata.

- Nie dzisiaj, chłopcze. Są rzeczy, których mężczyzna powinien dokonać sam - mruknął, zdejmując z nadgarstka grubą bransoletę. Jednym naciśnięciem kciuka wyjął z niej małe, cienkie jak włos ostrze i zwrócił się twarzą do tłumu. Jeszcze raz zaśmiał się szyderczo.

Przyłożył dłoń do szyi i jednym pociągnięciem przeciął tętnicę. Teraz pozostało mu jedynie czekać, aż czerwona krew chluśnie strumieniem i obmyje jego białe ciało.

Oprawca drgnął i zrobił nerwowy krok do przodu, lecz Katon miał dość siły, by podnieść dłoń, odmawiając miecza. Tłum zastygł w pełnym niedowierzania milczeniu. Pod skazańcem nogi się ugięły i po chwili dał się słyszeć głuchy trzask kolan o kamienie. Katon obrzucił

najbliżej stojących nienawistnym wzrokiem i runął na twarz.

Napięcie opadło i tłum obywateli zafalował szmerem westchnień. Mimo zbrodni, o których jeden szeptał drugiemu, odwaga senatora zepsuła ludziom całą przyjemność z widowiska.

Zaczęli się rozchodzić w milczeniu, mijając bezwładne ciało z pochylonymi głowami, a niejeden wymruczał krótką modlitwę.

Pompejusz z gniewu zacisnął usta. Wobec takiego zakończenia trudno się było cieszyć z zemsty i czuł się tak, jakby mu coś ukradziono. Dał znak strażom, by usunęły trupa, i zwrócił

się do Juliusza.

- Ruszamy na południe, zakończyć inną sprawę.

Wódz patrzył na Krassusa w zdumieniu.

- Panie, mówisz o przekopaniu ponad dwudziestu mil ziemi! Namawiam cię, byś przemyślał

to ponownie. Legiony powinny zająć środek lądu i w razie czego nie dać się im przebić na północ.

Krassus, nerwowo bębniąc palcami po stole, czekał, aż mężczyzna skończy. Należało zrobić to i tylko to, był pewien. Niewolnicy wpadli w potrzask na wybrzeżu i jeżeli Pompejusz zdoła skrzyknąć okręty, skończy się z nimi raz na zawsze. On musi ich jedynie przytrzymać, zamknąć na cyplu lądu, na południu kraju. Popatrzył na ścianę namiotu, na mapę Pompejusza.

Dwadzieścia mil? Doprawdy, to żadna odległość.

Rozdział XLII

481

- Moje rozkazy są jasne, wodzu. Pompejusz prowadzi z północy nowe legiony. Będziemy trwać na swoich pozycjach, aż przybędą, i żądam, by kraj przeciął mur obwałowań.

Niepotrzebnie zabierasz mi czas. - W głosie Krassusa czaiła się groźba. Z pewnością tamten nie śmiałby wygłaszać swoich opinii, gdyby to Pompejusz wydawał rozkazy. To było nie do

zniesienia. - Wyjdź! - warknął na mężczyznę, podnosząc się z miejsca. Gdy został sam, usiadł

na powrót, potarł nerwowo czoło i jeszcze raz wpatrzył się w mapę.

Na zewnątrz podniósł się jakiś hałas i Krassus podskoczył przerażony, że niewolnicy przebili się przez zaporę legionów, aby znów niszczyć jego kraj. Nie, na coś takiego nie można pozwolić. Najpierw myślał o zmiażdżeniu ich i zepchnięciu do morza, ale co by się stało, gdyby walczyli tak jak na północy? Mając odciętą drogę ucieczki, mogliby podejmować rozpaczliwe działania i gdyby opanowali rzymskie linie, wiedział, że będzie skończony, choćby przeżył bitwę. Senat zażądałby jego głowy, to pewne. Skrzywił się. Ilu z nich ma długi, które mogłaby umorzyć jedynie jego śmierć? Już sobie wyobrażał ich zatroskane miny, kiedy rozprawiają nad jego losem w senacie. Po odjeździe Pompejusza trochę lepiej rozumiał

presję chwili. Nie było nikogo, kto by coś doradził, i decyzje należą tylko do niego.

Podszedł do mapy. Przesunął palcem od morza do morza, przez najwęższy przesmyk lądu w całej Italii.

- Utrzymamy cię, aż do przyjścia legionów - mruknął, marszcząc czoło. Dwadzieścia mil wypiętrzonej ziemi. Nigdy przedtem nie wzniesiono takich obwarowań i kiedy już raz powstaną, lud Rzymu będzie o nich opowiadał dzieciom. Będzie opowiadał o Krassusie, który zbudował mur w poprzek kraju. Rozgorączkowany tarł palcem po mapie w tę stronę i z powrotem, aż na pergaminowej skórze pokazała się ciemniejsza linia.

To na pewno ich zatrzyma, chyba że Pompejuszowi nie uda się zgromadzić odpowiedniej liczby galer i uciekną na morza. Wówczas, pilnując pustych pól, on stałby się pośmiewiskiem całego kraju. Otrząsnął się jak ze złego snu i usiadł, by myśleć dalej.

Po zwłoce spowodowanej egzekucją Katona Pompejusz pchnął greckie legiony na południe, nie pozwalając ludziom na chwilę

odpoczynku. Szeregi stanowili weterani z greckiego pogranicza, w przeważającej części oszczepnicy i żołnierze trzeciego szeregu, niezawodne wsparcie w bitwie dla młodych i niedoświadczonych. Pierwszego dnia, maszerując Via Appia, ci ludzie zrobili trzydzieści pięć mil. To było oczywiste, że zwolnią tempo po zejściu z szerokiej drogi, lecz nawet gdyby niewolnicy uciekli na sam cypel kraju, on, dowodząc greckimi legionami, dopadnie ich w niecałe dwa tygodnie. Wiedział to.

Juliusz jechał z Kaberą u boku i obaj zmieniali konie, tak samo jak Pompejusz, co dwanaście mil, w przydrożnych posterunkach. Pompejusz łamał sobie głowę nad osobowością młodego trybuna. Od chwili, kiedy wspólnie przyglądali się umieraniu Katona na wielkim forum, młody trybun wypowiedział do niego nie więcej niż parę słów, ale to był już inny człowiek.

Płonący w nim ogień - który niepokoił i denerwował Pompejusza -od kiedy objął dowództwo nowo utworzonego legionu, teraz przygasł, jeśli nie wypalił się do końca. Juliusz teraz jechał

nieuważnie, a jego koń nerwowo strzygł uszami, nie czując ręki jeźdźca. Pompejusz

przyglądał mu się bacznie każdego dnia. Znał ludzi, którzy się załamywali po osobistej tragedii, i jeżeli Juliusz nie jest odpowiednim materiałem na dowódcę, należy bez wahania pozbawić go stanowiska. Marek Brutus potrafi stanąć na wysokości zadania i nigdy nie będzie dla niego wyzwaniem ni zagrożeniem, tak jak ten. Sposób, w jaki Cezar przejął

dowództwo nad Pierworodnymi, a mimo to nie stracił w Brutusie przyjaciela, wymownie świadczył o jego zdolnościach. Możliwe, że byłoby lepiej się go pozbyć, zanim w pełni dojdzie do siebie po śmierci żony, dopóki jest słaby.

Pompejusz popatrzył przed siebie, na szeroką drogę. Krassusowi brakuje odwagi, by stawić czoło armii niewolników,

wiedział o tym od chwili, kiedy senat wybrał tego człowieka na wodza. Zwycięstwo będzie należało tylko do niego i nie trzeba nic więcej, by zjednoczyć wrogie frakcje w senacie i przejąć władzę nad Rzymem. Gdzieś przed nim flota okrętów zagradzała drogę na morze i choć niewolnicy jeszcze o tym nie wiedzieli, ich rebelia już była skończona.

Rozdział XLII

483

Spartakus patrzył znad urwistych brzegów na dym kłębiący się nad jeszcze jedną galerą pochwyconą i spaloną przez rzymskie okręty. Morze zaroiło się od uciekających przed rzymską flotą pirackich tryrem, desperacko tnących wiosłami fale, tak by nie wpaść jedna na drugą. Dla tych, które schwytano, nie było litości. Rzymskie okręty wojenne zbyt wiele lat znosiły hańbę daremnych pogoni, żeby się nie upajać dziełem zniszczenia. Kilka tryrem przeszło na własność Rzymu, lecz więcej było takich, które spłonęły, kiedy dwa czy trzy okręty zalały ich pokłady deszczem ognistych strzał, i piraci zginęli w płomieniach albo wskoczyli do morza. Reszta uciekała w popłochu od wybrzeża, unosząc z sobą ostatnią nadzieję na wolność.

Wokół niego, na urwiskach, które zieleniły się wiosennymi trawami, stali jego ludzie i wpatrywali się w dal, a na ich brudnych twarzach szklistą powłoką osiadała lekka mżawka.

Spartakus objął ich wzrokiem, tę swoją obdartą armię. Wszyscy byli głodni i zmęczeni, przybici świadomością, że wielka ucieczka przez kraj dobiegła końca. A przecież był dumny ze wszystkich.

- Nie mamy wyjścia, prawda? - zagadnął go Kryksus, zmęczony jak cała reszta.

- Nie mamy. Bez statków to koniec - odpowiedział Spartakus. Kryksus rozejrzał się po ludziach. W ich twarzach nie było

nadziei.

- Wybacz, Spartakusie. Powinniśmy przekroczyć góry - powiedział cicho.

Wódz niewolników wzruszył ramionami. Cicho się zaśmiał.

- Ale stało się inaczej i urządziliśmy tamtym niezłe biegi - powiedział. - Na wszystkich bogów, przestraszyliśmy ich.

Na morzu ostatnie z pirackich tryrem zostały przechwycone lub spalone i długie wiosła rzymskich okrętów spokojnie przegarniały fale tam i z powrotem. Podniósł się dym ze spalonych pokładów, gwałtowny i gorący jak zemsta.

- Antonidus odszedł - odezwał się nagle Kryksus.

- Wiem. Był u mnie ostatniej nocy, żądając części złota.

- I dałeś mu je?

Spartakus znów wzruszył ramionami.

- Dałem, czemu miałbym nie dać? Jeżeli uda mu się uciec,

bogowie z nim. Nam już nic nie zostało. Powinieneś odejść tak samo jak on. Możliwe, że kilku z nas zrobi to na własną rękę.

- Antonidus nie przedrze się przez legiony. Ten przeklęty mur, który zbudowali, odcina nas od świata.

Spartakus wstał.

- No to trzeba go zburzyć, a potem się rozdzielić i próbować szczęścia na własną rękę. Nie będę czekał, aż nas tu wyrżną jak bezbronne jagnięta. Zwołaj ludzi, niech podejdą bliżej, Kryksusie. Rozdzielimy złoto tak, by każdy miał sztukę czy dwie, po czym uciekniemy raz jeszcze.

- Wyłapią nas - powiedział Kryksus.

- Nie wszystkich. Kraj jest za duży. Spartakus wyciągnął dłoń i Kryksus ją uścisnął.

- Do następnego spotkania, Kryksusie.

- Do następnego.

Nie było księżyca, by jego blask odsłonił ich przed żołnierzami na wielkiej bliźnie ziemi, która ciągnęła się od wybrzeża do wybrzeża. Kiedy Spartakus ją zobaczył, potrząsnął głową z niedowierzaniem. A więc jakiś rzymski

wódz był gotów popełnić aż takie szaleństwo, byleby tylko zapędzić niewolników nad morze jak do zagrody. Była to jakby oznaka szacunku dla jego zwolenników - legiony nie śmiały ich gonić, lecz zadowalały się siedzeniem i

wpatrywaniem, nad tymi ich okopami, w ciemność.

Spartakus leżał na brzuchu na kępach skąpej trawy, z twarzą czarną od błota. Kryksus tkwił u jego boku, a za nimi wił się długi wąż ludzi, ukrytych i czekających na wezwanie do ataku.

Nikt nie zaprotestował przeciwko temu ostatniemu ryzyku, kiedy przedstawił im sprawę.

Wszyscy widzieli płonące statki i ich rozpacz zamieniła się w posępny fatalizm. Wielkie marzenie się nie ziściło. Teraz rozsypią się jak liście na wetrze i połowy z nich Rzymianie nigdy nie złapią.

- Na obwarowaniach tej długości będzie stała cienka linia straży -powiedział im Spartakus o zachodzie słońca. - Przebijemy ich jak strzała i zanim się zbiorą, większość z nas będzie po drugiej stronie.

Nie było okrzyków radości, ale powtórzyli jego słowa stojącym dalej, a potem usiedli, aby naostrzyć broń i czekać. Kiedy słońce

Rozdział XLII

485

zaszło i Spartakus się podniósł, podnieśli się i oni i przygarbieni pobiegli za nim w ciemność.

Krawędź muru, wzniesionego z surowych brył ziemi, kreśliła się ciemną linią na nikłym blasku gwiazd i czystym nocnym niebie. Kryksus popatrzył na mur, a potem na czarną twarz przyjaciela, jakby liczył, że wyczyta z niej myśli.

- Dziesięć stóp wysokości, co najmniej. Wygląda na solidny. Spartakus skinął ostro głową, po czym obaj mężczyźni podnieśli

się powoli i wódz cicho gwizdnął, by przyzwać grupę, która miała być pierwsza na murze.

Ludzie otoczyli go jak cienie, najsilniejsi z silnych, uzbrojeni w ciężkie młoty i topory.

- Ruszajcie. Zburzymy to, co tamci zbudowali - wyszeptał. Ludzie skoczyli do przodu, z bronią gotową do ataku. Reszta za

nimi stanęła na nogi i pobiegła prosto ku rzymskiemu murowi.

ROZDZIAŁ XLIII

J uliusz podziękował za miskę ciepłej strawy krótkim mruknięciem. Jak daleko sięgał

wzrokiem przez pola, wszędzie płynęły cienkie białe smugi dymu z ognisk greckich

legionów. Grunt był błotnisty i ciężkie bryły ziemi oblepiały ich sandały i spowalniały marsz.

Ci, którzy mieli płaszcze, siadali na nich, odwracając je zewnętrzną stroną do góry, by potem nie było widać, że są obłocone. Reszta siedziała na wszystkim, co się dało znaleźć, na płaskich kamieniach, garściach siana czy nawet na gołej trawie.

To miał być krótki postój, Juliusz wiedział. Wczesnym rankiem wrócili konni zwiadowcy i pogłoski rozeszły się wśród ludzi w jednej chwili, wcześniej, nim oficjalna wiadomość przeszła przez łańcuch rozkazów.

W meldunkach nie było niczego dobrego. Juliusz znajdował się u boku Pompejusza, kiedy wódz usłyszał, że armia niewolników idzie na północ, na spotkanie greckich legionów, a na horyzoncie nie pojawia się ani jeden proporzec i ani jeden orzeł Krassusa. Pompejusz wściekł

się na jeźdźca, który przyniósł wieści, i zażądał szczegółów, ale żołnierz ich nie znał.

Krassusowi, gdziekolwiek był, nie udało się zatrzymać niewolników na wybrzeżu. Juliusz pomyślał, że Krassus może już nie żyje, ale niewiele go to obeszło. Widział już wiele śmierci.

Jedna więcej, w tej nieszczęsnej kampanii, to żadna różnica.

Kabera wytarł palcami miskę i oddał ją pomocnikom kucharza, krążącym po rozległym obozowisku. Nigdy nie było dosyć jedzenia i nim rozdano miski, ich zawartość była tak zimna, jak zimny był

Rozdział XLIII

487

dzień. Wokół nich ludzie trwali w lunatycznym spokoju, typowym dla ostatnich chwil przed bitwą. Żaden z nich nigdy przedtem nie walczył z niewolnikami i zamilkły zwykłe rozmowy.

Gdzieś na południu, co łatwo sobie wyobrazić, było takie pole jak to, na którym siedzieli, pokryte trupami Rzymian i pełne kruków.

Deszcz rozpadał się od nowa, grunt zrobi się jeszcze bardziej miękki. Choć czy to ważne?

Niebiosa, wtórujące depresji człowieka, odpowiadały nastrojowi Juliusza. Wciąż miał pod powiekami obraz bladej twarzy żony i oświetlone pochodniami łóżko. Tubruk, nawet Katon.

To wszystko nie miało sensu. Na początku kochał walkę, ale to było dawno temu. To było wtedy, kiedy Mariusza nazywano złotym wodzem i kiedy wiedzieli, że walczą za miasto i jeden za drugiego, ale gdzieś po drodze miłość w nim wygasła. Teraz był chory i zżerało go poczucie winy.

Zanurzył palce w zimnej brei i wcisnął jakiś kęs do ust, nawet go nie smakując. Płakał, kiedy umarł Pelitas, ale dla innych już nie było w nim łez. Nie miał dla nich więcej słów i porywających przemów, ani więcej kłamstw. Było jedno wielkie kłamstwo, że istnieje coś, o co w ogóle warto walczyć.

Jego ojciec zdawał się widzieć idee warte ocalenia w republice, lecz teraz nic z nich nie zostało. Teraz byli tylko mali ludzie, jak Katon i Pompejusz, dla których liczyła się jedynie ich sława. Ludzie bez wyobraźni, nie dbający o rzeczy, które były ważne i o których ważności wiedział od Tubruka. Juliusz wierzył w to, czego go nauczyli wielcy ludzie, ale oni wszyscy zginęli za swoje marzenia.

Dotknął palcem błota między wyciągniętymi nogami i zaczął kreślić w nim linie. Nic nie jest warte śmierci choćby jednego z nich. Ani śmierci Kornelii, ani Tubruka, ani tamtych mężczyzn, których prowadził przez Grecję. Ci ludzie poszli za nim i oddawali życie bez narzekania. No cóż, to mu się udało. Przynajmniej to.

Teraz, jedyny ze wszystkich żołnierzy, z radością oczekiwał nadchodzącej walki. Na tę jedną ostatnią godzinę, kiedy wszystko się rozstrzygnie i zakończy, zajmie miejsce w pierwszym szeregu. Był zmęczony rozgrywkami w senatcie i strudzony drogą. Aż się skrzywił,

przypomniawszy sobie dzień, w którym Mariusz po raz pierwszy zabrał go ze sobą do

tamtego gmachu. Wtedy to serce władzy

budziło w nim respekt. Wtedy ci mężczyźni wydali mu się niezwykle szlachetni; wtedy, zanim poznał ich za dobrze, by któregokolwiek mógł szanować. Naciągnął płaszcz, kiedy wiatr się zerwał i deszcz, który przybrał na sile, zaczął rozpryskiwać błoto. Kilku zaklęło, lecz większość milczała, jednając się z bogami, nim zacznie się zabijanie.

- Juliuszu?

Juliusz się odwrócił i zobaczył Kaberę, który wyciągał ku niemu dłoń. Uśmiechnął się.

Uzdrawiacz zrobił wieniec z liści, zerwanych z pobliskich krzaków i oplecionych nitką wyciągniętą z rąbka swojego znoszonego odzienia.

- Co mam z tym zrobić? - spytał Juliusz.

- Włożyć na głowę, chłopcze. Jest twój. Juliusz potrząsnął głową.

- Nie dzisiaj, Kabero. Nie tutaj.

- Proszę, Juliuszu. Zrobiłem go dla ciebie. Podnieśli się i Juliusz położył dłoń na karku starego.

- W porządku, przyjacielu - powiedział ustępliwie. Zdjął hełm i wcisnął na głowę krążek wilgotnych liści. Paru ludzi spojrzało na niego, lecz Juliusz nie dbał o to. Kabera przeszedł z nim przez to wszystko i nie zasługiwał na oczekiwanie na śmierć na błotnistym polu, daleko od własnej ojczyzny. Kabera będzie następnym, który umrze u jego boku. - Kabero, chcę, byś był daleko od pierwszej linii, kiedy nadejdą. Chcę, byś to przeżył - powiedział.

- Twoja ścieżka i moja to jedno, pamiętasz? - przypomniał stary człowiek i oczy rozbłysły mu w deszczu.

Białe włosy oblepiały pomarszczoną twarz cienkimi pasemkami. Było w niej i w całej postaci tyle mokrego nieładu, że Juliusz się zaśmiał.

Ludzie podnieśli się z ziemi, cicho i w milczeniu. Juliusz poderwał głowę, myśląc, że pora maszerować, ale oni się podnieśli, żeby patrzeć na niego. Potem, kiedy rozeszło się słowo między siedzącymi, dołączał do nich jeden po drugim, aż w końcu na ziemi zostały tylko puste miski i moknące w deszczu płaszcze.

Juliusz, zdumiony, sięgnął dłonią do wieńca i poczuł, że duch w nim ożywa. Żołnierze wokół

niego nie byli małymi ludźmi. Oddawali życie, nie dbając o nie, ufni, że ich wodzowie nie zmar-Rozdział XLIII

nują takiej ofiary. Jeden się uśmiechnął, drugi roześmiał i kiedy spotkał ich wzrok, wiedział, że on i oni to jedno.

- Rzym to my - szepnął i odwrócił się, by zobaczyć tysiące stojące za nim; zrozumiał, skąd się brała lojalność Tubruka i wiara jego ojca.

W oddali odezwały się rogi, dając sygnał do zwijania obozu.

- Nie zwalniać, moi bracia! - ryknął Spartakus.

To był koniec, ale on nie czuł strachu. Jego niewolnicy już raz pokazali, że legiony mogą być pobite, i wiedział, że nadejdzie dzień, kiedy pęknięcia, które się zarysowały pod uderzeniem ich pięści, rozszerzą się i Rzym upadnie. Legiony, z tyłu za

nimi, błysnęły w porannym słońcu i podniosły jeden wielki okrzyk, kiedy tysiące Pompejusza maszerowały w ich kierunku, szybciej i szybciej, i jedne i drugie powoli zwierały się jak szczęki, aby niewolników zmiażdżyć między sobą. Spartakus wiedział, że jego obszar-pana, strudzona armia zostanie pochłonięta. Dobył miecza i naciągnął na twarz żelazny hełm.

- Moi bogowie, oni naprawdę musieli się za nami nabiegać - powiedział do siebie, kiedy powietrze pociemniało od oszczepów.

EPILOG

r ompejusz z Krassusem jechali pośród szpaleru krzyży wzniesionych wzdłuż Via Appia, od Rzymu przez wiele kolejnych mil; sześć tysięcy ludzi, jako ostrzeżenie i jako dowód zwycięstwa. Wyrąbano całe lasy i zamieniono je na belki, a kiedy legionowym cieślom zabrakło gwoździ, niewolników po prostu przywiązywano i przekłuwano włóczniami albo wystawiano na powolną śmierć z pragnienia.

Obaj wodzowie zsiedli z koni, aby dzielącą ich od miasta ostatnią milę przejść pieszo.

Krassus nie naje się wstydu, Pompejusz mu to obiecał. Zakończenie rebelii zatarło ślad poprzednich niepowodzeń i Pompejusz był skłonny pozwolić mu na chwilę chwały. Nie miał

się czego bać ze strony Krassusa i należało mieć na uwadze jego bogactwo. Będzie

potrzebował bogatych ludzi, kogoś, kto pokryje koszty jego konsulatu. Być może, pomyślał, należało namówić Krassusa, aby przy najbliższej elekcji dał się mianować drugim konsulem.

Wydatki byłyby wspólne, a Krassus byłby mu wdzięczny.

Z daleka dobiegły pierwsze odgłosy wiwatującego tłumu, który -wreszcie ich dostrzegł na drodze. Uśmiechnęli się, jeden do drugiego, ciesząc się tą chwilą.

- Zastanawiam się, czy nie powinniśmy zażądać triumfu - powiedział Krassus i serce zabiło mu szybciej. - Nie było żadnego od czasów Mariusza.

- O tak, pamiętam tamten - powiedział Pompejusz, myśląc o młodym człowieku, który podczas przejazdu triumfującego wodza przez miasto stał przy jego ramieniu.

Epilog

491

Krassus spojrzał na niego, jakby zgadując jego myśli.

- To wstyd, że Juliusz tego nie widzi. Walczył dla nas wystarczająco ciężko.

Pompejusz ściągnął brwi. Nie, nie przyzna się przed Krassusem, ale kiedy zobaczył greckie legiony stojące przy Juliuszu w błocie i deszczu, po prostu się przestraszył. Wszyscy wielcy nie żyli, to prawda, lecz w dowódcy Dziesiątego płynęła krew Mariusza i młody człowiek zyskiwał sobie coraz większą sławę, a taka sława, jeśli zdecyduje się nią posłużyć, może być śmiercionośna dla innych. Nie, on nie chce Juliusza w tym mieście. Ani Juliusza, ani jego cennego legionu. Podpisał rozkazy wysyłające ich do Hiszpanii i nawet się nie zawahał.

- W Hiszpanii wyładuje swój temperament, Krassusie. Jestem tego pewien.

Krassus popatrzył na niego badawczo, ale wolał zmilczeć. Tymczasem powitalne okrzyki tłumu przeszły w wycie i Pompejusz pokiwał głową z satysfakcją. Hiszpania leży

wystarczająco daleko, by po upływie pięciu lat lud Rzymu zapomniał o siostrzeńcu Mariusza.

NOTA HISTORYCZNA

x ojmanie Juliusza Cezara przez piratów odnotowują źródła historyczne. Podobno kiedy zażądano za niego dwudziestu talentów okupu, sam zaproponował pięćdziesiąt, a piraci nie mieli pojęcia, kogo przetrzymują. Zapowiedział, że kiedy odzyska wolność, wszystkich ukrzyżuje, choć ich dowódców bezlitośnie udusił.

Kiedy go uwolniono na śródziemnomorskim wybrzeżu Afryki, zabrał się do gromadzenia funduszy na wynajem statków i do zbierania załogi. Aby osiągnąć taki cel, musiał być obdarzony niezwykłą charyzmą. Należy pamiętać, że był młodym człowiekiem, bez żadnej władzy czy pozycji w senacie.

W książce założyłem, że wynajdywał swoich rekrutów w rzymskich osadach, spośród synów zwolnionych ze służby żołnierzy. Tylko w taki sposób potrafiłem wyjaśnić, że udało mu się zdobyć jakiś statek, szukać piratów na Morzu Śródziemnym, znaleźć ich i spełnić swoje ponure obietnice.

Po wyjściu na ląd w Grecji trafił na bunt wzniecony przez Mitrydatesa i zebrał wokół siebie armię. W rzeczywistości walkę o umocnienie pozycji rzymskich miast stoczył z którymś z wodzów Mitrydatesa, nie z samym królem. Juliusz odniósł zwycięstwo, które zespoliło prowincję w obliczu nieporadności i niezdecydowania senatu. To Pompejusz ostatecznie pokonał Mitrydatesa i obaj mężczyźni zyskali sobie pozycję w Rzymie. Juliusz został

mianowany trybunem wojskowym, z mocą tworzenia oddziałów, i był nim jeszcze wtedy, kiedy zaczęło się powstanie Spartakusa.

Nie ma żadnej historycznej wzmianki o udziale Cezara w wojnie

wypowiedzianej Spartakusowi, choć trudno mi uwierzyć, by trybun, z jego energią i

przedsiębiorczością, nie znalazł się w legionach Krassusa i Pompejusza.

Chociaż Karol Marks nazwał Spartakusa najwspanialszą postacią w całej starożytnej historii, można powątpiewać, by tracki gladiator miał jakąkolwiek szansę przekroczyć Alpy i uciec Rzymowi na zawsze. Nie wiemy, co pchnęło go z powrotem na południe, ale zważywszy, że zawrócił spod samych gór, skłonny byłbym przypuszczać, że w grę wchodziła głęboka wiara w możliwość pokonania legionów.

Armia niewolników rozgromiła wiele wysłanych przeciwko niej legionów i podkopała ich morale, a Rzym i rzymskie prowincje wprawiła w prawdziwe przerażenie. Według

szacunków Spartakus zebrał ponad siedemdziesiąt tysięcy niewolników, które przeciągał po Italii, z południa na północ i znów na południe, przez dwa lata.

Krassus wzniósł mur w poprzek południowego cypla Italii, lecz kiedy nadzieje Spartakusa na ucieczkę na pirackich statkach okazały się płonne, niewolnicy przebili się przez wzniesioną zaporę i jeszcze raz skierowali na północ. Trzeba było aż trzech armii, by w końcu ich zatrzymać, i historia milczy, czy Spartakus zginął, czy był ukrzyżowany z tysiącami innych na Via Appia.

Pierwszy dożywotni dyktator Rzymu, Korneliusz Sulla, wycofał się z urzędu i wiódł spokojne życie do końca swoich dni, do 78 r. p.n.e. Wsławił się listami proskrypcyjnymi,

publikowanymi każdego dnia i skazującymi na śmierć ludzi, którzy mu się nie podobali z takich czy innych powodów czy, na mocy jego słowa, byli uważani za wrogów republiki.

Grasujące po mieście przestępcze bandy były opłacane za dostarczanie nieszczęśników na egzekucje i przez pewien czas Rzym, sparaliżowany strachem, był bliski anarchii. Sulla przyczynił się do upadku republiki na wiele sposobów, choć pęknięcia w jej gmachu były jeszcze przez jakiś czas niewidoczne.

Śmierć, którą ja zgotowałem Sulli, pomogła mi przyspieszyć bieg wydarzeń. Chociaż Cezar walczył w Mitylene i zdobył dębowy wieniec za dzielność, pominąłem jego podróże do Azji Mniejszej i sprawy, które wniósł do sądu w Rzymie w tym czasie.

Oktawian był w rzeczywistości siostrzeńcem Juliusza, lecz zmiana pokrewieństwa pozwoliła mi uniknąć włączania do pierwszego

tomu mniej ważnych postaci. Podobnie, dla wartkości akcji, zain-scenizowałem w Śmierci królów samobójstwo Katona, choć ów senator był wrogiem Cezara jeszcze przez długie lata.

Juliusz Cezar dokonał tak wiele, że trudniej mi było zdecydować, o czym nie opowiedzieć, niż wybrać wydarzenia, które domagały się udramatyzowania. Niestety, prozaiczne

ograniczenia liczby stron w książce uniemożliwiły mi zajęcie się każdym z jego osiągnięć.

Czytelnikom zainteresowanym szczegółami, które byłem zmuszony pominąć, jeszcze raz polecam Cezara Christiana Meiera.

Codzienność Rzymu wyglądała mniej więcej tak, jak ją sportre-towałem, począwszy od krzesła do rodzenia i warsztatu brązowni-ka, po zwyczaje rzymskiego sądu, które

zaczerpnąłem z The Ele-ments of Roman Law R. W. Lee.

Mam nadzieję, że wydarzenia, które opiszę w następnych tomach, będą ciekawsze dzięki wiedzy o tych, które już opisałem.

C. Iggulden